ZENON KOSIDOWSKI

Gdy słońce było bogiem

ISKRY

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki
Korekta: Bogusława Jędrasik
Zdjęcie autora zamieszczone na skrzydełku wykonał Jan Kosidowski
Copyright © by Barbara Jankowska-Kosidowska
Copyright © by Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 2012

ISBN 978-83-244-0215-1

Wydawnictwo ISKRY
ul. Smolna 11, 00-375 Warszawa
tel./faks (22) 827 94 15
iskry@iskry.com.pl
www.iskry.com.pl

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

Spis treści

POLSKI CERAM PO LATACH

Wśród świątyń i ogrodów Mezopotamii

- PIELGRZYM Z NEAPOLU
- PISMO KLINOWE ZACZYNA PRZEMAWIAĆ
- NAPIS NA SAMOTNEJ SKALE
- TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY
- KAPRYS DESPOTY, REWOLUCJA I WYKOPALISKA
- LAYARD ODKRYWA ZAGINIONĄ NINIWĘ
- SUMEROWIE WKRACZAJĄ DO HISTORII
- GDZIE ONGIŚ SZUMIAŁY GAJE DAKTYLOWE
- PODNIEBNA ŚWIĄTYNIA Z LAZURU I ZŁOTA
- UKRYTY SKARB I POGORZELISKO
- NAJSTARSZY W DZIEJACH POEMAT EPICZNY
- NA TROPACH POTOPU
- JAK ZŁOTY PACIOREK PRZYCZYNIŁ SIĘ DO ODKRYCIA TAJEMNICY KRÓLEWSKIEJ
- BOHATER DOBREJ ZIEMI I MALEŃKA KSIĘŻNICZKA UR

KRÓLOWIE NIE UMIERALI SAMOTNIE

HARFISTKA, PŁACZKI I NIEWIASTA SPÓŹNIONA NA POGRZEB

DZIERŻAWCY BOSKICH MAJĄTKÓW

W Egipcie faraonów

KAMIEŃ CENNIEJSZY OD DIAMENTU

CHAMPOLLION, WSKRZESICIEL HIEROGLIFÓW

DOLINA KRÓLÓW, ŚWIĘTE BYKI I SFINKSY

TAJEMNICE PIRAMID

KŁOPOTY POŚMIERTNE FARAONÓW

ZBUNTOWANY FARAON I KAPŁANI MŚCICIELE

ODKRYCIE GROBOWCA TUTANCHAMONA

U kolebki świata egejskiego

CZŁOWIEK, KTÓRY POZOSTAŁ WIERNY MARZENIOM MŁODOŚCI

GRÓD PRIAMA

ZŁOTE OBLICZE AGAMEMNONA

W LABIRYNCIE MINOTAURA

ODKRYTE LĄDY HISTORII

Pompeja i Herkulanum

MIASTA ŻYWCEM POGRZEBANE

W CIENIU MARMUROWCH KOLUMN

JAK ZATRZYMANY W SWYM BIEGU ZEGAREK

W królestwie Wielkiego Węża

JAK CORTEZ ZDOBYŁ PAŃSTWO AZTEKÓW

ZMIERZCH POŻERACZY SERC LUDZKICH

OCIEMNIAŁY UCZONY ODKRYWA ZAGUBIONE CYWILIZACJE

ŚWIAT TRWA TYLKO 52 LATA

ROZBITA BARKA W ZIELONYM MORZU DŻUNGLI

W KRÓLESTWIE WIELKIEGO WĘŻA

ZRĘKOWINY BOGA DESZCZU

POMPEJA NOWEGO ŚWIATA

SKARB POZŁACANEGO CZŁOWIEKA

W KRAINIE TYSIĄCA TAJEMNIC

Bibliografia

Przypisy

POLSKI CERAM PO LATACH

WIEK XIX W DZIEJACH ŚWIATOWEJ CYWILIZACJI nazywany jest stuleciem archeologii. Nie tylko dlatego że dyscyplina ta, wcześniej kojarzona z dyletanckim kolekcjonerstwem, wtedy właśnie wypracowała reguły pozyskiwania źródeł (metoda wykopaliskowa) i ich krytycznej analizy (system trzech epok), przekształciła się więc w naukę. Przede wszystkim z tego powodu, że zmianie uległa mentalność świata Zachodu, ciągle poszukującego celów dla ulokowania swej zdobywczej mocy. Zapoczątkowana u schyłku średniowiecza epoka poznawania i podboju ziemskiego globu dobiegała końca, z map znikały ostatnie białe plamy. Napędzany energią niespotykaną u innych biały człowiek oczekiwał nowych wyzwań i fascynacji. Znalazł je w zamierzchłej przeszłości w epokach przedhistorycznych nierozpoznanych wówczas zupełnie i tak mrocznych, jakimi niegdyś były „jądra ciemności" tropikalnych lasów Azji i Afryki. Perspektywa przestrzeni przemieniła się więc w perspektywę czasu. Dziewiętnastowieczni elitarni zdobywcy rywalizowali już nie o to, kto pierwszy dotrze na ziemski biegun lub na himalajski szczyt, ale o to, komu uda się odkopać w pustynnych piaskach całkowicie zapomnianą, a niegdyś tak znaczącą w dziejach ludzkości cywilizację.

Największe możliwości w tym szlachetnym wyścigu mieli oczywiście dawni zdobywcy, bo to oni, przemienieni teraz w kolonizatorów, kontrolowali krainy, gdzie rodziły się i rozkwitały starożytne cywilizacje. Dlatego archeolodzy ze Stanów Zjednoczonych niepodzielnie panowali wówczas w Meksyku i Peru, a Anglicy, Francuzi i Niemcy rywalizowali na terenie Egiptu, Grecji,

Palestyny i Iraku. Mieli ułatwiony dostęp do terenów wykopaliskowych, korzystali z ochrony swoich rządów, a często również z ich zasobów finansowych. Byli też pionierami podejmującymi tego rodzaju poszukiwania, dlatego i ich odkrycia były imponujące, pierwsze i niezrównane. W ten sposób to ich wiek zyskał miano wieku archeologii; ten, który miał nadejść po nim nazwany zapewne będzie wiekiem interpretacji, bo przede wszystkim skupiał się na doskonaleniu warsztatu poznawczego, obróbki źródeł archeologicznych i budowaniu na ich podstawie wiarygodnego obrazu pradziejowych kultur.

Dziewiętnastowieczny wyścig archeologów w głąb czasu okazał się przygodą nie mniej fascynującą niż wcześniejsze wyprawy na niezbadane lądy. Jest to najbardziej malowniczy, awanturniczy i pionierski okres w dziejach światowej archeologii. Odkrycia, których wówczas dokonano – całych cywilizacji, jak sumeryjska czy miejsc biblijnych jak Abrahamowe Ur – do dziś zaliczane są do największych,a ich okoliczności przyćmiewają romantyczną fabułą hollywoodzkie produkcje w rodzaju *W poszukiwaniu zaginionej arki*. Są gotowym materiałem na fascynującą książkę. Pierwszy wpadł na to Ceram, czyli Kurt Wilhelm Marek (1915-1972). Jego największe, do dziś cieszące się popularnością dzieło *Bogowie, groby, uczeni. Powieść o archeologii* powstało w 1949 roku, na polski zostało przełożone w 1958 roku. Dwa lata wcześniej ukazało się *Gdy słońce było bogiem* i była to pierwsza w naszym piśmiennictwie książka popularyzująca wielką przygodę światowej archeologii. Zenon Kosidowski był więc w polskim piśmiennictwie pierwszym autorem powieści archeologicznej.

Należy przypomnieć, w jakich nastąpiło to okolicznościach. Nie tylko z tego powodu, że dzieło to ukazywało się tuż po okresie stalinowskiej smuty, gdy polscy archeolodzy mogli jeździć co najwyżej do Mirmeki na Krymie, gdzie profesor Michałowski, twórca polskiej szkoły archeologii śródziemnomorskiej, dopiero szykował się do wielkiej kariery; również i z uwagi na sytuację, w jakiej była dotychczasowa archeologia polska, a także społeczna wiedza o jej dokonaniach. W wieku XIX, wspomnianym już „wieku archeologii", Polacy rozdarci na trzy przedzielone kordonami części,

pozbawieni samodzielnych uniwersytetów i finansowego wsparcia własnego państwa w dziedzinie archeologii, dopiero u schyłku stulecia opuścili poziom dyletanckich fascynacji „krayowymi starożytnościami". Na początku XX wieku powstały już naukowe ośrodki polskiej archeologii w Krakowie, we Lwowie, w Warszawie i Wilnie. To one dały początek uniwersyteckim katedrom archeologii w odrodzonej Polsce. Dorównując wiedzą i zapałem badaczom z Zachodu, polscy archeolodzy mieli jednak o wiele mniejsze możliwości finansowe, a ponadto wdali się w ostrą polemikę z nacjonalistycznymi, potem już nazistowskimi archeologami niemieckimi, kwestionującymi słowiańskość ziem nad Odrą i Wartą. To pochłaniało ich energię, o ekspedycjach wykopaliskowych na innych lądach mogli tylko marzyć. Tam podróżowali zamożni archeolodzy amatorzy, jak Michał Tyszkiewicz realizujący swe kolekcjonerskie pasje, po przekupieniu tureckiego urzędnika nocą pokątnie rabujący grobowce w Dolinie Królów w Egipcie i uwożący potajemnie swe trofea do pałacowego muzeum w Wilnie.

Do czasu Kosidowskiego więc polscy uczeni, a tym bardziej publiczność czytająca, wiedzieli niewiele albo zgoła nic o wielkiej przygodzie światowej archeologii, o tym, jak pustynne piaski i egzotyczne puszcze przemówiły językami twórców wielkich, choć zapomnianych cywilizacji. To jego zapał i zdolności, znajomość języków zachodnich zapewniająca dostęp do stosownych lektur i długoletni pobyt w Stanach Zjednoczonych, gdzie lektury te były dostępne, sprawiły, że pierwsza porcja wiedzy o wielkiej archeologicznej przygodzie dotarła nad Wisłę.

Za nią poszły oczywiście kolejne publikacje. Liczne prace Kazimierza Michałowskiego i jego uczniów, popularne opracowania wspomnianego już Cerama, ale też tłumaczenia oryginalnych dzieł dziewiętnastowiecznych odkrywców – archeologów: Evansa (cywilizacja minojska na Krecie), Layarda (odkrywca asyryjskiej Niniwy), Rawilsona (odczytał pismo klinowe), Wolleya – badacza Ur i śladów biblijnego potopu, Cartera – odkrywcy słynnego grobowca Tutanchamona i wielu innych. Zebrałoby się tego kilkadziesiąt pozycji.

Dlaczego więc wracać do wydanej przed ponad półwiekiem pracy pasjonata, ale jednak amatora? Tym bardziej że z dzisiejszej perspektywy nie jest to praca bez wad, w niektórych ustępach anachroniczna, jeśli chodzi o interpretację i datowanie znalezisk, co na szczęście Kosidowski referuje rzadko, skupiając się na relacjonowaniu samej archeologicznej przygody w terenie. Bo od jego czasu w tej dziedzinie zmieniło się prawie wszystko – począwszy od tego, że chronologia cywilizacji starożytnych dzięki zastosowaniu metod technicznych (np. metody radiowęgla ^{14}C, którą Kosidowski nazywa metodą atomową) osiągnęła wysoki poziom precyzji, a interpretacje archeologicznych faktów – poddane zostały rzeczowej krytyce eliminującej wpływ światopoglądowych upodobań i przekonań badaczy. Stąd przypisywanie przez Kosidowskiego władcom minojskim kwietyzmu i rozwiązłości na podstawie fresków z Knossos dziś wywołuje tylko rozbawienie. Podobnie jest z zamieszczonymi w kilku miejscach w książce popisami stalinowsko-leninowskiej sylogistyki krytykującej „archeologię burżuazyjną" za umysłowe lenistwo, usprawiedliwianie klasowego wyzysku i skupianie się jedynie na dziejach książąt, a lekceważenie ludu roboczego. Choć przecież sama jego książka jest w całości pochwałą tejże archeologii, bo w XIX wieku przecież innej archeologii niż burżuazyjna nie było. W tym przypadku jednak musimy pamiętać, że do pisania tej pracy Kosidowski zabrał się zapewne wkrótce po powrocie do Polski w 1951 roku, a więc w okresie największej stalinowskiej opresji. Jest to więc swoisty dokument czasu, ograniczeń, jakie ideologia narzucała eseistyce traktującej nawet o tak odległych czasach jak starożytny Egipt czy Mezopotamia. Jeśli jednak autor zamierzał wówczas pracę tę opublikować, musiał oddać ofiarę cielcowi ideologii. Musiał też co pewien czas podkreślać zasługi socjalistycznych, głównie radzieckich badaczy w odczytywaniu węzłowych zagadnień dziejów starożytnego świata. Dziś nikt nie pamięta o tych nazwiskach w historii nauki. W czasach Kosidowskiego, jak i teraz, to jednak uczeni z Zachodu wiodą prym w tego rodzaju badaniach.

Pamiętając o tym, znajduję równocześnie powody przywrócenia książki *Gdy słońce było bogiem* do czytelniczego obiegu. Choćby taki, że należy ona już do szacownego grona książek z historii światowej archeologii, ale też do polskiej powojennej literatury (jak należą do niej książki Pawła Jasienicy i Melchiora Wańkowicza), była pierwsza w swej dziedzinie i prezentowała wysoki poziom literacki. Nie należy do lekceważonego zarówno przez uczonych, jak i czytelników gatunku prac popularnonaukowych, lecz jest literackim esejem mającym za przedmiot historię naukowych odkryć i pomimo upływu lat, rozwoju i zmiany naukowych poglądów właściwie nie zawiera istotnych błędów. Jest popularną, ale udaną syntezą dziewiętnastowiecznej przygody świata Zachodu z archeologią krajów egzotycznych. W szczególności podkreślić należy jej walory literackie, które decydują o przyjemności lektury. Wprawdzie język jest w niej nieco archaiczny, również niekiedy nazewnictwo geograficzne i pisownia obcojęzycznych nazw czy imion odbiegają od współczesnych rygorów, ale styl, dobór faktów, anegdot, dialogi i suspensy skomponowane są jak w prawdziwym dziele literackim. Nie na darmo autor był rasowym radiowcem i znał sposób uwodzenia słuchacza, przykuwania jego uwagi. Pisząc, stosował również te umiejętności. W tym przypadku zasada brzmiała: jeśli chcesz zajmująco i przekonująco opowiedzieć jakąś historię, opowiedz ją najpierw komuś, w ostateczności głośno sobie samemu. Zobacz, jak działa w odbiorze, usuń mielizny i przelewaj na papier. W książce Kosidowskiego zasada ta działa nadal.

Zdzisław Skrok

Wśród świątyń i ogrodów Mezopotamii

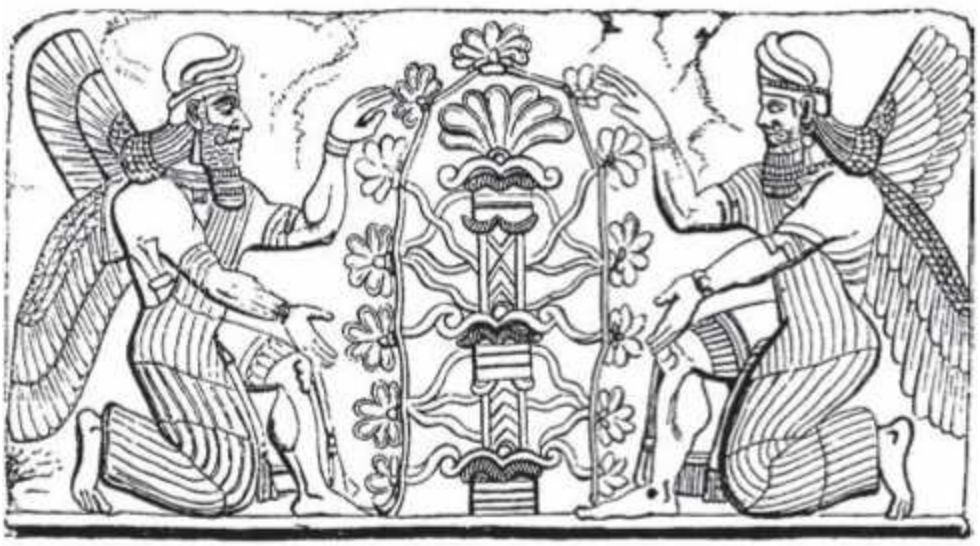

PIELGRZYM Z NEAPOLU

W PIERWSZYCH LATACH XVII WIEKU zasłynął we Włoszech neapolitański kupiec Pietro della Valle. Ponieważ wiele podróżował po dalekich krajach egzotycznych, ziomkowie nazywali go Il Pellegrino – pielgrzym.

Pietro jednakże nie podróżował, jakby to należało przypuszczać, w poszukiwaniu drogocennych korzeni i tkanin jedwabnych. Pobudką jego podróży były sprawy zgoła romantyczne, a mianowicie doznany w młodości zawód miłosny. Potem już zasmakował w włóczęgostwie i zawsze niesyty wrażeń, zapuszczał się w coraz to inne nieznane krainy, gdzie stopa Europejczyka rzadko stawała.

Dziwnym zrządzeniem losu przygody tego romantycznego kupca stały się pamiętne w dziejach archeologii i dzięki temu warto poświęcić im kilka chwil uwagi.

Przenieśmy się więc wyobraźnią do Neapolu. W kościele San Marcellino odbywa się nabożeństwo zamówione przez Pietra. Nawa zapełniła się po brzegi, wszyscy w mieście dowiedzieli się już przez pocztę pantoflową o frasunku młodego Pietra i o jego postanowieniu. W ciągu dwunastu lat był zaręczony z nadobną panną z zamożnego domu kupieckiego i raptem uderzył w niego piorun: rodzice wydali ją za mąż za kogoś innego.

Upokorzony i dotknięty w najczulszych uczuciach młodzieniec postanowił szukać zapomnienia w podróżach. Nie wymknął się jednak z miasta cichaczem. Z typowym dla południowca zamiłowaniem do scen pompatycznych, żegnał się z rodakami w sposób teatralny. Po zakończeniu nabożeństwa kapłan zawiesił

mu na szyi złoty amulet wyobrażający kostur pielgrzymi. Mieszczanie stawali na palcach, by nic nie uronić z widowiska, a Pietro składał uroczyste śluby, iż nie wróci do Neapolu zanim nie odwiedzi Grobu Świętego.

Wyprawa do Jerozolimy stała się zaczątkiem jego barwnego i urozmaiconego przygodami życia podróżniczego. Nie skończyło się bowiem na nabożnej pielgrzymce do Ziemi Świętej. Neapolitańczyk zwiedził Wenecję, Konstantynopol i Kair, popłynął na trudno naówczas dostępne wyspy Lewantu, przemierzył wzdłuż i wszerz Mezopotamię i Syrię, dotarł nawet do Iranu.

W XVII wieku podróż taka nie była fraszką. Miesiącami trzeba było przemierzać stepy i pustynie, góry i moczary, kolebiąc się na twardym grzbiecie wielbłąda. Statkom żaglowym, niewygodnym i łatwo niszczonym przez burze, groziło stałe niebezpieczeństwo korsarskich napadów. Podróżnik musiał znosić upały i mrozy, głód i pragnienie, robactwo, brud i najrozmaitsze choroby. Na drogach grasowali rozbójnicy, a ludność mahometańska odnosiła się do Europejczyków z nieukrywaną wrogością.

W ciągu swych podróży Pietro della Valle nie zrywał łączności z rodakami z Neapolu. Wysyłał do nich regularnie listy, niejednokrotnie zaopatrzone w nagłówek: „Z namiotu mego na pustyni". W listach tych zabłysnął niespodzianym talentem pisarskim. Błyskotliwy styl, wykwintny humor, bystrość obserwacji i barwność opisów, nade wszystko jednak obfitość przygód pełnych zabawnych sytuacji i porywających intryg, oto, co w krótkim czasie zyskało mu ogólny poklask współziomków.

Pietro della Valle, jak przystało na Włocha o żywym temperamencie, rychło otrząsnął się z miłosnej porażki. Świadczą o tym frywolne przygody, które opisuje z gustem i humorem. Przebywając na wyspie Chios, rzucił się w wir zabaw tamtejszej swawolnej ludności. Dniem i nocą odbywały się tańce, śpiewy i urocze igraszki z miejscowymi strojnisiami, a Pietro czuł się w swoim żywiole. Z filuterną chełpliwością opowiada, jak w pewnym mieście greckim mniszki miejscowego klasztoru tuliły go czule i całowały za to, że z godnością osadził tureckiego dostojnika, który domagał się od niego złożenia hołdu i podarunków.

W Konstantynopolu zasłyszał, że sułtan posiada jedyny naówczas pełny tekst dzieł Liwiusza, otrzymany w spadku po cesarzu bizantyńskim. Pietro zapalał chęcią nabycia tego białego kruka i zaofiarował za niego pięć tysięcy piastrów. Ale władca turecki odrzucił propozycję zuchwałego Europejczyka. Wtedy Pietro próbował przekupić bibliotekarza sułtańskiego, przyrzekając mu 10 tysięcy koron za wykradzenie manuskryptu. Intryga spełzła jednak na niczym, bo nieuczciwy urzędnik nie mógł w bibliotece odnaleźć cennego zabytku piśmiennictwa.

W Mezopotamii Pietro zakochał się po raz drugi w życiu. Wybranką jego była 18-letnia dziewczyna, ale los srogi i tym razem go nie oszczędził. Wkrótce po ślubie młoda małżonka zachorowała na tajemniczą chorobę i zmarła.

Rozpacz podsunęła Pietrowi niesamowity pomysł: zwłoki ukochanej kazał zabalsamować, a potem przez całe cztery lata obwoził się z trumną po świecie, zanim złożył ją w grobie rodzinnym w Neapolu. Pietro popróbował jeszcze raz szczęścia: ożenił się z Gruzinką, która była przyjaciółką zmarłej i opiekowała się nią podczas jej choroby. Tym razem sprawa zakończyła się pomyślnie: owocem małżeństwa było 14 synów.

W podróżach swoich Pietro dotarł również do południowej Persji. W odległości 60 kilometrów na południowy wschód od miasta Sziraz ukazał mu się obraz do głębi przejmujący majestatem i grozą. Były to jakieś gigantyczne ruiny, o których nic dotąd nie słyszał. W kotlinie, otoczonej skalistymi pagórkami, widniały tarasy z prowadzącymi na nie schodami, pogruchotane kolumny, poszczerbione mury, a przede wszystkim ogromne lwy pilnujące masywnych portali.

Pietro, przyglądając się tym ruinom, nie mógł wyjść ze zdumienia. Wydawało mu się, że piaski, naniesione tu od wieków przez gorące wiatry pustyni, niby ośmiornice objęły żarłocznymi mackami mury, portale i kolumny. Grozę i tajemniczość wzmagała głucha cisza, otaczająca ów osamotniony krajobraz zniszczenia.

Potężne ruiny, ciągnące się na przestrzeni kilkuset metrów, stanowić musiały jakiś wspaniały pałac z zamierzchłych czasów. Kto był twórcą tych monumentalnych budowli? Okoliczna ludność, poza

legendami i opowieściami o duchach rzekomo zamieszkujących ruiny, nie mogła dać podróżnikowi żadnego wyjaśnienia. Tradycje tubylców sięgały jedynie do czasów legendarnego kalifa Bagdadu z VIII wieku, Haruna al Raszida, bohatera *Tysiąca i jednej nocy*. Tymczasem ruiny snadź były o wiele starsze.

Błąkając się po zwałach gruzów, Pietro zauważył na cegłach jakieś dziwne, zagadkowe znaki. Zrazu wydało mu się, że to po wilgotnych jeszcze cegłach dreptały ongiś ptaki i pozostawiły odciski swoich pazurów. Po bliższym jednak przyjrzeniu się spostrzegł, że znaki te składają się z szeregu poziomych i pionowych kresek. Wszystkie kreski miały kształt klinów, niewątpliwie dzięki temu, że nieznany artysta, dotykając patyczkiem wilgotnej gliny, za każdym razem używał z początku większej siły.

Gdy Pietro przywiózł odbitkę tych znaków do Europy, rozgorzał namiętny spór nad ich sensem i znaczeniem. Jedni twierdzili, że stanowią one jakieś pradawne pismo, inni znowu upierali się, że dziwne kreski są jedynie prymitywnym ornamentem, którym zdobiono ściany irańskiej budowli. Pietro wypowiedział się za pierwszą tezą. W jednym z listów z roku 1621 donosi, że naliczył sto odrębnych znaków i że każdy z nich oznacza, według jego przypuszczenia, cały wyraz. Z podziwu godną przenikliwością wyraził opinię, że pismo klinowe należy czytać i pisać od lewej ku prawej stronie, ponieważ ostrza poziomych klinów zawsze były skierowane na prawo.

Przedmiotem żywego zainteresowania stały się również same ruiny. Przypuszczano trafnie, że Pietro della Valle odkrył gruzy Persepolis, stolicy imperium perskiego założonego w VI w. p.n.e. przez Cyrusa, zdobywcę Babilonii. Jeden z następców Cyrusa, Dariusz, wybudował w Persepolis imponujący pałac, liczący setki sal i komnat. Tutaj przebywał wśród olśniewającego zbytku, odziany w purpurowe, haftowane złotem szaty. Miał do dyspozycji 15 tysięcy sług pałacowych, tysiąc jeźdźców straży przybocznej i 10 tysięcy pieszych żołnierzy.

Imperium perskie trwało tylko dwieście lat. Podstawy jego istnienia, oparte na wyzysku podbitych ludów i przemocy wojskowej despoty, były zbyt kruche. By pokryć ogromne koszty

dworu i wojska, urzędnicy królewscy nakładali na lud pracujący, szczególnie na chłopów, coraz większe podatki i daniny, toteż Aleksander Macedoński, po rozgromieniu armii Dariusza, bardzo łatwo podporządkował sobie ludy i plemiona wchodzące w skład pokonanej Persji.

Zwycięski Aleksander zajął Persepolis, a przy tej okazji pałac królewski poszedł z dymem. Istnieją różne wersje co do przyczyn tego pożaru. Grecki historyk Diodor twierdzi, że pałac podpalił własnoręcznie Aleksander Wielki „podczas orgii pijackiej, w chwili kiedy postradał panowanie nad swoim umysłem". Inny historyk, Klitarch, opisując tę samą libację, opowiada, że tancerka ateńska Thais w czasie tańca cisnęła płonącą pochodnię między drewniane kolumny pałacu. Widząc to, pijana zgraja kompanów macedońskich chwytała na wyścigi inne pochodnie i rzucała je przed siebie na oślep. Główna część pałacu z drogocennymi tkaninami, rzeźbami i wazami zajęła się w mgnieniu oka płomieniem. Służba tylko z wielkim trudem zdołała uratować kilka bocznych skrzydeł budowli.

Ocalałe części pałacu przetrwały liczne jeszcze wieki. Czas jakiś mieli tam siedzibę kalifowie islamu, potem przyszły niszczycielskie najazdy Mongołów i Turków i z pałacu pozostały jeno gruzy. Ruiny zarosły niebawem skąpą roślinnością i pasły się na nich owce pasterzy arabskich. O pochodzeniu ruin zapomniano zupełnie. Dopiero w XVII wieku Pietro della Valle odkryciem swoim przypomniał Europie o dawnej świetności Persepolis.

Choć podróżnik włoski nie mógł przypuszczać, że w pionowych i poziomych kreseczkach kryje się ogromna skarbnica wiadomości o cywilizacjach Sumerów, Babilończyków, Asyryjczyków i innych ludów Bliskiego Wschodu, to jednak niezaprzeczalną jego zasługą jest to, iż on pierwszy przywiózł próbki pisma klinowego do Europy i wbrew opinii wielu uczonych z zadziwiającą bystrością domyślał się w kreskach starodawnego pisma, a nie ornamentu. Dlatego nazwisko jego zachowało się na zawsze w dziejach archeologii.

PISMO KLINOWE ZACZYNA PRZEMAWIAĆ

W PIERWSZYCH LATACH XIX WIEKU przebywał w niemieckim mieście uniwersyteckim Getyndze nauczyciel greki i łaciny tamtejszego liceum, Jerzy Fryderyk Grotefend. Uważano go po trosze za dziwaka, ponieważ ulubionym jego zajęciem było rozwiązywanie wszelkiego rodzaju szarad i rebusów, w czym wykazywał niepowszednią bystrość i szybkość orientacji. Znajomi i przyjaciele wyszukiwali mu najwymyślniejsze zadania, ale Grotefend nigdy nie dał się zapędzić w kozi róg.

W roku 1802 do rąk amatora łamigłówek dostał się pewien tekst z Persepolis, nad którego odszyfrowaniem głowiło się bezskutecznie wielu uczonych. Zagadkowe znaki klinowe intrygowały go i nie dały mu spać po nocach. Pewnego dnia, będąc w piwiarni, gdzie zazwyczaj spędzał wieczory wśród kolegów przy kuflu piwa, oświadczył im nie bez chełpliwości, że potrafi odczytać pismo klinowe.

Kompani przyjęli to z wesołym niedowierzaniem. Pismo klinowe stanowiło wtedy właśnie jeden z najbardziej modnych problemów naukowych i powszechnie było wiadomo, jaką nieprzezwyciężoną trudność stanowi jego odczytanie. Byli przecież uczeni, którzy twierdzili, że jest to problem w ogóle nie do rozwiązania.

W drugiej połowie XVIII wieku udał się do Persepolis duński uczony Karsten Niebuhr, przerysował wiele znaków klinowych, ale nie zdołał odczytać ani jednego wyrazu. Nie powiodło się również

Niemcowi Tychsenowi i Duńczykowi Münterowi, chociaż zasługą ich było wiele trafnych spostrzeżeń.

Trudno więc dziwić się, że w piwiarni rozległy się głośne śmiechy i docinki. Wszyscy cenili zdolności Grotefenda, ale od rozwiązania niewinnego rebusu do odszyfrowania pisma klinowego, nad którym daremnie wysilali się najwybitniejsi specjaliści, droga była daleka. Kpiny niedowiarków ubodły Grotefenda do żywego. Zaproponował więc zakład, iż pismo odczyta, na co koledzy z ochotą przystali.

Zabierając się do trudnego zadania, Grotefend zauważył, że napis pochodzący z Persepolis dzielił się na trzy wyraźnie rozgraniczone kolumny. Czyżby napis był trójjęzyczny? Dzięki lekturze starożytnych pisarzy Grotefend znał historię państwa staroperskiego i wiedział, że około 540 roku p.n.e. król perski Cyrus podbił państwo babilońskie. Ponieważ napis pochodził z Persepolis, przeto jedna z trzech kolumn z pewnością zawiera tekst w języku staroperskim. Ale która kolumna? Grotefend rozumował w następujący sposób: język perski był językiem zwycięskiego narodu, siłą rzeczy więc powinien zajmować miejsce centralne. Tym centralnym miejscem jest na pewno kolumna środkowa. A kolumny boczne? Przypuszczać należy, że zawierają przekład na języki dwóch najliczniejszych podbitych ludów.

Po przyjęciu tej zdumiewająco prostej i zarazem wnikliwej hipotezy Grotefend przyjrzał się bliżej znakom klinowym środkowej kolumny. Zauważył niebawem rzecz bardzo charakterystyczną, której chwycił się skwapliwie. Wśród znaków klinowych powtarzała się dwukrotnie jedna i ta sama grupa czy kombinacja kresek, oddzielona kreską ukośną, a więc wyrażająca jakieś słowo. Z właściwą sobie bystrością wpadł na pomysł, że tekst informuje o jakimś dynastycznym następstwie w perskim domu królewskim, że więc oba identyczne zespoły znaków mogą przypuszczalnie oznaczać tytuł królewski. Według takiego założenia tekst przedstawiałby się następująco:

Król – imię króla – niewiadome słowo A – *król* – imię króla – niewiadome słowo A – niewiadome słowo B

Znaczenie niewiadomego słowa A narzucało się samorzutnie. Niewątpliwie owa grupa znaków klinowych, określona literą A, wyraża słowo „syn”. Uzupełniony w ten sposób tekst brzmiał więc:

Król – imię króla – *syn* – *króla* – imię króla – *syna* – niewiadome słowo B

Brak tytułu królewskiego w ostatnim członie zdania (przy niewiadomym słowie B) nastręczał wiele kłopotu. Teza, jakoby tekst oznaczał wyliczenie następstwa dynastycznego, wydawała się być zachwiana. Ale Grotefend nie dał się łatwo zbić z tropu. Rozumował w ten sposób: skoro niewiadome słowo B, niewątpliwie imię jakiegoś Persa, nie jest zaopatrzone w tytuł królewski, tak jak dwa poprzednie imiona, należy wnioskować:

a. że człowiek, który nosił to imię, nie był królem, b. że musiał pozostawać z obu królami w jakimś stosunku pokrewieństwa, skoro znajduje się w ich towarzystwie, c. że, jak to świadczy dwa razy powtórzone słowo „syn”, był ich ojcem i dziadkiem.

Tekst brzmiałby wtedy:

Król – imię króla – *syn* – *króla* – imię króla – *syna* – imię Persa.

Grotefend czuł, że jest na właściwym tropie. Gdyby udało mu się znaleźć w historii królów perskich taką sytuację dynastyczną, gdzie jakiś Pers, niebędący królem, miał jednakże syna i wnuka, którzy wstąpili na tron – sprawa byłaby rozwiązana. Wtedy odpowiednie nieodczytane grupy znaków klinowych można by zastąpić historycznymi nazwiskami.

Zaczął szperać w tekstach starożytnych historyków i natrafił na właściwe osobistości. Oto książę perski Hystaspes miał syna Dariusza, króla perskiego od roku 521 do 486 p.n.e. Wnuk jego, a syn Dariusza, Kserkses, znany z tego, że usiłował podbić Grecję, panował od roku 486 do 465 p.n.e. Tekst brzmiał ostatecznie:

Król Kserkses, syn króla Dariusza, syna Hystaspesa.

Sprawa nie była jednak tak prosta, jak tu ją przedstawiamy. Imiona królów zaczerpnął bowiem Grotefend z Herodota, podane więc były w brzmieniu greckim. By rozeznać fonetyczne brzmienie

każdego osobnego znaku klinowego, należało znać imiona królewskie w ich autentycznym brzmieniu staroperskim. Klucza do rozwiązania tego szukał Grotefend w tekście *Awesty*, świętej księgi Persów, której język był najbardziej zbliżony do staroperskiego.

Mimo że nazwisko np. Hystaspesa było tam podane w kilku odmianach (Goszap, Kistap, Gustasp, Witasp), zdołał drogą niezwykle przenikliwych wnioskowań odszyfrować dziewięć alfabetycznych znaków staroperskiego pisma klinowego. Dopiero w trzydzieści cztery lata później, tj. w roku 1836, Niemiec Lessen, Francuz Burnouf i Anglik Rawlison odczytali resztę alfabetu.

NAPIS NA SAMOTNEJ SKALE

NA ŻAGLOWCU ANGIELSKIM, kursującym między Wielką Brytanią a Indiami, służył jako chłopiec okrętowy Henryk Fryderyk Rawlison. Sprytny wyrostek nadstawiał pilnie ucha, gdy pasażerowie, wygrzewając się w słońcu na pokładzie, opowiadali sobie cuda o krajach Indostanu, dokąd udawali się jako kupcy lub urzędnicy. Pod wrażeniem tych gawęd zaczął marzyć o dalekich podróżach i przygodach. Służba marynarska wydała mu się naraz obrzydłą niewolą i tylko czekał na sposobność, by z niej się wyrwać w szeroki świat.

Podczas jednego z rejsów zaskarbił sobie przychylność gubernatora Bombaju, sir Johna Malcolma, który zaproponował mu służbę w oddziałach wojskowych Kompanii Wschodnioindyjskiej. Rawlison przystał z radością i w roku 1826, mając 16 lat, przeszedł na służbę tego osławionego towarzystwa akcyjnego, ciągnącego ogromne zyski z ograbiania Indii i gnębienia ludności hinduskiej.

Rawlison dobrze musiał zasłużyć się swoim chlebodawcom, gdyż po upływie krótkiego czasu otrzymał szlify oficerskie. W roku 1833 znajdujemy go w randze majora na stanowisku instruktora armii perskiej. W 1839 roku rząd angielski mianował go agentem politycznym w Afganistanie. W latach następnych był kolejno konsulem w Bagdadzie, członkiem parlamentu brytyjskiego i w końcu posłem na dworze perskim w Teheranie.

Od skromnego chłopca okrętowego do przedstawiciela dyplomatycznego mocarstwa – to kariera niecodzienna. Jakim okolicznościom zawdzięczał Rawlison swoje powodzenie? Dziś już wiemy, że był on asem wywiadu angielskiego. W rękach jego

skupiały się nici wszelkich intryg politycznych Bliskiego i Środkowego Wschodu. W służbie imperializmu brytyjskiego judził ludy i plemiona azjatyckie przeciwko Rosji, siał niezgodę między Persami i Afgańczykami, knuł nawet spisek przeciwko rządowi perskiemu, choć jako instruktor wojskowy był na jego żołdzie.

Nie mielibyśmy powodu zajmowania się Rawlisonem, gdyby nie fakt, że przyczynił się on w dużym stopniu do odczytania pisma klinowego. Wprawdzie agenci Intelligence Service bardzo często kryli swoją działalność szpiegowską pod pozorem badań naukowych i poszukiwań archeologicznych, ale Rawlison różnił się tym od nich wszystkich, że był istotnie rzetelnym badaczem pisma klinowego i w tej dziedzinie osiągnął poważne wyniki naukowe. Nie wiedząc nic o poszukiwaniach Grotefenda, odczytał podobną metodą nie tylko nazwiska trzech poprzednio wymienionych władców perskich, lecz również kilka dodatkowych znaków staroperskiego alfabetu klinowego. Gdy wreszcie w roku 1838 zapoznał się z pracą Grotefenda, stwierdził, że pod wieloma względami wyniki jego badań były daleko lepsze.

Wykonując tajne zlecenia swoich mocodawców, Rawlison często przenosił się z miejsca na miejsce. W czasie tych podróży bywał również w Behistunie, gdzie spotkała go jedna z największych przygód. Pewnego razu, znajdując się w odległości dwudziestu kilometrów od Kermanszachu, stanął zdumiony przed prostopadłą, poszarpaną skałą, wznoszącą się ponad równiną na wysokość tysiąca metrów. Około stu metrów nad przepaścią widniała na niej słynna tablica behistuńska. Na płytach, przymocowanych do skały, rysowały się płaskorzeźby wyobrażające brodatych mężów w powłóczystych szatach perskich oraz szereg kolumn pisma klinowego.

Ogromna płaskorzeźba znana była dziesiątkom pokoleń zamieszkującym kraje Bliskiego i Środkowego Wschodu. U podnóża behistuńskiej skały wiodła ongiś droga do Babilonu, a obecnie znajduje się tam ożywiony trakt handlowy łączący Kermanszach z Bagdadem. Od niepamiętnych czasów snują się po niej ociężałe karawany kupieckie i wędrują samotni podróżni. Zagadkowe

postacie, wykute w skale, napawały zabobonnym lękiem przechodniów i zamieszkujących okolicę tubylców.

Płaskorzeźba wywarła na Rawlisonie głębokie wrażenie. Przyglądał się jej niejednokrotnie godzinami przez lornetkę. Jakież nieprzebrane bogactwo wiadomości historycznych kryło się w tych znakach, złożonych z poziomych i pionowych klinów! Układ kolumn wyraźnie wskazywał na to, że tekst jest sporządzony w trzech językach. Skoro – pomyślał sobie – odczytano już alfabet staroperski, może powiedzie mu się odkrycie tajemnicy dwóch pozostałych języków. Dotąd nikt nawet o tym myśleć nie mógł, gdyż materiał porównawczy był zbyt skąpy i składał się jedynie z dwudziestu znaków wspomnianego już napisu z Persepolis. Tymczasem napis na skale behistuńskiej przedstawiał pod tym względem nieocenione bogactwo, gdyż zawierał, jak zdołał naliczyć przez lornetkę, ponad czterysta dwudziestometrowych wierszy pisma klinowego. Z tak obfitym materiałem można by pokusić się o odczytanie napisów w nieznanych językach.

Sprawa nie była jednak tak prosta. Najpierw należało wdrapać się na stromą ścianę skalną i wisząc nad przepaścią, przerysować dokładnie kreskę po kresce. Tego rodzaju przedsięwzięcie wymagało długich drabin, sznurów i haków, sprzętu trudnego do zdobycia w prymitywnych warunkach kraju.

Zamiar dotarcia do płaskorzeźby nie dał odtąd Rawlisonowi spokoju. Tygodniami badał szczegółowo każdy wyłom skały i zastanawiał się nad różnymi sposobami karkołomnej wspinaczki. Pewnego dnia odkrył coś, co napełniło go nadzieją. Zauważył bowiem pod napisem wzdłuż całej jego szerokości wykuty w skale chodnik, który służył ongiś rzeźbiarzowi jako rusztowanie. Byleby się tam dostać – pomyślał – a wtedy nietrudno będzie skopiować cały tekst. Z narażeniem życia, posługując się linami i hakami, dotarł wreszcie do celu. Przywiązany linami do występów skalnych zaczął przerysowywać znaki do grubego notesu. Praca trwała miesiące. Codziennie na nowo wspinał się po skale i posuwając się wzdłuż chodnika, skopiował w ten sposób dolne wiersze napisu. Okazało się jednak, że z poziomu chodnika nie można było dostrzec górnej części napisu, ponieważ wysokość płaskorzeźby wynosiła

siedem metrów. Wtedy podciągnął na linie drabinę i wchodząc po niej coraz wyżej, zdołał przerysować kilka dalszych wierszy. Reszta pozostawała poza zasięgiem widzialności.

Nie dokończył jednak pracy. Powołany przez swoje władze zwierzchnie musiał ją przerwać i pospieszyć do Afganistanu. Dopiero w roku 1847 powrócił do Behistunu i podjął niedokończone dzieło. Tym razem należało dotrzeć do niedostępnych części napisu. Sam już bał się narażać, toteż najął do tego młodego chłopca kurdyjskiego. Przymocowany do liny spuszczonej ze szczytu skały, młody śmiałek powbijał wzdłuż ściany drewniane kliny. Przewieszając następnie drabinę z klinu na klin i wspinając się po niej, Kurdyjczyk przyciskał do poszczególnych fragmentów napisu wilgotną tekturę, uzyskując w ten sposób wierną jego odbitkę. Po kilku tygodniach Rawlison stał się jedynym na świecie posiadaczem ogromnego tekstu klinowego, stanowiącego bezcenny materiał naukowy. W roku 1848, po jedenastu latach pracy, przedłożył go Królewskiemu Towarzystwu Azjatyckiemu w Londynie.

Napis behistuński – jak to już zaznaczyliśmy – zawierał teksty w trzech różnych językach. Środkowa kolumna napisana była w języku staroperskim. Odczytanie jej, dzięki poprzednim pracom uczonych, nie przedstawiało szczególnej trudności. Jedna z dwu pozostałych kolumn, pisana systemem sylabicznym, a więc za pomocą znaków klinowych wyrażających całe zgłoski, a nie poszczególne litery alfabetu, stanowiła przekład tekstu perskiego na język irańskiego ludu Elamitów. Państwo Elamitów już od dawna nie istniało, ale język jego mieszkańców był szeroko rozpowszechniony w Persji, czym tłumaczy się napis na skale behistuńskiej. Dzięki Duńczykowi Nielsowi Westergardowi, odkrywcy klucza do tego języka, Rawlison i drugi Anglik Norris odczytali niebawem dwieście znaków tej kolumny.

Pozostał do rozszyfrowania trzeci napis, stanowiący, jak się okazało, przekład na język asyro-babiloński. Po żmudnych i skomplikowanych pracach porównawczych Rawlison dokonał kłopotliwego odkrycia: pismo to było dziwaczną gmatwaniną, pozbawioną logicznej konsekwencji. O ile w piśmie staroperskim każdy znak klinowy służył do oznaczenia odrębnej litery alfabetu,

a w piśmie elamickim do wyrażania zgłosek – o tyle w piśmie asyro-babilońskim sprawa nie była tak prosta. Tutaj ten sam znak klinowy mógł wyrażać bądź sylabę, bądź też całe słowo.

W miarę bliższego poznawania tego pisma ujawniła się rzecz niepokojąca. Bo oto tenże sam znak mógł służyć do oznaczania kilku odmiennych zgłosek, a nawet kilku różnych słów.

Na odwrót – szeregu zupełnie odrębnych znaków używano dla oznaczenia jednej i tej samej zgłoski lub też jednego i tego samego słowa. Tak np. na głoskę *r* pismo to miało aż sześć znaków klinowych, zależnie od tego, z jaką samogłoską *r* się łączyło. W zgłoskach *ra, ri, ru, ar, ir* lub *ur* pisano głoskę *r* za każdym razem zgoła innym znakiem klinowym. Co więcej, gdy do tych zgłosek dochodziła jakaś spółgłoska, jak np. ra + m, czyli powstała nowa zgłoska *ram*, to w zespole tym litera *r* otrzymywała inny znowu znak.

Ze zrozumiałych względów nie możemy zagłębiać się tutaj w zbyt drobiazgowe szczegóły, aby jednak czytelnik mógł poznać niewiarogodne wprost trudności, z jakimi spotkał się Rawlison, dodamy jedną jeszcze osobliwość tego pisma. Gdy kilka znaków klinowych łączyło się w zespół, wyrażający jakiś przedmiot lub pojęcie, to całkowite brzmienie tego zespołu nie miało nic wspólnego z brzmieniem jego części składowych. Tak np. imię króla Nabuchodonozora powinno było brzmieć według jego poszczególnych składowych części fonetycznych: *An-pa-sa-du-sis*, tymczasem wymawiało się je *Nabukudurriussur*.

Gdy Rawlison opublikował wyniki swojej mozolnej pracy, uczeni myśleli zrazu, że pozwolił sobie na żart. – Jak to – powiadali – czy mógł kiedykolwiek ktoś wymyślić tak niedorzecznie zawiły system pisania, mający przecież służyć za narzędzie do komunikowania się między ludźmi? – Skoro jednak przekonano się, że Rawlison nie popełnił żadnej mistyfikacji, niektórzy uczeni sądzili, że tego rodzaju pisma nigdy nie będzie można odczytać.

Sprawa w rzeczy samej wydawała się beznadziejna. Ale, jak to nierzadko bywało w historii archeologii, szczęśliwym zbiegiem okoliczności dokonano właśnie w tym momencie nowego rewelacyjnego odkrycia. Oto francuski archeolog Botta, o którym

będzie mowa w następnym rozdziale, wygrzebał w ruinach Niniwy około stu glinianych tabliczek z pismem klinowym, pochodzącym z VII wieku p.n.e. Tabliczki te przedstawiały materiał wymarzony dla lingwisty, zawierały bowiem szereg wiadomości encyklopedycznych. Uważa się je dziś za najstarszą encyklopedię w dziejach ludzkości. Obrazki różnych przedmiotów były ułożone na nich w kolumny z odpowiednią nazwą po bokach w języku babilońskim oraz ze znakami klinowymi w ich brzmieniu fonetycznym. Tabliczki te sporządzono prawdopodobnie na użytek uczniów szkół pisarskich w okresie, kiedy pismo obrazkowe i sylabiczne upraszczano, tworząc pismo alfabetyczne.

Najstarsza encyklopedia w świecie dochowała się wprawdzie w niedużych tylko fragmentach, dała jednak uczonym podstawę do odszyfrowania dwustu znaków pisma asyro-babilońskiego.

W ciągu kilku zaledwie lat, wysiłkiem zbiorowym wielu uczonych, asyrologia poczyniła takie postępy, że mogły ukazać się pierwsze gramatyki języka asyryjskiego. Wielkie zasługi dla asyrologii położyli uczeni rosyjscy. Między innymi W. Goleniszczew wydał w roku 1888 pierwszy na świecie słownik języka asyryjskiego, zawierający tysiące starannie przerysowanych i skomentowanych znaków pisma klinowego.

Choć nie można negować zasług Rawlisona, nie był on jednak uczonym w szlachetnym tego słowa znaczeniu, oddanym bezinteresownie wiedzy. Znając jako agent wywiadu tajemnice szyfrów, zabrał się do odczytania pisma behistuńskiego z pobudek wcale nienaukowych. Kierowała nim raczej chęć pobicia rekordu w dziedzinie, która naówczas stanowiła przedmiot ogólnego zainteresowania, a tym samym chęć zdobycia osobistego rozgłosu. W pogoni za laurami nie wahał się nawet przywłaszczyć owoców cudzej pracy. Niemały huczek wywołał jego zatarg z asyrologiem H. Hincksem, który dokonał pewnych bardzo ważnych odkryć dotyczących języka staroperskiego. Rawlison dowiedział się o tym uboczną drogą i do Londynu, gdzie właśnie drukowała się jego praca, wysłał natychmiast list, w którym wyniki Hincksa podał jako własne odkrycie. Gdy zarzucono mu plagiat, udowadniał za pomocą sfałszowanego stempla pocztowego, że list do Londynu wysłał

przedtem, zanim o odkryciu Hincksa mógł się dowiedzieć. Afera początkowo ucichła, ale w kilka lat później plagiat Rawlisona i podrobienie stempla pocztowego zostało całkowicie udowodnione.

Odszyfrowaniem pisma asyryjskiego zajmowało się wraz z Rawlisonem kilku innych uczonych. Istniały jednak wciąż jeszcze wątpliwości, czy odczytano je trafnie. Gdy Rawlison zaczął chełpić się publicznie, że potrafi odczytać nawet najtrudniejsze napisy klinowe, wtedy Królewskie Towarzystwo Azjatyckie w Londynie zdecydowało się na krok bez precedensu w dziejach nauki. Do czterech najwybitniejszych specjalistów wysłano cztery zapieczętowane koperty, zawierające jeden i ten sam świeżo odkryty tekst asyryjski z wezwaniem do odczytania go. Rawlison, Talbot, Hincks i Oppert odszyfrowali tekst, każdy z osobna według swojej własnej metody i przekład odesłali w zapieczętowanych kopertach do wybranej w tym celu komisji.

Okazało się, że wszystkie przekłady były prawie identyczne. Niektórzy uczeni gorszyli się wprawdzie obraną przez Towarzystwo metodą, uważając ją za nielicującą z godnością nauki, mimo to zgodne odpowiedzi nie pozostawiały żadnej wątpliwości; odczytanie zatem trudnego pisma asyryjskiego uważać należało za fakt dokonany. W roku 1857 wspomniane przekłady ogłoszono drukiem pod tytułem: *Napis króla Asyrii Tiglat-Pilesara, przetłumaczony przez Rawlisona, Talbota, Hincksa i Opperta.*

Z treści prastarego napisu behistuńskiego wynikało, że w latach 529-521 p.n.e. panował w Persji Kambizes. Państwem jego wstrząsały zamieszki i powstania polityczne podbitych i srodze ciemiężonych ludów. W dodatku w samym domu królewskim powstały spory i walki dynastyczne, które poważnie osłabiły władzę monarchy i skończyły się skazaniem na śmierć brata królewskiego Bardi. W różnych stronach kraju pojawili się fałszywi pretendenci do tronu. Najgroźniejszym z nich był mag, czyli kapłan religii zoroastryjskiej, Gau-mata. Podając się za Bardię, który rzekomo uciekł z więzienia, zanim zdołano na nim wykonać egzekucję, zgromadził potężną armię stronników.

Król zmarł jednak nagle w roku 521 p.n.e., nie pozostawiwszy bezpośredniego następcy tronu. Prawo dynastycznego następstwa

przysługiwało jednemu z książąt bocznej linii Achemenidów, Hystaspesowi, znanemu nam już z napisu z Persepolis. Był to człowiek niedołężny i tchórzliwy, który w obliczu zamieszek w kraju wolał zrzec się tronu na rzecz swego syna Dariusza.

Dariusz I okazał się energicznym władcą i dzielnym wojownikiem, w krótkim też czasie uporał się ze wszystkimi po kolei buntownikami. Zapragnął po wieczne czasy utrwalić pamięć swoich triumfów, aby potomni nie zapomnieli, że on, Dariusz, król Persji, przywrócił jedność państwa i był jedynym prawnym następcą Kambizesa.

Historię swoich czynów nakazał wykuć w skale i to w takim miejscu, by napis mógł każdy przeczytać, a jednocześnie, by niedostępność miejsca chroniła go przed zniszczeniem przez przeciwników lub potomnych. Na prostopadłej ścianie skalnej, górującej nad ruchliwą drogą do Babilonu, postanowił wykonać rzecz, zdawałoby się, niewykonalną. Niewolnicy, zawieszeni na linach nad otchłanią, wystawieni na zabójczy żar słońca i wichry, kuli w surowym głazie wspomniany już chodnik, na którym oparli potem rusztowanie. Ciężkie płyty z płaskorzeźbami wciągali w górę i przymocowywali do ściany skalnej, przy czym niejeden z nich tracił równowagę i z krzykiem przerażenia staczał się w przepaść.

Płaskorzeźba przetrwała nietknięta przez 2500 lat. Na pierwszym planie wyryty jest sztywno wyprostowany Dariusz, oparty o wielki łuk. Prawa jego noga spoczywa na powalonym Gaumacie, co miał czelność sięgnąć po berło królewskie. Za królem stoją dwaj dostojnicy dworu z kołczanami i dzidami. U stóp króla, ze skrępowanymi nogami i z postronkami na szyi, korzy się dziewięciu buntowników, „dziewięciu królów kłamstwa” – jak głosi napis. Po bokach i poniżej tej grupy widać czternaście kolumn pisma klinowego, sławiącego w trzech językach triumfy wielkiego Dariusza.

Tekst ten głosi:

> Gdy byłem w Babilonii, oderwały się ode mnie kraje Persów, Susjanów, Medów, Asyryjczyków, Egipcjan, Partów, Margów, Skogatów i Scytów. I oto czego dokonałem z łaski Ahuramazdy. W roku, kiedy poczęło się moje

królowanie, dziewiętnaście bitew stoczyłem. Stoczyłem je z łaski Ahuramazdy i dziewięciu królów w niewolę pojmałem. Był pośród nich jeden, co zwał się Gaumata. Kłamał on. Tak bowiem mawiał: jestem Bardia, syn Cyrusa. Bunt wzniecił w Persji. Był też inny: Nidintu zwał się, a był Babilończykiem. Kłamał on. Tak bowiem mawiał: jestem Nabuchodonozor, syn Nabonida. On to bunt w Babilonii wzniecił.

Umieszczając tablicę na skale behistuńskiej, Dariusz był przekonany o nieprzemijającej wadze historycznej swoich czynów wojennych. Dla nas jednak triumfy jego zeszły na drugi plan wobec faktu, że napis nakazał sporządzić w trzech językach. Trójjęzyczność tekstu stała się tą różdżką magiczną, która otworzyła nam na oścież wrota do prastarych cywilizacji Sumeru, Babilonii i Asyrii, rozszerzając naszą wiedzę o kilka tysięcy lat dziejów ludzkich.

TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY

W KRAINIE

O MEZOPOTAMII, CZYLI MIĘDZYRZECZU, leżącym między Eufratem a Tygrysem, wiedziano do końca XVIII wieku bardzo niewiele. Mętne wiadomości o burzliwej i bogatej przeszłości tego kraju zawdzięczano Biblii i nielicznym, sprzecznym zresztą, opisom starożytnych podróżników. Tutaj, w Niniwie i Babilonie, panowali według Starego Testamentu okrutni królowie-wojownicy, których Jehowa poraził gniewem za bałwochwalstwo. Wielu jednak Europejczyków sądziło, że Biblia jest zbiorem legend i mitów, a opowieści o ludnych miastach i potężnych królach Asyrii i Babilonii uważało co najmniej za przesadzone. Wyobrażenia o tych nieznanych cywilizacjach sprowadzały się do wieży Babel oraz wiszących ogrodów Semiramidy.

Dzisiaj na miejscu dawnej Asyrii i Babilonii znajduje się Irak ze stolicą Bagdadem. Kraj graniczy na północy z Turcją, na zachodzie z Syrią i Transjordanią, na południu z Arabią Saudyjską, a na wschodzie z Iranem, czyli dawniejszą Persją. Pewniejsze dane historyczne o dawnej Mezopotamii datowały się dopiero od pierwszego wieku n.e. Wiedziano, że mimo ustawicznych wojen, najazdów i zmieniających się władców Mezopotamia pozostawała

ludnym i bogatym krajem, że kwitły tam handel i rzemiosło, sztuka i architektura.

Póki utrzymywano na tych terenach w dobrym stanie kanały nawadniające, żadna wojna i żaden najazd nie zdołał zniszczyć urodzajnej gleby. Ów mądry system kanałów, rozprowadzający wody Eufratu i Tygrysu po rozłogach i regulujący coroczne ich wylewy, stanowił główne i jedyne źródło dobrobytu Mezopotamii. Nikt nie pamiętał, kto go zbudował w tak przemyślny i zapobiegliwy sposób. Nikt nie przeczuwał, że budowniczowie tych kanałów żyli na kilka tysięcy lat p.n.e. w biblijnym Urze, Babilonie i Niniwie.

W Mezopotamii zmieniali się władcy, ludy i kultury. Po Sumerach, Akkadyjczykach, Asyryjczykach i Chaldejczykach przyszli Persowie, po Persach Grecy, po Grekach Parowie, ale ludność rolnicza żyła swoim własnym życiem, naprawiała kanały, siała i zbierała plony. Wyzyskiwana w sposób niemiłosierny, dziesiątkowana, zapędzana do wojska i sztolni kopalnianych, wytwarzała w pracowitym trudzie bogactwa kraju. Z jej znoju wyrastały liczne zamożne miasta, świątynie i pałace, kwitły architektura i sztuka, literatura i nauka, rodził się zbytek, którym otaczali się królowie, arystokraci i satrapi.

W średniowieczu Mezopotamia przeżyła okres ponownego rozkwitu. Wraz z zajęciem kraju przez mahometan przenosi się tu z Damaszku główny ośrodek islamu. Kalifowie założyli swoją stolicę w Bagdadzie, którego przepych, piękno architektury i baśniowy urok stały się legendarne.

Gdy kraj zdobyli Turcy pod wodzą Seldżuków, tworząc wielkie imperium Bagdadu, niewiele się pod tym względem zmieniło. Sieć kanałów i śluzy rzeczne ocalały z zamętu nietknięte; dzięki nim ziemia nadal rodziła bogate plony. Dopiero kolejne niszczycielskie najazdy Mongołów pod wodzą Hulagu i Tamerlana obróciły kraj w perzynę. Gleba, pozbawiona wody na skutek zdemolowania systemu kanałowego, jałowiała, pękała w spiekocie słońca i wreszcie przeobraziła się w morze sypkiego, lotnego pyłu, stała się krainą pustyń i zagadkowych kurhanów, stepów i koczowniczych plemion.

Odtąd na długie wieki zapomniano o dawnej Mezopotamii. Jednakże raz po raz przybywali tam podróżnicy z Europy. Od nich

dowiadywano się o tajemniczych wzgórzach, wznoszących się tu i ówdzie wśród bezludnej równiny. Hulały naokoło nich zawieje, gromadząc u ich podnóży usypiska płowego piasku. Beduini pasący swoje wielbłądy nie mieli pojęcia, co owe dziwne kurhany oznaczały. Wprawdzie na wzgórzach poniewierały się odłamki cegieł, skorupy naczyń i fragmenty bazaltowych płaskorzeźb, ale nigdzie nie było widać jakichś szczątków większych budowli, które wskazywałyby na bogatą przeszłość kraju. Nie sterczały tam, jak w Egipcie, kolumny, obeliski, sfinksy, piramidy i skalne groby królewskie, bądź też, jak w Grecji i we Włoszech ruiny świątyń, posągi bogów, areny i amfiteatry. Historia Mezopotamii legła pod grubą powłoką pustyni.

Pierwsze sprawozdanie z podróży po Mezopotamii zawdzięczała Europa Duńczykowi, Karstenowi Niebuhrowi. Na polecenie króla duńskiego Fryderyka V zorganizował Niebuhr ekspedycję naukową na Bliski Wschód. Zakończyła się ona jednak tragicznie. W niespełna rok wszyscy jej członkowie wyginęli z wyczerpania lub też chorób zakaźnych. Jeden Niebuhr pozostał przy życiu i samotnie doprowadził zadanie ekspedycji do końca. Jego książka *Opis podróży po Arabii i sąsiednich krajach*, będąca sumiennym opisem kraju, ludzi i znalezionych śladów pradawnych cywilizacji, stanowiła przez długi czas jedyne źródło wiedzy o Bliskim Wschodzie. Napoleon stale miał ją przy sobie podczas swej wyprawy do Egiptu.

Niebuhr jako jeden z pierwszych podjął próbę odszyfrowania pisma klinowego. Ale wysiłki jego w warunkach ówczesnego stanu nauki z góry były skazane na niepowodzenie. Duńczyk nie zdołał odczytać ani jednego znaku. Stwierdził jednak, co przynosi mu niemały zaszczyt, że w napisach klinowych dają się rozeznać trzy systemy pisma: system obrazkowy, czyli piktograficzny, system zgłoskowy oraz alfabetyczny, zawierający 24 litery.

W początkach XIX wieku Międzyrzecze stało się popularne w Europie dzięki baśniom arabskim *Tysiąca i jednej nocy*. Była to wówczas jedna z najbardziej czytanych książek. Rozczytywał się w niej również młody adwokat angielski, Austen Henry Layard. Świat wyczarowany przez Szeherezadę olśnił go i pochłonął do tego stopnia, że postanowił odbyć podróż do Bagdadu, Damaszku i Persji.

Codziennie, po pracy w kancelarii adwokackiej w Londynie, zaszywał się w swoim pokoju wśród stert książek i pilnie przygotowywał się do przyszłej podróży. Uczył się posługiwać sekstansem i kompasem oraz sporządzać mapy, zapoznawał się również z niesieniem pierwszej pomocy w razie nieszczęśliwych wypadków oraz ze sposobami zwalczania chorób tropikalnych. Ze słownikiem w ręku poznawał tajniki języków Iranu i Iraku.

W roku 1839, mając 22 lata, porzuca pracę w kancelarii adwokackiej i w towarzystwie przyjaciela rusza na Bliski Wschód. Jeździ konno od wsi do wsi, od miasta do miasta, nocując w chatach gościnnych Turkmenów lub w namiotach pasterzy arabskich. Jego łatwy sposób bycia zyskuje mu szybko przyjaźń tuziemców, których obyczaje obserwuje z wielkim zainteresowaniem.

Przygody swoje spisywał Layard z dnia na dzień z niepospolitym talentem pisarskim. Z tych kartek powstało później dwutomowe dzieło pod tytułem: *Niniwa i jej pozostałości*. Dzieło to zdobyło sobie niebywałą wprost poczytność.

„Wspominam z wdzięcznością i zachwytem – pisze w notatkach – te błogie dni, kiedy z uczuciem swobody i beztroski w sercu zwykliśmy ruszać o świcie z jakiejś ubogiej chaty czy z namiotu. Wędrowaliśmy ot tak przed siebie, nie troszcząc się o czas i odległości, by o zachodzie słońca zatrzymać się na nocleg u stóp jakichś ruin, gdzie wędrowni Arabowie rozbili swoje namioty…”.

W kwietniu 1839 roku przybył do Mosulu, miejscowości położonej nad górnym biegiem Tygrysu. Stamtąd czynił wypady w głąb okolicznej pustyni, gdzie po raz pierwszy ujrzał legendarne wzgórza, kryjące ruiny prastarych siedzib ludzkich. I odtąd stał się ich zagorzałym badaczem. Zainteresowanie jego obudziło przede wszystkim wzniesienie, gdzie według miejscowej tradycji miały znajdować się ruiny miasta założonego przez biblijnego Nemroda, potomka Noego. Arabowie wyobrażali go sobie jako olbrzyma i święcie wierzyli, że jego kości kryją się wewnątrz zwaliska. Źródłem tej wiary był Stary Testament. W *Genesis* bowiem czytamy:

> Ten był możnym myśliwym przed obliczem pańskim. Przeto się mówi: jako Nemrod, możny myśliwy przed Panem. A początek królestwa jego był Babel

i Erech, i Achad, i Chaline w Ziemi Sannaroku Z tej Ziemi wyszedł Assur i zbudował Niniwę.

Layard doszedł do wniosku, że podania arabskie posiadają pewne realne podstawy. Rozumował on, że jeśli nawet tradycje związane z Nemrodem były wytworem przesądnej wyobraźni, to nie należało wykluczyć możliwości, że wzgórze zawierało szczątki jednego z najstarszych osiedli w dziejach ludzkości.

„Z położenia wzgórza – pisze w swoich notatkach – nietrudno było poznać, że jest ono właśnie tym, które opisywał Ksenofont i gdzie rozłożyły się obozem «Wojska Dziesięciu Tysięcy». Ruiny – to te właśnie, jakie wódz grecki widział na własne oczy dwadzieścia dwa wieki temu. Już wtedy były one ruinami jakiegoś dawnego miasta".

Rozglądając się po wzgórzu, napotykał co chwila skorupy garnków, odłamki cegieł i obłupane fragmenty bazaltu z płaskorzeźbami. Wśród Arabów krążyły wieści, że pod ziemią kryją się jakieś dziwotwory wyciosane z czarnego kamienia. Stopniowo nabierał przekonania, iż wzgórze zawiera nieprzebrane archeologiczne skarby. „Podniecony ciekawością – pisze w pamiętnikach – postanowiłem, gdy będzie to możliwe, zbadać dokładnie te jedyne w swoim rodzaju zabytki".

Na razie jednak musiał przerwać podróż, ponieważ szczupłe środki finansowe, jakie zabrał z Londynu, mocno już się nadwątliły. Udał się więc do Konstantynopola, gdzie spodziewał się uzyskać pomoc u tamtejszego ambasadora brytyjskiego sir Statforda Canninga.

Na obszarach Bliskiego Wschodu powstały wtedy poważne zamieszki polityczne. Jak zwykle w takich wypadkach, Wielka Brytania przy pomocy agentów wywiadu prowadziła intrygi i siała niezgodę wśród tamtejszych uciskanych ludów, by tym łatwiej przeprowadzić swoje imperialistyczne cele. Irak ze swoją naftą i innymi bogactwami kopalnymi, a również przez sam fakt, że leżał na drodze do Indii – przedstawiał dla kapitalistów brytyjskich bardzo łakomy kąsek.

Wprawdzie ambasadora Canninga archeologia nie interesowała zupełnie, mimo to przychylnie odniósł się do prośby Layarda. Wyprawy naukowe bywały niejednokrotnie wyzyskiwane przez mocarstwa europejskie do celów politycznych i szpiegowskich. Canning szybko zorientował się, że zamierzenia Layarda dadzą się świetnie wykorzystać. Pod pretekstem prac wykopaliskowych na wzgórzach Mezopotamii można będzie poznać kraj, zebrać wiadomości o jego złożach mineralnych i nawiązać bezpośrednią styczność z buntującymi się szejkami plemion arabskich. Layard był typowym awanturnikiem i poszukiwaczem przygód, toteż bez najmniejszego wahania zgodził się przejść na służbę Intelligence Service i w ten sposób otrzymał fundusze na zamierzone prace wykopaliskowe.

Zarówno Canning, jak i Layard zawierając porozumienie, kierowali się jeszcze innymi powodami. Obaj, choć każdy z odmiennych względów, byli poważnie zaniepokojeni tym, że Francuz Paweł Emil Botta dokonywał głośnych na cały świat archeologicznych odkryć w Mezopotamii. Layard po prostu zazdrościł sławy Botcie i pragnął mu odebrać zaszczyt pierwszeństwa odkryć archeologicznych. Natomiast Canning nie bez podstaw przypuszczał, że Botta jest wysłannikiem wywiadu francuskiego i że pod pretekstem prac wykopaliskowych dąży do przyłączenia tych terenów do Francji.

W roku 1842 Botta rozpoczął prace wykopaliskowe na wzgórzu Kujundżyk. Zgodził robotników i kopał okrągły rok bez jakichś godniejszych uwagi rezultatów. Na tym samym miejscu później Layard odsłonił ruiny Niniwy, stolicy Asyrii.

Zniechęcony niepowodzeniem Botta przeniósł się na wzgórze w Chorsabadzie. Tam szczęście dopisało mu już po tygodniu kopania. Robotnicy odsłonili jakieś mury z ozdobami, mnóstwo płaskorzeźb, a przede wszystkim ogromne stwory z kamienia, z ludzką głową i tułowiem uskrzydlonego byka.

Wiadomość o odkryciu wywołała w Paryżu ogromną sensację. Rozentuzjazmowana Francja zorganizowała składkę publiczną, by umożliwić Botcie dalsze poszukiwania. W latach 1843-1846 odkopano olbrzymi kompleks gmachów pałacowych, dziedzińce,

portale, sale ceremonialne, korytarze, komnaty haremowe i szczątki wielkiej piramidy. Archeolodzy ustalili później, że była to rezydencja letnia króla asyryjskiego Sargona, wybudowana w roku 709 p.n.e. na przedmieściu stolicy Niniwy.

Botta nie był z wykształcenia archeologiem i nie znał się na konserwacji zabytków. Prace wykopaliskowe prowadził sposobami niesłychanie prymitywnymi. W poszukiwaniu okazałych rzeźb, które mogłyby zaimponować Europejczykom, dopuścił do tego, że kilofy robotników niszczyły bezpowrotnie drobniejsze przedmioty, znacznie nieraz cenniejsze. Rzeźby alabastrowe, z chwilą wydobycia ich spod ziemi, rozsypywały się w gorącym słońcu pustyni. Na szczęście przybył mu z pomocą znany rysownik francuski Eugeniusz Napoleon Flandin, szkicując na kartonie ginące wykopaliska. W wyniku tej współpracy powstało dzieło, zaliczone dziś do klasycznych dzieł archeologii. Tytuł jego brzmi: *Monumenty Niniwy, odkryte i opisane przez Bottę, wymierzone i przerysowane przez Flandina.*

Botta usiłował kilka rzeźb wysłać do Paryża. Załadował je na tratwę z zamiarem holowania ich w górę Tygrysu. Ale na tym odcinku rzeka jest porywistym i głębokim strumieniem górskim, pełnym wirów i porohów. Tratwa przechyliła się i cały bezcenny ładunek zatonął. Drugi transport, wysłany w dół Tygrysu do Zatoki Perskiej, załadowany został na statek oceaniczny i szczęśliwie przybył do Francji. Posągi mężczyzn z długimi brodami i skrzydlate byki z głowami ludzkimi ustawiono w salach Luwru. Podziwiały je niezliczone tłumy paryżan.

Dzięki Botcie Europa po raz pierwszy zobaczyła na własne oczy osobliwe arcydzieła Asyrii. Botta stał się sławny ku zmartwieniu Layarda, który spodziewał się uprzedzić francuskiego archeologa w tych pracach.

KAPRYS DESPOTY, REWOLUCJA I WYKOPALISKA

W LISTOPADZIE 1845 ROKU Layard wyruszył do Mosulu, płynąc w dół Tygrysu na niewielkiej łodzi. Niespodzianie zamierzenia jego pokrzyżowały się poważnymi trudnościami. Całe bowiem Międzyrzecze ogarnęła właśnie fala rewolucji. Równiny pokryły się rudymi ogniami płonących wsi, drogi zaś kontrolowali uzbrojeni po zęby rewolucjoniści.

Mezopotamia pozostawała w tych czasach pod panowaniem tureckim. Na krótko przed przyjazdem Layarda sułtan mianował nowego paszę, czyli gubernatora, nazwiskiem Keriti Oglu. Był to typowy despota wschodni, rzekłbyś, czarny charakter żywcem wyjęty z baśni arabskiej. Wyglądał tak, że mógłby się przyśnić dzieciom zastraszonym ponurymi opowieściami. Mały, niebywale tłusty i porywczy, miał tylko jedno ucho i jedno oko, a ciemną jego twarz znaczyły blizny po czarnej ospie.

Sposoby jego rządzenia były równie cudaczne, jak i jego wygląd. Objąwszy władzę, nałożył na ludność podatek od zębów, przy czym z jawną drwiną oświadczył, iż wpływy z tego podatku pójdą na zakup nowej szczęki, którą połamał sobie „na podłym jadle tego kraju”.

Ów wymyślny podatek był jednak tylko krotochwilną przygrywką do tego, co niebawem nastąpiło. Pasza bowiem zaczął bezlitośnie grabić przerażonych Arabów i Turkmenów. Na czele swoich zbirów wpadał do wsi, plądrował wszystko, co mu wpadło pod rękę, a domy kazał podpalać dla samej tylko uciechy.

Pewnego razu obiegła wioski radosna wieść, że Allach ukarał śmiercią okrutnego tyrana. Pasza skorzystał z okazji, by uknuć intrygę w prawdziwym stylu opery buffo, w której sadyzm szedł o lepsze z jego wypaczonym poczuciem humoru. W swoim pałacu zainscenizował wielką żałobę. Na dachu łopotały flagi opuszczone do połowy masztu, spoza zamkniętych bram rozlegały się zawodzenia płaczek pogrzebowych i eunuchów.

W nieszczęsną ludność wstąpił nowy duch. Radośnie podniecone tłumy gromadziły się przed pałacem, by na własne oczy przekonać się o śmierci gubernatora. Po ulicach przewalały się ciżby ludzkie, wołając: „Bądź pochwalony Allach, pasza nie żyje!". Nagle wrota pałacu rozwarły się na oścież i z głębi wysypała się czereda żołdaków z dobytymi szablami. Wśród jęków i okrzyków przerażenia padały gęsto głowy, a krew lała się strumieniami po ulicach.

Po straszliwej rzezi pasza przystąpił do konfiskaty mienia winnych i niewinnych, pod pozorem że dopuścili się obrazy majestatu, rozsiewając plotki o jego śmierci. W końcu prześladowania doprowadziły ludność do ostatecznej rozpaczy. Plemiona arabskie i turkmeńskie chwyciły za broń i wystąpiły do walki przeciwko despocie.

Ale ciemni, nieuświadomieni politycznie tubylcy nie byli zdolni do zorganizowanego oporu. Rozpacz i gniew wyładowywali w sposób żywiołowy, podpalając domy i całe wsie, mordując nie tylko żołnierzy gubernatora, ale nawet własnych współbraci, dopuszczając się pospolitych napadów rabunkowych.

Rozejrzawszy się w sytuacji, Layard wolał nie ujawniać swoich planów archeologicznych. Dla niepoznaki nabył ciężkokalibrową strzelbę i rozgłaszał, że wybiera się na dziki. Potem najął wierzchowca i ruszył w drogę w kierunku wzgórza Nimrud. Pod koniec dnia, dobrze już o zmierzchu, znalazł się w małej wsi arabskiej, która przedstawiała opłakany widok. Z zabudowań pozostały jeno zgliszcza, nad gruzami zaś wisiał ciężki swąd spalenizny.

Przez szczelinę na pół rozwalonej ściany spostrzegł nikły płomień przygasającego ogniska. Naokoło tlejących popiołów siedziała

rodzina arabska, pogrążona w żałosnym milczeniu. Składała się ona z mężczyzny w białym turbanie i powłóczystym burnusie, trzech wynędzniałych kobiet w czarnych kwefach oraz gromadki prawie nagich dzieci, przytulonych do wyleniałych owczarków.

Layard dowiedział się od Araba, że nazywa się Awad Abd-Allach i jest szejkiem plemienia Jehesz. Wieś podpalili niedawno żołdacy paszy, a ludność schroniła się w pobliskich górach. Siedząc przy ognisku, Layard wtajemniczył Awada w swoje plany i prosił go o pomoc. Hojnie obdarowany Arab jeszcze tej samej nocy wybrał się do sąsiedniej wsi, by zwerbować robotników do prac wykopaliskowych na wzgórzu Nimrud.

Oczekując jego powrotu, podniecony Layard prawie nie zmrużył oka. „Dawno żywione nadzieje – pisze w swoich pamiętnikach – teraz się spełnią albo okażą się płonne. Przed oczyma stawały mi wizje podziemnych pałaców, gigantycznych stworów, posągów ludzkich i niezliczonych napisów. Układałem plany, jak wydobyć z ziemi owe skarby. Miałem senne widzenie, że błąkam się w labiryncie komnat, z którego nie mogłem znaleźć wyjścia".

O świcie Awad powrócił wraz z sześcioma Arabami, którzy zgodzili się za małym wynagrodzeniem przystąpić do pracy. Udano się natychmiast na wzgórze i zaczęto kopać. Layard drżał z niecierpliwości i niepokoju. Ale już po kilku godzinach robotnicy odsłonili fragmenty potężnych murów. Bogate fryzy z alabastru, płaskorzeźby budzące podziw – nie pozostawiały żadnej wątpliwości, że odkryto wspaniałą siedzibę jakiegoś króla. Zdumiewały nie tylko osobliwością stylu, lecz również realistycznym wykończeniem szczegółów, tak że sprawy ludzkie tych zawrotnie odległych czasów stanęły przed Layardem jakby odbite w wypolerowanej tafli lustrzanej.

Na alabastrowych płytach widniały wypukłe sceny przedstawiające wyprawy wojenne i polowania, życie dworskie i obrzędy religijne. Oto na rydwanach, unoszonych przez galopujące rumaki, stoją brodaci wojownicy. Napinają wielkie łuki i rażą strzałami umykające w panice wojska nieprzyjacielskie. Koła rydwanu i kopyta ogierów tratują rannych i poległych żołnierzy. Gdzie indziej znowu żołnierze szturmują warownię, wybudowaną na

szczycie stromej skały. Oblężeni zrzucają na wspinających się wojowników głazy, zasypują ich strzałami. Tu i ówdzie ranny żołnierz stacza się w otchłań. Na innej płycie ręka rzeźbiarza wyczarowała scenę myśliwską. Król na rydwanie ugodził właśnie potężnego lwa. Ranne zwierzę ryczy z wściekłości, tarzając się we własnej posoce.

Każdy drobiazg wypracowano na tych rzeźbach z zadziwiającą plastyką i dokładnością. Można oglądać na nich ubiory i zbroje, kolczugi i spiczaste hełmy, rydwany i uprząż kapiącą od pysznych ornamentów. Życie kotłuje się tam i kipi gwałtowną, niepohamowaną żywiołowością. W walkach pełnych zapamiętałości, w zagorzałej pogoni, w zgiełku bitewnym i myśliwskim wyraziła się drapieżna, nieposkromiona, krewka natura królów, wojowników i myśliwych.

Layard patrzył i nie dowierzał własnym oczom. Oszołomiony odkryciem, naglił robotników do pośpiechu. Jak najprędzej chciał odsłonić mury pałacu, by dotrzeć do ostatecznej tajemnicy tych nieprzebranych skarbów przeszłości.

W czasie gorączkowych poszukiwań zjawił się nagle oficer turecki na czele małego oddziału żołnierzy. Przywitał się z Layardem uprzejmie, rozejrzał po wzgórzu, wtrącił jakieś uwagi na temat poszukiwania złota i wreszcie wręczył rozkaz paszy, zakazujący dalszych prac wykopaliskowych.

Layard był zdruzgotany. Dosiadł konia i nie zwlekając, udał się do Mosulu, by rozmówić się z paszą osobiście. Turecki gubernator przyjął go z uprzedzającą uprzejmością, ubolewał jednak, że rozkazu nie może cofnąć.

– Czyż nie wie pan, że ludność mahometańska jest wzburzona z powodu profanacji grobów islamskich, znajdujących się na wzgórzu?

Layard osłupiał. Nie widział tam przecież żadnych grobów. Podążył więc z powrotem na wzgórze i – o dziwo – tu i ówdzie wyraźnie bieliły się płyty grobowe, których poprzednio nie było. Znalazły się tam jakby za sprawą czarów. Przez trzy dni błąkał się po wzgórzu, przybity beznadziejną zdawałoby się sytuacją. Cała jego praca stanęła pod znakiem zapytania.

Trzeciego dnia tej bezczynności wdał się w pogawędkę z oficerem, który przywiózł mu zakaz paszy.

– Zaręczam panu, że nie widziałem tu przedtem żadnych grobów. zachodzę w głowę, jak to się stać mogło.

– Och, te groby… mieliśmy z nimi dużo kłopotu.

– Kłopotu? Jakże mam to rozumieć?

Oficer uśmiechnął się pod nosem i zagryzł wargi. Potem rozglądając się, wymamrotał:

– Całe dwie noce przewoziliśmy kamienne płyty grobowe z cmentarzy pobliskich wsi i ustawialiśmy na tym wzgórzu. Oskarżają pana o profanację grobów islamskich. Żeby pan wiedział, ileśmy grobów islamskich zburzyli przy tej przeprowadzce!

– Ależ po co ta cała komedia?

– W całym Mosulu gadają, że pan wie o jakichś złotych skarbach i dlatego tu kopie. Dowiedziawszy się o tym, pasza pragnął się pana stąd pozbyć… chce sam rozpocząć poszukiwania…

Zanim Layard zdołał się zastanowić, jak na to zareagować, sprawa niespodziewanie sama się rozwiązała. Rząd turecki dowiedział się o sprawkach prowincjonalnego despoty i wtrącił go do więzienia.

Layard mógł teraz na nowo podjąć prace wykopaliskowe.

Pewnego poranka, gdy wyszedł z namiotu i zbliżał się do wykopu, robotnicy zaczęli wymachiwać doń łopatami i wrzeszczeć na całe gardło. Dwóch Arabów przygalopowało konno, wołając:

– Śpiesz się, o beju, śpiesz się! Kopacze znaleźli Nemroda!

O Allach! Rzecz niepojęta, ale prawdziwa!… widzieliśmy go na własne oczy. Jeden jest tylko Bóg!

Powiedziawszy to, popędzili w stronę Mosulu. Layard szybko pobiegł do wykopanego dołu. Z ziemi wystawała ogromna ludzka głowa z alabastru, wyższa od normalnego wzrostu człowieka. Spoczywała ona na tułowiu skrzydlatego lwa, tkwiącego jeszcze w ziemi i gruzach. Rzeźba zachowała się w wyśmienitym stanie. Wyraz brodatej twarzy imponował majestatem skupionego spokoju, a wykonanie szczegółów świadczyło o wytrawnym kunszcie starożytnego artysty, rzadko spotykanym w tego rodzaju rzeźbach.

Wieść o znalezieniu Nemroda, potężnego łowcy w obliczu Pana i założyciela Niniwy, szybko się rozeszła wśród zabobonnych

Arabów. Niebawem wzgórze zaroiło się od ludzi z pobliskich wiosek. Stali nad krawędzią dołu i z lękiem przyglądali się ogromnej głowie z białego alabastru. Layard z trudem namówił jednego z szejków, by zszedł do rowu i przekonał się, że to tylko rzeźba z kamienia.

– Nie jest to dzieło rąk ludzkich – zawołał szejk – lecz tych niewiernych olbrzymów, o których Prorok, niech pokój będzie z nim, powiedział, że byli wyżsi niż najwyższe drzewo daktylowe. Oto jeden z tych bożków, na których Noe, niech pokój będzie z nim, rzucił klątwę jeszcze przed nastaniem potopu.

Za namową Awada Layard uczcił odkrycie ucztą i zabawą. Kazał ubić całego byka i wynajął wędrownych muzykantów, którzy znajdowali się właśnie w okolicy. Zabawa trwała całą noc. Nad buzującymi ogniskami piekło się na rożnie mięsiwo. Wśród harmideru piszczałek i bębnów uszczęśliwieni synowie pustyni śpiewali, pląsali i wykrzykiwali do białego rana.

Wiadomość o posągu dotarła lotem błyskawicy do Mosulu. W mieście aż się zakotłowało, bazar wypełnił się podnieconym tłumem. Miejscowy kadi i mufti pośpieszyli do paszy tureckiego, by złożyć uroczysty protest przeciwko odkopaniu Nemroda jako rzeczy niezgodnej z nakazami Koranu. Nowy gubernator Ismail-Pasza wezwał do siebie Layarda i radził mu, by na pewien czas przerwał prace wykopaliskowe, aż ludność się uspokoi. Anglik zatrzymał wobec tego dwóch tylko robotników i prowadził poszukiwania ukradkiem, w znacznie wolniejszym tempie.

Z czasem, gdy pierwsze oburzenie minęło, Layard przyjął więcej robotników i zaczął przekopywać wzgórze w różnych jego miejscach. Wyniki niedługo kazały na siebie czekać. W krótkim czasie wydobyto na powierzchnię sześćdziesiąt skrzydlatych byków i lwów z ludzkimi głowami. Niektóre stwory miały aż pięć nóg, osobliwość, której Layard nie umiał sobie zrazu wytłumaczyć. Pewnego dnia, przechodząc obok skrzydlatego byka, zdumiał się nagle. Byk wyraźnie drgnął, występując jeden krok naprzód. Było to złudzenie optyczne wywołane ową piątą nogą. Byki strzegły zapewne wejścia do pałacu i w ten przemyślny sposób miały budzić zabobonny lęk wśród ludności.

O tych posągach pisze Layard w swoich pamiętnikach:

„Przez okres 25 wieków były one ukryte przed okiem ludzkim, a teraz oto znów stoją przed nami w okazałości swego antycznego majestatu. Jakżeż jednak zmieniła się otaczająca ich sceneria. Tam gdzie ongiś kwitła pełna przepychu cywilizacja potężnego ludu, widzimy obecnie nędzę i ciemnotę na pół barbarzyńskich plemion. Gdzie dawniej wznosiły się okazałe świątynie i tętniło życie bogatych ludnych miast – mamy ruiny i bezkształtne usypiska. Nad przestronnymi salami pałaców, których strzegły te posągi, chodzą teraz woły w pługu i szumią łany zboża. Egipt może poszczycić się równie starymi i niemniej wspaniałymi monumentami, ale zabytki te zawsze były widoczne, głosząc potęgę i sławę swojej ojczyzny, posągi zaś, stojące obecnie przed nami, dopiero teraz wynurzyły się z mroków zapomnienia…”.

W ciągu dwóch lat Layard odkopał pięć pałaców, wzniesionych przez królów asyryjskich między IX a VII wiekiem p.n.e. Pierwszą odkopaną budowlę zidentyfikowano później jako pałac asyryjskiego króla Asurnasyrpala II, który panował od roku 885 do 859 p.n.e. Pod jednym tylko względem spotkało Layarda rozczarowanie: wzgórze Nimrud nie zawierało, jak przypuszczał, ruin Niniwy, lecz miasta Kalchu.

W połowie XIX wieku archeologia nie była jeszcze w całym tego słowa znaczeniu nauką. Nie znano wtedy dzisiejszych ściśle naukowych metod prowadzenia prac wykopaliskowych, polegających na tym, że wszelkiego rodzaju zabytki uważa się przede wszystkim za cenne źródło historyczne, a nie za efektowny eksponat muzealny. Dzisiejsi archeolodzy wymierzają i fotografują znalezione przedmioty na miejscu ich odkopania, ponieważ z ich położenia i otoczenia można często wysnuć znacznie cenniejsze wiadomości historyczne niż z samego okazu. Nieraz drobny jakiś odłamek czy paciorek dostarczyć może więcej informacji niż jakaś imponująca rzeźba, toteż archeolodzy przesiewają ze żmudną starannością piasek, gromadząc wszystkie mikroskopijne nawet pozostałości. Dzięki umiejętnej restauracji i konserwacji powstają z odłamków na nowo wspaniałe wazy czy posążki, a przedmioty narażone na zniszczenie są zabezpieczane środkami chemicznymi.

Metody Layarda, nawet przy uwzględnieniu ówczesnego stanu nauki, były niezwykle niszczycielskie i brutalne. W pogoni za sensacyjnymi znaleziskami, które by przyniosły mu rozgłos, zdzierał tablice alabastrowe ze ścian pałacowych, zakopywał niezbadane dokładnie fragmenty ruin, mieszając ze sobą skorupy i odłamki cegieł, a na tabliczki klinowe mało w ogóle zwracał uwagi. Toteż wiele cennych okazów asyryjskiej kultury materialnej, jak broń i zbroje, naczynia z brązu i ze szkła, wazy i inne dzieła sztuki uległy zniszczeniu pod uderzeniem kilofa i łopaty.

Wobec robotników Layard zachowywał się z arogancją typowego imperialisty brytyjskiego. Dla ludności tubylczej miał tylko pogardę i traktował ją jak bydło robocze. Otaczał się stale swoją strażą przyboczną, której używał nie tylko jako ochrony osobistej, lecz również do terroryzowania Arabów, ilekroć próbowali buntować się przeciwko nędznym płacom. Jednego z szejków, podejrzanego o drobną kradzież, kazał wywlec z namiotu i wychłostać do krwi, podczas gdy żony katowanego całowały buty Anglika i błagały go o zmiłowanie.

Prace na wzgórzu Nimrud trwały dwa lata. W ciągu tego czasu Layard wysyłał raz po raz do Londynu drobniejsze znaleziska. W końcu jednak powziął śmiałą myśl wysłania dwóch mniejszych uskrzydlonych stworów z ludzkimi twarzami. W tym celu kazał zbudować w Mosulu ogromną platformę z mocnymi kołami. Ciężki pojazd, zaprzęgnięty w woły i popychany przez Arabów, zajechał przed wzgórze. Za pomocą lin i podstawionych lewarów wtoczono kolosy na platformę. Tymczasem zapadła noc i na horyzoncie ukazał się Księżyc w pełni. Skrzydlate stwory, ogromne i białe w poświacie księżyca, spoglądały na nieznany im świat, jakby zbudzone ze snu. Nazajutrz o świcie rozpoczął się ich transport do rzeki, gdzie czekały już tratwy, podtrzymywane na wodzie przez sześćset skórzanych worów napełnionych powietrzem. Wśród niebywałego krzyku Arabów i skrzypienia kół nieporęczny wehikuł drgnął i ruszył ku rzece.

Pochód otwierał sam Layard. Zaraz za nim szli krokiem tanecznym muzykanci, czyniąc piekielny hałas grą na fletach i bębenkach. Platformę ciągnęło trzystu Arabów, popędzanych przez

strażników. Za nimi tłoczyły się wrzeszczące na całe gardło kobiety i dzieci. Wśród wrzawy jeźdźcy arabscy uwijali się w samym środku ludzkiego mrowia, wywijając dzidami i napędzając ciągnących robotników do wysiłku.

Posągi, załadowane na tratwę, dotarły szczęśliwie do Londynu.

LAYARD ODKRYWA ZAGINIONĄ NINIWĘ

PO WYSŁANIU ZABYTKÓW NIMRUD DO LONDYNU, Layard wrócił do Konstantynopola, gdzie czekały go nowe zadania, związane z jego pracą wywiadowczą. Dopiero po dwuletniej przerwie, to jest w roku 1849, pojawił się znów w Mosulu. Tym razem rozpoczął prace wykopaliskowe na wzgórzu Kujundżyk, niezrażony tym, iż Botta czynił tam swego czasu bezskuteczne poszukiwania.

I znowu powiodło mu się w sposób wręcz niewiarogodny. Już w pierwszych dniach dostał się przekopem do potężnych murów jakiejś budowli. Spod ogromnych stert piasku i gruzów pojawiły się kolejno masywne portale i strzegące ich skrzydlate stwory z ludzkimi głowami, sale, komnaty, korytarze i dziedzińce. Alabastrowe płyty z płaskorzeźbami, fryzy, a przede wszystkim ściany okładane kaflami pokrytymi czarną, żółtą i błękitną glazurą – świadczyły o minionym przepychu budowli i nie pozostawiały żadnej wątpliwości, że jest ona pałacem asyryjskich królów.

Ruiny nosiły wyraźne ślady pożaru i wandalskiego zniszczenia. Płyty alabastrowe poniewierały się po ziemi, osmolone dymem i pogruchotane na drobne kawałki, tu i ówdzie widoczne były resztki zwęglonego drewna. Nawet grube mury nie potrafiły ostać się przed furią nieznanych niszczycieli. Wymowa tych zniszczeń była przejmująca i aż nadto wyraźna: pałac wraz z przylegającym miastem zdobyły po zaciekłej walce nieprzyjacielskie wojska. Wycięto w pień wszystkich jego mieszkańców i po splądrowaniu puszczono miasto z dymem.

Nie wszystko jednak strawił ogień. Layard znalazł w ruinach wielką liczbę okazów sztuki: płaskorzeźby, statuetki, posągi, pieczęcie i tabliczki klinowe. Wśród mnogości tych przedmiotów na uwagę zasługuje jedno z największych arcydzieł starożytnej sztuki rzeźbiarskiej: płaskorzeźba przedstawiająca ranną lwicę. Przeszyta trzema strzałami z łuku, ryczy w rozpaczy z bezsilnej wściekłości, włócząc po ziemi bezwładne kończyny. Rzeźba nie tylko odznacza się trafną znajomością anatomii i realizmem w wykonaniu szczegółów, lecz ponadto przykuwa wzrok wyjątkową siłą wyrazu, na jaką mógł zdobyć się jedynie natchniony artysta. Choć majestatyczną głowę zwierzęcia osnuwają już pierwsze cienie przedśmiertnego znużenia, w napiętych mięśniach pulsuje gorąca, elementarna, grozę budząca wola życia. Wyczarowując na płycie ów dramatyczny epizod z życia myśliwskiego, starożytny mistrz posługiwał się oszczędnym, prawie że stylizowanym rysunkiem kształtów lwicy i dzięki temu kompozycja budzi najgłębszy zachwyt niezrównaną harmonią swego piękna.

Posuwając się w głąb wzgórza Kujundżyk, Layard odkrył dwie osobliwe komnaty. Na ich posadzkach leżała półmetrowa warstwa glinianych odłamków rozmaitego kształtu i koloru. Po bliższym zbadaniu okazało się, że są to pokryte grubą skorupą błota i brudu pogruchotane tabliczki z pismem klinowym. Layard od razu spostrzegł, że dokonał niezwykle ważnego odkrycia. Niewątpliwie w komnatach tych mieściła się biblioteka królów asyryjskich, najstarsza biblioteka w dziejach ludzkości. Tysiące tabliczek glinianych, jakie ongiś zalegały półki, a teraz poniewierały się na ziemi – to skarb niemający ceny, zawierający może całą historię Mezopotamii. Layard zgarnął łopatą odłamki do skrzyń i odesłał je do Londynu, gdzie w podziemiach Muzeum Brytyjskiego czekały na uczonego, który by je odszyfrował.

Wykopaliska potwierdziły w całej rozciągłości pierwotne przypuszczenia Layarda, że odkrył zaginioną i dawno poszukiwaną stolicę Asyrii, Niniwę. Odkopany pałac zbudował, jak to wykazały późniejsze badania, król Sanheryb, który zasiadał na tronie w latach 704-681 p.n.e. Najważniejszym jednak znaleziskiem była owa biblioteka, zawierająca 30 tysięcy tabliczek klinowych. Założycielem

jej był najpotężniejszy król Asyrii i jeden z najbardziej wykształconych ludzi swego czasu, Asurbanipal (668-629 p.n.e.), miłośnik i kolekcjoner zabytków piśmiennictwa Sumeru, Babilonii i Asyrii. Aby zgromadzić w swoim pałacu wszystkie dostępne dokumenty Mezopotamii, zatrudniał całą armię kopistów, rozsyłał ich po kraju i korespondując z nimi, kierował poszukiwaniami. W ten sposób z niesłabnącą wytrwałością stworzył bibliotekę, która zachowała się do naszych czasów i dała nam klucz do historii asyro-babilońskiej.

Po odszyfrowaniu pisma klinowego okazało się, że zawiera ono nieprzebrane skarby wiedzy o narodach starożytnych: listy dynastyczne i kroniki, traktaty polityczne i korespondencję dyplomatyczną, rachunki gospodarcze i dzieła astronomiczne, klechdy, mity, hymny religijne i poezje, wśród której znajdował się najstarszy w dziejach ludzkości poemat epiczny.

Państwo asyryjskie, którego stolicą był naprzód Assur, a potem Niniwa, powstało na gruzach Babilonii w roku 1250 p.n.e. Za panowania Tyglatpilezara (745-727 p.n.e.) Asyria stała się mocarstwem wojskowym, które doszło do szczytu potęgi za panowania Asurbanipala. Po śmierci tego władcy państwo, oparte na okrutnym ciemiężeniu podbitych ludów, zaczęło wewnętrznie się rozkładać. Skorzystali z tego Chaldejczycy. W sojuszu z plemionami irańskimi zdobyli Babilon i założyli państwo neobabilońskie. Przeciwko najeźdźcom król asyryjski wysłał armię pod dowództwem Nabopolasara. Ale Nabopolasar, z pochodzenia Chaldejczyk, przeszedł na stronę wroga i przy poparciu kapłanów i możnowładców Babilonu ogłosił się królem.

W sojuszu z Medami odnosił nad Asyryjczykami zwycięstwo po zwycięstwie, aż wreszcie w roku 612 p.n.e. zdobył i zburzył Niniwę. Państwo asyryjskie przestało faktycznie istnieć w roku 605 p.n.e., po bitwie stoczonej w okolicy miasta Karkemisz, położonego nad Eufratem. Kronika starożytna w następujący sposób opisuje zdobycie Niniwy:

> Miażdżący młot podnosi się na ciebie, Niniwo. Ulicami śmigają rydwany i czynią łoskot na placach. Bije od nich jasność jak od pożaru. Łyskają niby

błyskawice. Śluzy rozwierają się, pałac rozsypał się w gruzy. Bierzcie złoto, bierzcie srebro, albowiem niezliczone są kosztowności i mnóstwo jest różnorakiego sprzętu. Niniwa uległa zburzeniu, zniweczeniu i splądrowaniu. Biada miastu tonącemu we krwi, gdzie dzieją się podstępy i morderstwa i nie ustaje grabież. Słychać trzask biczów, łoskot obracających się kół, rżenie rumaków i turkot rozpędzonych rydwanów.

Niniwa legła w gruzach. Nad zgliszczami, okopconymi pożarem i zbrukanymi krwią pomordowanych mieszkańców zaległa śmiertelna cisza. Zawieje piaskowe i pieniące się chwasty zatarły ostatnie widoczne jej ślady. Odtąd w ciągu 25 wieków potężna stolica Asyrii zaginęła pod grubą warstwą ziemi. I dopiero w roku 1849 Layard wydobył na powierzchnię jej zmurszałe, lecz jakże imponujące jeszcze mury.

W roku 1854 angielski archeolog urządził w Pałacu Kryształowym w Londynie wystawę swoich wykopalisk. Brytyjczycy zobaczyli bogactwa i wspaniałości biblijnej Niniwy. W niemym podziwie oglądali zrekonstruowane komnaty, sale ceremonialne, posągi i płaskorzeźby asyryjskich królów, a przede wszystkim autentyczny mur z cegieł, pokrytych wielobarwną glazurą, nieużywaną w żadnej innej starożytnej architekturze.

SUMEROWIE WKRACZAJĄ DO HISTORII

HISTORIĘ SUMERÓW ZNAMY DZIŚ na ogół dość dobrze. Archeolodzy odkopali w południowej Mezopotamii ich miasta, pałace i świątynie, a tabliczki klinowe w języku Sumerów, odczytywane przez specjalistów bez większej trudności, przynoszą nam wciąż coraz to nowe szczegóły z ich bujnego życia.

Ale jeszcze w połowie XIX wieku, kiedy już dość dużo wiedziano o Asyryjczykach i Babilończykach, uczeni nie mieli najmniejszego pojęcia, że owe narody wyprzedzała daleko starsza i równie bogata kultura Sumerów. Pierwsze sygnały o jej istnieniu w zamierzchłych epokach Mezopotamii dali – rzecz osobliwa – nie historycy czy archeolodzy, lecz lingwiści. Wpadli oni na trop tego nieznanego dotąd ludu, zastanawiając się nad pewnymi właściwościami pisma klinowego.

Odkrycia, dokonane metodą dedukcji, a więc w drodze rozumowego wnioskowania, bynajmniej nie są zjawiskiem wyjątkowym. Niejednokrotnie nauka zawdzięczała im zdobycze wybitne, przyczyniające się w sposób przełomowy do jej postępu. Dla uzyskania pełniejszego obrazu nie od rzeczy będzie przypomnieć głośniejsze przykłady dokonanych tą drogą odkryć.

Sto lat temu astronomowie byli przekonani, że Układ Słoneczny liczy siedem planet, z których Uran jest najdalej położony od Słońca. Obliczając orbitę, po jakiej, zgodnie z prawem grawitacji, Uran powinien był się poruszać, stwierdzili nie bez zdziwienia, że kapryśna planeta nie chciała jakoś tej drogi się trzymać. Na

pierwszy rzut oka wydawało się, że zakłócenie w jej krążeniu stawia pod znakiem zapytania prawo grawitacji, przyjęte przez astronomię jako niewzruszony pewnik naukowy. Prawdopodobniejsza była jednak inna możliwość, a mianowicie, że gdzieś na krańcach Układu Słonecznego ukrywa się jakieś nieodkryte dotąd ciało planetarne, które powoduje zakłócenia w orbicie Uranu.

Przyjmując ową tezę jako założenie, młodzi matematycy, Francuz Leverrier i Anglik Adams, zupełnie niezależnie od siebie, zabrali się do zawiłych matematycznych obliczeń i wskazali miejsce, gdzie powinien się znajdować tajemniczy winowajca międzyplanetarnych zakłóceń. Praca ich uwieńczona została całkowitym triumfem. Astronomowie skierowali lunety w wyliczonym przez nich kierunku i po żmudnych poszukiwaniach znaleźli – Neptuna.

Nie dość na tym. W początkach XX wieku stwierdzono, że mimo uwzględnienia siły grawitacyjnej Neptuna rachunek wciąż jeszcze się nie zgadzał. Uran nadal wykazywał w swojej orbicie niewyjaśnione zakłócenia. Amerykański astronom, Percival Lovell, nabrał przekonania, że sprawcą tego musi być jeszcze jakaś inna planeta i obliczył jej domniemaną pozycję w Układzie Słonecznym. Sprawdzenie tej tezy nie było jednak tym razem tak proste, chodziło bowiem o planetę, której odległość od Słońca była olbrzymia. Dopiero w roku 1930 udało się wyodrębnić ją spośród milionów gwiazd i nazwano Plutonem.

Przykładu najgenialniejszego odkrycia, dokonanego metodą dedukcji naukowej, dostarcza nam fizyka. Wielki uczony rosyjski Mendelejew ogłosił w roku 1869 tabelę, w której 63 pierwiastki chemiczne uszeregował według ich liczby i masy atomowej. Genialność koncepcji polegała jednak głównie na tym, że na podstawie pewnych wykrytych praw o budowie atomów przewidział istnienie innych jeszcze, nieznanych na razie pierwiastków i wyznaczył im odpowiednie miejsce w tabeli. W miarę postępu chemii puste miejsca tabeli dzięki odkryciu nowych pierwiastków stopniowo się wypełniały. W roku 1950 znaleziono setny pierwiastek centur, a nieco później dwa dalsze. Z podobnym wypadkiem spotykamy się również w antropologii. Niemiecki przyrodnik Haeckel, opierając się na założeniach teorii ewolucji,

wyraził przypuszczenie, że w przyrodzie kiedyś musiało istnieć pośrednie ogniwo rozwojowe między małpą człekokształtną a człowiekiem. Ową nieodkrytą jeszcze istotę nazwał Pithecanthropus. I oto w roku 1892 lekarz holenderski Dubois wykopał na Jawie szczątki kostne ni to małpy, ni to człowieka. Pomiary odnalezionych fragmentów szkieletu dały niezbity dowód że Pithecanthropus rzeczywiście istniał. Pod względem rozwojowym stał on znacznie niżej od człowieka, przewyższał jednak małpę człekokształtną. Rozum ludzki i w tym wypadku odniósł poważne zwycięstwo.

W świetle tych faktów nie może już wydać nam się rzeczą niezwykłą, iż lingwiści, nie mając w ręku żadnego historycznego czy wykopaliskowego dowodu, potrafili trafnie wydedukować istnienie Sumerów.

W jaki sposób dokonali oni swego odkrycia? W piśmie asyro-babilońskim, jak już to wiemy, pewne znaki klinowe miały charakter piktograficzny, czyli obrazkowy, inne znowu stanowiły dźwięki alfabetyczne lub też wyrażały całe sylaby, słowem przeobraziły się w symbole fonetyczne. Współistnienie obok siebie tak różnorakich, obcych sobie elementów nasunęło lingwistom jeden tylko wniosek: ów zawiły system pisania był rezultatem długiej i powolnej drogi rozwojowej. Poszczególne elementy, wnoszone przez pokolenia wielu epok, narastały na siebie jak słoje w pniaku dębowym.

Pismo klinowe wykazuje trzy zasadnicze fazy rozwojowe. W czwartym tysiącleciu p.n.e. posługiwano się tak zwanym pismem piktograficznym. Polegało ono na tym, że rysowano mniej więcej realistycznie przedmiot, jaki chciano wyrazić Z czasem pisarze dążyli do uproszczenia zadania i redukowali rysunek do kilku niezbędnych konturów, tak że stawał się on schematycznym, trudnym do odczytania znakiem. Były to już tylko umowne symbole, które, jak np. „ptak” lub „woda” mógł odczytać tylko ten, kto się nauczył ich znaczenia na pamięć.

Wiemy już, że w Mezopotamii pisano patyczkami na wilgotnych tabliczkach glinianych. Drążenie zaokrąglanych i falistych rowków na takich tabliczkach było zadaniem uciążliwym i w niemałym stopniu hamowało tok pisania. Toteż po pewnym czasie kreski rysunku stały się proste, zamiast zaokrągleń pojawiły się kąty. W ten sposób powstało pismo linearno-hieroglificzne. W wypadku np. napisania słowa „wół" starożytny pisarz używał symbolu złożonego z kilku kreseczek – .

Wreszcie, w celu dalszego ułatwienia techniki pisania, proste kreski przestano łączyć ze sobą, lecz wygniatano je osobno, tak że każdy znak składał się z zespołu odrębnych linijek. Ponieważ pisarz, dotykając wilgotnej powierzchni gliny, zanurzał w pierwszym impecie patyczek głębiej, a samą kreskę pociągał już z mniejszą siłą, kreseczki zaczęły przybierać kształt klinów.

Równolegle z przejściem od pisma piktograficznego do znaków klinowych odbywała się daleko ważniejsza ewolucja wewnętrzna. Symbole, za pomocą których pierwotnie odtwarzano podobizny przedmiotów, odrywały się od swojej treści i stawały się wyłącznie znakiem fonetycznym, reprezentującym bądź to całe zgłoski, bądź poszczególne dźwięki alfabetu.

Asyrolodzy przy pierwszych próbach odczytania napisów asyro-babilońskich stanęli przed zagadką pozornie nie do rozwiązania. Nielogiczna gmatwanina elementów obrazkowych, sylabicznych i alfabetycznych nie tylko utrudniała ich odczytanie, lecz nasuwała intrygujące pytanie, jak tego rodzaju pismo mogło w ogóle powstać. Nikt przecież świadomie nie chciał go powikłać i utrudniać jego odczytywania. Odpowiedź na to pytanie była prosta: poszczególne elementy narosły w tym piśmie jak warstwy kulturowe w stanowiskach archeologicznych. W tym okresie, kiedy pismo asyro-babilońskie znajdowało się już w rozwojowej fazie znaków fonetycznych, starożytni kaligrafowie, czy to przez konserwatyzm, czy też z jakichś innych względów, zachowali w nim pewne uświęcone przez tradycję dawne symbole obrazkowe, stanowiące relikty z przeszłości.

W zabytkach piśmiennictwa asyro-babilońskiego nie znaleziono ani jednego przykładu czystego i niczym nieskażonego pisma obrazkowego, tej najpierwotniejszej formy utrwalenia myśli. Wynikało z tego niezbicie, że Babilończycy i Asyryjczycy nie mogli być twórcami pisma klinowego, że natomiast przejęli je w dość już rozwiniętym kształcie od jakiegoś innego ludu. Sztuka pisania powstaje drogą wielowiekowego rozwoju historycznego i kulturalnego. Stąd należy wnioskować, że lud, który stworzył pismo klinowe, a następnie zaginął gdzieś bez echa, musiał być twórcą wielkiej i bogatej kultury.

Opierając się na wynikach analizy pisma klinowego, lingwiści stwierdzili niezbicie, że taki lud kiedyś istniał, choć przypuszczenie ich nie mogło być na razie poparte przez archeologię ani jednym wykopaliskiem. Byli nawet do tego stopnia pewni słuszności swego przypuszczenia, że dali temu zagadkowemu ludowi odpowiednią nazwę. Jedni ochrzcili ich mianem Sumerów, a inni Akkadów. Obie nazwy zapożyczyli z odczytanego napisu, w którym król semicki Sargon tytułuje siebie „królem Sumerów i Akkadów".

Sprawa istnienia Sumerów pozostała w sferze przypuszczeń naukowych aż do roku 1877. W tymże roku francuski agent konsularny Ernest de Sarzec znalazł w miejscowości Tello u podnóża wielkiego wzgórza posążek w zupełnie niespotykanym dotąd stylu. Zachęcony tym odkryciem zabrał się do prac wykopaliskowych, choć nigdy nie trudnił się archeologią. Stopniowo wydobywał z ziemi posągi, statuetki, tabliczki klinowe i skorupy naczyń glinianych o zupełnie oryginalnej ornamentyce. Wszystkie znaleziska starannie pakował do skrzyń i odsyłał do paryskiego Luwru.

Wśród wielu zabytków znajdował się posąg z zielonego diorytu, przedstawiający podobiznę króla-kapłana miasta Lagasz. Posąg był bardziej archaiczny w stylu niż wszystko, co dotąd odkopano w Mezopotamii. Nawet najostrożniejsi asyrolodzy musieli przyznać, że rzeźbę należy umieścić w czwartym lub trzecim tysiącleciu p.n.e., że przeto jest starsza od początków kultury babilońsko-asyryjskiej.

Odkrycie wywołało w kołach naukowych olbrzymie poruszenie. Nie można było zaprzeczyć, że Sarzec natknął się na dowody

prakultury mezopotamskiej i tym samym potwierdził tezę lingwistów o istnieniu Sumerów. Jak to później się okazało, Francuz odkrył w Tello ruiny miasta sumerskiego Lagasz, które w historii Mezopotamii odegrało niepoślednią rolę i przez pewien czas było ośrodkiem życia kulturalnego Sumeru.

Nawet po znalezieniu tabliczek klinowych z fragmentami pisma sumeryjskiego niektórzy asyrolodzy nie chcieli uwierzyć w istnienie tego ludu. Stali oni na stanowisku, że po prostu odkryto znaleziska kultury babilońskiej z dawniejszych niż dotąd okresów. Zupełnie fantastyczną teorię przeciwko istnieniu Sumerów opracował francuski semitolog Halevy. Twierdził on, że napisy rzekomo sumeryjskie są fragmentami sztucznego języka, czymś w rodzaju szyfru, stworzonego przez kapłanów babilońskich dla tajnej korespondencji.

W roku 1880 nadeszła do Moskwy pewna liczba skrzyń z zabytkami mezopotamskimi. Wśród nich znajdowała się kolekcja tabliczek klinowych z dziwacznymi rysunkami. Asyrolodzy, szczególnie wybitny uczony francuski Menant, orzekli na podstawie przedłożonych im fotografii, że tabliczki są falsyfikatami, że pismo podobnie cudaczne nigdy nie mogło istnieć w dziejach ludzkości.

Wtedy pismem tym zainteresował się wielki asyrolog rosyjski Michał Nikolski. Po żmudnych badaniach wystąpił publicznie w obronie autentyczności tabliczek i oświadczył, że zawierają one jedną z najstarszych form pisma klinowego, wspomniane już pismo linearno-hieroglificzne. Co więcej, zdołał nawet odczytać niektóre znaki pradawnego pisma.

Oświadczenie jego wywołało swego czasu szeroką polemikę w światowych kołach naukowych. Gdy jednak w kilka lat później wykopano na wzgórzu w Tello większą liczbę tabliczek z tym samym typem pisma, nikt już nie mógł wątpić, że uczony rosyjski był istotnie odkrywcą pradawnego pisma Sumerów[1].

Sarzec kopał w latach 1877-1881. W okresie od roku 1888 do 1890 Amerykanie Peters, Haynes i Fisher odkryli miasto Nippur, stolicę kultu religijnego Sumerów, a w roku 1922 Anglik Woolley

dokonał sensacyjnych odkryć w prastarym biblijnym Ur, rodzinnym mieście Abrahama.

W ruinach tych miast znaleziono wspaniałe, gigantyczne świątynie, wazy, rzeźby, kamienie erekcyjne z napisami, tabliczki klinowe oraz przedmioty artystyczne ze złota, srebra i z drogich kamieni. Odkopane przy świątyniach archiwa pozwoliły śledzić dzieje Sumerów aż do najdalszych mroków przeszłości. Co więcej – w Fara, Uruk, Al-Ubajid i Ur wydobyto spod ziemi osiedla sięgające epoki neolitycznej, założone przez ludy nieznane, które zajęły południową Mezopotamię na długo przed pojawieniem się tam Sumerów.

Nasza wiedza dzięki tym odkryciom rozszerzyła się o całe tysiąclecia. Dziś wiemy, że już na pięć tysięcy lat p.n.e. plemiona Mezopotamii zajmowały się hodowlą bydła i uprawą roli, a nawet budowały ludne miasta – jak Ur, Lagasz i Nippur.

GDZIE ONGIŚ SZUMIAŁY GAJE DAKTYLOWE

NA POŁOWIE DROGI MIĘDZY BAGDADEM A ZATOKĄ PERSKĄ, około piętnastu kilometrów na zachód od dzisiejszego koryta Eufratu, wznosi się wzgórze z potężnymi ruinami miasta Ur. Jak okiem sięgnąć, roztacza się dokoła płowa, bezludna pustynia i rzadko porosłe stepy. Tu i ówdzie widać nędzne lepianki fellachów irackich, których obecność jeszcze bardziej podkreśla dojmujące wrażenie pustki. Na wschodzie znaczą się ciemne sylwetki drzew palmowych, rozciągniętych długim pasmem nad brzegiem Eufratu.

Niezmierzoną płaszczyznę zalewa odrętwiająca senność. Powietrze wibruje i skrzy się od zabójczego upału. Raz po raz znienacka podrywa się tuman pyłu, przenika do ust i nosa samotnego wędrowca. Nierzadko pojawiają się miraże, dające złudzenie, jakoby krajobraz był przetkany chłodnymi taflami wody. Ale bywalec nie pozwoli się uwieść zwodniczym igraszkom przyrody, wie przecież, że rozprażona, spalona na popiół ziemia jest od niepamiętnych czasów bezwodną pustynią.

Z trudnością przychodzi uwierzyć, że pustynia była ongiś gęsto zaludnionym krajem, że istniały tu liczne miasta, że zbierano obfite plony zbóż, owoców i jarzyn, że kwitły nauka i sztuka, rozwijały się bujnie handel i rzemiosło. A przecież potężne, strome wzgórza z ruinami na szczytach świadczą ponad wszelką wątpliwość o bogatej, pełnej chwały młodości, jaką przeżywała ta nieszczęsna ziemia w zamierzchłych czasach. Z jej wnętrza archeolodzy wydobywają dziś masywne mury warowne, pałace, świątynie,

biblioteki, rzeźby i kosztowności z metali szlachetnych, świadczące o geniuszu owych dawnych mieszkańców, o ich wysoko rozwiniętej kulturze i cywilizacji, o potędze ich władców, o tym, że ziemia ta rodziła kiedyś obfite plony.

Przed kilkoma tysiącami lat południowa Mezopotamia stanowiła dno Zatoki Perskiej. Potem wody zaczęły stopniowo opadać, a z nurtów wyłoniły się rozległe trzęsawiska. Rzeki Tygrys i Eufrat znosiły z wyżyn anatolskich ił, który wysychał w słońcu i wśród bagnisk i sitowia tworzył żyzne, kiełkujące życiem wyspy. Niebawem w rzekach i kanałach zaroiło się od ryb, w szuwarach zagnieździło się ptactwo i miały w nich swoje legowiska dziki, a na wyspach zazieleniło się od drzew daktylowych, rodzących pożywne owoce.

Wśród pustynnych przestrzeni ten skrawek bujnej wegetacji musiał wydawać się pierwszym przybyszom krajem obiecanym. Rokrocznie wody obu rzek występowały z brzegów i zalewały równinę szerokim rozlewiskiem. W sierpniu i we wrześniu spływały do swoich koryt. W tym okresie miejsca wyżej położone szybko wysychały w tropikalnym słońcu, w dolinach jedynie pozostawały błotniste kałuże. Wystarczyło obłaskawić naturę, skanalizować i rozprowadzić wody wedle potrzeby, by mokradła zamieniły się w sady i ogrody warzywne.

Pierwsi osadnicy przybyli do południowej Mezopotamii w nieznanych bliżej, przedhistorycznych czasach. Jak świadczą wykopaliska w miejscowości arabskiej Al-Ubajid, leżącej w odległości siedmiu kilometrów od ruin Ur, już w epoce neolitycznej kwitło tam życie. W osadzie znaleziono szczątki lepianek z iłu i sitowia, garnki lepione ręcznie bez krążka garncarskiego, motyki, toporki z łupanego i gładzonego krzemienia, sierpy gliniane wypalane w ogniu, podkładki kamienne, w których obracały się jak na biegunach drzwi chat, łodzie oraz haczyki na ryby. Mieszkańcy osady hodowali zwierzęta domowe, uprawiali rolę i trudnili się rybołówstwem. Kamienne przęśliki i ciężarki do krosna świadczą, że znali już tkactwo. Jako ozdoby używali paciorków z lawy wulkanicznej, muszli lub przejrzystego kwarcu, a sądząc po wykopanych posążkach, tatuowali swoje ciało. Nie wiadomo dotąd,

jakiego pochodzenia byli to ludzie. Uczeni przypuszczają, że były to semickie plemiona Akkadów, które potem z niewiadomych powodów przeniosły się do północnej części Mezopotamii, gdzie utworzyły własną organizację państwową.

Sumerowie pojawili się w południowej Mezopotamii znacznie później. Wykopaliska przemawiają za tym, że zajęli ją pokojowo i stopniowo zmieszali się z tubylczą, wcześniej przybyłą ludnością. Sumerowie byli znakomitymi rolnikami. Oni to zbudowali rozległy system kanałów dla osuszenia moczarów i przechowywania wody na okres posuchy.

Pod wprawną ręką rolnika sumeryjskiego znacznie podniosła się urodzajność Mezopotamii. Dokumenty z lat około 2500 p.n.e. stwierdzają, że pola jęczmienne dawały przeciętnie sześćdziesięciosześciokrotne plony. Grecki historyk Herodot pisze, że zbierano tam dwieście razy tyle, co zasiano. Rzymski pisarz Pliniusz twierdzi, iż zbiory odbywały się tam dwa razy do roku, a na dodatek rżysko stanowiło obfite pastwisko dla owiec.

W trzecim tysiącleciu p.n.e. południowa Mezopotamia była już krajem gęsto zaludnionym. Świadczą o tym liczne miasta, zakładane w bliskiej od siebie odległości. Największymi spośród nich były: Nippur, Isin, Szurupak, Umma, Lagasz, Uruk, Ur i Eridu. W północno-zachodniej części kraju żyły plemiona semickie Akkadów. Ich miasta to: Opis, Akszak, Sippar, Babilon, Kuta, Kisz i Akkad.

Sumerowie, jak wszystkie inne ludy, żyli pierwotnie w ustroju wspólnoty rodowej. W miarę wzrostu urodzajności gleby i postępu technicznego chłop sumeryjski wytwarzał więcej, niż to było mu potrzebne do życia. Nadwyżki przywłaszczali sobie członkowie starszyzny rodowej. W rezultacie wspólnota pierwotna ulegała stopniowemu rozkładowi, przekształcając się powoli w społeczeństwo klasowe. Znaleziska archeologiczne dowodzą w sposób niezbicie przekonywający, że w trzecim tysiącleciu przed początkiem naszej ery wytworzyła się już głęboka przepaść między klasami. Na czele poszczególnych miast stali królowie-kapłani, otaczani nimbem boskości. Mieszkali oni wraz z kapłanami i możnowładcami w okazałych pałacach wśród niebywałego zbytku,

podczas gdy chłopi i rzemieślnicy popadali coraz bardziej w stan faktycznego niewolnictwa.

Sumerowie nie potrafili złączyć się w jednolitą organizację państwową. Mimo że wiązała ich wspólna kultura i religia, byli rozbici na liczne miasta-państwa, które prowadziły z sobą nieustanne wojny, wydzierając sobie co lepszą ziemię i dążąc do narzucenia rywalom swojej hegemonii. W tym to okresie powstaje potężne państwo Akkadu, którego królem był Sargon. Zjednoczywszy północne plemiona semickie w jedno państwo, poprowadził swoje wojska z kolei na powaśnione miasta-państwa Sumerów, pokonał je i stworzył pierwszą wielką w Mezopotamii monarchię despotyczną. Ale semiccy Akkadowie rychło zostali pochłonięci przez wyższą kulturę podbitego ludu, toteż monarchia Sargona stała się wkrótce państwem sumeryjskim.

Skąd przybyli Sumerowie i do jakiej grupy ludów należy ich zaliczyć? Badania znalezionych czaszek i kości ustaliły, że stanowili odgałęzienie Indoeuropejczyków, lingwiści zaś stwierdzili, że język ich jest spokrewniony z grupą języków jafetyckich.

Istnieje szereg danych świadczących o tym, że Sumerowie byli pierwotnie ludem górskim i prawdopodobnie przybyli z wyżyn irańskich lub z gór azjatyckich. W dawnych czasach plemiona, żyjące w górzystych okolicach, składały bogom ofiary zazwyczaj na szczytach górskich. Otóż podobnie i Sumerowie umieszczali zawsze swoich bogów na jakiejś wyżynie. W Międzyrzeczu, pozbawionym wzniesień, budowali, aby zadość uczynić dawnej tradycji, ogromne piramidy z niewypalonych cegieł zwane zikkuratami. Dopiero na ściętych wierzchołkach owych sztucznych gór stawiali bogom świątynie. W każdym mieście sumeryjskim odkopano przynajmniej jeden taki zikkurat.

Ale przypuszczenie to nie zgadza się z podaniami Sumerów, którzy uporczywie mawiali o sobie, że przybyli „zza morza". Archeolodzy nie wykluczają również takiej możliwości, niejednokrotnie przecież przekonywano się, że w wielu pozornie niewiarogodnych podaniach sumeryjskich tkwiło jakieś źdźbło prawdy. Zresztą ślady kultury sumeryjskiej znaleziono w Afganistanie i Beludżystanie, a nawet w dolinie Indusu, oddalonej

o 2500 kilometrów od Mezopotamii. Z tych względów sprawy pochodzenia Sumerów nauka nie uważa dotąd za ostatecznie przesądzoną.

W grobach królewskich Ur, którym poświęcamy osobny rozdział, znaleziono tak zwany Sztandar z Ur. Wywołał on kiedyś wielką sensację. Jest to płyta, na której techniką mozaikową przedstawieni są Sumerowie, tak jak żyli i odziewali się w trzecim tysiącleciu p.n.e.

Widzimy tam ucztującego króla-kapłana w otoczeniu swego dworu. Dostojnicy, ubrani w sute tkaniny wełniane podobne do tunik, trzymają w ręku puchary. Duże ich głowy, szerokie twarze i wydatne nosy czynią ich podobnymi do dzisiejszych Arabów. W przeciwieństwie do późniejszych Babilończyków i Asyryjczyków nie nosili zarostu. W dolnej części sztandaru znajduje się korowód prowadzonych na rzeź zwierząt ofiarnych, skrępowanych jeńców wojennych i żołnierzy sumeryjskich w kaskach na głowach, uzbrojonych w tarcze i dziryty. Największą rewelację stanowią rydwany zaprzęgnięte w osły, sądzono bowiem przed znalezieniem sztandaru, że wozy bojowe wprowadzili dopiero Asyryjczycy.

PODNIEBNA ŚWIĄTYNIA Z LAZURU I ZŁOTA

W ROKU 1922 EKSPEDYCJA ARCHEOLOGICZNA uczonego angielskiego Leonarda Woolleya rozpoczęła systematyczne prace wykopaliskowe na wzgórzu, zwanym przez Arabów Górą Smoły. Kryły się tam potężne zwaliska Ur, stolicy boga księżyca Nannara, który w okresie bez mała dwóch tysięcy lat miał tam swoją świątynię i otaczany był wielką czcią przez Sumerów, Babilończyków i Asyryjczyków.

Po usunięciu tysięcy ton piasku i gruzu ekspedycja odsłoniła fundamenty i zawalone mury ogromnej piramidy zwanej zikkuratem, czyli Świątynią Boga. Staranne pomiary pozwoliły zrekonstruować niemalże we wszystkich szczegółach wygląd budowli. Wznosiła się ona trzema piętrami tarasów zwężającymi się ku górze. Na ściętym wierzchołku stała świątynia, do której wiodły trzy rzędy stromych schodów, liczących po sto stopni. Piramida stanowiła solidną masę niewypalonych cegieł, pokrytą na zewnątrz okładziną z cegieł hartowanych w ogniu.

Pomiary ustaliły osobliwe odchylenia i nieprawidłowości w ukształtowaniu budowli, których archeolodzy nie umieli sobie pierwotnie wytłumaczyć. Ściany poszczególnych kondygnacji, osadzonych na sobie jak klocki, nie były pionowe, lecz lekko się pochylały, podobnie jak średniowieczne mury lub skarpy. Co więcej, nie tworzyły prostych linii, lecz wyginały się ku środkowi poziomym łukiem. Rekonstrukcja rysunkowa piramidy z łatwością wyjaśniła sens tych intrygujących odchyleń. Złożona z prostokątnych,

spiętrzonych na sobie sześcianów, budowla sprawiałaby wrażenie ociężałej, bezdusznej bryły. Tymczasem pochyłe i wklęsłe płaszczyzny elewacji tworzyły płynne linie, po których wzrok obserwatora mógł swobodnie ślizgać się ku szczytowi, by spocząć na świątyni, stanowiącej zwieńczenie i główny akcent całej budowli. Stało się rzeczą jasną, że architekci sumeryjscy byli nie tylko doskonałymi budowniczymi, lecz również subtelnymi artystami, znającymi dobrze arkana kompozycji wielkich budowli. Z podziwu godnym mistrzostwem umieli w nich połączyć monumentalną siłę z wrażeniem lekkości i harmonijnego czaru.

Ślady kolorów na cegłach pomogły archeologom w ustaleniu dodatkowych szczegółów: dwa najniższe piętra były pomalowane na czarno, trzecie, najwyższe na czerwono, a świątynia na wierzchołku błyszczała szafirową glazurą ścian i pozłotą kopuły.

Kolory spełniały nie tylko zadania dekoracyjne, lecz zawierały pewien sens symboliczny, związany z wyobrażeniami Sumerów o budowie wszechświata. Czarny kolor symbolizował krainę podziemi, czerwony ziemię, a niebieski oznaczał niebo i słońce.

W murach piramidy znajdowały się wąskie szczeliny przypominające strzelnice w starych warowniach. Początkowo nie umiano wytłumaczyć przeznaczenia tych dziwnych otworów. Ponieważ piramida tworzyła masyw wypełniony cegłami, szczeliny zatem nie mogły być oknami. Dopiero po dłuższych badaniach i dyskusjach archeolodzy doszli do przekonania, że otwory służyły do odprowadzania wody z tarasów. Skąd jednak woda na tarasach, skoro w Mezopotamii nie bywało prawie żadnych opadów deszczowych? Odpowiedź, jaką znaleziono na te wątpliwości, stanowiła równocześnie nie lada rewelację. Otóż Sumerowie nanieśli na tarasy ziemię i urządzili tam ogrody. Rzecz zrozumiała, że w klimacie tropikalnym kwiaty i drzewa musiały być często i obficie podlewane. Gdyby nadmiaru tej wody nie odprowadzono na zewnątrz przez otwory w murze, fundamentom piramidy groziłoby stale podmycie, a budowli prędzej czy później ruina.

Tabliczki klinowe w całej rozciągłości potwierdziły przypuszczenia archeologów. W jednym z napisów król babiloński Nabonid donosi, że kazał oczyścić z gałęzi i naprawić świątynię Gir-

par-ku. Zagadka tych gałęzi wyjaśniła się po ustaleniu położenia świątyni. Świątynia ta bowiem stała u podnóża piramidy, a więc tuż pod tarasami, skąd przypuszczalnie niesumienni ogrodnicy zrzucali obcinane gałęzie, nie troszcząc się o to, że spadają na dach niżej położonego budynku.

Główną częścią sumeryjskiego rytuału religijnego były procesje, ich przepych, malowniczość i blask stanowił zapewne jeden ze sposobów utrzymania w uległości i posłuszeństwie pracującej w pocie czoła ludności. Król-kapłan tytułował siebie „dzierżawcą boga na ziemi" na znak, że nie on, lecz sam bóg jest właścicielem wszystkich dóbr kraju. Chłopom i rzemieślnikom kazano wierzyć, iż oddając włodarzowi boskiemu znaczną większość owoców swojej pracy, spełniają konieczny i pobożny obowiązek religijny.

Jakże urzekająca musiała być majestatyczna budowla zikkuratu. Niebotyczna wieża grała w słońcu bogatą gamą kolorów: czernią i szkarłatem spiętrzonych ścian fasady, szmaragdową zielenią wiszących ogrodów i lazurowo-złotą świątynią, która gdzieś w podniebnych wysokościach gorzała w słońcu jak zjawisko nie z tego świata.

Świątynia nie była przybytkiem powszechnego kultu religijnego, lecz prywatną siedzibą boga, do której zwykli śmiertelnicy nie mieli dostępu. Tłoczyli się oni u stóp piramidy, przyglądając się w struchlałej bojaźni przebiegowi obrządków religijnych. Podczas gdy chór kapłanów przy wtórze harf, fletów i bębnów śpiewał uroczyste hymny, schodami, w górę i w dół, posuwał się korowód króla, kapłanów i dostojników w paradnych strojach, kapiących złotem i drogimi kamieniami. Nad ich głowami łopotały feretrony i kołysały się emblematy boga Nannara.

Wspaniałość procesji musiała – rzecz oczywista – zapaść głęboko w wyobraźnię i pamięć starożytnych ludów. Związane z nią legendy i alegorie przetrwały Sumerów i zikkuraty, które dawno już stały się rumowiskiem. Wyrazem dalekich wspomnień ceremoniału był sen biblijnego Jakuba. Orszak aniołów wstępujący i zstępujący z drabiny – czyż to nie obraz sumeryjskiego korowodu rytualnego na stopniach piramidy? Plemiona Abrahama przechowywały go z pokolenia na pokolenie z czasów niewoli w Ur i na swój sposób

przeobraziły w Jakubową drabinę Starego Testamentu. Przed odkryciem archeologicznym Woolleya nikt nawet nie przypuszczał, że biblijna alegoria ma jakiś związek z prawdziwymi wydarzeniami historii i że drabina anielska kryje w sobie tajemnicę potężnych piramid starodawnego Sumeru.

UKRYTY SKARB I POGORZELISKO

PIRAMIDA UR, JAK TO UJAWNIŁY WYKOPALISKA, nie stała samotnie na otwartej przestrzeni. Otaczała ją gęsta zabudowa pomniejszych świątyń, magazynów gospodarczych i domów mieszkalnych dla kapłanów, tworząc niejako osobną dzielnicę miasta.

Wśród tych budowli wyróżniała się okazałością świątynia poświęcona bogini Ningal, małżonce boga Nannara. Był to zawiły kompleks sal, kaplic, krużganków, dziedzińców i murów warownych, który powstał w ciągu wielu setek lat i rozrósł się do imponujących rozmiarów.

Królowie Mezopotamii otaczali świątynię szczególnie troskliwą opieką. Nieustannie prowadzili w niej różne naprawy i prace konserwatorskie, a gdy mury waliły się ze starości, wznosili na ich fundamentach nowe, piękniejsze jeszcze budowle. Bardzo im zresztą zależało na tym, by ich zasługi dla przybytku bogini Ningal nie poszły w zapomnienie. Dzięki ich próżności znamy dziś nazwiska niemalże wszystkich królów-fundatorów, którzy w jakikolwiek bądź sposób przyłożyli się do wielkości świątyni. Archeolodzy znaleźli je wyryte na cegłach i glinianych stożkach ukrytych w niszach ścian, na brązowych posążkach rytualnych i gniazdach z twardego diorytu, w których obracały się na biegunach wierzeje świątynne.

Ekspedycja Woolleya odkopała kilka spiętrzonych na sobie posadzek, a pod każdą posadzką znalazła nazwiska fundatorów królewskich, związanych z pewną fazą rozwoju świątyni. Dzięki takiej szczęśliwej okoliczności można było z łatwością nie tylko wyodrębnić poszczególne nawarstwienia budowli, lecz ustalić datę

ich powstania i powiązać z określonymi wydarzeniami historycznymi, znanymi z napisów klinowych.

W pewnej warstwie wykopalisk znaleziono ślady wielkiego pożaru, jaki ongiś szalał w świątyni. Ponadto w pogorzelisku poniewierały się wazy i posążki rytualne, świadomie widać pogruchotane na drobne kawałki i świadczące w sposób aż nadto wymowny, że dzieła zniszczenia dokonał jakiś najeźdźca.

Kiedy padła świątynia ofiarą najazdu i kto był jego sprawcą? Odpowiedź na to pytanie otrzymano w okolicznościach dość osobliwych. Oto na dziedzińcu świątyni stał niewysoki cokół z surowej cegły, na pół zasypany odłamkami płyty z czarnego kamienia. Sytuacja zabytku była jasna: płyty tworzyły kiedyś okładzinę cokołu i zostały zdemolowane przez nieznanych wandalów. Po złożeniu odłamków w całość okazało się, że na płycie był wykuty napis sławiący zwycięstwa i podboje króla i prawodawcy Babilonii Hammurabiego, wymienionego w *Genesis* jako żyjącego współcześnie z Abrahamem (około 2000 p.n.e.).

W nawie świątyni znaleziono tabliczki klinowe, głoszące, że Hammurabi zawojował wraz z całą południową Mezopotamią również i miasto Ur. Dla upamiętnienia triumfów postawił monument na dziedzińcu świątyni, co Sumerowie poczytywali za ciężką obrazę swoich najświętszych uczuć religijnych. Toteż gdy podnieśli bunt przeciwko ciemiężycielowi, nienawiść wyładowali przede wszystkim na pomniku, który w prowokacyjny sposób przypominał im ich klęski i upokorzenia narodowe. Tablice z napisami zdarli z cokołu i porozbijali w drobne kawałki, pozostawiając pomnik w takim stanie, w jakim blisko w cztery tysiące lat później odkopała go łopata archeologa.

Dlaczego jednak powstańcy nie usunęli resztek pomnika i w ten sposób nie zmazali ostatnich widomych śladów niewoli? Przypuszczalnie dlatego że nie mieli na to już czasu. Hammurabi zareagował na powstanie z błyskawiczną energią. Zanim Sumerowie zdołali nacieszyć się świeżo odzyskaną wolnością, zjawił się u bram miasta, wziął je szturmem i wydał na pastwę rozbestwionego wojska. Gmachy i świątynie obrócono w zgliszcza.

Pod jedną z posadzek świątyni Woolley dokonał sensacyjnego odkrycia. Znalazł tam oszałamiający skarb złotych kosztowności, prawdziwych arcydzieł sztuki złotniczej: wisiorki, bransolety, naszyjniki i szpile z misternie wycyzelowanymi figurami kobiecymi zamiast główek.

Właściciel tych skarbów ukrył je w tym miejscu prawdopodobnie w czasie oblężenia miasta, a potem postradał życie lub dostał się do niewoli. Skarb w ten sposób zaginął bez wieści. Ponieważ cegły z identycznej warstwy archeologicznej nosiły stempel króla Nabuchodonozora, który panował w VI wieku p.n.e., wolno przypuszczać, że skarb leżał nietknięty na jednym i tym samym miejscu przez zawrotny okres 2500 lat.

Nabuchodonozor był ostatnim władcą, który dbał o świetność Ur i przeprowadzał tam rozległe prace budowlane. Niebawem po jego śmierci Mezopotamia stała się terenem nowego najazdu. Król perski, Cyrus Wielki, rozgromił potęgę neobabilońską i zagarnął cały kraj między Eufratem i Tygrysem.

Zwycięstwo ułatwiły mu wewnętrzne zamieszki i zaostrzające się sprzeczności klasowe, jakie osłabiały państwo neobabilońskie. Ostatni król Nabonid dążył do złamania potęgi kapłanów i stworzenia pewnego rodzaju religii państwowej pod swoim kierownictwem.

Zagrożeni kapłani wypowiedzieli mu bezwzględną walkę. Gdy przeto Cyrus zbliżał się do Ur, nie cofnęli się przed popełnieniem zdrady stanu, otwierając potajemnie bramy miasta i wydając swego króla w ręce wroga. Nabonid dostał się do niewoli i zaginął bez wieści.

Losy miasta Ur przesądziły dwa historyczne wydarzenia. Jednym z nich – to przyjęcie przez Persów religii Zaratusztry. Surowy monoteizm nowego wyznania zajął nieprzejednane stanowisko wobec starego politeizmu Mezopotamii, uprawiającego kult niezliczonych bożków. Starą świątynię w Ur zburzyli prawdopodobnie obrazoburcy i w ten sposób wzięto odwet na kapłanach za ich zdradę ojczyzny.

Daleko groźniejszą katastrofę zgotowała miastu przyroda. Eufrat stopniowo zmienił bieg swojego koryta. Odsunął się wreszcie od

murów miasta blisko o piętnaście kilometrów na wschód. Ur, zaniedbany i zubożały, nie miał już środków na to, by za pomocą nowego systemu kanałów powstrzymać proces wysychania okolicznych pól uprawnych. Dawniejsze ogrody warzywne, sady i łany przeobraziły się niebawem w stepy i pustynie. Ludność opuściła miasto, przenosząc się do innych okolic i wsi, gdzie łatwiej było o kawałek chleba.

Opuszczone miasto stopniowo rozpadało się w gruzy. Burze piaskowe przykryły je grubą pokrywą piasku. Z biegiem lat nikt już nie pamiętał, że pod tymi zwałami kryją się żałosne szczątki potężnej metropolii, która przez tysiące lat stanowiła kuźnię wielkiej, bogatej cywilizacji.

W górnych warstwach gruzów znaleziono resztki chat zbudowanych z wydobytych z ziemi dawnych cegieł sumeryjskich. Pod podłogą jednej z tych chat ukryty był garnek pełen tabliczek klinowych, z których można było wyczytać, iż była to ostatnia, jakże melancholijna faza świątyni. W tych chatach bowiem wiedli życie nędzarzy ostatni kapłani boga Nannara, utrzymując się z jałmużny nielicznych wyznawców, którzy wśród mrowia zwolenników Zaratusztry zachowali jakimś cudem wierność dawnej religii.

W innym miejscu wzgórza archeolodzy natknęli się na piece garncarskie i chaty osiedleńców perskich oraz tabliczki klinowe, pochodzące z połowy V wieku p.n.e. Potem miasto zasnuwa mgła zapomnienia na okres prawie 25 wieków, aż do roku 1922, kiedy ekspedycja Woolleya zaczęła swoje pierwsze poszukiwania na Górze Smoły.

NAJSTARSZY W DZIEJACH POEMAT EPICZNY

LAYARD POD WPŁYWEM CZAROWNYCH BAŚNI z *Tysiąca i jednej nocy* roił o podróżach po Bliskim Wschodzie, a gdy urzeczywistnił swoje marzenia, natknął się niespodzianie na zagadkowe wzgórza Mezopotamii.

Choć był człowiekiem czynu i odznaczał się wytrwałością w realizowaniu raz wytkniętego celu, to jednak najistotniejszym bodźcem była jego romantyczna natura. Od romantycznych marzeń do odkryć naukowych – oto przedziwna droga, jaka wiodła Layarda.

Zupełnie odmiennym, nowoczesnym typem archeologa można by nazwać Anglika George'a Smitha. Był to skromny, trzeźwy i pracowity człowiek, który zarabiał na życie jako grawer w londyńskiej mennicy państwowej. Choć od dzieciństwa zdradzał wielkie zamiłowanie do nauki, rodzice jego byli zbyt ubodzy, by mogli zapewnić mu wyższe wykształcenie. Tak więc młodzieniec o wybitnych zdolnościach musiał nająć się do jednego z warsztatów grawerskich, gdzie spędził długie lata jako terminator.

Ale Smith bynajmniej nie wyrzekł się swojej ambicji. Każdą wolną chwilę po pracy wyzyskiwał na to, by uzupełnić swoje wykształcenie. Przede wszystkim uczył się obcych języków i rozczytywał w dziełach historycznych. Z asyrologią zetknął się całkiem przypadkowo. Oto Muzeum Brytyjskie przystąpiło do wydania albumu pod tytułem: *Napisy klinowe z Azji Zachodniej* i powierzyło mu wykonanie klisz drukarskich do tego dzieła. Była to mechaniczna praca kopisty-rytownika, jednakże w trakcie roboty

dziwne znaki zainteresowały Smitha do tego stopnia, że postanowił nauczyć się sztuki ich odczytywania.

Był to pomysł zuchwały i zdawałoby się z góry skazany na niepowodzenie. Ileż bowiem trudu i wysiłku musiał włożyć ten samouk, by osiągnąć swój cel. Ileż nieprzespanych nocy musiał strawić na mozolnych studiach, by opanować arkana asyrologii. Wyjątkowe zdolności i szlachetny zapał naukowy pozwoliły mu jednak przezwyciężyć wszystkie napotkane trudności. W swoich wspomnieniach, które zaskarbiły sobie tak wielką poczytność, iż doczekały się siedmiu wydań, Smith w następujący sposób określa cel swojego życia:

„Każdy posiada pewne skłonności lub zamiłowania, które przy sprzyjających okolicznościach potrafią opromienić resztkę jego życia. Sam zawsze miałem pociąg do studiów orientalistycznych i od młodości interesowałem się poszukiwaniami i odkryciami na Wschodzie, a w szczególności wielkimi pracami Layarda i Rawlisona. Przez kilka pierwszych lat zrobiłem mało lub prawie nic, lecz w roku 1866, widząc niezadowalający stan naszej wiedzy o tych częściach Azji, które łączą się z historią biblijną, postanowiłem zdziałać cośkolwiek dla ustalenia pewnych spornych zagadnień”.

Jakoż istotnie, w tymże samym roku, mając zaledwie dwadzieścia sześć lat, Smith ogłosił drukiem pierwszą pracę z zakresu asyrologii, która od razu przyniosła mu wielki rozgłos w kołach naukowych i przedzierzgnęła go z samouka-amatora w uznaną powagę naukową w dziedzinie asyrologii. W następnym roku spotkała go upragniona nagroda za wysiłki: otrzymał nominację na asystenta działu egipsko-asyryjskiego w Muzeum Brytyjskim, gdzie mógł już całkowicie poświęcić się ulubionym studiom.

Zdawało się, że odtąd życie jego popłynie spokojnie w zaciszu pracowni naukowej. Ale los zadecydował inaczej. Smith był typowym uczonym o trzeźwym umyśle i jego stosunek do życia bynajmniej nie był romantyczny. Toteż zapewne czuł się sam zaskoczony, gdy jak z rogu obfitości posypały się nań wszelkiego rodzaju przygody i przeżycia, o jakich mógłby marzyć tylko niepoprawny romantyk. Ów skromny pracownik nauki wprawił

naprzód cały świat w zdumienie swoimi odkryciami, a potem przedsięwziął podróże, których fantastyczny cel stał się przedmiotem sensacji na łamach brytyjskiej prasy brukowej. Nawet jego śmierci towarzyszyły okoliczności niezwykłe i dramatyczne, tak jakby kapryśny los do ostatniej chwili nie chciał zaniechać igraszek z owym romantykiem mimo woli.

Z początku nic właściwie nie zapowiadało sensacji. W piwnicach Muzeum Brytyjskiego przechowywano w skrzyniach setki tabliczek klinowych, pochodzących z biblioteki Asurbanipala, a przesłanych swego czasu przez Layarda i Rassama ze wzgórza Kujundżyk. Rzecz zrozumiała, że obudziły one zainteresowanie Smitha. Tabliczki klinowe, zgarnięte łopatami do skrzyń, przedstawiały opłakany widok. Był to ogromny stos pogruchotanych na drobne kawałki skorup, pokrytych w dodatku grubą warstwą ziemi i kurzu. Poskładanie ich w odpowiednie całości i oczyszczenie z brudu w ten sposób, by nie uszkodzić znaków klinowych – oto zadanie, jakie stanęło przed młodym asystentem muzeum.

Smith przystąpił do rozwiązania łamigłówki i po kilku miesiącach żmudnej pracy przygotowawczej mógł zabrać się do właściwego zadania: do odczytania napisów. W miarę jak odszyfrowywał słowo za słowem, ogarniało go coraz to większe zdumienie. Przed oczami stanął mu jak żywy bohater najstarszego na świecie eposu ludowego, potężny i szlachetny Gilgamesz, postać nauce dotąd zgoła nieznana. Czytając o jego przygodach, Smith nabrał pewności, że oto odkrył Homera Mezopotamii, starszego o kilkanaście stuleci od Homera narodu greckiego, że ma przed sobą prawzór poezji epickiej, pochodzący z samego zarania cywilizacji ludzkiej.

Gilgamesz był władcą miasta Uruk (biblijne Erech) i srodze uciskał mieszkańców, zmuszając ich do ciężkiej pracy przy budowie murów warownych i świątyń. Mieszkańcy pożalili się bogom na swoją dolę, a ci uradzili uwolnić ich od bezwzględnego despoty. Przeto stworzyli olbrzyma obdarzonego nadludzką siłą i nazwali go Enkidu. Miał on stanąć do walki z Gilgameszem i zadać mu śmierć. Enkidu żył w głębi dzikiego lasu, przyjaźniąc się ze zwierzętami i broniąc ich od prześladowań myśliwych.

Dowiedziawszy się o jego istnieniu, Gilgamesz uciekł się do fortelu. Posłał doń urodziwą kapłankę, aby go uwiodła i sprowadziła do Uruk. Między obu mocarzami doszło do straszliwego pojedynku, który nie przyniósł jednak rozstrzygnięcia; rzecz nieprzewidziana przez bogów i ludzi. Enkidu i Gilgamesz, uznając się za równych, stali się wiernymi przyjaciółmi i odtąd wspólnie dokonywali rozmaitych bohaterskich czynów. Między innymi walczyli z potężnymi lwami, uwolnili boginię Isztar z łap leśnego potwora Humbaby i zabili olbrzymiego byka, nasłanego przez boga Anu.

Pewnego dnia Enkidu ciężko zaniemógł i czując zbliżającą się śmierć, pożegnał się serdecznie z ukochanym druhem. Gilgamesz rzewnie opłakiwał utratę przyjaciela i po raz pierwszy w życiu uprzytomnił sobie niezgłębioną zagadkę śmierci:

Sześć nocy i sześć dni roniłem nad nim gorzkie łzy,
Aż złożono go do mogiły.
Teraz drżę przed śmiercią i uciekam na pustynię.
Jak brzemię ciążą mi ostatnie słowa przyjaciela.
Gdzież szukać mi pociechy? Jak utulić płacz?
Kochany przyjaciel zamienił się w próchno.
I ja zapewne kiedyś legnę tak jak on,
By nigdy już nie podnieść się na nogi.

Dręczony trwogą Gilgamesz postanowił odszukać przodka swego, Ut-napisztima, jedynego człowieka na ziemi, którego nie imała się śmierć. Od niego spodziewał się wydostać tajemnicę wiecznego życia. Ale droga była najeżona niewiarogodnymi przeszkodami i czarodziejskimi pokusami. Gilgamesz musiał zwalczyć ludzi skorpiony, wyrwać się spod zniewalającego uroku rajskiej krainy, gdzie na drzewach kwitły drogie kamienie zamiast owoców i oprzeć się bogini Sidar, gdy go nakłaniała, by zaniechał myśli o śmierci i oddał się cały rozkoszom życia.

W górach Zachodu Słońca błąkał się dwanaście godzin w ciemnościach, aż wreszcie stanął nad Wodami Śmierci, gdzie przewoźnik Ur-szanabi zgodził się przeprawić go na drugi brzeg do Ut-napisztima.

Gilgamesz doznał tam z początku rozczarowania. Ut-napisztim nie chciał wyjawić mu tajemnicy nieśmiertelności, ponieważ śmierć jest naturalnym i nieodzownym atrybutem życia. Dopiero pod wpływem żony zdradził mu, że na dnie morza rośnie ziele, dające wieczne życie. Gilgamesz rzucił się w głębinę i z triumfem wrócił na ląd z cudowną rośliną w ręku. Marzą mu się teraz wzniosłe i szlachetne cele: nie będzie samolubem jak Ut-napisztim, ziele wiecznej młodości zaniesie do swego miasta rodzinnego i obdarzy nim wszystkich mieszkańców. Niestety, podczas kąpieli ziele porwała mu żmija i pożarła. Gilgamesz, zawiedziony w swych prometejskich zamiarach, powrócił do Uruk z próżnymi rękoma, oddając się odtąd rozmyślaniom nad tajemnicą życia i śmierci.

Klechda ludowa wzbudziła podziw nie tylko swoim urokiem poetyckim, lecz również głębią zawartych w niej myśli przewodnich. Poprzez burzliwe koleje życia Gilgamesza przezierają najskrytsze myśli, marzenia i dążenia dawnych pokoleń ludzkich, ich niepokoje i chęć przezwyciężenia sił natury, ich mozolne wspinanie się od barbarzyństwa do cywilizacji. Bezwzględny władca Uruk, na którego podwładni mieli słuszne powody się skarżyć, przeobraża się pod wpływem doświadczeń życiowych w szlachetnego bohatera, mającego na sercu przede wszystkim dobro i szczęście swego ludu.

Poemat pisany był w języku babilońskim, ale jego rodowód sumeryjski nie mógł podlegać żadnej wątpliwości. Imię Gilgamesza spotyka się przecież niejednokrotnie w starych napisach sumeryjskich. Znaleziono również wizerunki Gilgamesza, wyrżnięte na pieczęciach cylindrycznych z okresu przedbabilońskiego, świadczące o wielkiej popularności bohatera epicznego w Sumerze. Poemat przetłumaczyli potem na swoje języki następcy Sumerów – Babilończycy i Asyryjczycy.

Ut-napisztim opowiadał Gilgameszowi, w jaki sposób osiągnął nieśmiertelność. Kiedy mieszkał w mieście Szurupak nad Eufratem, ukazał mu się we śnie bóg Ea i uprzedził go, iż zamierza ukarać ludzkość potopem za popełnione grzechy. Jego tylko i jego rodzinę postanowił uchronić przed zagładą. Polecił mu więc zbudować wielką arkę i przenieść się tam wraz z całym dobytkiem, rodziną i zwierzętami. Niebawem niebo zasnuła olbrzymia czarna chmura

i na ziemi zapanowały nieprzeniknione mroki. Przez sześć dni trwała ulewa: wszystko zatonęło w wodzie. Arka przybiła siódmego dnia do wierzchołka góry Nasir.

Gdy w roku 1872 George Smith zabrał się do tłumaczenia eposu, zorientował się, że w opowiadaniu Ut-napisztima o potopie są poważne luki z powodu braku całego szeregu tabliczek klinowych. Ale już to, co zdołał złożyć z odłamków, wstrząsnęło do głębi opinią purytańskich pobożnisiów wiktoriańskiej Anglii, dla których Stary Testament był nieomylnym źródłem wszelkiej wiedzy ludzkiej. Okazało się bowiem, że historia Noego – to klechda ludowa zapożyczona przez Hebrajczyków od Sumerów.

Na łamach prasy brytyjskiej zakotłowało się. W polemikach wyznawcy Starego Testamentu nie dali za wygraną. Utrzymywali, że niepodobna mówić o jakimś związku z historią Noego, skoro nieznana jest końcowa, najistotniejsza część opowiadania Ut-napisztima. To, co dotąd Smith odczytał, wskazywało według nich raczej na przypadkową zbieżność niektórych szczegółów. Sprawę rozstrzygnąć by mogło ostatecznie odnalezienie brakujących tabliczek klinowych, co wydawało się wysoce nieprawdopodobne.

Gazeta „Daily Telegraph", w chęci wywołania sensacji i przysporzenia sobie reklamy, ofiarowała tysiąc funtów nagrody temu, kto odnajdzie brakujące tabliczki. Właściciele pisma przypuszczalnie sądzili w skrytości, że nie znajdzie się nikt, kto by zechciał przedsięwziąć na własny koszt tak daleką wyprawę, by w ogromnych zwałach gruzów szukać kilku niepozornych skorup glinianych. Było to równie beznadziejne jak szukanie igły w stogu siana.

Toteż tym większe było zdumienie, gdy zgłosił się sam Smith we własnej osobie. Cóż skłoniło tego skromnego, rozmiłowanego w nauce pracownika do podjęcia rękawicy i rzucenia swego dobrego imienia na targowisko sensacji? Trudno przecież było go posądzać o to, że dał się znęcić nagrodą lub że go poniosła jakaś ukryta dotąd żyłka awanturnicza.

Na dnie tej na pozór lekkomyślnej decyzji kryła się trzeźwa kalkulacja specjalisty asyrologa. Smith przekonał się naocznie, z jaką barbarzyńską niedbałością zgarnięto do skrzyń tabliczki

klinowe. Layard i Rassam, poszukując wyłącznie efektownych zabytków archeologicznych, odnosili się do nich wręcz z lekceważeniem. Czyż wobec tego nie istniała możliwość, że mnóstwo tabliczek klinowych uszło ich uwagi i poniewierało się jeszcze w gruzach wzgórza Kujundżyk, a wśród nich brakujące fragmenty opowiadania Ut-napisztima? Dość było przysłowiowego łutu szczęścia, by je tam odnaleźć.

I znowu nowa sensacja. Jakby za sprawą cudu spełniło się to, co powszechnie uważano za marzenie ściętej głowy. W trzykrotnych wyprawach do Mezopotamii, pełnych przygód i trudności, trwających razem wziąwszy nieledwie cztery miesiące, Smith zebrał przeszło trzy tysiące napisów klinowych, z których ku ogólnemu zdumieniu wyodrębnił 380 odłamków, zawierających brakujące części opowiadania Ut-napisztima.

Po odszyfrowaniu pisma i dokonaniu przekładu, całość danego ustępu brzmiała następująco:

Załadowałem cały dobytek, cały plon swego życia,
Umieściłem na statku rodzinę i krewniaków,
Kazałem wsiadać zwierzętom, bydłu z pastwisk i rzemieślnikom.
Gdy zajaśniał młody brzask,
Z dalekich niebios napłynęły czarne chmury
I wszystko, co było jasne, zniknęło w ciemności.
Brat brata nie zdołał poznać
I nie poznali się nawet mieszkańcy niebios.
Bogowie z trwogi przed potopem
Umknęli, wspinając się do nieba boga Anu,
Gdzie jak psy przywarli do ściany…
Sześć dni i sześć nocy
Szalały po kraju wichry i fale potopu,
Huragan zniewolił ziemię.
A gdy zaświtał siódmy dzień, zamilkły huragany.
Potop, co srożył się niby armia wojowników, zelżał,
Morze uśmierzyło się, ucichły złe wiatry, potop stanął u kresu.
Spojrzałem na morze i widzę, że jest spokojne
I że cała ludzkość utonęła w błocie.
Iły sięgały dachów sadyb.
Spojrzałem na świat, na widnokrąg morza;
W odległości dwunastu miar wychynęła wyspa.
Arka osiadła na górze Nasir,

A góra Nasir uchwyciła arkę i nie dała jej odpłynąć…
Skoro nastał siódmy dzień
Zwolniłem gołębia, puściłem go w świat,
A on poszybował w dal i powrócił.
Zwolniłem jaskółkę, puściłem ją w świat,
A ona śmignęła w dal i powróciła.
Wróciła dlatego, bo nie miała gdzie spocząć.
Zwolniłem kruka, puściłem go w świat,
A kruk frunął w dal, spostrzegł, że wody opadły,
Począł się karmić, pluskać w wodzie, krakać i już nie wrócił.

Któż mógł zaprzeczyć, że historia Ut-napisztima jest źródłem i prawersją biblijnego potopu? Wskazywały na to identyczne szczegóły obu tekstów, jak wypuszczenie na wolność gołębia i kruka, jak góra, na której osiadła arka, czy też czas trwania potopu, jako też morał opowieści: ukaranie ludzkości za grzechy i wynagrodzenie bogobojnego Ut-napisztima – Noego. Biblia okazała się zbiorem, kompilacją prahistorycznych mitów, klechd i legend ludowych.

Burzliwe życie Smitha zakończyło się tragicznie. Podczas trzeciej wyprawy padł ofiarą epidemii cholery, która grasowała wtedy na Bliskim Wschodzie, i 19 sierpnia 1876 roku umarł w Aleppo w trzydziestym szóstym roku życia. W pamiętniku, jaki prowadził niemalże do ostatniej chwili, zanotował:

„Pracowałem wyłącznie dla wiedzy… moje zbiory stanowią cenny materiał do studiów. Miałem zamiar opracować go osobiście, teraz jednak pragnąłbym, by moje zabytki były dostępne wszystkim badaczom. Starałem się zawsze spełnić swój obowiązek…”.

NA TROPACH POTOPU

JAKKOLWIEK Z GÓRY MOŻNA BYŁO PRZYJĄĆ, że obraz potopu w poemacie sumeryjskim jest wytworem ludowej fantazji poetyckiej, to jednak nasuwało się pytanie, czy na podobieństwo wielu innych klechd i mitów nie zawierał on choćby ziarna prawdy historycznej. Przygody Ut-napisztima mogły być przecież echem, refleksem jakiejś zamierzchłej katastrofy żywiołowej, która wraziła się głęboko w pamięć pokoleń w postaci najrozmaitszych podań i alegorycznych przypowieści religijnych.

Pytanie wydawało się tym bardziej na miejscu, że Sumerowie sami co do historyczności potopu nie mieli żadnych wątpliwości. Wyliczając w rejestrach dynastycznych królów Mezopotamii, dzielili ich na dwie wyraźnie odgraniczone grupy: na królów sprzed potopu i z okresu po potopie. „A potem był potop, a po potopie królowie ponownie zstąpili z nieba" – oto formuła, stale napotykana w ich kronikach.

Archeolog angielski Woolley, prowadząc w latach 1927-1929 prace wykopaliskowe w Ur, zetknął się z tym zagadnieniem zupełnie przypadkowo. U stóp miejskiego muru warownego znajdowało się spore wzgórze najrozmaitszych śmieci, gruzów i popiołu, przypuszczalnie dawne śmietnisko miejskie, gdzie mieszkańcy ze szczytu muru rzucali odpadki kuchenne. Śmietniska przez swoje bogactwo archeologicznych znalezisk przedstawiają zawsze cenne źródło wiadomości o kulturze materialnej dawniejszych ludów, toteż wzgórze Ur wzbudziło najwyższe zainteresowanie.

Woolley kazał wykopać szyb zwiadowczy na głębokość czternastu metrów. Robotnicy wyrzucali łopatą gruzy i śmiecie, popiół

z ognisk, sadze, na pół spalone drewno, zmurszałe cegły i ogromną ilość skorup ceramicznych. Wysokość nasypu oraz wielka ilość warstw kulturowych, wyraźnie widocznych na ścianie wykopu, świadczyły, że mieszkańcy Ur musieli używać tego miejsca na śmietnisko dosłownie przez wiele setek lat.

Na dnie szybu Woolley stanął wobec największej rewelacji archeologicznej swego życia. Okazało się mianowicie, że pod czternastometrową pokrywą gruzów ukrywało się cmentarzysko, do tego stopnia starodawne, że już Sumerowie nie mieli pojęcia o jego istnieniu, czego niezbitym dowodem jest ta okoliczność, iż zasypywali je śmieciami.

Ba, nawet sam cmentarz liczył kilkaset lat. Groby leżały na sobie dwoma, trzema, a miejscami nawet sześcioma piętrami. Liczne generacje kopały tu dla swoich zmarłych mogiły i grobowce, nie wiedząc o tym, że pod nimi kryją się zapomniane groby ich pradziadów. Na tym to cmentarzysku odkryto grobowce wczesnych królów sumeryjskiego miasta – państwa Ur z bezcennymi skarbami ze złota i z drogich kamieni.

Woolley nie zadowolił się tym odkryciem. Chciał koniecznie wiedzieć, co kryje się pod cmentarzyskiem. Jakie były losy tego skrawka ziemi przedtem, zanim stał się przybytkiem zmarłych? Czy uprawiali go rolnicy, czy też mieściło się na nim jakieś osiedle? Odpowiedzi mogły udzielić tylko łopata i oskard. Niebawem spotkała go nowa, niebywała niespodzianka, bo oto pod cmentarzem znajdowało się inne śmietnisko z odpadkami domowymi. Pochodziło ono chyba z najwcześniejszego okresu Ur, a więc było niebywale stare, o wiele starsze niż odkryte na cmentarzu groby królewskie.

Po przedrążeniu stosunkowo grubej warstwy śmieci robotnicy natknęli się na zwarty pokład samorodnego mułu, naniesionego tu kiedyś przez wodę i pozbawionego wszelkich śladów człowieka. Wszystko więc przemawiało za tym, że wreszcie dotarli do pierwotnego dna dawniejszej delty rzecznej z okresu, kiedy nie było tu jeszcze żadnych osadników. Robotnicy po stwierdzeniu tego faktu oświadczyli, że nie mają po co kopać dalej. Woolley był z początku tego samego zdania, potem wszakże, po przyjrzeniu się okolicy, doszedł do wniosku, że poziom namuliska, mimo że wkopano się

stosunkowo głęboko, był daleko wyższy niż okoliczna płaszczyzna. Pomiary triangulacyjne potwierdziły to w całej pełni. Ponieważ trudno było przypuszczać, że dno rzeki leżało wyżej niż otaczająca ją dolina, wzgórze musiało być dziełem rąk ludzkich i zawierać w swoim wnętrzu jakąś tajemnicę. Z drugiej strony zdawały się przeczyć temu pokłady mułu, najwyraźniej naniesione przez wody rzeczne.

Łopaty poszły znowu w ruch. Ale sprawa wyglądała dość beznadziejnie. Mijała godzina za godziną, a z wykopu wyrzucano wciąż tylko samą glinę rzeczną, bez śladu ludzkiej działalności. Zdawało się, że wbrew pomiarom gruba warstwa mułu jest jednak dawniejszym dnem rzeki z okresu, kiedy Mezopotamia tworzyła niezamieszkane mokradła.

Na głębokości około dwóch i pół metra robotnicy arabscy przestali kopać, zdumieni tym, co zobaczyli. Przywołali natychmiast Woolleya i oto, pod grubą pokrywą mułu rzecznego, pojawiły się nowe gruzy cegieł, skorupy garnków, śmiecie i sadze. Ujawniono jakąś praosadę ludzką.

Wprawne oko archeologa od razu poznało, że należała ona do zupełnie swoistej kultury, innej zgoła niż kultura Sumerów – ma się rozumieć o wiele starszej chronologicznie i prymitywniejszej. Odrębne motywy ornamentacyjne garnków, narzędzia z kamienia gładzonego jak również charakterystyczny wypukły kształt cegły, podobny do znalezionego w osadzie w Al-Ubajid, świadczyły bezspornie, że natrafiono na zabytki epoki neolitycznej.

Dwuipółmetrowa warstwa mułu, nanoszonego przez nurty wodne, dzieliła więc zdecydowaną granicą dwie obce kultury. Ponad pokładem mułu spoczywały szczątki kultury sumeryjskiej, daleko posuniętej w rozwoju, z garnkami obtaczanymi na krążku garncarskim, a pod pokładem – resztki pierwotnej kultury innego, nieznanego ludu.

W jaki sposób wytłumaczyć obecność owej grubej warstwy gliny, dzielącej dwie odrębne epoki osadnictwa ludzkiego? Odpowiedź może być tylko jedna: powódź. Ale powódź, która pozostawiła takie ślady po sobie, nie mogła być zwyczajnym zjawiskiem natury. Z pewnością był to kataklizm o niebywałych rozmiarach

i tragicznych skutkach dla wszelkiego życia w przyrodzie. By nagromadzić dwuipółmetrową warstwę mułu i szlamu, woda z konieczności musiała stać w tym miejscu dłuższy czas na głębokości bez mała ośmiu metrów. Przy takim poziomie wody cały kraj, od pustyni Iraku do podgórza Elamu, od Hilleh, czyli dawniejszego Babilonu, do Zatoki Perskiej – musiał stać się ofiarą wylewu. Zatopił on wszystkie wsie i miasta, z wyjątkiem tych jeno, które położone były na większych wzniesieniach. Kroniki sumeryjskie istotnie donoszą, że niektóre miasta wyszły z katastrofy obronną ręką.

Powódź, rzecz oczywista, nie była katastrofą powszechną, jak chcą tego sumeryjskie i hebrajskie podania, lecz wydarzeniem lokalnym w Basenie Eufratu i Tygrysu, obejmującym obszar rozmiarów 650 razy 150 kilometrów. Ale dla tamtejszych mieszkańców zamykał się w tym obszarze cały świat, a powódź oznaczała potop, którym groźny i sprawiedliwy bóg ukarał grzeszną ludzkość.

Powódź wyjaśniła zagadkę raptownego zniknięcia garnków ręcznie lepionych o swoistych motywach zdobniczych, które, jak to wykazują wykopaliska, kiedyś rozpowszechnione były w całej Mezopotamii. Plemiona, co owe garnki lepiły, zginęły w czasie powodzi. Nieliczne grupki cudem ocalałych rozbitków zepchnięte zostały na szczebel barbarzyństwa i nędznej wegetacji. Ziemie, niegdyś tak urodzajne, przemieniły się w moczary; sadyby ludzkie rozniosła woda, a bydło domowe wyginęło co do nogi. Cywilizacja owych nieznanych plemion została brutalnie przerwana w rozwoju i nie zdołała się już podnieść z upadku.

W miarę jak moczary wysychały, a wody odpływały do koryt Eufratu i Tygrysu – pojawili się tu nowi ludzie i przemieszali się niebawem z resztkami niedobitków. Byli to Sumerowie. Stary Testament cytuje legendę sumeryjską, która twierdzi, że Sumerowie „przywędrowali ze Wschodu i zajęli równinę Szinear (Babilonii)". Inna legenda głosi, że przyszli z południa zza morza, przynosząc z sobą umiejętność uprawy roli, sztukę obróbki metali i pismo. „I odtąd – mówi dalej legenda – nie dokonano żadnych nowych wynalazków".

Z połączenia tych dwóch ludów powstała cywilizacja sumeryjska.

JAK ZŁOTY PACIOREK PRZYCZYNIŁ SIĘ DO ODKRYCIA TAJEMNICY KRÓLEWSKIEJ

NIEOCZEKIWANE REZULTATY PIERWSZYCH POSZUKIWAŃ wskazywały, że śmietnisko Ur zawiera wręcz nieocenione skarby archeologiczne, a przede wszystkim może wyjaśnić wiele tajemnic przeszłości. Następny wykop zwiadowczy nie tylko nie zawiódł tej nadziei, lecz nawet przewyższył ją w sposób rewelacyjny. To bowiem, co w nim znaleziono, zmieniło gruntownie dotychczasowe poglądy naukowe na najstarszą cywilizację świata.

Pośród mnóstwa broni i narzędzi z brązu odkryto tam prawdziwe arcydzieło starodawnego złotnictwa, słynny już dzisiaj „sztylet z Ur". Na dzieło sztuki o nieporównanym blasku i przepychu składały się klinga z kutego złota, rękojeść z lapis lazuli nabijana złotymi guzami, jak również pochwa ze złotej blachy, wymłotkowanej w misterne ornamenty. W wykopie zebrano również pewną liczbę filigranowych przedmiotów toaletowych, jak szczypce, lancety i puzderka, dające nam wyobrażenie nie tylko o bogactwie, lecz również o wysokich osiągnięciach artystycznych cywilizacji sumeryjskiej.

Pod wrażeniem tych znalezisk Woolley postanowił zbadać szczegółowo cały ogromny nasyp śmietniska. Usuwając starannie ziemię warstwę po warstwie, dotarł wreszcie do wspomnianego już cmentarzyska sumeryjskiego. Stopniowo odsłonił 1400 grobów mieszkańców Ur, spiętrzonych miejscami aż w sześciu

kondygnacjach. W najniższej warstwie cmentarza kryło się szesnaście grobowców królewskich, daleko starszych od grobów przeciętnych mieszkańców miasta.

Groby zwykłych śmiertelników miały kształt prostokątnego dołu. Na dnie leżały spopielałe zwłoki z reguły na boku, z nogami lekko zgiętymi w kolanach, z dłońmi trzymającymi kubek przy wargach. Owinięte były w matę spiętą długą mosiężną szpilą bądź też pochowane w trumnach z drewna, plecionki wiklinowej lub niepalonej gliny.

Groby te obficie wyposażono w najrozmaitsze przedmioty codziennego użytku. Znaleziono w nich luzem leżące paciorki naszyjników, kolczyki, bransolety, noże, sztylety, przybory toaletowe, przede wszystkim zaś sporo naczyń z ceramiki, miedzi i alabastru. Chociaż w grobach nie znaleziono ani jednego przedmiotu związanego bezpośrednio z kultem religijnym, to jednak sam fakt zaopatrzenia zmarłych w jadło i napoje przemawia za tym, że Sumerowie wierzyli w istnienie życia pozagrobowego.

Grobowce królewskie składały się z dwóch do czterech komór, wymurowanych z kamieni lub cegieł i nakrytych kopulastym stropem. Komory te mieściły się na dnie głębokiego wykopu i były zasypane całkowicie ziemią. Do wejścia, wypełnionego gruzami, prowadziła pochylnia wykopana w ziemi i obłożona okładziną z wiklinowej maty.

Niestety, grobowce były ograbione. W komorach nie znaleziono ani jednego zabytku czy też jakiegokolwiek śladu po zmarłych. Na dobrą sprawę nie można się temu dziwić, zważywszy burzliwe koleje, jakich doświadczył cmentarz w ciągu wielu setek lat swego istnienia. Przypomnijmy sobie jego układ warstwicowy. Na samym dnie kryło się najstarsze śmietnisko miejskie. Później na miejscu tym urządzono cmentarz, na którym grzebano, również w murowanych grobowcach, członków domu królewskiego. Po upływie kilkuset lat, kiedy zapomniano zupełnie o grobach, powstało tam drugie z rzędu śmietnisko. Potem na podwyższonym gruncie zaczęto znowu grzebać zmarłych, a w końcu miejsce przeznaczono na budowę dzielnicy mieszkaniowej.

Jak widzimy, niewielki ten teren stale był użytkowany. Toteż nietrudno sobie wyobrazić, w jaki sposób grobowce padły ofiarą złodziejaszków. Należy przypuszczać, że grabarze drugiego z rzędu cmentarza w czasie kopania zawadzili łopatą o mury niżej położonych grobowców królewskich. Pokusa była zbyt silna, aby nie włamać się do tajemniczej budowli i zobaczyć, co się w niej kryje. Po otworzeniu grobów ujrzeli nagle olśniewający przepych złotych kosztowności i zaczęli grabić wszystko, nie oszczędzając nawet samych zwłok królewskich.

Upłynęło odtąd kilka wieków. Na dawnym cmentarzu rozpoczęto budowę domów mieszkalnych, Przy kopaniu dołów pod fundamenty robotnicy mogli z łatwością natknąć się na jakiś przedmiot, porzucony w pośpiechu przez rabusiów, podobnie jak to było ze „sztyletem z Ur", znalezionym dopiero przez ekspedycję Woolleya. Stało się to bodźcem do dalszych poszukiwań i wykrycia grobowców, nieobrabowanych jeszcze z kosztowności.

Nie zawsze jednak obrabowywano groby przy przypadkowym ich odkryciu. Zachowały się bowiem ślady starannie uplanowanego rabunku. Świadczą one, że proceder plądrowania grobów uprawiano nie tylko w Egipcie. Rabusie kopali najprzód pionowy szyb do pewnej głębokości, a potem poziomym tunelem dostawali się do grobu królewskiego, którego położenie już przedtem sobie obliczyli.

W wielu wypadkach udawało im się to z podziwu godną dokładnością. Czasami jednak byli to, być może, nowicjusze w tym „rzemiośle", a więc mylnie wyliczyli położenie upatrzonego grobu i nie osiągnęli zamierzonego celu. Przykładem tego są niektóre na wpół wykopane tunele, na ich bowiem osi nie znajduje się żaden grobowiec.

Przed archeologami stanął trudny problem ustalenia epoki grobów królewskich. Sposoby i drogi rozumowania, za pomocą których zdołali rozwiązać to zagadnienie, są bardzo ciekawe, gdyż pozwalają nam poznać precyzyjne metody pracy naukowej archeologii.

Była już mowa o semickim królu Akkadu Sargonie, który zawojował wszystkie miasta-państwa Sumerii i stworzył monarchię despotyczną w Mezopotamii. Otóż na podstawie zapisków

kronikarzy sumeryjskich obliczono, że ów zdobywca panował w latach 2360-2305 p.n.e. Sprawa jednak nie była tak bardzo prosta. Z pewnych względów, których nie sposób tu wyłuszczyć, asyrolodzy przez długi czas sądzili, że Sargon jest postacią legendarną i że pod tym fikcyjnym imieniem zgrupowano czyny kilku zapomnianych królów historycznych. Utożsamiano go między innymi z Nemrodem ze Starego Testamentu.

Pamiętać należy, że nad grobowcami królewskimi, w wyższych warstwach cmentarzyska Ur, znaleziono inne groby, w których chowano zwykłych mieszkańców miasta. Do ustalenia przybliżonej daty tych grobów dopomogło sensacyjne znalezisko: dwie pieczęcie cylindryczne z wyrzeźbionym na nich nazwiskiem i zawodem właściciela. Jakież było zdumienie archeologów, gdy stwierdzono, że były one własnością dwóch domowników króla Sargona. Należeli oni do służby córki królewskiej, piastującej wysoką godność kapłanki bogini księżyca. Wykopano nawet płytę z jej wizerunkiem. Na płaskorzeźbie tej widać kapłana składającego ofiarę na ołtarzu, a za jego plecami stojącą kobietę w powłóczystej szacie. Z napisu umieszczonego obok dowiadujemy się, że jest to córka króla Sargona. Jedna z pieczęci była własnością jej fryzjera, druga zaś pisarza i marszałka dworu.

Odkrycie grobów dwóch urzędników dworskich pozwoliło zatem ustalić z całą pewnością, że wbrew dotychczasowym teoriom Sargon był postacią historyczną i że wobec tego wyżej położone groby powstały około 2300 roku p.n.e.

Rzecz oczywista, że grobowce królewskie, przez sam fakt, iż znajdowały się poniżej grobów z epoki Sargona, musiały być znacznie starsze od nich. Ale o ile lat starsze? Odpowiedź na to pytanie uzyskano drogą okólną i dość zawiłą.

Zachowały się do naszych czasów dwie listy dynastyczne, wyliczające kolejnych królów sumeryjskich. Jedną z tych list sporządzili kronikarze sumeryjscy, a drugą pozostawił kapłan babiloński z III wieku p.n.e., Berosos, historyk piszący w języku greckim.

Z list tych wynikałoby, że historia sumeryjska zaczyna się od stworzenia świata. Pierwszych królów nazywa się tam prakrólami.

Według jednej wersji było ich ośmiu, a według drugiej – dziesięciu. Ci królowie pobili rekord długowieczności Matuzalema, żyli bowiem w sumie 241 300, względnie 456 000 lat. Dynastia prakrólów skończyła się na skutek potopu, a potem – jak głosi legenda – świat zaludnił się potomkami Ut-napisztima. Pierwsza dynastia sumeryjskich królów, która objęła władzę po potopie, panowała według tych list 24 150 lat.

Mityczny wiek królów oraz nadprzyrodzone cechy, jakie im przypisywano we wspomnianych rejestrach, sprawiły, że asyrolodzy z góry odrzucili listy jako zgoła niewiarogodne i bezwartościowe pod względem historycznym.

Woolley, pod wpływem odkryć dokonanych w śmietnisku Ur, zaczął zastanawiać się, czy przypadkiem pierwsza dynastia po potopie, mimo rzekomo fantastycznego okresu jej panowania, nie istniała rzeczywiście. Jakoż niebawem nowe odkrycie potwierdziło jego przypuszczenie.

W gruzach miasta Al-Ubajid Woolley odsłonił świątynię poświęconą matce bogów Nin-chursag. Była to okazała budowla, jedna z najstarszych w Mezopotamii, pełna kolumn miedzianych, mozaikowych ozdób, płaskorzeźb i posągów. Wpośród zwałów ruin znaleziono pięknie wypolerowany złoty paciorek z wyrytymi na nim znakami klinowymi. Po odszyfrowaniu ich okazało się, że zapisano nimi imię fundatora świątyni. Napis brzmiał w całości następująco: „A-anni-padda, król miasta Ur, syn Mes-anni-paddy, króla miasta Ur, zbudował świątynię dla bogini Nin-chursag". Później odkopano tablicę erekcyjną świątyni z imionami tych samych królów.

Odnalezienie złotego paciorka wywołało wśród asyrologów niebywałe poruszenie. Król Mes-anni-padda figurował przecież na obu listach jako założyciel pierwszej, popotopowej dynastii sumeryjskiej. Uważany dotąd za postać mityczną, stał się nagle postacią historyczną. Jego bowiem syn był fundatorem odkrytej przez Woolleya świątyni.

Kiedy panował Mes-anni-padda? Dokładnie nie dało się tego ustalić, ale na podstawie charakterystycznych motywów zdobniczych na naczyniach ceramicznych, których datę określono już innymi sposobami, a które znaleziono w tej samej warstwie

kulturowej – można było w przybliżeniu wyliczyć, że żył on na 2700 lat przed początkiem naszej ery.

Powróćmy teraz do grobów królewskich w Ur. Na podstawie znalezionego napisu ustalono nazwisko jednego z królów tam pochowanego. Był to A-bar-gi.

A-bar-gi nie figuruje na wspomnianych listach dynastycznych. Zastanowiło to archeologów. Nie można było przecież powiedzieć o nim, że jest postacią legendarną, ponieważ odkryto jego grobowiec pełen bezcennych skarbów. Istniał więc na pewno i na pewno był królem miasta Ur.

Odpowiedź była taka: A-bar-gi żył wcześniej niż Mes-anni-padda. Ponieważ jednak Mes-anni-padda podany jest na liście jako pierwszy król sumeryjski, kim wobec tego był A-bar-gi?

Wyjaśniły nam to dopiero odczytane tabliczki klinowe. Otóż około 2700 p.n.e, a więc za panowania Mes-anni-paddy, miasto Ur zdobyło hegemonię nad pozostałymi miastami-państwami Sumeru. Mes-anni-padda był zatem pierwszym królem całego Sumeru i dlatego lista go wymienia. Inni królowie panujący przed nim, a między nimi A-bar-gi, byli tylko lokalnymi władcami miasta-państwa Ur, a nawet, jak to dowiadujemy się również z tabliczek klinowych, wasalami potężniejszego od nich Lagaszu.

I oto doszliśmy do sedna zagadnienia. W okresie panowania pierwszego władcy Sumeru Mes-anni-padda, to jest na 2700 lat przed początkiem naszej ery, cmentarz w Ur zamieniono już w śmietnisko. Groby starodawnych królów lokalnych miasta-państwa zasypano bez skrupułów różnego rodzaju odpadkami z tej prostej przyczyny, że wieść o nich zaginęła bez echa.

Nasuwa się pytanie, ile musiało upłynąć czasu, aby w niepamięć poszły dawne grobowce? Licząc skromnie – od dwustu do trzystu lat. Tak więc groby królewskie pobudowano na trzysta lat przed rokiem 2700 p.n.e., to znaczy na przełomie czwartego i trzeciego tysiąclecia p.n.e.

Oto jak złoty paciorek przyczynił się do ujawnienia tajemnicy grobów królewskich.

BOHATER DOBREJ ZIEMI I MALEŃKA KSIĘŻNICZKA UR

PEWNEGO RAZU ROBOTNICY zatrudnieni przy pracach wykopaliskowych na cmentarzysku znaleźli wystający ostrzem z ziemi miedziany grot włóczni. Do grotu, jak się okazało po jego wyjęciu, była przynitowana tulejka służąca do umocowania drzewca. Tego rodzaju wykopalisk znajdowało się w nasypie wprost zatrzęsienie, toteż grot nie zwróciłby szczególnej uwagi archeologów, gdyby nie ta okoliczność, że tulejka błyszczała pozłociście, jakby dopiero co wyszła spod ręki płatnerza. Jedynie tylko szczere złoto mogło ostać się w tak zdumiewający sposób niszczycielskiemu działaniu czasu.

Woolley natychmiast wstrzymał prace i poddał miejsce znaleziska dokładnym oględzinom. I oto tam, gdzie tkwiło ostrze włóczni, odkrył pionowy kanalik w ziemi, niewątpliwy ślad po doszczętnie zbutwiałym drzewcu. Położenie włóczni mocno go zastanowiło, kazał więc równolegle do kanaliku wykopać szyb i ku swojemu zdumieniu dotarł wprost przed wejście jakiegoś murowanego grobowca. Nie było już wątpliwości, że tajemnicze drzewce służyło kiedyś jako drogowskaz do grobu. Umieścił je tam ktoś z orszaku pogrzebowego w chwili zasypywania grobowca, prawdopodobnie w zamiarze ułatwienia sobie późniejszej grabieży. Grobu jednak nie splądrowano.

Woolley z niepokojem przyglądał się robotnikom, jak gorączkowo oczyszczali wejście grobowca z gruzów i piasku, a gdy wreszcie uporali się z robotą, wszedł do mrocznej piwnicy z bijącym sercem.

Zatrzymał się jednak już na progu, zaskoczony tym, co tam zobaczył. Oszałamiające bogactwo najrozmaitszych przedmiotów poustawianych na posadzce komory mogło przyprawić o zawrót głowy.

Nie wątpił, że odkrył pierwszy nietknięty przez rabusiów grób wysokiego dostojnika sumeryjskiego.

Pośrodku komnaty stały zbutwiałe mary, na których leżały sczerniałe prochy zmarłego. U wezgłowia sterczał rząd wetkniętych w ziemię włóczni, a w równych między nimi odstępach rozstawione były najrozmaitszej wielkości wazy z alabastru i wypalonej gliny. Podobny rząd włóczni znajdował się również u nóg zmarłego, z tą różnicą, że między włóczniami powbijane były w klepisko strzały z krzemiennymi grotami.

Zwyczajem sumeryjskim zwłoki spoczywały na boku, z nogami lekko zgiętymi w kolanach, z dłońmi trzymającymi kubek przy ustach. Ów kubek nie był ulepiony z gliny, jak to bywało w innych grobach, lecz wykuty ze szczerego złota. Pierś dostojnika pokrywały setki paciorków z lapis lazuli i złota. Do szerokiego srebrnego pasa był umocowany złoty puginał oraz zaczepiona na złotym kółku osełka z lapis-lazuli. Tuż przy łokciu i u wezgłowia leżały puchary, lampki oliwne w kształcie muszli, diademy i niezliczona liczba biżuterii – wszystko wykute ze szczerego złotego kruszcu najlepszej próby. Zmarły obejmował prawym ramieniem potężny topór z podwójnym ostrzem.

Zachwyt Woolleya wzbudził przede wszystkim paradny szyszak, wykuty i wyklepany cały ze złotej blachy, z bocznymi płytami chroniącymi policzki. Miał on kształt peruki z misternie wymłotkowanymi puklami włosów. W wykonaniu szczegółów zdradzał rękę wytrawnego mistrza sztuki złotniczej.

Zdumiewający był stan znalezionych kosztowności. Czas, ów nieubłagany niszczyciel wszelkich rzeczy, okazał się niewiarogodnie bezsilny wobec złota. Diademy, puchary, szyszak i biżuteria sprawiały wrażenie, jakby dopiero co złożono je do grobowca.

Na przedmiotach złotych wyryte było nazwisko mieszkańca grobowca: Mes-kalam-dug – „Bohater Dobrej Ziemi”. Z zaszczytnego przydomka czy tytułu wynika jasno, że zmarły nie był królem, lecz

sławnym wodzem, który – rzec można z dużym prawdopodobieństwem – w bratobójczych walkach miast sumeryjskich o zdobycie hegemonii odnosił zwycięstwa i z tych względów, jak to świadczy bogate zaopatrzenie grobu, dostąpił niezwykłych zaszczytów na dworze królewskim.

Tabliczki klinowe nigdzie nie wspominają o „Bohaterze Dobrej Ziemi" – Mes-kalam-dugu. Wieść o nim zawdzięczamy tej pomyślnej okoliczności, że grób jego cudem jakimś uszedł zachłanności rabusiów cmentarnych. Z pewnością też nie dowiemy się o nim w przyszłości niczego więcej. Ale już to, co nagromadzono przy marach, a co przecież należało do jego najosobistszego mienia – mówi nam niejedno z życia tego wojownika. Wiemy o uwielbieniu, jakim go darzono w Ur, o przepychu jego strojów i uzbrojenia, o pucharach, z których pił wino, o zamiłowaniu do pięknych waz, do wielobarwnych naszyjników, do misternie zdobionej broni i biżuterii – słowem, o wytworności i zbytku, wśród którego spędzał i zakończył swój błyskotliwy żywot.

Pod wrażeniem niecodziennego odkrycia nawet trzeźwy archeolog nie zdołał utrzymać na wodzy rozigranej fantazji. W wyobraźni jego stanęły jak żywe postacie i sceny związane z wojownikiem Mes-kalam-dugiem. Oto w olśniewającym splendorze odbywa on wjazd triumfalny do miasta Ur, wracając z pomyślnej wyprawy wojennej. Szpalery ludności na ulicach witają go entuzjastycznie. On zaś stoi dumnie wyprostowany w rydwanie, dążąc do świątyni, która hen wysoko, na wierzchołku zikkuratu, jarzy się lazurem swoich ścian i pozłotą kopuły. Tam powita go łaskawie król-kapłan w otoczeniu dworu i w obliczu całego miasta sławić będzie jego wielkie zasługi wojenne.

Za pojazdem wodza, ciężkim od płaskorzeźb i okuć, maszerują wojownicy zbrojni w spiżowe kaski, włócznie, tarcze, proce i łuki. Za nimi podążają żałosne szeregi jeńców wojennych, poganiane świstem batów i poszturchiwaniem dozorców. Widać wśród nich nie tylko krzepkich żołnierzy, lecz również kobiety i dzieci, a nawet starców, przydatnych do pracy niewolniczej na rozległych polach kapłanów i możnowładców. Triumfalny pochód zamyka korowód wozów, obładowanych wszelkiego rodzaju łupem wojennym.

„Ludność wpatruje się z podziwem w bohatera. Gorejące słońce lśni w złotej blasze jego szyszaku. Pierś pokrywają szczelnie ciężkie festony paciorków ze złota i z lapis-lazuli. Rynsztunek jego – to złoty sztylet wiszący u srebrnego pasa, tarcza z miedzi bogato cyzelowana oraz włócznia ze złotymi okuciami, ta sama, która w sposób tak osobliwy naprowadziła Woolleya na ślad grobowca.

Tłumom, olśnionym połyskami stroju, Mes-kalam-dug wydawać się musiał jakąś nadziemską istotą, wydelegowaną przez boga Nannara do Ur. Oto w słonecznym blasku kroczy jeden z tych wybrańców, dla których urabiano sobie ręce, znoszono głód, dzielono się plonami, by zaskarbić przychylność boga czuwającego nad bezpieczeństwem miasta na wysokościach zikkuratu. Uczyli ich tej mądrości biegli w piśmie kapłani. W gwiazdach czytali przyszłość i dzięki magicznym znakom klinowym wiedzieli dokładnie, jaką daninę powinien każdy składać królowi i kapłanom.

O bogactwie klasy rządzącej Ur dowiadujemy się jeszcze z innego grobu, odkrytego również w stanie nienaruszonym. Pochowana była tam dziewczynka w wieku od sześciu do siedmiu lat, zapewne księżniczka krwi królewskiej. W jej murowanej krypcie znaleziono diademy inkrustowane paciorkami z lapis-lazuli i obwieszone wisiorkami w kształcie liści bukowych; ponadto złote puchary, kubki, półmiski, wazy i mnóstwo biżuterii. Nie były to jednak zwykłe przedmioty, miały one bowiem rozmiary miniaturowe i sprawiały wrażenie zabawek dla dziecka.

Łatwo wyobrazić sobie, w jakim zbytku musiała wychowywać się ta mała księżniczka, jeśli jadła i piła wyłącznie ze złotych, specjalnie do jej wieku przystosowanych naczyń.

KRÓLOWIE NIE UMIERALI SAMOTNIE

PRZEKOPUJĄC OGROMNY NASYP ŚMIETNISKA URSKIEGO, robotnicy natknęli się w pewnej chwili na uderzające w swej osobliwości znalezisko. Na dnie płytkiego dołu spostrzegli pięć spopielałych szkieletów ułożonych obok siebie z wyraźnie widoczną starannością. Sztylety, leżące obok nich, świadczyły, że byli to mężczyźni, prawdopodobnie wojownicy dawnego Sumeru.

Choć archeolodzy zdążyli już przyzwyczaić się do sensacyjnych odkryć na cmentarzysku, to jednak znalezisko wzbudziło ich szczególne zainteresowanie. Do tej chwili bowiem nie odkopano tam ani jednego grobu zbiorowego, nigdy też zmarli nie leżeli pogrzebani, bezpośrednio w ziemi, bez maty ochronnej czy trumny. Wprost jaskrawym zaprzeczeniem tego wszystkiego, co dotąd zdołano dowiedzieć się o zwyczajach pogrzebowych Sumerów, wydawała się okoliczność, że zmarłych, poza zwyczajowym kubkiem przy ustach, nie zaopatrzono na wędrówkę pośmiertną w ani jeden sprzęt domowy, nawet w napotykane z reguły w innych grobach naczynia z jadłem i napojami.

Grób zbiorowy stanowił zatem zagadkę archeologiczną, owianą urokiem jakiejś romantycznej tajemnicy. Nim jednak Woolley zdołał zapuścić się w różne na ten temat domysły, uwagę jego ściągnęło nowe odkrycie. Szkielety leżały na macie wiklinowej, tworzącej jakby podłogę mogiły. Dokładniejsze badania ujawniły, że podłoga nie jest pozioma, lecz nachyla się pod dość dużym kątem, a mata ciągnie się głębiej pod ziemię, poza obręb wykopu. W miarę kopania wzdłuż maty stawało się jasne, że tworzyła ona chodnik pewnego rodzaju pochylni, wiodącej do jakiegoś nieznanego celu, ukrytego

na razie pod ziemią. Pięciu wojowników leżało u wylotu pochylni, jakby zadaniem ich było strzec doń wstępu.

W niedużej odległości, w poprzek całej szerokości pochylni, leżały w dwóch szeregach prochy dziesięciu kobiet. Niezwykłe bogactwo zdobiących je klejnotów świadczyło, że nie pochodziły one z pospólstwa. Na głowie miały złote opaski inkrustowane kamieniami z lapis-lazuli i krwawnika; szyje ich okalały kunsztowne naszyjniki z barwnych paciorków. Również i one pozbawione były przypisanej rytuałem zastawy grobowej.

Odtąd niemal każde uderzenie kilofa przynosiło nowe rewelacje. Nieopodal zwłok kobiecych odkopano resztki przedziwnie pięknej harfy. Drewniana rama zniknęła wprawdzie bez śladu, ale jej okucia metalowe i ozdoby leżały w takiej pozycji, że można było dorobić do nich brakujące części instrumentu i w ten sposób odtworzyć w postaci, w jakiej złożyli go tam Sumerowie przed tysiącami lat. Poziomy drążek harfy był okuty złotą blachą. Tkwiły w nim gwoździe ze złotymi główkami służące do naciągania strun. Krawędzie pudła rezonansowego zdobił mozaikowy szlak z krwawnika, lapis-lazuli i białej konchy. Główny jednak motyw dekoracyjny tworzyła wspaniała rzeźba, wyklepana ze złotej blachy. Wyobrażała ona głowę byka z oczami i brodą z lapis-lazuli. Na harfie leżały spopielałe prochy rozkrzyżowanej kobiety przybranej w złote klejnoty i różnobarwne paciorki. Była to zapewne harfistka.

Zaledwie robotnicy i archeolodzy zdołali ochłonąć z wrażenia owej jakże przejmującej w swym niemym tragizmie sceny, gdy oto w głębszym odcinku pochylni odkryto kości zwierzęce, które okazały się niebawem resztkami osłów. Tuż znaleziono ślady rydwanu z płozami sankowymi zamiast kół. Obok spoczywały szkielety dwóch mężczyzn, zapewne furmanów. Rydwan pokrywały obficie mozaiki z białych, czerwonych i niebieskich kamieni oraz płaskorzeźby wykute w złotej blasze, a wyobrażające głowy lwów z grzywami z lapis-lazuli.

Dokoła rydwanu poniewierały się najróżniejsze przedmioty i kosztowne cacka. Znaleziono tam szachownice mozaikowe do jakiejś gry towarzyskiej, wazy i dzbany ze złota, srebra i z alabastru, narzędzia i złoty sprzęt do zabiegów toaletowych, przede wszystkim

jednak unikat archeologiczny – prześliczne wyroby ze szkła wulkanicznego. Dwie głowy lwów, wybornie wykute w srebrnej blasze, stanowiły ostatnie pozostałości tronu, którego części drewniane obróciły się w próchno. Ale najwyższe zainteresowanie wzbudziła mocno już zbutwiała skrzynia, na której widniały jeszcze wyraźnie misterne ornamenty figuralne z konchy i lapis-lazuli.

Po żmudnych pracach, mających na celu zabezpieczenie i zakonserwowanie skarbów, archeolodzy zabrali się do usuwania skrzyni. I wtedy zdumionym oczom obecnych ukazała się nowa rewelacyjna tajemnica. Skrzynia zasłaniała swoim dnem otwór, wyrąbany w jakimś ceglanym stropie czy podłodze. Był to celowo uczyniony wyłom, o czym świadczyła okoliczność, że sprawcy usiłowali go potem zamaskować luźno ułożonymi cegłami.

Mur ceglany na dnie pochylni okazał się częścią kopuły zamykającej grobowiec, oczywiście obrabowany przez rabusiów cmentarnych. Znaleziono tam tylko dwa srebrne modele łodzi, o tyle ciekawe, że kształtem nie różniły się w niczym od łodzi używanych do dnia dzisiejszego przez ludność Mezopotamii. Najcenniejsze jednak znalezisko stanowiła pieczęć cylindryczna z napisem, z którego wynikało, że w grobowcu był ongiś pochowany król imieniem A-bar-gi. Dokładne oględziny krypty grobowej ujawniły jeden jeszcze zastanawiający szczegół: król A-bar-gi leżał tu w towarzystwie innych osób, prawdopodobnie domowników z najbliższego otoczenia. A więc nawet murowane mauzoleum królewskie okazało się grobem zbiorowym.

Chcąc zrozumieć dalszy przebieg poszukiwań archeologicznych, musimy mieć przed oczyma jasny obraz topograficznego położenia pochylni i grobowca. Odkopana pochylnia, w której znaleziono zwłoki mężczyzn i kobiet, rydwan płozowy, harfę i skrzynię, nie mogła prowadzić do grobowca króla A-bar-gi z tej oczywistej przyczyny, że przebiegała tuż ponad szczytem jego kopulastego dachu, dotykając go w tym miejscu, gdzie skrzynia maskowała wyłom.

A zatem musiała ona prowadzić do innego grobowca, zagrzebanego gdzieś w ziemi na jej osi. Grobowiec ów rzeczywiście znaleziono w bliskim sąsiedztwie grobowca króla A-bar-gi, z tą tylko

różnicą, że położony był w ziemi nieco wyżej, tak że pochylnia w prostej linii biegła do jego wejścia.

Zanim jednak Woolley zabrał się do odgruzowania i otwarcia nowego grobowca, postanowił szukać pochylni drugiej, należącej do grobowca króla A-bar-gi. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że taka pochylnia musiała się znajdować w głębszych warstwach ziemi Pierwsze jej ślady odsłonięto istotnie na głębokości dwóch metrów powyżej poziomu pierwszej pochylni. U jej wylotu leżało w dwóch szeregach sześciu żołnierzy z dzidami i hełmami z miedzi. Nieco głębiej wykopano dwa drewniane, czterokołowe, zupełnie zbutwiałe wozy zaprzęgnięte w woły. Szkielety tych wołów były tak dobrze zakonserwowane, że jeden z nich został usunięty w całości. Uprząż, szczególnie lejce, pokrywały bogate ozdoby z paciorków i srebrnych okuć. Na kościach wołów leżały prochy dwóch mężczyzn, prawdopodobnie furmanów.

U podstawy muru odsłoniętego w całości grobowca króla A-bar-gi znaleziono zwłoki dziewięciu kobiet w pozycji siedzącej. Na ich zbutwiałych czaszkach lśniły złote diademy wysadzane kamieniami z lapis-lazuli i krwawników oraz obwieszone złotymi wisiorkami w kształcie bukowych liści. U stóp kobiet poniewierały się złote kolczyki w kształcie księżyca, grzebienie z rozetami z lapis-lazuli i białej konchy oraz wielobarwne paciorki, które kiedyś tworzyły nanizane na sznury naszyjniki.

Kobiety, upozowane w melodramatycznym geście, przedstawiały niepodobny do opisania widok. Oparte plecami o zewnętrzną ścianę grobowca, z nogami wyciągniętymi w poprzek wykopu, były niemym, lecz wymownym świadectwem koszmarnej tragedii, jaka rozegrała się tu kiedyś.

Odtąd łopaty robotników wydobywały na powierzchnię coraz to nowe ślady owej tragedii. Przestrzeń między grupą kobiet a wozem dosłownie wypełniały zwłoki innych kobiet i mężczyzn. Po obu stronach wejścia do grobowca, zasypanego gruzowiskiem, stali żołnierze w pełnym rynsztunku bojowym.

Nieco dalej leżały dwie bogato wystrojone harfistki, trzymające palce na strunach instrumentu. Harfy stanowiły prawdziwe arcydzieło zdobnictwa sumeryjskiego. Ich motywem dekoracyjnym

była głowa byka wykuta w srebrnej blasze, z dorobionymi oczyma i brodą z białej konchy i lapis-lazuli. Z części drewnianych oczywiście nic nie pozostało, z zachowanych resztek wiemy jednak, że pudła rezonansowe zdobiły płytki z białej konchy z wyrytymi na nich humorystycznymi scenami z życia zwierząt.

Tuż przy grobie króla A-bar-gi znajdował się, jak to już wspominaliśmy, inny grobowiec, do którego prowadziła wyżej położona pochylnia. Tajemnica stojącej w niej skrzyni znalazła teraz swoje wyjaśnienie. Grabarze, kopiąc pochylnię, zawadzili łopatą o kopulasty dach grobowca króla A-bar-gi. Pokusa była nieodparta. Wdarli się do grobowca przez wyrąbany otwór w murze i splądrowali go doszczętnie, nie oszczędzając nawet zwłok królewskich. W pośpiechu przeoczyli jedynie dwa srebrne modele łodzi. Wyłamany otwór wypełnili potem luźno cegłami i zamaskowali skrzynią. Nie wzbudziło to niczyjego podejrzenia, ponieważ pochylnia, zgodnie z rytuałem pogrzebowym, zastawiona była mnóstwem innych przedmiotów, jak wazy, puchary, wozy i harfy.

Po zabezpieczeniu znalezisk z obu pochylni Woolley przystąpił do otwarcia drugiego grobowca. Robotnicy oczyścili wejście z gruzów i członkowie ekspedycji archeologicznej weszli z biciem serca do mrocznej krypty. To, co ukazało się ich zdumionym oczom, przypominało scenę finałową jakiegoś niesamowitego melodramatu, w której aktorzy padają trupem w malowniczej pozie i zastygają w bezruchu przed zapadnięciem kurtyny. Tylko że zamiast żywych aktorów leżały tam zbutwiałe, czarne od starości szkielety. Obficie pokrywająca je biżuteria już na pierwszy rzut oka pozwoliła stwierdzić, że były to kiedyś kobiety.

W samym środku komnaty spoczywały na zbutwiałych marach szczątki kobiety, pokryte całkowicie paciorkami ze złota, srebra, lapis-lazuli, kwarcu, agatu i chalcedonu. Przy ustach leżał kubek z ciężkiego złota. W okolicy prawego łokcia znaleziono trzy złote szpile z główkami z lapis-lazuli oraz cztery amulety wyobrażające ryby i gazele.

Przybranie głowy zmarłej składało się z obszernych zwojów złotej wstęgi, które kiedyś niczym festony otaczały groteskowo dużych

rozmiarów perukę. Z diademu spływały wisiorki w kształcie złotych liści i kwiatów o płatkach z białego i niebieskiego szkliwa. Z tyłu czaszki znaleziono grzebień zdobny w złote rozetki. Po obu stronach głowy spływały kiedyś sznury z czworokątnych paciorków, teraz rozsypanych w bezładzie po marach. Na końcach tych sznurów wisiały amulety w postaci byka i cielęcia, wyrzeźbionych misternie w błękitnym lapis-lazuli.

Oparte o mary siedziały skulone dwie służebnice – jedna u wezgłowia, druga u podnóża. Posadzkę komnaty zalegały przeróżne przedmioty i kosztowności: diademy, złote dzbany, srebrne wazy i lampy oliwne, dwa stoły ofiarne ze srebra oraz złote puzderka w kształcie muszli, zawierające jeszcze szminkę kosmetyczną koloru zielonego.

Najważniejszym jednak znaleziskiem była pieczęć cylindryczna z napisem, z którego można było wyczytać, że w grobowcu pochowano królową Szub-ad. Woolley doszedł do przekonania, że była ona żoną króla A-bar-gi. Zapewne przed śmiercią wyraziła życzenie, by ją pochowano blisko męża, i tym należy tłumaczyć sąsiedztwo obu grobów.

Ponura tajemnica tych przedhistorycznych grobów została wykryta w całej jej dramatycznej grozie: królom i królowym sumerskim przydawano na drogę pośmiertną cały dwór. Król A-bar-gi leżał w otoczeniu trzech domowników, a w pochylni, prowadzącej do grobowca, pogrzebano 62 osoby. Królowej Szub-ad towarzyszyło 25 osób z najbliższego otoczenia, przy czym dwóm najulubieńszym niewiastom służebnym przypadł w udziale zaszczyt czuwania przy jej marach w samej królewskiej komnacie grobowej.

HARFISTKA, PŁACZKI I NIEWIASTA SPÓŹNIONA NA POGRZEB

JAKĄ ŚMIERCIĄ ZGINĘŁY ofiary posępnego rytuału pogrzebowego, owi żołnierze, dworacy, harfistki, tancerki i pokojowe, których szczątki odkopano na cmentarzysku w Ur? Archeolodzy długo głowili się nad tym zagadnieniem i drogą przemyślnych dociekań, przypominających metody detektywistyczne, doszli do ciekawych wniosków.

Na podstawie poszlak ustalili przede wszystkim ponad wszelką wątpliwość, że w stosunku do ofiar nie użyto brutalnej przemocy. Przemawiała za tym spokojna pozycja szkieletów, sprawiająca wrażenie, że członkowie orszaku królewskiego ułożyli się do snu wiecznego z własnej, nieprzymuszonej woli. Normalne, niczym niezakłócone położenie biżuterii, rynsztunku żołnierskiego oraz harf, przede wszystkim zaś kubków trzymanych przy ustach przez zmarłych – świadczyło dodatkowo o braku jakiegoś szamotania się ofiar z oprawcami.

Nie wydawało się też rzeczą prawdopodobną, iż uśmiercono ich gdzie indziej, a do wykopu grobowego wniesiono już martwe ciała. Przy takich przenosinach tu i ówdzie na pewno musiałoby nastąpić drobne choćby przesunięcie w układzie biżuterii, broni czy naczyń rytualnych, czego jednak archeolodzy, mimo skrupulatnych oględzin, nie stwierdzili.

Z góry należało odrzucić trzecią możliwość: pogrzebania żywcem. Tego rodzaju śmierć pozostawiłaby po sobie drastyczne dowody. Żywcem zakopani ludzie, nawet odurzeni narkotykiem, broniliby się

do upadłego i skonaliby powyginani w przedśmiertnych konwulsjach.

Do przypuszczalnego wyjaśnienia tajemnicy przyczyniło się wreszcie znalezisko, do którego nie przywiązywano z początku zbyt wielkiej wagi. Był to kociołek miedziany o niewyjaśnionym przeznaczeniu, odkopany w pobliżu grupy harfistek dworskich. Woolley zauważył, że stał on w centralnym punkcie rampy, toteż ją podejrzewać, że ma jakiś związek z kubkami, które trzymały przy ustach wszystkie bez wyjątku ofiary obrzędu pogrzebowego.

Teza jego przedstawiała się następująco: kociołek zawierał przypuszczalnie jakiś napój odurzający, być może opium czy haszysz. Przeznaczone na śmierć osoby podchodziły kolejno do kociołka, nabierały do kubka usypiającego napoju, wypijały go jednym haustem, a potem powracały na miejsce wyznaczone im przez ceremoniał pogrzebowy, gdzie układały się do snu. Do zagłębienia rampowego weszli potem żołnierze lub kapłani i pozabijali ofiary uderzeniami sztyletu w serce.

Spośród 68 kobiet 28 miało na skroniach przybranie w postaci wstęgi ze złotej blachy. Archeologom zdawało się z początku, że pozostałe kobiety nie miały żadnego w ogóle stroju na głowie. Później jednak zauważono na ich czaszkach zagadkowe purpurowe plamki. Analiza chemiczna wykazała, że był to chlorek srebra. Wniosek był oczywisty: kobiety te miały diademy ze srebra, które całkowicie uległy rozkładowi, jako że, w przeciwieństwie do złota, srebro nie jest odporne na działanie kwasów organicznych.

W związku z tym zjawiskiem chemicznym archeolodzy natknęli się na ślad znamiennego i zabawnego zarazem incydentu, jaki miał miejsce w czasie uroczystości pogrzebowych. Przy prochach jednej z niewiast znaleziono kolczyki ze szczerego złota. Wydawało się przeto dziwne, że nie miała ona na głowie żadnego przybrania – nie odkryto na jej czaszce nawet purpurowych plam po srebrze, jak to? – zapytywano. – Kobieta z takimi kolczykami bez diademu? Coś tu jest nie w porządku, przecież wszystkie inne niewiasty miały na głowie ozdoby.

Podczas usuwania jej prochów spostrzeżono na poziomie pasa płaski krążek z szarej masy, która okazała się srebrem. Dziwny

przedmiot oczyszczono i wzięto pod lupę. I oto niespodzianka: krążek był opaską na głowę, taką samą, jaką miały wszystkie inne kobiety sumeryjskie, tylko że zwiniętą w ciasny kłębek. Położenie krążka w okolicy pasa wskazywałoby na to, że niewiasta trzymała go w kieszeni szaty. Ponieważ zwinięta opaska tworzyła solidną masę srebra, chronioną w dodatku przez tkaninę sukni od rozkładającego działania kwasów organicznych, nie uległa, tak jak inne srebrne diademy, chemicznej zagładzie.

Jakim sposobem znalazł się diadem w kieszeni niewiasty, zamiast błyszczeć na jej głowie? Toć przecież wszyscy inni uczestnicy ponurej uroczystości pogrzebowej wystąpili w całej okazałości strojów godowych? Na ten temat archeolodzy mogli tylko snuć rozmaite domysły; najprawdopodobniejsze wydawało się przypuszczenie, że chwycono tu na gorącym uczynku jakąś spóźnialską wśród służebnic dworu sumeryjskiego. Młoda niewiasta nie zdążyła ubrać się na czas i w pośpiechu wetknęła opaskę do kieszeni, żeby włożyć ją na głowę po drodze lub też podczas samych uroczystości pogrzebowych. Dlaczego swego zamiaru nie wykonała, próżno by dociekać.

To błahe archeologiczne odkrycie ma jednak dla nas niezwykle wyrazistą i przejmującą wymowę. W nim bowiem, niby w kuli kryształowej, oglądamy odbicie żywych ludzi tego dramatu, ludzi ze swymi słabostkami i tęsknotami, podobnych do nas, choć istnieli w tak oddalonych epokach i obcych dla nas warunkach społecznych. Wyraźnie staje przed naszą wyobraźnią owa młoda niewiasta, niedawno jeszcze pełna radości życia, jak blada i dygocąca układa fałdy swojej powłóczystej tuniki, by przygotować się godnie na spotkanie z molochem nieludzkiego rytuału, który pochłonie jej młode życie.

Czy ludzie ci szli na śmierć dobrowolnie – trudno dzisiaj ustalić z całą pewnością. Okoliczności, poprzednio przez nas omawiane, przemawiałyby za tym, że ofiara była dobrowolna. Króla-kapłana Ur poczytywano za istotę boską, a jego śmierć za proste przeniesienie się do innego świata, gdzie zajmie godne swojej rangi miejsce. Nie jest zatem wykluczone, że dworacy poczytywali to za przywilej

i korzyść osobistą, iż mogli mu towarzyszyć w grobie i pozostawać na jego usługi w pośmiertnym życiu.

Z drugiej strony jednak pewne fakty przemawiają za tym, że owa wiara w boskość króla nie mogła być w Sumerze tak ślepa i powszechna, jakby to wypadało przypuszczać. Poznaliśmy już okoliczności ograbienia grobowca króla A-bar-gi. Grabarze dokonali przestępstwa w niedługi czas po śmierci króla i przy tej okazji zawlekli jego zwłoki w ukryte miejsce, aby móc spokojnie obedrzeć je ze wszystkich kosztowności. Trudno więc przypuszczać, żeby wierzyli w boskość króla i obawiali się jego zemsty, skoro odważyli się na tak drastyczne świętokradztwo.

A przecież ci grabarze byli mieszkańcami Ur i wespół z innymi mieszkańcami pozostawać musieli pod wpływem potężnego zabobonu, wpajanego im od dzieciństwa przez kapłanów. Jeżeli więc na przekór tym wpływom zdobyli się w stosunku do zwłok królewskich na tak nieskrępowany cynizm, to nie jest wykluczone, iż również między ofiarami rytuału pogrzebowego byli tacy, co nie dawali wiary naukom kapłanów. Dla nich śmierć w wykopie grobu królewskiego, mimo otaczającego ją blichtru obrzędowego, była z pewnością kaźnią.

Trzeba więc przystać na hipotezę, że wiele ofiar nie poszło na śmierć dobrowolnie. Dlaczego wobec tego nie znaleziono najmniejszego śladu, który by świadczył o stawianym przez nich oporze? Odpowiedź jest prosta; szli na śmierć tak spokojnie, jak skazaniec idzie na szafot, nie widząc żadnych szans oporu czy ucieczki. Szli na śmierć z sercem struchlałym w przerażeniu, a nie z nadzieją pozagrobowej służby w orszaku zmarłego króla.

Barbarzyński rytuał pogrzebowy tkwił korzeniami w klasowym ustroju społecznym i stanowił, na równi z deifikacją króla, jedno z narzędzi panowania klas rządzących nad ludnością pracującą. W miarę jak wiara w boskość króla zaczęła słabnąć, okrutny zwyczaj spotykał się z coraz ostrzejszym sprzeciwem i dość wcześnie został poniechany. Archeolodzy w późniejszych grobach królewskich nie znaleźli już ofiar ludzkich, z czego wolno przypuszczać, iż rytuał wygasł wraz z pierwszą dynastią królewską miasta-państwa Ur.

W grobach królewskich Woolley nagromadził wystarczającą liczbę faktów, by móc się pokusić o rekonstrukcję pogrzebowego ceremoniału. W jednym miejscu rampy znaleziono mikroskopijne resztki tkaniny, z której można było rozeznać, że niewiasty miały na sobie szaty koloru szkarłatnego. Jak wskazywały harfy, jedną grupę kobiet tworzyły harfistki, inne znów przypuszczalnie tancerki, śpiewaczki i pokojowe. Jedna z harfistek trzymała dłoń na harfie w tym miejscu, gdzie ongiś były struny. Sprawiało to wrażenie, jakby niewiasta dogorywała, biorąc na harfie ostatnie akordy.

Na podstawie tych i wielu innych szczegółów nietrudno jest odtworzyć malowniczy przebieg uroczystości. Oto do pochylni wkracza uroczystym krokiem korowód harfistek, śpiewaczek i tancerek, dworskich dam i służebnic, żołnierzy i służby stajennej, urzędników dworu i oficerów. Służba wnosi naczynia i szkatuły, popędzane osły i woły zaprzęgowe wtaczają wozy i rydwany – słowem, w wykopie gromadzi się cały ogromny dobytek zmarłego króla.

Żołnierze w pełnym uzbrojeniu zajmują w zwartym szyku stanowiska wieczystych strażników grobu. Wzdłuż muru ustawiają się harfistki i śpiewaczki. W gorejącym słońcu Mezopotamii płonie niby żywy ogień szkarłat powłóczystych tunik kobiecych, krzesi iskry złoto i srebro biżuterii, połyskuje polerowana miedź hełmów, grotów i sztyletów, grają tęczą kolorów paciorki naszyjników.

Przez otwarte wrota grobowca widać w półmroku królewskie zwłoki, leżące na marach w przepychu ceremonialnego stroju, Przez cały czas uroczystości słychać ciche tony harf, śpiewy chórów kobiecych, rytualne pienie kapłanów i lament nadwornych płaczek.

Na umówiony sygnał osoby królewskiego orszaku przystępują kolejno do wielkiego kotła, czerpią kubkiem usypiający napój i wypijają go jednym haustem. Potem wracają na swoje miejsca, gdzie położywszy się na ziemię, zapadają powoli w sen. Harfistki trącają coraz bardziej omdlewająco struny, śpiewaczki milkną – nastaje dokoła wielka, pełna oczekiwania cisza.

W pewnej chwili z wyżyny zikkuratu rozlega się doniosłe granie fanfar. Na skinienie kapłana do dołu wkraczają żołnierze oprawcy i wprawnymi ciosami sztyletów dobijają ludzi i zwierzęta. Następnie

grabarze zasypują gruzem wejście do grobowca i wypełniają ziemią ogromny wykop, obejmujący pochylnię i kopulastą budowlę. Tłumy żałobników wracają powoli do swoich codziennych zajęć.

Minęły zaledwie trzy stulecia, a o parze królewskiej leżącej w podziemnym mauzoleum zapomniano zupełnie. Następne pokolenia mieszkańców Ur nic nie wiedziały o władcach, którzy zabrali ze sobą tyle ofiar ludzkich i tyle drogocennych skarbów, nie wiedziały nawet, że w miejscu ich spoczynku był kiedyś cmentarz. Zasypywano więc go śmieciami i gruzami. Poziom terenu podnosił się coraz wyżej, grobowce zaś znalazły się głęboko pod ziemią. Po upływie siedmiu wieków urządzono tam nowy cmentarz, na którym pochowano fryzjera i marszałka dworu córki króla Sargona, kapłanki bogini księżyca.

Dopiero w pięć tysięcy lat później archeolodzy wydobyli z pomroków zapomnienia imiona królowej Szub-ad i króla A-bar-gi oraz odkryli wstrząsającą tajemnicę ich pogrzebu.

DZIERŻAWCY BOSKICH MAJĄTKÓW

URODZAJNA ONGIŚ MEZOPOTAMIA pod jednym względem była krajem ubogim: natura poskąpiła jej wszelkich bogactw kopalnych. Toteż surowce, z których rękodzielnicy sumeryjscy wyrabiali owe artystyczne przedmioty, znalezione w takiej obfitości przez archeologów – musiały niechybnie pochodzić z zagranicy.

Królowie i kapłani sprowadzali z odległych nieraz krain drewno cedrowe, półszlachetne kamienie, alabaster, dioryt, miedź, konchę, złoto i srebro, przede: wszystkim zaś ulubiony przez nich lapis-lazuli. Kosztowne te towary otrzymywali za produkty rolne swego kraju, mianowicie za wełnę, bydło, jęczmień, oliwę, mięsiwo, ptactwo domowe i daktyle, w pewnym stopniu również za niektóre gotowe wyroby rękodzielników sumeryjskich, jak tkaniny wełniane, sandały skórzane, broń ozdobną, biżuterię, ceramikę, narzędzia, pieczęcie misternie żłobione, naczynia z różnych metali, posążki i artykuły kosmetyczne.

Zdumiewające bogactwo, odkopane w grobach królów-kapłanów sumeryjskich, mówi nam o ówczesnych stosunkach społecznych więcej niż niejedno źródło pisane. Dowiadujemy się przede wszystkim o dwóch zasadniczych faktach: już na 3000 lat p.n.e., na skutek postępu technicznego w rolnictwie chłop sumeryjski wytwarzał znacznie więcej produktów żywnościowych, niż to było mu potrzebne do własnego utrzymania, ponadto, że klasy rządzące cały nadmiar tej produkcji zagarniały dla siebie i obracały na swój osobisty zbytek.

Wiele światła na ustrój klasowy miast sumeryjskich rzucają poza tym zapiski i kroniki znalezione w ruinach świątyń i pałaców.

Kapłani i niektórzy królowie sumeryjscy zakładali biblioteki i archiwa złożone z tabliczek klinowych, chronionych w kopertach z palonej gliny. Szczęśliwym trafem zachowało się do naszych czasów kilka takich bibliotek, jak np. biblioteki w Lagaszu, Nippur i Sippar, zawierające dziesiątki tysięcy tabliczek klinowych, a przede wszystkim wielka biblioteka w Niniwie, założona przez króla asyryjskiego Asurbanipala, zapamiętałego miłośnika dokumentów, który przy pomocy całej armii kopistów i agentów zgromadził w swoim pałacu wszystkie dostępne mu źródła, obejmujące całą niemal literaturę asyryjsko-babilońską.

Archeologia burżuazyjna nie umiała tych źródeł wyzyskać i zajmowała się głównie historią królów, wojen i podbojów. Przedstawiała ona dość bałamutnie takie zagadnienia jak rozkład wspólnoty pierwotnej u ludów mezopotamskich, tworzenie się różnic społecznych, pojawienie się niewolnictwa oraz zaczątki walki klas, których wyraźne echa znajdujemy w źródłach bibliotek sumeryjskich.

Zgoła inny kierunek badaniom asyrologicznym nadał genialny uczony rosyjski drugiej połowy XIX wieku, Michał Nikolski. W przeciwieństwie do historyków burżuazyjnych interesował się przede wszystkim życiem i pracą szerokich mas ludności i w tej dziedzinie dokonał, na podstawie skrupulatnej analizy tabliczek klinowych, zupełnie rewelacyjnych odkryć. Jego dwutomowe dzieło o życiu i obyczajach Sumerów, oparte na odczytaniu i skomentowaniu tabliczek odkopanych w Lagaszu, stanowi bogate źródło wiadomości o zawodach i warunkach pracy w miastach-państwach sumeryjskich, o niewolnictwie, a przede wszystkim o sposobach pracy na roli. Nikolski pierwszy ukazał we właściwym świetle ekonomiczne i społeczne stosunki Sumeru. Badania jego kontynuowali uczeni radzieccy. Uzbrojeni w dialektyczną metodę naukową dali nam jasny obraz społeczeństwa sumeryjskiego od wspólnoty pierwotnej aż do państwa właścicieli niewolników. Wnikliwą syntezę tych badań przyniosło wspaniałe dzieło W.I. Awdijewa: *Historia starożytnego Wschodu.*

Podobnie jak inne plemiona, Sumerowie również przeszli okres wspólnoty pierwotnej, okres kiedy nie było jeszcze własności

prywatnej i wyzysku człowieka przez człowieka. W miarę jednak postępu technicznego, rozwoju sił wytwórczych oraz wzrostu różnic społecznych i majątkowych wspólnota pierwotna uległa zagładzie.

Zabytki znalezione w grobach królewskich oraz inne źródła świadczą niezbicie, że już na 3000 lat p.n.e. rozkład wspólnoty pierwotnej był u Sumerów faktem dokonanym. W ich społeczeństwie widzimy głębokie różnice klasowe i majątkowe, niezmierne bogactwo warstw rządzących: króla wyniesionego na piedestał boskości, chłopa i rzemieślnika, pozornie wolnego, lecz uzależnionego od nich ekonomicznie, wreszcie mrowie niewolników, pracujących na polach kapłanów i dostojników.

Ten stan rzeczy był upozorowany tradycyjnymi formami wspólnoty pierwotnej, która jednak została pozbawiona swojej dawnej treści. Cała ziemia uprawna należała oficjalnie do boga, a król-kapłan był tylko jej włodarzem, „rolnikiem-dzierżawcą", jak siebie tytułował, do którego obowiązków należał rozdział tej ziemi na użytek rodów, wspólnot rodzinnych i jednostek.

Tabliczki klinowe, odkopane w mieście sumeryjskim Lagaszu, uchylają rąbka tajemnicy, jak ten podział przedstawiał się w praktyce. Zapiski mówią nam przede wszystkim o potędze i bogactwie stanu kapłańskiego. Większość ziemi uprawnej już wtedy należała do dwudziestu świątyń, znajdujących się w tym mieście. Resztę król-kapłan rozdzielał między dostojników dworu i drobnych rolników.

Ale i podział tych resztek ziemi miał wyraźne znamiona klasowe. O ile drobny rolnik otrzymywał do uprawy zaledwie 0,8 do 2,5 akra ziemi, to wysoki dostojnik miał prawo do 35,5 akra, a sam król zatrzymywał dla siebie aż 608 akrów. W dodatku warunki dzierżawy bywały bez porównania uciążliwsze dla rolnika niż dla dostojnika dworskiego. Jesteśmy w posiadaniu dość dokładnych wiadomości o stosunkach, jakie panowały w majątkach tamtejszych świątyń. W Lagaszu bowiem znaleziono obszerną buchalterię świątyni bogini Bau, właścicielki połowy wszystkich gruntów uprawnych owego miasta-państwa.

Dowiadujemy się z tych źródeł, że trzy czwarte swoich posiadłości kapłani oddawali w dzierżawę rodzinom chłopskim, przy czym

stosowali wobec nich bezwzględny wyzysk, zabierając im tytułem czynszu gruntowego od 70 do 80 procent corocznych zbiorów.

Pozostałą część ziemi świątynia uprawiała pod własnym zarządem, posługując się pracą niewolniczą. Dzięki zachowanym spisom pracowników możemy wyrobić sobie względnie dokładny obraz, kto i w jakich warunkach na tych ziemiach świątynnych pracował oraz co tam wytwarzano.

Lista zatrudnionych pracowników wymienia: 27 piwowarów oraz 6 niewolników-pomocników; 21 piekarzy wraz z 27 niewolnicami-pomocnicami, 40 prządek i tkaczek; kowali, cieśli i innych rzemieślników, ekonomów, pisarzy i dozorców. Robotników wynagradzano skąpymi racjami żywnościowymi, przeważnie jęczmieniem. Sprzęt rolniczy i narzędzia, jak radła, zwierzęta pociągowe, wozy, łodzie, sieci do łowienia ryb itp. były wyłączną własnością świątyni.

Rzemieślnicy zatrudnieni w tych majątkach obok niewolników byli prawdopodobnie wolnymi obywatelami miasta, jednakże bez własnych narzędzi nawet marzyć nie mogli o niezależnej pracy lub też zmianie pracodawcy. W ówczesnym ustroju ekonomicznym nie pozostawało im nic innego, jak tylko nająć się do majątku innej świątyni bądź innego dostojnika dworskiego, gdzie czekały ich podobne albo nawet i gorsze warunki pracy.

Zresztą nie wiadomo, czy umieliby się zdobyć na tak zdecydowany krok, skoro feudalny i eksploatatorski charakter tej gospodarki był osłonięty pozorami religijnymi. Przeciętnemu Sumerowi wpajano od młodości, że ziemia i wszystko, co na niej się wytwarza, jest własnością boga, nie zaś kapłanów, że więc praca ich jest wypełnieniem obowiązku religijnego, nakazanego przez prawo boskie.

Rujnujące czynsze dzierżawne oraz lichwa uprawiana przez bogatych wpędzały masy pracujące w długi i zależność ekonomiczną równającą się niewolnictwu. Z początku nie było to niewolnictwo jawne, mimo że w praktyce chłop i rzemieślnik nie miał się lepiej od niewolnika. Spłacheć ziemi, jaki uprawiał chłop, nie był nawet jego własnością, lecz należał do boga, któremu, kosztem nędzy rodziny i wzrastającego zadłużenia, musiał oddawać większą część swoich

zbiorów. W wielu wypadkach rugowano go z gospodarstwa i zmuszano do pracy za długi w majątkach świątyń i dostojników, gdzie rychło zrównał się z zatrudnionymi tam rzeczywistymi niewolnikami, których rekrutowano spośród jeńców wojennych.

Wiernym odzwierciedleniem położenia mas pracujących było prawodawstwo sumeryjskie. Pozwalało ono np. głowie rodziny sprzedawać swoje dzieci lub oddawać je w niewolę za długi. Liczne umowy kupna i sprzedaży dzieci, znalezione w ruinach miast sumeryjskich, dowodzą, że zadłużona, doprowadzona do nędzy ludność miast sumeryjskich korzystała z tego prawa nagminnie. Z pokolenia na pokolenie coraz większa liczbawolnych członków plemion sumeryjskich stawała się niewolnikami.

Proces ujarzmiania klas pracujących pogłębiał się z biegiem wieków, szczególnie po zdobyciu Sumeru przez Babilończyków, przez Aryjczyków, a w końcu przez Nowobabilończyków chaldejskich.

Zdzierstwo, samowola i okrucieństwo kapłanów, dostojników i króla-kapłana wywołały konflikty klasowe już na 2500 lat p.n.e. Echa tych konfliktów znajdujemy w wielu tekstach klinowych. Tak więc jeden z kronikarzy skarży się, że „wysoki kapłan wszedł do ogrodu biedaka i zabrał mu drzewo". Inny tekst powiada: „Jeżeli ładny osiołek urodził się poddanemu i pan oświadczył: chcę go kupić, rzadko płacił za niego tyle, by to zadowoliło serce właściciela".

Na tle tych stosunków społecznych łatwo zrozumieć sens politycznych zamieszek, jakie na 2400 lat p.n.e. przeżywało sumeryjskie miasto-państwo Lagasz. Ostatni jego królowie z dynastii Urnansze stopniowo tracili grunt pod nogami, a król Lugalanda był już tylko bezwolnym narzędziem w ręku naczelnego kapłana, rzeczywistego władcy Lagaszu.

Nieznośny ucisk polityczny i ekonomiczny, stosowany przez rozzuchwalonych kapłanów, doprowadził kraj do rewolucji. Na czele zbuntowanej ludności stanął niejaki Urukagina, pierwszy bodaj w dziejach rewolucjonista i reformator polityczny. W kronikach głucho o jego pochodzeniu, to tylko jest pewne, że nie

należał do warstw rządzących i przypuszczalnie wyszedł z dołów społecznych.

Urukagina obalił władzę kapłanów, ukrócił samowolę bogaczy i wprowadził szereg reform, które przyniosły ulgę sponiewieranym masom ludności pracującej. W ruinach miasta Lagasz znaleziono trzy kamienie w kształcie stożków oraz płytę kamienną, na których Urukagina kazał dla potomności utrwalić dzieje swoich reform. Opisuje tam opłakany stan miasta, jaki zastał, a więc zdzierstwo poborców podatkowych, samowolę i zachłanność kapłanów oraz pobierane przez nich nadmierne opłaty za posługi religijne, ucisk i bezprawie możnych. Potem chlubi się, że wytępił wszystkie owe nadużycia, tak że „sierotom i wdowom bogacz nie wyrządzał już krzywdy".

Z napisów wynika, że ostrze rewolucji nie było skierowane przeciwko ustrojowi miasta-państwa. Urukagina nie miał zamiaru znieść niewolnictwa czy wyrównać różnic klasowych. Dążył tylko do wytępienia co jaskrawszych nadużyć i ukrócenia samowoli klas rządzących w stosunku do rzekomo wolnej ludności chłopów i rzemieślników.

Pod jego rządami Lagasz przeżył nowy okres pomyślności i dobrobytu. Urukagina donosi, że wzniósł szereg nowych budowli i rozbudował system kanałów irygacyjnych. Ludność pracująca odczuła pewną poprawę swego położenia i wielbiła go jako wyzwoliciela.

Rządy jego trwały jednak zaledwie pięć lat. Liberalne reformy wywołały wśród władców pozostałych miast sumeryjskich głęboki niepokój. Na skutek ich intryg oraz wichrzeń wypędzonych kapłanów król miasta-państwa Ummy Lagalzaggisi napadł znienacka na Lagasz, zburzył go, a Urukaginę (nic nie wiemy o jego ostatecznym losie) przypuszczalnie wziął do niewoli i zabił. Zachowała się do naszych czasów przejmująca skarga, przypominająca lament Jeremiasza, opłakująca los nieszczęsnego miasta, po którym pozostały jeno dymiące zgliszcza.

Intryga możnowładców i kapłanów okazała się jednak dla nich zgubna. Zdobywca Lagaszu, ośmielony łatwym zwycięstwem,

podporządkował sobie po kolei pozostałe miasta-państwa i stworzył z nich jednolite państwo sumeryjskie ze stolicą w Uruk.

W miarę powstawania coraz to większych i liczniejszych prywatnych posiadłości wzrastał również popyt na niewolników do uprawy ziemi. Właściciele ziemscy, nie mogąc znaleźć ich wewnątrz kraju, organizowali wyprawy wojenne na sąsiadów, gdzie mogli zagarnąć nie tylko świeże zastępy jeńców wojennych, lecz również dodatkowe ziemie uprawne i źródła wody do irygacji pól.

Toteż już od zarania swoich dziejów Sumerowie prowadzili nieustanne wojny. Język i kultura plemion sumeryjskich były wspólne, ale polityczny przedział między nimi tworzyły osobne jednostki organizacyjne miast-państw, w których rządziły szczupłe grupy właścicieli niewolników, dążące kosztem innych miast do pomnożenia swoich bogactw.

Cała historia sumeryjska stanowi pasmo bratobójczych walk, w których poszczególne miasta kolejno narzucały sobie hegemonię. Były to miasta-państwa Lagasz, Agade, Uruk, Ur, Isin i Larsa. Na pograniczu zachodnim obszaru sumeryjskiego pojawił się potem wielki wódz plemion semickich, Sargon I (2360-2305 p.n.e.). Podbił on nie tylko cały Sumer, lecz rozszerzył swoje panowanie na wschód, daleko poza Zatokę Perską, a na zachód aż do Morza Śródziemnego. Sargon przybrał tytuł króla Sumeru i Akkadu. Położył on wprawdzie kres epoce niepodległych miast sumeryjskich, ale w jego imperium język i kultura sumeryjska bynajmniej nie uległy zagładzie, lecz przeciwnie, zakwitły jeszcze bujniej i wchłonęły w siebie zwycięskich Akkadów.

Państwo sumero-akkadyjskie trwało tylko dwa stulecia. Rozbiły je wojownicze plemiona górskie Elamitów, a potem na jego ruinach zbudował potężne imperium babilońskie wielki zdobywca i prawodawca Hammurabi (1800 p.n.e.). Około 550 lat później powstaje w Mezopotamii nowe mocarstwo Asyryjczyków, a potem, w latach 626-538 p.n.e., państwo nowobabilońskie, stworzone przez semickich Chaldejczyków. Mezopotamię zdobywa następnie monarcha perski Cyrus. Wreszcie pojawia się jeden z największych zdobywców w dziejach ludzkości, Aleksander Macedoński, i podbija cały Bliski Wschód.

Państwa Akkadów, Babilończyków, Asyryjczyków i Chaldejczyków, a nawet do pewnego stopnia Persów i Greków, były bezpośrednimi spadkobiercami kultury Sumerów. Rola Sumerów w owych kolejnych imperiach przypomina żywo rolę Rzymian i kultury rzymskiej w historii państw europejskich. Przez okres bez mała trzech tysięcy lat język sumeryjski, podobnie jak język łaciński, nie tylko nie uległ zagładzie, lecz nadal się rozwijał, choć Sumerowie dawno już nie istnieli.

Początkowo język sumeryjski był w powszechnym użyciu obok innych języków semickich. Z biegiem lat stał się wyłącznie językiem kapłanów i poetów. Świątynie używały go jako sakralnego języka liturgii i pielęgnowały go z pietyzmem w szkołach, gdzie kształcono pisarzy, rachmistrzów, sędziów, lekarzy, nauczycieli i astronomów. Inskrypcje na płytach kamiennych i cokołach sporządzano przez setki lat w języku sumeryjskim bądź też sumeryjskim i babilońskim równolegle.

Odkrycia w Ur i innych miastach sumeryjskich zmieniły zasadniczo nasz pogląd na pochodzenie naszej kultury. W początkach XIX wieku uczeni mniemali, że kulturę, w szczególności sztukę, zawdzięczamy Grekom, wśród których jakoby zjawiła się nagle niby Pallas Atena z głowy olimpijskiego Zeusa. Z chwilą poznania kultury Egiptu, Krety i Babilonu dowiedzieliśmy się, że kolebki jej należy szukać w odleglejszej przeszłości dziejów ludzkich. Dopiero wykopaliska sumeryjskie wskazały nam, że praźródło naszej cywilizacji kryje się nie tylko w Egipcie, lecz również w Sumerze, gdzie już na 3000 lat p.n.e. architektura, zdobnictwo, prawo, medycyna, literatura i astronomia osiągnęły zdumiewający stopień rozwoju.

Nieprzerwana nić łączy Sumerów poprzez niezliczone stulecia z naszymi czasami. Różne ludy rozwijały się i ginęły, przekształcając na swój sposób i przekazując następnym ludom prastare dziedzictwo kultury i cywilizacji, której początków nawet nie znali. W wielu dziedzinach jesteśmy dalekimi spadkobiercami Sumerów. Za pośrednictwem niezliczonych pokoleń przejęliśmy od nich rzeczy błahe i zasadnicze: takie, które były ludzkości kulą u nogi, jak

również i inne, stanowiące wielką zdobycz człowieka w jego pochodzie od prymitywizmu do cywilizacji.

Jako rolnicy wyprzedzili przypuszczalnie Sumerowie Egipcjan w umiejętności nawadniania pól za pomocą kanałów irygacyjnych. Oni też odkryli metodę uszlachetniania roślin uprawnych przez krzyżowanie. Palmę daktylową, którą zresztą czcili jako drzewo święte, zapylali sztucznie i w ten sposób uzyskiwali w swoich sadach obfite zbiory.

Sumeryjska rzeźba natomiast nie osiągnęła szczytowej doskonałości. Przyczyną tego był brak w Mezopotamii odpowiedniego surowca: drzewa, kamieni i metali. Ale pomimo to archeolodzy napotykali nieprzeciętne dzieła rzeźbiarskie, jak np. wspomnianą przez nas płaskorzeźbę wyobrażającą ranną lwicę.

W architekturze i zdobnictwie Sumerowie okazali się nieprzeciętnymi mistrzami. Oni to odkryli takie elementy zdobnicze jak łuk, kopułę, pilaster, skarpę, fryz, mozaikowe ornamenty ścienne, przede wszystkim wypracowali zasady proporcji i harmonii w budownictwie, dzięki czemu ich mury warowne, świątynie, pałace i piramidy, mimo swej masywności, niepozbawione były pewnej elegancji i lekkości w wyrazie.

Najwyższy jednak podziw budzą przedmioty rzemiosła sumeryjskiego znalezione w dużej obfitości w ruinach i grobach królewskich. Twórcami tych klejnotów sztuki stosowanej były rzesze bezimiennych złotników, garncarzy, rytowników i płatnerzy, zepchniętych przez możnych na dno drabiny społecznej, a jednak rozmiłowanych w swoim kunszcie i uprawiających go z niezawodnym poczuciem artystycznego piękna. Jeżeli sztuka sumeryjska mogła konkurować ze sztuką innych ludów, to stało się to głównie dzięki owym skromnym, samorodnym artystom ludowym, co z niepospolitą wprawą wyklepywali ze złotej i srebrnej blachy rzeźby, puchary, dzbany, hełmy i tarcze, inkrustowali harfy i szkatułki płatkami konchy i półszlachetnymi kamieniami lub żłobili miniaturowe sceny mitologiczne na pieczęciach.

Sumerom zawdzięcza ludzkość stworzenie bibliotek, archiwów i literatury pięknej, przede wszystkim zaś prawzór wielkiego bohaterskiego poematu epickiego.

Religia ich pierwotnie wyrażała deifikację sił natury, z czasem jednak owe bóstwa, uosabiające słońce, księżyc, wodę, gwiazdy, powietrze itp., stały się symbolami takich oderwanych pojęć jak sprawiedliwość, dobro, mądrość, urodzaj, potęga państwa.

Sumerowie są przeto twórcami niektórych podstawowych idei religijnych, przejętych z kolei przez systemy religijne innych ludów. Imię najwyższego boga Anu oznacza dosłownie „ojciec", imię bogini Nimmach „matka boska", a boga Tammuza „prawdziwy syn". Tammuz umierał co roku na jesieni, zmartwychwstawał zaś na wiosnę. Zgon jego i zmartwychwstanie obchodzono w Sumerze uroczystymi procesjami i nabożeństwami, podczas których kapłani składali ofiary z roślin i zwierząt, śpiewając psalmy przy wtórze orkiestry bębnów, fletów, rogów, trąb i harf. Warto zaznaczyć, że Sumerowie byli również wynalazcami gamy siedmiotonowej.

Babiloński kodeks prawny Hammurabiego, znaleziony w Suzie na wielkiej płycie kamiennej, był właściwie tylko rozwinięciem prastarych praw sumeryjskich. Choć srogie kary cielesne, przewidziane w kodeksie za najmniejsze przewinienie, są świadectwem okrucieństwa owych czasów, to jednak za niewątpliwy postęp należy uważać fakt, iż podstawą kodeksu była koncepcja winy, ujęta w kategoriach czysto prawnych, wyzwolona z przesądów religijnych. Był to więc pierwszy kodeks sekularyzowany, w którym państwo, a nie bóg było mścicielem przestępstwa. Ów racjonalistyczny rys prawa sumeryjskiego, a potem babilońskiego, doszedł znów do głosu w kodeksach Justyniana i Napoleona.

Sumerowie zbyt pozostawali pod wpływem zabobonów kabalistyczno-religijnych, by mogli poczynić poważniejsze postępy w dziedzinie nauki. Pomimo to wypada nam zanotować pewne ich zdobycze w medycynie, astronomii i matematyce.

Kapłani sumeryjscy zajmowali się wprawdzie głównie zgadywaniem przyszłości z konstelacji gwiazd, jak świadczą znalezione w ruinach 72 księgi astrologiczne z czasów Sargona I, ale obserwacje nieba, prowadzone z wierzchołka zikkuratu, przyniosły im również korzyści praktyczno-naukowe. Stworzyli oni dokładny kalendarz księżycowy, w którym obrót Księżyca naokoło Ziemi

obliczyli z dokładnością dopuszczającą błąd tylko do czterech sekund. Orbitę Merkurego wyznaczyli dokładniej niż późniejsi astronomowie greccy: Hiparch i Ptolemeusz z Aleksandrii.

W matematyce nauczyli się zdumiewająco posługiwać wielocyfrowymi liczbami. Grecy, którzy w matematyce dokonali przełomowych odkryć, poczytywali liczbę 10 000 za „dużą, niemożliwą do obliczenia", w Europie pojęcie miliona spopularyzowało się dopiero w początkach XIX wieku, tymczasem na jednej z sumeryjskich tabliczek klinowych znaleziono obliczenie matematyczne, którego rezultat wyrażał się liczbą 195 955 200 000 000.

Na ogół jednak Sumerowie bardzo mocno byli związani z kabalistyką różnych przesądów i zabobonów. Medycyna Sumerów, choć w chirurgii i ziołolecznictwie niepozbawiona była rozsądnych założeń, polegała przeważnie na praktykach magicznych, na gusłach, odczynianiu uroków i zaklęciach.

Wśród Sumerów szeroko była rozpowszechniona wiara w istnienie czarnej magii. Na ośmiu tabliczkach klinowych zachowały się dokładne przepisy, jak walczyć z czarownicami. Jakże jednak mieć o to urazę do ludzi, którzy żyli przecież 5000 lat temu – skoro w 1484 roku papież Innocenty VIII ogłosił bullę przeciwko tym, co zadają się z demonami, a średniowieczny *Młot na czarownice* stanowił aż do XVIII wieku podręcznik torturowania ludzi podejrzanych o czary.

W Egipcie faraonów

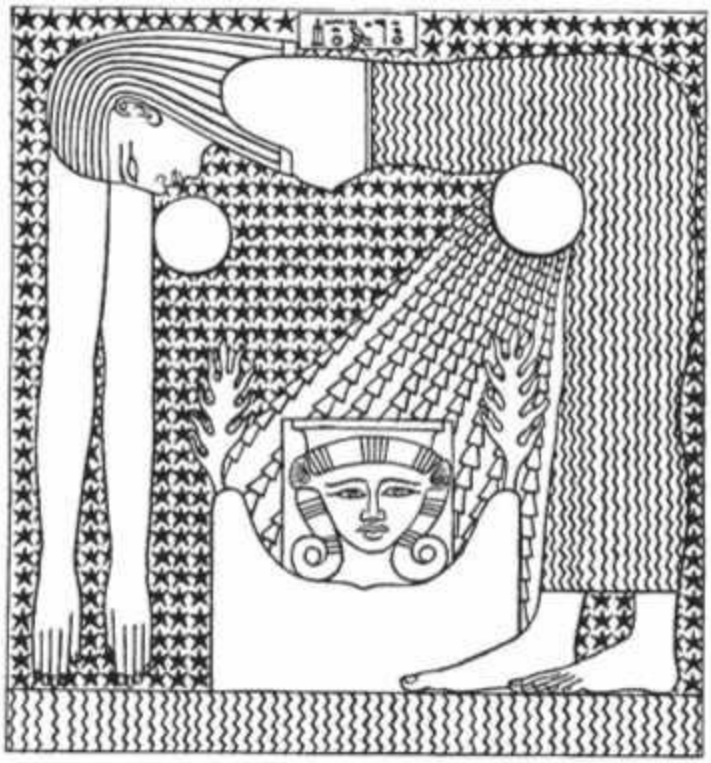

KAMIEŃ CENNIEJSZY OD DIAMENTU

W MAJU 1798 ROKU NAPOLEON, podejmując wyprawę do Egiptu, zgromadził w porcie Tulon 128 okrętów i 38 tysięcy weteranów kampanii włoskiej. Było to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie, gdyż wody Morza Śródziemnego kontrolowała wówczas potężna flota Wielkiej Brytanii pod dowództwem Horatio Nelsona. Napoleon liczył jednak na to, że dwa kolejne bunty marynarzy angielskich zdezorganizowały na tyle przeciwnika, iż francuskie lekkie okręty zdołają się prześliznąć niepostrzeżenie przez sieć blokady.

Plany związane z tą ekspedycją nie ograniczały się jedynie do podboju Egiptu. Napoleon zamierzał bowiem ze swoją małą, ale zaprawioną w bojach armią wyruszyć następnie do Indii, zdobyć je iw ten sposób podważyć podstawy światowego imperium brytyjskiego. Napoleon już w młodości pozostawał pod urokiem zdobyczy Aleksandra Macedońskiego, toteż idąc jego śladami, marzył o założeniu wielkiego mocarstwa na Wschodzie, na którego czele stanąłby jako udzielny, despotyczny władca.

Przy końcu XVIII wieku Egipt był jeszcze dla Europejczyków krajem tajemniczym i fascynującym. Historię tego kraju znano tylko z dzieł pisarzy starożytnych, takich jak Herodot, Strabon, Diodor i Plutarch, oraz z bałamutnych informacji pozostawionych przez pisarzy Odrodzenia. Powracający zaś znad Nilu podróżnicy opowiadali cuda o tamtejszych prastarych ruinach, o świątyniach, piramidach, kolumnach, sfinksach i obeliskach, pokrytych od góry do dołu tajemniczymi znakami i zasypanych częściowo lotnymi zaspami pustynnego piasku. Był między nimi również polski archeolog, historyk i podróżnik Jan Potocki (1761-1815), który

w roku 1797, a więc na rok przed wyprawą Napoleona, wydał dzieło w języku francuskim pod tytułem *Podróż po Turcji i Egipcie.*

Oprócz podboju Egiptu i Indii Napoleon wyznaczył sobie jeszcze inne zadanie, pożyteczniejsze dla ludzkości niż jego plany wojenne. Wyprawa do Egiptu miała bowiem zapoczątkować systematyczne badania naukowe nad historią tego kraju. Zabrał więc ze sobą liczną rzeszę uczonych i artystów: astronomów, geometrów, chemików, mineralogów, orientalistów, techników, malarzy, rysowników, a nawet poetów, zaopatrując ich w potrzebny sprzęt naukowy.

Nelsonowi nie dopisało szczęście: flota francuska przepłynęła przez morze niepostrzeżona i drugiego lipca wylądowała w Egipcie. Pod piramidami doszło do rozstrzygającej bitwy z Egipcjanami. Armii Napoleona stawiła czoło dziesięciotysięczna kawaleria beja Egiptu Murada. Mamelucy, gwardia przyboczna beja, wyglądali na rączych koniach arabskich dziarsko i wojowniczo: wydawało się, że rozniosą na krzywych szablach piechurów francuskich. Doświadczenie jednak i karność starych weteranów kampanii włoskiej wzięły górę nad zwinnością egipskiej jazdy. W bitwie pod piramidami francuski korpus ekspedycyjny rozgromił wojska beja. Dwudziestego piątego lipca Napoleon wkroczył do Kairu.

Ale w niespełna dwa tygodnie po zwycięstwie, to jest 7 sierpnia, szczęście odwróciło się od Napoleona. Przed zatoką Abukir, gdzie stała zakotwiczona cała flota francuska, pokazał się niespodzianie Nelson. Admirał francuski pozwolił załodze wyjść na ląd i mimo pojawienia się Brytyjczyków nie zarządził alarmu, przypuszczając, że nie odważą się forsować zatoki, pełnej niebezpiecznych skał podwodnych i mielizn. Nelson wtargnął jednak do zatoki i otworzywszy ogień z artylerii pokładowej, zatopił przyparte do brzegu okręty francuskie. Klęska pod Abukirem odcięła Napoleonowi drogę do Francji, zatrzymując go na czas dłuższy w Egipcie.

W korpusie generała Desaix, który pogonił za pobitym Muradem, przebywał jeden z członków komisji uczonych, Dominique Vivant Denon. Życie tego uczonego było nadzwyczaj interesujące. Odbijały się w nim bowiem jak w kalejdoskopie kolejne przewroty polityczne, jakie wtedy wstrząsnęły Francją i Europą. Arystokrata

i równocześnie utalentowany malarz osiągnął za czasów monarchii wszystkie możliwe zaszczyty i przywileje. Znany z błyskotliwej inteligencji, dowcipu i obycia towarzyskiego, otwarte miał podwoje wszystkich wpływowych domów europejskich. W Paryżu piastował urząd kustosza królewskiej kolekcji gemm i godność członka Akademii Francuskiej. Stał się faworytem madame Pompadour i dzięki jej poparciu Ludwik XVI wysłał go do ambasady francuskiej w Petersburgu na stanowisko pierwszego sekretarza. Bawiąc w Rosji, potrafił zaskarbić sobie względy carycy Katarzyny. Następnie, przeniesiony do Szwajcarii z nominacją na posła, zawarł zażyłą przyjaźń z Wolterem, u którego bywał stałym gościem.

Na wiadomość o wybuchu rewolucji pośpieszył do Paryża. Spotkała go tam jednak kompletna ruina, gdyż rząd rewolucyjny skonfiskował mu majątek. Denon utrzymywał się przez jakiś czas ze sprzedaży swoich rysunków na ulicach stolicy. Nie trwało to jednak długo, wkrótce bowiem zaopiekował się nim wielki malarz, David, powierzając mu wykonanie miedziorytowych kopii swoich projektów mody. Denon nie tylko wykonał zadanie ku zadowoleniu protektora, lecz w dodatku, dzięki swej zręczności, potrafił do tego stopnia oczarować Robespierre'a, że ten kazał mu przywrócić cały skonfiskowany majątek.

W okresie panowania Napoleona wiodło się Denonowi również dobrze: tym razem zyskał względy żony dyktatora Józefiny i za jej wstawiennictwem przydzielono go do egipskiej komisji uczonych. Wyprzedzając wypadki, należy jeszcze wspomnieć, że po powrocie z Egiptu Denon otrzymał nominację na stanowisko dyrektora generalnego wszystkich muzeów francuskich, w tym też czasie napisał powieść, którą Balzak ocenił bardzo wysoko za realistyczne oddanie obyczajów współczesnej Francji.

Tajemniczy i posępny urok ruin egipskich sprawił na Denonie nieprzemijające wrażenie. Od pierwszej chwili swego pobytu w Egipcie nie porzucał ołówka i bloku rysunkowego. Z gorączkowym zapałem utrwalał na papierze wszystko, co napotkał po drodze w czasie marszu korpusu generała Desaix wzdłuż Nilu aż do pierwszej katarakty. Rysunki jego były nadzwyczaj dokładne i przypominały miedzioryty wytrawnych rytowników, toteż

rozchwytywano je jako kopalnię wiadomości o starożytnych budowlach Egiptu.

W czasie wyprawy egipskiej Denon miał pięćdziesiąt lat, ale rubaszną wesołością, koleżeństwem, odwagą i kondycją fizyczną zyskał sobie dużą popularność wśród żołnierzy francuskich. Ani morderczy upał, ani dalekie, forsowne marsze po grząskim piasku pustynnym nie zdołały ostudzić jego pracowitości. Był pierwszy na nogach i ostatni kładł się na spoczynek. Rysował bez przerwy: podczas marszu, jedzenia i potyczek, nawet wówczas, gdy dokoła niego bzykały kule. Na papierze jego notatnika wciąż pojawiały się coraz to nowe kolumny, sfinksy, obeliski, świątynie, krajobrazy Nilu i pustyni, narysowane wprawną ręką artysty.

W czasie pobytu w Egipcie „komisja uczonych" rozwinęła w Kairze ożywioną działalność naukową. Nie prowadziła ona jednak prac wykopaliskowych, gdyż na powierzchni ziemi było tyle zabytków, że sama ich rejestracja wymagała kilku lat pracy. Przywiezieni z Francji uczeni przeprowadzali pomiary ruin, opisywali zabytki, wreszcie robili ich modele i odbitki w gipsie i glinie. Zebrali również ogromną kolekcję okazów sztuki egipskiej: posągi, płaskorzeźby, a nawet sarkofagi, które pomimo blokady morskiej Nelsona zdołano przesłać do Paryża.

W sierpniu 1799 roku mały oddział francuski pod dowództwem generała Boucharda zajęty był przy pracach fortyfikacyjnych w forcie Rachid, w odległości kilku kilometrów od miejscowości arabskiej Rosette nad Nilem. Pewnego dnia jeden z żołnierzy wygrzebał z ziemi wielką płytę z czarnego polerowanego bazaltu, całą pokrytą napisami. Już wstępne badania wywołały wśród francuskich egiptologów niemałe poruszenie. Okazało się bowiem, że napis był dwujęzyczny i składał się z trzech kolumn. Dwie pierwsze kolumny zawierały tekst w języku egipskim, mianowicie w starym piśmie hieroglificznym i nowszym, uproszczonym piśmie demotycznym, natomiast trzecia kolumna była napisana w języku greckim. Jeden z generałów, hellenista z zawodu, odczytał z łatwością ten tekst i przekonał się, iż zawiera adres hołdowniczy kapłanów egipskich, skierowany w roku 196 przed naszą erą do faraona Ptolemeusza V Epifanosa z okazji jego koronacji.

Cesarz rzymski Teodozjusz wydał w roku 391 edykt nakazujący zamknięcie wszystkich świątyń pogańskich. Wówczas to kapłani różnych kultów pogańskich zostali rozproszeni, bez możności kontynuowania swoich praktyk religijnych, lub też przyjęli chrześcijaństwo. W Egipcie wraz ze zniknięciem ostatnich kapłanów wyszła również z użycia trudna sztuka czytania hieroglifów. Odtąd w ciągu 1500 lat niezliczone inskrypcje na świątyniach i grobowcach, na tablicach pamiątkowych, trumnach, sarkofagach, posągach i obeliskach stały się jedynie zbiorem martwych znaków. Wiedziano o nich tylko to, że czerpały motywy wprost z życia, rozpoznawano bowiem w ich kształcie zarysy istot ludzkich, zwierząt, roślin, owoców, narzędzi, części odzieży, koszów, dzbanów, broni i wielu innych przedmiotów codziennego użytku.

Świat naukowy docenił ogromną wagę „kamienia z Rosetty". Jeden z archeologów miał się wyrazić, że tablica jest „cenniejsza niż wszystkie diamenty faraonów". Doniosłość jej polegała na tym, że po raz pierwszy uczeni otrzymali tekst egipski wraz z jego dokładnym przekładem na język grecki. Przez porównanie zatem poszczególnych słów i znaków fonetycznych obu tekstów można było rozszyfrować tajemnicę hieroglifów.

Dla zwycięskiej, a jednak zablokowanej armii francuskiej sytuacja w Egipcie stawała się z dnia na dzień trudniejsza. Siedemnastego sierpnia 1799 roku Napoleon opuścił ukradkiem Egipt i na fregacie „Muiron" dotarł szczęśliwie do brzegów Francji. W roku 1801 nastąpiła kapitulacja francuskiego korpusu ekspedycyjnego. Stosownie do zawartego w Aleksandrii traktatu pokojowego Francuzi musieli wydać Anglikom wszystkie egipskie znaleziska zebrane przez „komisję uczonych", nie wyłączając „kamienia z Rosetty", który niebawem znalazł się w Muzeum Brytyjskim.

Zdawałoby się, że Francuzi utracili na zawsze owoce swojej skrzętnej pracy kolekcjonerskiej i badawczej. Tak jednak nie było: dzięki bowiem przezorności posiadali ogromny materiał ilustracyjny i opisowy oraz kopie zabytków, dokonane w gipsie i glinie, a przede wszystkim odbitkę „kamienia z Rosetty". Mogli więc podjąć dalsze studia egiptologiczne bezpośrednio już w ojczyźnie.

W roku 1802 Vivant Denon wydał książkę pod tytułem *Podróż po Górnym i Dolnym Egipcie*. Zdobyła ona sobie ogromną poczytność i wzbudziła szerokie zainteresowanie tym krajem w całej Europie.

Przełomowym wydarzeniem dla egiptologii było jednak dopiero wydanie dwudziestoczterotomowego dzieła, opracowanego przez Franciszka Jomarda na podstawie materiałów zebranych przez „komisję uczonych" oraz bogato ilustrowanego rysunkami Denona. *Opis Egiptu* – taki był tytuł dzieła – wydano wielkim nakładem kosztów, przy czym zawierało ono setki miedziorytów, wśród których większość była ręcznie kolorowana.

Dla europejskiego czytelnika książka ta stanowiła pewnego rodzaju objawienie. Wspaniałe budowle i rzeźby egipskie, przedtem dostępne tylko nielicznym podróżnikom, wywołały powszechne zdumienie swoją monumentalnością i odrębnym stylem. Kolejne tomy tego wydawnictwa pojawiały się w latach 1809-1813; był to jednocześnie okres narodzin egiptologii, która w ciągu XIX wieku dzięki pracom setek uczonych miała doprowadzić do wyjaśnienia większości tajemnic kultury egipskiej.

Nie do pomyślenia było prowadzenie jakichkolwiek dociekań naukowych bez odczytania hieroglifów. Dlatego w pierwszej fazie badań cała uwaga uczonych skierowana była na „kamień z Rosetty"; dzięki bowiem dwujęzyczności napisu zdawał się zawierać klucz do całego zagadnienia. Na razie jednak wszystkie próby przynosiły raczej same rozczarowania. Wyrażono w końcu wątpliwość, czy ktokolwiek w ogóle zdoła dokazać tego dzieła. Wybitny orientalista francuski de Sacy zaryzykował nawet oświadczenie, że „problem jest zbyt skomplikowany i naukowo nierozwiązalny".

CHAMPOLLION, WSKRZESICIEL HIEROGLIFÓW

W OKRESIE, KIEDY NA TEMAT HIEROGLIFÓW toczyły się gorące spory, Napoleon mianował prefektem departamentu w Grenoble jednego z członków komisji egipskiej, matematyka i fizyka, Jana Baptystę Fourriera. Wielki uczony z zamiłowaniem troszczył się o rozwój miejscowego szkolnictwa i poświęcał mu wiele wysiłku. W roku 1801 przeprowadził wizytację w jednej ze szkół średnich w Grenoble, gdzie zwrócił uwagę na jedenastoletniego ucznia, niejakiego Jana Franciszka Champolliona, przezwanego przez kolegów, z powodu jego wschodnich rysów twarzy, „Egipcjaninem".

Podczas rozmowy Fourrier odkrył, ku swojemu zdumieniu, iż drobny, chorowicie wyglądający chłopiec mówił zupełnie płynnie po łacinie i grecku i że zabrał się właśnie do opanowania języka hebrajskiego. Nieprzeciętna inteligencja tego malca sprawiła na nim tak wielkie wrażenie, że zaprosił go do swego domu. Oprowadził go po wszystkich pokojach i pokazał bogatą kolekcję zabytków, przywiezionych z Egiptu. Champollion cały czas milczał, gdy jednak zobaczył strzępy papirusów pokryte hieroglifami, zapytał nieśmiało:

– Czy ktoś już to odczytał?

– Niestety, nie…

– Ja kiedyś to odczytam – odpowiedział chłopiec.

W trzynastym roku życia Champollion władał biegle, prócz wymienionych już, językami arabskim, syryjskim, chaldejskim, koptyjskim, starochińskim i sanskrytem. Sława cudownego dziecka i genialnego lingwisty dotarła wkrótce do Paryża.

Po ukończeniu szkoły średniej Champollion zamierzał dostać się do jednego z liceów w Paryżu. W tym celu napisał pracę konkursową, którą był zobowiązany wygłosić najpierw w liceum swego rodzinnego miasta. Profesorowie oczekiwali zwykłego w takich wypadkach wypracowania uczniowskiego, toteż zdumienie ich nie miało granic, gdy młody kandydat przedstawił im poważną i samodzielną rozprawę naukową pod tytułem *Egipt pod panowaniem faraonów*, pełną nieznanych faktów i śmiałych tez historycznych, opartych na tekstach z literatury hebrajskiej, greckiej i łacińskiej.

Profesorowie byli tak olśnieni, że zamiast przyznać Champollionowi prawo wstępu na studia licealne, postanowili przyjąć go do swego grona jako członka kolegium nauczycielskiego. Champollion zemdlał z wrażenia, gdy się o tym dowiedział, i nie mógł pójść do domu o własnych siłach.

Nie skorzystał jednak z propozycji i wyruszył do Paryża na dalsze studia. Siedząc w dyliżansie, zwierzył się swojemu opiekunowi, starszemu bratu, że całą naukę uważa tylko za przygotowanie do odszyfrowania „kamienia z Rosetty". Był to szczyt jego marzeń; jemu poświęcił całe życie i wszystkie wysiłki. Ucząc się języków wschodnich, pragnął poznać psychologię i mentalność ludzi Wschodu, a tym samym zbliżyć się do sposobu myślenia starożytnych Egipcjan. Wierzył, że tylko tą żmudną drogą można będzie znaleźć klucz do rozszyfrowania ich pisma i zrozumienia języka.

Główną uwagę zwrócił na język koptyjski, stanowiący najpóźniejszą i ostateczną fazę rozwojową języka staroegipskiego. Języka tego używali jeszcze w XVII wieku fellachowie egipscy, a do dziś dnia pozostał rytualnym językiem Kościoła koptyjskiego. Champollion mówił nim płynnie i dla nabrania wprawy w piśmie prowadził w nim swoje pamiętniki.

Studiując również dzieła traktujące o Egipcie, zyskał taką rozległą znajomość tego kraju, że głośny naówczas podróżnik po Afryce, Somini de Manencourt, po dłuższej rozmowie z nim wykrzyknął:

– Ależ on zna ten kraj daleko lepiej ode mnie!

Champollion żył w Paryżu w biedzie. Mieszkał na poddaszu w pobliżu Luwru, cierpiąc nieraz głód, a z domu wychodził

niechętnie, gdyż wstyd mu było pokazać się w podartym ubraniu. Przekradał się tylko cichaczem do bibliotek, gdzie cały dzień spędzał pochylony nad książkami. Zimą rozchorował się ciężko i leżał bez opieki w nieogrzanej, wilgotnej klitce. Utrzymywał się tylko ze skąpych funduszy, jakie starszy brat przysyłał mu ze swych niewielkich zarobków.

Któregoś dnia spotkał na ulicy znajomego, który zakomunikował mu hiobową wieść: hieroglify zostały odszyfrowane. Zbladł i zatoczył się jak pijany. A więc wszystkie nadzieje pierzchły; cała jego praca poszła na marne, dlatego tylko że ktoś inny go ubiegł.

– Kto to zrobił? – wykrztusił z trudnością.

– Aleksander Lenoir. Właśnie ukazała się jego broszura *Nowe wytłumaczenie*, twierdzi w niej, że odszyfrował wszystkie hieroglify. Pomyśl tylko, jakie to ma znaczenie dla nauki.

– Lenoir? – zapytał Champollion zaskoczony. – Przecież nie dalej jak wczoraj spotkałem go i nie pisnął mi o tym ani słowa.

– Cóż w tym dziwnego, uważał za właściwe trzymać to w tajemnicy aż do ukazania się broszury.

Champollion pobiegł do najbliższej księgarni i pełen niepokoju kupił broszurę, by ją natychmiast przestudiować.

W godzinę po powrocie do domu jego gospodyni, siedząc w kuchni, usłyszała za drzwiami jakiś niesamowity chichot. Zerwała się i zajrzała do pokoju lokatora. Champollion tarzał się po tapczanie w histerycznym śmiechu. Broszura zawierała stek wierutnych nonsensów, opartych na bałamutnych przesłankach. Znał już dostatecznie dobrze to zagadnienie, by od razu się poznać na bzdurach podanych w broszurze.

W roku 1809, mając dziewiętnaście lat, Champollion powrócił do Grenoble, by objąć na tamtejszym uniwersytecie katedrę historii. Rychło jednak naraził się na różne szykany ze strony policji, ponieważ był zagorzałym republikaninem i nie krył się ze swoim negatywnym stosunkiem do despotyzmu Napoleona. Układał zjadliwe satyry na cesarza i występował otwarcie przeciwko jego wojennej polityce.

W liście do brata zacytował następujące zdanie ze świętej księgi Hindusów *Zend Awesty*: „Lepiej zaorać sześć akrów ziemi, niż

wygrać dwadzieścia cztery wojny”. Wkrótce też władze uniwersyteckie odebrały mu stypendium naukowe.

Po upadku Napoleona walczył zawzięcie z uciskiem nowej monarchii. Pisał sztuki teatralne i satyryczne pieśni, które w lot podchwytywała ulica. Mimo trudności finansowych opracował w tym czasie przeszło tysiąc stron słownika francusko-koptyjskiego, o którym wyraża się dowcipnie w liście do brata: „Mój słownik staje się z dnia na dzień grubszy, za to ja staję się coraz cieńszy”.

Nadeszło burzliwe „sto dni” napoleońskich. Zmyliwszy czujność, Napoleon uciekł z Elby, dostał się do Francji i niebawem wkroczył do Grenoble, gdzie cały garnizon przeszedł natychmiast na jego stronę. Cesarz rozwinął gorączkową akcję wojskową i polityczną, gdy jednak dowiedział się o młodym uczonym, znalazł czas, by go osobiście odwiedzić w jego pracowni. Nie zrażając się chłodną rezerwą, jaką okazywał mu Champollion, zainteresował się jego pracami. Zjawił się u niego jeszcze następnego dnia, przyrzekając mu pomoc w wydaniu słownika koptyjskiego.

Cesarstwo upadło powtórnie, ale załoga weteranów napoleońskich w Grenoble nie chciała się poddać rojalistom i broniła się do upadłego. Generał Latour przystąpił wobec tego do bombardowania miasta. Champollion zarzucał wprawdzie Napoleonowi zdradę ideałów republikańskich, ale prawdziwą nienawiścią obdarzał rojalistów, toteż bez namysłu oderwał się od swoich studiów i zaciągnął w szeregi obrońców miasta.

Rojaliści nigdy mu tego nie darowali. Po zajęciu miasta pozbawili go natychmiast katedry uniwersyteckiej, a później wytoczyli mu sprawę sądową o zdradę stanu. Groziło to gilotyną, toteż w lipcu 1821 roku Champollion ucieka z Grenoble i chroni się w Paryżu, gdzie łatwiej było się ukryć.

Nie wiadomo, czy z obawy przed niepowodzeniem, czy też nie czuł się jeszcze dostatecznie przygotowany – dość że dotąd nie podejmował poważniejszej próby rozszyfrowania „kamienia z Rosetty”. Teraz jednak, a było to w roku 1822, zasiadł do tej pracy na serio.

Jaki był stan wiedzy o hieroglifach w owym czasie? Już wtedy wiedziano, że pismo egipskie przeszło trzy fazy rozwoju,

uwidocznione w trzech odmiennych typach graficznych. W najdawniejszych epokach swojej historii Egipcjanie używali hieroglifów, to jest znaków przedstawiających realistyczne rysunki istot żywych i przedmiotów martwych. Ponieważ tego rodzaju system pisania był dość złożony i wymagał niemałego talentu rysowniczego, uproszczono po pewnym czasie znaki, redukując je do najniezbędniejszych konturów. Było to pismo hieratyczne, stosowane przeważnie przez kapłanów egipskich w napisach świątynnych i na grobowcach. W ostatnim okresie rozwoju pojawiło się pismo demotyczne, czyli ludowe; była to kursywa sprowadzona do kresek, łuków i kółek, łatwa w pisaniu, choć trudno było w niej rozpoznać pierwotne symbole.

Hieroglifami żywo interesowali się już starożytni pisarze. Herodot, Strabon i Diodor, a szczególnie Horapollon (IV wiek n.e.), uważany za wielki autorytet w tej dziedzinie, zdecydowanie twierdzili, że hieroglify są pismem piktograficznym, czyli obrazkowym, w którym poszczególne znaki wyrażają całe słowa, a nie zgłoski czy litery, czyli że każdy znak z osobna określa pewien konkretny przedmiot lub oderwaną myśl.

Badacze XIX wieku ulegli do tego stopnia ich sugestii, że nie przyszło im nawet do głowy, by ową tezę poddać naukowemu sprawdzeniu. W konsekwencji usiłowali odszyfrować hieroglify, traktując je jak samodzielne pojęciowe składniki systemu obrazkowego. Pod wpływem takiej interpretacji wszystkie ich usiłowania okazały się daremne, co gorsza – nieraz te mylne metody zawiodły ich na manowce zupełnie bałamutnych, nienaukowych rozwiązań. Jedynie tylko angielski archeolog Tomasz Young wyraził przypuszczenie, że napisy egipskie zawierają nie tylko znaki obrazkowe, lecz również znaki fonetyczne, nie umiał jednak z tych spostrzeżeń wyciągnąć praktycznych wniosków i znaleźć klucza do odszyfrowania hieroglifów.

Wiekopomna zasługa Champolliona polegała na tym, że zdecydowanie zerwał z tradycją, która krępowała swobodę dociekania naukowego. Zerwał z Herodotem, Strabonem, Diodorem i Horapollonem i śmiało poszedł własnymi drogami, zakładając jako

pewnik, że pismo egipskie zbudowane jest z elementów dźwiękowych, a nie pojęciowych.

Napis grecki na „kamieniu z Rosetty" zawierał imiona faraonów Ptolemeusza i Kleopatry. Te same imiona zatem powinny były znajdować się w obu tekstach egipskich. Ale gdzie ich szukać wśród setek zagadkowych znaków graficznych? Na szczęście sprawa przedstawiała się daleko prościej, niż to zrazu mogło się wydawać. Już od dawna wiedziano, że Egipcjanie oprawiali imiona królów w owalne ramki, czyli w kartusze. Champollion przeto nie miał żadnej wątpliwości, że dwa kartusze, odcinające się wyraźnie spośród mrowia hieroglifów, zawierają oba wymienione imiona królewskie.

Porównując poszczególne znaki egipskie z odpowiednimi literami greckimi, stwierdził ponad wszelką wątpliwość, iż jego teza o fonetycznej strukturze hieroglifów jest całkowicie uzasadniona.

Ale Champollion na tym nie poprzestał. Przez zestawienie kolejnych znaków egipskich z literami greckimi, składającymi się na imiona „Ptolemeusz" i „Kleopatra", odczytał trzy hieroglify z wartością dźwiękową P, O i L. Pewną trudność sprawił mu fakt, że dwa inne hieroglify, które powinny były w obu imionach egipskich być identyczne, ponieważ oznaczały w jednym i drugim imieniu dźwięki T i E, miały odmienny wygląd graficzny. Ale Champollion postawił słuszną tezę, że Egipcjanie w niektórych wypadkach używali na wyrażenie tej samej wartości fonetycznej różnych znaków, podobnie jak Grecy mieli np. dwie litery na oznaczenie dźwięków E i O.

Champollion, korzystając z odszyfrowanych znaków, odczytał jeszcze imiona Aleksandra i kilku imperatorów rzymskich w innych tekstach i pomnożył tą metodą ogólną liczbę odczytanych hieroglifów.

W niektórych wypadkach zastosował sposoby, używane zwykle przy rozwiązywaniu rebusów. Tak np. w jednym z kartuszów znalazł dwa znaki hieroglificzne: , czyli koło z kropką pośrodku, oraz osobliwy znak , przypominający odwrócone ku dołowi widełki

z trzema rożkami na wierzchu. Głowiąc się nad sensem tego kółka, Champollion wpadł na pomysł, że przedstawia ono symboliczny rysunek słońca.

Z relacji pisarzy greckich wiedział, że po egipsku słońce nazywało się Ra. Ponieważ oba hieroglify okalała owalna ramka kartusza, można było przyjąć za pewnik, że wyrażały one imię faraona Ramzesa. Jak wymawiało się jednak drugi człon imienia, czyli wspomniane już widełki? Odpowiedź na to pytanie dał mu język koptyjski. Istniało w nim słowo *meses*, co znaczy syn. Sprawa stała się jasna: w egipskim języku imię królewskie brzmiało Rameses, czyli w przekładzie polskim „syn Słońca".

Nam laikom trudno ocenić ogrom wysiłku umysłowego włożonego przez Champolliona i jego licznych następców przy odszyfrowywaniu hieroglifów. Pismo egipskie jest bardziej skomplikowane, niż to można by sądzić z przytoczonych powyżej przykładów. Wystarczy przedstawić inne charakterystyczne szczegóły, by o tym przekonać czytelnika.

Egipcjanie nie zapisywali zupełnie samogłosek, toteż wyrazy składały się jedynie tylko ze spółgłosek. Żeby sobie lepiej to wyobrazić, zastosujemy ową metodę pisania do języka polskiego. Gdybyśmy spotkali się np. z zespołem spółgłosek „kt" lub „ls" – mogłoby to znaczyć kot, kat lub kit względnie las, lis lub los.

Aby usunąć tego rodzaju wątpliwości, Egipcjanie stawiali przy końcu wyrazów tak zwane determinatywy, czyli określniki, by wyjaśnić, o jakie mianowicie przedmioty każdorazowo chodziło. Przy wyrazie „kt" my, Polacy, umieścilibyśmy rysunek kota, kata lub jakiś symbol wyobrażający kit.

Nie koniec na tym – Egipcjanie wyrażali pojęcia oderwane również za pomocą konkretnych przedmiotów, określając ich właściwy sens różnymi symbolicznymi determinatywami. Spółgłoski „wr" oznaczały bądź jaskółkę, bądź też przymiotnik „wielki". W pierwszym wypadku zestawiali je z rysunkiem jaskółki, a w drugim wypadku z rysunkiem rolki papirusu. Możemy sobie wyobrazić, ile trudu i czasu musiał Champollion poświęcić, zanim udało mu się wykryć zagadkową rolę owego zwoju papirusu. A takich rebusów było w napisach hieroglificznych bez liku.

Trzeba wyjaśnić, że język egipski był w użyciu dłużej niż inne języki świata z wyjątkiem chińskiego. Ludzie posługiwali się nim co najmniej od czwartego tysiąclecia przed n.e. do XVII wieku n.e., czyli bez mała pięć tysięcy lat. Rzecz jasna, że w ciągu tego ogromnego okresu język egipski ulegał procesowi nieustannego rozwoju i bardzo zasadniczym przemianom. Gdyby trzech Egipcjan, pierwszy z roku 3000, drugi z roku 2000, a trzeci z roku 1000 przed n.e. spotkali się w jednym miejscu – na pewno by nie mogli się z sobą porozumieć.

Również pismo hieroglificzne ulegało stopniowym przeobrażeniom. Poza zmianami graficznymi, o których wspominaliśmy poprzednio, odbywał się również proces rozwoju wewnętrznego. Starożytni pisarze greccy nie mylili się w swoich sądach, że z początku hieroglify istotnie były pismem obrazkowym. Ale już w bardzo odległych czasach przybierały one funkcje dźwiękowe, mianowicie, rysunki nie wyrażały całego przedmiotu, lecz tylko pierwszą spółgłoskę jego brzmienia. Tą drogą Egipcjanie otrzymali dwadzieścia cztery znaki zgłoskowe. Trzeba jeszcze zaznaczyć, że dalej już nie postąpili, nie mogli więc dokonać przełomowego dla ludzkości wynalazku alfabetu.

Wszystkie te komplikacje stwarzały egiptologom nieopisane trudności. Odszyfrowanie jednego tekstu hieroglificznego bynajmniej nie oznaczało możności odczytania innego. Jednakże dzięki genialnemu odkryciu Champolliona nie ma dziś inskrypcji, której by specjalista nic zdołał odczytać i zrozumieć.

Wielką pomocą w rekonstrukcji języka egipskiego była posiadana przez Champolliona znajomość gramatyki i słownictwa koptyjskiego oraz fakt, że język ten należy do wielkiej grupy języków semicko-chamickich. Dzięki temu można było zestawić go dla celów porównawczych ze znanymi już językami starożytnych ludów, które zamieszkiwały Azję Zachodnią, Półwysep Arabski i północno-wschodnią Afrykę.

Champollion stał się niebawem we Francji wybitnym autorytetem naukowym i otrzymał zatem z łatwością środki na zorganizowanie ekspedycji do Egiptu. W latach 1828 i 1829 przemierzał dolinę Nilu na czele piętnastoosobowej grupy wiernych mu uczniów,

przyjmowany wszędzie z entuzjazmem, jako ten, który „odczytał pismo starych kamieni”.

Co prawda, ekspedycja swoimi fantazyjnymi strojami mogła wywołać ogólną sensację. Członkowie jej przybrali się jednakowo w turbany, w marynarki szamerowane złotem i buty z żółtej skóry. Sam jej przewodnik i mistrz paradował w autentycznym stroju arabskim.

Mimo tych teatralnych akcesoriów ekspedycja była poważnym przedsięwzięciem naukowym. Champollion budził zdumienie i podziw ogromną erudycją egiptologiczną. Zazwyczaj jeden rzut oka wystarczył mu, aby napotykane zabytki zaklasyfikować do właściwej epoki. Nic nie stanowiło dlań niespodzianki, wszystko, co spostrzegł, potwierdzało jego teoretyczną wiedzę, nabytą w ciągu długoletniej pracy w Grenoble i Paryżu.

Młodzi towarzysze Champolliona podziwiali romantyczne piękno ruin egipskich. Oto, co jeden z nich zanotował o świątyni w Dendera: „I wreszcie ukazała się świątynia, skąpana w poświacie księżyca. Skończony spokój i tajemnicza magia panowała pod portykiem z jego gigantycznymi kolumnami, podczas gdy na zewnątrz wszystko tonęło w olśniewającym świetle księżyca. Dziwny, cudowny kontrast! Rozpaliliśmy ognisko z suchej trawy w pośrodku świątyni. Nowy zachwyt, nowy wybuch entuzjazmu graniczący z ekstazą! Ogarnęła nas jakaś niepojęta gorączka, jakieś szaleństwo, jakieś nieopisane uniesienie!”.

Sam mistrz wyprawy wyrażał się o tej świątyni w sposób bardziej powściągliwy, ale widać, że i on nie mógł oprzeć się jej urokowi: „Nie próbuję nawet opisać wrażenia, jakie sprawiła na nas świątynia, a zwłaszcza jej portyk. Poszczególne fragmenty budowli mogą być opisane liczbami i wymiarami, ale rzeczą zgoła niemożliwą jest dać jakiekolwiek wyobrażenie o całości. Świątynia w najdoskonalszy sposób łączy w sobie wdzięk i majestat. Przebywaliśmy tam dwie godziny, pełni ekstatycznych nastrojów. Oprowadzani przez biednego, obdartego fellacha, błąkaliśmy się po jej salach i próbowaliśmy w świetle księżyca odczytać napisy, wyryte na zewnętrznych murach”.

W trzy lata po powrocie z podróży po Egipcie Champollion zmarł w Paryżu na skutek zupełnego wycieńczenia organizmu spowodowanego nadludzką pracą umysłową.

DOLINA KRÓLÓW, ŚWIĘTE BYKI I SFINKSY

KSIĄŻKA DENONA i luksusowe wydawnictwo albumowe Jomarda wywołały w Europie gorączkę nabywania zabytków starożytnego Egiptu. Wszystkie znaczniejsze miasta uważały sobie za punkt honoru posiadanie w muzeach eksponatów wprost znad Nilu.

Wysyłanym w tym celu ekspedycjom przyświecały często raczej motywy podyktowane modą chwili niż rzetelne cele naukowe. Awanturnicy, wietrząc sute zyski, wyprawiali się na własną rękę do Egiptu i skupowali rzeźby, skarabeusze, a nawet całe sarkofagi i mumie, by je potem odsprzedać prywatnym kolekcjonerom. Dzięki tej koniunkturze rozpanoszył się w Kairze pokątny handel, którego nawet najostrzejsze zarządzenia administracyjne nie potrafiły zahamować. Całe wsie fellachów egipskich, leżące w dogodnym sąsiedztwie ruin i grobowców królewskich, uczyniły sobie z handlu zabytkami główne źródło utrzymania. W zakamarkach uliczek i na bazarach brodaci Arabowie niejednokrotnie ofiarowywali na sprzedaż dzieła sztuki egipskiej, z których byłyby dumne najpocześniejsze muzea świata. Nie sposób nawet ocenić, ile niepowetowanej szkody wyrządzono wtedy egiptologii, gdyż w gorączkowym poszukiwaniu znalezisk plądrowano bez skrupułu groby i świątynie, rozbijano sarkofagi, odtrącano posągom głowy i wyłupywano ze ścian całe płyty z płaskorzeźbami lub inskrypcjami.

Wśród tego zamętu bardzo powoli dojrzewała rzetelna archeologia Egiptu. Jej pionierem był dziwnym zbiegiem

okoliczności człowiek, niemający nic wspólnego z archeologią: Giovanni Baptysta Belzoni, urodzony w roku 1778 w Padwie, osobistość niesłychanie malownicza i do pewnego stopnia awanturnicza. Właściwie wypadałoby go zaliczyć do rzędu owych pospolitych poszukiwaczy skarbów, od których roiło się wtedy w Egipcie, a którzy stanowili prawdziwą plagę dla nauki, gdyby nie to, że dokonał kilku odkryć, mających duże znaczenie dla stawiającej dopiero pierwsze kroki egiptologii. Późniejsi archeolodzy wytykali mu niejednokrotnie jego bezceremonialne, wołające o pomstę do nieba metody poszukiwania, ale mimo wszystko uznali jego bezsporne zasługi.

W młodości Belzoni chciał wstąpić do klasztoru, ale rola mnicha nie pasowała do niego zupełnie. Był to bowiem młodzieniec o mięśniach zapaśnika, krewki, skory do bitki i awantury. W dodatku zaplątał się w jakieś intrygi polityczne, a w ówczesnych czasach nie była to sprawa bezpieczna. Toteż, mając dwadzieścia trzy lata, musiał uciekać z Padwy i wylądował wkrótce na bruku londyńskim.

Zarabiał tam na utrzymanie w dość oryginalny sposób. Występował mianowicie w podrzędnych cyrkach jako „największy siłacz świata". Ubrany w różowe trykoty wzbudzał podziw potężnymi bicepsami, dźwigał niewiarogodne ciężary, a przy końcu popisu paradował obwieszony kilkoma mężczyznami naokoło areny wśród tuszu orkiestry i oklasków szalejącego z zachwytu tłumu.

W cichości marzył jednak o dokonaniu jakiegoś wielkiego wynalazku, który by mu przyniósł fortunę. Ponieważ słyszał o prymitywnych metodach nawadniania gruntów, stosowanych od niepamiętnych czasów w Egipcie, skonstruował koło do pompowania wody, czterokrotnie skuteczniejsze od tamtejszych żurawi-czerpaków. Za ostatnie pieniądze, zebrane z występów cyrkowych, pojechał do Kairu i zademonstrował swój model ówczesnemu władcy Egiptu Mohamedowi Aliemu. Spotkał się jednak z zupełnym fiaskiem. Ali znany z tego, że podczas bankietu wyciął w pień czterystu bejów, bynajmniej nie był skłonny ulżyć ujarzmionym fellachom i przyjął demonstrację obojętnym wzruszeniem ramion.

Belzoni znalazł się w Kairze bez grosza w kieszeni. Toteż gdy odwiedził go miejscowy konsul angielski i zaproponował mu wykonanie pewnego zlecenia za dobrym wynagrodzeniem – zgodził się na nie chętnie. Chodziło mianowicie o to, by zabrać z Teb ogromny posąg Ramzesa II i przetransportować go w górę Nilu na okręt w Aleksandrii, skąd miał być przewieziony do Muzeum Brytyjskiego w Londynie.

W czerwcu 1816 roku Belzoni zjawił się w Tebach. Ruiny miasta wywarły na nim głębokie wrażenie i zaszczepiły gorące umiłowanie starożytności egipskich. Postanowił więc pozostać w Egipcie na stałe i poświęcić się całkowicie poszukiwaniom archeologicznym.

0 pierwszym zetknięciu z ruinami tak pisał w swoich pamiętnikach:

„Dnia 22 zobaczyliśmy po raz pierwszy ruiny wielkich Teb i lądowaliśmy w Luksorze. Niepodobna opisać widoku, jaki ukazał się naszym oczom. Miałem wrażenie, że wszedłem do miasta olbrzymów, miasta, które wyglądało tak, jakby je zburzono w długotrwałej wojnie. Świątynia w Luksorze zdumiewa podróżnika swoją wspaniałą, wyniosłą monumentalnością. Wszystko w niej jest godne podziwu – przedsionek (propyleje) z dwoma obeliskami i kolosalnymi posągami na froncie, gęsto ustawione grupy olbrzymich kolumn, rozmaite sale i sanktuaria, przepyszne ornamenty pokrywające każdy skrawek murów i kolumn, batalistyczne płaskorzeźby na propylejach. Gdy skierujemy krok w północną stronę Teb, zwabieni widokiem szczątków budowli wybiegających wysoko ponad szczyty drzew palmowych – znajdziemy się w istnym lesie świątyń, kolumn, obelisków, posągów kolosów, sfinksów, portyków i niezliczonych innych zdumiewających zabytków, zgoła niemożliwych do opisania.

Nawet po zachodniej stronie Nilu podróżnik znajdzie się między cudami. Możemy podziwiać tam świątynie, gigantyczne posągi o niezrównanej potędze wyrazu oraz «Dolinę Królów» z licznymi grobami królewskimi wykutymi w skale, z ich malowidłami ściennymi, sarkofagami i posągami. Któż by nie zadumał się nad losami ludu, który stworzył owe fascynujące budowle, a potem

pogrążył się w takich mrokach zapomnienia, że nawet jego język i pismo stały się zagadką".

Belzoni wynajął kilkudziesięciu Arabów i za pomocą belek, drągów i postronków z włókna palmowego załadował posąg na tratwę. Do ciężkiego dzieła przykładał się osobiście z takim zapałem, że w pewnej chwili rzuciła mu się krew z nosa. Podróż w górę Nilu trwała pięć miesięcy. Po drodze Belzoni zachorował ciężko na oczy i musiał cały czas przebywać w przyciemnionej kajucie, ale rzeźbę Ramzesa II przywiózł szczęśliwie do Aleksandrii.

Następne pięć lat spędził w Egipcie, zbierając i wysyłając do Londynu najróżniejsze znaleziska, od drobnych skarabeuszy począwszy, aż do ogromnych monolitycznych obelisków. Jego działalność, prawdę mówiąc, była najpospolitszym rabunkiem; na jego usprawiedliwienie można jednak powiedzieć, że nie był on w swoich czasach wyjątkiem. Nawet poważni archeolodzy bez żadnych skrupułów ogałacali Egipt, wywożąc wykopaliska archeologiczne do swoich krajów.

Niewątpliwą jego zasługą było to, że zapoczątkował poszukiwania archeologiczne w Dolinie Królów, leżącej po zachodniej stronie Nilu, naprzeciwko Luksoru i Karnaku, dawnych miast egipskich, dziś pełnych gigantycznych ruin. W tej bezludnej kotlinie, zamkniętej wieńcem wapiennych skał, faraonowie od XVI wieku przed naszą erą kazali wykuwać sobie grobowce i chować tam swoje mumie wśród nieprzebranych skarbów.

Grobowce już w zamierzchłych czasach splądrowali rabusie. Stały one zatem opustoszałe i otwarte jak gardziele pieczar. Miały tam swoje siedliska szakale i nietoperze. Jedynie tylko na ścianach krypt grobowych zachowały się dziwne malowidła i tajemnicze hieroglify, których nikt nie umiał odczytać. Już greccy i rzymscy podróżnicy chętnie zwiedzali niesamowitą dolinę. Jej gołe, urwiste zręby skalne, leżące u ich stóp ogromne osypiska piargów i gruzów, a przede wszystkim niezgłębiona cisza, unosząca się nad odludnym, jakby księżycowym krajobrazem pozostawiały niezatarte wrażenie.

Egiptolodzy byli przeświadczeni, że wszystkie groby, znajdujące się w Dolinie Królów są już znane i zbadane, że wobec tego rozpoczynanie specjalnych prac wykopaliskowych nie miałoby tam

żadnego celu. Ale Belzoni nie zraził się tą opinią. W jednym miejscu doliny usunął przy pomocy kilku fellachów ogromną stertę gruzu i nagle stanął przed wejściem do grobowca, którego istnienia nikt nie podejrzewał. Leżał tam kiedyś wśród bezcennych skarbów faraon Seti I, poprzednik Ramzesa, zdobywcy Libii, Syrii i krajów Hetytów, ale grób był doszczętnie ograbiony. Ocalał tylko pusty sarkofag z alabastru, który Belzoni wysłał do Londynu.

Odkrycie grobowca wywołało powszechne poruszenie, bo wynikało z tego niezbicie, że dolina, wbrew opinii uczonych, kryje jeszcze mnóstwo niespodzianek. Odtąd zaczęły się tam długoletnie prace wykopaliskowe, uwieńczone w XX wieku odkopaniem nietkniętego grobu faraona Tutanchamona, gdzie znaleziono mnóstwo oszałamiających wprost skarbów i dzieł sztuki egipskiej.

W roku 1820 Belzoni wrócił do Londynu, witany entuzjastycznie. Jeszcze większego nabrał rozgłosu, gdy w Hali Egipskiej na Picadilly urządził wystawę swoich znalezisk, wśród których największą atrakcję stanowił alabastrowy sarkofag faraona Setiego I.

Belzoni zmarł w kilka lat później na pokładzie okrętu, w drodze do Timbuktu, dokąd płynął w poszukiwaniu nowych przygód i nowych wrażeń.

Pionierem archeologii egipskiej odmiennego pokroju był Francuz August Mariette, uczony archeolog i kustosz Luwru. Do Egiptu przybył on w roku 1850, z poleceniem zakupienia dla swojego muzeum papirusowych dokumentów.

Kair ze swymi kopułami i strzelistymi minaretami wywarł na nim nieprzemijające wrażenie. Przechadzając się kiedyś po ulicach miasta, zauważył ze zdumieniem, że przed meczetami i pałacami wysokich urzędników egipskich stoją identyczne rzeźby sfinksów. Zastanowiło go, skąd one pochodzą. Niewątpliwie – pomyślał – przywieziono je do Kairu z jednego miejsca, wskazywało na to prawie bliźniacze podobieństwo stylu i jednakowe rozmiary.

Tajemnicę ich pochodzenia odkrył zupełnie przypadkowo. Bawiąc w Sakkarze, mieście leżącym niedaleko Kairu, spostrzegł głowę sfinksa wystającą z pustynnego piasku. Po odkopaniu jego tułowia przeczytał napis: „Apis, święty byk Memfis”.

Zelektryzowało go to do najwyższego stopnia, wiedział bowiem skądinąd, że kult świętego byka uprawiano w świątyni, związanej z legendarną aleją sfinksów, która już od dawna znikła z powierzchni ziemi i nikt nie wiedział, gdzie szukać jej śladów. Czyżby miała być zakopana w piasku tu, w Sakkarze?

Natychmiast wynajął kilkudziesięciu Arabów i przystąpił do odkopywania piasku w bliskim sąsiedztwie odnalezionej rzeźby. Rezultat tej pracy był rewelacyjny. Wzdłuż obu brzegów szerokiej drogi stało sto czterdzieści olbrzymich sfinksów, spozierających z zadumą w dal. Dalsze poszukiwania ujawniły, że aleja łączyła dwie świątynie, znajdujące się obecnie w stanie zupełnej ruiny.

Pierwszego dnia przy jednej z tych świątyń Mariette odkrył zasypane wejście do podziemia. Zapalił pochodnię i spadzistym korytarzem wszedł do środka. W świetle chybotliwego płomienia zobaczył niezapomniany obraz. W ogromnej galerii, wykutej w skale, stały szeregiem sarkofagi z polerowanego czarnego i czerwonego granitu, ważące na oko co najmniej po siedemdziesiąt ton. Najwidoczniej i tu grasowali rabusie, bo wieka niektórych sarkofagów były odwalone na bok.

W każdym z tych sarkofagów spoczywała mumia byka, nietknięta i dobrze zakonserwowana, choć obrabowana z kosztowności, w jakie zaopatrywano ją na drogę śmierci.

Wiedziano już dawno, że Egipcjanie poczytywali niektóre zwierzęta za istoty boskie i otaczali je kultem religijnym. Tutaj jednak Mariette odkrył widomy dowód tego osobliwego zwyczaju w postaci całego cmentarzyska kolejnych wcieleń sławnego byka Apisa, sługi boga Ptah, któremu wznoszono świątynie i przydzielano osobne kolegia kapłanów.

Zwierzę spędzało całe życie w świątyni lub na przyległym pastwisku, a gdy zakończyło swój wygodny żywot, kapłani wśród wyszukanych obrzędów rytualnych balsamowali i chowali je w podziemnych katakumbach.

Egipcjanie wierzyli, że umiera tylko jego ziemska powłoka, podczas gdy dusza przenosi się w ciało innego byka. Po zakończeniu długotrwałych uroczystości żałobnych wydelegowani kapłani świątyni udawali się w wędrówkę po kraju, by wśród byków

odszukać boskiego następcę. Poznawali go wedle im tylko znanych, tajemniczych znamion sierści. Wybrańca, umajonego kwiatami i wystrojonego w barwne wstęgi, odprowadzano w uroczystej procesji do świątyni. Po drodze witały go tłumy wiernych radosnymi tańcami i śpiewami.

Ciekawym szczegółem jest to, że kult poszczególnych zwierząt uprawiano dzielnicami: stąd należy przypuszczać, że sięgał on tych czasów, kiedy Egipt był jeszcze podzielony na osobne państewka plemienne. W Bubastis i Beni Hassan znaleziono cmentarzysko zabalsamowanych kotów, w Ombos krokodyli, w Aszunein ibisów, aw Elefantynie baranów. Podczas gdy w pewnych dzielnicach uważano je za boskie, nietykalne istoty, w innych dzielnicach zabijano je bez najmniejszych skrupułów. Z tej sprzeczności w wierzeniach wynikał np. osobliwy fakt, że na pewnych odcinkach Nilu roiło się od krokodyli, podczas gdy inne były od nich wolne, bo je tam wytępiono.

Ogólnie rzecz biorąc, zwierzęta odgrywały w religii egipskiej bardzo ważną rolę. W najdawniejszych czasach bogowie występowali pod postacią krowy, barana, sokoła, ibisa, szakala, krokodyla, kota, węża itp. Z czasem zaczęli się uczłowieczać, zachowując jeszcze głowy zwierząt, a dopiero w ostatniej fazie rozwoju przeobrazili się w pełne postacie ludzkie.

Mariette ma w swoim dorobku drugie, dla egiptologii nie mniej doniosłe odkrycie. W pobliżu Alei Sfinksów wykopał wykuty w skale niezmiernie stary grobowiec możnowładcy i obszarnika nazwiskiem Ti, pochodzący z okresu powstania piramid Cheopsa, Chefrena i Mykerinusa. Grobowiec był doszczętnie splądrowany, ale na jego ścianach zachowały się freski, które ze względu na to, iż po raz pierwszy pozwoliły nam zapoznać się z trybem życia i ustrojem społecznym Egipcjan – posiadają nieocenioną wartość naukową.

Możnowładcę i bogacza Ti widzimy tam zawsze trzy lub czterokrotnie większego od innych ludzi. Góruje on nad nimi dumnie i władczo, wyrażając w ten sposób przepaść klasową dzieląca pana od niewolników. Widzimy go przy biesiadzie z rodziną, na polowaniu wśród zagajników papirusowych lub też stojącego na pokładzie okrętu i przyglądającego się wioślarzom.

Niektóre freski przedstawiają różne formy ucisku. Oto wieśniacy prowadzeni na postronkach składają daninę, gdzie indziej znowu długie szeregi niewolników potulnie pochylonych, a obok nich dozorcy wymachujący batami. Malowidła te informują o stosunkach społecznych w starym Egipcie lepiej niż niejedna odczytana później inskrypcja.

Podobnie pouczające są malowidła przedstawiające ludzi przy ich czynnościach zawodowych. Widzimy tam chłopów przy obróbce lnu, przy koszeniu, młóceniu i oczyszczaniu zboża, poganiaczy osłów, budowniczych okrętów, drwali, złotników, kamieniarzy, rymarzy, snycerzy i artystów rzeźbiarzy. Ponieważ wszystko to dzieje się w posiadłościach obszarnika Ti, wolno nam stąd wnioskować, że majątki ówczesnych możnowładców stanowiły zamknięte w sobie, samowystarczalne jednostki gospodarcze, wytwarzające prawie wszystko na własne potrzeby.

Zasługą Augusta Mariette'a było również założenie w Kairze Muzeum Egipskiego. Na stanowisku dyrektora tego muzeum walczył skutecznie z nielegalnym handlem zabytkami; dzięki niemu wprowadzono ustawę, regulującą warunki, w jakich wolno było podejmować prace wykopaliskowe, i chroniącą Egipt od zupełnego ogołocenia z cennych starożytności. Dziś dzięki jego wysiłkom tylko w wyjątkowych wypadkach wolno wywozić znaleziska; normalnie archeolodzy muszą oddawać je do Muzeum Egipskiego, toteż w Kairze znajdują się obecnie największe zbiory, dające uczonym podstawę do studiów naukowych nad historią, kulturą i obyczajami starego Egiptu.

TAJEMNICE PIRAMID

WŚRÓD ARCHEOLOGÓW XIX WIEKU na miano pioniera egiptologii zasługuje także angielski uczony William Mathew Flinders Petrie, który od roku 1880 przez okres czterdziestu sześciu lat zajmował się głównie badaniem piramid.

Ogromne budowle w kształcie ostrosłupów, nazwane przez Arabów „górami faraonów", powstały w okresie panowania trzeciej i czwartej dynastii faraonów, a więc bez mała cztery i pół tysiąca lat temu. Stanowiły one od najdawniejszych czasów cel wędrówek wielu generacji podróżników, budząc podziw i lęk niemalże zabobonny swoimi ogromnymi wymiarami, jak też surową architekturą.

O piramidach wiedziano tylko tyle, że kryły one kiedyś mumie potężnych władców Egiptu. Nie znano nawet dokładnych ich wymiarów i daty powstania. Na ich temat krążyły najrozmaitsze mniej lub więcej fantastyczne legendy i opowiadania. W ich kształtach i proporcjach doszukiwano się odbicia wiedzy astronomicznej kapłanów, a nawet mistycznych proroctw o przyszłych losach pokoleń ludzkich.

Jeżeli dzisiaj posiadamy szczegółowsze wiadomości o piramidach, zawdzięczamy to w niemałym stopniu długoletniej, cierpliwej pracy Petriego. W roku 1880 stanął on po raz pierwszy przed piramidą w Gizie. Warunki, w jakich jął się swego zadania, wymagały wielkiego zaparcia się siebie. Ponieważ dysponował bardzo szczupłymi środkami finansowymi, nie mógł wynająć pomocników i wybudować baraku, gdzie by mógł zamieszkać i spokojnie pracować. Ulokował się więc w pustym grobowcu skalnym, spał na

sienniku, gotował sobie posiłki na kuchence spirytusowej i sporządzał notatki przy kopcącej lampie naftowej.

Z chwilą gdy zapadała noc i obniżała się nieco temperatura, rozbierał się do naga i wchodził do wnętrza zawiłych korytarzy i komór grobowych piramidy. W części centralnej budowli panowała temperatura tropikalna i niesamowity zaduch. Nie mógł więc tam pozostawać dłużej niż jedną do dwóch godzin. Wykorzystywał ten czas, rysując w pośpiechu rozkład korytarzy i sporządzając kopie napisów ściennych. Zwykle powracał z takich eskapad zlany potem, z bólem głowy i z oczami przekrwionymi ze zmęczenia. Pomimo to siadał natychmiast na ziemi i uzupełniał niewykończone jeszcze szkice. Upalne dni przesypiał w swojej norze aż do wieczora, kiedy chłód pozwolił mu znowu przystąpić do pracy.

Do obecnej chwili archeolodzy naliczyli osiemdziesiąt piramid, wśród których większość znaleziono jedynie w stanie szczątkowym, gdyż w ciągu wieków służyły one jako niewyczerpane źródło budulca dla okolicznych fellachów. Faraonowie wznosili je po zachodniej stronie Nilu, w sąsiedztwie najstarszej stolicy Egiptu Memfis, położonej na pograniczu Górnego i Dolnego Egiptu.

Najsławniejsze są trzy piramidy: Cheopsa, Chefrena i Mykerinusa. Największa z nich, piramida Cheopsa, dźwiga się na wysokość 146 metrów, a bok jej kwadratowej podstawy wynosi przeszło 230 metrów. O jej gigantycznych rozmiarach zyskamy lepsze wyobrażenie, jeżeli dodamy, że wysokością przerasta Bazylikę św. Piotra w Rzymie. Składa się ona z 2 300 000 bloków kamiennych o przeciętnej wadze 6000 kilogramów każdy.

Herodot twierdzi, że piramidę budowano dwadzieścia lat i że przy samym tylko transporcie budulca zatrudniano sto tysięcy wieśniaków, spędzonych co roku na okres trzymiesięcznego wylewu Nilu, kiedy ustawały wszelkie roboty w polu. Ponadto, jak to sądzić wolno z ruin baraków, pracowało tam na stałe około czterech tysięcy rękodzielników-murarzy, kamieniarzy, rzeźbiarzy itp.

Przed piramidą stoi do dziś dnia ogromny sfinks, wykuty z monolitu skalnego. Pochodzi on z okresu panowania jednego z następców Cheopsa. Postać leżącego lwa, z ludzką, pełną zagadkowej zadumy twarzą, miała uzmysławiać nieograniczoną

potęgę władców egipskich. Posąg sprawia głębokie wrażenie już choćby przez sam swój ogrom, liczy bowiem 20 metrów wysokości i 73 metry długości.

Piramidy, stojące wśród nagiej równiny pustynnej, przedstawiają dziś obraz bardzo smętny. Wygładzone wapienne lub granitowe płyty, tworzące oblicowanie powierzchni, przeważnie zostały poobrywane na budulec, ich zaś resztki zszarzały i zatraciły swoją gładkość pod uderzeniami burz piaskowych.

Przenieśmy się w czasy ich młodości, aby zobaczyć je w innym otoczeniu. Każdej piramidzie, opasanej ozdobnym murem, towarzyszyła zazwyczaj piękna świątynia z kolumnowym portykiem, w której kapłani odprawiali nabożeństwa za pomyślność zmarłego faraona i sprawowali pieczę nad jego codziennymi potrzebami, stawiając przed posągiem naczynia z jadłem i napojem.

Dostojnicy dworscy poczytywali sobie za szczyt honoru, by uzyskać prawo do miejsca pośmiertnego spoczynku w najbliższym sąsiedztwie piramid. Z tego powodu otaczały je rozległe cmentarze, pełne okazałych grobowców.

Zewnętrzne płaszczyzny piramid niejednokrotnie zdobiły płaskorzeźby i mozaiki. Podczas wielkich świąt otaczano je lasem masztów z kolorowymi flagami. Z napisu w krypcie grobowej królowej Ujebten wynika, że wierzchołek jej piramidy był pozłacany; złocisty odblask, migocący na przemian w słońcu i w poświacie księżyca, wskazywał być może drogę wędrowcom, jak okrętom światło latarni morskiej.

Zważywszy na ówczesne prymitywne metody pracy, opartej wyłącznie na sile fizycznej człowieka, badacze zastanawiali się, jak można było spiętrzyć tak potworną masę kamieni w geometrycznie bezbłędny kształt ostrosłupa i dopasować tysiące płyt tak ściśle, że nie można było włożyć między nie ostrza noża.

Na szczęście w źródłach historycznych i napisach hieroglificznych zachowały się pewne dane, które w przybliżeniu pozwalają odtworzyć przebieg całej budowy. Bloki kamienne holowano z pobliskich kamieniołomów Nilem, a potem wleczono je na płozach wzdłuż sztucznej pochylni, którą podwyższano i przedłużano w miarę postępu budowy piramidy. Dla zmniejszenia tarcia trasę

skrapiano wodą, tak że sanie ślizgały się z łatwością po błocie. Kamieniarze ustawiali kostki kamienne w ten sposób, że do chwili złączenia bloków pozostawiali wąski pomost, na którym wisząc nad przepaścią, mogli oprzeć się stopami.

Była to praca pełna udręki, wymagająca mnóstwa ofiar ludzkich. Mrowie robotników trudziło się pod batem dozorców w morderczym słońcu pustyni, aby spełnić kaprys jednego człowieka, boskiego władcy Górnego i Dolnego Egiptu.

Gdy zastanowimy się nad ogromem włożonego wysiłku, dojdziemy do przekonania, że nigdy chyba w dziejach świata nie zaszedł podobny fakt, aby zmuszano wszystkich podwładnych do tak nieprodukcyjnej pracy, której wymiary i natężenie wydają nam się dzisiaj czymś niepojętym.

Owe monstrualne budowle, przeznaczone na schronienie dla mumii królewskich, były ponadto wyrazem boskości faraonów i służyły im, według ich wierzeń, jako klatka schodowa, po której powracali do nieba. Toteż najstarsze piramidy miały kształt schodów i dopiero późniejsze, z niewyjaśnionych zresztą przyczyn, otrzymywały ściany gładkie. O tym mistycznym przeznaczeniu piramid świadczą znalezione papirusy, gdzie znajduje się np. taki werset:

> Budujemy dla niego (faraona) klatkę schodową, aby mógł wstąpić do nieba.

Dla szerokich mas ujarzmionej ludności te surowe i bezduszne w swych kształtach ostrosłupy musiały być czymś zupełnie obcym i wrogim, jako przypomnienie władców, nieznających miary i wędzidła w swej pysze i egoizmie. Przecież budowa ich pochłaniała główne zasoby ekonomiczne Egiptu i pogłębiała nędzę. Nawet po ich ukończeniu piramidy pasożytowały na pracy rolników i rzemieślników, ponieważ rytuał wymagał, by utrzymywać przy nich grono kapłanów służących wyłącznie nieboszczykowi. Jeden z faraonów przeznaczył na to daniny dwunastu wsi na okres wieczysty. O ucisku ludu w okresie panowania czwartej dynastii wspomina Herodot, a Diodor twierdzi, iż kiedyś ludność kraju wznieciła powstanie i wyrzuciła z piramid ciała królów.

Jeśli pragniemy dokładniej zrozumieć motywy, jakie skłaniały faraonów do budowania owych kolosów, musimy przypomnieć choćby pokrótce pewne rysy charakterystyczne religii egipskiej. Wśród plejady bogów największego kultu doznawali bóg słońca Ra i bóg ziemi Ozyrys, który panował sprawiedliwie, nauczył bowiem ludzi wszystkich sztuk i rzemiosł. Brat jego, bóg Set, był uosobieniem zła. Zazdroszcząc Ozyrysowi popularności wśród ludzi, zamordował go, a zwłoki umieścił w skrzyni i wrzucił do morza. Wypłynęła ona na brzeg opodal miasta Biblos.

Żona Ozyrysa, bogini Izyda, wskrzesiła go do nowego życia. Zmartwychwstały Ozyrys stał się odtąd panem krainy zmarłych.

Syn Ozyrysa Horus pomścił śmierć ojca, zabijając Seta. Od tej chwili stał się on uosobieniem miłości synowskiej, a ponieważ w walce z przeciwnikiem stracił jedno oko, również symbolem poświęcenia.

Egipcjanie wierzyli, że zachód i wschód słońca oznaczają śmierć i zmartwychwstanie boga Ra. Z tych mitów czerpali pewność, że również ich czekają zmartwychwstanie i szczęśliwsze życie pośmiertne w zaświatach.

Wedle ich wierzeń człowiek składał się z trzech elementów: z ciała fizycznego, z części *ha* oraz *ba.*

Ka był sobowtórem człowieka i jego aniołem stróżem. Przedstawiano go jako brodatego człowieka z koroną na głowie. Był on również przewodnikiem zmarłego w zaświatach, zaopatrując go w żywność i prowadząc przed oblicze boga Ra.

Właściwą duszą człowieka był *ba*, wyobrażany w grobach w postaci ptaka z głową ludzką oraz płonącą przed nim lampką oliwną.

Zapewnienie życia pozagrobowego duszy uzależnione było od dwóch zasadniczych warunków. Ciało zmarłego musiało być zabezpieczone przez zabalsamowanie od rozkładu i od zniszczenia przez rabusiów, ponadto należało zaopatrzyć je w żywność i wszelkie przedmioty domowego użytku, żeby zaspokoić jego potrzeby pośmiertne. Faraonowie budowali przeto piramidy, pełne zawiłych krużganków, ślepych komór i pułapek, mających rabusiom uniemożliwić dotarcie do mumii i skarbów grobowych.

Jako istoty boskie, faraonowie korzystali po śmierci z tych samych przywilejów, co na ziemi. Ponieważ wyobrażano sobie, że bóg słońca Ra odbywa codziennie podróż po niebie w złocistej łodzi, przeto z początku dusza faraona obejmowała funkcję jego wioślarza, potem nawet sternika okrętu. W miarę jednak jak królowie Egiptu stawali się coraz to potężniejszymi władcami, rozszerzyły się również ich roszczenia pośmiertne. Z początku obejmowali czynności osobistego sekretarza boga, później zasiadali sami na tronie jako bogowie słońca. W związku z tymi wierzeniami zabierali do grobu wiosła, czasami całe łodzie, zwane przez archeologów „łodziami słonecznymi". W roku 1955 odkryto u stóp piramidy Cheopsa w wymurowanym schowku wyjątkowo dobrze zachowaną łódź z matami na siedzeniach i wiosłami.

Piramidy i grobowce możnowładców są odzwierciedleniem różnic klasowych, jakie wytworzyły się już w odległych czasach w społeczeństwie egipskim. Balsamowanie zwłok i wznoszenie specjalnych grobowców były rzeczą kosztowną, na którą nie mogli pozwolić sobie przeciętni śmiertelnicy. Chłopi, rzemieślnicy i urzędnicy grzebali swych zmarłych w piasku pustynnym. I otóż, dziwnym zbiegiem okoliczności, podczas gdy wspaniałe grobowce padły w większości wypadków ofiarą rabusiów, zwłoki prostych ludzi uniknęły tego losu i w dodatku zachowały się w dobrym stanie mumifikacji na skutek zupełnego braku wilgoci w piasku pustynnym.

Po przybyciu do krainy śmierci dusza Egipcjanina nie miała łatwego życia. Zanim dotarła w regiony wszelkiej szczęśliwości, gdzie „nie ma powodzi, ziarno daje obfite plony, a dusze opływają w dostatki" – musiała przedtem doznać wielu niebezpieczeństw. Krainę obiecaną otaczały głębokie wody, a wejścia strzegł potwór zwany „twarzą odwróconą", wpuszczając tylko tych, którzy na ziemi wiedli żywot sprawiedliwy. Roje demonów i upiorów oraz najróżniejszych innych poczwar czyhały na zgubę wędrujących dusz, usiłując je obezwładnić czarami.

Ludzie mieli możność dopomożenia zmarłym drogą zaklęć, zebranych w Księdze Zmarłych. Faraonowie nie szczędzili wydatków, aby tę pomoc ludzką zapewnić sobie na zawsze. Wznosili

więc – jak to już wspominaliśmy – przy swoich grobowcach świątynie i przydzielali do nich kapłanów, przeznaczając na ich utrzymanie dochody z majątków królewskich. Ci kapłani odmawiali codziennie cały złożony tekst rytualny, potrzebny zmarłemu jak chleb i woda żywemu.

Faraonowie znali jednak przypadłości ludzkiej natury i dlatego liczyli się z możliwością, że kapłani zaniedbają swoje obowiązki i narażą tym samym ich dusze na niebezpieczeństwo zguby. Dlatego kazali na ścianach komory grobowej wypisać wszystkie wymagane przez rytuał modlitwy i zaklęcia magiczne, a w dodatku włożyć sobie do trumny zwój Księgi Zmarłych. Egipcjanie bowiem wierzyli w magiczną moc pisanego słowa i sądzili, że hieroglify mają własne, samoistne życie. Tekst rytualny wypisany na ścianie krypty grobowej był według ich mniemania równie skuteczny jak tekst wyrecytowany głośno przez ludzi.

Na nieufność, jaką żywili faraonowie do kapłanów, wskazało pewne odkrycie dokonane przypadkowo przez Petriego. W roku 1889 postanowił on zbadać wnętrze jednej z piramid, naówczas jeszcze bezimiennej, nie wiedziano bowiem, który z faraonów był w niej ongiś pochowany. Ale mimo żmudnych poszukiwań nie mógł w żaden sposób znaleźć ukrytego wejścia do jej wnętrza, mimo że w piramidach znajduje się ono zazwyczaj w północnej ścianie.

Zniecierpliwiony daremnym poszukiwaniem postanowił przekuć przez ogromny masyw kamieni pochyły tunel aż do samej komory grobowej. Była to robota nieopisanie żmudna i przewlekła. Toteż dopiero po upływie kilku tygodni robotnicy arabscy dali znać, że przebili ostatnią warstwę kamieni, dzielącą ich od komory.

Petrie przeczołgał się na brzuchu i w krypcie królewskiej zastał dwa obrabowane sarkofagi z odwalonymi i pogruchotanymi wiekami. Nie zdążył jednak ustalić, do jakiego faraona piramida należała, bo wnętrze, które przez dziesiątki wieków stało suche, zaczęła z niewiadomych powodów zalewać woda podskórna. Petrie zbierał ją szuflą do wiadra i podawał Arabom, którzy wylewali ją na zewnątrz. Osuszywszy z dużym trudem komorę, przystąpił do jej zbadania. W kącie znalazł wazę alabastrową z napisem, z którego

wynikało, że piramidę zbudował dla siebie i swojej żony faraon Amenemhat III.

Ale Petriego znacznie więcej interesowało inne zagadnienie, a mianowicie, w jaki sposób dostali się rabusie do wnętrza i nie pozostawili po sobie najmniejszego śladu? Gdzie kryje się wejście do wnętrza, którego bezskutecznie poszukiwał? Czy rabusie byli tak dobrze poinformowani o rozkładzie budowli, że po prostu otworzyli wejście i weszli do środka?

Pragnąc rozstrzygnąć tajemnicę tej zagadki, postanowił zbadać cały labirynt korytarzy, posuwając się od komory grobowej aż do zaginionego wejścia. Zadanie było niezmiernie uciążliwe, a nawet miejscami niebezpieczne dla życia. Korytarze zapełniały sterty złomu i piasku, zamienionego przez wodę podskórną w lepkie trzęsawisko. Petrie musiał odcinkami czołgać się na brzuchu, dusząc się w zatęchłym powietrzu. Wreszcie, umazany błotem i kompletnie wyczerpany, dotarł do wejścia. Znajdowało się ono wbrew zwyczajowi w południowej ścianie piramidy. I teraz zastanowiło go: skąd rabusie wiedzieli o tym, że wejścia należało szukać w południowej ścianie? Powoli zaczęły budzić się w nim pewne podejrzenia; jeżeliby miały się one sprawdzić, byłaby to nie lada rewelacja.

Powrócił potem drogą, jaką rabusie niezawodnie musieli się posuwać w kierunku krypty, przy czym usiłował wczuć się w ich położenie i zastanawiał się, co on by zrobił na ich miejscu. Napotykał różne przeszkody i pułapki, mające utrudnić niepowołanym intruzom dotarcie do skarbca. Niejednokrotnie musiał przyznać, że stanąłby bezradny i zgubiony wobec tego labiryntu, gdyby już przedtem nie poznał drogi z przeciwnego kierunku.

Ale rabusie, jak to zdradzały odgarnięte gruzy, szli naprzód z uderzającą pewnością siebie. Gdy schody urywały się nagle w jakiejś ślepej komnacie, wiedzieli, że dalszej drogi trzeba szukać w suficie, gdzie znajdował się otwór, zamaskowany płytą kamienną. Przeszli tak z łatwością trzy ślepe komory. W jednym z korytarzy drogę zagradzały sterty gruzu, sięgające aż do samego pułapu. Usunięcie przeszkody wymagało dużo czasu i wysiłku. Petrie

obliczył, że rabusie potrzebowali co najmniej pięciu miesięcy, aby przedrzeć się do grobowca królewskiego i wynieść jego skarby.

Stało się przeto rzeczą jasną, że w tych warunkach nie mogli tego dokonać bez zbudzenia czujności kapłanów i kierownika straży cmentarnej. Jeżeli mimo to przez pięć miesięcy grasowali spokojnie w piramidzie, nie ulegało wątpliwości, że nie robili tego na własną rękę, lecz że należeli do rozległej szajki, w której kapłani i kierownik straży cmentarnej byli właściwymi inspiratorami przestępstwa.

KŁOPOTY POŚMIERTNE FARAONÓW

KTÓREGOŚ DNIA W ROKU 1881 do pracowni pewnego egiptologa niemieckiego zgłosił się jakiś bogaty Amerykanin. Nieznany przybysz rozsiadł się na krześle i wyciągając z teki zwój papirusu, powiedział:

– Dowiedziałem się, że potrafi pan odczytywać papirusy egipskie, chciałem więc poprosić pana o ocenę tego oto dokumentu. Czy to ma jakąś większą wartość? Zapłaciłem za to dość poważną sumę…

Profesor spojrzał uważnie na papirus i wgłębił się w tekst egipski. Widać było, jak w miarę czytania na twarzy jego zaczął malować się wyraz coraz większego zdumienia. Z ledwie powstrzymywanym podnieceniem zapytał:

– Gdzie pan to nabył?

– Dlaczego pan pyta? Czyżby to było coś wyjątkowo wartościowego?

– Ten tekst należał do pewnego faraona, którego grobowiec w Dolinie Królów jest już od niepamiętnych czasów pusty. Tajemnica polega na tym, że tego rodzaju zwoje wkładano faraonom do trumny, a więc można by stąd wnioskować, że mumia tego króla nie uległa zniszczeniu i jest przechowywana gdzieś, w jakimś innym miejscu. Rozumie pan chyba, jak doniosłą rzeczą dla nauki jest ujawnienie pochodzenia papirusu.

– Nie chcę tego ukrywać – odpowiedział Amerykanin z uśmiechem. – Pojechałem do Kairu z zamiarem nabycia dla moich zbiorów kilku zabytków egipskich. Wiedziałem, że jest to nielegalne, więc z handlarzami arabskimi spotykałem się tylko w nocy. Pewnego dnia jakiś ogromnego wzrostu Arab zaprosił mnie na

zaplecze kramu i zaofiarował mi ten oto papirus, żądając dość słonej sumy. Nabyłem go po targach i natychmiast wyjechałem z Egiptu, aby mnie nie przechwycono i nie odebrano zdobyczy.

Egiptolog niemiecki napisał w tej sprawie list do Kairu. Dyrektor Muzeum Egipskiego, profesor Gaston Maspero, przeczytawszy wiadomość o wykradzeniu cennego papirusu, zapienił się z wściekłości. W ostatnich latach wywieziono bowiem za granicę kilkanaście cennych dokumentów i zabytków sztuki egipskiej, a wszystkie dotychczasowe dochodzenia nie dały żadnego wyniku poza informacją, że handluje nimi jakiś anonimowy Arab, o którym wiedziano tyle tylko, że jest ogromnego wzrostu.

Policja okazała się jak dotąd zupełnie bezradna, przeto dyrektor postanowił wziąć całą sprawę w swoje ręce. Zadanie wykrycia olbrzyma w turbanie powierzył młodemu asystentowi, Emilowi Brugschowi, który aż zacierał ręce, ciesząc się z czekającej go roli detektywa amatora.

Dochodzenie rozpoczął w ten sposób, że pojechał do Luksoru i zamieszkał w hotelu, rozpowiadając na wszystkie strony, że jest Amerykaninem poszukującym antycznych zabytków. Dniami i nocami włóczył się po zakamarkach miasta, nabywając raz po raz za drogie pieniądze jakieś przedmioty.

Arabowie próbowali mu z początku wmówić podrobioną tandetę, ale gdy młody cudzoziemiec jednym rzutem oka poznawał się na falsyfikatach i odrzucał je pogardliwym ruchem ręki, nabrali do niego szacunku; przekonali się, że nie mają tu do czynienia z naiwnym turystą.

Któregoś dnia, rozglądając się po bazarze, asystent przechodził koło jednego z niezliczonych małych kramów. Siedzący na progu Arab o długiej siwej brodzie kiwnął na niego głową i zaprowadziwszy go na zaplecze, zaproponował kupno małego posążka z kamienia. Na widok posążka detektyw ledwie zdołał ukryć zdumienie. Poznał od razu po stylu, że ma przed sobą rzeźbę liczącą co najmniej trzy tysiące lat. Podczas targów, niby od niechcenia, obracał statuetkę w ręku iz wyrytego na niej napisu hieroglificznego wywnioskował, że pochodzi ona z grobowca jednego z faraonów dwudziestej pierwszej dynastii. Grobowiec ten

od dawna stał pusty w Dolinie Królów. Skąd więc pochodzi owa rzeźba? Rozwiązanie tej intrygującej zagadki przysporzyłoby nauce wręcz nieocenione korzyści. Rzekomy Amerykanin z miną pozornie obojętną zakupił posążek i dał Arabowi do zrozumienia, że szuka innych jeszcze okazów sztuki egipskiej.

W kilka godzin po tej rozmowie zjawił się u niego w hotelu Arab nazwiskiem Abd el-Rasul ze wsi el-Gurnah i zaofiarował różne przedmioty, pochodzące z czasów panowania tej samej dynastii. Młody uczony spojrzał na ofiarowany towar z roztargnieniem, natomiast zafascynowany wlepił wzrok w przybysza, brodatego mężczyznę ogromnego wzrostu. Nie mógł mieć żadnej wątpliwości, wreszcie spotkał się twarzą w twarz z owym legendarnym handlarzem, który jak zwodniczy cień wymykał się z nastawionych pułapek, od lat psując krew policji i archeologom. Natychmiast kazał go aresztować i zamknąć w więzieniu.

Śledztwo prowadzone przez władze egipskie wlokło się w nieskończoność. Nieborak wszystkiego się wypierał, choć zgodnie z nieludzkimi metodami ówczesnej policji egipskiej oćwiczono jego podeszwy rózgami. Doprowadzeni jako świadkowie członkowie rodziny oraz inni mieszkańcy wsi zaklinali się na Allacha, że Abd el-Rasul jest czcigodnym człowiekiem i nigdy by się nie splamił zakazanym handlem zabytkami. Sprawa utknęła w martwym punkcie i więźnia trzeba było, chcąc nie chcąc, wypuścić na wolność.

Ale po kilku dniach winowajca – o dziwo – wrócił i przyznał się, iż jest owym poszukiwanym handlarzem. Co go do tego skłoniło?

Abd el-Rasul był członkiem spółki, do której należeli jego bracia i kilku innych wieśniaków. Według umowy otrzymywał jedną piątą część zysków z nielegalnego handlu. Ale jak tylko wrócił z więzienia, zażądał przyznania mu połowy zysków w nagrodę za to, że mimo tortur trzymał się dzielnie i nikogo nie zdradził. Wynikły z tego gwałtowne spory, a nawet bójka. Odmowa rozzłościła go do tego stopnia, że pobiegł na policję i oddał się w jej ręce, byleby wywrzeć zemstę na swoich wspólnikach.

Dyrektor Maspero przebywał wtedy w Paryżu, przywołano więc jego asystenta, którego głównie interesowało tajemnicze źródło

rzucanych na rynek zabytków. Abd el-Rasul opowiedział wtedy wprost fantastyczną historię dokonanego przypadkowo odkrycia.

Kiedyś udał się w towarzystwie brata Mahometa i znajomego ze wsi rodzinnej do małej dolinki, leżącej w niedużej odległości od Doliny Królów i oddzielonej od niej pasmem pagórków tebańskich. Szukając w gruzach znalezisk, jakie mogliby spieniężyć, natknęli się niespodziewanie na otwarty szyb, wykuty pionowo w skale. Abd el-Rasul opuścił się na linie do środka. Niebawem kazał się jednak wyciągnąć z powrotem i z przerażeniem w oczach zaczął wrzeszczeć:

– Afrit! Tam w dole siedzi Afrit!

Afrit znaczy po arabsku zły duch, toteż trójka towarzyszy rzuciła się do ucieczki. Wieczorem Abd el-Rasul przyznał się bratu, że historia z Afritem była tylko podstępem, by przerazić znajomego i zataić przed nim to, co odkrył w szybie. Obaj bracia wrócili następnego dnia i opuścili się na dno szybu. W głąb góry skalnej prowadził korytarz, który rozszerzył się na końcu w galerię podziemną, gdzie w chybotliwym świetle pochodni ukazał im się widok niesamowity. Ustawione rzędem stały tam drewniane trumny. Podnosząc wieka, przekonali się, że zawierają one dobrze zachowane mumie. Po znaku węża na czole nawet ci wieśniacy zorientowali się, że mają do czynienia ze zwłokami faraonów.

Wiedzieli wprawdzie, że powinni byli odkrycie zgłosić do Departamentu Starożytności, woleli jednak zamilczeć i ciągnąć z odnalezionych skarbów jak największe korzyści. O wydobyciu wszystkich skarbów jednocześnie nie mogło być mowy: pojawienie się na rynku tylu nowych znalezisk na pewno wzbudziłoby podejrzenie władz. Umówili się więc, że założą spółkę z resztą rodziny i z niektórymi znajomymi, by grobowiec eksploatować stopniowo. Tą metodą zapewniliby sobie na całe życie stałe dochody i dostatnie utrzymanie.

Asystent dyrektora muzeum Emil Brugsch udał się niezwłocznie do wskazanej doliny i opuścił się na dno szybu.

„Nie byłem pewny – pisze w swoich wspomnieniach – czy to jawa, czy sen. Spojrzawszy na jedną z trumien, odczytałem na wieku imię króla Setiego I, ojca Ramzesa II. O kilka kroków dalej, z ramionami

skrzyżowanymi na piersiach, spoczywał w skromnej trumnie Ramzes II. Im dalej posuwałem się w głąb sali, tym większe spotykałem skarby. Tu Amenhotep I, tam znowu Ahmes, trzech faraonów z imieniem Totmes, królowa Ahmes Nefertari – razem trzydzieści siedem trumien z dobrze zachowanymi mumiami królów, królowych, książąt i księżniczek".

Niektóre trumny były jeszcze zamknięte, inne stały otwarte, obrabowane. Między trumnami poniewierała się w nieładzie wielka rozmaitość przedmiotów, jak wazy, skrzynki i klejnoty, przydane zmarłym na wędrówkę pośmiertną.

Do niektórych czaszek przylegały jeszcze skóra i włosy, tu i ówdzie widniały w rozwartych ustach dobrze zachowane szczęki. Szczególnie silne wrażenie sprawiał zmarły w dziewięćdziesiątym roku życia Ramzes II. W czaszce faraona Sekenriego zionęła ogromna dziura od śmiertelnego ciosu, jaki otrzymał podczas najazdu Azjatów. W mumiach uwidaczniało się niejednokrotnie bliskie pokrewieństwo, tak np. można było po rysach twarzy poznać, że Ramzes II był synem Setiego.

Jakim sposobem znalazły się mumie w zbiorowej katakumbie, podczas gdy ich pierwotne grobowce w Dolinie Królów stały opuszczone? Zagadkę wyjaśniły napisy, nagryzmolone w pośpiechu na trumnach. Kapłani egipscy chcieli uniknąć zamieszania przy przeprowadzce zwłok i dlatego zapisywali na trumnach imiona leżących w nich nieboszczyków oraz kolejne miejsca ich spoczynku przed ostatecznym złożeniem ich w zbiorowej krypcie podziemnej. Niektórzy faraoni, jak to wynika z zapisków, nie zaznawali po śmierci spoczynku. Tak więc Ramzesa III – jak to wynika z notatki – przenoszono aż trzy razy z jednego grobowca do drugiego.

Zastanawiając się nad przyczyną tych dziwnych przenosin, archeolodzy usiłowali w wyobraźni odtworzyć przebieg całego zajścia. Z licznych dokumentów wynika nieodparcie, że w Dolinie Królów kradzieże stały się prawdziwą plagą. Rabusie nie oszczędzali nawet królewskich mumii, wyrzucali je z trumien i rozcinali bandaże, żeby dobrać się do biżuterii i amuletów. Wszystkie zarządzenia zapobiegawcze okazywały się chybione, ponieważ

w proceder okradania grobów byli zamieszani również strażnicy i kapłani, którym powierzono opiekę nad zmarłymi.

Jeden z faraonów stracił wreszcie cierpliwość. Chcąc położyć kres dalszym aktom profanacji, kazał w niedalekiej dolinie wykuć kryptę zbiorową i przenieść tam wszystkie ocalałe mumie swoich poprzedników. Ponieważ do podziemia prowadziło tylko jedno wejście, szansa jego upilnowania była większa, niż to miało miejsce przy licznych grobowcach w Dolinie Królów.

Pewnej nocy kapłani zebrali się potajemnie, przełożyli mumie do nowych trumien i w niesamowitej procesji zanieśli je do nowego miejsca spoczynku, przy czym użyli wąskiej, wijącej się ścieżki górskiej, która do dziś dnia tam istnieje. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności grobowiec poszedł jakoś w zapomnienie i na przekór zawieruchom dziejowym przetrwał do naszych czasów, aż odkrył go Arab Abd el-Rasul.

Mumie postanowiono przenieść do Muzeum Egipskiego w Kairze i złożyć w osobnej sali, do której udziela się wstępu tylko za specjalnym pozwoleniem. Załadowano je na barki i powieziono w górę Nilu.

Wiadomość o królewskim pogrzebie rozeszła się po Egipcie lotem błyskawicy. Jak tylko flotylla barek zbliżała się do jakiejś wsi nadbrzeżnej, ludność wylegała nad rzekę i zachowywała się tak, jak gdyby żegnała kogoś sobie bliskiego. Stosownie do egipskich zwyczajów pogrzebowych mężczyźni od czasu do czasu oddawali w powietrze salwy ze swoich strzelb, a kobiety zamieniały się w płaczki, wznosząc lament i w żałobnej pasji wyrywając sobie włosy.

W podziemnej galerii nie znaleziono mumii faraona Merneptaha. Wywołało to zadowolenie wśród ludzi, którzy Biblię uważali za wiarogodne źródło historyczne. Merneptah był tym faraonem, który ścigał Żydów podczas ich ucieczki z Egiptu i miał utonąć w nurtach Morza Czerwonego. Nieobecność jego mumii w grobowcu była rzekomo potwierdzeniem owej biblijnej wersji.

Ale w dwanaście lat później dokonano nowego wielkiego odkrycia. W Dolinie Królów znaleziono grobowiec Amnehotepa II z trzynastoma innymi mumiami faraonów. I oto wśród nich

znajdował się ów biblijny Merneptah. Wynikało z tego, że nie zginął on w nurtach morza, lecz umarł śmiercią naturalną. Istniało wprawdzie przypuszczenie, że zwłoki jego zostały wyrzucone na brzeg przez fale morskie i dopiero potem zabalsamowane. Ale badania anatomiczne nie wykazały śladów rozkładu ciała, jaki musiałby nastąpić wskutek działania wody morskiej.

Pierwszym faraonem, który zerwał z tradycją budowania piramid, był Totmes I (1545-1515 p.n.e.). Do podjęcia takiego kroku nie skłoniła go bynajmniej chęć ulżenia poddanym ani też rezygnacja z tytułu „Syna Słońca", lecz względy czysto praktyczne, mianowicie oczywisty fakt, że piramidy nie były w stanie uchronić ani jednej mumii od profanacji.

Archeolodzy napotykali liczne dowody tego systematycznego rabunku. Złodzieje, wtargnąwszy do grobowca żony faraona Zer, rozcięli mumię, by przywłaszczyć sobie jej biżuterię. Ktoś musiał ich jednak spłoszyć; uciekając z pośpiechem z komory, porzucili oderwane ramię królowej. Znaleziono je w roku 1909, zawinięte w lnianą płachtę, ozdobione jeszcze dwiema bransoletami z ametystów i turkusów. W piramidach Cheopsa i Chefrena zastano tylko puste sarkofagi, pogruchotane na drobne kawałki. W piramidzie Mykerinusa w ogóle nie było sarkofagu, natomiast na posadzce komory grobowej poniewierały się szczątki mumii i drewnianej trumny.

Totmes I chciał uniknąć podobnego losu, dlatego na swój przyszły grobowiec wybrał miejsce odludne i łatwe do pilnowania. Była to znana nam już Dolina Królów, gdzie przez okres pięciuset lat kazali się chować odtąd również jego następcy.

Wybudowanie tajemnego grobowca powierzył Totmes I swemu architektowi nazwiskiem Ineni. Ów budowniczy donosi o tym na ścianie swego własnego grobu w następujących słowach:

> Jam jedyny nadzorował budowę grobowca skalnego Jego Królewskiej Mości. Nikt inny tego grobu nie widział, nikt inny o nim nie słyszał.

Jego twierdzenia, rzecz oczywista, nie wolno brać dosłownie, gdyż przy budowie niewątpliwie zatrudniono przynajmniej stu

robotników. Cóż tedy stało się z nimi? Na ten temat wypowiada się jeden z najznakomitszych znawców Doliny Królów, angielski archeolog Howard Carter:

„Jest rzeczą wystarczająco jasną, że tych stu czy więcej robotników, znających najcenniejszą tajemnicę króla, nie puszczono wolno. Możemy być pewni, że Ineni nie wahał się ani chwili, aby im zamknąć usta na zawsze. Przypuszczalnie roboty wykonywali niewolnicy, których potem uśmiercono".

Wiemy już, że wszystkie kroki zapobiegawcze i ofiary ludzkie okazały się daremne. Złodzieje rozzuchwalili się w Dolinie Królów do tego stopnia, że trzeba było ratować przed nimi mumie królewskie, przenosząc je do innego, bardziej ukrytego miejsca.

Na zakulisowy mechanizm procederu ograbiania grobów rzuca ciekawe światło pewien akt procesowy znaleziony w papirusach z okresu panowania Ramzesa IX (20 dynastia). Oto, jak przedstawiała się sprawa:

Zarządca miejski dzielnicy Teb, leżącej po wschodniej stronie Nilu, nazwiskiem Pezer, dowiedział się przez swoich szpiegów o systematycznym okradaniu Doliny Królów, położonej na zachodnim brzegu rzeki, gdzie zarządcą był niejaki Pewero. Obaj urzędnicy miejscy konkurowali o względy gubernatora dystryktu tebańskiego Chamweze i jak tylko mogli, przypinali sobie łatki.

Pezer więc napisał skargę, w której nie tylko obwinia Pewera o cichy udział w rabunku, ale nawet podaje dokładną liczbę splądrowanych grobowców. Według jego twierdzenia naruszono dziesięć grobów królewskich, cztery groby kapłanek i sporą liczbę grobów osób prywatnych.

Chamweze musiał zareagować na skargę, powołał więc kilkuosobową komisję śledczą i posłał ją na drugą stronę Nilu. Ale, jak wynika z przebiegu śledztwa, członkowie komisji, może nawet sam gubernator, musieli w tej aferze maczać palce bądź też w ostatniej chwili zostali przekupieni przez winowajców. Napisali bowiem sążnisty raport, w którym odrzucili skargę Pezera na podstawie zupełnie śmiesznych i nieistotnych argumentów.

Oświadczyli mianowicie, że twierdzenie Pezera, jakoby obrabowano dziesięć grobów królewskich i cztery groby kapłanek,

jest bezpodstawne, ponieważ ofiarą padły tylko dwa groby królewskie i dwa groby kapłanek. Przyznali również, że okradziono pewną liczbę grobów prywatnych, ale to wszystko nie stanowiło według nich dostatecznego powodu, aby Pewera postawić w stan oskarżenia.

Oczyszczony z zarzutów zarządca postanowił zatriumfować nad rywalem. Zgromadził więc wszystkich podległych pracowników, inspektorów, administratorów, robotników i strażników z Doliny Królów, przeprawił się przez rzekę i na ich czele urządził hałaśliwą demonstrację przed domem Pezera.

Pezer zawrzał oburzeniem. Wyskoczywszy na ulicę, groził, że zwróci się w tej sprawie bezpośrednio do króla, pominąwszy gubernatora. Na to właśnie czekał Pewero. Co sił pobiegł do swego przełożonego i powtórzył mu słowa rywala. Chamweze uważał uczynek Pezera za niewybaczalne naruszenie dyscypliny urzędowej. Postawił więc go przed sądem i uzyskał na niego wyrok za krzywoprzysięstwo, jakiego rzekomo dopuścił się w swojej skardze. Akta procesowe niestety milczą o dalszych losach nieszczęsnego zarządcy, który usiłował przeciwstawić się potężnej, anonimowej szajce rabusiów grobowych.

W osiem lat później sprawa wzięła jednak zupełnie nieoczekiwany obrót. Policja przychwyciła ośmiu rabusiów grobów, których znamy dziś z nazwisk. Byli to: kamieniarz Hapi, rzemieślnik Iramun, wieśniak Amenemheb, nosiciel wody Kemwese i niewolnik murzyński Ehenufer, Amenpnufer, Hapires i Setnahte. Po wyćwiczeniu rózgami ich rąk i stóp sędziowie wymogli na nich następujące protokolarne zeznanie:

> Otworzyliśmy trumny i znaleźliśmy w nich dostojne mumie królów. Na szyi mieli kilka sznurów z amuletami i ozdoby ze złota; głowy ich kryły złote maski; dostojne mumie królów były całe zakryte złotem. Trumny obite były na zewnątrz i wewnątrz złotą blachą, wykładaną kosztownymi kamieniami. Obdarliśmy mumie tych bogów ze złota, jako też z amuletów i klejnotów, jakie miały na szyi; trumny odarliśmy ze złotej blachy. Znaleźliśmy też żonę jednego króla – obrabowaliśmy ją również ze wszystkiego, co posiadała. Trumny bogów potem spaliliśmy. Ukradliśmy przedmioty, jakie zastaliśmy w grobach – wazy ze złota, srebra i brązu. Złoto, jakie znaleźliśmy przy tych

dwóch bogach, przy ich mumiach, przetopiliśmy i wraz z amuletami i klejnotami podzieliliśmy na osiem części.

Sąd skazał podsądnych na karę śmierci i przy tej sposobności całkowicie zrehabilitował Pezera. Natomiast akta procesowe zachowują głuche milczenie o losie głównych inspiratorów zbrodni: wysokiego dygnitarza Chamweze i urzędnika miejskiego Pewera.

ZBUNTOWANY FARAON I KAPŁANI MŚCICIELE

W ROKU 1907 ARCHEOLOG AMERYKAŃSKI TEODOR DAVIS odkrył w Dolinie Królów jakiś zapieczętowany grobowiec. Od zamurowanego wejścia prowadził w głąb skały bardzo pochyły korytarz, zawalony rumowiskiem. Na wierzchu ogromnej, sięgającej prawie do pułapu sterty gruzu leżał otwarty, pusty sarkofag z drewna cedrowego z napisem, z którego wynikało, że leżała w nim kiedyś królowa Teje, żona Amenhotepa III.

Po usunięciu przeszkody Davis dotarł do komory grobowej. Ukazał mu się tam prawdziwie przejmujący widok. Na marach, których podstawa zbutwiała i załamała się, spoczywała trumna w kształcie postaci ludzkiej, mieniąca się w świetle latarki bogatą inkrustacją ze złotych listków, półszlachetnych kamieni i kolorowego szkliwa.

Spod na pół otwartego wieka wyzierała spróchniała czaszka mumii. Zwłoki zmarłego Egipcjanina otulała cienka złota blacha, a na czole połyskiwał królewski emblemat węża z kutego złota. W kącie komory grobowej stały w półmroku cztery alabastrowe wazy, zawierające wnętrzności nieboszczyka.

Przeglądając napisy hieroglificzne na trumnie, Davis znalazł się wobec zagadkowego zjawiska, niespotykanego dotąd w egiptologii. Oto wszystkie miejsca w napisach, gdzie powinno było figurować imię nieboszczyka, były wydrapane ostrym narzędziem. Zawiniętą w bandaże mumię oplatały, jak zwykle w takich wypadkach, wąskie taśmy z cienkiego złota z wyrytą na niej modlitwą do boga słońca.

Ale i tu usunięto imię zmarłego w ten sposób, że wycięto je jakby nożyczkami, pozostawiając owalny otwór. Poszlaki wskazywały nieodparcie na to, że ktoś z uporczywą zawziętością dokładał starań, aby imię zmarłego zostało wymazane z pamięci potomnych.

Dopiero przy użyciu szkła powiększającego można było w pewnym, mniej starannie wydrapanym miejscu odczytać imię faraona Echnatona. Wówczas nasunęło się Davisowi kilka pytań, na które trzeba tylko znaleźć przekonywającą odpowiedź dla wyjaśnienia tajemnicy osobliwego grobowca. Kto właściwie leżał w tej trumnie – królówa Teje, właścicielka grobowca, czy też faraon Echnaton? Jeżeli faraon, to co w takim razie stało się z mumią królowej i dlaczego wywleczono jej sarkofag do korytarza? A w ogóle – co kryje się za tą intrygującą przeprowadzką zwłok królewskich?

W celu otrzymania choćby części odpowiedzi Davis posłał mumię do Muzeum Egipskiego w Kairze, aby zbadał ją profesor Elliot Smith, jeden z największych w tej dziedzinie specjalistów.

Davis skłaniał się raczej do poglądu, iż ma do czynienia ze zwłokami królowej Teje, przypuszczając, że z nieznanych powodów pochowano ją w trumnie, która pierwotnie należała do jej syna, Echnatona. W tym wypadku fakt wydrapania nazwiska znalazłby pełne wytłumaczenie. Toteż z uczuciem zaskoczenia czytał list, w którym profesor Smith pisał: „Czy jest pan pewny, że przysłał pan mumię z grobowca królowej Teje? Zamiast bowiem zwłok starej kobiety otrzymałem do zbadania mumię młodego mężczyzny. Zapewne zaszło tu jakieś nieporozumienie". W dalszej części listu profesor stwierdził, że zmarły miał trzydzieści lat i że niezwykły wydłużony kształt potylicy wskazuje, iż chory był na epilepsję.

A więc jednak mumia Echnatona! Był to jeden z najciekawszych, najbardziej fascynujących faraonów na tronie egipskim. Dzięki napisanej w piśmie klinowym korespondencji dyplomatycznej, znalezionej w ruinach jego rezydencji w pobliżu dzisiejszego el-Amarna, wiemy o nim więcej niż o jakimkolwiek innym faraonie. Jego burzliwe reformy zrewolucjonizowały odwieczne zwyczaje Egiptu i spowodowały konflikty o niebywałej ostrości i rozmiarach.

Podczas gdy większość faraonów przesuwa się przed oczyma historyków jak wypłowiałe cienie, Echnaton wyłania się z przeszłości jako człowiek z krwi i kości, o silnej indywidualności, którego myśli, uczucia i dążenia możemy śledzić ze względną dokładnością.

Dramatyczny okres jego panowania byłby może dla nas niedostatecznie zrozumiały, gdybyśmy nie podbudowali obrazu odpowiednim, choć z konieczności pobieżnym tłem historycznym. Dopiero w perspektywie długotrwałych dziejów państwa egipskiego polityczne i psychologiczne motywy jego działania nabiorą pełnego sensu.

Historycy przyjęli wygodny, choć schematyczny zwyczaj dzielenia historii Egiptu na cztery wielkie okresy, a mianowicie na:

S t a r e P a ń s t w o (1 do 10 dynastii, 2900-2200 p.n.e.),

Ś r e d n i e P a ń s t w o (11 do 17 dynastii, 2200-1600 p.n.e.),

N o w e P a ń s t w o (18 do 20 dynastii, 1600-1100 p.n.e.),

E p o k a P ó ź n a (21 dynastia do podboju przez Aleksandra Macedońskiego, 1100-400 p.n.e.).

Egipcjanie nie datowali swojej historii od jakiegoś określonego punktu wyjścia, jak to na przykład robili Rzymianie, którzy kolejne wydarzenia swoich dziejów obliczali od założenia Rzymu (ab *urbe condita)*. Podawali tylko listy kolejnych faraonów, okres ich panowania (przeważnie niedokładnie) oraz wydarzenia związane z ich życiem. Historycy natrafili przeto na niezmierne trudności, gdy chodziło o ustalenie dat i chronologii historii egipskiej.

Dziś już problem ten można uważać za rozwiązany. Jakimi metodami dokonano tego zdumiewającego dzieła? Dużą pomocą okazały się przede wszystkim dokumenty asyro-babilońskie, hebrajskie, perskie oraz greckie, których daty poznano już na ogół dokładnie. Dokumenty te w wielu miejscach wymieniają wojny, traktaty pokojowe i panowania pewnych faraonów jako fakty dziejące się współcześnie z wydarzeniami ich własnej historii. Toteż drogą porównawczą można było ustalić sporą liczbę dat egipskich.

Dokładniejsze dane dała nam jednak astronomia. Egipcjanie prowadzili bardzo szczegółowy kalendarz astronomiczny, na którego podstawie ustalali zmiany pór roku i okresy przyboru Nilu.

Egiptolodzy zwrócili się przeto o pomoc do matematyków i astronomów, dając im do zbadania stare teksty papirusowe i kopie napisów grobowych, w których wspominano, że pewne wypadki historyczne związane były z określonym zjawiskiem niebieskim, jak np. z pojawieniem się komet. Na podstawie tych tekstów uczeni zdołali np. obliczyć z dokładnością od trzech do czterech lat, że 12 dynastia faraonów zaczęła swoje panowanie w roku 2000 p.n.e., a 18 w roku 1580 p.n.e. Mając taki punkt zaczepienia, historycy mogli ustalać przypuszczalne daty panowania pozostałych dynastii, ponieważ dysponowali ocalałymi rejestrami faraonów i określonym czasem ich zasiadania na tronie.

Najnowszych metod ustalania dat zabytków archeologicznych, a więc tym samym ich historii, dostarczyła nauka o atomach, tak zwana atomistyka. Na skutek działania promieni kosmicznych do żywych organizmów roślinnych i zwierzęcych dostaje się promieniotwórcza odmiana węgla ^{14}C, która rozpada się i wyrzuca z siebie cząstki. Obliczono, że atomy tej odmiany węgla żyją około ośmiu tysięcy lat[2].

Z chwilą śmierci organizmu dopływ cząstek ustaje, a te, które nagromadziły się w okresie życia organizmu, ulegają stopniowemu rozkładowi. Przeto, im starszy jest zabytek archeologiczny, tym słabsze musi wykazywać promieniowanie. Napięcie tego promieniowania można wymierzyć, posługując się aparatem Geigera-Müllera. Próby pomiarów, dokonane na mumiach egipskich, których wiek znano skądinąd, ujawniły, że za pomocą tej metody można ustalić daty z dopuszczalną w tych wypadkach pomyłką do 200 lat.

Przedmiotem gorących sporów jest tak zwana „długa i krótka chronologia Egiptu". Sprawa nie jest bynajmniej błahostką, chodzi tu bowiem o to, czy historia państwa egipskiego rozpoczęła się o przeszło tysiąc pięćset lat wcześniej, czy później.

W dużym uproszczeniu zagadnienie przedstawia się następująco. Za czasów 2 dynastii kapłani egipscy zaczęli prowadzić kalendarz słoneczny. Ponieważ dzielili rok na pełne 365 dni, istniała między rokiem słonecznym a kalendarzowym różnica jednej czwartej części

dnia. Po czterech latach opóźnienie wyniosło już pełny dzień, a po upływie 1460 lat – cały rok, to znaczy następowało ponowne zrównanie roku kalendarzowego z rokiem słonecznym.

Nowy rok Egipcjanie rozpoczynali od tej chwili, kiedy wylew Nilu następował jednocześnie ze wschodem Słońca i gwiazdy Syriusza.

Astronomowie i matematycy wyliczyli, że zjawisko takie przypadało na początek roku kalendarzowego w latach: 4339, 2773 i 1317 p.n.e.

Problem polegał na tym, aby wybrać jedną z tych trzech liczb jako datę powstania kalendarza egipskiego i tym samym określić przybliżony czas panowania 2 dynastii faraonów. Rok 1317 należało z góry odrzucić jako zbyt późny, natomiast spór toczył się o wybór dwóch pierwszych dat. Reprezentują one wspomnianą przez nas „długą i krótką chronologię".

Chociaż w chwili obecnej istnieją jeszcze badacze, którzy upierają się przy roku 4339, to większość przyjęła rok 2773 jako datę bezsporną. Powołują się oni głównie na znaleziska wykopaliskowe nad Nilem, z których wynika, że w piątym tysiącleciu p.n.e. społeczeństwo egipskie było jeszcze zbyt mało rozwinięte kulturalnie, aby mogło zdobyć się na stworzenie kalendarza słonecznego. Wychodząc z tego założenia, egiptologia określiła początek panowania pierwszej dynastii i zjednoczenia państwa egipskiego na rok 2900.

Warunki naturalne Egiptu przypominają jako żywo Mezopotamię. Dzięki corocznym wylewom Nilu kraj od najbardziej zamierzchłych czasów stanowił niezwykle urodzajną oazę wśród bezkresnej pustyni. Wykopaliska archeologiczne wykazały, że już w epoce kamiennej znajdowały się tam liczne i ludne osady rolników, rybaków, myśliwych i pasterzy.

Herodot nazwał Egipt „darem rzeki". Dzięki deszczom tropikalnym w górach abisyńskich wody Nilu występują z brzegów i zamieniają całą okolicę na okres sierpnia, września i października w jedno jezioro. Cofając się do swego ko ryta, pozostawiają czarny muł, stanowiący doskonałą glebę. Egipcjanie nazwali dlatego swój kraj *chemit,* czyli „czarną ziemią".

Dolina nie wszędzie jednak tworzyła równą płaszczyznę. Istniały faliste wyniosłości, a nawet pagórki, do których rozlewisko rzeki nie mogło dotrzeć. Zdarzały się też nierzadko lata posuchy, kiedy przybór był tak nikły, że nie zdołał roznieść po wszystkich polach niezbędnego dla uprawy czarnoziemu. Toteż od niepamiętnych czasów skrzętni rolnicy egipscy pocięli dolinę gęstą siecią kanałów, regulowali nawodnienie za pomocą żurawi-czerpaków i śluz, a na wypadek lat chudych trzymali zapasy wody w sztucznych jeziorach i cysternach.

Źródło Nilu odkryto dopiero w drugiej połowie XIX wieku. W górnym swoim biegu Nil składa się z dwóch odnóg: z Białego Nilu, płynącego z jezior Środkowej Afryki, i z Niebieskiego Nilu, biorącego swój początek w górach Abisynii. Z ich połączenia w okolicy dzisiejszego Chartumu powstaje druga co do wielkości rzeka na świecie, mierząca od źródeł do ujścia około 6400 km.

Nil przedziera się naprzód przez wąski wąwóz wyżłobiony w granitowych wzgórzach dawnej Nubii i przezwyciężywszy sześć podwodnych przeszkód skalnych, tak zwanych katarakt, dostaje się w szeroką dolinę, otoczoną wapiennymi skałami. Poniżej Kairu dzieli się na dwie odnogi (niegdyś na siedem) i tworzy urodzajny trójkąt, zwany od kształtu litery greckiej deltą. Kraj rozpadał się geograficznie i politycznie na Dolny i Górny Egipt, których granicę tworzyła pierwsza katarakta.

W najdawniejszych epokach predynastycznych Egipcjanie żyli w ustroju wspólnoty rodowej. Ponieważ tylko skoordynowany system kanalizacji, scentralizowany w jednym ręku, mógł zapewnić ludności dostateczną ilość żywności – potworzyły się naprzód większe wspólnoty terytorialne, które z czasem zamieniły się w księstewka z udzielnym i dziedzicznym władcą na czele. Na skutek rozkładu wspólnoty rodowej społeczeństwo egipskie rozwarstwiło się wcześnie na klasy bogatych właścicieli ziemi i małorolnej lub bezrolnej biedoty wiejskiej. W swoich wsiach wieśniacy zachowali jeszcze długo ustrój wspólnoty gminnej, w rzeczywistości jednak byli do tego stopnia ujarzmieni ekonomicznie, że tworzyli właściwie niezliczone rzesze niewolników, zapędzonych przymusowo do prac na rzecz faraona

i arystokracji. Na polach bogaczy pojawili się równocześnie faktyczni niewolnicy, rekrutujący się z jeńców wojennych.

W dalszym rozwoju historycznym liczne małe księstewka zostały scalone w dwa państwa: w Górny i Dolny Egipt. Około 2900 roku p.n.e. faraon Menes połączył je w jedno mocarstwo i stanął na jego czele jako władca udzielny z atrybutami boskości. Jako stolicę obrał sobie miasto Memfis, którego ruiny odkopano w pobliżu Kairu, po zachodniej stronie Nilu.

Z wstąpieniem na tron Menesa rozpoczął się okres Starego Państwa, okres piramid, potężnych posągów i wspaniałych świątyń. Obok arystokracji pojawia się teraz bogata i wpływowa kasta kapłanów. Faraonowie podejmują liczne podboje dla zdobycia metali, przedmiotów zbytku i niewolników, potrzebnych w coraz większej liczbie w majątkach i pałacach króla, arystokracji i kapłanów. Ludność pracująca nie tylko nie korzystała z tych zdobyczy, lecz obarczana była coraz większymi podatkami i obowiązkami. Pod koniec tego okresu wybuchła wielka rewolucja socjalna, a państwo Górnego i Dolnego Egiptu rozpadło się ponownie na drobne, wojujące ze sobą państewka.

Około roku 2200 p.n.e. jeden z książąt tebańskich zjednoczył na nowo cały obszar kraju i zapoczątkował okres Średniego Państwa, ze stolicą w Tebach. Była to tak zwana epoka klasyczna Egiptu, podczas której sztuka i literatura doszły do najwyższego rozkwitu. Faraonowie stworzyli wielkie imperium światowe, dokonując podbojów na wschód, zachód i południe kraju, budowali nowe kanały irygacyjne oraz nawiązali kontakty handlowe z Kretą i Peloponezem.

Ale wraz ze wzrostem bogactw i potęgi warstw rządzących pogłębiają się ucisk i nędza szerokich mas społeczeństwa. W jednym z papirusów czytamy:

> Połowę zboża kradnie robactwo, hipopotamy pożerają drugą połowę, w polu pienią się myszy, nadlatuje szarańcza. A tu do brzegu przybija poborca, ogląda pole, jego pomocnicy trzymają kije w ręku, a Murzyni rózgi. Powiadają: dawaj zboże. Jeżeli go nie ma, biją rolnika.. wiążą go i wtrącają do kanału.. wiążą żonę i dzieci.

Około 1780 roku p.n.e. kraj ogarnia ponownie zamęt rewolucyjny. Do powstania zerwały się tym razem nie tylko masy chłopskie, lecz również rzemieślnicy i żołnierze w miastach oraz niewolnicy w wielkich posiadłościach ziemskich. Rewolucja była krwawa i zwycięska. Na pewien okres ujarzmiona ludność zagarnęła ster państwa w swoje ręce.

Obrazy owej rewolucji zachowały się w relacjach dwóch Egipcjan: bogacza Ipuwera i kapłana Neferrehu. Oto niektóre cytaty z ich pism:

> Stolica króla zdobyta została w ciągu godziny. Króla wzięli do niewoli biedacy. Dworzan wypędzono z domów królewskich. Urzędników zabito, zabrano im dokumenty.

W innym miejscu czytamy:

> Ubogi stał się właścicielem bogactw i podczas gdy dawniej nie był w stanie sprawić sobie sandałów, teraz jest panem skarbów, Dziecko pani stało się dzieckiem służebnicy.

Najbardziej realistyczny obraz rewolucji przynosi nam trzecia cytata:

> Dzieci książąt rozbijane są o mur, wszyscy uciekają z miasta… Ten, kto nie miał gdzie głowy złożyć, jest właścicielem łoża, który nie posiadał barki, jest właścicielem okrętu, który nie miał kawałka chleba, posiada obecnie spichrze… Kto spał dawniej bez kobiety z powodu biedy, znajduje łatwo damę z rodu szlacheckiego.

Bezpośrednio po rewolucji nadszedł najbardziej nieszczęsny wiek w historii Egiptu. Na osłabiony zamieszkami kraj napadły semickie plemiona Hyksosów i opanowały go z piorunującą szybkością. Najeźdźcy pojawili się na rydwanach zaprzężonych w konie, nigdy niewidziane w Egipcie. Na widok tych galopujących stworów piechota egipska wpadała w przerażenie i w popłochu rzucała się do ucieczki.

Zdobywcy byli nieokrzesanymi barbarzyńcami i poczynali sobie z podbitym krajem w sposób niesłychanie brutalny. Podpalali miasta, burzyli świątynie, a lud traktowali jak bydło robocze. Po stu

latach takich rządów sponiewierani Egipcjanie zerwali się do powstania i pod wodzą księcia tebańskiego Amosisa I wypędzili najeźdźców z granic swojego państwa.

Z tą chwilą zaczyna się trzeci wielki okres rozkwitu i potęgi Egiptu, nazwany przez historyków Nowym Państwem. Amosis wstępuje na tron jako pierwszy faraon 17 dynastii i wybiera Teby jako swoją stolicę. Nas interesuje jednak 18 dynastia, która zasiadała na tronie w latach 1580-1350 p.n.e.

Faraonowie tej dynastii byli wielkimi zdobywcami i wszczynali liczne wojny zaborcze, podporządkowując sobie całą Syrię aż do Eufratu i północną Palestynę. Tak na przykład Totmes III przedsięwziął siedemnaście wypraw wojennych do Syrii i zagarnął niezmierzone łupy w postaci bydła, niewolników, złota i srebra. Faraonowie ci zdobyli również Nubię aż do czwartej katarakty i zagarnęli tamtejsze bogate kopalnie złota. Hetyci, Babilończycy i Asyryjczycy musieli płacić im coroczną daninę.

Łupy wojenne wzbogaciły jednak tylko króla, arystokrację i kastę kapłanów. W pałacach i w świątyniach zapanował niesłychany przepych. Sława tego bogactwa rozniosła się po całym ówczesnym świecie.

Ale nieustanne wojny do cna zrujnowały chłopów egipskich; musieli oni płacić wzrastające podatki na utrzymanie wojska i dostarczać tylu żołnierzy, że w końcu nie miał kto uprawiać ziemi. Wyczerpanie rezerw ludzkich zmusiło Amenhotepa III do przejścia na politykę wyłącznie pokojową. Trzydziestoześcioletnie jego panowanie zalicza się do najbardziej błogosławionych okresów w historii Egiptu. Ów faraon ożenił się z kobietą z niekrólewskiego rodu, ze znaną nam już Teje, w której grobie znaleziono mumię Echnatona.

Gdy przyszedł na świat jego syn, późniejszy Amenhotep IV, w stosunkach wewnętrznych państwa istniała dość naprężona sytuacja polityczna. U boku faraona wyrosła druga, groźna dla niego potęga, utworzona przez wzbogaconą arystokrację i kastę kapłanów w Tebach. Najwyższy kapłan Teb obejmował z tytułu swej godności również stanowisko namiestnika, czyli miał w swoim ręku rzeczywistą władzę nad całym Egiptem. Amenhotep III i jego żona

Teje usiłowali drogą intryg ograniczać jego wpływy, nie mogli jednak pozwolić sobie na otwartą wojnę, gdyż w państwie, poza niepewnymi masami ludzi pracujących przepojonych tradycjami rewolucyjnymi nie było siły, na której mogliby się oprzeć.

Ich jedyny syn, przyszły Amenhotep IV, nie rokował nadziei, że tę walkę doprowadzi do zwycięskiego zakończenia. Był to chłopiec wątły, skłonny do samotności i chorowity, czujący się obco w pałacowym środowisku intryg i nieustannych uroczystości. Wizerunki na freskach ukazują nam jego zbyt dużą w stosunku do ciała głowę, ciężkie, senne powieki, sentymentalne oczy i pulchne, jakby kobiece usta. Malowidła te mówią nam ponadto, że młodzieniec ten chętnie spędzał czas w zacisznym ogrodzie pałacowym, wśród kwiatów, ptaków i motyli. Ze sprawozdania lekarskiego profesora Smitha wiemy już o dziwnym ukształtowaniu jego czaszki wskazującym, że chłopiec miał skłonności do epilepsji.

Stosownie do obyczaju dworu egipskiego ożeniono go wcześnie z księżniczką Nefretete. W Tell el-Amarna wykopano z ruin rzeźbę jej głowy, wykonaną przez mistrza Totmesesa w wapiennym kolorowanym kamieniu. Słynna ta głowa znajduje się obecnie w muzeum w Wiesbaden. Przedstawia ona dziewczynę o delikatnych rysach twarzy, łabędziej szyi i migdałowych oczach, pełnych nieuchwytnego marzycielstwa. Jest to dzieło sztuki przedziwnego kunsztu, promieniujące niezgłębionym urokiem poezji.

Młody Amenhotep wstąpił na tron w roku 1375 p.n.e., kiedy ukończył czternasty rok życia. Ponieważ do pełnoletności brakowało mu jeszcze dwóch lat, początki jego panowania upłynęły pod regencją arystokracji i kapłanów, którzy zapewne dawali mu wtedy odczuć swoją przewagę polityczną.

Jest przeto rzeczą niewykluczoną, iż w okresie owych dwóch niesamodzielnych i przykrych lat zaczął zagłębiać się w przyczyny tego stanu rzeczy. Na pewno znaleźli się życzliwi powiernicy, którzy na podstawie dokumentów wyjaśniali mu, jaką drogą kapłani w Tebach i sprzymierzeni z nim możnowładcy doszli do takiej potęgi w państwie.

Pierwszym w dziejach Egiptu ośrodkiem religijnym było miasto Heliopolis, gdzie oddawano kult bogu słońca Ra. Faraonowie już od zarania państwowości egipskiej uważali siebie za potomków tego boga i z dumą nosili tytuł „Synów Ra". Kapłani Heliopolis doświadczali z ich strony wszelkich względów i stali się najbardziej wpływową grupą kapłańską w Egipcie.

Sytuacja zmieniła się w okresie Nowego Państwa, kiedy stolicę przeniesiono do Teb. Kapłani tamtejsi, walcząc o przodujące stanowisko w kraju z rywalami z Heliopolis, postanowili swego boga Amona wynieść na naczelne stanowisko w religii egipskiej. Nie była to rzecz łatwa do przeprowadzenia, bo Ra uchodził przecież za ojca faraonów i otaczany był od niepamiętnych czasów żarliwą czcią całej ludności egipskiej. Kapłani Teb urzeczywistnili swój zamiar w ten sposób, że Amona zidentyfikowali z bogiem Ra i nazywali go odtąd Amonem-Ra, przywłaszczając na jego rzecz wszystkie atrybuty dawniejszego boga z Heliopolis.

Amon-Ra był więc pierwotnie tylko jednym z licznych bogów lokalnych i dopiero od kilkuset lat zajął naczelne stanowisko w religii egipskiej, z tych względów Amenhotep IV doszedł do przekonania, że Amon-Ra jest uzurpatorem, natomiast prawdziwym bogiem jest Ra z Heliopolis, którego potomkami i przedstawicielami na ziemi byli i są faraonowie.

Nie ulega wątpliwości, że do wyjaśnienia tego historycznego i religijnego rodowodu dopomogli mu walnie kapłani z Heliopolis, którzy z rywalami z Teb prowadzili podziemną walkę o odzyskanie utraconych wpływów. Młody faraon spostrzegł jednak w tym wszystkim dobrą okazję do złamania potęgi kapłanów Teb i ich arystokratycznych popleczników. Toteż z chwilą uzyskania pełnoletności ogłosił się wyznawcą starego boga słońca Ra.

Od tej chwili młody faraon przeżywa niezwykle ciekawy rozwój duchowy. Co pierwotnie było zamysłem czysto politycznym, przerodziło się wkrótce w głęboki ferment religijny. Amenhotep stopniowo przeobraził się w twórcę nowej, zreformowanej religii, którą głosił z całą pasją wizjonera i proroka. Na dworze mieli do niego przystęp wyłącznie jego wierni uczniowie i tylko im powierzał najwyższe urzędy w państwie.

W końcu nawet stary bóg Ra musiał ustąpić przed nową, wyższą koncepcją boga abstrakcyjnego, którego faraon nazwał Atonem, czyli „tarczą słoneczną”. Symbolem tego boga był wizerunek słońca z promieniami zakończonymi ludzkimi dłońmi. Ale w nauce faraona Aton nie zajmował jednego z licznych miejsc w politeistycznej plejadzie bożyszcz, lecz był jedynym we wszechświecie bogiem, bezosobowym i niewidzialnym, siłą, która stworzyła słońce i jest praźródłem wszystkiego, co żyje i rośnie na ziemi.

Dotychczas w Egipcie wyobrażano sobie bogów jako istoty ludzkie, obdarzone wprawdzie nieśmiertelnością, ale niepozbawione wszystkich słabostek ludzkich. Były to raczej siły budzące postrach, mściwe i kapryśne, które trzeba była przebłagiwać krwawymi obiatami.

Niebywała nowość nauki Amenhotepa IV polegała na tym, że Aton występował bez tych ziemskich właściwości. Oddawano mu cześć jako ojcu miłującemu ludzkość, którego obecności nie należy szukać w zgiełku bitew ani w skargach zwierząt ofiarnych, lecz w pięknie przyrody, wśród kwiatów, drzew i ptaków. Aton stał się „panem miłości”, co wskrzesza dziecko w kobiecie i pociesza je, aby nie płakało. „Wypełniam obie ziemie Egiptu swoją miłością” – głosi jeden z hymnów pochwalnych. Była to religia przepojona radością i umiłowaniem życia; jej wyznawcy w obliczu Atona nie drżeli w uczuciu zabobonnego lęku, lecz z wdzięcznością śpiewali: „Cała ziemia raduje się i świętuje z powodu ciebie”.

Obrzędy religijne w świątyniach odznaczały się prostotą i skromnością. Polegały one głównie na śpiewaniu hymnów i składaniu ofiar z kwiatów i owoców. Wyznawcy nowego kultu gromadzili się przeważnie o świcie i o zmierzchu, zanosząc modły do wschodzącego i zachodzącego Atona.

Zdumiewającą rzeczą jest, że Amenhotep stworzył monoteistyczną religię, nie mając żadnego wzoru historycznego, na którym mógłby się oprzeć. Z tych względów należy go uważać nie tylko za oryginalnego myśliciela religijnego, lecz również za prekursora wszystkich późniejszych twórców monoteistycznych systemów religijnych. Mojżesz powiada, że nauczył się „mądrości Egiptu” w Heliopolis, nie jest więc wykluczone, że między religią Żydów

a kultem Atona istnieje jakiś związek pokrewieństwa, co między innymi uwydatnia się w analogiach występujących w jednym z hymnów do Atona i 115. Psalmie biblijnym.

Amenhotep zerwał zdecydowanie z przeszłością przez zmianę swego imienia rodzinnego na Echnaton, co oznacza „tarcza Atona". Równocześnie, chcąc całkowicie wyzwolić się spod wpływu kapłanów i zepchnąć Teby do roli miasta prowincjonalnego, zbudował sobie nową, wystawną stolicę w okolicy dzisiejszego Tel el-Amarna i nazwał ją „Miastem Horyzontu Słonecznego".

Echnaton pojechał tam osobiście w złocistym rydwanie „promieniującym jak słońce, gdy podnosi się nad horyzontem i świat swoją miłością przenika". Puste jeszcze pola okrążył galopem, popędzając strojne rumaki, i wytknął granicę swojej przyszłej stolicy. Było to miasto zaprojektowane z wielkim rozmachem, pełne pałaców, świątyń, budynków administracyjnych, ulic i ogrodów. Akt fundacji kazał wykuć gwoli potomności na kilku sąsiednich skałach.

Po upływie dwóch lat mógł już przeprowadzić się do nowej rezydencji. Tam oddał się całkowicie nauczaniu swojej religii, a wolny czas spędzał w pałacu, wśród rodziny i przyjaciół, lub też na wyprawach myśliwskich. Egiptolodzy przypuszczają, że autorstwo większości hymnów na cześć Atona należy jemu przypisywać. Oto początkowe strofy jednego z tych natchnionych poematów:

O jakże pełen czaru jest twój wschód na niebie,
Atonie żywy, sprawco życia!
Gdy tylko jawisz się na widnokręgu,
Wszystkie krainy pławią się w twym pięknie.
Boś ty promienny, wzniosły i daleki ponad nami.
Ziemię, coś stworzył, pieścisz ramionami swoich blasków.
O Ra, tyś wszystkie ludy uprowadził w jasyr
I związał je pętami swego miłowania.
Choć niedościgły trwasz w niebiosach,
Nie skąpisz ziemi swego światła,
A każdy dzień naszego życia
Jest odciśniętym śladem twojej stopy.
Gdy chylisz się za krawędź wieczornego nieba,

Świat ziemski w mroki się pogrąża, dogorywa;
Mężowie zasypiają w swych komorach,
Tuląc w spowicia głowy aż do nozdrzy,
I nic nie czują, kiedy spod wezgłowia
Złodzieje wykradają im dobytek.
Z legowisk wstają lwy i węże,
Ziemia jest ciemna, oniemiała,
Bo stwórca jej do snu się kładzie.
Gdy zaś o rannej wstajesz porze
I światłość niesiesz nam, Atonie,
Wnet płoszy się wszelaka ciemność
Przed płomienistym twym obliczem.
Wtedy dwa kraje nasze[3] pełne są radości,
Zrywają się na nogi rozbudzone;
Ludzie powstają z sennej niepamięci,
Myją swe ciała, odziewają szaty
I w uwielbieniu wznoszą ręce do twej tarczy,
A potem przystępują do swych dziennych zajęć.
Bydło wylega na pastwiska,
Drzewa i krzewy zakwitają,
Ptaki krzątają się w błotnistych łozach
I głoszą chwałę twą trzepotem skrzydeł.
Barany podskakują w pląsach.
Wszystko, co uskrzydlone, wznosi się w powietrze,
Bo ty im życie dajesz swoim ciepłem.
Barki żeglują w dół i w górę rzeki,
Gościńce zaludniają się, gdy wschodzisz,
Ryby pryskają z wody na twój widok,
A wielkie morze staje się jasnością.

Echnaton żywił wielkie zamiłowanie do sztuki i chętnie mecenasował młodym artystom, których zewsząd sprowadzał na dwór swojej nowej stolicy. Podobnie jak w religii, również i w sztuce egipskiej powiały świeże wiatry. Podłożem nowych prądów była tutaj opozycja w stosunku do kapłanów tebańskich. Rzeźba i malarstwo podlegało dotychczas rygorystycznym nakazom rytuału kościelnego, pozwalającym artystom malować faraonów jedynie tylko jako sztywne, hieratyczne, pełne boskiego nimbu postacie.

Młodzi artyści wyłaniali się spod kurateli tradycjonalizmu kapłańskiego i dążyli w swoich dziełach do prawdy i szlachetnej prostoty.

Echnaton popierał ów nowy realizm w sztuce i nie bronił artystom przedstawić siebie tak, jak go widzieli. Tolerancja jego była tak daleko posunięta, że pozwolił siebie malować nie tylko jako człowieka z ciała i krwi, lecz nawet w całej prawdzie swojej cielesnej brzydoty – z dużą głową, wystającym brzuchem i rachitycznymi nogami.

Dawniejsze sceny figuralne nabierają teraz na malowidłach rumieńców życia. Żaden z poprzednich faraonów nie zgodziłby się na to, aby malowano go jako zwykłego śmiertelnika, odartego z nimbu boskiego majestatu. Echnaton natomiast nie miał pod tym względem żadnych zastrzeżeń i w jego stosunku do sztuki uwydatniają się szczególnie wyraźnie głębia i śmiałość rewolucyjnych poczynań. Najlepszym przykładem są freski, dające nam wgląd w intymne życie rodzinne faraona, jego żony i córek. Widzimy np. Echnatona, jak pieści i całuje w usta swoją żonę, podczas gdy u jego nóg baraszkują małe dziewczynki.

W grobowcach skalnych w okolicy „Miasta Horyzontu Słońca" archeolodzy odkryli szereg malowideł ściennych, z których możemy wyrobić sobie pojęcie o trybie życia, jakie prowadziła rodzina królewska.

Na jednym z fresków odbywa się ingres arcykapłana nowej religii nazwiskiem Merira. Widzimy tam króla, jego żonę Nefretete i córki, jak oparci o parapet balkonu spoglądają na zgromadzoną przed pałacem ludność. Obraz jest odświętny, wesoły i wielce kolorowy. Na parapecie leżą poduszki o najrozmaitszych barwach, a z filarów pałacu spływają girlandy z kwiatów lotosu i barwne wstęgi, kołysząc się w podmuchach wiatru. Służba pałacowa trzyma na długich drzewcach wachlarze ze strusich piór, ufarbowanych na kolor szkarłatny i błękitny. Echnaton z wyciągniętym ramieniem wygłasza przemówienie do klęczącego kapłana, powierzając mu wysoki urząd.

Na innym malowidle Echnaton składa wizytę w świątyni słońca. Obraz jest pełen życia, ruchu i wspaniałości. W świetle zachodzącego słońca faraon mknie na złocistym rydwanie przez

ulice miasta, trzymając w ręku lejce i popędzając batem cwałujące rumaki, wystrojone w strusie czuby. Królowa Nefretete pędzi tuż za nim we własnym rydwanie, a resztę kawalkady tworzą liczne pojazdy z córkami królewskimi i dostojnikami dworu. Obok rydwanów biegną żołnierze, uzbrojeni w tarcze, dzidy, topory, łuki i pałki. Widać wśród nich brodatych Azjatów z Syrii, Murzynów z Nubii, długowłosych Libijczyków. Z domów wybiegła ludność miejska, przyglądając się orszakowi królewskiemu. Faraon zbliża się właśnie do podwojów świątyni. Oczekują go tam klęczący kapłani i tańczące dziewczyny, wybijające rytm na tamburynach.

Na trzecim fresku malarz wymalował dalszy ciąg tego wydarzenia. Tym razem wprowadza nas do wnętrza świątyni. Echnaton i Nefretete stoją przed ołtarzem, wypełnionym kopiasto owocami i kwiatami i wlewają do płomieni jakiś płyn. Król jest obnażony do pasa i ma na sobie tylko spódnicę z delikatnej tkaniny, opadającą w miękkich fałdach ku jego stopom. Z paska zwisają dookoła jego bioder szarfy koloru ognistego szkarłatu.

Królowa jest odziana w białą szatę z tak przezroczystego materiału, że przebijają przez niego kontury jej dziewczęcej kibici. Stan jej opasuje również szkarłatna szarfa, której końce spływają aż na posadzkę świątyni. Uderzające jest to, że oboje małżonkowie nie noszą żadnej biżuterii. Prostota ich strojów, swobodnych i estetycznych, sprawia niezwykle ujmujące wrażenie.

Dwie córeczki królewskie stoją za ich plecami i zanoszą hymn do boga słońca Atona, wtórując sobie na małych instrumentach strunowych. Arcykapłan Merira pochyla się przed królem w głębokim ukłonie, podczas gdy inni kapłani zapalają wonne kadzidło. Opodal stoi siedmiu niewidomych muzyków – starych, tłustych mężczyzn – i śpiewa na cześć Atona przy wtórze siedmiostrunnych harf.

W grobowcach znaleziono również szereg obrazów rodzinnych, świadczących nie tylko o wielkim zbytku na dworze królewskim, lecz ponadto o tkliwym przywiązaniu faraona do swoich najbliższych.

Oto cała rodzina zebrała się w drewnianym pawilonie, którego dach podtrzymują barwne filary, oplatane girlandami z kwiatów

lotosu i winorośli. Głowice tych filarów zdobią wypukłorzeźby wyobrażające bukiety kwiatów i upolowane dzikie kaczki zawieszone za nóżki.

Pośrodku pawilonu ustawiła się grupa niewiast i wygrywa jakąś melodię na harfach, lutniach i lirach. Król rozsiadł się wygodnie na poduszkach krzesła. Jest znużony i smutny; być może, że malarz spostrzegł w nim trawiącą go chorobę i przeczuł jego przedwczesną śmierć. Młody monarcha wyciąga puchar, a jego żona napełnia go winem z amfory. Trzy córki otaczają jego krzesło; jedna trzyma duży bukiet kwiatów, druga podaje mu talerz ze słodyczami, a trzecia zabawia ojca rozmową.

Jednak szczególnie wyraźnie uwydatnia się przewrót artystyczny w drugim fresku z tego cyklu rodzinnego. Gdy jedna z córek umarła, Echnaton kazał ją pochować w swoim grobowcu i wymalować na ścianie wzruszającą scenę, wyrażającą ból i żałobę rodziny królewskiej. Naokoło zmarłej dziewczynki, leżącej na marach, stoją rodzice i jej pozostałe przy życiu siostrzyczki. Szczególnie przejmująca jest postać Nefretete: trzyma ona najmłodsze dziecko na ręku, a na jej twarzy maluje się głębokie cierpienie. W sztuce egipskiej jest to dzieło bez precedensu, tu bowiem po raz pierwszy wyrażono uczucie boskiej rodziny faraona w tak ludzki i niepowściągliwy sposób.

Walka Echnatona z arystokracją i kastą kapłanów przybrała z czasem ostrzejsze formy. Faraon pousuwał ze swego otoczenia wszystkich dawniejszych dostojników i – jak to nam donosi w inskrypcji swego grobowca jeden z dostojników – dobierał sobie współpracowników spomiędzy wolnych chłopów. Inny wysoki urzędnik dworski mówi o sobie:

> Byłem człowiekiem niskiego pochodzenia z ojca i matki, ale król postawił mnie na nogi. Pozwolił mi się wznosić… byłem człowiekiem bez własności, a on w swojej hojności dał mi codzienne pożywienie, mnie, co kiedyś musiałem żebrać o kawałek chleba.

Opozycja możnowładców i kapłanów ukartowała spisek na życie faraona. Wiemy to z fresku i napisu, jaki znaleziono w grobowcu naczelnika policji. Widzimy go tam, jak sprowadza przed oblicze

wielkiego wezyra trzech ujętych spiskowców. W napisie wielki wezyr dziękuje Atonowi za pomoc w wykryciu zbrodniarzy i błogosławi faraona Echnatona.

Faraon prowadził dotąd politykę oględną w stosunku do kapłanów i pozwolił im swobodnie uprawiać kult tradycyjnych bogów. Ale z chwilą ujawnienia spisku stał się fanatykiem religijnym i obrazoburcą. Pozamykał świątynie, kazał zburzyć posągi lokalnych bóstw, a ze szczególną zawziętością prześladował tebańskiego Amona. Rozsyłani przez niego agenci wydrapywali imię tego boga w świątyniach i grobowcach, a nawet docierali do najdalszych skrajów pustyni, gdzie usuwali je z napisów wykutych na ścianach skalnych. Arystokraci musieli pozmieniać swoje nazwiska rodowe, o ile zawierały w źródłosłowie imię Amona.

Najistotniejszy sens poczynań reformatorskich faraona sprowadzał się właściwie do walki o władzę z arystokracją i kapłanami. W gruncie rzeczy nawet ustanowienie monoteizmu było wyrazem dążenia do jedynowładztwa. Ponieważ reformy Echnatona nie miały charakteru społecznego i nie przynosiły szerokim masom ludności żadnej ulgi politycznej i ekonomicznej, przeto napotykały w Egipcie powszechną obojętność.

Z chwilą jednak, gdy Echnaton zaczął prześladować bożków lokalnych, spotkał się z biernym oporem i niezadowoleniem mas ludowych. Byli to bożkowie prości, życzliwi i pomocni, w zażyły sposób związani z życiem i pracą chłopów. Choć łatwo dawali się porwać gniewowi i mściwości, choć otaczały ich groza i niesamowitość – to jednak mieli cechy ludzkie, zrozumiałe dla prostego człowieka. Natomiast Aton, ów niewidzialny bóg występujący pod symbolem tarczy słonecznej, był dla nich czymś zgoła niezrozumiałym, obcym i obojętnym. Toteż fanatyczne sekciarstwo Echnatona wytworzyło wkrótce nieprzebytą przepaść między jego dworem a szerokimi rzeszami ludu egipskiego, wśród którego szukał przecież oparcia, dobierając z jego środowiska swoich najbliższych współpracowników.

Ustanawiając kult Atona, młody faraon snuł w zapalnej wyobraźni szerokie zamysły imperialistyczne. Wiemy już, że dzięki podbojom jego przodków mocarstwo Egiptu obejmowało Syrię, Palestynę

i Nubię. Ponieważ większość tych podbitych ludów uprawiała pod różnymi formami kult słońca, Echnaton sądził, że nietrudno będzie pozyskać je dla Atona, który w ten sposób stałby się wspólnym, uniwersalnym bogiem państwa. Wtedy nastąpiłby drugi, tym razem pokojowy podbój tych obszarów, co dla mocarstwa egipskiego stanowiłoby trwalsze więzy niż siła zbrojna.

Ale sprawa wzięła zgoła przeciwny obrót. Podczas gdy Echnaton oddawał się przyjemnościom życia rodzinnego i układał hymny na cześć Atona – państwo jego zaczęło się poważnie rysować i kruszyć. Książęta syryjscy, rozzuchwaleni jego słabymi rządami, weszli w tajne konszachty z wrogami Egiptu, a potem kolejno wyłamywali się spod zależności, wycinając w pień załogi egipskie.

Jak to wiemy z korespondencji, znalezionej w Tel el-Amarna, egipscy wodzowie i zarządcy w Syrii wysyłali do faraona gońców, donosząc o coraz to nowych klęskach, i ostrzegali, że kraj będzie stracony, jeżeli nie nadejdą natychmiast posiłki. Załogi miast Meggido, Aszkelon i Gezer wołały rozpaczliwie o pomoc, a komendant Jerozolimy pisał:

> Powiedz królowi bez osłonek: cały kraj mego króla i pana czeka ruina.

Ale Echnaton nie dawał żadnej odpowiedzi, pozostawiając garnizony ich własnemu losowi. Co więcej, w końcu nawet nie dopuszczał przed swoje oblicze gońców, którzy przebiegali ogromne odległości i zdrożeni podróżą spodziewali się od faraona otuchy i pomocy.

Co było przyczyną tej niezrozumiałej apatii? Ponieważ nie zachowały się w tej sprawie dokumenty, możemy tylko domyślać się, co właściwie się stało. Eckhnaton zawsze głosił naukę, że Aton jest bogiem pokojowym, a on sam był chyba pierwszym w dziejach pacyfistą, potępiającym wojny. Cała jego polityka imperialistyczna wychodziła z założenia, że podbite kraje należy pozyskać dla Egiptu jedynie tylko sposobami pokojowymi, za pomocą krzewienia kultu Atona, boga słońca, miłości i radości życia. Toteż możemy przypuszczać, że hiobowe wieści z Syrii postawiły go wobec przykrego dylematu: czy wyruszyć na odsiecz załogom egipskim

i tym samym przekreślić całą swoją ideologię, czy też zgodzić się biernie na utratę zbuntowanych posiadłości. Był to konflikt tragiczny, nierozwiązalny, który sparaliżował jego wolę i prawdopodobnie przyczynił się do jego przedwczesnego zgonu. Kiedy Echnaton dogorywał na łożu śmierci, Syria była już utracona i dopiero Seti i Ramzes mieli ją ponownie zdobyć dla Egiptu.

Echnaton umarł w roku 1358 p.n.e., w trzydziestym roku życia. Ciało jego pochowano w grobowcu skalnym, w pobliżu „Miasta Horyzontu Słońca". Nie wiadomo nam nic o losach Nefretete; ponieważ historia okryła ją milczeniem, wolno przypuszczać, że zmarła wkrótce po swoim mężu.

Faraon nie miał syna, na tron wstąpił więc Smenchara, mąż jego najstarszej córki. Nie panował jednak długo. Stojąc wiernie przy reformach swego teścia, naraził się arystokracji i kapłanom, którzy do tego stopnia odzyskali władzę, że strącili go z tronu. Tron objął po nim Tutanchaton, mąż trzeciej córki Echnatona. Ponieważ miał dopiero dwanaście lat, łatwo poddał się woli właściwych panów Egiptu. Zmienił więc swoje nazwisko na Tutanchamon, wyrzekł się religii teścia i przeniósł się z powrotem do Teb pod skrzydła tamtejszych kapłanów.

Wykopaliska w Tell el-Amarna mówią nam wyraźnie, że „Miasto Horyzontu Słońca" porzucono w niesłychanym pośpiechu. W ruinach zabudowań pałacowych znaleziono szczątki psów i krów, prawdopodobnie zapomnianych i pozostawionych przez służbę pałacową na śmierć głodową. O wielkim zamieszaniu podczas przeprowadzki świadczy może jeszcze wymowniej ta okoliczność, że zapomniano zabrać archiwum tabliczek klinowych, zawierających doniosłą korespondencję dyplomatyczną.

Okazałe zabudowania stolicy boga słońca Atona opustoszały i stały się siedliskiem szakali i nietoperzy. Rozpadające się mury służyły okolicznym chłopom za niewyczerpane źródło budulca. Z czasem resztki świątyń i pałaców zasypały piaski pustynne i zakonserwowały tak dobrze, że archeolodzy mogą dziś odtworzyć z dużą dokładnością plan poziomy zapomnianej siedziby faraona buntownika.

Tutanchamon przywrócił kapłanom skonfiskowane majątki, na nowo otworzył ich świątynie i zaopatrzył je w bogate naczynia rytualne ze złota i srebra. W jednej z inskrypcji skalnej chlubi się tak: „Zaludniłem znowu Teby, przywróciłem dobre prawa i umocniłem sprawiedliwość". Kasta kapłanów odniosła nad faraonem zupełne zwycięstwo.

Echnaton miał po śmierci wielu jeszcze zwolenników swojej religii. Patrzyli oni z bólem na sromotny upadek „Miasta Horyzontu Słońca", zwłaszcza na opuszczenie grobowca królewskiego, narażonego na splądrowanie przez rabusiów.

Postanowili więc potajemnie przenieść zwłoki królewskie do bardziej bezpiecznego miejsca. O budowie nowego grobowca nie mogło być mowy. Na pewno dowiedzieliby się o tym kapłani i przeszkodziliby im w wykonaniu zamiaru. Wpadli zatem na pomysł, by mumię umieścić w grobowcu matki Echnatona, królowej Teje.

Tutanchamon umarł w osiemnastym roku życia i panował tylko sześć lat. Tron zagarnął najwyższy kapłan tebański Eje, rychło jednak został strącony przez naczelnego wodza armii egipskiej Horemheba, założyciela 19 dynastii faraonów.

Horemheb był przedstawicielem najbardziej reakcyjnych kół arystokracji. Pod jego panowaniem rozszalała kontrrewolucja. Kapłani Teb wszczęli namiętną akcję zniesławiającą imię Echnatona. Piętnowali go jako „przestępcę i heretyka" i kazali wydrapywać jego imię wszędzie, gdziekolwiek je napotkano.

W pewnej chwili dowiedzieli się o przeniesieniu zwłok Echnatona do grobowca królowej Teje. Tym samym stanęli wobec bardzo drażliwej decyzji. Nie odważyli się usunąć i zniszczyć mumii – popełniliby w ten sposób świętokradztwo, które spotkałoby się z potępieniem ludności, żywiącej głęboko zakorzeniony pietyzm dla zmarłych. Z drugiej strony uważali, że obecność heretyka jest profanacją mumii królowej Teje. Postanowili zatem usunąć królową do innego grobowca, Echnatona zaś pozostawić na miejscu. Ale podczas przeprowadzki stwierdzili, że cedrowy sarkofag tylko z trudnością da się przenieść przez ciasny korytarz grobowca. Zabrawszy więc mumię, pozostawili sarkofag w połowie drogi na

stercie gruzów, gdzie przeszło 3300 lat później znalazł go archeolog Teodor Davis.

Otwierając grobowiec, kapłani Teb mieli jednak inny cel na myśli. Przejrzeli dokładnie trumnę i wszędzie tam, gdzie natknęli się na imię Echnatona, wydrapali je ostrym narzędziem. Wyjęli nawet mumię z trumny i jakby nożyczkami wycięli jego imię, wyryte kilkakrotnie na opasującej ją złotej taśmie, pozostawiając na tym miejscu owalne otwory. Potem zamknęli i zapieczętowali grobowiec na nowo.

Wymazanie nazwiska nieboszczyka w grobowcu uchodziło w pojęciu kapłanów egipskich za najstraszniejszą zemstę, jaką można było sobie wyobrazić. Wierząc bowiem w magiczną moc pisanego słowa, byli głęboko przeświadczeni, że dusza zmarłego, odarta z imienia, staje się bezdomnym wyrzutkiem, błąkającym się bezimiennie w krainie podziemi. Sobowtór jego, wieczny potępieniec, straszył po rozstajach, zawodząc rozpaczliwe jęki i zaspokajał głód ohydnymi odpadkami, wyrzuconymi na śmietnik.

Taki oto makabryczny los zgotowali kapłani Teb faraonowi, który ośmielił się wypowiedzieć im posłuszeństwo.

ODKRYCIE GROBOWCA TUTANCHAMONA

LORD CARNARVON BYŁ TYPOWYM PRZEDSTAWICIELEM bogatej arystokracji angielskiej. Czas swój spędzał głównie na przyjemnościach i podróżach, a gdy wynaleziono samochód, stał się jednym z pierwszych automobilistów w Anglii. Niebawem zasłynął z tego, że rozwijał na drogach zawrotne jak na owe czasy szybkości, szerząc panikę wśród farmerów i furmanów. W roku 1900 nastąpiła nieunikniona katastrofa; samochód przekoziołkował, a on sam doznał wstrząsu mózgu i poważnych okaleczeń ciała.

Od tego czasu nabawił się nieuleczalnej astmy. Lekarze radzili mu udać się do Egiptu, spodziewając się, że tamtejsze suche i gorące powietrze przyniesie mu ulgę w cierpieniu. Carnarvon usłuchał ich i przybywszy do Egiptu, zainteresował się starożytnościami tego kraju. Postanowił tam zamieszkać i cały majątek poświęcić poszukiwaniom archeologicznym, zabrał się zatem na własną rękę do prac wykopaliskowych.

Wkrótce jednak doszedł do przekonania, że brak mu do tego odpowiedniego przygotowania naukowego, toteż dobrał sobie do pomocy fachowego archeologa. Zwrócił się w tej sprawie do dyrektora Muzeum Egipskiego Maspera, który polecił mu młodego egiptologa Howarda Cartera, dawniejszego współpracownika Petriego i Davisa.

Teodor Davis, odkrywca mumii Echnatona i wielu grobów królewskich, posiadał od lat koncesję na prowadzenie prac wykopaliskowych w Dolinie Królów. W roku 1914 odstąpił ją

Carnarvonowi, sądząc, że cała dolina została już dokładnie przetrząśnięta. Nawet Maspero, przepisując koncesję na nowego właściciela, oświadczył mu prosto z mostu, że dalsze poszukiwania w tym miejscu uważa za niepotrzebną stratę pieniędzy i czasu.

Carnarvon zabiegał o koncesję głównie za namową Howarda Cartera, który wbrew tym opiniom był przekonany, że w dolinie musi kryć się nieodnaleziony dotąd grób Tutanchamona. O istnieniu tego grobowca świadczyły, według jego mniemania, różne znaleziska, jakie nagromadził podczas swoich poszukiwań archeologicznych.

Był to przede wszystkim kubek fajansowy tego faraona wykopany z gruzów, połamana skrzynka drewniana zawierająca złote listki z wyrytym jego imieniem oraz duże gliniane naczynie z resztkami bandaży lnianych, pozostawionych przez ludzi, którzy balsamowali jego ciało. Szczególnie zwracała uwagę okoliczność, że wszystkie przedmioty należące do Tutanchamona leżały w niedalekiej od siebie odległości, można więc było mniemać, że w ich sąsiedztwie powinien znajdować się nieodnaleziony jeszcze grobowiec.

Gdy Carnarvon i Carter przybyli do Doliny Królów, jej widok nie przedstawiał nic zachęcającego. Skaliste dno ogromnej kotliny zawalone było zaspami złomu i piargów, pozostawionych tam ongiś przez kamieniarzy egipskich w czasie wykuwania grobów królewskich. W zboczach skalnych widniały ponure otwory, prowadzące do pustych komór grobowych.

Gdzie zacząć poszukiwania, od czego rozpocząć ową gigantyczną pracę? O usunięciu gruzu z całego dna doliny nie można było nawet marzyć. Należało zatem wybrać jedno ściśle wytknięte miejsce i tam skupić wszystkie wysiłki – innego wyjścia nie było. Carter wybrał miejsce, gdzie Davis znalazł wymienione już przedmioty należące do Tutanchamona. Tworzyło ono trójkąt, ograniczony grobami Ramzesa II, Merneptaha i Ramzesa VI. Tam, według jego przypuszczenia, powinien ukrywać się poszukiwany grobowiec.

W roku 1917 wynajęto brygadę robotników arabskich i rozpoczęto poszukiwania. W związku z zabójczymi upałami w miesiącach letnich prace mogły odbywać się tylko w porze zimowej. Usuwanie potężnych stert gruzu trwało sześć sezonów

zimowych. Już w pierwszym roku Carter natknął się u stóp skały, około jednego metra poniżej grobu Ramzesa VI, na szczątki nieznanych murów.

Po bliższym ich zbadaniu okazało się, że są to ruiny baraków, w których ongiś kwaterowali kamieniarze, zatrudnieni przy budowie jednego z grobów królewskich. Nie stały one na pierwotnym gruncie doliny, lecz były wzniesione na warstwie złomów grubości jednego metra, pochodzących z wykutego grobu Ramzesa VI.

Carter postanowił nie ruszać na razie tych murów, gdyż zabarykadowałoby to grobowiec wyżej leżący, stanowiący atrakcję dla licznych wycieczek turystów i uczonych. Gdy jednak usunął już cały gruz z wytkniętego trójkąta i nie znalazł żadnego śladu grobu, zdecydował się na zburzenie ruin i zbadanie terenu pod warstwą odłamków skalnych, tworzących ich fundament. Była to ostatnia nadzieja po sześciu latach kosztownych i żmudnych poszukiwań.

Carter pisze o tym w swoich pamiętnikach:

„Miała to być nasza ostatnia zima w dolinie. Sześć zimowych sezonów prowadziliśmy tam prace wykopaliskowe, całe miesiące trudziliśmy się bez wytchnienia i nie znaleźliśmy niczego. Tylko archeolog może wiedzieć, jak bardzo jest to przygnębiające. Byliśmy już gotowi przyznać, że ponieśliśmy porażkę, i przygotowywaliśmy się do opuszczenia doliny…”.

Trzeciego listopada 1922 roku Carter podjął ostatnie poszukiwania. Robotnicy zabrali się do rozebrania ruin baraków i usunięcia leżących pod nimi gruzów. Następnego dnia wczesnym rankiem Carter zauważył, że robotnicy przerwali nagle pracę i w pełnym napięcia milczeniu spoglądali w świeżo rozkopany dół. Natychmiast pobiegł tam i stanął jak wryty; spod piargów wyzierał stopień schodów, wyciosany w skalnym gruncie.

Odtąd wszyscy zaczęli pracować ze zdwojonym pośpiechem. Spod gruzów wyłaniał się stopień po stopniu, a gdy wreszcie dotarli do końca schodów, ukazały się drzwi opatrzone w pieczęć i pokryte szarą zaprawą tynkową.

„Zapieczętowane drzwi! – pisał Carter w swoich pamiętnikach.

– A więc mieliśmy rację! Wszystkie te lata cierpliwej pracy zostały jednak wynagrodzone! Myślę, że pierwsze uczucie, jakie żywiłem, była radość, iż wiara moja w dolinę okazała się uzasadniona".

Dygocąc z przejęcia, Carter przyjrzał się pieczęci zamykającej drzwi grobowe. Wynik przekroczył wszystkie jego najśmielsze oczekiwania. Była to nienaruszona pieczęć królewskiego nadzoru cmentarza, wyobrażająca szakala i dziewięciu jeńców wojennych. Świadczyło to ponad wszelką wątpliwość, że był to grobowiec królewski. Istniała ponadto uzasadniona nadzieja, że grób nie padł ofiarą rabusiów. Wskazywało na to miejsce, gdzie go znaleziono. Robotnicy, którzy wykuwali grobowiec Ramzesa VI, strącali odłamki złomu w dół stoku i zasypali nim wejście do niżej leżącego grobu Tutanchamona. W ten sposób grób znikł pod grubą warstwą gruzu. Zapomniano o nim niebawem, a w późniejszych latach wybudowano nad nim baraki dla robotników, które skryły go przed intruzami.

W górnej części drzwi Carter wydrążył mały otwór i świecąc latarką elektryczną, zajrzał do wnętrza. Przed jego oczyma ciągnął się wąski korytarz, cały wypełniony kamieniami i odłamkami skalnymi. Carnarvon bawił w tym czasie w Anglii, a Carter nie chciał otwierać grobowca w jego nieobecności. Wysłał więc telegram i czekał na przyjazd Carnarvona prawie trzy tygodnie.

Możemy sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością oczekiwał jego przyjazdu.

„Była to chwila – wspomina – która archeologa mogła przyprawić o dreszcze. Po latach bezowocnych poszukiwań znalazłem się u progu kolosalnego być może odkrycia. Wszystko, dosłownie wszystko mogło kryć się za owym korytarzem i tylko z wielkim wysiłkiem zdołałem się opanować, by nie wyłamać drzwi i z miejsca prowadzić dalsze prace".

Wreszcie Carnarvon przybył wraz z córką i natychmiast przystąpiono do otwarcia tajemniczych drzwi. Składały się one z cienkiego przepierzenia, ułożonego starannie z nieobrobionych kamieni, pokrytych warstwą zaprawy tynkowej. Zanim jednak je rozebrano, Carter zauważył u dołu inną pieczęć, która uradowała go niezmiernie, gdyż wyryte na niej było imię Tutanchamona. A więc

znaleziono grób, którego z takim trudem szukano w ciągu sześciu lat!

Po otwarciu wejścia usuwano przez cały następny dzień złom, wypełniający wąski i spadzisty korytarz. W głębi, mniej więcej w odległości dziesięciu metrów od wejścia, pokazały się drugie drzwi, również zaopatrzone w pieczęć Tutanchamona. Nadeszła teraz chwila rozstrzygająca. Carter wydrążył otwór i wsunął naprzód zapaloną świeczkę, aby się przekonać, czy nie ma tam trujących gazów. Potem zaświecił latarkę elektryczną i zajrzał do środka, podczas gdy towarzysze z napięciem czekali na wynik badań.

Z początku nic nie mógł zobaczyć, stopniowo jednak w półmroku zaczęły nabierać kształtów szczegóły – cudaczne zwierzęta, posągi, koła, skrzynie, wazy, a przede wszystkim złoto, gdzie tylko spojrzeć – złoto błyszczące niepokalaną czystością, migocące w świetle latarki. Carter zaniemówił z wrażenia, a gdy wreszcie zniecierpliwiony Carnarvon zapytał, czy coś widzi, zdołał zaledwie wykrztusić: „Owszem, cudowne rzeczy”.

Do rozebrania drzwi zabrano się z wielką ostrożnością, aby nie uszkodzić żadnego znajdującego się za nimi zabytkowego przedmiotu. Gdy wreszcie Carter i Carnarvon weszli do pierwszej komnaty grobowej, ogarnęło ich głębokie wzruszenie, minęło bowiem przeszło trzy tysiące lat, kiedy tu ostatni raz stanęła stopa ludzka. To, co tam ujrzeli, przyprawiło ich o prawdziwe oszołomienie. Pokój zawalony był bez składu i ładu niezliczonymi przedmiotami nieopisanej piękności. Gdy tylko oczy ich przywykły do tego chaosu, zaczęli odróżniać kolejno co większe okazy.

Przy ścianie stały trzy złocone łoża, których ramy snycerz wystrugał w kształcie spłaszczonych zwierząt z głowami lwa, krowy lub też fantastycznych stworów, przypominających hipopotamy czy krokodyle. Pod ścianami leżał stos rozebranych i powywracanych części czterech rydwanów, całkowicie okutych złotą blachą i przyozdobionych ornamentami figuralnymi. Nawet koła i osie miały złote okucia.

Największe wrażenie sprawiły jednak dwie figury naturalnej wielkości, stojące jakby na straży po obu bokach innego, zamurowanego wejścia. Drewniane postacie, najwidoczniej

podobizny Tutanchamona, trzymały w ręku długie laski i były odziane w lniane szaty, złote fartuchy i złote sandały. Na czole miały znak godności królewskiej: węża wykutego z ciężkiego złota. Wyniosłe, niezgłębione w swej obcości, budziły niepokój i zabobonny szacunek.

W jednej z bocznych ścian Carter odkrył jeszcze inne ukryte wejście. Po jego rozebraniu weszli do nieco mniejszej komory, również wypełnionej najróżniejszymi sprzętami. Leżały one w takim nieładzie, że zdawało się, iż rozrzucone zostały wskutek trzęsienia ziemi. Niewątpliwie wdarli się tu kiedyś rabusie, zostali jednak spłoszeni lub też ujęci na gorącym uczynku.

Samo wyliczenie znalezionych dzieł sztuki zapełniłoby osobną książkę: wystarczy powiedzieć, że sporządzona lista zawierała aż siedemset pozycji. Ograniczymy się przeto do krótkiego opisu najcenniejszych okazów.

Przede wszystkim znajdowała się tam duża liczba najróżniejszych skrzyń, misternie wyrobionych ze złota, srebra, kości słoniowej, alabastru oraz drewna hebanowego i cedrowego. Są to prawdziwe cacka sztuki złotniczej i snycerskiej, bogato ozdobione inkrustacjami, intarsjami i malowidłami, przedstawiającymi sceny myśliwskie i batalistyczne. Skrzynie te zawierały szaty królewskie dzierzgane złotem i obszyte paciorkami, złote sandały, bieliznę śnieżnobiałą, diademy, łuki ozdobne, groty i kołczany, kapłańskie szaty ze skóry leoparda oblamowane złotymi i srebrnymi rozetkami oraz niezliczoną liczbę innego sprzętu.

Nieoszacowaną wartość przedstawiały ponadto puchary z alabastru, złota i brązu, wazy zawierające żywność, jak np. pieczone kaczki, jako też świeczniki ze złota i z brązu, w których znajdowały się jeszcze knoty z plecionych włókien lnianych. Były tam łoża z drewna hebanowego, pozłociste baldachimy, kapliczki szafkowe z posążkami z litego złota, skarabeusze inkrustowane kolorowym szkliwem, niezliczona liczba biżuterii ze złota i z fajansu, osobliwie zaś berło królewskie z masywnego złota, wykładane kamieniami z lapis-lazuli.

Na osobną wzmiankę zasługują liczne przepyszne krzesła i składane zydle, stanowiące prawdziwe arcydzieła rzemiosła

snycerskiego, ozdobione złotem, kością słoniową, srebrem i kolorowym szkliwem, z siedzeniami z kunsztownie wytłaczanej skóry.

Między tymi krzesłami błyszczał przepychem tron Tutanchamona, inkrustowany od góry do dołu złotem, srebrem, szkliwem, fajansem i półszlachetnymi kamieniami. Wspiera się on na lwich nogach i ma oparcia wyrzeźbione w kształcie uskrzydlonego węża. Olśniewającym, bodajże najwyborniejszym dziełem sztuki egipskiej, jakie kiedykolwiek znaleziono, jest oparcie tronu. Widzimy na nim wytłoczoną w złocie salę pałacową z kolumnami owitymi girlandami.

W świetle promieni słonecznych, wpadających przez otwór stropowy, Tutanchamon siedzi swobodnie i naturalnie na wysłanym poduszkami tronie, wspierając się jednym ramieniem o poręcz. Przed nim stoi dziewczęca postać królowej i namaszcza małżonka wonnymi olejkami. Jest to scena wykonana techniką inkrustacyjną, grająca subtelną gamą kolorów. Ciała małżonków są wykonane z różowo-rdzawego szkliwa, przybranie głowy z fajansu barwy ciepłego turkusa, szaty zaś ze srebra, które ze starości powlekło się szlachetną, przygaszoną patyną. Biżuteria królewska lśni złotem lub też mieni się rozmaitymi tonacjami barwnego fajansu.

Carter zdawał sobie sprawę z tego, jaka przeogromna, odpowiedzialna praca czekała go przy zabezpieczeniu tych bajecznych skarbów. Poszczególne przedmioty należało naprzód sfotografować, odrysować i wymierzyć na miejscu, zbadać ich wytrzymałość na dotknięcie, wynieść z wielką ostrożnością z grobowca, zapakować i odstawić do laboratorium w Kairze w celu poddania ich natychmiastowym chemicznym zabiegom konserwatorskim. Musiał mieć do pomocy liczny sztab uczonych, egiptologów, historyków sztuki, chemików, ogromną liczbę skrzyń, chemikaliów, samochodów i materiałów do pakowania. Zamknął więc grobowiec i pojechał do Kairu, by zorganizować tam laboratorium i zwerbować współpracowników do tego wielkiego zadania.

Tymczasem wiadomość o odkryciu rozeszła się po świecie lotem błyskawicy. Prasa w krzykliwych tytułach donosiła o odnalezieniu

grobu Tutanchamona, snując na ten temat sensacyjne domysły i fantazje. Na Dolinę Królów spadła istna plaga turystów, reporterów i archeologów, którzy stali się dla Cartera prawdziwym utrapieniem.

Prace przy opróżnianiu przedpokoju i bocznej komnaty ze skarbów trwały z górą siedem tygodni. Na szczęście podczas przeprowadzki ani jeden przedmiot nie uległ uszkodzeniu, co Carter z dumą podkreśla w sprawozdaniach jako wyjątkową zasługę swoich współpracowników i robotników arabskich.

Nareszcie przyszła kolej na otwarcie głównej krypty zawierającej największą tajemnicę grobowca. Na tę wiekopomną chwilę Carter zaprosił najwybitniejszych uczonych z całego świata oraz przedstawicieli rządu egipskiego. Podczas gdy oni siedzieli w uroczystym nastroju na krzesłach, ustawionych wzdłuż ściany przedpokoju, Carter przystąpił osobiście do rozebrania zamurowanego wejścia.

Gdy w przepierzeniu wejściowym ukazał się pierwszy otwór, widok ten zdumiał wszystkich. W odległości niecałego metra zabłysła pozłocista ściana, pokryta wypukłym ornamentem i ozdobami z błękitnego fajansu.

Po pewnym czasie otwarto wejście i została wyjaśniona tajemnica tej bajecznej ściany ze złota. Była to ogromna skrzynia podobna do parawanu z dachem, w niej krył się sarkofag zmarłego faraona. Carter wszedł ostrożnie do środka komory. Skrzynia okazała się tak duża, że między nią a skalną ścianą krypty pozostało tylko wąskie przejście, przez które z trudnością mógł się przecisnąć, tym bardziej że leżały tam najróżniejsze dary pogrzebowe: dzbany do wina, świeczniki, wazy, puchary z alabastru oraz inne naczynia rytualne. Ściany komory pokryte były malowidłami figuralnymi i hieroglifami.

Po jednej stronie skrzyni znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi, niezapieczętowane i zasunięte na skobel z hebanowego drewna. Carter otworzył je i zajrzał do środka. Okazało się, że wewnątrz stała druga podobna skrzynia. Przykrywa jej była zaopatrzona w pieczęć królewską, co niezmiernie ucieszyło Cartera, stanowiło to bowiem rękojmię, że do sarkofagu królewskiego nie dobrali się rabusie. A więc z dwudziestu ośmiu faraonów, pochowanych

w Dolinie Królów, jedynie tylko grób Tutanchamona przetrwał nietknięty poprzez trzydzieści trzy z górą wieki.

Carter przymknął drzwi z powrotem i rozejrzał się po wąskim korytarzu. W jednej ze ścian zauważył niezamurowane wejście do innej komnaty. Gdy przekroczył próg, przekonał się, że jest to skarbiec, po brzegi wypełniony bardzo cennymi zabytkami.

Naprzeciw niego stała kapliczka szafkowa, cała okuta złotą blachą i ozdobiona świętymi wężami ze złota. Otaczały ją cztery boginie stróżki, z rozwartymi opiekuńczo ramionami, jakby broniąc świętości przed intruzami. Twarze ich były naturalne i żywe, pełne współczucia i tkliwości. Kapliczka – jak się przekonał – służyła do przechowywania serca, mózgu i wnętrzności nieboszczyka, wyjętych podczas balsamowania zwłok.

Na pozłocistej lektyce zaopatrzonej w płozy leżał, jakby pogrążony we śnie, bóg-szakal Anubis, odziany w szaty z lnianej tkaniny. Pod ścianami stało mnóstwo skrzynek z kości słoniowej, alabastru i drewna, inkrustowanych złotem i niebieskim fajansem. Zawierały one wśród wielu przedmiotów codziennego użytku także kilka posążków z czystego złota wyobrażających Tutanchamona oraz wachlarz ze strusich piór, nad podziw dobrze zachowany. W komorze znajdował się jeszcze jeden rydwan oraz szereg modeli ożaglowanych łodzi. W przeciwieństwie do pozostałych komnat grobowych tutaj nie było żadnych śladów jakiegokolwiek plądrowania: przedmioty stały na tych samych miejscach, na których pozostawili je kapłani egipscy podczas uroczystości pogrzebowych.

Dopiero po długich pracach przygotowawczych przystąpiono do otwarcia złocistych skrzyń grobowych. Carter po oderwaniu pieczęci królewskiej otworzył pierwsze i drugie podwoje. I tu spotkała go nowa niespodzianka: wewnątrz kryły się jeszcze dwie inne, mniejsze skrzynie, nie mniej piękne niż dwie poprzednie. Otworzywszy je po kolei, stanął wreszcie przed sarkofagiem królewskim, przejęty do głębi wzruszeniem i podziwem. Było to bowiem arcydzieło sztuki kamieniarskiej. Sarkofag, wyciosany z żółtego kwarcytu, spoczywał na grubej płycie alabastrowej i był nakryty wiekiem z różowego

granitu. Na czterech narożnikach widniały wypukłorzeźby bogiń z rozwartymi opiekuńczo ramionami i skrzydłami.

Przed otwarciem sarkofagu należało usunąć cztery skrzynie parawany. Zajęło to prawie trzy miesiące, gdyż skrzynie składały się z osiemdziesięciu ciężkich i łamliwych części, złączonych ze sobą za pomocą haków i uszek. By móc wynieść je z grobowca, Carter musiał zburzyć całą ścianę, dzieląca główną kryptę od przedpokoju. Przy tej sposobności wykryto najstarsze chyba w dziejach ludzkich ślady brakoróbstwa. Mimo że poszczególne części były wyraźnie numerowane, robotnicy egipscy dopasowali je w mylnej kolejności, tak że nie przylegały do siebie należycie. W dodatku w kilku miejscach uszkodzili młotkiem pozłotę i ornament, a przy sarkofagu zostawili śmietnik w postaci wiórów i kawałków drewna.

Ciężką płytę sarkofagu podniesiono, używając lin i bloków. Trumna spoczywała pod całunem z płótna lnianego, które ze starości przybrało odcień brązowordzawy. Skoro go odsunięto, ukazał się widok ze wszech miar olśniewający. Trumna, wystrugana w kształcie mumii, była drewniana i pozłacana złotymi listkami, natomiast głowę i ręce Tutanchamona starożytny artysta wyklepał z grubej złotej blachy. Spokojne piękno głowy, nieodgadnione, pełne zadumy oblicze, oczy ze szkła wulkanicznego oraz brwi i powieki ze szkliwa barwy turkusu – sprawiały wrażenie żywe i do głębi przejmujące. Na czole świeciło mozaiką kolorów godło królewskie – wąż i sęp – symbolizujące Dolny i Górny Egipt.

Uwagę Cartera pochłonął jednak drobny na pozór szczegół. „Co jednak – pisze we wspomnieniach – wśród tego oślepiającego bogactwa sprawiło największe wrażenie, to chwytający za serce wianuszek kwiatów polnych, położonych na trumnie przez młodą wdowę. Cały królewski blichtr, cała królewska okazałość bladła wobec skromnego, spłowiałego naręcza kwiatów, które zachowały jeszcze nikły ślad swoich dawnych świeżych kolorów. Przypominały nam one z nieodpartą wymową, jak znikomą chwilą są tysiąclecia.

Po usunięciu wieka ukazała się druga trumna, wyobrażająca faraona w postaci boga Ozyrysa. Jej boki aż biły w oczy złoceniami i ozdobami z jaspisu, lapis-lazuli i turkusowego szkliwa. Było to

dzieło przedziwnej sztuki snycerskiej i złotniczej, o nieoszacowanej wartości artystycznej.

Największa rewelacja czekała Cartera dopiero przy otwarciu drugiego wieka. Kryła się pod nim trzecia jeszcze trumna w postaci ludzkiej, cała wykonana z grubej złotej blachy i tak ciężka, że ośmiu robotników zaledwie zdołało ją dźwignąć. Sam metal zużyty na jej wykonanie przedstawiał kolosalną wartość. Trumnę zdobiły półszlachetne kamienie, a podobizna faraona ubrana była w naszyjnik z czerwonych, żółtych niebieskich i złotych paciorków. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie skarby musiały kryć się w pozostałych grobach królewskich, jeśli młodego i mało znaczącego faraona tak bogato wyposażono.

Spoczywająca w trumnie mumia była zwęglona i zalana jakąś aromatyczną masą, przypominającą żywicę. Ale jej głowę i ramiona przykrywała złota maska, wyobrażająca smętne i zamyślone oblicze młodego faraona. Ręce, wyrzeźbione również ze złotego kruszcu, były skrzyżowane na piersi. Gdy usunięto maskę i rozwinięto bandaże, ukazało się prawdziwe oblicze mumii. I wtedy stało się jasne, że wszystkie maski, rzeźby i malowidła znalezione w grobowcu wykazywały niewątpliwe podobieństwo z prawdziwą twarzą faraona, co świadczy o tym, jak realistycznie starali się artyści egipscy odtworzyć podobiznę zmarłego króla.

Anatomista doktor Derry przystąpił natychmiast do oględzin zwłok królewskich. W trakcie odwijania bandaży znaleziono w poszczególnych warstwach sto czterdzieści trzy przedmioty nieocenionej wartości artystycznej: diademy, sztylety, amulety, naszyjniki, naramienniki i pierścionki. Palce nóg i rąk spoczywały w złotych tulejkach z zaznaczonymi na nich rylcem paznokciami. Największe poruszenie wywołały jednak dwa przedmioty z żelaza, mianowicie sztylet i wezgłowie, stanowiły one bowiem najstarszy dowód używania żelaza w Egipcie. Doktor Derry stwierdził, że Tutanchamon umarł w osiemnastym lub dziewiętnastym roku życia, nie mógł jednak ustalić przyczyny jego przedwczesnego zgonu.

Na łamach prasy brukowej rozpętała się niebawem sensacyjna i niedorzeczna plotka, jakoby osoby, związane w ten lub inny sposób z odpieczętowaniem grobu, ściągnęły na siebie klątwę

faraona. Pod krzykliwymi tytułami *Zemsta faraona* lub *Nowa ofiara klątwy faraona* reporterzy donosili o śmierci coraz to innego współpracownika Cartera. W końcu naliczyli aż dwadzieścia ofiar klątwy.

Zabobonne pogłoski zaczęły nabierać nowego rozgłosu, kiedy w roku 1923 lord Carnarvon zmarł niespodziewanie, ukąszony przez moskita. Oto co w ciągu następnych lat donosiła prasa: 78-letni lord Westbury popełnił samobójstwo, a jego syn, były sekretarz Cartera, umarł na tajemniczą chorobę. Archibald Reid padł martwy, prześwietlając promieniami Roentgena jakąś mumię egipską. Umarli również współpracownicy Cartera, egiptolog Artur Weigell i A.G. Mace, przy czym prasa pominęła milczeniem, że ten ostatni był chory na nieuleczalną chorobę już w czasie prac przy grobie Tutanchamona. Plotka urosła do histerycznych rozmiarów, kiedy brat przyrodni Carnarvona popełnił samobójstwo, a córka tego ostatniego umarła ukąszona przez nieznanego owada.

Gdy wreszcie prasa doniosła, że i Carter padł ofiarą klątwy, archeolog zaprotestował publicznie i napiętnował pogłoskę jako niegodną inteligentnych ludzi niedorzeczność, podkreślając, że w rytuale egipskim nie istnieje w ogóle pojęcie klątwy i że zmarli proszą tylko o opiekę i modlitwę za ich pomyślność w krainie podziemi. Fakt, że kilku jego współpracowników umarło w krótkim czasie, Carter przypisywał przypadkowemu zbiegowi okoliczności, przy czym w wielu wypadkach zgony tłumaczyły się podeszłym wiekiem lub długotrwałą chorobą. Protest swój, pełen goryczy, zakończył następującym zdaniem: „W dziedzinie moralności ludzkość dokonała mniejszego postępu, niż to sobie na ogół wyobrażamy".

Kaczce dziennikarskiej zadał ostatecznie kłam niemiecki egiptolog, profesor Steindorff. W broszurze, wydanej w roku 1933, omówił każdy poszczególny wypadek zgonu i udowodnił, że wiele wymienionych przez prasę osób nie miało nic wspólnego z grobem Tutanchamona. Doszedł przeto do konkluzji, że sprawa została wyssana z palca przez goniących za sensacją dziennikarzy prasy brukowej.

U kolebki świata egejskiego

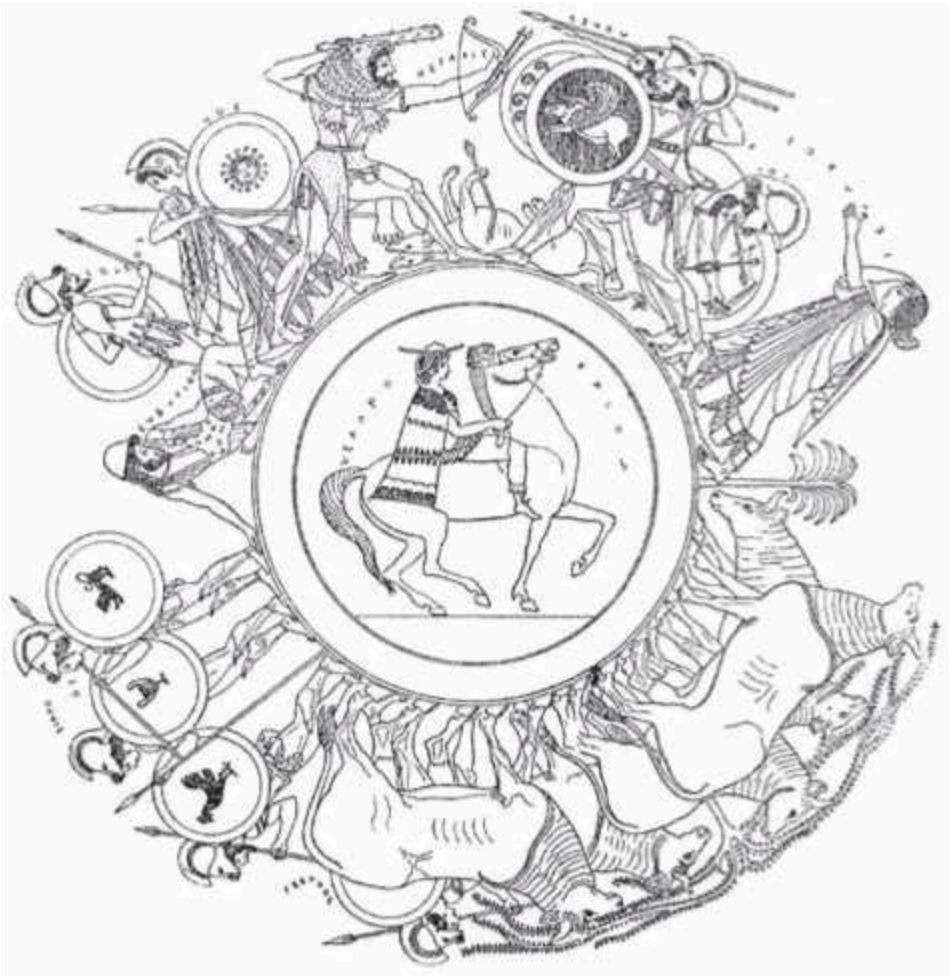

CZŁOWIEK, KTÓRY POZOSTAŁ WIERNY MARZENIOM MŁODOŚCI

W XIX WIEKU ARCHEOLOGIA nie była jeszcze nauką posiadającą własne, precyzyjne metody. Stawiała ona wtedy pierwsze, niepewne kroki. Najwybitniejsi jej pracownicy częstokroć nie mieli specjalnych wyższych studiów ani też przy poszukiwaniach nie posługiwali się żadną wypracowaną metodą, co więcej, zdarzało się nawet, że nie mieli w ogóle wykształcenia.

A jednak dokonali oni odkryć przełomowych. Dzięki nim wyłoniły się z zagubionej przeszłości bogate niegdyś kultury, wymarłe miasta, ruiny świątyń i pałaców, zapomniane dzieła sztuki, o jakich głucha wieść zachowała się tylko w mitach, legendach i poezji, a do których większość historyków odnosiła się jak do bajek pozbawionych podstaw realnych.

Co sprowadziło tych ludzi na drogę poszukiwań archeologicznych? Byli wśród nich z pewnością zwykli awanturnicy, którym przyświecały bardzo prozaiczne cele – stworzenie sobie łatwego życia kosztem zdobytych skarbów. Tych spotykał przeważnie zawód, a jeśli nawet dokonali jakichś odkryć, to pozostały one nieznane, gdyż ukrywali je, aby rabunek nie wyszedł na jaw. Ale byli również i fantaści marzyciele, których cechował duch odkrywczy. Raz opanowani przez jakąś wielką ideę, z niezłomnym uporem urzeczywistniali swoje cele pozornie fantastyczne, głusi na kpiny i perswazje otoczenia. W większości wypadków to, co powszechnie uważano za naiwność i niedorzeczną pasję, okazywało się niezawodnym instynktem prowadzącym ich

prostą drogą do rewelacyjnych odkryć. Ci rzekomi nieucy byli w istocie rzeczy niepospolitymi ludźmi obdarzonymi żywym, twórczym umysłem; odznaczali się ponadto nie tylko mocnymi, bujnymi charakterami, lecz również mrówczą pracowitością i niezachwianą wiarą w słuszność swoich zamierzeń.

Przedstawicielem tego typu odkrywców był Henryk Schliemann (1822-1890), jeden z wybitniejszych archeologów XIX wieku. Jego życiorys jest jakby wyjęty z fantastycznej powieści awanturniczej; gdyby jakiś autor wymyślił to, co ten człowiek przeżył, pomawiano by go z pewnością o zbyt wybujałą wyobraźnię.

Ojciec Schliemanna był ubogim pastorem protestanckim w małym miasteczku Meklenburgii. Ubóstwo jego nie było zresztą całkiem niezawinione: stary pastor zbyt często zaglądał do kieliszka. W dodatku był wdowcem, mającym na utrzymaniu sześcioro dzieci. Warunki domowe, w których mały Henryk spędził swoje pierwsze lata życia, nie sprzyjały więc jego rozwojowi.

Ale stary Schliemann miał jedną niepowszednią zaletę, wyróżniającą go spośród szarego otoczenia: był zapamiętałym wielbicielem Homera i tę miłość wpoił Henrykowi od wczesnej młodości. Wśród gwaru dzieciarni i śpiewek zawsze podchmielonego pastora postacie Agamemnona, Achillesa, Odyseusza i Menelaosa powtarzały się tam jak imiona najbliższych osób z rodziny.

W roku 1829 siedmioletni Henryk otrzymał na Gwiazdkę *Historię powszechną* Jerrera, wspaniałą księgę, ozdobioną całostronicowymi reprodukcjami stalorytowymi. Główka chłopca z bujną czupryną pochyliła się w wielkim skupieniu nad obrazkiem, przedstawiającym płonącą Troję, z której uchodził Eneasz ze zniedołężniałym ojcem Anchizesem na plecach. I oto posłuchajmy, jak wspomina tę chwilę sam Henryk w swojej książce *Ilion:*

– Ojcze – pyta chłopiec – czyż nie mówiłeś mi, że Troja została zrównana z ziemią?

– Tak jest…

– I że nic z niej nie pozostało?

– Zupełnie nic…

– Ale Jerrer musiał widzieć Troję, bo jakżeby inaczej mógł ją narysować?

– Henryku, przecież to obrazek narysowany z wyobraźni.

Chłopiec zadumał się przez chwilę, a potem znowu zapytał:

– Ojcze, czy Troja miała takie ogromne mury, jak to widać na obrazku?

– Prawdopodobnie tak.

– W takim razie – zawołał chłopiec triumfująco – nie mogły one zniknąć bez śladu. Resztki tych murów muszą znajdować się gdzieś ukryte pod ziemią. O jakżebym chciał je odkopać! Ojcze, pewnego dnia pojadę tam i odkopię je!

Stary Schliemann, znużony pytaniami dziecka, odburknął:

– Wcale by to mnie nie zdziwiło. A teraz siedź cicho, chciałbym trochę pospać.

Mały Henryk rwał się bardzo do nauki, ale pijaństwo ojca spowodowało, że nędza zaczęła zaglądać do ich domu. Toteż w czternastym roku życia musiał porzucić szkołę i pójść jako praktykant do sklepu kolonialnego w miasteczku Fürstenberg.

Pracował tam przez z górą pięć lat, sprzedając śledzie, wódkę, mleko i sól, zamiatając sklep i dźwigając ciężary ponad siły.

„Harowałem – pisze w swoich wspomnieniach – od piątej rano do jedenastej wieczorem i nie miałem jednej wolnej chwilki, by czegoś się nauczyć”.

Pewnego dnia, kiedy był sam w sklepie, wszedł chwiejnym krokiem, będąc pod dobrą datą, znany w miasteczku oryginał, młynarz Niederhoff. Był on kiedyś pastorem, ale z powodu pijaństwa został przez władze kościelne pozbawiony godności duchownej.

Zataczając się, podchmielony klient stanął niczym aktor w bohaterskiej roli i zaczął po grecku skandować Homera. Wprawdzie Henryk nic nie rozumiał, ale śpiewna, rytmiczna kadencja heksametrów podziałała na niego jak upajająca, egzotyczna muzyka. Słuchał z pałającymi oczami, nie mogąc dość nasycić się czarodziejskim rytmem nieznanego mu języka. Ilekroć deklamator chciał zaniechać dalszej recytacji, Henryk drżącą ręką wygrzebywał z kieszeni ostatnie grosze i dla zachęty kupował mu

wódkę. Magię tej chwili przerwał dopiero właściciel sklepu, który zjawił się znienacka i wyprosił pijaka za drzwi.

„Odtąd – pisze Schliemann – nie przestałem się modlić do Boga, abym za jego łaską doznał szczęścia nauczenia się języka greckiego".

Chłopiec marzył teraz tylko o Homerze. Ze swoimi rówieśnikami rozmawiał jedynie o Troi i o zamiarze udania się kiedyś na poszukiwanie jej ruin. Doszło do tego, że cała młodzież miasteczka uważała go za dziwaka i pokpiwała z niego setnie. Jedynie tylko córka sąsiada-chłopa, Minna Meincke, potraktowała poważnie jego zamierzenia i z uwagą słuchała marzycielskich zwierzeń.

Młodzi zaprzysięgli sobie niebawem dozgonną miłość i przyrzekli pobrać się, gdy dorosną. Wolny czas spędzali przeważnie na wycieczkach do średniowiecznego zamku Ankershagen, gdzie, jak głosiło podanie ludowe, rycerz-rozbójnik Henning von Holstein zakopał wielkie skarby, zrabowane na rozstajnych drogach wędrownym kupcom. Henryk postanowił skarby te wykopać i za uzyskane pieniądze udać się na poszukiwanie ruin trojańskich.

Tymczasem stosunki rodzinne pogorszyły się do tego stopnia, że nie mógł już dłużej pozostawać w domu. Udał się więc do Hamburga i przyjął pracę u pewnego kupca kolonialnego. Ale obowiązki praktykanta sklepowego okazały się tym razem ponad jego siły. Gdy przy podnoszeniu beczki ze śledziami rzuciła mu się krew gardłem, musiał poszukać sobie innego zajęcia.

Przypadek chciał, że odpływał właśnie do Wenezueli żaglowy bryg towarowy „Dorothea". Nie namyślając się długo, poszedł do kapitana i postarał się o posadę chłopca pokładowego. Na pełnym morzu zaskoczyła ich jednak gwałtowna burza i bryg zaczął tonąć. Henryk wraz z ośmioma towarzyszami znalazł się w szalupie ratunkowej. Wzburzone fale miotały nimi przez dziewięć godzin, aż wreszcie wyrzuciły ich na brzeg Holandii. Wycieńczonych rozbitków umieszczono w szpitalu w Amsterdamie.

Przyszedłszy po kilku dniach jako tako do siebie, Henryk zaczął się oglądać za pracą. Po długich poszukiwaniach, bez żadnych środków materialnych i bez dachu nad głową, uzyskał wreszcie zajęcie chłopca do posyłek u pewnego armatora holenderskiego. Tym razem postanowił jednak czas swój podzielić rozsądniej

i w wolnych chwilach uczyć się języków obcych. Odtąd połowę mizernych zarobków wydawał na podręczniki. Zamieszkał na poddaszu, gdzie marzł zimą, a latem omdlewał z gorąca.

Osobliwa to była nauka. Polegała ona na tym, że na głos czytał wyjątki z książek lub rozmówki z samouczka tak długo, aż nauczył się ich na pamięć. Miał z tego powodu dużo nieprzyjemności, bo sąsiedzi skarżyli się na niego przed właścicielem kamienicy, który dwukrotnie wypowiadał mu mieszkanie.

Niebawem okazało się, że Henryk posiadał wybitne zdolności językowe. Na nauczenie się jednego języka potrzebował nie więcej niż sześć tygodni. W ciągu roku mówił płynnie i pisał poprawnie po angielsku, francusku, holendersku, hiszpańsku, portugalsku i po włosku.

Gdy pewnego dnia zjawił się w firmie armatorskiej Schroedera prosząc o posadę księgowego, szef firmy ze zdumieniem stwierdził, że ów blady, nieśmiały i niepozorny aplikant włada płynnie siedmioma językami, natychmiast więc go zaangażował. Na nowej posadzie Schliemann ujawnił inne jeszcze talenty: okazał się bardzo bystrym i obrotnym kupcem, umiejącym przeprowadzać korzystnie trudne bardzo transakcje handlowe.

Mając 24 lata, nauczył się języka rosyjskiego tak dobrze, że mógł swobodnie rozmawiać z kupcami rosyjskimi, którzy przyjeżdżali do Amsterdamu po zakup poszukiwanego wówczas na rynku niebieskiego barwnika indygo. Doskonałe opanowanie przez Henryka języka rosyjskiego skłoniło Schroedera do wysłania go, jako swego przedstawiciela, do Petersburga.

Po upływie roku Schliemann usamodzielnił się i założył własną firmę handlową. Powiodło mu się w tym nadspodziewanie. Sprowadzając na rynek rosyjski indygo, dorobił się w ciągu krótkiego czasu znacznego majątku.

W większości wypadków ludzie szybko zapominają o swoich młodzieńczych marzeniach, a jeśli je wspomną, to z uśmiechem lekceważenia, uważając je za naiwne rojenia dzieciństwa. Ale Henryk Schliemann był z innej gliny ulepiony. Z chwilą gdy dorobił się majątku, napisał do swojej przyjaciółki z lat dziecinnych Minny, proponując jej małżeństwo. Odpowiedź wstrząsnęła nim do głębi;

praktyczna Niemka wyszła za mąż, nie czekając na niepewny powrót trochę narwanego przyjaciela.

Rozczarowany, tym, ale bynajmniej niezniechęcony do życia, Schliemann podróżuje odtąd dużo po Europie. Przebywa w tym okresie w Berlinie, Paryżu i Londynie, gromadząc coraz to większe kapitały. W trzydziestym trzecim roku życia znał już piętnaście języków. Poza wymienionymi siedmioma przyswoił sobie jeszcze języki: polski, szwedzki, norweski, czeski, duński, łacinę oraz grekę klasyczną i nowoczesną. Jasno zdawał sobie sprawę z braków swego wykształcenia i każdą wolną chwilę poświęcał na studia, szczególnie z zakresu historii.

„Brak mi szkoły i podstawowego wykształcenia, nigdy nie stanę się uczonym" – wpisał do pamiętnika w chwili zniechęcenia.

Wizja z lat młodości nie opuszczała go, mimo że po uszy tkwił w zawodzie kupca, robiącego milionowe obroty handlowe. Wszystko to uważał tylko za środek do celu; ważne o tyle tylko, o ile zbliżało go to do tego, co sobie kiedyś nakreślił. W wolnych chwilach tłumaczył Sofoklesa na współczesny język grecki i uczył się na pamięć całego Homera, wnikając w najdrobniejsze, przeoczone lub niedocenione przez krytyków szczegóły. Mimo że najwięksi ówcześni historycy uważali *Iliadę* i *Odyseję* za wytwór fantazji poetyckiej i utrzymywali, iż Troja w rzeczywistości nie istniała, nigdy nie dał się zachwiać w swoich przekonaniach.

Schliemann wiedział, że wielcy historycy greccy, z Herodotem i Tukidydesem na czele, nie wątpili w historyczność wojny trojańskiej, choć w poemacie Homera często jest mowa o bogach pomagających ludziom i w ogóle dzieją się rzeczy nadnaturalne.

Wątkowi fantastycznemu przeciwstawił sceny realistyczne *Iliady* i *Odysei*. Przecież opisy życia codziennego, pałaców, ubogich chat, jak np. chaty świniopasa w *Odysei*, rolnictwa i żeglarstwa, oręża, zajęć domowych kobiet, odzieży i biżuterii są u Homera tak dokładnie przedstawione, że po prostu byłoby niemożliwe, aby to wszystko mogło powstać jedynie w wyobraźni poety. Również i geografia Homera opiera się na ścisłych danych dotyczących lądów i wysp Morza Śródziemnego. I choć tu i ówdzie daje się poeta ponieść fantazji, wkraczając w krainę baśni – czy to przy opisie

wyspy Cyrce, czy kraju cyklopów lub Hadesu – to jednak nie przekreśla to faktu jego topograficznej orientacji.

Ale czas urzeczywistnienia marzeń jeszcze nie nadszedł: Schliemanna pochłonęła na razie inna sprawa. Oto w roku 1848 odkryto w Kalifornii złoto. Ruszyła tam niebawem niczym do ziemi obiecanej największa od czasów wojen krzyżowych wędrówka ludów.

Niepowstrzymana ciżba ludzka posuwała się przez Stany Zjednoczone, przedzierała się przez prerie, pustynie i lasy, brodziła przez rzeki i moczary, wspinała się na przełęcze Gór Skalistych i Sierra Nevady. Gorączka złota ogarnęła nie tylko Amerykanów, lecz również Europejczyków. Kalifornię zalała zgiełkliwa, skora do bójki i wypitki gromada nędzarzy, obieżyświatów i awanturników, szukających łatwego zbogacenia się. W bezludnych okolicach powstały niebawem sklecone z desek osady z szynkami i domami gier hazardowych, gdzie łatwo było o burdy i zabójstwa.

Dla takiego człowieka jak Schliemann była to nie lada pokusa. Udał się więc do Kalifornii, gdzie założył w drewnianym szałasie kantor i skupował z dużym zyskiem złoty piasek od poszukiwaczy złota, którzy potrzebowali natychmiast pieniędzy na hulanki i gry hazardowe. Nawet gdy zapadł na tyfus, nie zaniechał prowadzenia interesu. Kazał się umieścić w tylnym pokoiku kantoru i z łóżka kierował osobiście transakcjami.

Pomnożywszy w ten sposób majątek, opuścił Kalifornię, udając się w podróż najpierw do Kairu, później do Jerozolimy i Transjordanii. Nauczył się przy tym języka arabskiego. Opanował go tak doskonale, że sami Arabowie nie mogli rozpoznać w nim cudzoziemca. Dokonał nawet jak na ówczesne czasy czynu niesłychanie zuchwałego: włożył na siebie strój arabski, kazał się dla bezpieczeństwa obrzezać i przedostał się do Mekki, zamkniętej dla niewiernych pod karą śmierci.

Na końcu udał się do Grecji, wymarzonego kraju swej młodości. Gdy przybił do brzegów Itaki, ojczyzny Odyseusza Żeglarza, ogarnęło go głębokie wzruszenie. Oto po długich latach wędrówki po świecie, po różnych przygodach wydawało mu się, że tak jak Odyseusz stanął wreszcie w ojczyźnie. Uklęknął i ze łzami w oczach

ucałował ziemię. Wyspiarze ze zdumieniem przypatrywali się nieznanemu przybyszowi, zachowującemu się w tak dziwaczny sposób.

Na Itace rozpoczął swoje pierwsze poszukiwania archeologiczne. Zrobił próbny wykop na miejscu, gdzie według tradycji miał wznosić się pałac Odyseusza. Znalazł tam kości ludzkie, nóż ofiarny, posążki bożków z terakoty i inne drobiazgi. Z Itaki udał się na Peloponez, następnie przeprawił się przez Dardanele i przewędrował równinę, na której miała się znajdować Troja.

Postanowił odtąd poświęcić się całkowicie poszukiwaniom archeologicznym. Powrócił więc do Ameryki, gdzie zlikwidował swoje interesy. Wszystko, co wymarzył w młodości, brał zawsze dosłownie, musiał zatem znaleźć sobie towarzyszkę życia, z którą mógłby dokonywać odkryć. Ponieważ Minna go zawiodła, chciał poszukać sobie żony innej, oddanej i miłującej, prawdziwej współtowarzyszki przyszłych trudów.

Jak zwykle, wybrał i w tym wypadku drogę osobliwą, jeżeli nie wręcz ekscentryczną. Napisał mianowicie list do swego przyjaciela, arcybiskupa greckiego Vimposa, prosząc go o przedstawienie mu kandydatki. Chciał, aby przyszła jego żona była Greczynką. Choć nie był już młody, miał bowiem czterdzieści sześć lat, wymagania jego były nader wygórowane; miała to być dziewczyna biedna, lecz wykształcona, entuzjastka Homera i bojowniczka o niepodległość Grecji, brunetka z rysami twarzy typowo greckimi, o ile możności piękna, ale przede wszystkim dobrego serca.

Arcybiskup przysłał mu fotografię swojej siostrzenicy, szesnastoletniej Zofii Engastromenos. Schliemann przyglądał się jej jak zahipnotyzowany. Była to piękność o klasycznej urodzie, o subtelnych, regularnych rysach twarzyczki, jakby wyciętych w kamei. Przy czym lekki uśmiech, błąkający się koło ust, przydawał jej nieuchwytnego uroku, jaki cechuje kobiety Wschodu.

Schliemann bez zwłoki udał się do Aten i tam spotkał się po raz pierwszy z dziewczyną. Z miejsca zakochał się w niej na zabój. Usidliły go nie tylko jej uroda, ale ponad wszystko prostolinijność i słodycz charakteru, skromność i spojrzenie pełne mądrego wyrozumienia.

Ale Schliemann postanowił nie poddawać się jej urokowi bezkrytycznie i jak planował, przeprowadził surowy egzamin. Zadawał jej niezliczoną liczbę różnych pytań, na które dziewczyna odpowiadała w sposób zadowalający. Pytał np., w którym roku odwiedził imperator Hadrian Ateny lub też, jakie ustępy Homera umie ona na pamięć.

Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. Pod koniec zagadnął ją:

– Dlaczego zgodziłaś się wyjść za mnie za mąż?

– Ponieważ rodzice powiedzieli mi, że jest pan bogatym człowiekiem.

Na taką odpowiedź Schliemann poderwał się i wyleciał z pokoju jak z procy. Prawdomówność dziewczyny zabolała bardzo starzejącego się zalotnika. Było już jednak za późno; zrozumiał, że stał się niewolnikiem swoich uczuć. Powrócił więc jak niepyszny i poprosił ją o rękę. Ślub odbył się natychmiast, bo nigdy nie lubił odkładać raz powziętej decyzji.

Wkrótce jednak przekonał się, że żona jest wiernie mu oddaną i kochającą kobietą.

„Zofia jest doskonałą żoną – pisze w pamiętniku – kocha mnie namiętnie jak Greczynka, a ja ją równie gorąco kocham. Rozmawiamy tylko po grecku, w tym najpiękniejszym języku na świecie".

A przecież współżycie ze Schliemannem bynajmniej nie było łatwe. Dowiadujemy się o tym z pamiętników córki, Andromedy.

„Biedna kobieta! – pisze ona o swojej matce – opowiadała mi, jak podczas podróży poślubnej musiała zwiedzać z nim wszystkie muzea Włoch i Francji. Kazał jej się również uczyć języków obcych, a jego metody były drakońskie. Nie rozmawiał z nią żadnym innym językiem, jak tylko po francusku, dopóki nie opanowała go całkowicie. Ale zaledwie zaczęła jako tako porozumiewać się w tym języku, przeszedł natychmiast na angielski.

W pierwszych latach małżeństwa życie z tym porywczym, niezmordowanym i kipiącym energią człowiekiem, posiadającym w sobie coś z geniusza, było dla młodej kobiety nie lada próbą. Było również i dla mnie ciężką próbą. W okresie mojego dzieciństwa budził mnie zimą o piątej rano i zabierał na pięciomilową

przejażdżkę konną do Faleronu, gdzie kąpaliśmy się w zimnych falach morskich.

O nasze zdrowie dbał wprost fanatycznie. Gdy w obecności wielu zaproszonych gości miały się odbyć chrzciny mego braciszka Agamemnona, ojciec ni stąd, ni zowąd wyjął z kieszeni termometr i zmierzył temperaturę wody święconej. Powstała wielka konsternacja. Ksiądz zaś, widząc tego rodzaju bezceremonialne postępowanie, wpadł w nieopisane oburzenie. Dopiero na prośbę mojej matki dał się udobruchać i na nowo poświęcił wodę.

Zresztą apodyktyczność jego charakteru nie przeszkadzała, że był to człowiek życzliwy i aż do przesady hojny. Był również na swój sposób skromny i nie znosił snobów. Dla kwiatów i zwierząt żywił miłość nieledwie nabożną".

GRÓD PRIAMA

W ROKU 1870 HENRYK SCHLIEMANN udał się wraz z żoną do Azji Mniejszej i nad brzegiem Hellespontu zabrał się do pierwszych na poważną skalę zakrojonych poszukiwań archeologicznych. Ku uciesze przyglądającej mu się gawiedzi przystąpił do dzieła w nader osobliwy sposób. Z *Iliadą* w ręku, niby geometra z planem topograficznym, wymierzał odległości, aby ustalić, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa mogła znajdować się Troja, którą drużyny Agamemnona po dziesięcioletnim oblężeniu zdobyły podstępem i obróciły w perzynę.

Ale postępowanie jego nie było w rzeczywistości tak naiwne, jakby się to z pozoru wydawało. Krył się za nim cały arsenał argumentów rzeczowych i przekonywających, przynoszących rozumowaniu Schliemanna zaszczyt. Pójdźmy szlakiem tego rozumowania, choćby z tych względów, by się przekonać, do jakiego stopnia odkrycia, dokonane rzekomo przypadkowo, bywają często owocem bardzo wnikliwego wnioskowania.

Nieliczni historycy, którzy dopuszczali możliwość historycznego istnienia Troi, umiejscawiali ją w pobliżu małej wioski tureckiej Bunarbaszi, gdzie wznosił się niewielki pagórek. Podstawą ich przypuszczeń była 22 Księga *Iliady*, w której Homer wspomina, iż w pobliżu miasta Priama miały tryskać dwa źródła wody: jedno ciepłe i jedno zimne. A ponoć właśnie w Bunarbaszi znajdowały się takie dwa źródła.

Schliemann postanowił sprawdzić osobiście te przypuszczenia. Najął więc przewodnika greckiego i konno udał się do Bunarbaszi. Ale już w drodze nasunęły mu się pewne wątpliwości. Wioska była

oddalona od morza o trzy godziny konnej jazdy, tymczasem – jeżeli wierzyć Homerowi – bohaterowie greccy przestrzeń między brzegiem morza a murem warowni trojańskiej przemierzali trzy razy dziennie, co w tej sytuacji zajęłoby im co najmniej osiemnaście godzin. Przeto albo Homer się mylił, albo w Bunarbaszi nie znajdowały się ruiny Troi – innej alternatywy nie było.

Przybywszy na miejsce, przyjrzał się uważnie pagórkowi, domniemanemu siedlisku ruin. Wystarczyło to, aby go w tych wątpliwościach umocnić. Pagórek bowiem był zbyt mały, by mógł kryć ogromny pałac króla Priama, z 62 komnatami i salami, oraz mury warowne z potężną Bramą Skajską. Zsiadł z konia i wspiął się na wierzchołek wzniesienia. Tu i ówdzie drążył próbne szyby w poszukiwaniu najdrobniejszych choćby śladów ruin. Wszędzie znalazł tylko ziemię i piasek; nie było tam ani jednego odłamka głazu, skorupy czy cegły, słowem, nic nie wskazywało na to, że wznosiła się tu ongiś jakakolwiek budowla. Doszedł więc do przekonania, że wzniesienie nie powstało na skutek nagromadzenia w jego wnętrzu gruzowisk zburzonego miasta, że jest po prostu dziełem przyrody, a nie rąk ludzkich.

Był jednak człowiekiem dokładnym, toteż pragnął jeszcze wyjaśnić sprawę dwóch źródeł, o których z taką pewnością mówili historycy. I tutaj spotkała go zabawna niespodzianka, okazało się bowiem, że w okolicy Bunarbaszi tryskały nie dwa, lecz aż czterdzieści źródeł. Stąd pochodziła nazwa tamtejszych stron: Kirk Giös, co znaczy „Czterdzieścioro oczu". Schliemann, aby upewnić się o niesłuszności stawianej hipotezy, chodził następnie od źródła do źródła i mierzył ich ciepłotę. Wszystkie miały mniej więcej taką samą temperaturę; nie było wśród nich ani jednego źródła ciepłego.

Odtąd wzgórze pod Bunarbaszi przestało go interesować. Ale gdzie w takim razie szukać siedliska Troi? Stanął bezradny, bez jakichkolwiek wskazówek, na których mógłby się oprzeć. Przemierzał więc wzdłuż i wszerz równinę hellesponcką, szukając po omacku zagubionego miasta. Nagle uwagę jego zwróciła nazwa turecka dużego wzgórza leżącego na północ od Bunarbaszi, w odległości około pięciu kilometrów od morza. Nazwa ta brzmiała Hissarlik, co znaczy – pałac. Schliemann zdawał sobie sprawę, że

często w nazwach miejscowości, podobnie jak i w legendach, kryją się echa wydarzeń odległej przeszłości W taki sposób ludy przekazują z pokolenia na pokolenie swoją historię, swoją mądrość i swoje doświadczenie, z upływem czasu pierwotny sens tych nazw zaciera się jak deseń na wypełzłym kobiercu; pozostają tylko słowa, pozornie niewytłumaczalne, które są jednak śladami, mogącymi wskazać źródła prawdy. Czemużby więc w Hissarlik nie miały się ukrywać jakieś ruiny, określone ongiś przez ludność mianem „pałacu"? Trudno przecież wyobrazić sobie, aby bez żadnego powodu nazwano w ten sposób naturalną górę, nieprzypominającą nawet konturami jakiejś budowli, nie mówiąc już o pałacu.

Wstępne badania zdawały się potwierdzać tezę Schliemanna. Góra miała w przybliżeniu kształt czworokątny o spłaszczonym wierzchołku, co wskazywało na jej sztuczne pochodzenie. I rzeczywiście, już przy pierwszym uderzeniu kilofa wyrzucono na powierzchnię nieprzeliczone mnóstwo odłamków cegieł, złomów i skorup glinianych, świadczących, że w głębi kryją się potężne zwaliska murów. Schliemanna przeszedł dreszcz niewymownego szczęścia, był bowiem już pewny, że znajduje się na miejscu „świętego Ilionu", przesiąkniętego krwią i potem trojańskich i greckich herojów.

Zresztą starożytni historycy wspominali, że na tym miejscu wznosiło się w historycznych czasach greckie, a potem rzymskie miasto Novum Ilium, które według tradycji miało stać na ruinach Troi. Herodot wspomina, iż władca perski Kserkses zatrzymał się w tym mieście, by spojrzeć na ruiny Priama i złożyć w ofierze Minerwie Ilińskiej tysiąc sztuk bydła. „W relacji Ksenofonta z tych samych powodów odwiedził *Novum Ilium* wódz lacedemoński Mindaros, historyk zaś grecki z II wieku n.e. Arrianos pisze, iż Aleksander Macedoński po złożeniu ofiary wykopał z ruin starożytny miecz i kazał go nosić swojej straży przybocznej, sądząc, iż przyniesie mu on szczęście w wyprawie przeciwko Persom. Cezar otaczał miasto specjalną opieką i wspierał je finansowo, uważając siebie za bezpośredniego potomka Trojańczyków.

Jedyna rzecz, jaka niepokoiła Schliemanna, to brak wspomnianych dwóch źródeł w najbliższej okolicy Hissarlik. Ale i ta

wątpliwość został niebawem rozwiana. Od okolicznych chłopów dowiedział się bowiem, że co pewien czas wytryskują tam gorące źródła i po krótkim swoim żywocie wysychają, by ukazać się znowu w innym miejscu. W czasie jednak przeprowadzania przez niego w Hissarlik badań nie trysnęło ani jedno z tych źródeł.

W roku 1871 Schliemann najął ośmiu robotników i przystąpił do systematycznych prac wykopaliskowych. Według Homera na najwyższym miejscu miasta miała wznosić się świątynia Ateny, z czego wolno było wnioskować, że powinna ona kryć się w samym środku wzgórza. Schliemann kazał wykopać tam długi rów głęboki na dziesięć metrów. W trakcie przeprowadzania tych robót łopaty wyrzucały na powierzchnię odłamki oręża, wazy i inne przedmioty codziennego użytku – oczywisty dowód, że istniało tam kiedyś bogate i ludne miasto.

Zimą zatrzymano roboty, ale już wiosną następnego roku Schliemann powrócił tam z żoną, wybudował drewniane baraki na mieszkania i magazyny, przyjął stu robotników i ponownie przystąpił do poszukiwań.

Od świtu do zmierzchu pracował wraz z żoną przy wykopie, a w nocy, w nikłym świetle latarni, przeglądał, oczyszczał i systematyzował wydobyte z ziemi przedmioty. W porównaniu z pracą, jaka została włożona, były to okazy małej wartości, toteż trzeba było nie lada uporu i cierpliwości, by nie poddać się zniechęceniu.

W dodatku dokuczał im niezdrowy klimat. Lato było upalne, pełne wilgotnych oparów. Najrozmaitsze robactwo, a szczególnie moskity, nie dawały im spać po nocach. Schliemann rozchorował się na malarię, po wyzdrowieniu zaś osłabiony chorobą długo nie mógł odzyskać dawnych sił. Zimą znów wiały z północy lodowate wichry, wdzierały się do baraku przez nieszczelne ściany, uniemożliwiając zapalenie latarek. W takich warunkach, choć intensywnie palono w piecu, temperatura spadała nieraz do 9 stopni poniżej zera.

W roku 1873, a więc w trzecim roku poszukiwań, wzgórze Hissarlik było już wszerz i wzdłuż poprzecinane głębokimi rowami. Usunięto w tym czasie kilkanaście ton ziemi i gruzu. W miarę posuwania się w głąb Schliemann odkrywał coraz to inne ruiny.

Były to szczątki dawnych miast i osiedli, spiętrzone na sobie kilkoma poziomami. Miasta te pochodziły z różnych epok; po krótkich okresach swojej świetności ulegały bądź to klęsce pożaru, bądź to różnym najazdom. W górnej warstwie leżało *Novum Ilium*, na samym zaś dnie ubożuchna osada z epoki gładzonego kamienia.

W wykopie Schliemann rozpoznał siedem leżących na sobie osiedli ludzkich. Które z nich było Troją Homera? Przy ówczesnym stanie archeologii trudny to był problem do rozwiązania. Dla dzisiejszego archeologa drogowskazem czasu są skorupy ceramiczne. Różne bowiem ludy posługiwały się przy ozdabianiu naczyń glinianych własnym stylem i tematyką, przy czym sztuka ta w miarę upływu wieków przechodziła wszystkie fazy doskonalenia – od najprymitywniejszych, niezdarnych jeszcze prób, aż do najwyższej doskonałości techniki ceramicznej.

Jeżeli pewien określony typ naczyń glinianych występuje w wielu osiedlach w tej samej warstwie kulturowej, a nie ma go w niższych lub w wyższych warstwach – wtedy z całą pewnością wolno twierdzić, że ów typ naczyń, jak też i warstwa kulturowa należą do tej samej epoki.

W jaki jednakże sposób można ustalić daty poszczególnych typów naczyń? Istnieje na to mnóstwo sposobów, lecz nie będziemy się nad tym zagadnieniem szerzej rozwodzić. Są to bowiem zbyt specjalistyczne metody pracy archeologów. Dla ilustracji przytoczymy tylko, że w mykeńskiej warowni Tiryns ustalono datę pewnej warstwy kulturowej jedynie dzięki temu, że znaleziono tam naczynia tego samego stylu, jakie odkryto w grobowcu faraona egipskiego Totmesa III z 1600 roku p.n.e.

Schliemann oczywiście nie znał takiej metody poszukiwań. Ornamentyka skorup glinianych niczego mu nie mówiła, toteż nawet w przybliżeniu nie umiał rozeznać się w chronologii siedmiu nawarstwień trojańskich. Przypuszczał jedynie tylko, że górne warstwy powinny być młodsze od niższych i że wobec powyższego Troja Homera powinna znajdować się na najniższym poziomie. Wprawdzie podziwiał masywność murów wyższych warstw, doszedł jednak do przekonania, iż mogą one pochodzić co najwyżej z trzeciego wieku p.n.e., a więc z okresu panowania na tych

terenach spadkobiercy Aleksandra Macedońskiego, jednego z jego wodzów – Lizymacha.

Opierając się na tego rodzaju rozumowaniu, doszedł do przekonania, że poszukiwaną Troją Homera jest trzecie od dołu osiedle. Utwierdziły go w tym jeszcze okopcone ruiny, świadczące wyraźnie o gwałtownym pożarze, jaki strawił miasto. Ale osiedle to w żadnym wypadku nie przypominało wspaniałego Ilionu, opisanego przez Homera. Okopcony zameczek był bardzo skromną budowlą, podczas gdy rezydencja króla Priama liczyła – jak podaje Homer – 62 sale i komnaty. Słabe mury warowne, nędzne domy i prymitywna ceramika świadczyły o niskim rozwoju kulturalnym mieszkańców.

I tutaj Schliemann po raz pierwszy nie zaufał Homerowi. Dotychczas wierzył w jego prawdomówność, teraz jednak pod wpływem swojej koncepcji posądził Homera o poetycką przesadę w opisywaniu zamku i warowni trojańskiej.

Wprawdzie chwilami budziły się w nim wątpliwości, nie skłoniło go to jednak do poniechania raz powziętej tezy.

„To nędzne miasteczko – pisze o trzecim od dołu osiedlu – które liczyło co najwyżej trzy tysiące mieszkańców, czyż można je utożsamiać z wielkim Ilionem okrytym nieśmiertelną sławą, z miastem, które przez dziesięć lat opierało się bohaterskim wysiłkom 110-tysięcznej armii greckiej?”.

Trudno pojąć, dlaczego Schliemann, którego dotychczas nie zawodził instynkt i zdolność bystrego wnioskowania, w tym wypadku trzymał się kurczowo tezy opartej na więcej niż kruchych przesłankach. Podał niebawem do publicznej wiadomości, że odkrył pałac króla Priama. Wiadomość ta narobiła dużo szumu w całej Europie. Uczeni jednak zaatakowali go bardzo ostro, zarzucali mu nieuctwo i pogoń za sensacją, kpili z niego jako z odkrywcy miasta, o którego istnieniu nic nie mówi historia.

Napastliwa krytyka zniechęciła Schliemanna. Postanowił przerwać dalsze prace wykopaliskowe. Ogłosił więc następujący komunikat:

„Kopaliśmy tu przez trzy lata z 150 robotnikami, usunęliśmy 250 tysięcy metrów sześciennych gruzu i wydobyliśmy z ruin Ilionu piękną kolekcję bardzo ciekawych zabytków artystycznych. Teraz

jednak jesteśmy znużeni, a ponieważ osiągnęliśmy nasz cel i urzeczywistniliśmy ideał naszego życia, zaniechamy dalszych poszukiwań w Troi z dniem 15 czerwca br.”.

Czternastego czerwca 1873 roku, a więc w przededniu opuszczenia stanowiska na wzgórzu Hissarlik, Schliemann wraz z żoną stał już od piątej rano wewnątrz dużego wykopu, przyglądając się pracy robotników. Jedną ścianę tworzył mur budynku, którą Schliemann nazwał pałacem Priama. Naraz ze zdumieniem utkwił wzrok w pewnym punkcie, gdzie spośród zgliszcz i piasku wyzierał jakiś przedmiot ze złota, rzucając żywe ognie w ukośnych promieniach porannego słońca.

Szybko zwrócił się do żony i półgłosem, aby nie usłyszeli go robotnicy znajdujący się w pobliżu, zakomenderował:

– Ruszaj do robotników i zarządź *paidos*! (*Paidos* znaczy po grecku odpoczynek po pracy).

– Teraz, o siódmej rano? – zapytała zaskoczona tym Zofia.

– Tak, natychmiast… Powiedz im, co chcesz… już wiem, wytłumacz im, że mam dziś imieniny, że zapomniałem o tym, a teraz daję im wolny dzień z pełną zapłatą. Przynieś również swój czerwony szal.

Zofia nie zadawała więcej pytań. Wykonała skrupulatnie dane jej polecenie. Gdy wróciła, Schliemann klęczał w wykopie i drżącą ręką wygrzebywał coś scyzorykiem z ziemi, nie zwracając zupełnie uwagi na zwisający nad jego głową mur, który w każdej chwili mógł się na niego zawalić. Zofia rozłożyła szal na ziemi, Schliemann zaś zaczął wydobywać odgrzebane złote i srebrne kosztowności. Było ich tak wiele, że ledwie pomieściły się w szalu. Udali się po kryjomu do baraku i zaryglowawszy drzwi, rozłożyli cudowne skarby z głębokim wzruszeniem na stole, biorąc sztukę po sztuce do ręki z delikatną, czułą ostrożnością.

Szczególny podziw wzbudziły dwa złote diademy; jednym z nich był delikatnie kuty łańcuch skroniowy, z którego zwisało trzydzieści mniejszych łańcuszków o ogniwach w kształcie serduszek; drugi miał jako ozdobę podobne wisiorki, lecz opaskę tworzyła gruba wstęga z litego złota.

Po posegregowaniu klejnotów okazało się, że wydobyty skarb składa się ponadto z: 24 naszyjników, 6 bransolet, 8700 pierścieni, 60 kolczyków, 4066 brosz, z puchara złotego ważącego 600 gramów, złotej butli, kilku waz ze srebra i z miedzi oraz broni wykonanej z brązu.

Schliemann był święcie przekonany, że odnalazł skarb króla Priama, a może nawet biżuterię samej Heleny, porwanej przez Parysa.

„Ponieważ – pisze w pamiętniku – znalazłem te przedmioty obok siebie pod murem budowli, poświęconej, jak twierdzi Homer, Neptunowi czy też Apollonowi, wydaje się pewne, iż leżały one pierwotnie w drewnianej skrzyni, o której Homer mówi w *Iliadzie*, że znajdowała się w pałacu Priama".

W wyobraźni odtworzył sobie przebieg dramatycznych wydarzeń, dzięki którym zachował się skarb. Oto drużyny Agamemnona wtargnęły do Troi. Domownicy Priama zapakowali w wielkim pośpiechu królewski skarb do skrzyni z zamiarem zakopania go pod murem pałacu. Ale w drodze zabito ich. Porzuconą skrzynię, zanim zdążył ją zauważyć nieprzyjaciel, zawaliły zgliszcza i gruzy walących się murów. Tak oto skrzynia wprawdzie zbutwiała, ale skarb zachował się w całości. Odnalazł go dopiero w XIX wieku entuzjasta Homera, przybyły z dalekiej Północy.

W chwili odnalezienia skarbu Schliemann miał 52 lata. Radował się jednak jak dziecko, szczęśliwy, że spełniły się marzenia jego młodości. Brał po kolei każdy klejnocik do ręki, cieszył się nim i oglądał przez lupę. Nagle wzrok jego padł na żonę, na jej piękne, typowo greckie rysy. Z miną uroczystą nałożył na jej głowę diadem, potem ubrał ją w naszyjnik, kolczyki, brosze i pierścienie, rozsiadł się następnie w krześle i napawał niezwykłym widokiem. Wyobrażał sobie, że stoi przed nim Helena w królewskim przepychu klejnotów, z chmurą kruczych włosów naokoło delikatnej, pełnej uroku twarzyczki.

Długo wahał się, co ma dalej czynić. Otrzymawszy pozwolenie od władz tureckich na prowadzenie poszukiwań archeologicznych, zobowiązał się oddać rządowi tureckiemu wszystkie wykopaliska, jakie znalazłby w Hissarlik. Ale obecnie, gdy miał w ręku owe

wspaniałe skarby, wydawało mu się to niepodobieństwem. Obawiał się, że chciwy sułtan nie okaże należytego pietyzmu dla tych nieocenionych arcydzieł przedhistorycznej sztuki złotniczej, że nawet, kto wie, może zechce je przetopić w tyglu.

Toteż pewnej nocy wywiózł je potajemnie do Grecji, gdzie dał na przechowanie różnym krewnym i powinowatym żony. Wiadomość o wielkim odkryciu wywołała w świecie niebywałą sensację. Spór o Troję rozgorzał na nowo, ale tym razem nazwisko Schliemanna wymawiano już z szacunkiem, bez akcentu pobłażliwej kpiny, z jaką dotąd do niego się odnoszono. Gromy padały nań jedynie ze strony rządu tureckiego, który napiętnował go publicznie jako pospolitego przemytnika.

ZŁOTE OBLICZE AGAMEMNONA

WÓDZ WYPRAWY TROJAŃSKIEJ, „król królów” Agamemnon, był synem Atreusza, króla Myken. Był to ród przeklęty przez bogów za popełnione zbrodnie.

Zbrodni tej dokonał ojciec Agamemnona, Atreusz, mszcząc się w ohydny sposób na swoim rodzonym bracie Tiestesie za to, że jakoby uwiódł mu żonę. Pewnego dnia zaprosił go na biesiadę i poczęstował pieczenia. Tuż po uczcie zawiadomił go, że mięso, które spożył, było ciałem dwóch jego zamordowanych synów.

Z okrutnej rzezi ocalał trzeci syn Tiestesa, Ajgistos. Chłopiec poprzysiągł zemstę całemu rodowi Atreusza. Agamemnon nie domyślał się, co się działo w duszy kuzyna, i wyruszając pod Troję na czele zjednoczonych drużyn greckich, pozostawił go w Mykenach ze swoją żoną Klitajmestrą.

Z trzeciej pieśni *Odysei* dowiadujemy się, co się stało w czasie jego nieobecności:

> Kiedy my staliśmy pod Troją i walczyli, on w głębi Argos koniorodnego spokojnie sobie uwodził Agamemnonową żonę. Z początku wzbraniała się przed sromotą boska Klitajmestra, bo duszę miała zacną, a był przy niej pieśniarz, któremu Atryda idąc na Troję, usilnie zalecił czuwać nad żoną. Ale gdy wola boża zmusiła ją ulec, wtedy tego aojda wysłała na wyspę bezludną i zostawiła ptakom na łup i żer. I już swej woli powolną wprowadził do swego domu.
>
> (przekład Jan Parandowski)

Występna para, obawiając się skutków wiarołomstwa, szykowała Agamemnonowi zgubę, gdy tylko powróci spod Troi. W jaki sposób

zamiar swój urzeczywistniła, opowiada nam Homer przez usta króla Sparty Menelaosa w czwartej pieśni *Odysei:*

> Jakoż bogowie odwrócili wiatr i wnet przybył do domu z drużyną. Zaiste, radośnie wyskoczył na ziemię ojczystą, dotykał jej, całował. Rzęsiste, gorące łzy się polały z radości na widok ojczyzny. A z czatowni dostrzegł go czatownik, którego zasadził podstępny Ajgistos, obiecując mu w nagrodę dwa talenty złota. Czuwał on przez cały rok, by Agamemnon nie minął go niepostrzeżenie i nie pomyślał o zbrojnym oporze. Zaraz więc zaniósł wieść na zamek pasterza wojów. Ajgistos zaś w lot obmyślił podstęp: wybrał spośród ludu dwudziestu najtęższych chłopów i ukrył ich w zasadzce, a w drugiej części domu kazał przyrządzić ucztę. Po czym z końmi i wozami pognał zaprosić Agamemnona, zdrajca. I niewiedzącego, co mu grozi, zabił podczas uczty, jakby kto zabił wołu nad żłobem. I nie został ani jeden z towarzyszy Atrydy, którzy z nim przyszli, ani jeden z ludzi Ajgistosa – wszyscy w tym domu zginęli.
>
> (przekład Jan Parandowski)

W tragedii Ajschylosa *Agamemnon* główną sprawczynią mordu jest Klitajmestra. Powoduje nią nie tylko obawa kary za zdradę, lecz w większym jeszcze stopniu demon nienawiści i zemsty. Nie mogła bowiem Agamemnonowi przebaczyć, iż wyruszając pod Troję, ofiarował na obiatę ich córkę Ifigenię, by od bogów wybłagać przychylne wiatry na morzu, z tragedii dowiadujemy się ponadto, że wraz z Agamemnonem zginęła w Mykenach jego branka Kasandra, córka króla Priama. Była to wieszczka nawiedzana przez duchy, która przepowiedziała zagładę Troi.

Oto monolog Klitajmestry tuż po dokonaniu zbrodni:

> Tu stoję, gdziem zadała cios! Spóźnione dzieło.
> A jakem go zgładziła, powiem – i niczego nie zaprę się.
> Szeroki, długi płaszcz, zatratę
> pysznie tkaną, jak wielką sieć na jego ciało
> Zarzucam, że ni uciec, ni odeprzeć ciosu
> nie zdoła. I uderzam go dwakroć… Dwa razy
> krzyknął – i był bez siły. A gdy legł, uderzam
> trzeci raz – dar dziękczynny dla onego Zeusa
> podziemnego, co w zmarłych panuje krainie…
> Padł i ducha przez usta otwarte
> wyrzygnął z krwi strumieniem. Bryznął krew świeżą
> z taką mocą, że zrosiła mnie deszczem.

(przekład Stefan Srebrny)

W osiem lat później przybył do Myken syn Agamemnona Orestes i pomścił śmierć ojca. Zabił nie tylko Ajgistosa, lecz również swoją matkę. Przez długi czas matkobójcę ścigają erynie, trzy potworne siostry, uosobienie srogich i nieustępliwych wyrzutów sumienia, aż wreszcie po długich udrękach uzyskuje przebaczenie areopagu ateńskiego i wstępuje na skrwawiony tron Atrydów.

W przeciwieństwie do Troi ruiny Myken nie zostały zrównane z ziemią. W Argolidzie, w północno-wschodnim zakątku Peloponezu, do dziś dnia można oglądać posępne mury agamemnonowej warowni, wzniesionej na stromej skale. Składają się one z olbrzymich bloków, ściśle do siebie dopasowanych, lecz niezłączonych zaprawą. Do warowni prowadzi słynna Lwia Brama, przez którą przechodził ongiś powracając spod Troi Agamemnon. Na jej wierzchu wznoszą się dwa lwy wykute z monolitu z odtrąconymi od niepamiętnych czasów głowami. W ruinach znajduje się jeszcze starodawna podziemna cysterna, dotąd zaopatrywana w wodę ze źródła Perseusza za pomocą terakotowego rurociągu.

Poza obrębem murów na stokach okolicznych wzgórz wznosi się siedem monumentalnych grobowców kopulastych, tak zwanych tolosów. Każdy z nich zbudowany jest w kształcie ula. Są to monumentalne budowle świadczące o potędze władców mykeńskich i wysokim poziomie ówczesnego budownictwa. Splądrowano je już w zamierzchłych czasach.

Najokazalszym zabytkiem jest tak zwany grób Agamemnona wsławiony przez Słowackiego w jego poemacie pod tym tytułem. Do mrocznego wnętrza wchodzi się przez bramę, wysoką na pięć metrów, zbudowaną z bloków kamiennych ważących każdy kilkadziesiąt ton. Gdy stanąć w środku budowli, cały gmach robi wrażenie ogromnego ula zbudowanego z trzydziestu trzech kamiennych pierścieni, stopniowo zwężających się ku górze i zamkniętych u szczytu jednym półkolistym blokiem. Symetrycznie rozmieszczone otwory świadczą, że ściany były kiedyś ozdobione rozetami z brązu. Z tej ogromnej hali, przypominającej rzymski

Panteon, prowadzi korytarz do komnaty wykutej w skale, gdzie prawdopodobnie spoczywały zwłoki zmarłego króla.

Mity greckie o tragicznym rodzie Atrydów, rozsławione przez Homera i Ajschylosa, oraz surowa prostota ruin sprawiły, że Mykeny w dawnych czasach były celem wędrówek wielu greckich i rzymskich podróżników. W ich mniemaniu nie mogli tych murów zbudować zwykli ludzie i dlatego wierzyli, że były one dziełem nadludzkiego wysiłku olbrzymów – cyklopów. Około roku 170 n.e. zwiedził Mykeny grecki pisarz i podróżnik Pauzaniasz. Opisał on swoje wrażenia w następujący sposób:

> Części murów jeszcze się zachowały, jak również brama, na której stoją lwy. W ruinach Myken znajduje się źródło Perseusza i podziemna budowla Atreusza; ponadto groby tych, których Ajgistos pomordował przy uczcie, gdy wrócili spod Troi. Jest tam grób Agamemnona, woźnicy rydwanu Eurymedona, Teledamosa i Pelopsa. Mówią też, że Kasandra urodziła Agamemnonowi bliźniaki i że również te małe dzieci Ajgistos uśmiercił razem z rodzicami. Klitajmestrę i Ajgistosa pochowano za obrębem muru, ponieważ nie poczytywano ich za godnych spoczywania wewnątrz muru, gdzie leżał Agamemnon i ci, którzy z nim razem zginęli.

Przytoczony tekst odegrał osobliwą rolę w poszukiwaniach wykopaliskowych XIX wieku. Różni archeolodzy, opierając się na jego informacji, rozpoczynali w Mykenach dorywcze prace wykopaliskowe, za każdym razem jednak porzucali je, nie osiągnąwszy celu.

Przyczyną ich niepowodzenia był swoisty sposób, w jaki interpretowano relację Pauzaniasza. Choć grecki podróżnik niedwuznacznie podawał, że Agamemnona wraz z towarzyszami pochowano wewnątrz murów, powszechnie mniemano, że nie miał on na myśli potężnych murów właściwej warowni. Trzeba wyjaśnić, że Mykeny, jak wskazywały na to wykopaliska, otaczał jeszcze drugi, znacznie słabszy mur, obejmujący rozleglejszy obszar, na którym znajdowały się wspomniane już grobowce ulowe. Ogół archeologów uważał, że Pauzaniasz te właśnie groby widział i opisał.

Dwie inne jeszcze okoliczności wpłynęły na taki sąd. Dziedziniec właściwej warowni obejmował bardzo małą przestrzeń, trudno więc

było uwierzyć, aby mógł on mieścić cmentarzysko. Poza tym przekonano się za pomocą próbnych wierceń, że podłoże jego, przywalone zresztą ogromną stertą gruzu, jest twardą skałą, nienadającą się na chowanie zmarłych.

Po wielkich sukcesach odniesionych na wzgórzu Hissarlik Schliemann bynajmniej nie zamierzał spocząć na laurach. Poszukując nowych obiektów archeologicznych, przypomniał sobie, że Homer, ilekroć wymienia Mykeny, używa takich przymiotników, jak „bogate w złoto", „złote" lub „zamożne". Z pewnością siebie, która, podobnie jak w wypadku Troi, była pozornie naiwna, wywnioskował, że w Mykenach powinno znajdować się mnóstwo cennych wyrobów ze złota.

W rozumowaniu swoim odrzucił przede wszystkim założenie poprzedników, uważając je za całkowicie błędne. Na ich argumenty znalazł odpowiedź, zadziwiająco prostą, tak prostą, że dziwić się tylko trzeba, dlaczego nie zdobyli się na nią archeolodzy, znający dobrze położenie warowni mykeńskiej.

Rozważając relację Pauzaniasza, Schliemann doszedł do wniosku, że miał on na myśli mur cyklopowy właściwej warowni; podkreślał przecież wyraźnie, że znajdowała się w nim brama z lwami, prowadząca na dziedziniec. Jeśli zaś chodzi o zewnętrzny mur, to w żadnym wypadku podróżnik grecki nie mógł go widzieć, gdyż mur ten uległ zburzeniu podczas najazdu Argiwów w roku 468 p.n.e., a więc na 638 lat przed jego przybyciem do Myken. Stąd jedyny wniosek, że Pauzaniasz opisywał w swoim sprawozdaniu groby na dziedzińcu warowni, a nie – jak to sądzili poprzedni archeolodzy – wielkie grobowce ulowe, zbudowane na stokach okolicznych gór.

Czy było rzeczą do pomyślenia, by na niewielkim dziedzińcu, który był zarazem agorą, to znaczy miejscem zgromadzeń publicznych, założono cmentarzysko? Schliemann odpowiedź na to pytanie znalazł znów u Pauzaniasza. W innym miejscu swoich wspomnień pisał on:

> Tutaj zbudowali plac zgromadzeń w ten sposób, że groby bohaterów znajdowały się w jego środku.

Świadczyło to, że u dawnych Greków istniał zwyczaj chowania wybitnych ludzi na placach publicznych.

Aby podjąć prace archeologiczne, Schliemann musiał uzyskać koncesję od Greckiego Towarzystwa Archeologicznego w Atenach. Ale Grecy, pamiętając głośną aferę ze skarbami trojańskimi, nie ufali mu. Pertraktacje wlokły się przez z górą dwa lata i prawdopodobnie skończyłyby się na niczym, gdyby nie to, że Schliemann przyrzekł ograniczyć się w pracach wykopaliskowych do samego dziedzińca warowni. Władze towarzystwa udzieliły mu w końcu koncesji tylko dlatego, że w ich przeświadczeniu dziedziniec nie przedstawiał żadnej wartości archeologicznej, gdzie prócz skorup i głazów niczego nie było można znaleźć. Zażądano jednak, aby wydał wykopaliska trojańskie z wyjątkiem kilku drobniejszych przedmiotów, jakie wolno mu było zatrzymać na okres dożywocia. Ponadto przydzielono mu na wszelki wypadek stałego kontrolera w osobie greckiego archeologa Stamatokisa.

Schliemann przybył do Myken wraz z żoną 7 sierpnia 1876 roku. Dopiero na miejscu zdał sobie sprawę z ogromu zamierzenia. Dziedziniec zawalony był wysoką stertą co najmniej kilku tysięcy ton gruzu. Najął więc z okolicznych wsi 125 robotników i zabrał się raźno do usuwania przeszkody. Prace rozpoczęto w odległości kilku metrów od Lwiej Bramy. Jedni robotnicy rozluźniali kamienie kilofami, inni ładowali je do taczek i wywozili poza dziedziniec. Raz po raz Schliemann wydobywał z gruzów rozmaite znaleziska: fragmenty fryzów, malowane wazy, terakotowe posążki, kamienne formy do odlewania biżuterii, paciorki i gemmy.

W ciągu czterech miesięcy wykopano ogromny dół. Gdy zbliżono się do właściwego poziomu dziedzińca, Schliemann dokonał pierwszego odkrycia, które bardzo go podnieciło. Znalazł bowiem na skalistym gruncie ustawione w szerokie koło wielkie płyty kamienne, pośrodku zaś okrągły ołtarz z wyżłobioną na wierzchu misą i przewierconym kanalikiem, którym spływała krew zwierząt ofiarnych. Płyty według wszelkiego prawdopodobieństwa były stelami grobowymi. Na niektórych z nich można było jeszcze rozpoznać niezupełnie zatarte płaskorzeźby, wyobrażające wojowników na rydwanach i rozmaite sceny myśliwskie.

Schliemann był prawie już pewny sukcesu. Postacie na stelach żywo przypominały bohaterów homerowego eposu. Największe jednak wrażenie zrobił na nim ołtarz z kanalikiem. W starożytności istniał zwyczaj zarzynania na grobach zmarłych bohaterów zwierząt ofiarnych, tak by krew zabitego zwierzęcia spływała do grobu, toteż obecność ołtarza na agorze mykeńskiej świadczyła, że gdzieś w pobliżu powinny znajdować się poszukiwane groby.

Na potwierdzenie swojej tezy nie czekał zbyt długo. Gdy w jednym miejscu odgarnięto ostatnią warstwę gruzu, oczom jego ukazał się czworokątny szyb wykuty w skalistym gruncie i wypełniony po brzegi ziemią. Schliemann wstrzymał natychmiast prace robotników. Ponieważ sam był za tęgi, odgrzebaniem grobu zajęła się jego żona, Zofia. Małą łopatką i nożem wydobywała z największą ostrożnością ziemię z szybu, przesiewając każde ziarenko przez palce. Mniej więcej na głębokości pięciu metrów znalazła pierwszy przedmiot zwiastujący wielkie odkrycie – złoty sygnet.

To, co zastano na dnie szybu, przeszło najśmielsze nawet oczekiwania. Spoczywało tam trzech wojowników greckich w olśniewającym przepychu swego dostojeństwa. Głowy ich kryły maski pośmiertne wytłaczane ze złotej blachy. Przedstawiały one w sposób realistyczny srogie twarze brodatych mężczyzn. Piersi ich pokrywały złote pancerze, bogato przyozdobione ornamentem. Z boku leżało mnóstwo broni: sztylety, miecze i tarcze.

Po zdjęciu masek czaszki dwóch zmarłych natychmiast rozsypały się w proch, za to trzecia czaszka zachowała się w stanie zupełnie dobrym. Widniały na niej jeszcze ślady skóry, a zdrowe zęby w rozwartych ustach świadczyły, że zmarły był mężczyzną w wieku około 35 lat.

Schliemanna ogarnęła wielka radość, był bowiem pewny, że odkrył zwłoki Agamemnona i jego najbliższych towarzyszy broni. Ze łzami w oczach uklęknął na ziemi i złożył na masce uroczysty pocałunek. Wysłał następnie do króla greckiego telegram tej treści: „Spojrzałem w oblicze Agamemnona!”.

W wyniku dalszych poszukiwań odkryto razem pięć grobów. Leżało tam dziewięciu mężczyzn, osiem kobiet i dwoje małych

dzieci. Wszyscy mężczyźni mieli złote maski i pancerze, poza tym znaleziono obok nich dużą liczbę broni, złote i srebrne puchary oraz wiele innych przedmiotów użytkowych. Większość kobiet miała złote diademy w kształcie wstęgi opasującej głowę, ozdobionej ornamentem spiralnym i rozetkami. Obok ich zwłok stały złote i srebrne skrzyneczki toaletowe, pełne biżuterii. Ciała były zasypane setkami blaszek ze złota z wyrytymi pszczołami, rybami, rozetkami i spiralami. Blaszki te ozdabiały kiedyś szaty, po których oczywiście nie pozostało śladu.

Znalezione przedmioty są świadectwem wysokiej kultury dojrzałej już cywilizacji mykeńskiej. Na szczególną uwagę zasługuje przede wszystkim oręż wojenny. Miecze, sztylety i tarcze z brązu ozdobione są złotą i srebrną inkrustacją, wyobrażającą najróżniejsze sceny figuralne. Na jednym ze sztyletów wygrawerowano lwa, ściganego przez grupę myśliwych z dużymi tarczami, osłaniającymi całe ich postacie. Na innym znowu, pochodzącym z Egiptu, nieznany rytownik wyżłobił Nil z kotami przekradającymi się przez zagajnik papirusów, nad którymi trzepocą dzikie kaczki. Na klindze brązowego miecza galopuje stado koni, oddanych z zadziwiająco trafnym wyczuciem kształtu i ruchu.

Oprócz pucharów, bransolet, szpil do spinania szat i diademów Schliemann znalazł tam jeszcze mnóstwo pierścieni i sygnetów z jaspisu, ametystu, agatu i innych kolorowych kamieni. Dzięki tym wykopaliskom wiemy dziś, jak ubierały się kobiety ówczesnej Grecji. Na sygnetach przedstawione są wklęsłe wizerunki modniś z trefionymi fryzurami, z obnażonymi biustami i spódnicami w kształcie krynolin. Rytowane postacie są tak drobne, że nie można ich rozpoznać bez szkła powiększającego, a jednak ówcześni miniaturzyści wykonali je z nieomylną, szczegółową dokładnością, budzącą szczery zachwyt.

Szereg zbieżności, jakie niełatwo było złożyć jedynie tylko na karb przypadku, utwierdził Schliemanna w przekonaniu, iż odnalezione zwłoki są zwłokami Agamemnona i jego bliskich, świadczył przede wszystkim za tym fakt, iż na dziedzińcu mykeńskim znajdowało się pięć grobów, tyle właśnie, ile wymienia Pauzaniasz.

Najbardziej zaś przekonywającym argumentem był grób dzieci Kasandry. Jak wiemy z przytoczonego tekstu Pauzaniasza, ofiarą rzezi padły także jej bliźniaki, które urodziła Agamemnonowi. I oto nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności w jednym z grobów spoczywało dwoje małych dzieci, zawiniętych w złote blachy. Mało tego – identyczny kształt grobów, ich bliskie położenie, a także jednakowy styl ozdób na biżuterii i orężu – wszystko to przekonało Schliemanna, że odbył się kiedyś w Mykenach pogrzeb gromadny, podczas którego pochowano jednocześnie dziewiętnaście ofiar krwawej zasadzki Ajgistosa i Klitajmestry.

Niewiarogodne szczęście Schliemanna, który już po raz drugi, kierując się jedynie instynktem, dokonał niebywałego odkrycia, wywołało na świecie wielkie poruszenie. Z początku nikt nie śmiał zakwestionować jego tezy, zwłaszcza że skarby na pierwszy rzut oka wykazywały istotnie uderzające cechy powinowactwa ze światem opisanym przez Homera.

Jakież były to podobieństwa? Uczonych zastanawiał np. fakt, że wojownicy Homera posługiwali się dużymi tarczami, podczas gdy Grecy historyczni używali wyłącznie tarcz krótkich. A oto na klingach sztyletów i na sygnetach mykeńskich myśliwi i wojownicy uzbrojeni byli właśnie w takie duże tarcze. To mogło jedynie świadczyć, że znaleziska pochodzą z epoki, w której żył Agamemnon, Odyseusz i Menelaos.

Ożywioną dyskusję wywołał również pewien puchar znaleziony w jednym z grobów mykeńskich. Wspierał się on na nóżce, po obu zaś bokach miał duże uchwyty, a na złotej, lśniącej blasze kielicha wyryte były dwa gołębie, skierowane do siebie dziobami. Z podobnego pucharu, jak opisuje Homer, pili, racząc się winem Nestor i Menelaos.

Najbardziej jednak uderzającą była trzecia analogia. W dziesiątej pieśni *Iliady* Homer wymienia osobliwy hełm, ozdobiony kłami dzika, niespotykanymi nigdzie w historycznej Grecji. Toteż można wyobrazić sobie radość Schliemanna, kiedy w jednym z grobów znalazł 60 luźnych kłów dzików, z jednej strony spiłowanych na płask, co świadczyło o tym, że były one kiedyś ozdobą bodajże czy nie hełmów pochowanych tam wojowników.

W latach 1876 i 1884 Schliemann przeprowadził z kolei poszukiwania w Tirynsie. Była to inna grecka warownia, leżąca na południowy wschód od Myken, niedaleko miasta Argos. Jej potężne mury, zbudowane z nieciosanych głazów, starożytni zaliczali do cudów świata, a Pauzaniasz stawiał na równi z piramidami Egiptu.

Schliemann nie znalazł tam wprawdzie żadnych skarbów, ale za to po usunięciu setek ton gruzu odsłonił zdumiewająco przemyślne urządzenia obronne, złożone z ramp, pułapek i tajemnych korytarzy, ukrytych w grubych murach. Jednym z cenniejszych odkryć dokonanych w Tirynsie było odkopanie ruin pałacu, podobnego do pałacu Odyseusza. Jego główną część stanowił tak zwany megaron, czyli sala kolumnowa, gdzie dokoła otwartego ogniska skupiali się co znamienitsi mężowie greccy. Megaron w Tirynsie był oparty na czterech kolumnach, a ściany jego zdobiły kolorowe malowidła, przedstawiające sceny z polowań i wojny. Światło dzienne dochodziło tam tylko przez drzwi, a dym ogniska uchodził przez otwór w pułapie. W megaronie panował przeto wieczny półmrok, co tłumaczy nam, dlaczego Homer nazywa go „cienistym". Znalezione w ruinach wazy i posążki terakotowe świadczą, że Tiryns należał do tej samej wspólnoty kulturowej, co Mykeny i inne miejscowości Peloponezu.

Dzięki bajecznym odkryciom w Troi i w samej Grecji Schliemann stał się człowiekiem sławnym. Największego jednak zaszczytu dostąpił w roku 1877, kiedy trzydzieści towarzystw naukowych zaprosiło go do Anglii. Jeździł więc od miasta do miasta z odczytami, rozrywany przez publiczność, obsypywany wyróżnieniami w postaci dyplomów i medali pamiątkowych. Towarzyszyła mu w tej triumfalnej podróży Zofia, budząc wielkie zainteresowanie swoją klasyczną urodą, pełnym godności sposobem bycia i rzetelną znajomością archeologicznych odkryć swego męża.

Minęło od tego czasu trzynaście lat. W roku 1890, po jednym ze swoich licznych pobytów w Anglii, Schliemann wracał do Aten, gdzie wybudował sobie dom i osiadł na stałe z rodziną. Po drodze zachorował na bolesne zapalenie ucha, ale wbrew radom lekarzy nie przerywał podróży, pragnął bowiem zdążyć do domu na święta Bożego Narodzenia.

W samą Wigilię stracił przytomność i upadł na jednym z placów Neapolu. Litościwi przechodnie zanieśli nieznanego im człowieka do najbliższego szpitala. Ponieważ jednak Schliemann był swoim zwyczajem bardzo ubogo ubrany, kierownictwo szpitala odmówiło jego przyjęcia, uważając chorego za biedaka, który nie będzie mógł pokryć kosztów leczenia.

Przeniesiono go do pobliskiego komisariatu policji. Tam znaleziono w jego kieszeni adres miejscowego lekarza, u którego się leczył. Przywołany doktor kazał natychmiast sprowadzić dorożkę, by nieprzytomnego odwieźć do hotelu. Jeden z policjantów zatroszczył się o to, kto pokryje koszty tego przewiezienia, na co lekarz odpowiedział:

– Ależ to bardzo bogaty człowiek – i na dowód wyjął z jego kieszeni garść złotych monet.

Schliemann zmarł tegoż dnia na zapalenie mózgu, z dala od żony, córki Andromedy i syna Agamemnona, z dala od swoich ukochanych wykopalisk. W takich oto okolicznościach skończył życie były chłopiec do posyłek, bogaty kupiec i wreszcie jeden z największych archeologów świata.

W LABIRYNCIE MINOTAURA

W ROKU 1882 ZJAWIŁ SIĘ W ATENACH trzydziestodwuletni Anglik Artur Evans. Był to zapalony zbieracz starożytności, archeolog i numizmatyk, który całymi dniami przesiadywał w sklepach z antykami, gdzie szperał w rupieciach, oglądał gemmy i monety, a cokolwiek mu do gustu przypadło, nabywał bez większych targów.

Młody przybysz miał bardzo krótki wzrok i w związku z tym nigdy nie rozstawał się z grubą, sękatą laską. Ułomność ta sprawiła, że wszyscy uważali go za typowego mola książkowego, niewidzącego świata poza nauką. Nikt nie przypuszczał, że ów wątły uczony zdobył już sobie w Anglii opinię człowieka odważnego do zuchwałości; człowieka, który czytelników gazet trzymał w napięciu awanturniczymi wyskokami, a w dodatku głosił radykalne, szerzące publiczne zgorszenie poglądy polityczne.

Było to tym dziwniejsze, że Artur Evans pochodził z zamożnej, szacownej rodziny uczonych i profesorów, od pokoleń związanych z uniwersytetem w Oksfordzie i z pracami Królewskiego Towarzystwa Naukowego w Londynie. Ojciec jego był znanym geologiem i zbieraczem starożytności, zajmującym się ubocznie antropologią i archeologią.

Można więc powiedzieć, że młodość Artura usłana była różami. Już od dzieciństwa nabrał zamiłowania do spraw naukowych, przysłuchując się gorącym dyskusjom, jakie w domu rodzinnym prowadzili zbierający się tam koledzy ojca. Ponieważ miał chłonny umysł, skończył rychło uniwersytet i otrzymał zaszczytne stanowisko wykładowcy historii w Oksfordzie.

Wydawało się, że młody Artur pójdzie śladami dziadka i ojca, że podobnie jak oni stanie się statecznym profesorem uniwersytetu. Tymczasem kryła się w nim natura płomienna, przekorna, żądna ideałów i romantycznych przygód. Wkrótce, dzięki swemu usposobieniu, naraził się władzom uniwersyteckim, krytykując ich strupieszały konserwatyzm i głosząc poglądy nielicujące w ich mniemaniu z godnością wykładowcy tak przesławnej instytucji naukowej, jaką był Oksford.

W dodatku wolne chwile i wakacje spędzał w sposób co najmniej jak na profesora niewłaściwy. Zarzucał plecak i puszczał się pieszo lub konno na włóczęgę po Anglii lub Europie, nocując po drodze, w karczmach, w chatach wiejskich lub stodołach. Z biegiem czasu przewędrował tak Rumunię, Norwegię, Szwecję, Finlandię, nawet mroźne tundry Laponii.

W roku 1875 znalazł się po raz pierwszy na Bałkanach i natychmiast pokochał je wielką, nieprzemijającą miłością.

Wszystko tam porywało jego młode, pełne żaru serce: krajobraz Dalmacji, wyspy, półwyspy i zatoki błękitnego Adriatyku, bogata historia, zabytki rzymskie, bizantyjskie, weneckie oraz muzułmańskie, szczególnie zaś dzielny lud Serbów i Chorwatów, walczący bohatersko o swoją wolność.

W okresie kiedy Evans przebywał na Bałkanach, w Bośni i Hercegowinie wybuchło powstanie przeciwko Turkom, którzy trzymali kraje te w okrutnym jarzmie od roku 1526. Evans stał się niebawem zagorzałym rzecznikiem powstańców. Całymi dniami przebywał w ich obozie, brał udział w partyzanckich wyprawach, a nawet raz przekradł się w przebraniu na obszary zajęte przez wojska tureckie, by nawiązać kontakt z tamtejszą ludnością słowiańską.

O burzliwych wypadkach na Bałkanach pisał do prasy angielskiej korespondencje. Wysławiał bohaterstwo powstańców, piętnował okrucieństwa Turków, a przede wszystkim namiętnie atakował rząd Wielkiej Brytanii za jego bierne, oportunistyczne stanowisko w sprawie wyzwolenia południowych Słowian.

Działalność jego była nie na rękę miejscowemu konsulowi angielskiemu. By przeciwstawić się propagandzie Evansa, w Anglii

ogłosił on urzędowe oświadczenie, w którym zaprzeczał, jakoby Turcy popełniali na ludności słowiańskiej okrucieństwa.

Oburzony tym Evans, pragnąc zgromadzić niezbite dowody krwawego terroru tureckiego, rzucił się wpław przez lodowatą rzekę, wezbraną deszczami i topniejącym śniegiem, i dotarł do głównego obozu powstańców. Niebawem prasa angielska, szczególnie liberalny „Manchester Guardian", podała wstrząsające opisy spalonych wsi, majowych rzezi, konfiskat i niedoli wypędzonych ze swoich siedzib mieszkańców. Konsul angielski został skompromitowany.

Pewnego dnia Evans wpadł w ręce Turków i tylko paszport angielskiego obywatela uchronił go od szubienicy. Musiał jednak opuścić Bałkany i powrócić do Anglii, gdzie wzbudzał sensację strojem powstańca bałkańskiego, spaloną na brąz twarzą i żarliwą propagandą na rzecz południowych Słowian. By poruszyć sumienie Anglików, wydał większość swoich artykułów w osobnej książce, ponadto zbierał pieniądze i odzież dla nieszczęsnej ludności, której losami tak głęboko się przejął.

Na skutek matactw dyplomatycznych wielkich mocarstw Bośnia i Hercegowina nie odzyskały wolności, lecz dostały się pod panowanie Austrii. Evans ożenił się i osiadł na stałe w Dubrowniku, gdzie kupił sobie dom. Zajmował się tam historią, archeologią oraz polityką, rozkopywał stare mogiły, zbierał monety greckie i rzymskie, pisał pracę o zabytkach weneckich w Dalmacji. Powszechnie lubiany, cieszył się wśród mieszkańców miasta dużą popularnością.

Wydawało się, że życie jego popłynie teraz spokojnie. Jednakże w roku 1878 wybuchło powstanie przeciwko Austrii. Evans bez namysłu porzucił prace naukowe i zaofiarował swoją pomoc powstańcom. Przez długi czas przebywał w ich obozie, skąd ponownie wysyłał do Anglii korespondencje, lecz tym razem o bohaterstwie powstańców i klęskach wojsk austriackich. Dom jego stał się miejscem konspiracyjnych zebrań i kryjówką chroniących się przed policją patriotów. Wkrótce jednak wywiad austriacki wywęszył, co się dzieje w jego domu. Evans otrzymał nakaz natychmiastowego opuszczenia granic Austrii.

W angielskich kołach uniwersyteckich uchodził nadal za nieodpowiedzialnego, pozbawionego powagi osobnika, zdolnego do przeróżnych szaleństw. Toteż gdy zabiegał o stanowisko kierownika jednego z mniejszych muzeów londyńskich, natknął się na gwałtowny sprzeciw. Odezwała się w nim na nowo jego wojownicza natura. W szeregu artykułów wykazał skandaliczne zaniedbania w tym muzeum i wynik był taki, że wbrew protestom wywalczył sobie stanowisko dyrektora. Zatrzymał je do końca życia, przeprowadzając w podległej sobie instytucji gruntowną reorganizację.

Wszystkie wolne chwile poświęcał podróżom. Podczas jednej z nich, jak to na początku wspominaliśmy, znalazł się w roku 1882 w Atenach. Myszkując po sklepach z antykami, zwrócił niebawem uwagę na niepokaźne, wielce osobliwe przedmioty, raczej lekceważone przez antykwariuszy. Były to płaskie krążki z kolorowego kamienia z przewierconym na brzegu otworem – coś jakby medaliki bądź amulety noszone na sznureczku czy łańcuszku. Na każdym z tych medalików kamiennych widniały wyryte tajemnicze litery, niepodobne ani do hieroglifów egipskich, ani do pisma klinowego Asyryjczyków. Zapytywani przez Evansa handlarze twierdzili, że otrzymują je z Krety, gdzie chłopi wybierają je z przeoranej ziemi.

Evans nie miał wątpliwości, że amulety te są bardzo stare, że pochodzą z tego okresu kreteńskiej historii, kiedy kwitła tam bujna, nieznana kultura, posługująca się nieodszyfrowanym dotąd pismem.

O tej kulturze, poza mitami i legendami, nic wówczas nie wiedziano. Odnalezione przez Evansa krążki stały się dla niego tropem, który miał go zaprowadzić ku rewelacyjnym odkryciom archeologicznym. Skupował więc owe medaliki, gdzie się tylko zdarzyło, rozmyślał nad ich cudacznymi znakami i powziął zamiar udania się na Kretę, by na własną rękę przeprowadzić tam poszukiwania.

Przybywszy do Aten, nie ominął oczywiście domu wielkiego odkrywcy Troi i Myken – Henryka Schliemanna. Zaopatrzony w list polecający ojca, zaraz po przybyciu wybrał się do niego w odwiedziny. Od pierwszej chwili poznania obaj, mimo dużej

różnicy wieku, przypadli sobie do gustu. Całe dnie, a nawet noce spędzali razem na gorących dyskusjach. Schliemann żył pod urokiem złotych skarbów Troi i Myken, Anglik zaś z cierpliwym uporem ślęczał nad pieczęciami mykeńskimi, studiując swoim krótkim wzrokiem wygrawerowane na nich wizerunki kobiet.

Intrygowały go przede wszystkim stroje tych modniś, ich bufiaste, krynolinowe spódnice, ciasno ściągnięte w stanie. Przyglądając się strojom tych nieznanych dam dworskich, żywo przypominającym rokokowe suknie z czasów Ludwika XIV, spotkał się znowu oko w oko z kulturą kreteńską. Podobne stroje podziwiał już poprzednio na skorupach naczyń glinianych, pochodzących z Krety, a wystawionych na sprzedaż w kramach ateńskich antykwariuszy.

Evans musiał powrócić na razie do Anglii, ale jego obserwacje, wskazujące na zagadkowy związek kultury Myken z kulturą Krety, zrobiły duże wrażenie na Schliemannie, zwłaszcza że ukończywszy prace w Mykenach, oglądał się za nowym obiektem poszukiwań.

Tajemnica Krety niepokoiła go zresztą już od kilku lat. Nie tylko legendy i mity o Tezeuszu i Dedalu, w których doszukiwał się ziarna prawdy historycznej, lecz i zapiski takich starożytnych historyków, jak Herodota i Tukidydesa, świadczyły o wielkiej roli kulturalnej i politycznej, jaką ta wyspa w przedhistorycznych czasach odegrała w Basenie Morza Egejskiego.

Wszyscy znamy owe piękne legendy od dzieciństwa, nie od rzeczy będzie jednak przypomnieć je tu choćby pobieżnie.

Król Krety Minos miał swoją stolicę w Knossos i był potężnym władcą, ale w życiu rodzinnym spotkała go wielka sromota. Jego żona Pazyfae wydała na świat Minotaura – straszliwego potwora, na poły człowieka, na poły byka. Minos, chcąc ukryć przed oczami ludzkimi niesławę swego życia, polecił architektowi Dedalowi wybudować dla Minotaura pałac w kształcie labiryntu, z gmatwaniną pokojów i krużganków.

Pewnego razu syn Minosa Androgeos, młodzieniec rosły i biegły we wszelakich odmianach sportu, udał się do Aten z zamiarem ubiegania się o laury w igrzyskach lekkoatletycznych Grecji. Ponieważ we wszystkich konkurencjach wykazał niedoścignioną przewagę nad Ateńczykami, król Aten Egeusz, wiedziony zawiścią,

kazał go w zdradliwy sposób zamordować. Mszcząc śmierć syna, Minos wyruszył do Grecji z wielką flotą wojenną, zburzył Ateny i zmusił Egeusza do płacenia rocznej daniny w postaci siedmiu dziewcząt i siedmiu młodzieńców, przeznaczonych jako ofiary dla krwawego Minotaura.

Okrutną daninę Ateńczycy płacili dwa lata z rzędu. Za trzecim razem, kiedy dobierano nowe ofiary spośród młodzieży, przyłączył się do nich dobrowolnie syn Egeusza Tezeusz, aby pokonać Minotaura i położyć w ten sposób kres cierpieniom swoich rodaków.

Przed wyruszeniem w niebezpieczną podróż umówił się z ojcem, że jeżeli w czasie powrotu wyprawy zobaczy na horyzoncie czarne żagle, oznaczać to będzie klęskę i jego śmierć, natomiast szkarłatne żagle zwiastować będą radosną wiadomość o odniesionym zwycięstwie.

Na Krecie dopisało mu szczęście, bo oto zakochała się w nim Ariadna, córka Minosa. W tajemnicy przed ojcem wręczyła mu miecz i kłębek nici, polecając mu, by przywiązał nitkę u wejścia do labiryntu, a następnie, w miarę posuwania się w głąb, rozwijał kłębek. Tezeusz zabił Minotaura i dzięki nitce Ariadny zdołał wraz z towarzyszami odnaleźć drogę powrotną z labiryntu.

Okręt Tezeusza opuścił potajemnie Kretę i popłynął do Aten. Ale pod wpływem radości z odniesionego zwycięstwa Tezeusz zapomniał podnieść szkarłatny żagiel. Król Egeusz siedząc na wysokiej skale, z niecierpliwością wypatrywał powrotu syna. Spostrzegłszy zbliżający się okręt z czarnym żaglem na maszcie, nie mógł przeboleć domniemanej straty i rzucił się do morza, które odtąd na jego cześć nazwano Morzem Egejskim.

Tymczasem Dedal, będąc rodem z Aten, zatęsknił do ojczyzny i prosił usilnie Minosa o zwolnienie go ze służby. Jednakże władca Krety nie myślał pozbywać się Dedala, utalentowanego budowniczego, artysty i wynalazcy, któremu nikt ze współczesnych nie mógł dorównać. On to bowiem wybudował port morski, labirynt i przepiękny pałac królewski, on też wynalazł świder, krosno, wodociągi i poziomnicę ciesielską, wielce przydatną w budownictwie.

Nie uzyskawszy zgody króla, Dedal postanowił potajemnie opuścić Kretę. Sporządził w tym celu dla siebie i swego syna Ikara skrzydła z ptasich piór, pozlepianych woskiem. Przed odlotem pouczył Ikara, by nie wznosił się zbytnio w niebiosa, gdyż gorące promienie słońca mogłyby roztopić wosk. Gdy obaj niby orły poszybowali w błękitny bezkres, Ikar zapomniał o przestrodze ojca. Porwany radosnym zachwytem, że oto leci jak wolny ptak, wznosił się coraz wyżej ku złocistej tarczy słonecznej, aż w pewnej chwili odpadły mu roztopione skrzydła i runął jak kamień w morskie odmęty.

Nieutulony z żalu Dedal pofrunął na Sycylię i oddał się pod opiekę tamtejszego króla, który istotnie udzielił mu gościny. Ale Minos nie dał za wygraną. Popłynął na Sycylię na czele swojej floty wojennej i zażądał wydania zbiega. Król Sycylii udał, że widzi go chętnie, i jak przystało na gościnnego gospodarza, kazał mu przygotować kąpiel. W chwili gdy Minos szykował się do kąpieli, trzy córki królewskie zepchnęły go znienacka do basenu z wrzącą wodą, uwalniając w ten sposób Dedala z tyrańskiej niewoli.

Opowieści o Tezeuszu Ateńczycy bynajmniej nie poczytywali za klechdę. Była to w ich przekonaniu postać historyczna, której grobowiec, otaczany powszechną czcią, znajdował się w samym środku Aten. Rocznicę zwycięskiego powrotu Tezeusza z Krety obchodzono świętem Oschoforiów, podczas którego na pamiątkę uratowania przez Tezeusza zakładników ateńskich i dziewczęta i chłopcy, umajeni kwiatami, kroczyli w radosnym orszaku ulicami miasta.

Schliemann doszedł do wniosku, że legenda o Tezeuszu świadczy o hegemonii, jaką kiedyś Kreta, dzięki posiadaniu potężnej floty wojennej, miała nad całym Basenem Morza Egejskiego. Jeśli wniosek ten jest słuszny – rozumował Schliemann – musiał kiedyś naprawdę panować jakiś potężny król Minos, który zawładnął Atenami, lub też jak twierdził Homer, królowie Krety ówczesnej dynastii nazywali się minosami, podobnie jak władcy Egiptu nazywali się faraonami. W XIX pieśni *Odysei*, podając się za wnuka Minosa, Odyseusz powiada:

> Jest w pośrodku ciemnego jak wino morza ziemia niejaka, Kreta, piękna i żyzna, wokół wodą oblana. Ludzi tam ćma i dziewięćdziesiąt miast… Największe wśród nich jest miasto Knossos, a królował w nim co dziewięć lat obierany król Minos.
>
> (przekład Jan Parandowski)

Dokładniejsze relacje znaleźć można u Tukidydesa. W pierwszej księdze *Wojny peloponeskiej* czytamy, co następuje:

> Pierwszy bowiem, jak słyszymy, miał flotę Minos. Panował on nad przeważającą częścią morza zwanego dziś Helleńskim, sprawował też władzę nad Cykladami; większą ich część pierwszy skolonizował, wypędziwszy Karów i synów swoich ustanowiwszy panami. Oczywiście, w miarę swych możliwości tępił również piratów na morzu, aby dochody tym pewniej do niego płynęły.
>
> (przekład Kazimierz Kumaniecki)

Schliemann postanowił wyjaśnić tajemnicę kultury kreteńskiej. Udał się zatem w roku 1886 na Kretę, by bliżej ją poznać. W kotlinie górskiej, w odległości kilku kilometrów od miasta Heraklion, wznosi się wzgórze zwane Kefala, gdzie według tradycji miało się kiedyś znajdować Knossos. O jakieś dziewięć lat wcześniej przed przybyciem Schliemanna na Kretę przekopał tam próbny wykop miejscowy konsul hiszpański i stwierdził obecność ogromnej budowli znajdującej się na wielkiej głębokości.

Aby przeprowadzić systematyczne prace wykopaliskowe, trzeba było najpierw nabyć wzgórze od jego właściciela. Sprytny Kreteńczyk zażądał jednak wykupienia wraz ze wzgórzem całego gospodarstwa z zabudowaniami, winnicami i sadami oliwkowymi za sumę stu tysięcy franków. Była to tak wygórowana cena, że Schliemann nie zgodził się na nią i wrócił rozgniewany do Aten.

Chłop kreteński, widząc że przesolił w swoich żądaniach, wysłał do Aten telegram, w którym obniżył cenę do czterdziestu tysięcy franków, pod warunkiem jednak, że Schliemann wpłaci tę sumę natychmiast na jego konto do banku ateńskiego.

Ale Schliemann nie na darmo był przez wiele lat kupcem: w pośpiechu chłopa zwietrzył jakiś podstęp. Pojechał więc na Kretę i ku nieopisanemu oburzeniu stwierdził, iż w rzeczywistości na

wzgórzu było o 1612 drzew oliwkowych mniej, niż podawał właściciel.

Rozzłoszczony oszustwem machnął na wszystko ręką i zaniechał kupna. Schliemann kupiec zatriumfował tym razem nad Schliemannem archeologiem. Z powodu drzew oliwkowych niemających dla niego większej wartości wyrzekł się trzeciego, kto wie, czy nie największego w swoim życiu odkrycia.

W cztery lata po śmierci Schliemanna udał się na Kretę Artur Evans. Wyspę pokochał od pierwszego wejrzenia. Gdzie tylko bowiem spojrzał, widział historię tej wyspy w całej okazałości. Grecy, Rzymianie, Frankowie, Wenecjanie i Turcy zostawili tam kolejno piętno swego panowania. W Heraklionie podziwiał Lwa św. Marka wyrzeźbionego na starej cytadeli weneckiej; nad zbiorowiskiem domków górowały kuliste kopuły meczetów i strzeliste wieże kościołów katolickich. Podobał mu się również krajobraz wyspy, jej poszarpane wzgórza wapienne, cieniste jary, zielone kotliny zalane słońcem, srebrzyste plaże i morze koloru ultramaryny.

Na razie jednak próby rozpoczęcia prac wykopaliskowych spełzły na niczym. Turcja, która naówczas okupowała wyspę, nie zapomniała Evansowi jego sympatii dla powstańców bałkańskich. Stawiano mu najróżniejsze trudności. Wyjechał więc do Anglii i powrócił dopiero po upływie pięciu lat, kiedy Kreta znów została przyłączona do Grecji. Kupił wówczas wzgórze Kefala za pieniądze otrzymane od ojca, wybudował tam dom i zabrał się do systematycznych prac wykopaliskowych.

Już pierwsze wykopy przekonały Evansa, że odkrył jakąś nieznaną cywilizację, daleko starszą od Myken. Na przestrzeni dwóch i pół hektara krył się pod ziemią ogromny pałac, a raczej cały zespół budowli o takiej architekturze, jaka mogła powstać jedynie w zamożnym i bogatym państwie o wielowiekowej tradycji.

W miarę postępu prac spod ziemi wyłoniły się amfilady niezliczonych komnat i sal, krużganki, tajemne przejścia, portyki, schody i podwórka o tak zawikłanym układzie, że istotnie przypominały one labirynt.

„Nie może być już żadnej wątpliwości – pisał Evans – że rozległa budowla, którą nazywamy Pałacem Minosa, jest identyczna z legendarnym labiryntem. Plan poziomy z długimi salami i ślepymi korytarzami, z powikłanymi przejściami i zagmatwanym systemem małych pokoików – istotnie ma wszelkie cechy nierozplątanego chaosu".

Po upływie miesiąca Evans dokonał odkrycia, które odbiło się szerokim rozgłosem po świecie. Na jednej ze ścian zachowało się malowidło o zadziwiająco świeżych kolorach. Był to po raz pierwszy przez współczesnego człowieka widziany w naturalnej wielkości przedstawiciel owego zagadkowego ludu, który niegdyś, w dalekiej przeszłości, osiągnął niezwykle wysoki stopień rozwoju kulturalnego. Barwny fresk wyobrażał młodzieńca, trzymającego oburącz dużą wazę kształtu stożkowego, tak zwany ryton. Młodzieniec był postawny, spalony na brąz, odziany tylko w opaskę na biodrach. Szlachetny profil, pulchne usta i czarne, migdałowe oczy składały się na urodę nieco kobiecą, tchnącą schyłkowym wykwintem.

Wizerunek Kreteńczyka wywołał poruszenie, szczególnie wśród egiptologów. Wyjaśniła się bowiem zagadka owych tajemniczych mężów ludu, zwanego przez Egipcjan Keftiu, spotykanych często na ścianach grobowców egipskich. Poznawano ich po opaskach biodrowych koloru niebiesko-złocistego i po charakterystycznych rytonach, w których przynosili faraonom dary i daniny.

Grobowe napisy hieroglificzne nazywają tych dziwnie odzianych mężczyzn wysłannikami „ludu z wyspy" bądź też „ludu z wielkiego, zielonego morza". Dopiero odkrycie Evansa potwierdziło to, co od dawna podejrzewano, że pod nazwą Keftiu kryli się mieszkańcy Krety. Faraonowie w różnych okresach bądź prowadzili z Kreteńczykami wojny, bądź pozostawali z nimi w ożywionych stosunkach handlowych. Historia wspomina na przykład, że okręty kreteńskie na zlecenie faraonów przewoziły z Libanu do Egiptu drewno cedrowe.

Evans poświęcił odkopaniu pałacu Minosa przeszło trzydzieści lat swego życia i cały majątek, jaki odziedziczył po ojcu. Dopiero po kilku latach żmudnej pracy wykopaliskowej i starannej rekonstrukcji

można było podziwiać ogrom i przepych pałacu. Pozorny chaos przekształcił się stopniowo w rozumny ład architektoniczny, świadczący chlubnie o rzemiośle kreteńskich budowniczych.

Naokoło wielkiego, brukowanego dziedzińca znajdował się zespół budynków o różnorakim przeznaczeniu. Były tam pomieszczenia przeznaczone do reprezentacyjnych przyjęć, osobne komnaty dla króla i królowej, dla mężczyzn i dam dworskich, dla służby i niewolników oraz obszerne zabudowania gospodarcze, w których mieściły się warsztaty królewskich rzemieślników. Pałac składał się z kilku pięter, połączonych ze sobą monumentalnymi schodami, wspartymi na kolumnach osobliwego kształtu, w odróżnieniu bowiem od kolumn greckich zwężały się one ku dołowi.

W podziemiach pałacu Evans znalazł wielkie magazyny-spichrze, z licznymi, na trzy metry wysokimi amforami z palonej gliny, w których gromadzono żywność, szczególnie wino i oliwę, główny produkt wyspy. Obliczono, że mogło się w nich pomieścić około 35 tysięcy litrów wina i oliwy. Świadczy to o niezwykłym dostatku dworu kreteńskiego. W posadzce magazynu odkryto wmurowane schowki. Przeznaczenia ich nie umiano sobie przez długi czas wytłumaczyć, aż kiedyś znaleziono w nich mikroskopijne ślady złota; wtedy stało się jasne, że król Minos przechowywał w nich skarby, zdobyte na wojnach lub uzyskane na drodze handlowej.

Ciekawym pomieszczeniem w pałacu jest sala tronowa, szczególnie dobrze zachowana. Oparty o jedną ze ścian stoi tam jeszcze tron królewski wykonany z wapienia. Przypomina on krzesło z okresu gotyku. Jest to najstarszy na świecie tron, zachowany w całości do naszych czasów. Pięknie polerowany wapień wygląda raczej na biały marmur kararyjski. Na ścianie, po obu stronach tronu, widnieją dwa stylizowane gryfy, czyli lwy z głowami ptaków, namalowane w rdzawym kolorze na tle bladoniebieskim. Wzdłuż dwu bocznych przeciwległych ścian stoją kamienne ławy, przeznaczone dla dostojników dworskich.

Największą jednak rewelację stanowi wyjątkowy komfort pałacu. Wszystkie piętra są zaopatrzone w wodociągi i kanalizację, budzącą zdumienie dzisiejszych fachowców. Mieszkańcy pałacu mieli do dyspozycji łazienki, baseny do mycia nóg i ustępy spłukiwane wodą.

Do wszystkich komnat docierało świeże powietrze i światło słoneczne przez drzwi z głównego dziedzińca lub też przez otwory w stropach, jako też przez specjalnie w tym celu zbudowane świetliki.

Pałac w Knossos ma się tak do budowli Myken i Tirynsu, jak pałac wersalski do zamków średniowiecznych baronów. Królowie Krety nie obawiali się najazdów i dlatego nie zachodziła potrzeba otaczania miast murami warownymi. Bezpieczeństwo Krety nie zależało tylko od położenia wyspy, oddalonej od stałego lądu, lecz wypływało przede wszystkim z faktu posiadania najpotężniejszej, jeżeli nie jedynej naówczas, floty wojennej, broniącej brzegów skuteczniej niż jakakolwiek fortyfikacja.

Pałac w Knossos przez swoją lekką, otwartą i rozłożystą architekturę przypomina pałace z okresu Renesansu. Żeglarzom, którzy zawijali do portu kreteńskiego, ukazywało się zjawisko budzące zachwyt. Na tle słonecznego, błękitnego nieba Południa rysował się zespół lśniąco białych gmachów: piętra, tarasy, schody, kolumny i portyki.

Musiał to być widok wspaniały i zarazem porywający, toteż nic dziwnego, że żeglarze rozpowiadali o nim najosobliwsze wieści.

Z pierwszych wykopalisk trudno było się domyślić, jakiego pochodzenia etnicznego był ów lud artystów, budowniczych i kupców morskich, lud, który swoją bujnie kwitnącą kulturą wywarł olbrzymi wpływ na kulturę innych ludów zamieszkujących otaczające go zewsząd lądy i wyspy Morza Śródziemnego. Evans znalazł w ruinach pałacu setki tabliczek glinianych pokrytych zagadkowym pismem, z jakim spotkał się już w Atenach. Tabliczki te z pewnością wyjaśniłyby tajemnicze pochodzenie Kreteńczyków. Ale mimo wysiłku wielu uczonych przez przeszło pół wieku nikt nie zdołał odczytać tych dziwnych znaków.

Do poznania życia i obyczajów dawnych mieszkańców Krety przyczyniła się ta okoliczność, że ściany komnat pałacowych, portyków i krużganków ozdobione były licznymi malowidłami obrazującymi rozmaite sceny z życia tego ludu. Artyści Krety zaklęli w tych freskach cały radosny świat kolorów, w którym sławili urok życia z wrażliwością biegłych w swym zawodzie sztukmistrzów. Na

szczęście freski te nie uległy całkowitemu zniszczeniu, toteż do dziś dnia budzi podziw ich soczysty, bogaty koloryt z przewagą niebieskich, zielonych i purpurowordzawych odcieni.

Kompozycje figuralne tych fresków są wprawdzie z lekka stylizowane, gdyż służyły głównie celom dekoracyjnym, ale w tych czystych, pełnych wdzięku liniach artyści rzadko oddalali się od zasad zdrowego realizmu. Patrząc dziś na niezatarte jeszcze malowidła, wstępujemy jakby w inny świat, w świat, gdzie w czarodziejskim skrócie jawi się przed naszymi oczyma barwny, wielce urozmaicony tryb życia Kreteńczyków. Jest to jednak wyłącznie życie dworskie, pełne konwenansu: życie ludzi wytwornych, oddanych całkowicie uciechom i użyciu. Jakiż kontrast tworzą te obrazy z freskami w Mykenach, których motywem są głównie sceny batalistyczne i myśliwskie. Malowidła w Knossos świadczą przede wszystkim o tym, że dwór króla Minosa żył w otoczeniu niesłychanego przepychu i splendoru, w atmosferze kultury tchnącej kwietyzmem i schyłkowością. Dwór taki mógł powstać tylko w ustroju wyzysku mas ludowych i niewolnictwa.

Przed naszymi oczyma przesuwają się dziewczęta i chłopcy, brnąc po kolana w łanach liliowych, zapaśnicy i pięściarze, pląsające tancerki i orszaki kapłanek składające obiaty na ołtarzu. Na jednym z malowideł widzimy czterech niewolników niosących lektykę, w której siedzi wystrojona dama dworu. Na ścianach grobowców egipskich wymalowane są wyłącznie postacie sztywne, konwencjonalne, ubrane w nakrochmalone lniane szaty – tutaj w Knossos wszystkie osoby są swobodne i żywe w ruchach, a więc ludzkie, bliskie i zrozumiałe.

Obok scen figuralnych znajdujemy na ścianach w Knossos obfitość motywów, czerpanych bezpośrednio z przyrody kreteńskiej. Mamy tam błonia pełne lilii, krokusów i fiołków, kuropatwy ukryte w sitowiu, dziki w pogoni za zającem, koty czyhające na koguty, atakujące byki i rozkwitające gałązki oliwne. Przejawem bliskiej zażyłości z morzem są często na freskach spotykane stylizowane ośmiornice, ryby, gwiazdy morskie i małże. Jak z tego widać, Kreteńczycy odznaczali się dużą wrażliwością na piękno przyrody,

co różniło ich zasadniczo od współczesnych im ludów Mezopotamii, Egiptu, a nawet Grecji.

Jednym z piękniejszych malowideł jest fresk wyobrażający młodego króla kreteńskiego. Na tle cynobrowym widzimy tam młodego, opalonego mężczyznę, kroczącego przez pole liliowe. Rękę położył na sercu, cały zaś pochylony jest lekko do tyłu. Szerokie, muskularne bary i rozwinięte lędźwie przy nienaturalnie cienkiej talii nadają jego kształtom wyraz ujmującej gracji i zarazem promiennej tężyzny młodego boga. Jako odzienie ma tylko białonie-bieską opaskę biodrową; głowę zaś zdobi błękitna korona z pióropuszem pawich piór, spod której wymykają się na ramiona kędziory kruczych włosów. Profil jego twarzy przypomina raczej profil niewiasty, co świadczy, że ów wytworny młodzieniec wyrósł w cieplarnianych warunkach pałacu, z dala od zgiełku bitew, w których kochali się surowi wojownicy Myken.

Najlepiej jednak zorientować się można co do życia dworskiego Knossos z trzech fresków przedstawiających damy kreteńskie. Grupy strojniś, zwrócone frontem, siedzą na ławach, przyglądając się igrzyskom: świadczy o tym stłoczony tłum widzów, naszkicowanych za ich plecami. Noszą one misterne fryzury i głęboko dekoltowane suknie, obszyte falbanami z niebieskiej, czerwonej, białej i czarnej materii. Ich głowy, szyje i ramiona ozdobione są mnóstwem biżuterii ze srebra i złota.

Niespodzianką jest duże poczucie komizmu, z jakim artysta kreteński wymalował owe niewiasty. Sądząc po ich rękach i przechyleniu głów, opowiadają sobie dyskretne i frywolne ploteczki dworskie, przy czym tak są pochłonięte rozmową, że nie zwracają zupełnie uwagi na to, co dzieje się na arenie. W tych freskach, po raz pierwszy chyba w historii malarstwa, występuje świadomie ujawniona tendencja artysty do karykatury.

Przedmiotem nierozstrzygniętej dotąd dyskusji jest tak zwany Fresk Torreadorów. Widzimy na nim atakującego, rozjuszonego byka, w chwili gdy nad jego grzbietem młodzieniec wykonuje salto mortale. W tyle stoi z wyciągniętymi ramionami akrobatka, by go podtrzymać, podczas gdy jej towarzyszka chwyta właśnie byka za rogi z zamiarem dokonania takiej samej karkołomnej ewolucji. Był

to zapewne sport narodowy, gdyż podobne sceny spotyka się często na ceramice i pieczęciach wykopywanych w różnych miejscach Krety.

Scena ta niezmiernie zainteresowała Evansa. Nie ulegało kwestii, że tego rodzaju ekwilibrystyka wymagała błyskawicznej orientacji oraz nadludzkiej wprost zręczności i odwagi. Czy jednak leżała w granicach możliwości fizycznej człowieka? Zapytani o to fachowcy, szczególnie torreadorzy hiszpańscy i kowboje amerykańscy, odpowiedzieli na to przecząco. Szybkość atakującego byka jest, według ich opinii, tak straszliwie duża, że nie ma człowieka, który by potrafił chwycić go w mgnieniu oka za rogi, wznieść się na ramionach, wywinąć kozła i stanąć na nogach za jego zadem.

A jednak scena ta nie mogła być tylko fantazją malarzy kreteńskich. Przedstawiają oni bowiem gdzie indziej nieszczęścia, jakie przy tej okazji często musiały się wydarzać. Na jednej z waz widzimy byka przebijającego rogami dziewczynę, która spóźniła się o ułamek sekundy, a na jednej z pieczęci rozjuszone zwierzę tratuje i bodzie rogami młodzieńca obalonego na ziemię. Zagadka zatem owej niesamowitej akrobatyki pozostaje dotąd niewyjaśniona.

W pałacu Minosa spotyka się gdzieniegdzie (między innymi w sali tronowej) wymalowany toporek z podwójnym ostrzem. Badacze nie wiedzieli początkowo, do czego go używano, choć wydawało się jasne, że był on jakimś ważnym na Krecie symbolem. Jedni uważali go za godło władzy królewskiej, przypominające topór z wiązanką rózg, jaki liktorowie nosili przed konsulami rzymskimi, inni znowu poczytywali go za emblemat związany z kultem religijnym Kreteńczyków. Sprawę wyjaśniło ostatecznie odkrycie dokonane w jednej z pieczar, będącej według legendy miejscem urodzenia Zeusa. W szczelinach między stalaktytami i stalagmitami znaleziono niezliczoną liczbę miniaturowych toporków z podwójnym ostrzem, złożonych tam ongiś przez pobożny lud jako wota religijne.

Topór z podwójnym ostrzem nazywa się po grecku *labrys*. Zachodzi przypuszczenie, że z tego źródłosłowu wywodzi się nazwa labirynt i że używano jej pierwotnie na określenie pałacu króla

Minosa, ponieważ spotykano tam na każdym niemal kroku charakterystyczny emblemat podwójnego toporka.

Stopniowo labirynt utożsamiony został z zawikłanym układem wewnętrznej budowy pałacu, a w końcu w wyobraźni ludowej powstała osobna budowla, gdzie legendarny potwór Minotaur miał pożerać zabłąkane w jej korytarzach ofiary ludzkie.

Być może, że nawet w mitach o Tezeuszu i Minotaurze kryją się echa rzeczywistych wydarzeń. Nie jest bowiem wykluczone, że królowie kreteńscy najpierw więzili zakładników ateńskich w swoim pałacu, a potem zmuszali ich na igrzyskach do karkołomnych popisów z bykami Minotaurami. Popisy te w większości wypadków musiały się skończyć śmiercią zapaśnika na rogach rozjuszonego zwierzęcia.

Toteż przypuszczenie Artura Evansa nie było pozbawione podstaw realnych, gdy odkryty przez siebie pałac w Knossos identyfikował z labiryntem, o którym mówią mity i legendy greckie.

ODKRYTE LĄDY HISTORII

DOWODY, JAKIE SCHLIEMANN NAGROMADZIŁ na potwierdzenie tezy, iż w mykeńskich grobach szybowych „spojrzał w oblicze Agamemnona", znalazły się jeszcze za jego życia pod obstrzałem krytyki. Niektórzy badacze, wśród nich jego najbliższy współpracownik, znany archeolog Wilhelm Dörpfeld, zwrócili uwagę na kruchość przesłanek rozumowania Schliemanna i wyrazili pogląd, iż groby mykeńskie chronologicznie wyprzedzają czasy Agamemnona co najmniej o czterysta lat. Przyjąwszy rok 1180 p.n.e. jako datę zakończenia wojny trojańskiej, sądzili oni, że groby te pochodzą z początków XVI wieku p.n.e.

Nowa hipoteza powinna była Schliemannowi właściwie dogadzać. Sens jej sprowadzał się bądź co bądź do tego, iż odkrycie dokonane w Mykenach posiadało dla historii bardziej przełomowe znaczenie, niż on sam gotów był przypuszczać.

Przed odkopaniem grobów historia Grecji rozpoczynała się w dziejopisarstwie z pierwszą Olimpiadą z roku 776 p.n.e. Wszystko, co było przedtem, zaliczano do legend i mitów pozbawionych historycznego udokumentowania. Schliemann sądził, że w wyniku dokonanych wykopalisk w Mykenach cofnął historię grecką o czterysta lat, natomiast w mniemaniu jego krytyków wiedza ludzka wzbogaciła się dzięki temu o przeszło osiemset lat dziejów, sięgających w nieznane dotąd zaranie starożytnej Grecji.

Ale Schliemann zbyt mocno przywiązał się do swojej tezy, iż odkrył grób Agamemnona. Nie uznał nowej hipotezy i przeciwstawiał się wszystkim wysuwanym zastrzeżeniom i wątpliwościom. Pod tym względem żywo przypominał Kolumba,

który do końca życia twierdził, iż odkrył nową drogę morską do Indii, choć w rzeczywistości zasługa jego była o niebo większa, polegała bowiem na odkryciu nowego kontynentu.

Tu nie miejsce, by wyszczególniać wszystkie argumenty owej polemiki. Ograniczymy się do zestawienia tylko kilku podstawowych argumentów Schliemanna (wymienionych już pokrótce w rozdziale *Złota maska Agamemnona)* i odpowiedzi krytycznych, jakie jego polemiści wysuwali dla podważenia teorii o identyczności zwłok mykeńskich z Agamemnonową drużyną.

Pierwszy argument: Długie tarcze, puchar z podwójnym chwytem i kły dzika służące do ozdoby świadczą o tym, że wojownicy mykeńscy byli bohaterami wojny trojańskiej.

Odpowiedź: To prawda, że zbieżności te dają dużo do myślenia. Jednakże nie wolno lekceważyć różnic, które są bardziej istotne od owych zbieżności. Z wykopalisk wynika, iż Mykeńczycy grzebali zwłoki zmarłych, natomiast wojownicy Homera spalali je na stosie. W grobach szybowych znaleziono oręż wyłącznie z brązu, tymczasem bohaterowie *Iliady* posiadali już tarcze i miecze z żelaza. Stąd może być jeden tylko wniosek: Mykeńczycy żyli w epoce brązu, wyprzedzając o kilkaset lat początki epoki żelaza, do której należeli Agamemnon i jego towarzysze wojny trojańskiej.

Drugi argument: Pauzaniasz podaje, iż oglądał na dziedzińcu warowni mykeńskiej pięć grobów Agamemnona i jego towarzyszy. Schliemann odkopał tam właśnie pięć grobów, a więc tyle, ile wymienia podróżnik grecki.

Odpowiedź: Owszem, z początku argument ten miał pewne realne podstawy, ale tylko do czasu: nieco później archeolog grecki Stamatakis odkrył na dziedzińcu szósty grób, co uczyniło ów argument bezprzedmiotowym. W konsekwencji należy przyjąć, że Pauzaniasz musiał oglądać jakieś inne groby, a nie te, jakie odkopał Schliemann.

Potwierdzają to zresztą dodatkowe badania terenu. Okazało się mianowicie, że gruz, pokrywający wysoką stertą dziedziniec warowni mykeńskiej, leżał tam już za czasów Pauzaniasza, przeto groby, ukryte głęboko pod gruzami, nie mogły być naówczas widoczne. Tej okoliczności należy zresztą zawdzięczać niezwykle

szczęśliwy i rzadki w archeologii fakt, że groby królewskie, pełne złotych skarbów, nie zostały splądrowane przez licznych najeźdźców, którzy w różnych okresach władali Półwyspem Peloponeskim.

Trzeci argument: Znalezione w grobach zwłoki pochowano jednocześnie podczas wspólnego zbiorowego pogrzebu. W Mykenach miała więc miejsce jakaś zbrodnia, której ofiarą padło dziewiętnaście osób, należących do dynastii królewskiej i arystokracji. Jakaż to mogła być zbrodnia, jeżeli nie krwawa rzeź Ajgistosa i Klitajmestry?

O tym, że zwłoki pochowano jednocześnie, świadczą dwie okoliczności. Po pierwsze: groby były wypełnione ziemią i gruzem, co jest niezbitym dowodem jednorazowego ich użycia. Groby rodowe, użytkowane przez dłuższy okres czasu na chowanie zmarłych naturalną śmiercią członków dynastii królewskiej, nakryto by płytą kamienną, a nie zasypywano by ziemią. Po drugie: styl i tematyka motywów zdobniczych na orężu, biżuterii i pieczęciach są we wszystkich grobach identyczne, pochodzą więc z tego samego okresu.

Odpowiedź: Cała ta argumentacja polega na nieporozumieniu, wynikającym z niedostatecznie dokładnego zbadania materiału zabytkowego. Obalił ją wspomniany już Dörpfeld. Przeszukując gruz wydobyty z grobów, odkrył w nim pogruchotane płyty kamienne – pokrywy grobowców. Przeto, wbrew przypuszczeniom Schliemanna, wykute w skale groby szybowe były grobowcami, w których chowano przez dłuższy czas członków rodu. Pokrywy te pod ciężarem ruin warowni załamały się i wpadły do wnęk grobowych wraz z gruzem i ziemią, co stworzyło wrażenie, że groby te zostały jednorazowo zasypane ziemią.

Również drugi argument okazał się niesłuszny, ponieważ na sprzętach, należących do poszczególnych zmarłych, występowały zrazu niedostrzeżone, lecz mimo wszystko niewątpliwe różnice w stylu motywów dekoracyjnych. Owe odmiany stylu odzwierciedlały kolejne fazy rozwoju kultury mykeńskiej na przestrzeni jakichś stu czy dwustu lat i stanowiły dowód, że każdego ze zmarłych chowano w grobach szybowych osobno, nie zaś

jednocześnie, podczas zbiorowego pogrzebu. Ci zmarli reprezentowali kilka generacji nieznanej w historii dynastii królewskiej, która panowała w Mykenach na kilkaset lat przed Atreuszem, Agamemnonem i Orestesem.

Ów spór o Agamemnona ma w sobie coś porywającego. Stanowi on typowy przykład metod, jakimi posługuje się archeologia przy interpretacji wykopalisk i dociekaniu prawdy historycznej. Są to właściwie metody, jakich nie powstydziłby się Sherlock Holmes. Opierając się na ledwo dostrzegalnych nieścisłościach, przeoczonych przez Schliemanna, Dörpfeld i inni archeolodzy doszli drogą dedukcji do zupełnie nieoczekiwanych wyników: odkryli nieznaną epokę dziejów greckich, co więcej – pokusili się o ustalenie jej daty.

Zdumiewającą trafność ich rozumowania potwierdziły zresztą w całej pełni wykopaliska na Krecie, przeprowadzone już po śmierci Schliemanna. Po odkopaniu pałacu Minosa w Knossos Artur Evans ustalił, że jego ruiny nie pochodzą z jednej epoki: Kreteńczycy bowiem z pokolenia na pokolenie wznosili na fundamentach zniszczonych już murów nowe gmachy, coraz to rozleglejsze i piękniejsze. Dzięki temu pozostały wyraźne ślady ich budownictwa w różnych okresach w postaci dokładnie zarysowanych warstw kulturowych. Na samym dnie odnalazł on grubą warstwę z epoki gładzonego kamienia, świadczącą o bardzo starym pochodzeniu osiedla.

Główne zadanie Evansa polegało na próbie opracowania układu warstwicowego odkopanego zabytku, to jest na dokładnym zbadaniu i określeniu epok pojedynczych warstw kulturowych, gdyż zdawał sobie sprawę, że jedynie tą drogą można było rzucić nieco światła na historię Krety.

W normalnych warunkach zadanie to niełatwe byłoby do wykonania. Na szczęście, jeśli chodzi o Kretę, mieszkańcy jej od najdawniejszych czasów utrzymywali ożywione stosunki z Egiptem, którego chronologię poznano już bardzo dokładnie dzięki odczytanym wówczas hieroglificznym napisom na ścianach grobowcowych.

W jednej z warstw odkrytych w Knossos Evans znalazł egipski posążek z diorytu pochodzący z lat 2000 do 1790 p.n.e., a więc

z okresu Średniego Państwa Egiptu. Rzecz oczywista, że wszystkie inne znaleziska, wydobyte z tejże samej warstwy kulturowej, szczególnie zaś skorupy ceramiczne z pewnym jednolitym stylem ornamentów – nie mogły powstać wcześniej niż na 2000 lat p.n.e. Ponieważ Evans również w dolnych i wyższych nawarstwieniach ruin znalazł przedmioty pochodzenia egipskiego, potrafił więc stopniowo odtworzyć względnie dokładnie dzieje powstania pałacu minojskiego.

Pomogli mu w tej żmudnej pracy egiptolodzy. W grobowcach faraonów spotyka się często przedmioty artystyczne o kształcie i ornamencie nieznanym w Egipcie. Archeolodzy zdawali sobie sprawę, że nie są to wyroby egipskie, nie umiano jednak określić, z jakiego kraju je sprowadzano. Dopiero wykopaliska w Knossos pozwoliły ustalić, że pochodziły z Krety. Najważniejszą rzeczą było jednak to, że dzięki odczytanym hieroglifom wiedziano, kiedy je przywieziono do Egiptu. Toteż porównując kreteńskie przedmioty z grobów egipskich z podobnymi znaleziskami na Krecie, można było dokładnie przekontrolować chronologię warstw kulturowych pałacu.

W jaki sposób za pomocą tej metody określono epokę powstania grobów szybowych w Mykenach? Wiemy, że już w czasie swego pobytu u Schliemanna Evans zwrócił uwagę na podobieństwo występujące w strojach mykeńskich i kreteńskich kobiet. Wykopaliska w Knossos nie tylko potwierdziły jego spostrzeżenia, lecz ujawniły jeszcze, iż wpływ kultury Krety na kulturę Myken był większy, niż pierwotnie podejrzewano. Duża część broni, biżuterii i naczyń z grobów szybowych niewątpliwie powstała na Krecie bądź też została sporządzona na miejscu przez rzemieślników stamtąd przybyłych.

Na podstawie warstwicowej metody badań, stosowanej przez Evansa na Krecie i sprawdzonej przez egiptologów na egipskich wykopaliskach, nietrudno było ustalić daty pochodzenia przedmiotów z grobów mykeńskich. I oto wyniki tych badań zgadzały się z tym, co krytycy Schliemanna wywnioskowali jedynie tylko drogą dedukcji: groby szybowe w Mykenach powstały już

w XVI wieku p.n.e., nie mogły więc zawierać zwłok Agamemnona i jego druhów, którzy żyli w XII wieku p.n.e.

Ponieważ badania archeologiczne wykazały, że wpływy kultury kreteńskiej docierały również do Troi, można było tą samą metodą sprostować drugą, nie mniej poważną omyłkę Schliemanna. Zauważył on, jak to już mówiliśmy, że ruiny tego miasta składają się z kilku spiętrzonych na sobie osiedli, które na przestrzeni dziesiątków wieków ulegały kolejno zagładzie. Późniejsi archeolodzy naliczyli dziewięć tego rodzaju nawarstwień, a ostatnio stwierdzono ich dwanaście. Schliemann przyjął, że trzecie od dołu osiedle jest miastem króla Priama, mimo że nędzne jego mury zadawały kłam relacjom Homera, jakoby Troja była potężną warownią. Na podstawie znalezisk pochodzenia kreteńskiego ustalono niebawem, że Trojąą Homera jest siódme od dołu osiedle. Potwierdzają to zresztą ogromne mury warowne oraz ruiny świątyni i pałacu, z których można wnioskować, że było to ludne i wspaniałe miasto, zdolne wytrzymać przez dziesięć lat oblężenie wielotysięcznej armii bitnych wojowników greckich.

Odkrycie Schliemanna i Evansa, uzupełniane wciąż jeszcze nowymi danymi uzyskanymi przez archeologów, pozwalają odtworzyć obecnie ogromny szmat nieznanych dotąd dziejów. Jest to historia pełna niespodzianek i nieprzeczuwalnych dramatycznych wydarzeń. Na przestrzeni tego okresu powstawały, rozkwitały i ginęły kolejno różne ludy i ich kultury.

Najniższa warstwa kulturowa odkryta w Knossos wskazuje, że w okresie między czwartym a trzecim tysiącleciem p.n.e. pojawiły się na Krecie plemiona neolityczne, żyjące w ustroju wspólnoty rodowej i posługujące się narzędziami z gładzonego kamienia. Byli to nie tylko dzielni rybacy, rolnicy, hodowcy bydła, lecz również wytrawni żeglarze, obyci z dalekimi wyprawami morskimi.

Kreta opływała wtedy we wszelkie dobrodziejstwa natury. Toteż równiny pokrywały łany pszenicy, jęczmienia i lnu, a stoki górskie winnice i gaje oliwne. W zacisznych kotlinach zieleniły się bujne pastwiska, na których hodowano bydło dostarczające mięsiwo i nabiał. Uprawiano również szafran służący do barwienia tkanin lnianych. W zagrodach gospodarskich roiło się od kaczek, kur,

gołębi i łabędzi. Sadyby otaczały ogrody warzywne i zagony irysów, lilii, tulipanów, hiacyntów oraz innych kwiatów. Ogołocone dziś wzgórza pokrywały wówczas gęste lasy cyprysowe, skąd brano budulec na domy i okręty.

Największe jednak bogactwa czerpali Kreteńczycy z położenia geograficznego wyspy, leżącej między Europą, Azją i Afryką. Dzięki niemu ludność szybko się bogaciła, prowadząc handel morski z tymi kontynentami.

Dobrobyt ten spowodował niebawem głębokie przeobrażenia społeczne. W ciągu trzeciego tysiąclecia p.n.e. wspólnota rodowa uległa stopniowemu rozkładowi. Wybieralna dawniej starszyzna stała się z czasem dziedziczna i zagarnęła w swoje ręce władzę oraz prawo do zysku z handlu morskiego. W ten sposób uzależniła od siebie wolnych dotychczas chłopów, a nawet wprowadziła niewolnictwo. Tak więc społeczeństwo rozwarstwiło się. Nastąpił podział na arystokratów, urzędników dworskich, kupców, chłopów i bardzo licznych rzemieślników, którzy osiedlili się w miastach, gdzie trudnili się wytwarzaniem przedmiotów artystycznych, przeznaczonych na użytek dworu i na wywóz do krajów zamorskich.

Kreteńskie okręty handlowe, zaopatrzone w żagle lub poruszane w czasie ciszy wiosłami, docierały do najdalszych krajów Morza Śródziemnego. Wyroby rzemieślników kreteńskich znaleźli archeolodzy w Egipcie, Libii, Azji Mniejszej, Fenicji, na Wyspach Cykladzkich, w Grecji, południowej Italii, na Sardynii, w Hiszpanii, na Malcie i Balearach. Kreteńczycy, według przypuszczeń, handlowali nie tylko przedmiotami zbytku, lecz również niewolnikami. Za swoje towary otrzymywali złoto, srebro, kość słoniową, szlachetne gatunki drewna, wyroby ze szkła i fajansu oraz artykuły spożywcze. W ruinach Knossos znaleziono na przykład ziarna pewnej odmiany fasoli, która rośnie tylko w Egipcie.

W początkach drugiego tysiąclecia p.n.e. kamień zostaje ostatecznie wyparty przez brąz. Kreta staje się wtedy mocarstwem rozporządzającym potężną flotą wojenną, która zapewniła jej hegemonię na Morzu Egejskim. Na wyspie powstają cztery ośrodki handlowe, mianowicie w Knossos, Faistos, Hagii Triadzie i Mallii. Rządzą tam niezależni od siebie królowie, mieszkający w okazałych

pałacach. Są to już wyraźnie wykształcone państwa właścicieli niewolników z nieliczną warstwą arystokracji na czele, trzymającej w uległości pozostałe klasy społeczeństwa.

Około 1700 roku p.n.e. nawiedziła Kretę jakaś wielka katastrofa. Skąd dowiedzieliśmy się o niej? Otóż w pochodzącej z tych samych czasów warstwie ruin pałaców w Knossos, Faistos, Hagii Triadzie i Mallii Evans i inni archeolodzy odkryli pogruchotane posążki, zwęglone drzewo i zgliszcza po szalejącym pożarze. Nie ulega wątpliwości, że pałace królów dzielnicowych zostały wtedy kompletnie zniszczone.

Co do przyczyny tego kataklizmu wysuwano różne hipotezy. Jedni uważali, że Kreta stała się ofiarą najeźdźców plemion zamorskich, inni doszukiwali się jej w trzęsieniu ziemi, które zresztą do dnia dzisiejszego nawiedza Kretę.

Obecnie szala przechyliła się na korzyść trzeciej teorii. Zwolennicy jej twierdzą, że na Krecie wybuchła wówczas między królami dzielnicowymi wojna domowa o hegemonię na wyspie. Byli to dawniejsi naczelnicy plemion, którzy zachowali niezależność polityczną, z czasem jednak coraz bardziej zaczęła im zagrażać wzrastająca potęga władcy z Knossos. Zawiązali więc między sobą koalicję i wystąpili przeciwko niemu orężnie.

Za tą teorią przemawia szereg zastanawiających okoliczności. Otóż wszystkie pałace w Knossos, Faistos, Hagii Triadzie, Mallii i innych miejscowościach nie różniły się przed katastrofą ani rozmiarami, ani wspaniałością wyposażenia. Były to najwidoczniej rezydencje udzielnych książąt, utrzymujących między sobą stosunki dyplomatyczne jak równi z równymi. Natomiast po wojnie sytuacja zmieniła się zupełnie. W Knossos wybudowano rozległą, pełną niesłychanego przepychu budowlę, stanowiącą równocześnie siedzibę scentralizowanej administracji, w pozostałych zaś miastach wzniesiono pałacyki, w których, sądząc po ich skromnych wymiarach, rezydowali już tylko namiestnicy prowincjonalni. Wynikałoby z tego, że król Knossos wyszedł z tej wojny zwycięzcą i stał się na wyspie monarchą despotycznym typu wschodniego.

Nie można zresztą wątpić, iż obcy najazd, który przecież całą wyspę obrócił w perzynę, zadałby kulturze kreteńskiej cios

śmiertelny. Tymczasem stało się inaczej. Miasta i pałace szybko podniosły się z ruin i zjednoczone państwo kreteńskie weszło w okres swego największego rozkwitu i potęgi. Król Krety, rozporządzając flotą wojenną, podporządkował sobie Cyklady, Peloponez i niektóre miasta na pobrzeżu Azji Mniejszej. Zakładano tam osady handlowe podległe państwu kreteńskiemu. Był to ów złoty wiek króla Minosa, wiek bogactwa i wysokiej kultury artystycznej, wiek, o którym przetrwała pamięć w legendach o zakładnikach ateńskich, Tezeuszu, Dedalu i Minotaurze.

Na podstawie wykopalisk archeologicznych stwierdzono szereg swoistych cech, różniących Kreteńczyków od wszystkich innych ówczesnych ludów Azji i Afryki. Tak np., w przeciwieństwie do Babilończyków, Asyryjczyków i Egipcjan, społeczeństwo kreteńskie nie wytworzyło w swoim łonie odrębnej kasty kapłanów. Kobiety kapłanki odprawiały obrzędy religijne pod gołym niebem, w gajach i na polankach. Przedmiotem kultu była Matka Ziemia, byk jako symbol płodności oraz kwiaty, ryby, drzewa i kamienie. Na freskach widzimy kapłanki, jak składają na ołtarzu obiaty, jak kroczą w uroczystych procesjach lub też wiodą rytualne tańce. Przypuszcza się, że król Krety piastował równocześnie urząd najwyższego kapłana.

Na dwa tysiące lat p.n.e., a więc w okresie pełnego już rozkwitu kulturalnego Krety, Peloponez i niektóre wyspy Morza Egejskiego zamieszkiwały plemiona śródziemnomorskie, nazywane przez starożytnych Greków Lelegami, Pelazgami i Karami. Prawdopodobnie żyły one w ustroju wspólnoty rodowej i nie budowały większych miast, posługiwały się już jednak wyrobami z brązu. Język ich poszedł w zapomnienie, ale pewna liczba słów, jak nazwy miejscowości i niektórych kwiatów (hiacynt, narcyz), przejęte zostały przez język grecki. Nawet nazwę morza *talassa* Grecy zapożyczyli od tych zaginionych ludów.

W początkach drugiego tysiąclecia p.n.e. przywędrowali z północy najstarsi przodkowie Greków, Achajowie. Były to plemiona barbarzyńskie i wojownicze, zakute w pancerze z brązu. Podbiły one z łatwością miejscową ludność i pobudowały potężne warownie w Mykenach, w Tirynsie i innych miejscowościach Argolidy, by

zabezpieczyć się nie tylko przed obcymi najazdami, lecz również przed buntami podbitych tubylców.

Pałace, warownie oraz groby królewskie są widomym świadectwem wszechpotęgi królów mykeńskich. Cyklopowe mury tych imponujących swoim ogromem budowli powstały wysiłkiem niezliczonej liczby niewolników, przedstawicieli ujarzmionej ludności tubylczej. Państewka achajskie były więc monarchiami opartymi na niewolnictwie. Rządzili w nich despotycznie książęta jako udzielni władcy, połączeni z sobą pokrewieństwem krwi i luźną federacją; z biegiem czasu jednak król Myken zdobył nad nimi hegemonię. Tukidydes powiada, że Agamemnon przedsięwziął wyprawę trojańską „jako najpotężniejszy człowiek swego czasu".

Od roku 1700 p.n.e. Achajowie zaczynają ulegać wpływom wyższej kultury kreteńskiej. Dwory achajskie sprowadzają z Knossos artystyczne wyroby jubilerskie i broń inkrustowaną; kobiety ubierają się według mody kreteńskiej. W ten sposób narodziła się jednolita kultura, nazwana przez historyków kulturą mykeńsko-minojską. Achajowie nie wyrzekli się jednak do końca swoistych rysów surowości i męskiej tężyzny; w przeciwieństwie do Kreteńczyków nosili brody i wąsy, a życie swoje spędzali na polowaniach i wyprawach wojennych.

Tukidydes podaje, że plemiona achajskie zajmowały się korsarstwem. Później jednak zorganizowały wspólną flotę wojenną, która stała się groźnym konkurentem floty Krety. Od XV wieku p.n.e. począwszy, Argolida, zapewne pod panowaniem Atrydów, wyrasta na mocarstwo morskie. Achajowie wypierają Kreteńczyków z ich posiadłości i zajmują kolejno Cyklady, wyspy Rodos, Kos i Cypr, a nawet zakładają kolonię w Azji Mniejszej.

W roku 1400 p.n.e. dokonali najazdu na Kretę i zadali jej klęskę, z której już się nie podniosła. Przejmujące ślady tego historycznego wydarzenia można do dziś dnia oglądać w ruinach i zgliszczach znalezionych w odpowiedniej warstwie kulturowej pałaców kreteńskich. Należy przypuszczać, że przed najazdem odbyła się gdzieś na Morzu Egejskim jedna z przełomowych w dziejach bitwa morska. Po rozgromieniu potężnej floty kreteńskiej brodaci wojownicy achajscy wtargnęli do komnat króla Minosa, wycinając

w pień owych wytwornych i zniewieściałych dworaków, tak kolorystycznie i subtelnie przedstawionych na freskach pałacowych.

Należy jeszcze powiedzieć kilka słów o piśmie kreteńskim. Na tabliczkach glinianych, wykopanych w Knossos, Evans wyodrębnił trzy kolejne fazy rozwojowe pisma kreteńskiego: pierwotnie używane hieroglify, pismo linearne a oraz najpóźniejsze pismo linearne b, pochodzące ze złotego okresu Krety. Większość tabliczek zawiera ów ostatni typ pisma.

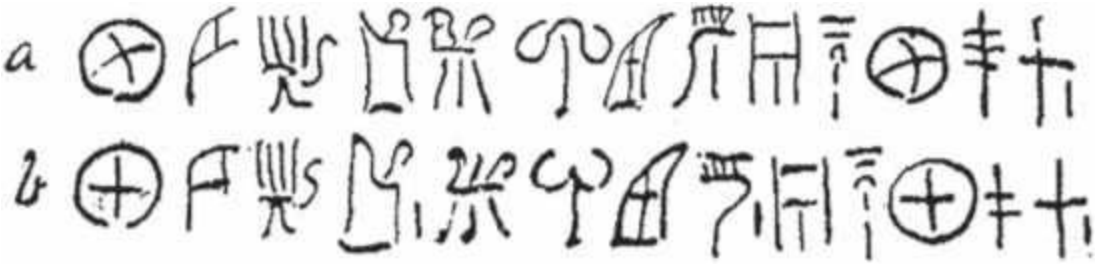

Pismo Kreteńczyków

W roku 1948 czeski uczony Bedrzych Hrozny ogłosił sensacyjną wiadomość, że rozszyfrował pismo linearne b, nad którym daremnie biedzili się przez lata najwięksi językoznawcy. Metody, które stosował Hrozny, są niezmiernie skomplikowane i wymagają dla ich zrozumienia znajomości wielu języków starożytnego Wschodu, którymi uczony posługiwał się jako materiałem pomocniczym.

Po śmierci Hroznego stwierdzono jednak niezbicie, że metoda jego była błędna i sprowadziła go na manowce. Zasługa odczytania pisma linearnego *b* przypadła Anglikowi M. Ventrisowi, który był z zawodu architektem, a więc amatorem w dziedzinie badań lingwistycznych. John Chadwick, autor książki *Rozszyfrowanie pisma linearnego b* oraz przyjaciel odkrywcy, podaje ciekawą dla nas informację, że mówił on płynnie po polsku, ponieważ matka jego, jak się wyraża, była „pół-Polką”. Ventris zginął w 1956 roku w katastrofie samochodowej.

Punktem wyjścia dla Ventrisa stała się zupełnie oryginalna hipoteza. Opierając się na fakcie, że tabliczki z pismem linearnym *b* znaleziono nie tylko na Krecie, lecz również na stałym lądzie Grecji, gdzie panowała kultura mykeńska Achajów, założył, że pismo to

zostało zaadoptowane przez język grecki w jego ówczesnej pierwotnej formie rozwojowej, czyli że hieroglifami i pismem linearnym *a* posługiwali się Kreteńczycy, a pismem linearnym *b* najstarsi przodkowie Greków, zanim w kilka stuleci później przyswoili sobie znacznie dogodniejszy alfabet Fenicjan.

Hipoteza okazała się trafna. Posługując się klasycznym językiem greckim jako narzędziem pomocniczym, Ventris odczytał szereg tabliczek znalezionych na lądzie greckim. Stwierdził przy tym, że pismo to składa się ze znaków fonetycznych wyrażających sylaby, jak też ze znaków obrazkowych. Nad dalszym rozszyfrowaniem tego pisma metodą Ventrisa pracowali również uczeni polscy profesor R. Ranoszek i doktor J. Safarewicz z Krakowa[4].

Odczytane dotąd teksty zawierają wyłącznie spisy, rachunki i rejestry, potwierdzają jednak ponad wszelką wątpliwość dwa historyczne przypuszczenia: po pierwsze, że Achajowie byli Grekami, po drugie, że oni to dokonali podboju Krety, o czym świadczą tabliczki z ich pismem, znalezione w liczbie 1700 w ruinach Knossos.

Przeszkodą do odczytania hieroglifów i pisma linearnego a jest nie tylko nieznajomość języka kreteńskiego, lecz również ta okoliczność, że znaleziono dotąd bardzo niewiele tabliczek z oboma typami pisma, uczeni więc nie dysponują dostatecznym materiałem naukowym. Sprawa zatem pochodzenia etnicznego Kreteńczyków pozostaje nadal tajemnicą historii.

Usadowiwszy się na Krecie, Achajowie zaczęli rozglądać się za nowymi zdobyczami. W XIII i XII wieku p.n.e. sprzymierzyli się z niektórymi narodami Anatolii i dwukrotnie podjęli próbę opanowania Egiptu. Za każdym jednak razem – jak donoszą napisy egipskie – zostali odparci i rozgromieni przez faraonów.

Klęski egipskie bynajmniej nie uśmierzyły ambicji zdobywczych Achajów. Nad Hellespontem wznosiła się Troja, starodawne ludne miasto i niezdobyta warownia, od niepamiętnych czasów słynąca z bogactw i przepychu. Dzięki dogodnemu położeniu na pograniczu Europy i Azji Troja skupiała w swoim ręku cały handel Anatolii, Azji i południowego pobrzeża Morza Czarnego.

Pod jej murami odbywały się corocznie jarmarki, na których kupcy ze wszystkich stron świata sprzedawali i nabywali najrozmaitsze towary.

Fortyfikacjom Troi należy przypisać, że Kreteńczycy nigdy nie zdołali opanować handlowo Anatolii. Nigdy też nie czuli się na siłach pokonać Troi, bo na to nie wystarczała sama flota, lecz trzeba było mieć wojsko lądowe, biegłe w sztuce oblężniczej i kruszeniu murów warownych, którego Kreteńczycy nie posiadali.

Achajów nęciło nie tylko złoto, nagromadzone w pałacu trojańskim, lecz również wielkie możliwości, jakie otworzyłyby się dla ich handlu w razie zdobycia miasta. Wyruszyli więc na Troję i po dziesięcioletnim wysiłku zburzyli ją około roku 1180 p.n.e.

Nie zażywali jednak zbyt długo owoców zwycięstwa. Mniej więcej w osiemdziesiąt lat później przywędrowały z północy nowe barbarzyńskie plemiona greckie, znane pod wspólną nazwą Dorów, przodków późniejszych historycznych Greków. Były to ludy bitne i surowe, w krótkim też czasie zdobyły i zrównały z ziemią warownie w Mykenach, Tirynsie i Orchomenos, opanowały Peloponez, Kretę i wyspy Morza Egejskiego, nawet dotarły do Azji Mniejszej.

Wraz z ich przybyciem nastąpił upadek kultury mykeńsko-minojskiej. Nad światem egejskim zapadła noc barbarzyństwa. Z mroków średniowiecza greckiego ocalały jednak klechdy o Krecie i wojnie trojańskiej, przekazywane z ust do ust przez wędrownych pieśniarzy ludowych. W kilkaset lat później Homer zebrał wszystkie te legendy w jedną całość i stworzył dwa arcydzieła poezji epickiej: *Iliadę* i *Odyseję*. Zwiastowały one niby jutrznia nową erę odrodzenia i rozkwitu kulturalnego, która niebawem zapłonąć miała wielką jasnością nad lądem i wyspami Grecji.

Pompeja i Herkulanum

MIASTA ŻYWCEM POGRZEBANE

W KAMPANII, LEŻĄCEJ NAD ZATOKĄ NEAPOLITAŃSKĄ, panowała słoneczna sierpniowa pogoda. Od strony morza ciągnęły rześkie wiatry pełne słonego smaku. W kąpieli błękitnego powietrza uganiały się stada mew, pokrzykując w radosnym uniesieniu.

Złotobłękitna zatoka upstrzona była płaskimi łodziami, na których rybacy mocowali się z zarzuconymi do wody sieciami. Na samej krawędzi wypukłej tafli morskiej, wśród miliardów ogników i błysków rozfalowanej wody sunęła spokojnie wojenna trirema. Wiosła, trzymane w krzepkich rękach niewolników, poruszały się z regularnością wahadła. Baza okrętu mieściła się w pobliskim Misenum, gdzie stacjonowała flota rzymska dowodzona przez patrycjusza i uczonego przyrodnika, Pliniusza Starszego.

Wzdłuż brzegu i na stoku Wezuwiusza bieliły się wśród winnic i sadów wille rzymskich senatorów i ekwitów. W głębi lądu czerwieniły się dachy Pompei, otoczonej potężnym murem obronnym i wieżycami. Zbliżając się do jednej z bram miejskich, trzeba było przejść przez ulicę zmarłych, obok grobowców bogaczy pompejańskich.

W mieście kipiało jak w ulu. Wąskimi uliczkami, wybrukowanymi płytami z bazaltu, płynął wartki potok ludzkiego tłumu. Wzdłuż wąskich a wysokich chodników ciągnęły się otwarte na całą szerokość sklepy z najrozmaitszym towarem, szynkownie, jadłodajnie, zajazdy i warsztaty rzemieślnicze.

Mniej więcej w pośrodku tego labiryntu ulic i zaułków otwierał się przestronny czworobok rynku, majestatyczne forum, otoczone kolumnadą, świątyniami i gmachami publicznymi. Wykwint

i dostojność budowli, wzniesionych na wysokich podbudowaniach, ozdobionych portykami i stiukaturami, olśniewających odświętną bielą, tworzyły osobliwy kontrast z jarmarcznym ożywieniem ruchu ulicznego.

W jednym z domów pompejańskich zachowało się malowidło ścienne, w którym nieznany artysta uchwycił życie powszednie forum na gorąco. Widzimy tam posągi z marmuru i brązu pełne świetności i spokojnego piękna, ale ich cokoły szpecą napisy wyborcze wymalowane czerwoną farbą. Dorycka kolumnada jest obwieszona girlandami – zapewne pozostałość po jakiejś niedawnej uroczystości miejskiej. Garncarze i inni rękodzielnicy zachwalają swoje wyroby, a tuż obok zażywny handlarz wystawił na sprzedaż młodą niewolnicę. W innym miejscu rynku rozgrywa się zabawna scena: rozsierdzony bakałarz okłada pośladek ucznia rózgami.

Pompeja była niewielkim miastem, liczyła tylko dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Ale z powodu swych bogactw i dawnych tradycji, jak również ze względu na łagodny klimat i malownicze położenie cieszyła się w całej Italii zasłużoną sławą.

Było to miasto zaiste stare i bogate w historię. Tysiąc lat p.n.e., wypierani przez doryckie plemiona, Eolczycy i Jończycy wywędrowali z Grecji i osiedlili się nad Morzem Czarnym i Morzem Śródziemnym. W ten sposób Grecy znaleźli się nad Zatoką Neapolitańską. Byli to przeważnie kupcy, którzy łatwo mieszali się z tubylczymi Oskami, narzucając im swój język i wysoko rozwiniętą kulturę. Wzdłuż zatoki wyrósł Neapol, zwany wtedy Parthenope, a bardziej na północ Herkulanum i Pompeja.

Miasta te zajmowali kolejno Etruskowie, Pelazgowie i Samnici.

Po wojnie samnickiej (343-290 p.n.e.) Pompeja wraz z całą Kampanią dostała się pod panowanie Rzymian. Ale dopiero w pierwszym wieku p.n.e. nastąpiło całkowite jej zromanizowanie, choć kultura i język grecki, podobnie jak to było w całej Italii, zajmowały wobec języka i kultury rzymskiej równorzędne stanowisko.

Pompejańczycy szybko pogodzili się z nową władzą, zrozumieli bowiem korzyści płynące ze światowego handlu wielkiego mocarstwa, jakie przypadły im w udziale. Położone przy ujściu rzeki

Sarno miasto zbudowało mały port morski i nawiązało stosunki handlowe ze Wschodem, szczególnie z Egiptem, skąd sprowadzało najdelikatniejsze przysmaki stołu i różnego rodzaju artykuły zbytku dla wzbogaconych na wojnach patrycjuszy rzymskich.

Poza rękodzielnictwem, uprawianym w sposób chałupniczy, Pompeja nie mogła pochwalić się znaczniejszym przemysłem. Jednakże winnice jej wytwarzały słynne wino, które po dziś dzień pod nazwą Lacrimae Christi należy do najprzedniejszych gatunków win włoskich. Produkowała ona również z własnego bazaltu kamienie młyńskie, a przede wszystkim poszukiwany w całej Italii sos do potraw, sporządzony ze skumbrii, muren i tuńczyków z przyprawą korzenną.

Ale głównym źródłem dobrobytu Pompei były jej położenie i klimat. Rzymianie wznosili nad czarowną zatoką, pachnącą mirtem, różami i morzem, swoje wille i pałace letnie, a w miarę ich napływu miasto kamieni, cegieł i tynku przeobrażało się w strojną miejscowość marmurów, wodotrysków, portyków i brązów. Powstały monumentalne świątynie, pomniki, amfiteatr na dwadzieścia tysięcy widzów, teatr dramatyczny, zamknięty teatr muzyczny zwany Odeonem, trzy termy, czyli łaźnie, oraz imponujący system wodociągów, dostarczający wodę zamożniejszym domom rzymskim.

Znakomity prawnik, krasomówca i pisarz Cycero wspomina, że posiadał w Pompei willę, którą nazwał „Pompeianum”. Nawet rodziny cesarskie spędzały letnie miesiące w swoich pałacach w Pompei. W związku z ich pobytem wydarzył się zapisany w kronikach tragiczny wypadek. Oto w roku 21 n.e. trzynastoletni Druzus, syn późniejszego imperatora Klaudiusza, zabawiał się w ten sposób, że podrzucał gruszkę i łapał ją ustami. Gruszka wpadła mu kiedyś do gardła tak głęboko, że chłopiec zadławił się, zanim nadeszła pomoc lekarska.

Rzymianie przyznali miastu szerokie uprawnienia samorządowe. Na jego czele stało dwóch burmistrzów, zwanych *duumviri*, którzy jednocześnie byli przewodniczącymi rady miasta. Do zarządu należało jeszcze dwóch kwestorów sprawujących nadzór nad finansami i dwóch edylów – radców budownictwa miejskiego

czuwających jednocześnie nad bezpieczeństwem i porządkiem. Kandydaci, wybierani na okres roczny przez wszystkich wolnych obywateli miasta, musieli być ludźmi zamożnymi, ponieważ urzędy były nie tylko honorowe, lecz wymagały od kandydatów łożenia wielkich darowizn na igrzyska i budowle publiczne.

O cztery kilometry na północny zachód od Pompei, mniej więcej w połowie drogi do Neapolu, leżało rybackie miasteczko Herkulanum. Z powodu braku komunikacji nie było tam żywszej wymiany handlowej. Ludność Herkulanum zajmowała się wyłącznie rolnictwem i rybołówstwem. Uroczy widok na morze, bezcenny nektar powietrza i zaciszne położenie z dala od zgiełku Pompei i Neapolu sprawiły, że wielu zamożnych Rzymian właśnie tę osadę upodobało sobie jako miejsce wypoczynku.

W pobliżu Herkulanum wyrastały, szczególnie za panowania Augusta, jak grzyby po deszczu, wille, a nawet okazałe patrycjuszowskie pałace, pełne arcydzieł sztuki, mozaikowych posadzek, alabastrowych kolumn, wodotrysków i ogrodów. Wśród nich wyróżniał się ogromem i zbytkiem, wspaniałymi salami i marmurowymi tarasami na stokach brzegu morskiego pałac zięcia Juliusza Cezara, Luciusa Calpurniusa Pisona, głośnego przeciwnika Cycerona i gorliwego wyznawcy Epikura.

Z czasem miasto zatraciło charakter skromnej osady rybackiej i przeistoczyło się w prawdziwy klejnot architektury rzymskiej. Był tam teatr na 2500 widzów; wzdłuż jego półkolistego muru stały posągi z brązu, przedstawiające osoby rodziny cesarskiej i wybitnych obywateli miasta. Ściana, zamykająca scenę, zbudowana była z różnokolorowych marmurowych płyt i miała liczne nisze z popiersiami z marmuru i brązu. Wśród gmachów publicznych wyróżniała się potężna bazylika, siedziba miejscowego sądu i handlu, uwieńczona brązową kwadrygą, oraz świątynia poświęcona matce bogów Cybeli, uosabiającej siłę rozrodczą przyrody. Prawie wszystkie budynki publiczne zdobiły malowidła, mozaikowe posadzki i portyki z alabastru. Miasto miało brukowane ulice, wodociągi z ołowianych rur i zbytkownie urządzoną łaźnię publiczną.

Nad całą okolicą górował strzelisty stożek Wezuwiusza. Z pompejańskiego malowidła ściennego wiemy, że nie miał on wtedy otwartego krateru. Na jego stokach pasły się owce, rozpościerały się winnice i stały rozrzucone wille. Wezuwiusz milczał od niepamiętnych czasów i ludzie zapomnieli, że tonąca w zieleni góra była groźnym wulkanem.

W południe 5 lutego 63 roku n.e. Kampanię nawiedziło gwałtowne trzęsienie ziemi. Pod wpływem raptownego wstrząsu niektóre publiczne gmachy uległy poważnym uszkodzeniom. Największe spustoszenie spowodowała katastrofa na forum Pompei. Świątynie Jupitera i Apolla rozsypały się w gruzy, niemało ucierpiał również dorycki portyk zajmujący trzy strony rynku. Wodociągi przestały działać i mieszkańcy musieli korzystać ze starych studni, znajdujących się na ulicach.

Ale i wtedy nikomu nie przyszło do głowy, iż winowajcą był Wezuwiusz. Gazy i pary, nagromadzone w wulkanie, szukały ujścia na zewnątrz, nie miały jednak na tyle siły, żeby wybuchnąć. Mieszkańcy Kampanii kładli katastrofę na karb bogów i usiłowali ich gniew ułagodzić zwielokrotnionymi ofiarami.

W niespełna rok po tej klęsce odbywał się w teatrze neapolitańskim wielki festiwal muzyczny. Wystąpił w nim jako śpiewak cesarz Neron, niepoprawny histrion, który wyobrażał sobie, iż jest największym na świecie artystą. W chwili gdy popisywał się swoją sztuką, oklaskiwany przez pospólstwo i klakę zorganizowaną z pretorianów – nastąpił ponowny wstrząs ziemi i ściany teatru rozpadły się w gruzy. Widzów ogarnęła panika, ale Neron, jak twierdzą kroniki, stał nieporuszony na arenie i swoją zimną krwią zyskał sobie podobno poklask całego miasta.

Nadszedł pamiętny dzień 24 sierpnia 79 roku n.e. Jak już na początku wspominaliśmy, niebo było błękitne, pozbawione obłoków. Słońce przypiekało od samego rana; mieszkańcy Pompei i Herkulanum poruszali się po mieście z leniwą ociężałością. Po brukowanych ulicach Pompei turkotały dwukołowe wozy naładowane zbożem i jarzynami, rybacy śpiewnym głosem zachwalali swój nocny połów, straganiarze i rzemieślnicy

z trzaskiem otwierali drewniane podwoje sklepów, przez ciżbę przekupniów przepychali się niewolnicy kucharze i chłopcy śpieszący do szkoły. Od czasu do czasu któryś z przechodniów zatrzymywał się przy bufecie otwartej szynkowni, by ugasić pragnienie kubkiem taniego wina. Grupki ludzi stawały przed ogłoszeniami wyborczymi zachwalającymi kandydatów do zbliżających się wyborów komunalnych. Miasta Kampanii rozpoczęły nowy dzień, pełen zapobiegliwego zgiełku.

O godzinie pierwszej, kiedy mieszkańcy zasiadali do obiadu, rozległ się nagle potworny, ogłuszający łoskot; potężne dreszcze wstrząsnęły ziemią, domy zachwiały się jak pijane. Z wierzchołka Wezuwiusza trysnął pod niebo płomień ognia wśród chmur czarnego dymu. Z gardzieli otwierającego się krateru wystrzeliły pióropusze wirującego popiołu i drobnych kamieni pumeksowych, do tego stopnia zasłaniając słońce, że nastały zupełne ciemności, rozświetlone jedynie rudym ogniem wulkanu.

Na Pompeję zaczął opadać coraz gęstszy grad popiołów i kamieni, których waga dochodziła nieraz do sześciu kilogramów. Ptaki spadały z nieba; fale morskie wyrzucały na wybrzeże martwe ryby. Wśród ludzi i zwierząt powstał nieopisany popłoch; każdy myślał tylko o swoim własnym ocaleniu. Przez ciemne ulice mknęły jak szalone wozy i rydwany zaprzęgnięte w konie i muły. Mężczyźni, kobiety i dzieci z narzuconymi poduszkami na głowach miotali się w ciasnych uliczkach wśród gęstych wyziewów siarki, w których nie sposób było oddychać.

Nie wszyscy Pompejańczycy w porę szukali ocalenia poza murami miasta. Niejeden poddał się złudzeniu, że deszcz wulkaniczny nie potrwa zbyt długo, i schronił się do piwnicy najbliższego domu, swą opieszałość przypłacając własną zgubą. Popiół i kamienie spadały na miasto bez przerwy, aż na ulicach i placach potworzyły się kilkumetrowe, grząskie, trudne do przebycia usypiska. Ci, którzy poniewczasie próbowali umknąć z miasta, utknęli w zaspach i bombardowani kamieniami padali martwi, trzymając kurczowo swój najdroższy dobytek. Inni znowu ginęli w gruzach domów, które zawalały się pod ciężarem piętrzącej się warstwy popiołów

i kamieni. W ten sposób znalazło śmierć z górą dwa tysiące Pompejańczyków, dokładnie dziesięć procent ludności miejskiej.

Nikt nie mógł przewidzieć rozmiarów katastrofy. Deszcz wulkaniczny padał na miasto jeszcze przez dwa następne dni wśród najgłębszych ciemności, tylko z gardzieli Wezuwiusza buchały czerwone płomienie. Dopiero 27 sierpnia słońce zaczęło przedzierać się przez zadymkę popiołów unoszącą się nad ziemią. Ocalali ludzie ujrzeli opłakany widok. Pompeja i Herkulanum całkowicie znikły pod piętnastometrową powłoką popiołów i kamieni, tylko tu i ówdzie wychylały się na powierzchnię pojedyncze kolumny i dachy wyższych budowli. Całun wulkaniczny zaległ okolicę w promieniu osiemnastu kilometrów. Wiatry zagnały siwy popiół aż do Rzymu, a nawet na pobrzeże Afryki, Sycylię i do Egiptu.

Zgoła odmienny przebieg miała katastrofa w Herkulanum. Na stoku Wezuwiusza, leżącego tylko w odległości czterech kilometrów od miasteczka, rozwarło się pęknięcie podobne do ropiejącej rany. Z pęknięcia wylewał się gęsty, lepki szlam powstały z pomieszania wody morskiej, popiołu i drobnych kamieni, tak zwanych lapilli. U stóp wulkanu utworzyła się szeroka rzeka: jej czoło składało się ze ściany błota wysokiej na piętnaście metrów. Z niepowstrzymaną, choć nierychliwą mocą ów apokaliptyczny potok pożerał świątynie, domy, urocze wille, marmurowe kolumny, gmachy publiczne i mury amfiteatru. Powoli Herkulanum znikało pod piętnastometrowym zalewem szlamu, który pod działaniem słońca szybko twardniał na kamień.

W przeciwieństwie do Pompejańczyków mieszkańcy Herkulanum na czas poznali grożące im niebezpieczeństwo i zrozumieli, że wobec zbliżającego się potoku mułu nie pozostaje im nic innego jak tylko ucieczka. Nikt nie usiłował ratować swego dobytku ani chronić się w piwnicy, toteż prócz paru nieszczęśników, którym kalectwo lub starość nie pozwoliły wcześniej się wycofać, cała ludność Herkulanum wyszła z przygody bez szwanku.

Dokładne wiadomości o przebiegu katastrofy zawdzięczamy wielkiemu historykowi rzymskiemu Tacytowi. W roku 106 zwrócił się on do swego przyjaciela Pliniusza Młodszego, siostrzeńca wspomnianego już dowódcy floty rzymskiej w Misenum, Pliniusza

Starszego, by zechciał mu podać wszystko, co wiedział, o wybuchu Wezuwiusza i śmierci swego stryja.

Pliniusz Młodszy odpowiedział mu w dwóch obszernych listach, które szczęśliwym zbiegiem okoliczności ostały się do naszych czasów.

Komendant floty otrzymał od swej przyjaciółki Rektiny, która miała willę na stoku Wezuwiusza, list z prośbą, by ratował ją z ciężkich opałów. Pliniusz Starszy kazał natychmiast przygotować lekki okręt i wypłynął na morze. Przedzierając się przez gęstą chmurę popiołu i kamieni, dyktował sekretarzowi swoje spostrzeżenia i przeżycia. Ale wkrótce mielizny i skłębiona kipiel morska udaremniły mu dalsze żeglowanie. Wbrew radzie kapitana skierował się następnie do Stabiae, gdzie zginął w gwałtownym deszczu wulkanicznym, zaczadzony przez trujące wyziewy siarkowe.

Pliniusz Młodszy opisuje następnie to, co go osobiście spotkało:

> Tymczasem przebywałem jeszcze z matką w Misenum. Całą noc podczas nieobecności stryja trwało gwałtowne trzęsienie ziemi.
>
> O wschodzie słońca matka, zdjęta przerażeniem, wpadła do mojej sypialni. Postanowiliśmy opuścić miasto bez zwłoki, widząc, że wszystkie domy lada chwila mogą zapaść się w gruzy. Za naszym przykładem poszła ludność miasta, która parła naprzód i mijała nas w pośpiechu.
>
> Przy tej sposobności można było obserwować niezwykłe sceny. Wstrząsy tak miotały pojazdami, iż każdej chwili groziło im wywrócenie. Morze zdawało się cofać, pozostawiając na piasku mnóstwo stworów wodnych. Na niebie piętrzyła się złowieszcza, czarna chmura łyskająca błyskami i płomieniami.
>
> Za chwilę otoczyła nas czarna noc, przypominająca ciemności w nieoświetlonym pokoju. Słyszało się skargi matek, płacz dzieci, nawoływania mężczyzn. Przywoływano rodziców, dzieci, mężów i żony. Jedni opłakiwali swój własny los, inni znowu biadali nad losem swoich bliskich, byli nawet tacy, co się o śmierć modlili. Wielu wznosiło błagalnie ręce ku bogom, większość jednak krzyczała, że bogów już nie ma na świecie i że oto nastała ostatnia noc wiekuista.

Los Kampanii wywarł głębokie wrażenie na społeczeństwie italskim. Cesarz Tytus ustanowił komisję senacką w celu udzielenia pomocy nieszczęśliwym ofiarom Wezuwiusza; udał się nawet

osobiście na miejsce, by naocznie przekonać się o rozmiarach katastrofy.

Podczas swego pobytu rozkazał wywieźć z Pompei wszystko, co się dało, zwłaszcza posągi bogów i cesarzy, jakie można było odgrzebać. Zdzierano nawet marmury z kolumn i attyk wyzierających na powierzchnię. Mieszkańcy domów wkopywali się tunelami do swoich komnat i wybierali z nich co wartościowszy dobytek, ślady tych poszukiwań w postaci wyłomów w murach można widzieć dotąd w ruinach odkopanego miasta.

Inaczej przedstawiała się sprawa w Herkulanum. Tam skorupa wulkaniczna, twarda jak skała i gruba na piętnaście metrów, udaremniała tego rodzaju akcję ratunkową. W dodatku z biegiem czasu na pagórku powstała duża wieś Resina, co bardzo utrudniło poszukiwania archeologiczne. Stąd mamy pewność, iż w nieodkopanych częściach Herkulanum kryją się nieocenione skarby kultury rzymsko-greckiej, czekając na łopatę i kilof archeologa.

Zagłada dwóch kwitnących miast odbiła się żywym echem również w literaturze rzymskiej. Poeta Statius napisał na ten temat wiersz, a satyryk Martial, po zwiedzeniu Zatoki Neapolitańskiej w roku 88, ułożył epigram na temat ujrzanych zniszczeń. Cesarz filozof Marek Aureliusz wskazał na los Pompei i Herkulanum jako na oczywisty przykład znikomości wszelkich spraw tego świata i wiekuistej goryczy przemijania. Rozdziały dzieła historycznego, w których Tacyt opisał katastrofę na podstawie dwóch listów Pliniusza Młodszego, niestety, zaginęły.

Los unicestwionych miast Kampanii został niebawem w umysłach Italczyków zepchnięty na dalszy plan wobec innej żywiołowej katastrofy, jaka nawiedziła stolicę imperium rzymskiego. Wybuchł tam ogromny pożar, który pochłonął połowę miasta i spowodował wśród bezdomnych pogorzelców zastraszającą epidemię dżumy.

Upłynęło niewiele czasu, a zapomniano nie tylko o wybuchu Wezuwiusza, lecz nawet o położeniu geograficznym Pompei i Herkulanum. Na miejscu tych miast, leżących pod zwałami popiołów, zbudowano nowe domy, zasadzono drzewa i winną

latorośl. Pamięć o nich przetrwała tylko wśród chłopów, którzy w tych stronach posiadali gospodarstwa i nazwali to miejsce *Civita*, czyli miasto.

W wiekach średnich o Pompei i Herkulanum było już zupełnie głucho. Przeciętny człowiek owych czasów, zapytany o tragiczne losy tych miast, odpowiedziałby wzruszeniem ramion. Gdybyśmy jednak spojrzeli na którąś z map średniowiecznych Italii, spotkałaby nas niespodzianka, bo oto Pompeja i Herkulanum były tam zazwyczaj naniesione z dość dużą dokładnością geograficzną. Czym wytłumaczyć ową dziwną sprzeczność? Tajemnica tkwiła w zupełnym zaniku samodzielnych badań przyrodniczych, stanowiącym istotę średniowiecznego scholastycyzmu: kartografowie kopiowali niewolniczo i bezmyślnie rzymskie mapy legionowe sprzed katastrofy, a czyniąc to, zapewne nie wiedzieli, iż Pompei i Herkulanum już dawno nie ma wśród miast żyjących.

Z wynalezieniem sztuki drukarskiej i nastaniem epoki Renesansu opublikowano listy Pliniusza Młodszego, co wskrzesiło teoretyczne zainteresowanie rzymskimi miastami Kampanii. Pisarze renesansowi napomykają o nich w poematach i kronikach, ale i wtedy nikt nie próbował ustalić ich rzeczywistego położenia.

Nad Herkulanum, jak to wspominaliśmy, powstała wieś Resina. Otóż w roku 1710 jeden z chłopów tej wsi, pogłębiając swoją studnię, natrafił na płyty i kolumny marmurowe, które spieniężał u kamieniarzy neapolitańskich jako surowiec. Idąc od nitki do kłębka, dowiedział się o wszystkim rezydujący w Neapolu austriacki dowódca wojskowy i natychmiast przystąpił do poszukiwań na własną rękę. W wykopanym przez chłopa dole znalazł kilka wspaniałych posągów, między innymi z wybornym realizmem wyrzeźbioną grupę, przedstawiającą matkę z dwiema córkami. Cenne znaleziska posłał cichaczem do Wiednia, gdzie dotąd się znajdują w muzeum. Nikt wtedy jednak nie zdawał sobie sprawy z tego, że dokonano odkrycia Herkulanum.

W grudniu 1738 roku, w wykopie głębokości dwudziestu metrów pod Resiną, poszukiwacze skarbów dotarli do amfiteatru Herkulanum. Znaleźli tam głowę i tułów konia, kute w marmurze, oraz trzy posągi mężów w togach, z których jeden miał rysy twarzy

cesarza Augusta. Wydobyto poza tym fragmenty kwadrygi, olbrzymią rzeźbę przedstawiającą cesarza Wespazjana i posąg konny Marcusa Nonusa Balbusa, namiestnika Krety i Afryki. W jednym z domów natrafiono na malowidło ścienne ze scenami z mitów greckich; wycięto je ze ściany i przeniesiono do pałacu króla Neapolu. Najcenniejszym jednak znaleziskiem pod względem archeologicznym była tablica z napisem. Odczytano na niej, że Annus Mammianus Rufus wystawił własnym kosztem *Theatrum Herculaneum.*

A więc dziwnym trafem odkryto naprzód Herkulanum, choć pod grubą skorupą stwardniałego błota było ono o wiele trudniej dostępne niż Pompeja, zakopana w sypkich złożach popiołu i kamieni pumeksowych.

Wielkie to odkrycie stało się zachętą do poszukiwań na szerszą skalę. W roku 1755 założono w Neapolu „Akademię Herkulańską", której zadaniem było prowadzenie systematycznych prac wykopaliskowych i naukowe opracowanie znalezisk. W tymże roku jeden z członków akademii, Bayardi, wydał wspaniały katalog, ilustrowany setkami miedziorytów przedstawiających malowidła ścienne, posągi i drobniejsze przedmioty znalezione w Herkulanum. W roku 1762 ukazała się praca znakomitego niemieckiego historyka sztuki Winckelmanna o wykopaliskach herkulańskich. Wywołała ona powszechne zainteresowanie sztuką antyczną, prawdziwy renesans klasyczny, który wywarł głęboki, przełomowy wpływ na europejską architekturę, plastykę, literaturę i zdobnictwo.

Dziwne były ścieżki, jakie zawiodły do odkrycia Pompei. Już w XVI wieku wiedziano, że pod wzgórzem Civita kryją się ruiny jakiegoś miasta. W roku 1594 włoski inżynier Dominico Fontana otrzymał polecenie wybudowania podziemnego akweduktu i przy tej sposobności natknął się na zagadkowe ruiny. Odkrycie wywołało pewne poruszenie w świecie naukowym; niektórzy historycy wyrazili przypuszczenie, iż ruiny są fragmentem Pompei, przeważna większość jednak upierała się przy zdaniu, iż w Civita znajdują się szczątki miasteczka Stabiae, gdzie – jak nam wiadomo – zginął Pliniusz Starszy. Nawet Winckelmann, wydając pracę o Herkulanum, zdecydowanie opowiedział się za tą ostatnią tezą.

Zwrot nastąpił dopiero 16 sierpnia 1763 roku. W Civita wykopano wówczas posąg mężczyzny z białego marmuru w todze. Na cokole odczytano napis następującej treści:

> W imieniu Imperatora i Cezara Wespazjana Augusta trybun T. Swedius Clemens przywrócił miastu Pompei ziemie publiczne, przywłaszczone przez osoby prywatne.

Po raz pierwszy zdobyto w ten sposób niezbity dowód, iż pod wzgórzem Civita spoczywa słynna niegdyś Pompeja. Przy tej sposobności dokopano się do bramy miejskiej, zwanej dziś Herkulańską, oraz do ulicy zmarłych, gdzie odkryto kilka okazałych grobowców rzymskich, między innymi grobowiec kapłanki Mammii. Roztaczał się stąd rozległy widok na Zatokę Neapolitańską.

Przez dwa następne wieki prowadzono prace wykopaliskowe z większą lub mniejszą systematycznością, zależnie od wydarzeń politycznych, które je to hamowały, to przyśpieszały. Dziś Pompeja jest odkopana i dostępna dla turystów w trzech piątych. Sprawa Herkulanum przedstawia się natomiast odmiennie: chcąc doprowadzić badania do końca, trzeba by przesiedlić mieszkańców Resiny i zburzyć ich domy, co byłoby połączone z ogromnymi kosztami. Na to archeologia w warunkach ustroju kapitalistycznego nie umiała się dotąd zdobyć.

Przez z górą dwa wieki prace wykopaliskowe prowadzono w Pompei w sposób chaotyczny i rabunkowy, jeżeli nie barbarzyński. Ich celem było przede wszystkim nagromadzenie jak największej liczby skarbów, dzieł sztuki i monet. Umieszczano je w muzeach lub też w pałacach królów i arystokratów dla podniesienia ich splendoru, a nawet wystawiano na sprzedaż.

W tych warunkach nie mogło być mowy o tym, by badać wykopaliska w sposób naukowy i odtworzyć pełny obraz kultury materialnej dwóch miast rzymskich, które przetrwały do naszej epoki niemal w takim stanie, w jakim je mieszkańcy opuścili w I wieku n.e.

Trudno teraz ustalić dokładne rozmiary szkód, wyrządzonych przez wandalizm owych wieków. Wspaniałe malowidła ścienne wycinano ze ścian i przenoszono do muzeum w Neapolu. Co więcej,

jeżeli jakieś malowidło nie wydawało się komuś zbyt piękne, rozbijano je na kawałki, a gruz wyrzucano na śmietnik. Odkopane domy, po ich dokładnym ogołoceniu, zasypywano na nowo ziemią. W ten sposób bezpowrotnie zagubiono zidentyfikowaną kiedyś willę Cycerona „Pompeianum". Gdy znaleziono jakąś tablicę marmurową z napisem z brązu, poszczególne litery obrywano z marmurowego tła i wrzucano je do kosza, tak że nie można było zrekonstruować tekstu. Z fragmentów rzeźb fabrykowano dla turystów pamiątki, nieraz z wizerunkami świętych; co gorsza, ktokolwiek odwiedzał ruiny, mógł sobie zabierać, co mu się żywnie podobało.

Dopiero z początkiem XX wieku archeolodzy zaprowadzili ściśle naukowe metody prac wykopaliskowych. Odpowiednio przeszkoleni pracownicy przesiewają ziemię starannie, by nie uronić najdrobniejszego nawet źdźbła archeologicznego. Domy pozostawia się tak, jak je odkopano; pokrywa je się tylko dachem dla zabezpieczenia od deszczu. Malowidła ścienne i mozaiki są chronione szybami, nawet przedmioty domowego użytku, jak garnki, meble, narzędzia i zabawki, zostawia się tam, gdzie je odnaleziono. Na bufecie jednej z pompejańskich szynkowni leży as rzymski, położony tam prawdopodobnie przez spragnionego przechodnia, w chwili gdy zaskoczyła go katastrofa. Ów miedziak jest wyrazem pietyzmu, z jakim dzisiejsi archeolodzy odnoszą się do wykopalisk w Pompei i Herkulanum.

W CIENIU MARMUROWCH KOLUMN

NA SKUTEK WYBUCHU WEZUWIUSZA wydarzyła się rzecz niezwykła, zgoła jedyna w historii archeologii. Dwa miasta, w chwili gdy tętniły pełnym, gorącym życiem – zniknęły nagle pod całunem wulkanicznych popiołów, gdzie niczym śpiący rycerze, czekały przez kilkanaście wieków na przebudzenie.

Archeolog angielski, odkrywca grobów królewskich w sumerskim Ur, Leonard Woolley, napisał raz w tonie żartobliwym:

„Gdyby zastosować się do życzeń archeologów, wszystkie bez wyjątku starożytne miasta powinny były zginąć pod popiołami wulkanów położonych w dogodnym sąsiedztwie. Pracowników innych stanowisk wykopaliskowych żółć zazdrości zalewa, gdy zwiedzają Pompeję i widzą cudnie zachowane domy, freski na ścianach, meble i przedmioty codziennego użytku leżące tam, gdzie je pozostawili właściciele w momencie ucieczki przed katastrofą".

Wiedza historyczna zawdzięcza Pompei i Herkulanum niezmiernie wiele. Dzięki tym miastom stanęła przed naszymi oczami jak żywa kultura materialna Italii w jej złożonym i przebogatym całokształcie, jakby zatrzymana w ruchu za sprawą jakiegoś przemożnego czaru. Żadne inne wykopaliska, dokonane na olbrzymim obszarze imperium rzymskiego, nie mogą im dorównać. W obu miastach poznaliśmy nie tylko świątynie, pałace, łaźnie, amfiteatry i gmachy municypalne, prawie tak jak je użytkowali obywatele rzymscy, lecz nade wszystko codzienny tryb życia szarego człowieka, którym jakże niewystarczająco zajmuje się starożytne dziejopisarstwo.

Wejdźmy na stok Wezuwiusza i przypatrzmy się wykopaliskom z odległej perspektywy. Mamy przed sobą Pompeję jak na dłoni.

Obszar zajęty przez miasto tworzy nieregularny owal o trzyipółkilometrowym obwodzie. Stłoczone rojowisko domów opasuje potężny mur warowny grubości sześciu metrów i wysokości od sześciu do ośmiu metrów, zależnie od rzeźby terenu. W stumetrowych odstępach wzbijają się w niebo mocne wieżyce, patrzące w dal oczodołami strzelnic. Miasto ma osiem bram, skąd biegną wąskie brukowane ulice do rozległego czworoboku forum.

Schodzimy teraz ze stoku Wezuwiusza i zbliżamy się do Bramy Herkulańskiej. Po obu stronach podmiejskiego gościńca stoją rozrzucone okazałe grobowce wielmożów pompejańskich. Ulica, szeroka tylko na cztery metry, brukowana sześciokątnymi płytami bazaltowymi, wiedzie nas obok licznych zajazdów, kramów, szynkowni i warsztatów rękodzielniczych na rynek miasta. W bruku widać głęboką koleinę, wyżłobioną w przebiegu licznych wieków przez koła pojazdów.

Wreszcie stajemy na progu forum, czyli głównego rynku miejskiego. Tutaj skupiało się życie Pompejańczyków, spędzających, jak we wszystkich miastach Południa, większość czasu na wolnym powietrzu. Tutaj załatwiano sprawy handlowe i polityczne, uprawiano kult religijny i oddawano się rozmaitym rozrywkom.

Przede wszystkim jednak było forum salonem, dla którego upiększenia nie szczędzono wydatków i pomysłowości. W smukłych kolumnach, w budowlach pełnych dostojnego ładu i umiaru, a jednak monumentalnych w stylu, w czystych i jasnych liniach brył – wyraziła się dusza kultury grecko-rzymskiej, uwydatniło się zamiłowanie do form przejrzystych, pełnych nieposzlakowanego rygoru i wdzięku.

Urodę placu spotęgowała jeszcze otaczająca ją przyroda. W kierunku zachodnim roztacza się widok uśmiechniętej Zatoki Neapolitańskiej, z wyspą Capri na horyzoncie, na wschodzie widać potężny łańcuch górski, a na północy rysuje się wyraziście stożek Wezuwiusza.

Rynek jest otoczony z trzech stron dwupiętrową kolumnadą z doryckich kolumn. Czwartą stronę zajmowała świątynia Jupitera, wzniesiona na piedestale wysokości dziesięciu metrów. Miała ona portal złożony z sześciu kolumn w stylu korynckim. Wewnątrz

znaleziono głowę Jupitera nadnaturalnej wielkości i cokół, gdzie ongiś stał cały jego posąg. Główne wejście na forum miało kształt łuku triumfalnego, obłożonego białym marmurem o niebieskich żyłkach.

Obok świątyni Jupitera znajdowały się trzy inne jeszcze świątynie, o równie pięknej architekturze, chociaż mniejsze rozmiarami. Ale dominujący akcent rynku tworzyła bazylika. Masywny ten gmach, uwieńczony kopułą, służył wielorakim celom: był miejscem transakcji handlowych i spotkań towarzyskich, głównie jednak stanowił siedzibę sądownictwa. Wznosiły się tam jeszcze inne gmachy użyteczności publicznej, jak trzy hale targowe, urząd miar, *curia*, czyli ratusz z marmurowymi salami reprezentacyjnymi, kolumnowy dziedziniec dla zebrań obywatelskich, nawet ustęp publiczny z wodą do spłukiwania.

Forum było zamknięte dla ruchu kołowego. Miało ono posadzkę z bardzo twardego wapienia zwanego trawertynem. Na całej jego przestrzeni rojno było od posągów z marmuru i brązu, przedstawiających osoby domu cesarskiego i zasłużonych obywateli miasta. Zachowały się po nich tylko cokoły z napisami; prawdopodobnie Pompejańczycy wygrzebali je bezpośrednio po katastrofie jako przedmioty wielkiej ceny.

W Pompei istniało razem dziewięć świątyń poświęconych różnym bogom i boginiom. Najciekawszą wśród nich jest świątynia egipskiej bogini Izydy. Podobnie jak na obszarze całego imperium rzymskiego, w Pompei szerzyły się najróżniejsze kulty religijne przeszczepione ze Wschodu. Wiemy dokładnie, że istniała tam gmina żydowska, a znak krzyża, znaleziony na ścianie jednego z domów, pozwała przypuszczać, iż działała tam zakonspirowana sekta chrześcijańska.

Kult Izydy był jednak najbardziej rozpowszechniony. Przedstawiano ją w obrazie matki trzymającej dziecko w ramionach. Czczono również jej męża i brata Ozyrysa. Tajemnicze misteria związane z uroczystościami religijnymi pociągały szerokie masy ludu, zwłaszcza ludzi ubogich i niewolników. Jesienią odbywały się wielkie święta, podczas których przedstawiano zmartwychwstanie Ozyrysa zabitego przez boga Seta.

Świątynię odkryto w roku 1765. Znajdowała się tam cysterna, w której trzymano świętą wodę Nilu, i tajemna cela, skąd kapłani przez usta bogini głosili wiernym rady i proroctwa. Na ołtarzu stała rzeźba Izydy z pozłacanym wiankiem na głowie i leżały jeszcze zwęglone resztki ofiar: kości zwierzęcych, fig, kasztanów, orzechów, daktyli i owsa. Na ścianach zachowały się w dobrym stanie malowidła wyobrażające zwierzęta i rośliny znad Nilu.

Przy tej sposobności nie od rzeczy będzie wspomnieć, że kulty religijne przeciekały do Italii nawet z dalekich Indii. Dowodem tego jest znaleziony w jednym z domów posążek z kości słoniowej wyobrażający hinduską boginię miłości Laksamis.

Pompeja miała jeszcze inne, starsze forum w kształcie trójkąta, tak zwane *Forum, triangulate*. Stało się ono z chwilą zbudowania nowego forum miejscem wytchnienia, spacerów i rozrywek obywateli. Trzy strony tego pięknego placu otaczał nakryty dachem portyk złożony z 95 kolumn doryckich, a czwarta strona była otwarta na morze. Umieszczono tam ławki dla spacerowiczów, pośrodku zaś znajdowała się marmurowa cysterna, do której z rur ołowianych wpadała woda. Plac zdobiły różne posągi z brązu, między innymi Marcella, siostrzeńca cesarza Augusta.

Tuż przy *Forum triangulate* wznosiły się w bliskiej od siebie odległości dwa teatry – teatr dramatyczny na 5000 miejsc i nakryty dachem teatr muzyczny, tak zwany Odeon na 1500 osób. Znaleziono tam basen na wodę szafranową, którą skrapiano widownię podczas upałów. Między ławami leżały porzucone bilety teatralne w kształcie krążka z ołowiu lub kości słoniowej z wyrytymi numerami miejsc.

Przedstawienia w tych teatrach cieszyły się wśród Pompejańczyków niezmierną popularnością. Grano tam obok tragedii greckich farsy ludowe, balety i pantomimy. Za panowania Nerona zażywał szerokiego rozgłosu aktor mim Paris; utrzymywał on, niesyty poklasków, własną klakę, choć przecież niewątpliwie zbierał szczere i frenetyczne oklaski pospólstwa.

Miasto troszczyło się pilnie o wychowanie fizyczne młodzieży i zbudowało aż trzy palestry, czyli boiska ćwiczebne. Największe z nich, urządzone ze szczodrym rozmachem, miało marmurowy

portyk, szatnię, łaźnię, basen pływacki, pomieszczenie dla przyjezdnych atletów, a nawet małą świątynię Wenery, opiekunki młodzieży. Na obszernym placu rosły stare platany, z których jeden miał aż 120 lat.

W innej stronie miasta odkopano wspomniany już wielki amfiteatr. Ogromną tę budowlę ufundowali bogacze Caius Quinctus Balbus i Maurus Porcius jako wyraz wdzięczności za wybranie ich na wysokie urzędy miejskie. Balbus dorobił się olbrzymiej fortuny w czasie reakcyjnego terroru Sulli, wykupując za bezcen majątki proskrybowanych Rzymian.

Odbywały się tam nie tylko walki gladiatorów. Krwawe igrzyska urozmaicano zapasami drapieżników, jak również organizowano polowania z ogarami. Na arenę wypuszczano: byki, niedźwiedzie, lwy, tygrysy, wilki, pantery, dziki, gazele i zające. Krew ludzka i zwierzęca lała się strumieniami.

Mieszkańcy Pompei przyglądali się okrutnym igrzyskom z namiętnym zapałem. Tworzyły się między nimi stronnictwa, zawsze skore do tumultów i bójek w obronie swych faworytów.

W roku 59 n.e. doszło z tego powodu do krwawych walk. Senator Livencus Regulus, polityczny wygnaniec z Rzymu, wyprawił igrzyska z zamiarem pozyskania sobie przychylności wyborców pompejańskich. Amfiteatr wypełnili nie tylko Pompejańczycy, lecz również mieszkańcy sąsiednich miasteczek. Podczas przedstawienia jeden z gladiatorów legł ranny w piasku areny: widownia przez skierowanie kciuka w dół lub w górę miała przesądzić jego los: czy go dobić, czy też ułaskawić.

Na tym tle doszło do zwady między Pompejańczykami i przybyszami z Nucerii. Rozjuszony motłoch wysypał się na arenę z nożami, kamieniami i drągami, a gdy w końcu zamęt opanowano, naliczono kilkadziesiąt zmasakrowanych trupów i rannych. Poszkodowani Nucerianie wysłali delegację ze skargą do Nerona, a ten skazał wielu winowajców na wygnanie, przede wszystkim jednak zamknął na dziesięć lat amfiteatr pompejański, co było karą niezwykle surową ze względu na wprost nałogową namiętność Italczyków do igrzysk gladiatorskich.

W pobliżu amfiteatru odkopano w połowie XVIII wieku koszary gladiatorów. Była to budowla w kształcie czworobocznego portyku z celami, otaczającego ogromny plac ćwiczebny. W jednej z sal znaleziono rynsztunek gladiatorski, stanowiący przepyszny zabytek rzymskiej sztuki płatnerskiej. Bogatą ornamentacją wytrybowaną w brązowej blasze wyróżniają się szczególnie dwie nagolennice, okrągła tarcza i ciężki, strojny szyszak. Przedmioty te stanowią dziś rzadką i cenną ozdobę Muzeum Neapolitańskiego.

Igrzyska odbywały się tylko dwa razy do roku z okazji pewnych uroczystości świątecznych. Na co dzień Pompejańczycy spędzali wolny swój czas w trzech termach, czyli łaźniach publicznych. Instytucje te służyły nie tylko celom higieny, lecz w dużej mierze spełniały funkcję klubów towarzyskich, z tych względów urządzono je z artystycznym przepychem. Obszerne marmurowe sale zdobiły freski i stiukatury, posadzki układano w kunsztowne mozaiki, sufity miały kształt łuków i sklepień. Termy składały się zasadniczo z czterech sal z zimną, ciepłą i gorącą wodą oraz parówki, do której doprowadzano gorące powietrze za pomocą przewodów pod posadzką, w ścianach i sklepieniach. Obywatel pompejański mógł po kąpieli oddać się lekturze w bibliotece, pogawędzić ze współtowarzyszami w świetlicy, wypróbować swoją sprawność fizyczną na boisku lekkoatletycznym lub też posilić się w ładnie urządzonym zajeździe.

W ruinach term dokonano odkrycia stanowiącego pewnego rodzaju rewelację. Oto niektóre sale miały okrągłe okna z wstawionymi szybami – jest to zgoła rzadki przykład szklanych okien w starożytności; 1328 lampek oliwnych, nagromadzonych w jednej z term, świadczą, iż Pompejańczycy spędzali tam nawet godziny wieczorne. Warto na koniec przytoczyć jeszcze jedną ciekawostkę: Pompejańczycy skarżyli się na plagę złodziejaszków, którzy okradali szatnie z odzieży i cennych przedmiotów, w chwili gdy ich właściciele oddawali się rozkoszom kąpieli.

Przeciętni pompejańczycy mieszkali przeważnie skromnie, jeżeli nie nędznie. Kramarze i rękodzielnicy odnajmowali sklepy wybudowane na frontach pałaców patrycjuszowskich i spali w małym pokoju na pierwszym piętrze, do którego wchodziło się

zewnętrznymi drewnianymi schodami. Umeblowanie było ubożuchne i składało się z najniezbędniejszych do życia przedmiotów.

Głębokie nierówności klasowe w społeczeństwie italskim, nierówności, jakich nie zdołały złagodzić rewolucje Grakchów, Mariusa czy Spartakusa – uwidoczniały się dobitnie w luksusowych willach senatorów, ekwitów i zbogaconych wyzwoleńców. Na zewnątrz domy te miały wygląd niepozorny. Fasady ich składały się ze ślepych, bezokiennych murów, raz po raz tylko ożywionych wizerunkami bogów rzymskich: Jupitera, Apollina, Marsa, Merkurego lub Miner – wy.

Boczne ulice, gdzie te domy stały, sprawiały wrażenie monotonne. Jedynie tylko przy głównych arteriach miasta pałace miały na froncie kramy i warsztaty rzemieślnicze, co jednak w większym jeszcze stopniu maskowało świetność ich wnętrza.

Przez wąski korytarz, zamknięty z ulicy podwojami zaopatrzonymi w kołatki, wchodziło się do głównej, reprezentacyjnej sali domu. Było to *atrium*, mające w pośrodku ocembrowany marmurem basen, do którego przez otwór w suficie wpadała woda deszczowa. Basen był otoczony kolumnami podtrzymującymi dach domu. Piękny ten salon, przeznaczony na przyjęcie gości, zdobiły zazwyczaj szemrzące fontanny oraz popiersia przodków i członków rodziny.

Po dłuższych bokach *atrium* znajdowały się szeregi zasłoniętych kotarami małych pokojów bez okien. Były tam sypialnie (*dormitoria*)

i jadalnie *(triclinia)*, gdzie w wielu wypadkach zachowały się kamienne łoża, na których biesiadnicy leżeli zwróceni głowami do stołu.

Z *atrium*, obok pokoju pana domu *(tablinium)*, wchodziło się do perystylu. Był to pieczołowicie przez niewolników pielęgnowany ogród, otoczony kolumnadą i małymi alkowami. Stanowił on pełen zacisznego uroku ośrodek życia domowego. Zazwyczaj tryskały tam fontanny, rozsypując krople chłodnej wody na kwiaty, drzewa i trawniki.

Na podstawie zwęglonych korzeni udało się odtworzyć dokładny obraz tych ogródków. Rosły tam na klombach: lilie, róże

damasceńskie, malwy, narcyzy, irysy i stokrotki. Wśród drzew spotyka się najczęściej: akacje, cyprysy, wawrzyny, platany, dęby i pinie, a wśród krzewów dekoracyjnych: aloes, bluszcz, mirt, papirus i trzcinę.

Praktyczni Pompejańczycy nie zapomnieli również o drzewach owocowych i jarzynach. W odkopanych willach znaleziono zwęglone resztki, będące dowodem, iż sadzono tam: migdały, słodkie kasztany, figi, orzechy, daktyle, wiśnie, oliwki, granaty, jabłonie, grusze, winogrona, bób, szparagi, melony, tykwy i dynie.

Komnaty wspaniałych pałaców świadczą o wielkim zamiłowaniu ich właścicieli do piękna. I choć chodziło im raczej o to, aby zabłysnąć przepychem i zadziwić współrodaków bogactwem, nie przeszkodziło im to powołać do prac zdobniczych najprzedniejszych artystów, jakich tylko mogli naówczas pozyskać.

Ściany niemal wszystkich pokojów zdobiły malowidła oraz sztukaterie z marmuru. Obrazy, pokrywające ogromne płaszczyzny, najczęściej przedstawiają sceny z rzymskiej i greckiej mitologii. Widzimy tam na przykład Jupitera zajętego uwodzeniem Danae, Jo czy Ledy albo też porwanie Europy. Bardzo często powtarza się wizerunek Apollina ścigającego boginie Dafne i Wenus.

Pompejańczycy nie poprzestawali jednak tylko na tematyce mitologicznej. W różnych okresach czasu zmieniała się w tej dziedzinie moda, toteż uczeni odróżniają w pompejańskim malarstwie ściennym cztery zasadnicze style. Bardzo ciekawy jest styl iluzjonistyczny. Na obrazach tej epoki widzimy fantastyczną architekturę i pejzaże przedstawione z perspektywą tak łudząco realistyczną, że odnosi się wrażenie, jakby patrzyło się przez framugę okna na świat zewnętrzny pełen przestrzeni, słońca i powietrza.

Po zdobyciu przez Rzymian Egiptu w 30 roku p.n.e. pojawiają się na ścianach ich domów: lotosy, hipopotamy, krokodyle, Pigmejczycy, piramidy i widoki Nilu. Kontrast do tych motywów tworzy cykl obrazów uderzających wdziękiem i zadziwiającym poczuciem humoru. Widzimy na nich małych geniuszów, czyli skrzatów domowych, pochłoniętych najróżniejszymi zawodami, jakie naówczas uprawiano w Pompei: warzą oni potrawy,

naprawiają sandały, wyrabiają różne cacka złotnicze, wygładzają deski, uderzają młotem w kowadło, wkładają chleby do pieca piekarskiego, zbierają winogrona i wytłaczają nogami sok winny. Jeden z karzełków boryka się z przekornym osiołkiem, popędzając go i ciągnąc za ogon.

Przed Bramą Herkulańską odkopano zbytkowną willę, która należała kiedyś do jakiejś kapłanki misteriów dionizyjskich. Naliczono tam 19 komnat z prywatnymi łaźniami, a nawet – rzadkość w domach pompejańskich – półokrągłą werandę. Ale główny skarb domu stanowiło 29 malowideł ściennych nadnaturalnej wielkości. Nieznany mistrz nad mistrzami, używając kolorów płomiennych, przedstawił w nich dramatyczny przebieg wtajemniczenia młodej adeptki w misteria kultu dionizyjskiego. Na jednym obrazie kapłanki biczują młodą dziewicę, na innych nagie bachantki wiodą wyuzdane pląsy lub też składają hołd u stóp posągu Bachusa.

W pobliżu tejże Bramy Herkulańskiej odkopano inny dom, o wiele starszy niż poprzedni, gdyż w chwili wybuchu Wezuwiusza liczył już sobie czterysta lat. Praktykował w nim jakiś chirurg, co wiemy stąd, że znaleziono w jednej z jego komnat cały garnitur narzędzi chirurgicznych, zadziwiająco podobnych do dzisiejszych. Zajmującą ciekawostką jest to, iż chirurg ten miał córkę, która prawdopodobnie była malarką. W jej pokoju, z ogromnym oknem wychodzącym na ogród, malowidło ścienne przedstawia młodą kobietę malującą popiersie Bachusa, podczas gdy mały Eros podtrzymuje obraz, a dwie niewolnice przypatrują się pracy ze skupionym zaciekawieniem.

Na ścianach spotyka się również często realistycznie ujęte portrety. Tak więc Terencius Proculus, właściciel dużej piekarni, dorobiwszy się majątku, wybudował sobie wcale ładną willę i na jednej ze ścian kazał artyście żonę i siebie sportretować. Mężczyzna o lekkim zaroście twarzy i odstających uszach trzyma w dłoni, prawdopodobnie dla przydania sobie powagi, rolkę papirusu; przystojna kobieta z dużymi, sarnimi oczyma, prostym nosem i ładnym owalem twarzy ma przed sobą woskową tabliczkę,

a rylcem dotyka warg, jakby się zastanawiała nad tym, co ma napisać.

Dużo uwagi poświęcali Pompejańczycy posadzkom swoich domów. Ozdabiali je w większości wypadków mozaikami złożonymi z tysięcy drobnych, różnokolorowych kamyczków. Niektóre mozaiki są prawdziwymi arcydziełami sztuki, zasługującymi na najwyższy podziw. Spotykamy tam różnorakie desenie geometryczne, gwiazdy, rozety, plecionki i meandry, nierzadko też motywy roślinne, jak bluszcze, lotosy, winna latorośl i wawrzyny. W tym kunsztownym zdobnictwie posługiwano się również tematami ze świata zwierzęcego. Z niepospolitą wiernością odtwarzano: hipopotamy, centaury, koniki morskie, delfiny, psy, gołębie, niedźwiedzie i walczące ze sobą koguty.

Za szczyt mistrzostwa w sztuce mozaikowej należy uważać motywy figuralne tworzące całe sceny, których osnową jest legenda z mitologii czy też jakieś wydarzenie z historii starożytnej. Typowy pod tym względem jest „Dom dramaturga", rozsławiony przez powieść Bulwera *Ostatnie dni Pompei*. W żywych kolorach i z realizmem pełnym dramatycznego napięcia artysta odtworzył w posadzce próbę teatralną aktorów komicznych. Stary, łysy dramaturg ze scenariuszem w ręku daje wskazówki reżyserskie dwóm młodzieńcom przyodzianym w koźle skóry, podczas gdy w głębi obrazu inny aktor przy pomocy swego kolegi przebiera się w kostium teatralny.

Wręcz niedościgłym arcydziełem jest ogromna mozaikowa posadzka w „Domu Fauna", nazwanym tak przez archeologów dlatego, że w *atrium* zastano nieuszkodzoną rzeźbę tego kosmatego bożka lasów italskich.

Na czworokątnej płaszczyźnie rozmiarów 5,12 m na 2,75 m artysta ułożył z półtora miliona najrozmaitszych odcieni białych, czarnych, żółtych i czerwonych kamyczków rozległą scenę batalistyczną: bitwę Aleksandra Macedońskiego z Dariuszem pod Issos w roku 333 p.n.e.

Stłoczone w zamęcie bitewnym postacie, malująca się w ich oczach zawziętość lub przerażenie, realistyczne ujęcie charakterystycznych rysów twarzy poszczególnych osób, dynamika

i zapamiętałość walki, siła i rozmach kompozycji – wszystko to żywo przywodzi na pamięć *Bitwę pod Grunwaldem* Matejki.

Dominującą postacią obrazu jest Aleksander. Z rozwianym włosem, wychudłą twarzą i pałającymi oczyma przebija dzidą dostojnika perskiego, podczas gdy Dariusz z przerażeniem spostrzega grożące mu osobiste niebezpieczeństwo. Woźnica jego rydwanu w panice zacina ogiery, a jakiś książę perski zeskakuje z konia, by oddać go swojemu monarsze i umożliwić mu w ten sposób ucieczkę. Złowieszczy las włóczni sterczących na tle horyzontu świadczy, że macedońskie falangi w zamieszaniu bojowym zachowały zwarte szeregi, co wróży Persom druzgocącą klęskę. Mozaika jest wierną kopią zagubionego obrazu wybitnego malarza greckiego Filoksenesa z Erytrei, który żył na przełomie trzeciego i drugiego wieku p.n.e.

Archeolodzy raczej nie spodziewali się, aby w Pompei mogli odnaleźć tabliczki woskowe, na których Rzymianie pisywali swoje listy i notowali bieżące sprawy gospodarcze. Wiązano je w tryptyk, czyli trzy tabliczki łączono sznurkiem w sześciostronicową książeczkę. Ponieważ tabliczki te składały się z drewnianych deseczek pokrytych cienką warstwą wosku, trudno było przypuszczać, że zachowają się w Pompei, gdzie popioły i kamienie swobodnie przepuszczały powietrze. Możliwość ich odkopania istniała raczej w Herkulanum, ukrytym pod izolującą skorupą skamieniałego wulkanicznego mułu.

Ale pewnego dnia odkopano willę bankiera i fabrykanta sukna Luciusa Caeciliusa Jucundusa. W jednej z komnat stała drewniana skrzynia obita brązową blachą. Gdy podniesiono jej wieko, znaleziono tam 152 tabliczki woskowe, z których 127 zdołano odczytać. Okazały się one dokumentami handlowymi obejmującymi kontrakty sprzedaży i kupna nieruchomości, zlecenia płatnicze i buchalterię. Rzucają one ciekawe światło na stosunki handlowe ówczesnej Italii.

Bibliotekę zwojów papirusowych znaleziono już w XVIII wieku w Herkulanum. Jest to jedyna biblioteka, jaką dotąd tam odkryto, chociaż wiadomo, że wśród patrycjuszów należało do dobrego tonu posiadanie prywatnych księgozbiorów. W pałacu, nazwanym dziś

Villa dei Papyri, pełnym wspaniałych rzeźb, malowideł i mozaik, znajdował się ustronny pokoik biblioteczny. Zastano tam 1800 rolek manuskryptów, niestety w stanie zwęglonym i mocno pozlepianym. Rozwinięcie tych arkuszy i odczytanie ich było niezmiernie uciążliwym zadaniem. Już w XVIII wieku mnich Piaggi skonstruował specjalną maszynę do tego celu, ale mimo że nad zwojami prześlęczał długie, cierpliwe lata – zdołał odwinąć i odszyfrować tylko drobną ich liczbę, przy czym wiele rolek uszkodził beznadziejnie. Do dziś zdołano odczytać tylko 340 papirusów: są wśród nich traktaty o muzyce epikurejczyka Filodemosa oraz rozprawy na temat filozofii Epikura, której wyznawcą był właściciel okazałego pałacu.

W Pompei zachowało się niewiele mebli, za to odkopano tam pięć zastaw stołowych z litego srebra, złożonych z bogato ornamentowanych kubków, pucharów, czarek, talerzy, łyżek, czerpaków i półmisków Poświęćmy jednej z tych zastaw nieco więcej uwagi ze względu na jej wyjątkową wartość artystyczną i dziwne okoliczności, jakie jej odkryciu towarzyszyły. Na przedpolu Pompei, na stoku Wezuwiusza, natrafiono pod koniec XIX wieku na pałac i gospodarstwo wiejskie z zabudowaniami do przechowywania amfor z wytłaczanym winem i oliwą. Jak wynikało z odnalezionej tam pieczęci, była to własność niejakiego Luciusa Hereniusa Florusa, bogatego właściciela ziemskiego, czerpiącego dochody z winnic, pastwisk i sadów oliwnych.

Wybuch Wezuwiusza zaskoczył to wielkie gospodarstwo na gorąco, w pełni codziennych zatrudnień. W kuchni leżał szkielet psa uwiązanego na łańcuchu, na piecu stały garnki, w których warzyło się jadło. W stajni znaleziono szkielety kilku koni. Krowy, owce i kozy pasły się zapewne w tym czasie na łąkach i dlatego nie znaleziono w oborze ich kości.

Na podwórzu, przy prasie do wytłaczania soku winnego, odkryto trzy szkielety ludzkie; wśród nich, sądząc po kosztownych pierścionkach z topazami, szczątki kostne pani domu.

Poszukiwania wykopaliskowe przeprowadzał właściciel pola, Vincenzo da Prisco. Trzynastego kwietnia 1895 roku, na krótko przed zwolnieniem robotników z pracy, dozorca odkrył ciasny otwór

prowadzący do piwnicy. Wcisnął się do środka, ale natychmiast się wycofał, krzycząc, że piwnica jest pełna gazów.

Jak tylko robotnicy opuścili stanowiska i udali się do domu, dozorca pobiegł do właściciela gruntu i wykrztusił w podnieceniu:

– Panie, w piwnicy leży kościotrup, a naokoło niego są rozsypane wielkie skarby!

Właściciel kazał dozorcy milczeć i zatrzymał go na noc.

Skoro się tylko ściemniło, przecisnęli się do piwnicy z latarkami w ręku i stanęli oszołomieni wobec roztaczającego się przed ich oczami niezmiernego bogactwa. Ujrzeli tam: bransolety, kolczyki, pierścionki, ciężkie złote łańcuchy, wspaniale zdobione srebrne naczynia, a w samym środku zbutwiały skórzany worek. Zawierał on z górą tysiąc monet złotych z okresu panowania cesarzy, począwszy od Augusta do Domicjana. Najpóźniejsze pochodziły z 76 roku n.e., a więc wytłoczono je na trzy lata przed katastrofą. Były tam niesłychanie rzadkie monety z wizerunkami cesarzy Galby, Ottona i Witeliusza, którzy razem panowali tylko rok, nie mieli więc czasu rzucić w obieg większej liczby pieniędzy. Prawie wszystkie monety błyszczały jak nowe i stanowiły wprost nieocenione numizmatyczne okazy.

Zastawa stołowa, jedna z najcudowniejszych, jaka ocalała po Rzymianach, zawierała 108 sztuk: puchary, czary, pękate dzbany, talerze, misy, solniczki, łyżki, czerpaki, kubki, nawet sitka. Pokrywają je wypukłe ozdoby wytrybowane młotkiem w srebrnej blasze przez wytrawnych artystów.

Bogactwo motywów i deseni jest wręcz zdumiewające. Występują tam realistyczne portrety cesarzy i patrycjuszy rzymskich, żurawie, bociany, liście, jelenie i dziki ścigane przez ogary, niedźwiedzie napadające na sarny, orły porywające zające, kozy górskie, kos przyglądający się jaszczurce, węże, lew rzucający się na wołu, lis walczący z wilkiem. Wszystkie sceny oddane są z niepospolitym wyczuciem ruchu, anatomii i tajników artystycznej kompozycji.

Szczególną osobliwość przedstawiają srebrne kubki do wina. Artysta wyrzeźbił na nich taniec szkieletów z głowami wielkich filozofów i dramaturgów, mianowicie: Sofoklesa, Eurypidesa, Menandra, Epikura i założyciela szkoły stoickiej Zenona z Kition.

Sensem tych niesamowitych, groteskowych scen była chęć wyrażenia modnej naówczas filozofii epikurejskiej, sprowadzającej się do następującej myśli: używaj życia dopóki czas, bo śmierć czyha na ciebie za każdym progiem domu.

Ten wielki i jedyny w swoim rodzaju skarb odkrywcy wywieźli potajemnie poza granicę Włoch i sprzedali milionerowi francuskiemu Rothschildowi.

Dozorca, upiwszy się za otrzymane sute wynagrodzenie, wygadał się z tajemnicy przed kompanami i sprawa nabrała we Włoszech ogromnego rozgłosu. Znalazła się nawet na wokandzie parlamentu włoskiego. Ale rząd był bezradny: skarb należący z prawa do narodu włoskiego był już za granicą, w rękach cudzoziemskiego nabywcy.

Obecnie zastawa prawie w całości znajduje się w paryskim Luwrze, gdzie stanowi jeden z najcenniejszych eksponatów kultury materialnej Rzymu.

JAK ZATRZYMANY W SWYM BIEGU ZEGAREK

KTOKOLWIEK BY SĄDZIŁ, IŻ SZPETNY ZWYCZAJ pokrywania murów i ścian gryzmołami jest plagą nowszych czasów – byłby na pewno w błędzie, ów uprzykrzony nawyk jest stary jak świat i folgowano mu także w Pompei. Na ścianach bazyliki, amfiteatru, świątyń i domów prywatnych roi się od tysięcy nazwisk, rysunków, reklam i sentencji, w których przechodnie usiłowali wyrazić swoje wątpliwej wartości myśli. Wydrapywali je jakimś ostrym narzędziem lub wypisywali kawałkiem węgla drzewnego.

My dzisiaj ganimy ten zwyczaj i staramy się ludziom wytłumaczyć, że gryzmolenie na murach jest rzeczą nielicującą z dobrym gustem. Wszelako w Pompei, przez dziwną ironię rzeczy, napisy te, niby stare wino, nabrały dla nas, ludzi współczesnych, szczególnej ceny i smaku. Dzięki nim przecież uzyskujemy wgląd w codzienne życie miasta, poznajemy duszę przeciętnego Pompejańczyka z jego kłopotami, nienawiściami i frasunkami, stykamy się bezpośrednio z jego przekornym, niefrasobliwym, często frywolnym a zaczepnym dowcipem.

Niepodobna nie uśmiechnąć się, gdy zawieramy znajomość z nieznanym murarzem pompejańskim, który z złośliwą satysfakcją zamalował na ścianie jakieś nazwisko, ale sam nie mógł się powstrzymać, by nie uwiecznić swego własnego: „Sosius podpisał się – czytamy na murze – Onesius zamalował go białym tynkiem”. Inny obywatel Pompei, pochlebca czy też przepełniony życzliwością przyjaciel, zostawił na murze jakby kartkę korespondencyjną:

„Pozdrowienia tobie, Emiliuszu Fortunacie”. Znalazł się również rozgniewany z jakiegoś powodu korespondent, który wyładował całą swoją gorycz w następującym zdaniu: „Sumius życzy Corneliusowi, żeby się powiesił”.

Niepozbawione wdzięku bywają naiwne próbki pisma pozostawione na domach przez dzieci. Na jednej ze ścian puszą się dumnie straszliwe kulfony – poszczególne litery alfabetu, jakich mały skryba nauczył się świeżo na ławie szkolnej, zapewne nie bez pomocy rózgi. W innym miejscu podziwiamy wcale udatny rysunek młodego kpiarza: karykaturę bakałarza z łysiną, wiankiem laurowym na bakier i pękatym nosem nałogowego opoja. Dużo mimowolnego humoru zawiera również rysunek dwóch gladiatorów w srogim pojedynku.

W ogóle popularność walk gladiatorskich wśród gawiedzi miejskiej znalazła szerokie odbicie w napisach ściennych. Niektórzy gladiatorzy byli bożyszczami kobiet. Tak więc czytamy między innymi, że Trak Celadus jest „przedmiotem tęsknoty, władcą i lekarzem niewiast”.

Bardzo pouczające są reklamy zapowiadające igrzyska lub też podające wyniki poszczególnych walk. Na jednym z narożnych domów znaleziono cały afisz z następującą treścią:

> Dwadzieścia par gladiatorów, których Lucrecius Satrius Valens, kapłan Nerona, zapisał w testamencie, oraz dziesięć par pozostawionych przez jego syna staną naprzeciw siebie w Pompei dnia 4 kwietnia. Ponadto odbędą się walki między myśliwymi a dzikimi zwierzętami. Zaciągnięty będzie dach z płótna, aby ludzie nie upiekli się w słońcu.

Ciekawsze jeszcze jest dla nas to, że już w owych czasach istnieli przeciwnicy tej barbarzyńskiej rozrywki i to wśród samych gladiatorów, którzy od czasu powstania Spartakusa stanowili w imperium rzymskim niebezpieczny element buntu, pilnie śledzony i trzymany w karbach uległości przez legiony i pretorianów. Jeden z tych buntowniczych gladiatorów napisał na murze swoich koszar jakby manifestację protestacyjną następującej treści: „Filozof Annaeus Seneka jest jedynym wśród Rzymian pisarzem, który potępił krwawe igrzyska”.

Przeszło dwa tysiące innych napisów znakomicie unaoczniają nam fakt, że wybory samorządowe miewały przebieg żywy i hałaśliwy, że brała w nich czynny udział cała ludność miasta. Za swoimi ulubieńcami agitowały nie tylko poszczególne osoby, nawiasem mówiąc, bardzo często kobiety, ale nawet całe cechy. Afisze są podpisane przez cechy palaczy w łaźniach publicznych, tkaczy, farbiarzy, złotników, poganiaczy mułów, balwierzy, robotników winnic, cukierników, wyznawców bogini Izydy, nawet graczy w piłkę. Hasła i slogany wyborcze już to wynosiły kandydatów pod niebiosa, już to wyszydzały ich i mieszały z błotem.

„Paquius prosi o wybranie na edyla Luciusa Pomeiusa" – wzywa obywatel pompejański, a inny znowu nakreślił dużymi czerwonymi literami następujące wezwanie: „O Trebiuszu, weź się do kupy i zrób edylem młodego, uczciwego człowieka, Lolliusa Fuscusa".

Dowcipne i złośliwe bywają hasła dążące do zdyskredytowania kandydatów. „Vatię polecają na edyla filuci" – czytamy na murze. Gdzie indziej znowu pod hasłami, obłudnie zachwalającymi kandydatów, są podpisani „wszystkie śpiochy" lub też „zapóźnieni pijacy". Pojawiały się również żartobliwe groźby świadczące o tym, że w gorączce agitacyjnej Pompejańczycy nie zatracali swego urwisowskiego humoru. Typowy pod tym względem jest następujący napis: „Tego, kto odmówi swego głosu Quinctusowi, niechaj przepędzą przez miasto na ośle jako błazna".

W perypetiach miłosnych Pompejańczycy nie odznaczali się zbytnią wstydliwością: z uroczą szczerością zwierzają się na murach ze swoich tęsknot, zawodów i lubych utarczek, przywołują kochanki po imieniu lub skarżą się w gorzkich słowach na ich płochość i niestałość. Na murze domu kochanek umieścił taki oto, pełen melancholii wiersz:

Na tym świecie nic nie trwa wiecznie!
Choć słońce świeci nam złociście,
Do Oceanu musi udać się z powrotem;
A księżyc, co tak jasno błyszczy,
Bez śladu zniknie w głębiach nieba.
Toteż jeżeli twoja ukochana
W zapamiętałym szaleć będzie gniewie,

Nie daj się ugiąć, gdyż ta burza
Ustąpi wnet Zefirów błogim tchnieniom.

Jakiś młodzieniec napisał z westchnieniem: „Ach, wolałbym raczej umrzeć, niż być nawet bogiem bez ciebie”, a inny znowu w porywie niewymownego zachwytu sławi piękność ukochanej: „Kto nie widział obrazu Wenus namalowanego przez Apellesa, niech spojrzy na moją dziewczynę – ona jest tak samo zachwycająca jak ta bogini”. Nieszczęśliwiec, który nie zaznał wzajemności u swojej bogdanki, pożegnał ją następującym zdaniem: „Żegnaj, moja Sawo, kochaj mnie bodajże trochę. Ach, gdy poznasz, co to jest miłość, i gdy zaczniesz czuć po ludzku, miej litość dla mnie i pozwól, kwiecie bogini Wenus, abym przyszedł do ciebie”.

Na studni, gdzie pojono muły i osły, odczytano przynaglenie skierowane pod adresem zbyt flegmatycznego woźnicy: „Ach, gdybyś czuł, jak miłość pali, zawiózłbyś mnie szybciej do mojej dziewczyny. Więc naprzód, popędzaj swoje zwierzęta, szybko chwyć bat i lejce! Śpiesz do Pompei, gdyż tam mieszka moja najukochańsza!”. W alkowie sypialnej jednego z zajazdów przygodny gość dał wyraz swojej tęsknocie w następujących słowach: „Tu spał Vibius Restitutus samotnie, z sercem przepełnionym tęsknotą do swojej Urbany”.

Nawet zazdrośnicy nie umieli ukryć swojej wściekłości i rozczarowania. Jeden z nich odgrażał się pod adresem rywala: „Kto zechce uwieść moją dziewczynę, niech go w bezludnych górach pożrą straszliwe niedźwiedzie”. Jakiś małżonek przydybał swoją żonę w oberży w towarzystwie rywala i dał wyraz swojej satysfakcji w triumfalnym okrzyku: „Trzymam ją, nie ma wątpliwości, Romula jest tu z tym łajdakiem!”.

Zabawne są wypowiedzi zdesperowanych kochanków i fanfaronów udających obojętność wobec miłości. „Wenus! – rozpisywał się nieznany choleryk. – Połamię ci wszystkie żebra i wybiczuję cię tak, że okulejesz. Jeżeli mogłaś przeszyć strzałą moje delikatne serce, to dlaczego nie wolno mi rozbić twojej czaszki”. Natomiast inaczej traktuje sprawę miłości kpiarz i lekkoduch czy może wzgardzony kochanek nadrabiający miną. Oto jego słowa:

„Jeden kocha, drugi jest kochany, a ja na to wszystko gwiżdżę”. Na co jakiś sceptyk dopisał własną uwagę: „Kto na to gwiżdże, ten kocha”. Znalazł się nawet wierutny plotkarz, szukający zemsty w obmowie. Na dziewczynę, która przypuszczalnie dała mu kosza, nie wahał się rzucić następującej obelgi: „Lucilla wyciąga ze swego ciała brzęczące zyski”.

Mężczyznom nie pozostały dłużne kobiety. Niejaka Livia w ten oto obcesowy sposób wygarnęła Aleksandrowi: „Los twój nic mnie nie obchodzi, jeżeli sczeźniesz, tym lepiej dla mnie”. Inna znowu dziewczyna w odpowiedzi na niewczesne zaloty napisała: „Virgula do swego przyjaciela Tortiusa: Mój drogi, jesteś dla mnie za brzydki”.

Wino grało w mieście poczesną rolę, toteż znajdujemy na murach mnóstwo uwag na temat tego dionizyjskiego trunku. W jednej z tawern czytamy taką reklamę: „Tu można nabyć napój za jednego asa, lepszy za dwakroć tyle, za cztery asy można otrzymać kubek falerna”. Jakiś przechodzień nagryzmolił na bazylice: „Suavis wzdycha do pełnych dzbanów z winem, jest spragniony ponad miarę”. Inny napis powstał zapewne późną nocą, gdy grupka birbantów wracała z tawerny do domu. Jeden z nich zatrzymał się, by na murze dać wyraz swemu chełpliwemu zadowoleniu: „Piękne pozdrowienia! – napisał niepewną ręką. – Jesteśmy pełni jak bukłaki!”. Ale inny hulaka był całkiem niezadowolony z wieczoru i wymyśla pod adresem oberżysty: „Żebyś padł kiedyś ofiarą własnej chytrości – nam sprzedajesz wodę, a sam żłopiesz czyste wino”.

Dziwne jest w tym wszystkim to, że nawet grobowce szpecono rozmaitymi napisami. Znajdujemy tam afisze wyborcze, zapowiedzi igrzysk gladiatorskich, reklamy, nawet drobne ogłoszenia, za pomocą których obywatele miasta komunikowali się wzajemnie. Na jednym z grobowców przed Bramą Herkulańską ogłoszenie takie dotyczy zbiegłej klaczy. Czytamy tam, co następuje: Jeżeli komu zbiegła klacz z bagażem dnia 26 sierpnia, niech zwróci się do Deciusa… za Mostem Sarneńskim, w posiadłości Mamiańskiej”.

Przyglądając się owym tysiącom napisów kalających brzydotą szlachetne płaszczyzny niemal wszystkich budowli pompejańskich, nie dziwimy się, iż wśród mieszkańców miasta znalazł się człowiek

rozumniejszy, którego to wszystko zniecierpliwiło. Ale nawet on – i w tym tkwi cały pieprzyk – nie mógł się oprzeć fatalnej pokusie i napisał nie bez humoru: „O ściano, podziwiam cię, że nie rozleciałaś się dotąd. Jesteś skazana na to, by znosić tyle czczej paplaniny!”.

Pompejańczycy mieli słabość do haseł i krótkich sentencji moralnych, które kazali sobie malować na ścianach pokojów bądź też układać techniką mozaikową na posadzkach. W jednym z domów figuruje następujący morał: „Najmniejsze zło urasta do wielkiego zła, jeżeli się je lekceważy”.

Ową modę doprowadził do niedorzeczności niejaki Epidius Hymenaeus. Na wszystkich ścianach jego domu naprzykrzają się nachalnie liczne napisy, nieraz zgoła śmieszne, niedwuznacznie mówiące nam, iż właściciel był typowym dorobkiewiczem o dość miernych gustach intelektualnych. Oto jego napomnienia skierowane do gości zaproszonych na biesiadę: „Nienawistne kłótnie odłóż na potem, jeżeli możesz – w przeciwnym razie kroki skieruj pod swój własny dach”; albo: „Zalotne oblicze i pochlebne oczy odwróć od cudzej małżonki, miej na twarzy wyraz skromności”. Trzecie zdanie jest bodajże najzabawniejsze: „Uważaj na nasze lniane obrusy!”.

Bogaty piekarz i kamienicznik Gnaeus Alleius Nigidus, w poczuciu zadowolenia z nabytej zamożności, kazał dużymi literami wymalować w swojej piekarni: „Tu mieszka szczęście”, inny zaś kupiec, nazwiskiem Siricus, ujął dewizę swego życia w następujących dwóch słowach: „Witamy zysk”. Trzeci handlarz, tym razem nieznany nam z nazwiska, z zabawną szczerością zwierzał się wszem wobec, że dla niego: „Zysk to radość”.

Także progi domów były zdobione napisami. Słynny jest obraz mozaikowy psa z ostrzeżeniem: *Cave canem* – wystrzegaj się psa. Ale przeważnie spotyka się przed drzwiami lakoniczne słowo powitania: *Salve!* Z tego powszechnego zwyczaju wyłamał się pewien właściciel domu, umieszczając na stopniu dłuższe zdania: „Drzwi moje są zamknięte dla złodziei – otwarte na oścież dla ludzi uczciwych”.

Jeśli wymienione napisy nastrajają nas na wesoło, to znalazł się jeden, który w sposób przejmujący uprzytomnił nam tragiczny los,

jaki nawiedził Pompeję. W ciasnej Bramie Herkulańskiej działy się sceny dantejskie. Obłąkane z przerażenia tłumy chciały jak najprędzej wydostać się z miasta na otwartą przestrzeń i w nieprzytomnej panice popychały się i tratowały wzajemnie, nie mając względów ani dla dzieci, ani dla starców. Jakiś Żyd, nie mogąc się przepchnąć, schronił się do pobliskiego domu, by tam przeczekać katastrofę, potem jednak wybiegł znowu na ulicę. Czekając w tym domu, wydrapał na ścianie dwa wymowne w swej wstrząsającej treści słowa: „Sodoma i Gomora".

Ów złowieszczy napis rzuca snop światła na to, co Pompejańczycy przeżywali w czasie katastrofy, namacalnym zaś dowodem są szkielety ludzkie, jakie znaleziono w domach i na ulicach miasta. Naliczono ich, jak to już wspominaliśmy, przeszło dwa tysiące.

Przez parę wieków szkielety te, z których położenia można było odczytać przebieg indywidualnych tragedii, archeolodzy gromadzili w muzeum, nie poddawszy ich odpowiedniej konserwacji. Dopiero w roku 1864 kierownik wykopalisk Fiorelli wpadł na szczęśliwy pomysł. Na jednej z – uliczek odgrzebano czaszkę człowieka, reszta zaś szkieletu tkwiła w stwardniałym popiele wulkanicznym. Badania wykazały, iż w czasie katastrofy zmoczony przez deszcz popiół ułożył się ciasno naokoło ciała, które z biegiem czasu zbutwiało, pozostawiając dokładną formę.

Fiorelli wypełnił otwór płynnym gipsem i po jego stwardnieniu wydobyto na powierzchnię cztery ludzkie postacie. Miały one pełne, zaokrąglone kształty żywego człowieka, na ich twarzach malowały się przerażenie i przedśmiertna męka.

Z położenia ofiar nietrudno było domyśleć się, co się wydarzyło w tej małej uliczce. Na przedzie leżała starsza kobieta, mając u swego boku cały skarb, jaki usiłowała uratować: trzy pary złotych kolczyków, przeszło sto monet srebrnych i dwa żelazne klucze od domu. Prawe jej ramię było złamane, a lewe zasłaniało oblicze, jakby w obronie przed deszczem kamieni. Tuż u jej stóp skonała 14-letnia dziewczynka, być może jej córka. W pewnym oddaleniu leżała inna kobieta, sądząc po żelaznym pierścionku na prawej ręce, niewolnica. Na końcu leżał na wznak niewolnik ogromnego wzrostu,

z żelaznym pierścionkiem na palcu i z wyraźnie widocznymi sandałami na stopach.

Od tego czasu archeolodzy stosują metodę Fiorellego wszędzie tam, gdzie mokry popiół na to pozwala. Otrzymano w ten sposób liczne, głęboko przejmujące odlewy, przechowywane obecnie w muzeum w Neapolu. Niezależnie od tego kronika wykopalisk pompejańskich notuje odkrycie mnóstwa szkieletów, rzucających ciekawe światło na poszczególne fragmenty katastrofy.

W świątyni Izydy kapłani siedzieli właśnie przy uczcie, kiedy zaskoczył ich wybuch Wezuwiusza. Na stole mieli: chleb, wino, kurczęta, ryby i jaja. Biesiadnicy zerwali się z łóż i zaczęli zbierać swoje skarby. W grubą płachtę lnianą zawinęli ogromną liczbę złotych i srebrnych monet, posążki Izydy, srebrne naczynia ofiarne i inne kosztowności. Nie uszli jednak zbyt daleko: padli pokotem pod gradem kamieni, rozsypując skarby świątyni po bruku. Inni kapłani zginęli w przyległych pokojach gospodarczych. Jeden z nich z toporkiem w ręku przerąbał się przez dwie ściany, przy trzeciej jednak upadł i skonał, zatruty wyziewami.

Na koszmarną groteskę zakrawała scena, jaką odkryto w jednym z odkopanych grobowców przy Bramie Herkulańskiej. Rzymianie uprawiali osobliwy zwyczaj zasiadania do styp pogrzebowych w samym grobowcu, mianowicie w specjalnie do tego przeznaczonym przedpokoju, zwanym *triclinium funebre*. Otóż wybuch Wezuwiusza zaskoczył w tym grobowcu całą rodzinę dopiero co pochowanego obywatela, w chwili gdy wyciągnięta na łożach raczyła się stypową biesiadą.

W szkole gimnastyki i szermierki, zwanej palestrą, gdzie znajdował się ogromny basen pływacki i kaplica opiekunki młodzieży Izydy, młodzież odbywała, jak zwykle, swoje ćwiczenia. Grad kamieni i popiołu spędził atletów z dziedzińca pod okalający go portyk kolumnowy. Dach jednak zawalił się i wielu młodzieńców znalazło tam śmierć. Kapłan Izydy, chcąc umknąć z dwoma srebrnymi naczyniami rytualnymi, wpadł do basenu wypełnionego po brzegi popiołem i mimo straszliwych wysiłków nie zdołał się stamtąd wydostać. Znaleziono jego ciało skręcone w przedśmiertnych skurczach.

Podobny incydent miał miejsce w koszarach gladiatorów. Obecni tam bojownicy igrzysk spostrzegli się zbyt późno, że budynek ich stał się raczej pułapką niż schronieniem. Dopiero gdy pokoje wypełniły się oparami siarki, a wejścia zatarasowały zwały masy wulkanicznej – rzucili się wszyscy do ucieczki, przy czym zupełnie zapomnieli o ratowaniu dwóch kolegów, którzy za jakieś przewinienie przebywali w lochu w żelaznych kajdanach. Ale ucieczka była spóźniona. W dwóch salach ćwiczebnych, gdzie na ścianach był rozwieszony rynsztunek gladiatorski, zginęło przeszło 50 gladiatorów oraz jedna kobieta, ozdobiona bardzo kosztowną biżuterią.

Nie mniejsza groza panowała w pewnym świetnym pałacu przy drodze zmarłych. Pod salą kolumnową tego pałacu znajdowały się obszerne piwnice, wypełnione ogromnymi amforami do wina. Właściciel domu schronił się tam z rodziną i licznymi niewolnikami. Żona, wystrojona w złoty naszyjnik i liczne kosztowne bransolety, miała na ręku niemowlę oraz starszego syna i córkę u boku. Czeladź zaniosła do piwnicy chleb, owoce i inną żywność, sakwę z srebrnymi monetami i duży wór wypełniony zastawą stołową z grubej srebrnej blachy.

Gdy do pałacu zaczęły przenikać wyziewy, nieszczęśni domownicy usiłowali wydostać się na świeże powietrze, ale wejścia do piwnicy okazały się już całkowicie zasypane popiołem i kamieniami. W rezultacie wszyscy oni – rodzina bogacza i niewolnicy w liczbie 34 osób – legli martwi między amforami, zrównani wobec śmierci. Archeolodzy mogli odróżnić panów od sług tylko po biżuterii, jaką mieli na sobie panowie. Wraz z nimi zginęła koza z zawieszonym u szyi miedzianym dzwonkiem.

Podobne sceny można by przytaczać bez końca. Oto w domu Paquiusa Procolusa bawiło się wesoło siedmioro dzieci. Ich rodzice zapewne przebywali w tym czasie w swoich kramikach i warsztatach, z dala od domu. Gdy nastąpił wybuch wulkanu, nieszczęśni malcy przytulili się do siebie w bezradnym przerażeniu, czekając na ratunek. Ale zanim ktokolwiek zdołał o nich pomyśleć, zmiażdżył ich sufit, który zawalił się pod ciężarem popiołów i kamieni.

Grozą przejmującą scenę odkryto w roku 1787. W małej izbie leżały rozrzucone, widocznie nadgryzione kości kobiety. Zrazu nie umiano sobie wyjaśnić tej okoliczności, że części szkieletu były rozrzucone w różnych miejscach. Dopiero gdy odkryto szkielet psa, przebieg niesamowitej tragedii stał się jasny. Pies przeżył w więzieniu swoją panią i walcząc ze śmiercią głodową, karmił się jej ciałem.

Niejako godłem rozpoznawczym Pompei stał się odlew gipsowy psa łańcuchowego. Biedny pies, zapomniany w ogólnym zamieszaniu w przedpokoju pewnego domu, wygrzebywał się na powierzchnię narastającego zwału popiołu, dopóki pozwalała na to długość łańcucha. Potem padł na wznak i zdechł z wyciągniętymi w skurczu przedśmiertnym kończynami.

W pałacu „Pijanego Fauna", w tym samym, gdzie podziwialiśmy mozaikę batalistyczną bitwy pod Issos, pod stropem portyku w perystylu znaleziono gniazdo ze szkieletem gołębicy siedzącej na jajach. W jednym z jaj krył się szkielecik niewyklutego pisklęcia. Znalezisko to, nie tyle archeologicznie wartościowe, ile wzruszające, głównie z tych względów zasługuje na wzmiankę, że bardziej niż jakiekolwiek inne wykopalisko odzwierciedla przedziwny los miasta, którego serce stanęło nagle, jak zatrzymany w swym biegu zegarek.

W królestwie Wielkiego Węża

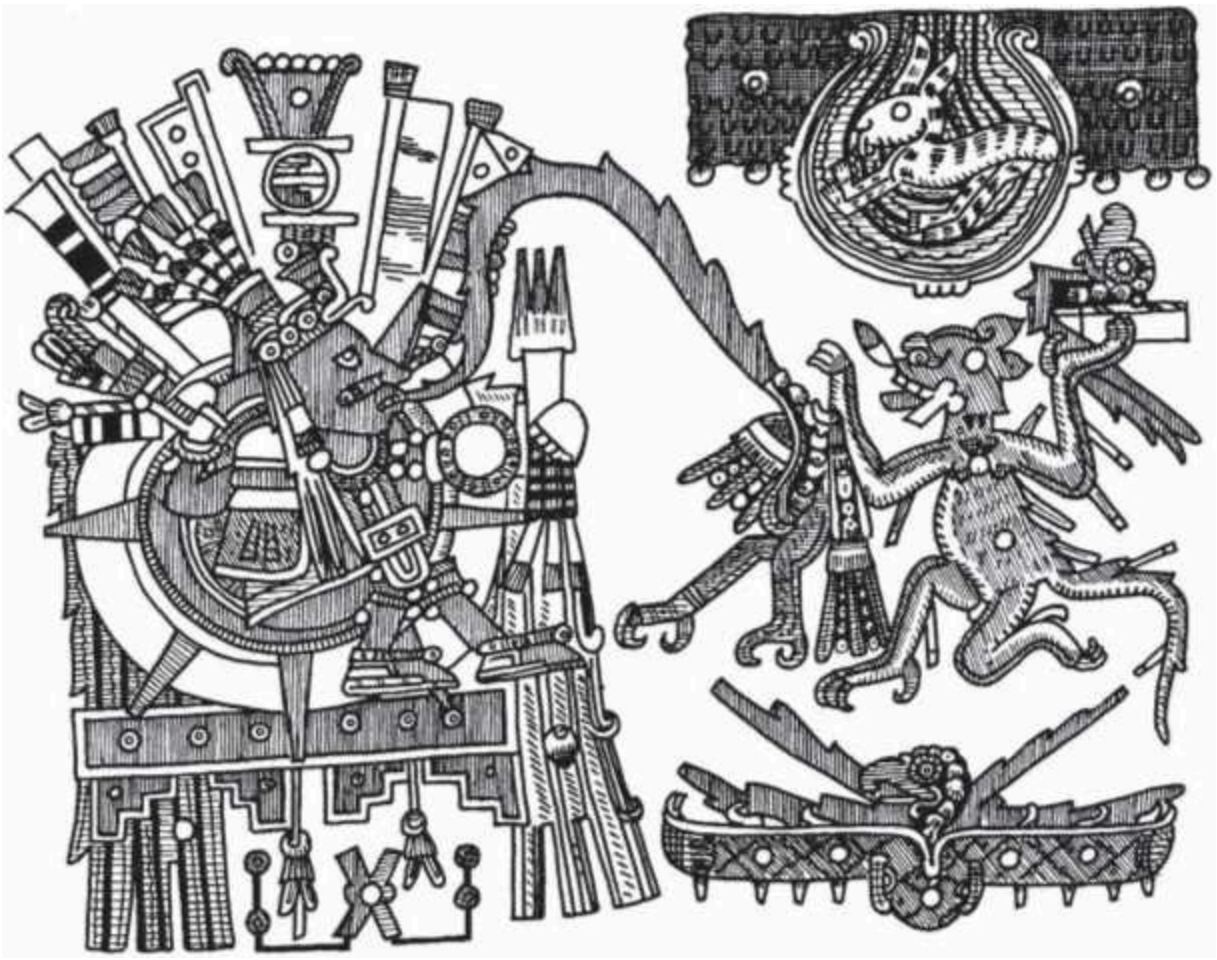

JAK CORTEZ ZDOBYŁ PAŃSTWO AZTEKÓW

FERDYNAND CORTEZ, syn zubożałego szlachcica hiszpańskiego z Estremadury, był za młodu hultajem jakich mało. W kompanii innych nicponiów do tego stopnia dał się we znaki poczciwym mieszczuchom pijatykami, burdami i pokątnymi amorami, że koniec końców musiał czmychać przed pościgiem drabantów miejskich.

W owych czasach znajdujący się w opałach młody szlachcic hiszpański miał duże możliwości włóczęgi i przygody. Wszak był to rok 1504; od pierwszej wyprawy Kolumba do Indii Zachodnich upłynęło niespełna dwanaście lat. O złotych skarbach na Wyspach Antylskich krążyły takie pogłoski, że mogły one przyprawić o zawrót głowy już nie tylko w gorącej wodzie kąpanego Corteza, lecz nawet najstateczniejszego obywatela Półwyspu Iberyjskiego.

Cortez puścił się więc w podróż morską i wylądował na wyspie San Domingo. W roku 1511 wybrał się z Velasquezem na podbój Kuby, gdzie zasłynął nie tylko kawalerską fantazją, ale i okrucieństwem wobec indiańskich wyspiarzy, broniących się rozpaczliwie przed zmorą białego najazdu.

Po zdobyciu wyspy Velasquez stał się jej gubernatorem, Cortez zaś otrzymał na własność pewien obszar ziemi i kopalnię złota. Wkrótce też dorobił się poważnego majątku – „Bóg wie, kosztem ilu żywotów indiańskich” – jak pisał kronikarz hiszpański z XVI wieku de Las Casas.

Ożeniwszy się, byłby może Cortez spędził resztę życia, podobnie jak wielu innych kolonizatorów, na spokojnym spożywaniu owoców

pracy niewolników indiańskich, gdyby nie wiadomość o nowych odkryciach, która rozeszła się po wyspie lotem błyskawicy.

W roku 1518 Juan de Grijalva zbadał północny i zachodni brzeg Jukatanu. Od tamtejszych plemion indiańskich dowiedział się, że w głębi lądu istnieje potężne, ludne i bogate w złoto państwo Azteków. Wiadomość ta podziałała na Corteza niczym iskra na beczkę prochu.

Gubernator Velasquez postanowił wysłać na te tereny wyprawę wojskową, a Cortez drogą konszachtów, ofiarując się pokryć część kosztów wyprawy, zdołał wyfrymarczyć dla siebie jej dowództwo.

Na Kubie, w miasteczku portowym Santiago, świeżo upieczony admirał armady wyekwipował sześć okrętów i zwerbował trzy setki żołnierzy, kiedy Velasquez pożałował swego kroku i odwołał nominację. Znając krnąbrną i zuchwałą naturę Corteza, dosiadł konia i pomknął do portu, by osobiście odebrać mu dowództwo.

W chwili jego przybycia Cortez podniósł pośpiesznie żagle i drwiąc z Velasqueza, wypłynął na morze.

Ale wyprawa nie była jeszcze gotowa do drogi: brakowało okrętów, załogi, a przede wszystkim prowiantu. Zerwawszy z przedstawicielem władzy, Cortez musiał uciec się do metod korsarskich, by zdobyć potrzebne mu zaopatrzenie.

W porcie Macaca na Kubie zasekwestrował wszystkie zapasy żywności, jakie wpadły mu w ręce, nie okazując względów nawet dla istniejących tam folwarków królewskich. Na Trynidadzie zagarnął okręt towarowy z pełnym ładunkiem, który dopiero co przypłynął z Hiszpanii. Za te sprawki gubernator miasta chciał go ująć jako pospolitego rabusia, on jednak skierował armaty na miasto i zagroził, że nie pozostawi tam kamienia na kamieniu. Zastraszony dygnitarz jak niepyszny wycofał się z zatargu z niebezpiecznym awanturnikiem.

W innym porcie Kuby, w Cape San Antonio, armada stanęła wreszcie zapięta na przysłowiowy ostatni guzik i w lutym 1519 roku wyruszyła na pełne morze w kierunku Jukatanu. Składała się z jedenastu okrętów z załogą 110 marynarzy, 566 żołnierzy i 200 tragarzy indiańskich. Siłę tej małej armii stanowiła kawaleria złożona z jedenastu koni, ale przede wszystkim artyleria licząca

dziesięć ciężkich i cztery lekkie działa ze spiżu. Piechota miała jako uzbrojenie łuki, dzidy, szpady, 32 kusze i 13 rusznic.

Flotylla zakotwiczyła w ujściu rzeki Rio de Tabasco w Jukatanie. Ponieważ koryto jej okazało się zbyt płytkie dla okrętów, Cortez z częścią załogi udał się łodziami w górę rzeki, by odwiedzić stolicę plemienia Tabaskanów, o którym Grijalva opowiadał, iż przyjęło go życzliwie.

Jednakże, ku jego przykremu zdumieniu, z brzegów rzeki, gdzie w gąszczu drzew mangowych i pnączy przyczaiły się setki łodzi pełnych Indian – posypały się strzały i kamienie. Niebawem szalupy hiszpańskie i łodzie indiańskie gwałtownie zderzyły się z sobą, a wojownicy powpadali do płytkiej wody, gdzie nadal prowadzili zaciętą walkę.

Po pewnym czasie Hiszpanie zdołali wydostać się na brzeg, skąd rozpoczęli strzelaninę z rusznic. Huk nieznanej broni sprawił na Indianach piorunujące wrażenie: poszli więc w rozsypkę, a Cortez w szybkim marszu zajął ich stolicę.

Nazajutrz zgromadziła się armia Tabaskanów złożona z kilkudziesięciu tysięcy wojowników. Wśród przeraźliwych gwizdów i okrzyków Indianie ruszyli do ataku; nawet ogień z paszcz armatnich nie zdołał ich powstrzymać, choć padali gęsto trupem. W ostatniej chwili zaatakowała ich z tyłu kawaleria hiszpańska. Indianie nigdy w życiu nie widzieli koni, toteż na widok tych parskających i rżących potworów rzucili broń i pierzchli na wszystkie strony.

Dwóch wziętych do niewoli wodzów Cortez posłał do króla Tabaskanów z propozycją zawarcia pokoju. Jakoż niebawem sam król zjawił się na czele licznej świty, przynosząc hojne dary ze złota oraz przyprowadzając dwadzieścia niewolnic indiańskich, wśród których znajdowała się urodziwa Malintzin, zwana przez Hiszpanów Mariną, przyszła tłumaczka, kochanka i pomocnica Corteza w podboju jej pobratymców.

Po zawarciu pokoju z Tabaskanami konkwistadorzy załadowali się z powrotem na okręty i 21 kwietnia 1519 roku stanęli obozem w miejscu, gdzie obecnie leży miasto Vera Cruz. Otaczała ich niezmierzona bagnista dżungla, z której wydzielały się trujące

wyziewy. Na szczęście miejscowi Indianie okazali się bardziej uczynni niż Tabaskanie. W mgnieniu oka wznieśli naokoło obozu tysiąc szałasów z gałęzi i zakrzątnęli się żywo, by nakarmić gości owocami, jarzynami i pieczonym drobiem.

Naczelnik Indian Teuhtlile złożył Hiszpanom hojne dary w postaci tkanin bawełnianych, płaszczów misternie haftowanych piórami egzotycznych ptaków oraz koszy napełnionych biżuterią ze złotej blachy.

Cortez poprosił go o wysłanie kuriera do władcy Azteków Montezumy z zawiadomieniem o przybyciu Hiszpanów i o ich zamiarze odwiedzenia go w stolicy.

Siedem dni czekali konkwistadorzy na odpowiedź. Otaczała ich wybujała roślinność tropików, pełna zaduchu i wilgoci: drzewa mangowe, rozłożyste mahonie i palmy, wysokie trzciny i trawy, wijące się jak węże liany i pnącze upstrzone egzotycznymi kwiatami. W tej gęstej wegetacji mieniły się gorącymi kolorami tęczy kolibry, ogromne motyle i ptaki o jaskrawym upierzeniu.

Tymczasem w pałacu Montezumy toczyły się nieustanne narady. Stolicę Azteków Tenochtitlan, nazwaną później Meksykiem, ogarnęło uczucie lęku i niepewności. Władca i dostojnicy dworscy nie mogli zdecydować się na jakikolwiek stanowczy krok.

Jakaż była przyczyna osobliwego nad wyraz faktu, że wielomilionowy naród wojowników uląkł się garstki przybyszów zza morza? Winowajcą był ich bożek Quetzalcoatl. Aztekowie wyobrażali go sobie jako białego człowieka z falistą brodą, acz sami nie miewali zarostu. Legenda utrzymywała, że biały bóg przybył z „kraju wschodzącego słońca” na skrzydlatym statku (Aztekowie nie znali żagli) i wylądował tam, gdzie obecnie stanął obozem Cortez. Biały bóg nauczył Indian rzemiosła i dobrych obyczajów, obdarzył ich mądrymi prawami i religią oraz założył państwo, gdzie wyhodowano bawełnę rozmaitych kolorów, a kukurydza rodziła kaczany wzrostu człowieka.

Spełniwszy posłannictwo, biały bóg powrócił tam, skąd przybył. Na temat jego zniknięcia istniało wśród Indian kilka klechd.

Jednak nich opowiada, że Quetzalcoatl klęknął nad szumiącym Atlantykiem, zapłakał gorzko i rzucił się na płonący stos. Popioły

jego uniosły się w powietrze i zamieniły w roje ptaków, a serce zawisło na niebie jako gwiazda poranna.

Według innej legendy bóg nocy, chcąc podstępem usunąć białego boga z Meksyku, zaofiarował mu kubek napełniony jakoby eliksirem nieśmiertelności. W rzeczywistości napój rozniecił w nim tak nieprzepartą tęsknotę do ojczyzny, iż bóg odpłynął na skrzydlatym okręcie w stronę wschodzącego słońca.

Wszystkie legendy były zgodne co do jednego: brodaty bóg zapowiedział pojawienie się białych zdobywców zza morza. Mieli oni podbić wszystkie plemiona indiańskie i obalić bogów na rzecz boga cudzoziemskiego.

Pod wpływem takiej tradycji Aztekowie łacno uwierzyli, że oto wypełnia się proroctwo. Biali przybysze wydawali się im istotami nie z tego świata. Władali oni piorunami i okiełzali jakieś czteronożne monstra, a Tabaskanów, mimo ich przemożnej przewagi rozgromili jakby mocą dziwnego czarodziejstwa.

Zachowały się źródła pisane, z których wynika niezbicie, że zabobon o białym bogu stanowił jedną z przyczyn łatwego podboju Azteków i Inków peruwiańskich. Ów zabobon odjął im wolę walki i okrył posępnym cieniem radę wojenną Montezumy. Zamiast skupić wszystkie swoje siły i pognębić od jednego zamachu garstkę zuchwałych intruzów, władca Azteków postanowił paktować. Wysłane przezeń poselstwo miało jakoby hojnymi darami obłaskawić groźnych cudzoziemców, unaocznić im bogactwa i potęgę Azteków, a onieśmieliwszy ich w ten sposób – wręczyć zakaz dalszego pochodu ku stolicy.

Poselstwo składało się z kilku dostojników i stu niewolników objuczonych darami. Posłowie mieli na sobie suto spływające, bogato haftowane stroje i pstre pióropusze z papuzich piór na głowie. Ręce, nogi, szyje i uszy były obwieszone biżuterią z ciężkiego złota.

Corteza przywitali czołobitnie, dotykając palcami kolejno to ziemi, to swoich skroni. Niewolnicy zapalili kadzidła z egzotycznych roślin i rozłożyli na matach przesłane przez Montezumę dary: tarcze, hełmy, zbroje, naszyjniki i bransolety – wszystko ze szczerego złota. Były tam pióropusze, perły i szlachetne kamienie w oszałamiających

ilościach, posążki ze złota i srebra osobliwej a cudnej roboty, szaty bawełniane misternie haftowane i delikatne jak jedwab, przede wszystkim zaś dwie płyty ze złota, okrągłe i duże jak kamienie młyńskie, pokryte bogatą, wypukłą rzeźbą wyobrażającą rośliny i zwierzęta.

Dary przeszły najśmielsze marzenia konkwistadorów i zamiast onieśmielić ich, jak tego spodziewał się Montezuma, obudziły w nich nieokiełzaną chciwość. Cortez uprzejmie, ale stanowczo odrzucił żądanie Montezumy, oświadczając, że przybył w charakterze posła króla hiszpańskiego i że nie wolno mu nie spełnić zlecenia swego mocodawcy.

Nazajutrz o świcie Hiszpanie spostrzegli, że po Indianach warzących im zwykle strawę nie pozostało śladu. Złowroga cisza nie wróżyła nic dobrego i dowiodła naocznie, że żądań Montezumy nie można zlekceważyć. Bo oto na jego rozkaz znaleźli się bezradni na bezludziu, opuszczeni przez tuziemców, skazani na śmierć głodową w zabójczym klimacie malarycznej dżungli.

Cortez stanął przed trudną decyzją. Czy ma powrócić na Kubę, jak tego coraz natarczywiej domagali się żołnierze? Tam jednak czekał go stryczek. Z drugiej strony zapuszczanie się w głąb wielomilionowego państwa wbrew życzeniu jego władcy zakrawało na szaleństwo.

Gdy sytuacja zdawała się bez wyjścia i Cortez, ulegając żądaniom swej armii, już chciał powrócić na okręty, nagle wśród warkotu bębnów i pisku piszczałek ukazało się liczne poselstwo jakichś Indian. Mówili innym zgoła językiem i tylko dwóch spośród nich mogło się porozumieć w języku azteckim. Od nich Cortez dowiedział się, iż przybyli w poselstwie od króla Totonaków, którego stolica, Cempoalla, znajdowała się w północnej części Zatoki Meksykańskiej.

Totonacy ulegli potędze Azteków i musieli znosić ich jarzmo, lecz nie tracili nadziei, że odzyskają niepodległość. Król ich, zasłyszawszy o zadziwiającym zwycięstwie zamorskich cudzoziemców nad bitnymi Tabaskanami, zapraszał ich do siebie i zaofiarował sojusz przeciwko wspólnemu wrogowi.

Cortez chwycił się tej okazji oburącz i raźno pociągnął z wojskiem do Cempoalli w przekonaniu, że państwo azteckie, które – jak wyszło na jaw – było zlepkiem podbitych, skorych do buntu plemion, da się łatwo pokonać.

Cempoalla była miastem liczącym blisko trzydzieści tysięcy mieszkańców, malowniczo położonym wśród wzgórz, sadów i łanów kukurydzianych. Pobielane domy błyszczały w słońcu jak zbudowane ze srebra. Na głównym placu dźwigała się w niebo biała piramida z tarasami, a na jej szczycie widniała drewniana świątynia.

Hiszpanów przywitali mieszkańcy girlandami kwiatów, a król, wysoki, zażywny Indianin w paradnym stroju, przyjął ich z wielką łaskawością, obdarowując biżuterią i pięknymi tkaninami. Nie dość, że przyobiecał im posiłki w liczbie stu tysięcy wojska, lecz w dodatku zawiadomił ich o innych wrogach Azteków, Tlaskalanach, na których ponoć również można było liczyć.

Korzystny zwrot w sytuacji bynajmniej nie uspokoił żołnierzy Corteza. Liczna grupa konspiratorów uknuła spisek, by zagarnąć okręty i umknąć z powrotem na Kubę. Cortez wykrył sprzysiężenie, przywódców skazał na śmierć albo na tortury, a potem zdobył się na krok zdumiewająco odważny. Postanowił spalić za sobą i swoim wojskiem mosty odwrotu, a mianowicie kazał rozmontować okręty, drewniane ich kadłuby spalić, a części żelazne, takielunek i żagle zmagazynować na późniejszy użytek.

Założywszy w miejscu lądowania obóz warowny i nadawszy mu nazwę Villa Rica de Vera Cruz, czyli „Bogate Miasto Prawdziwego Krzyża” – rozpoczął swój marsz w głąb kontynentu, zabierając ze sobą półtora tysiąca wojowników totonackich. Ponieważ osobliwością cywilizacji indiańskich było to, że nie znała ona koła i zwierząt jucznych, bagaże i armaty nosiło tysiące tragarzy indiańskich. Wiekopomny pochód rozpoczął się 16 sierpnia 1519 roku.

Z początku maszerowali przez tropikalną, nizinną dżunglę, wśród krzaków wanilii i kakao, gdzie uwijały się papugi, kolibry i wielobarwne motyle. Już jednak po upływie kilku dni zaczęli wspinać się na stoki płaskowyżu, aż pojawienie się pierwszych dębów zwiastowało wyżynny pas umiarkowanego klimatu. Przed ich

oczyma wyrosły niebotyczne łańcuchy górskie. Po prawej ręce mieli potężny masyw Sierra Madre porośnięty borem, na południu jaśniał swym śnieżnym szczytem samotny gigant Andów – wulkan Orizaba, czczony przez tubylców jako bóstwo.

Spotykani po drodze Indianie witali ich nader przyjaźnie. W dolinach i na płaskowzgórzach ujrzeli ludne miasteczka z nieodzowną piramidą, zaciszne sioła oraz pola złocistej kukurydzy, aloesów i kaktusów – słowem, kraj bujnie kwitnący w życiodajnych promieniach górskiego słońca.

Po kilkudniowym marszu dostali się przesmykiem w krainę groźnych turni. Rozciągnięta kolumna wojska i tragarzy wiła się ścieżką nad urwiskami i skłębioną kipielą potoków. Deszcze i lodowate wichry, grad i śnieg dały się dotkliwie we znaki Hiszpanom, szczególnie nieodpowiednio odzianym Indianom.

Za poradą Totonaków Cortez skierował marszrutę do kraju Tlaskalanów. Ponieważ byli oni odwiecznymi wrogami Azteków i w nieustannych walkach musieli bronić przed nimi swojej niepodległości, liczył na ich zbrojną pomoc.

Spotkała go jednak przykra niespodzianka. Zaledwie znalazł się w ich granicach, niewielki oddział wojowników napadł go z furią, wobec której zbladła zapalczywość Tabaskanów. Męstwo i pogarda śmierci nowych niespodziewanych przeciwników były wręcz zatrważające. Co wszakże wtrąciło Corteza w największe osłupienie – to zupełny brak zabobonnej bojaźni przed rumakami. Mimo że widzieli je po raz pierwszy w życiu, dopadali jeźdźców, ściągali ich z siodeł, a nawet ubili dwa konie swoją osobliwą bronią: drewnianą maczugą najeżoną ostrymi jak brzytwa kolcami z lawy szklistej, tak zwanego obsydianu. I nie wiadomo, jak skończyłoby się starcie, gdyby strzały rusznic i artylerii nie utrzymały w karbach napastników.

Następnego poranka, w pościgu za małym oddziałem Indian, konkwistadorzy zapędzili się do jakiegoś wąwozu. Zaskoczył ich widok niebywały. Jak okiem sięgnąć, stała tam stłoczona nieprzeliczona armia Tlaskalanów. Wśród wojowników, pomalowanych w białożółte pasy, wyróżniali się wodzowie. Ich złote lub srebrne hełmy i zbroje, rozwichrzone na wietrze pstrokate

pióropusze, a przede wszystkim mieniące się wszystkimi kolorami płaszcze z piór – cały ten barbarzyński splendor upodabniał ich do pysznych egzotycznych ptaków. Nad armią kołysały się las włóczni oraz insygnia poszczególnych oddziałów wyobrażające zwierzęta. Na przedzie olbrzymi wojownik dzierżył na drzewcu emblemat państwa Tlaskalanów: wysadzanego perłami i szafirami złotego orła.

Cortez w lot zrozumiał, jak prymitywna i naiwna była taktyka Tlaskalanów. Stłoczona w wąwozie armia – rzecz oczywista – nie mogła rozwinąć się i należycie wykorzystać swej przygniatającej przewagi liczebnej. Uformował więc zwartą kolumnę i wdarł się w sam środek nieprzyjaciela. Taktyka okazała się słuszna: zamęt bitewny zalał wprawdzie Hiszpanów jak wzburzone morze, ale wojownicy indiańscy, skrępowani w ruchach ciasnotą miejsca, byli prawie bezradni.

Zakuci w żelazo Hiszpanie powoli przerąbywali się przez tłum wojowników, aż wydostali się na otwartą przestrzeń po drugiej stronie wąwozu, skąd zaczęli prażyć wrogów gęstymi salwami ognia. Tlaskalanie musieli wycofać się z pola walki z poważnymi stratami.

Trzeciego dnia stanęła przeciw Hiszpanom jeszcze większa armia. Cortez okopał się na wzgórzu i postanowił zastosować taktykę obronną. Indianie rzucili się z impetem do ataku, ale i teraz szli pomieszaną i stłoczoną ławą, bez jakiegokolwiek planu strategicznego. Ich strzały z łuków i kamienie z proc grzęzły w szańcach lub ześlizgiwały się po hełmach i kirysach Hiszpanów. Padali tylko gęsto wojownicy sprzymierzonych Totonaków.

W pewnej chwili gruchnęły armaty i rusznice. Tlaskalanie padali jak podcinane kosą zboże, a gdy pod wrażeniem strat reszta zaczęła się cofać z przedpola, ruszył z kopyta oddział kawalerii, siekąc i tratując uciekających w panice wojowników.

W ciągu całego dnia i następnej nocy Indianie z bezprzykładnym męstwem wznawiali ataki, ale za każdym razem załamywali się wobec wyższej taktyki i lepszej dyscypliny Hiszpanów, a przede wszystkim w ogniu nieznanej im broni palnej. Gdy wkrótce wśród wodzów indiańskich wybuchły spory, niektórzy spośród nich,

zniechęceni niepowodzeniem, skrzyknęli swoje oddziały i opuścili pole walki.

Na propozycję Corteza Tlaskalanie wyrazili gotowość zawarcia pokoju; co więcej, zaprosili Hiszpanów do swojej stolicy. I oto wroga ich postawa ni stąd, ni zowąd zamieniła się w impulsywną przyjaźń. Mieszkańcy miasta wyszli na spotkanie niedawnych wrogów z naręczami kwiatów, na karki rumaków i żołnierzy wieszali girlandy, a kapłani w białych tunikach uczcili ich dymem kadzideł.

W mieście ozwały się gromkie okrzyki, muzyka, śpiew i łomot bębnów. Nad wąskimi ulicami kołysały się festony uwite z nieznanych Hiszpanom kwiatów. Sędziwy król Xicotenoatl wziął Corteza w ramiona i zaprosił przybyszów na biesiadę.

Miasto otaczał pierścień potężnych gór, pokrytych wiecznymi śniegami. Ulice były wąskie i kręte. Domy, pobudowane z wapienia, nie miały ani okien, ani drzwi. Wejścia zasłaniały wzorzyste tkaniny obciążone dzwoneczkami, których srebrzyste dźwięki niosły się po całym mieście. Możnowładcy i dostojnicy dworscy mieszkali w pałacach z ciosanego kamienia. Na środku miasta wydźwignięta była pod obłoki piramida ze świątynią, poświęconą bogowi wojny, któremu Tlaskalanie codziennie składali ofiary z ludzi, przeważnie z jeńców wojennych.

Od półwiecza pozostawali oni na stopie wojennej z Aztekami, broniąc się przed ich drapieżną zaborczością. Ponosząc wciąż klęski, Aztecy zastosowali wreszcie wobec nich taktykę blokady ekonomicznej. Ponieważ odcięli im między innymi dowóz soli, Tlaskalanie do tego stopnia odwykli od niej, że jeszcze przez kilka pokoleń w okresie panowania Hiszpanów nie solili potraw.

Wieść o klęsce Tlaskalanów, a jeszcze bardziej o groźnym ich przymierzu z cudzoziemcami przyprawiła Montezumę o zgrozę i odebrała mu resztki odwagi. Wpadł więc na niedorzeczny pomysł, by za cenę ogromnych ilości złota skłonić konkwistadorów do zerwania sojuszu i zaniechania marszu na Tenochtitlan. Gdy jednak spotkał się z odmową, prosił Hiszpanów, by skierowali się do miasta Cholula, gdzie przygotował im kwatery.

Miasto Cholula było stolicą religijną Azteków. Znajdująca się tam świątynia znanego nam już boga Quetzalcoatla stanowiła cel pielgrzymek wszystkich Indian Meksyku. Hiszpanie twierdzili, że miasto było piękniejsze niż Florencja, co zresztą do pewnego stopnia potwierdzają zachowane po dziś dzień ruiny. Piramida, na której stała świątynia, dotąd budzi podziw swoim ogromem. Jej podstawa jest daleko większa niż podstawa piramidy Cheopsa, choć budowla była nieco niższa.

Ciasne uliczki żywo przypominały Mekkę, Jerozolimę bądź Rzym średniowieczny. Płynęły nimi nieprzerwane potoki pątników i żebraków, kapłanów i mniszek. Ponad miastem strzelało w niebo czterysta wież świątynnych, z płonącymi na ich szczycie wiecznymi zniczami. Wśród śpiewów i kadzideł dzień w dzień snuły się po mieście procesje.

Hiszpanie wraz z Totonakami i Tlaskalanami zakwaterowali się na dziedzińcu jednej ze świątyń. Pewnego dnia Marina dowiedziała się od żony miejscowego dostojnika, że przeciwko przybyszom szykuje się sprzysiężenie, zorganizowane z rozkazu Montezumy.

Cortez postanowił uderzyć pierwszy i ułożył zuchwały plan wytępienia miejscowej arystokracji, by w ten sposób pozbawić miasto jego przywódców. Pod pozorem zakomunikowania im ważnej wiadomości zaprosił do siebie wszystkich dostojników. Gdy tylko zebrali się na dziedzińcu, uzbrojeni Hiszpanie znienacka dopadli ich i rozpoczęli dzieło śmierci. Okrzyk zgrozy dobył się z piersi bezbronnych Indian. Miotając się rozpaczliwie, jedni rzucali się z gołymi rękoma na napastników, inni znowu biegali po dziedzińcu, szukając wyjścia z pułapki. Nikt jednak nie zdołał umknąć śmierci. Konkwistadorzy, zdyszani i umazani krwią, rzucili się jak szakale na trupy, zdzierając z nich kosztowności i szaty.

Wrzaski mordowanych postawiły na nogi całe miasto. Nieprzebrane tłumy otoczyły dziedziniec i usiłowały wedrzeć się do środka. Hiszpanie odpowiedzieli salwami z armat i rusznic. Na widok trupów tłumy szukały ratunku w ucieczce. Wtedy z bramy wyskoczyła konnica, wysypali się hurmem konkwistadorzy i sprzymierzeni Indianie. Wpadając w kotłującą się ciżbę, siekli i mordowali na prawo i lewo. Przez cały dzień plądrowali domy

i świątynie, puszczali z dymem, czego nie mogli unieść, i wracali do kwater obładowani łupem. Pod wieczór z kwitnącego miasta pozostały tylko ruiny.

W dwa tygodnie po tych wypadkach Hiszpanie ruszyli w dalszą drogę. Wypadła im ona teraz przez przełęcz łańcucha górskiego otaczającego dolinę Meksyku. Powietrze stawało się z każdym krokiem rzadsze i ostrzejsze. Mroźne wiatry przenikały do szpiku kości. Po obu bokach mieli dwie najwyższe góry kontynentu północnoamerykańskiego: wulkany Popocatepetl i Ixtaccihuatl.

Stanęli na przełęczy i oczom własnym nie dali wiary. Z piersi wydobył się okrzyk zachwytu: „Oto ziemia obiecana!". Dolina Meksyku, nazwana przez Indian krainą Anahuac, przedstawiała widok niewypowiedzianie uroczy. W niezmąconej, naświetlonej słońcem przezroczystości powietrza widać było jak na dłoni kolorową mozaikę poletek, sadów, lasów i jezior, których wody miały głęboki ton błękitu. W samym środku największego jeziora, niby na tafli kryształowego lustra, rozsiadła się w cieniu niezliczonych piramid biała stolica Azteków Tenochtitlan, „Wenecja Zachodu", jak ją z miejsca ochrzcili konkwistadorzy.

Ósmego listopada 1519 roku armia Hiszpanów i sprzymierzeńców indiańskich skierowała się do miasta. Jezioro Texcoco przecinała prosta jak strzelił grobla, zbudowana z głazów i piasku. Po obu jej stronach płynęły roje łodzi, obładowanych najrozmaitszym towarem. U wylotu grobli, w otoczeniu paradnie odzianych dostojników, czekał na nich w pozłocistej lektyce Montezuma. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, liczący około czterdziestu lat, o smagłej twarzy drapieżnego ptaka. Przybranie jego głowy tworzył ogromnych rozmiarów pióropusz szkarłatno-zielony, roziskrzony perłami i turkusami. Płaszcz jego przedstawiał cud rękodzielnictwa: tysiące piór o wszystkich odcieniach palety układały się na materiale w ornament wzorzysty i olśniewający. Cały strój królewski kapał od złota i sypiących iskry kamieni. Nawet ciżemki spoczywały na podeszwie z złotej blachy.

Montezuma powitał Corteza z kurtuazją i obdarzył go sznurem rżniętych kryształów, cenionych u Azteków wyżej niż złoto. Potem stanął na czele Hiszpanów i skierował się do miasta. Wojsko

rozwinęło sztandary i przy rozgłośnej muzyce trąb i warkocie bębnów wkroczyło na przedmieście, podczas gdy tłumy, zalegające ulice i płaskie dachy, przyglądały się im z uczuciem na przemian ciekawości i niepokoju.

Wreszcie stanęli na głównym placu miasta. Po jednej stronie rzuciła im się w oczy ogromna piramida, a tuż w sąsiedztwie pysznił się rozłożysty kompleks pałaców Montezumy, pobudowany z ciosanego kamienia. Po przeciwległej stronie stała dawna rezydencja ojca obecnego władcy, otoczona potężnym murem warownym. Na dziedzińcu czekał Montezuma, by gości osobiście zaprowadzić na kwatery.

Następnego dnia Cortez, oprowadzany przez samego władcę, zwiedził piramidę w towarzystwie swoich oficerów. Budowla wznosiła się pośrodku przestronnego dziedzińca, zamkniętego murem obronnym z wieżycami i blankami. Stacjonowało tam pogotowie wojskowe na wypadek buntu ludności.

Piramida składała się z pięciu kondygnacji z tarasami. Do szczytu, gdzie majaczyły dwie świątynie w kształcie drewnianych wież, wiodły strome schody liczące 340 stopni.

Na zawrotnie wysokim wierzchołku piramidy Montezuma wziął Corteza pod ramię i objaśnił mu szczegóły roztaczającej się stamtąd panoramy. Stolica Azteków liczyła 300 tysięcy mieszkańców, była więc jednym z największych naówczas miast na świecie (Londyn liczył wówczas 200 tysięcy). Wzdłuż brzegu jeziora rozłożyły się inne, mniejsze miasta, wśród których górowało wielkością Texcoco. Wszystkie te miasta zespoliły się więzami najściślejszej federacji, tak że w sumie Tenochtitlan liczył właściwie trzy miliony mieszkańców.

Z lotu ptaka topografia miasta przedstawiała się następująco:

Tenochtitlan leżał w pośrodku jeziora na owalnej wyspie złączonej z lądem trzema groblami, przerywanymi kanałami, nad którymi przerzucono zwodzone mosty. Poza tym biegł przez jezioro imponujący akwedukt, sprowadzający rurami z terakoty wodę z pobliskich gór, ponieważ jezioro było słone. Hiszpanie z niepokojem spostrzegli, że miasto jest pułapką, z jakiej w razie zbrojnego konfliktu trudno będzie się wydostać.

Przed świątynią sterczał potężny monolit z czerwonego jaspisu, na którym zarzynano ofiary ludzkie. Wewnątrz jednej z wież świątynnych królował bóg wojny Huitzilopochtli, wielkie a poczwarne bożyszcze, wiecznie łaknące krwi ludzkiej. „Posąg – jak pisze towarzysz Corteza Bernal Diaz – był kompletnie pokryty złotem i klejnotami. W prawej ręce dzierżył łuk, a w lewej – snop strzał. Wielki bałwan miał na sobie naszyjnik z czaszek ludzkich, inkrustowanych szafirami".

Najbardziej wstrząsające wrażenie sprawiała jednakże ustawiona przed posągiem misa z trzema dymiącymi jeszcze sercami ludzkimi. U stóp piramidy Hiszpanie odkryli w dodatku drewniany pawilon, gdzie naliczyli 137 tysięcy czaszek ludzkich, ustawionych starannie na półkach.

Po tygodniu pobytu w stolicy Cortez zaczął układać plany opanowania państwa i zagarnięcia jego bogactw. Z doświadczenia wiedział, że Indianie wpadali z reguły w panikę i zaprzestawali walki, ilekroć zabito lub wzięto do niewoli ich wodza. Postanowił przeto dokonać bezprzykładnie zuchwałego zamachu, mianowicie uprowadzić Montezumę do swojej kwatery i objąć rządy w jego imieniu.

Pewien incydent posłużył mu wkrótce jako usprawiedliwienie zamachu. Jeden z prowincjonalnych gubernatorów azteckich zamordował kilku zakładników hiszpańskich. Pobity w bitwie i wzięty na tortury zeznał, że uczynił to za podpuszczeniem Montezumy. Wtedy Cortez na czele kilku żołdaków wdarł się do pałacu, oskarżył władcę o zdradę i wśród lamentów całego dworu porwał go do swojej kwatery. Tytułem kary zakuł go osobiście na kilka godzin w kajdany, podczas gdy na placu palono na stosie nieszczęsnego gubernatora.

Zelżony nieludzko w swojej dostojności Montezuma mimo to nie wezwał narodu do walki, lecz przeciwnie – gdy przed pałacem zaczęli gromadzić się zaniepokojeni poddani, ukazał im się na szczycie muru i zapewniał ich, że przeniósł się do swoich gości dobrowolnie. Strach przed przybyszami pozbawił go nie tylko męstwa i poczucia własnej godności, lecz również zwykłego rozumu.

Potulność władcy i bierność mieszkańców przyczyniły się tylko do większego jeszcze rozzuchwalenia konkwistadorów. Z czasem wymogli oni na Montezumie wydanie całego skarbca azteckiego, rzekomo jako trybutu dla króla hiszpańskiego. Ale szczytem bezczelności było przerobienie jednej ze świątyń na kaplicę katolicką, przy czym żołdacy hiszpańscy na oczach całego miasta zepchnęli posąg bożka ze schodów piramidy.

W maju 1520 roku – a więc po sześciu miesiącach pobytu Corteza w stolicy – nadeszła alarmująca wiadomość z Vera Cruz. Wylądował tam silny korpus Hiszpanów pod wodzą Narvaeza, wysłany przez gubernatora Kuby Velasqueza z poleceniem ujęcia Corteza i wydarcia mu zdobyczy.

Cortez oddał dowództwo w ręce Alvarady, a sam, nie zwlekając, z pocztem 233 żołnierzy ruszył przeciwko nowemu wrogowi. Narvaez wkroczył do stolicy Totonaków i umocnił się na szczycie tamtejszej piramidy. Był to jednak wódz opieszały i nieudolny. W nocy, podczas tropikalnej burzy i ulewy, wojsko Corteza podkradło się do piramidy i nagłym szturmem zdobyło nieprzyjacielską pozycję. Narvaez padł ciężko ranny, a żołnierze w liczbie 1200 piechurów i stu konnych złożyli broń. Cortez za pomocą darów i obietnic bogatych łupów przeciągnął ich na swoją stronę, wydatnie w ten sposób wzmacniając swoją armię.

Ledwie uporał się z tymi sprawami, nadbiegł do Alvarady kurier z hiobowymi wieściami. W Tenochtitlan wybuchło powstanie. Rozjuszona ludność zapędziła Hiszpanów do ich kwater i odcięła im dowóz żywności. Każdej chwili należało spodziewać się ogólnego szturmu i zagłady oblężonych.

Co właściwie się stało? Z powodu corocznych świąt ku czci boga wojny na dziedzińcu piramidy zgromadziło się sześciuset najwyższych dostojników azteckich, by odprawić tradycyjne obrzędy, polegające na śpiewach i pochodach procesyjnych. Na skinienie Alvarady konkwistadorzy dopadli bezbronnych Azteków i wycięli ich w pień. Potem trupy obdarli ze wszystkich kosztowności. Masakra niczym nie została sprowokowana, jej motywem była najnikczemniejsza chęć mordu i rabunku.

Cortez forsownym marszem podążył oblężonym na odsiecz i 24 czerwca tegoż roku wkroczył do miasta. Na opustoszałych ulicach i placach panowała złowroga cisza; nikt dziwnym trafem nie usiłował przeszkodzić połączeniu się obu armii.

Ledwie Cortez zdążył zawrzeć bramy za sobą, w mieście rozległy się groźne pomruki. Za chwilę nieprzebrana ciżba ludzka, uzbrojona po zęby, zbliżała się do murów warownych niby nadciągająca burza. Przyległe ulice i dachy, a nawet piramida, wypełniły się mężczyznami, kobietami i dziećmi. Na oblężonych posypał się naprzód grad strzał i kamieni, a potem wojownicy indiańscy wśród niebywałego zamieszania i ścisku pchali się jeden przez drugiego na mury, nie zważając na to, że armaty i rusznice siały wśród nich spustoszenie.

Hiszpanie nie ponosili poważnych strat, za to zapalczywość szturmujących napełniła ich przerażeniem. Cortez czynił raz po raz wypady z konnicą i piechotą, ale była to właściwie syzyfowa praca. Tratowani przez rumaki, pędzeni i rąbani na odlew bronią sieczną, Indianie dawali wprawdzie tyły, ale za chwilę znowu powracali. Czepiali się oburącz koni, ściągali z siodeł jeźdźców, a żywcem wziętych natychmiast odprowadzali przed ołtarz boga wojny na zarżnięcie. Wody kanałów i jeziora pełne były łodzi z wojownikami. Na groblach Aztekowie zburzyli mosty i usypali barykady, odcinając w ten sposób Hiszpanom drogę odwrotu. Cortez sierdził się i miotał w poczuciu bezsilności, rozkazał palić dom za domem, dzielnicę za dzielnicą, aż niebawem całe miasto zamieniło się w morze płomieni.

Wreszcie jedyną możliwość ocalenia ujrzał Cortez w uzyskaniu zawieszenia broni i swobodnego wymarszu z miasta. Zwrócił się więc do Montezumy z prośbą o pośrednictwo w tej sprawie. Władca Azteków, czy to z chęci uratowania stolicy od ostatecznej zagłady, czy też z owej niemęskiej ustępliwości, jaka dotąd nim kierowała – nie odmówił pomocy.

Wdziawszy na siebie najwspanialszy strój królewski, pokazał się na szczycie muru i namaszczonym głosem rozkazał swemu ludowi zaprzestania walki. Ale powstańcy stracili już szacunek dla królewskiego majestatu Montezumy. Na placu rozległ się zgodny ryk wściekłości, posypały się obelgi. Obrzucono Montezumę

kamieniami. Ugodzony w samo czoło osunął się, śmiertelnie raniony, na ziemię.

Ostatnie chwile swego życia spędził Montezuma w samotnej rozpaczy. Zdzierał bandaże i odmawiał wszelkiego posiłku, wypatrując z utęsknieniem śmierci. Hiszpanie wydali jego zwłoki Aztekom, którzy je tak dobrze ukryli, iż do dnia dzisiejszego nie można ich odnaleźć.

Skoro tylko nastały bezksiężycowe noce, Cortez postanowił wymknąć się cichaczem z pułapki. Miasto, pogrążone we śnie, nie było, zwyczajem Indian, obstawione strażami, wyprawa miała przeto szansę powodzenia. Po przygotowanym poprzednio moście przenośnym Hiszpanie i sprzymierzeni Indianie zdołali już przejść pierwszą wyrwę na grobli i zbliżali się właśnie do drugiej, gdy jakaś Indianka, zajęta mimo późnej pory praniem bielizny, spostrzegła ich w ciemności i uderzyła na alarm.

Mieszkańcy zerwali się ze snu i runęli w pościg za zbiegami. Grobla zapchała się nacierającym tłumem wojowników, na jeziorze pokazały się łodzie, zawrzała walka. W wydłużoną kolumnę intruzów lunęła ulewa strzał i kamieni. Załogi łodzi ściągały Hiszpanów do wody i brały ich żywcem na ofiary azteckim bogom.

Najeźdźcy bronili się do upadłego, ale straty ich w poległych i rannych rosły w sposób niepokojący. Przed ostateczną klęską ustrzegły ich miażdżące szarże konnicy i salwy artylerii, które gruchotały łodzie na drzazgi i zmiatały Indian z wąskiej grobli. Korzystając z chwilowego zamieszania, Hiszpanie rzucili się wpław do wody, by wydostać się na stały ląd, gdzie mieli większą swobodę manewrowania.

Wojsko Corteza przedstawiało po bitwie opłakaną zbieraninę skrwawionych, obdartych i wycieńczonych niedobitków. Hiszpanie postradali blisko jedną trzecią część żołnierzy, Tlaskalanie zaś ponad pięć tysięcy wojowników. Wśród tych, co wyszli żywi z pogromu, nie było ani jednego bez lżejszej lub cięższej rany. Przepadły wszystkie działa i muszkiety, część kusz i większość koni. Na dno jeziora poszło również całe złoto Azteków, które Hiszpanie podzielili przed bitwą między sobą i usiłowali wynieść z miasta.

Cortez skierował się do stolicy Tlaskalanów. Po kilku dniach marszów i postojów konkwistadorzy zaczęli wspinać się na stok łańcucha górskiego, dzielącego ich od państwa Tlaskalanów. Na przełęczy panującej nad doliną Otumba stanęli jak rażeni piorunem. Całe dno doliny zalegały nieprzeliczone rzesze wojowników azteckich, odzianych w watowane zbroje z białej tkaniny. Z daleka wydawało się, że dolina wypełniona jest śniegiem. Ponad głowami żołnierzy wystrzelały włócznie i insygnia wojenne, widniały pstre pióropusze i groteskowe hełmy wodzów, wyobrażające głowy zwierząt.

Przywitani ogłuszającym wyciem i gwizdami Hiszpanie i Tlaskalanie nabrali przekonania, że nadeszła ich ostatnia godzina. W desperacji, chcąc sprzedać się drogo, dali nura w sam środek tej zbitej masy ludzkiej. Prowadził ich Cortez na swoim wierzchowcu, tuż za nim przebijali się żołnierze hiszpańscy, dźgając szpadami, lancami i sztyletami, a pochód zamykali Tlaskalanie ze swoimi straszliwymi pałkami, nabijanymi kolcami z obsydianu.

Wodzowie Azteków nie wyciągnęli żadnych zgoła nauk z dotychczasowych walk z cudzoziemcami i z niezrozumiałą bezmyślnością popełnili ten sam błąd taktyczny, jakich dopuszczali się Tlaskalanie, a po nich oni sami w wałkach ulicznych w Tenochtitlan. Ściśnięci w zamkniętej przestrzeni doliny, nie mogli wykorzystać swojej przewagi liczebnej i rzucić w jednoczesny bój tysiączne oddziały swoich wojowników. Bitwa składała się z kolejnych pojedynków, w których Indianie nie mogli sprostać opancerzonym i wprawnym we władaniu szpadą konkwistadorom.

Mimo wszystko garstka straceńców byłaby w końcu uległa pod naciskiem przeważających sił wroga. Żołnierzom omdlewały już ręce, wielu z nich odniosło dotkliwe rany i słaniało się na nogach. Nawet Cortez spadł z zabitego konia i poważnie się potłukł. Masy Azteków napierały coraz ciaśniej i Hiszpanom groziła ostateczna klęska.

W samą porę Cortez spostrzegł coś, co go zagrzało do nowej akcji, a mianowicie w niewielkiej odległości ujrzał otoczonego świtą naczelnego wodza armii azteckiej. Cortez poznał go po wielkim pióropuszu zatkniętym na złotym drzewcu. Rzucił się więc w jego

kierunku i nim straż przyboczna zdążyła mu w tym przeszkodzić, przebił go lancą, a chorążemu wyrwał z ręki sztandar państwowy.

Powtórzyło się zjawisko znamienne dla ówczesnych plemion indiańskich: natychmiast pękła spoistość armii, która dopiero co dawała dowody dyscypliny i waleczności. Straż przyboczna i świta pierzchnęły na wszystkie strony. Popłoch szerzył się jak pożar stepowy, zarażając najodważniejszych wojowników. Aztekowie poszli w rozsypkę, opuszczając plac boju. Ósmego listopada 1520 roku Hiszpanie odnieśli największe zwycięstwo w Meksyku.

W kraju Tlaskalanów Cortez zaczął od razu planować nową kampanię przeciwko Aztekom i w tym celu posłał do Vera Cruz po posiłki. Tymczasem wśród Azteków wybuchła zaraza ospy przywleczona z Europy przez najeźdźców. Ofiarą jej padły tysiączne rzesze ludności, między nimi brat Montezumy, wódz powstania, Cuitlahuac. I choć następca Guatimozin ogłosił świętą wojnę narodową, starając się nakłonić do niej nawet Tlaskalanów – poszczególne miasta i plemiona na wyścigi przesyłały Cortezowi oświadczenia swojej lojalności, podpisując w ten sposób wyrok na siebie i na swoich pobratymców.

Los zdawał się sprzyjać Cortezowi. Z różnych stron zaczęły nadchodzić posiłki, których zgoła się nie spodziewał. Tak więc w porcie Vera Cruz stanął na kotwicy okręt z Kuby wysłany przez Velasqueza, a mający na pokładzie duże zapasy broni palnej i amunicji. Oddział stu żołnierzy piechoty i dwudziestu kawalerii, wysłany statkiem przez gubernatora Jamajki z zadaniem skolonizowania Jukatanu, przeszedł natychmiast na stronę Corteza. Jakiś prywatny armator sprzedał mu swój okręt wraz z ładunkiem broni, a załoga zaciągnęła się do szeregów konkwistadorów. Już w czasie oblężenia Tenochtitlanu do Vera Cruz przybyły, nie wiadomo skąd, jeszcze trzy okręty z oddziałem dwudziestu żołnierzy i siedemdziesięciu konnych.

W wyniku tych wypadków armia Corteza była silniejsza niż kiedykolwiek przedtem i składała się z 818 żołnierzy piechoty, w tym 118 zbrojnych w kusze i rusznice, 110 żołnierzy konnych, trzech wielkich dział żelaznych, 15 lekkich armat z brązu, tak zwanych falkonetek, oraz 75 tysięcy wojowników tlaskalańskich.

Cortez pamiętał, jak dała im się we znaki flotylla azteckich łodzi, przeto postanowił przeciwstawić jej swoją własną flotę. Kazał wybudować 13 ożaglowanych brygantyn, zaopatrując je w takelunek, żagle i żelazne okucia po spalonej armadzie.

Niebawem powstańców azteckich spotkał najcięższy cios: sprzymierzone i pobratymcze miasto Texcoco, leżące naprzeciw Tenochtitlanu nad tym samym jeziorem, w wyniku intryg dynastycznych zaofiarowało Cortezowi sojusz i zaprosiło go w swoje mury. W ten sposób, dzięki zdradzie w samym łonie państwa azteckiego, najeźdźcy zdobyli bazę prawie pod bokiem metropolii.

Transport ciężkich brygantyn ze stolicy Tlaskalanów do Texcoco przez niebotyczne przełęcze górskie na odległość stu kilometrów był dziełem bezprzykładnym. Dokonało go tysiące tragarzy indiańskich pod ochroną dwudziestu tysięcy wojowników tlaskalańskich.

W ciągu kilku miesięcy Cortez starał się szczelnie zablokować Tenochtitlan, obsadzając swoimi ludźmi wszystkie okoliczne miasteczka i sioła, a przede wszystkim odcinając dopływ do miasta wody przez zburzenie akweduktu. Przystępując do szturmu, podzielił swoją armię na trzy grupy operacyjne, które jednocześnie miały forsować trzy prowadzące do miasta groble.

Guatimozin zorganizował dobrze przemyślaną obronę. Groble zabarykadował licznymi szańcami, i fosami, flanki zaś tych umocnień broniły na wodzie roje łodzi z załogami wojowników.

Cortez przypuszczał szturm po szturmie, ale za każdym razem napastnicy musieli wycofywać się pod gradem pocisków, ścieląc drogę odwrotu poległymi. Niebawem sytuacja odwróciła się wszakże na ich korzyść. Z Texcoco wysłano do akcji flotyllę brygantyn. Nagłe pojawienie się ogromnych łodzi z białymi żaglami, prujących z zawrotną szybkością powierzchnię jeziora, wywołało wśród Indian osłupienie i przerażenie. Brygantyny z impetem wpadały na kruche łodzie, plując ogniem z falkonetek i rusznic. Wnet jezioro zaroiło się od trupów i pogruchotanych szczątków łodzi.

Klęska flotylli azteckiej odsłoniła flanki i tyły wzniesionych na groblach barykad. Osaczeni ze wszystkich stron wojownicy azteccy bronili się co prawda z niebywałą pogardą śmierci, nie mogli jednak

powstrzymać ataków i ginęli. Cortez zdobywał kolejno barykady, posuwając się wzdłuż grobli w kierunku stolicy.

W mieście Hiszpanie musieli zdobywać dom za domem, piramidę za piramidą. Niejednokrotnie wpadali w pułapki. Z dachów, ze szczytów piramid, zza murów i węgłów mężczyźni, kobiety i dzieci zasypywali ich kamieniami i strzałami z łuków. Osaczeni ze wszystkich stron najeźdźcy musieli na gwałt się wycofać, siejąc trupami koni i ludzi.

Nie mogąc przełamać oporu ludności, Cortez kazał podpalić miasto i wycofać się na środek grobli. Pożar zamienił domy w płonące piekło, tryskające racami iskier. Dzielnym mieszkańcom wydawało się, iż nastąpił zmierzch bogów. Słaniając się z głodu i wycieńczenia kołowali jak błędni po ulicach i nad kanałami wypełnionymi trupami. Z wyżyn piramid rozlegały się posępne nawoływania kapłanów i głuchy warkot bębnów wojennych.

Pewnej nocy Hiszpanie ujęli wodza powstania Guatimozina, w chwili gdy próbował na łodzi wymknąć się z oblężonego miasta. Cortez przyjął go z honorami i zaręczył mu, że uszanuje jego godność królewską. Guatimozin prosił Corteza, by pozwolił mieszkańcom opuścić miasto i osiedlić się w okolicznych wioskach.

O świcie z dymiących ruin wysypała się pozostała przy życiu ludność stolicy. Siedemdziesiąt tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci przez okres trzech dni i nocy człapało w umęczeniu wzdłuż grobli na niewiadomą tułaczkę.

Oblężenie trwało trzy miesiące. Straty wśród Azteków ocenia się na 120 do 240 tysięcy zabitych. Tlaskalanie mieli 30 tysięcy poległych. Jedynie tylko Hiszpanie okupili zwycięstwo małymi stratami. Cały ciężar wojny spadł więc głównie na barki plemion indiańskich, choć korzyści mieli z niej tylko biali przybysze zza morza.

Zająwszy miasto, konkwistadorzy przystąpili natychmiast do odszukania porzuconego w jeziorze skarbu Montezumy. Nurkowie przeszukali dno jeziora i kanały; przetrząśnięto wszystkie zakamarki miasta. Wynik był raczej chybiony, znaleziono tylko piątą część tych skarbów, jakie swego czasu odłożono dla króla Hiszpanii.

Cortez dopuścił się teraz nikczemności, która po wszystkie czasy okryła go hańbą. Podeptawszy własne słowo, posłał Guatimozina na tortury, by zmusić go do wydania ukrytego skarbu. Ale dzielny wódz indiański nie ugiął się i milczał. W kilka lat później Cortez kazał go powiesić na drzewie za rzekome namawianie ludności do buntu.

Resztki skarbu azteckiego Cortez wysłał do Hiszpanii, lecz nie dotarły one tam nigdy. W liście z 15 maja 1522 roku kapitan statku doniósł, że wpadł w ręce korsarza, będącego w służbie króla Francji. Przypadek, ów wielki ironista, sprawił, że złoto Montezumy, zamiast do rąk Karola I, dostało się w posiadanie największego jego wroga, Franciszka I.

Zburzenie Tenochtitlanu nie złamało ducha ludów indiańskich. Przez długi szereg lat prowadziły one bezwzględną wojnę partyzancką, kolonizatorzy nie byli pewni dnia ani godziny. Bernal Diaz pisał: „W całej Nowej Hiszpanii próba narzucenia tubylcom podatków stała się hasłem do powstania. Poborcy, którzy usiłowali je ściągać, tracili życie, podobnie zresztą jak wszyscy inni Hiszpanie, którzy wpadali w ręce Indian. W prowincjach opór był zjawiskiem powszechnym, tak że musieliśmy patrolować kraj z pełną kompanią wojska, by utrzymać ludność w karbach".

Zaraz po odniesionym zwycięstwie Hiszpanie zabrali się do systematycznego burzenia stolicy. Gruzami pochodzącymi z pałaców i świątyń zasypywali kanały; piramidy zrównali z ziemią, a na podwyższonym gruncie pobudowali swoje miasto, dzisiejszy Meksyk. Tam, gdzie na piramidzie widniała świątynia boga wojny, stoi obecnie katedra, a na ruinach pałacu Montezumy wznosi się dawna rezydencja gubernatora hiszpańskiego. Po niespełna pięciu latach metropolię Azteków z jej skarbami rzeźb i architektury zagrzebano tak dokładnie pod fundamentami gmachów hiszpańskich, iż śladu po niej nie pozostało.

Ale choć metropolia indiańska zaginęła, Indianie nie ulegli zagładzie. Przetrwali nie tylko najgorszy okres niewoli, lecz ulice i rynki hiszpańskiego miasta zaludnili na nowo malowniczym mrowiem rzemieślników i kramarzy, tkaczy i garncarzy, złotników, ogrodników i chłopów. Hiszpańskie pałace i wille były tylko

wysepkami wśród wezbranego, plennego morza indiańskiego. Z elementów narzuconych i rodzimych narodziły się podwaliny nowej kultury meksykańskiej o własnym, narodowym obliczu.

ZMIERZCH POŻERACZY SERC LUDZKICH

„KRÓL MIASTA TEXCOCO, WĘDRUJĄC W PRZEBRANIU po swoim kraju, spotkał kiedyś chłopca w łachmanach, zbierającego skrzętnie chrust na otwartym polu. Zapytał go więc:

– Czemu nie zbierasz chrustu w tym oto lesie? Jest go tam znacznie więcej niż tutaj na polu.

– Miałbym się z pyszna… Ten las należy do króla, tam nie wolno zbierać pod karą śmierci.

– Doprawdy? Cóż to za człowiek ten wasz król?

– O, twardy to człowiek… odmawia ludziom tego, co jest darem bożym”.

W owej anegdocie azteckiej, przypominającej zresztą opowieść z *Tysiąca i jednej nocy* o włóczącym się po ulicach Bagdadu kalifie, ukazują się wyraziście sprzeczności klasowe ówczesnego społeczeństwa indiańskiego. Widzimy tam bezwzględnego, zazdrosnego o swoje bogactwo władcę, widzimy biednego chłopca, przedstawiciela wydziedziczonych, którym odmawiano nawet nieco chrustu na palenisko, a którzy żywo odczuwali niesprawiedliwość takiego układu społecznego.

Znamy już bezpośrednie przyczyny tego nad wyraz osobliwego w dziejach faktu, że dziewięciomilionowe mocarstwo wojowników poszło w rozsypkę pod ciosami garstki awanturników hiszpańskich. Wiemy, do jakiego stopnia zaważyło na jego losach to, że w łonie ludów indiańskich zagnieździła się zdrada, że wodzowie indiańscy trzymali się bezmyślnie starej, prymitywnej taktyki wojennej i nie

umieli przystosować się do nowej sytuacji, że wreszcie Montezuma wykazał w postępowaniu z intruzami zabobonny lęk i opieszałość.

Korzeni klęski trzeba nam jednak szukać – jak to wskazuje anegdota – znacznie głębiej, mianowicie w układzie sił społecznych i historii narodów indiańskich.

W okresie podbojów hiszpańskich dawniejsza wspólnota plemienna, obieralność starszyzny i podział ziemi wśród rodów i rodzin istniały już tylko formalnie. Z chwilą gdy Aztecy drogą podbojów stworzyli swoje państwo, różnice majątkowe i społeczne pogłębiły się na skutek powstania możnej arystokratycznej klasy wojowników, która przywłaszczyła sobie nie tylko ziemię, lecz gromadziła bogactwa w postaci łupów i jeńców wojennych. Urzędy rodowe stały się dziedziczne w pewnych nielicznych rodzinach.

U boku tych możnowładców i dostojników wyrastała potęga kapłanów. Kolejni królowie nadawali im coraz więcej ziemi, aż w końcu nie było w państwie Azteków zakątka, gdzie by świątynie nie posiadały rozległych majątków. W dodatku kapłanom przysługiwało prawo ściągania dziesięcin ze wszystkich gospodarstw chłopskich należących do obszaru danej świątyni.

Dwaj naczelni kapłani zajmowali drugie po królu stanowisko w państwie. Wpływy ich docierały do najdalszych zakątków, ponieważ dysponowali oni niezmiernie licznym niższym klerem, rozsianym po całym kraju. Dość powiedzieć, że przy głównej świątyni w Tenochtitlanie istniało pięć tysięcy kapłanów różnych stopni. Za panowania Montezumy kapłani zdobyli nawet pierwszeństwo przed możnowładcami i decydujący głos w sprawach politycznych.

Dawniejsi wolni członkowie rodów zeszli do rzędu bezrolnych chłopów, popadając w coraz większą zależność ekonomiczną od możnowładców i kapłanów, aż z biegiem czasu położenie ich upodobniło się do niewolnictwa. Obok tych chłopów istniała klasa rzeczywistych niewolników, których szeregi wypełniano jeńcami wojennymi i dawniejszymi członkami rodzin chłopskich, sprzedanymi w dzieciństwie w niewolę przez zubożałych rodziców.

Społeczeństwo indiańskie rozpadło się więc na bogaczy i szerokie masy biedoty, na obszarniczą arystokrację i kapłanów oraz na

chłopów i rzemieślników. Te dwa główne odłamy społeczeństwa dzieliły nie tylko różnice majątkowe, lecz nawet odrębności obyczajowe: arystokracja używała np. zupełnie innych strojów niż chłopi czy rzemieślnicy.

Podczas gdy przedstawiciele warstw rządzących pławili się w zbytku i bogactwach, lud ciężko pracował na kawałek chleba. Konkwistadorzy nieraz zaznaczają w swoich pamiętnikach, że obok wspaniałych pałaców istniały nędzne, gęsto stłoczone lepianki z gliny i liści palmowych, w których mieszkała większość Indian. W Cholula i Tenochtitlanie zwróciły uwagę Corteza roje żebraków uwijających się natarczywie wśród przechodniów. Z kronik indiańskich wiemy, iż biedne małżeństwa, doprowadzone do ostateczności nędzą, sprzedawały swoje dzieci nie tylko w niewolę, ale również świątyniom na krwawe ofiary. Dochodziło do tego, że niektóre małżeństwa zajmowały się tym procederem zawodowo, płodząc dzieci z myślą sprzedania ich na rzeź rytualną.

Z drugiej strony pewne pojęcie o bogactwie arystokracji daje choćby taki fakt, że w samym tylko Texcoco istniało trzysta pałaców z ciosanego kamienia, otoczonych parkami i ogrodami owocowymi, upiększonymi klombami kwiatów i wodotryskami. Komnaty tych gmachów ozdobione były bogatymi płaskorzeźbami, kosztownymi tkaninami i wyrobami ze szczerego złota.

Królom Azteków oddawano cześć boską. Gdy umarł król Texcoco Nazahualpili, zwłoki jego spalono na stosie wraz z dwustoma niewolnikami i niewolnicami. Popioły jego umieszczono w złotej urnie inkrustowanej drogimi kamieniami i złożono w świątyni boga wojny.

Montezuma wstąpił na tron w roku 1502 i od razu poczynał sobie wyjątkowo despotycznie. Uważając siebie za równego bogom, zachowywał się wobec poddanych z pychą i arogancją. Zasłużonych w wojnach weteranów, których ojciec jego wynagrodził rozmaitymi urzędami dworskimi, kazał usunąć z pałacu jedynie dlatego, że pochodzili z pospólstwa, a nie z rodów arystokratycznych. Dworacy musieli padać przed nim na twarz i mogli przemówić do niego tylko przez jego sekretarza. Społeczeństwo zniechęcił do siebie wydatnym zwiększeniem ciężarów podatkowych. Z tego powodu wybuchały

nawet raz po raz bunty niezadowolonej ludności, krwawo tłumione przez jego żołnierzy.

Wpływy podatkowe zużywał władca w dużej mierze na pokrycie kosztów utrzymania licznego dworu, który składał się z setek urzędników, dworaków i czeladzi, a przede wszystkim z kilkuset nałożnic, trzymanych w osobnym skrzydle pałacu.

Montezuma lubował się w zbytkownych strojach. Przebierał się cztery razy dziennie, a tych samych szat nie wkładał na siebie nigdy po raz drugi, mimo że były one owocem paru miesięcy pracowitego i misternego kunsztu rękodzielników indiańskich.

Przed głównym posiłkiem wnoszono do komnaty setki półmisków z najrozmaitszymi wyszukanymi potrawami. Montezuma wybierał sobie te, na jakie miał w danej chwili ochotę, a resztę wynoszono dla dworaków. Były to potrawy z dziczyzny i drobiu, ryby przyniesione przez specjalnych biegaczy znad Atlantyku, jarzyny i owoce.

Usługiwali Montezumie dworacy i urodziwe kobiety indiańskie. Władca siadał na poduszkach przy niskim, bogato rzeźbionym stoliku, zasłonięty pozłocistym parawanem. Półmiski z delikatnej ceramiki lub złota wolno było podawać tylko raz jeden, potem oddawano je do użytku dworakom. Komnatę jadalną oświetlano łuczywem z drewna żywicznego, rozsiewającego wokoło odurzające aromaty. W czasie posiłku popijał czekoladę z wanilią i innymi egzotycznymi przyprawami.

Po obiedzie Montezuma obmywał ręce w srebrnej czarze i zapalał fajkę tytoniu, przyglądając się popisom błaznów, karłów, ekwilibrystów, kuglarzy i tancerek. Potem udawał się do swojej sypialni na kilkugodzinną popołudniową sjestę.

Zbytek arystokracji, oparty na wyzysku mas pracujących, można było utrzymać, tylko stosując przemoc. W celu zabezpieczenia się przed powstaniami ludu rody arystokratyczne mieszkały w osobnych dzielnicach miasta, otoczonych warownym murem. W Tenochtitlanie dzielnica ta nazywała się Teepan. Oprócz pałaców znajdowały się tam główne ośrodki kultu religijnego. Wielka piramida boga wojny – jak wiadomo – była otoczona potężnym

murem i wieżami; na jej dziedzińcu stacjonowało stałe pogotowie wojenne, złożone z kilkuset wojowników.

W świetle tych faktów łatwiej będzie nam zrozumieć na pozór dziwną bierność ludu indiańskiego w stosunku do prowokacyjnych poczynań konkwistadorów. Nawet uwięzienie Montezumy nie zdołało go wytrącić z apatii i gdyby nie krwawa masakra Alvarady, nie doszłoby może do powstania.

Obojętność pospólstwa wobec losów swych władców ilustruje dobitnie następujący incydent. Armia Corteza, złożona z Hiszpanów i Tlaskalanów, podczas oblężenia Tenochtitlanu stała obozem w Texcoco. Stosunki między sojusznikami były nie najlepsze, ponieważ żołdacy hiszpańscy nie omijali żadnej okazji, by okazać Indianom swoją pogardę. Pewien Hiszpan posunął się aż do czynnego znieważenia jednego z wodzów tlaskalańskich.

Zelżony dostojnik udał się do Corteza na skargę. Nie otrzymawszy satysfakcji, opuścił w najgłębszym oburzeniu Texcoco i wracał do domu. Cortez kazał go ująć i skazał na szafot za dezercję. Egzekucja odbyła się w biały dzień na oczach 75-tysięcznej armii Tlaskalanów, a jednak nikt z obecnych nie ruszył nawet palcem, by wystąpić w obronie swego wodza i rodaka.

Jedynie tylko przepaścią klasową między ludem a ich władcami można wytłumaczyć inne dziwaczne zjawisko, mianowicie to, że armie indiańskie z chwilą utraty wodza natychmiast szły w rozsypkę i opuszczały pole walki, tak jakby wojnę poczytywały za sprawę wodzów, a nie swoją własną. Wojna Azteków z Hiszpanami była więc wojną arystokracji i nie miała charakteru walki ludu o niepodległość. Dopiero powstanie w Tenochtitlanie przybrało charakter powszechnej walki ludowej, ale wtedy było już za późno.

Za przebieg wojny ponosiła więc odpowiedzialność wyłącznie arystokracja plemion indiańskich. Wiemy już, jak zacofanymi metodami ją prowadziła. We wszystkich spotkaniach z konkwistadorami armie Tabaskanów, Tlaskalanów i Azteków formowały się w stłoczoną masę, wystawioną bezbronnie na salwy broni palnej i zdyscyplinowane ataki Hiszpanów. Najgorzej pod tym względem spisali się wodzowie azteccy. Wszystkim poprzednim doświadczeniom na przekór powtórzyli ten sam fatalny błąd

w dolinie Otumba, gdzie zmasowany sposób ustawienia wojska zakrawał już na tępą bezmyślność.

Nieuniknioną konsekwencją ustroju arystokratycznego były wojny zaborcze, nieustannie toczone między plemionami indiańskimi. Klasy posiadające, żądne bogactw, napadały na sąsiadów, zabierały im co lepsze ziemie i nakładały daniny w postaci kruszców, wyrobów rzemieślniczych i chłopskich oraz ludzi przeznaczonych na ofiarę bogom bądź też do pracy niewolniczej na roli.

W tych zmaganiach o hegemonię stopniowo brali górę Aztecy i w latach 1427-1440 zbudowali wielkie mocarstwo, obejmujące Meksyk, Jukatan i Gwatemalę. Z wyjątkiem Tlaskalanów podbili wszystkie plemiona tych obszarów: Totonaków, Tabaskanów, Zapoteków, Miksteków i wiele innych. W ich miastach stały załogą oddziały azteckie, a poborcy ściągali daniny, dostarczając je do magazynów w Tenochtitlanie. Za próbę uchylenia się od podatków groziła kara śmierci, za najmniejsze przewinienia ujarzmione plemiona musiały oddawać kwiat swojej młodzieży na krwawe ofiary, składane bogom azteckim.

Przewagę Aztecy zdobyli dzięki swej wojowniczości, która budziła ogólny postrach, przede wszystkim jednak zawdzięczali ją żelaznej dyscyplinie swej organizacji społecznej, przypominającej dyscyplinę Krzyżaków. Mężczyźni, z wyjątkiem kapłanów, byli zorganizowani w grupy podzielone na kilka stopni, różniące się między sobą zarówno odznakami, jak strojem i uzbrojeniem. Najwyższy stopień obejmował wojowników pochodzenia arystokratycznego, ale nawet ich szeregi dzieliły się na rangi przyznawane za zasługi wojenne. Ich kodeks wojskowy był niezwykle surowy: za najmniejsze wykroczenie groziła kara śmierci. Jeden z królów Texcoco skazał na śmierć dwóch swoich synów za jakieś drobne naruszenie dyscypliny w obliczu nieprzyjaciela.

Ucisk polityczny i ekonomiczny Azteków wzmagał się z dnia na dzień. Poszczególne plemiona indiańskie chwytały za broń, by zrzucić okrutne jarzmo, ale z powodu braku jedności ponosiły zawsze klęski, opłacając to zwiększonym trybutem i utratą najlepszej młodzieży, zawlekanej do niewoli i na ołtarz ofiarny bogów azteckich.

Poprzednik Montezumy na tronie przez cały okres, swego panowania był zajęty uśmierzaniem buntów, a Montezuma stale prowadził wojny, podczas których jedna część ludności poskramiała, drugą, zbuntowaną.

Wobec tych faktów nietrudno zrozumieć, dlaczego Cortez z taką łatwością zdołał rozgromić wielomilionowe mocarstwo azteckie. Podbite plemiona, jak np. Totonacy, witały go jako sojusznika i wyzwoliciela, inne znowu, choć, z początku stawiały opór, jak to było np. z Tlaskalanami, w końcu przecież dostarczyły mu głównych posiłków wojskowych w walce ze wspólnym wrogiem. Z czasem też Aztecy znaleźli się w odosobnieniu i mniejszości. Cortez dokonał dzieła, na jakie podbite plemiona indiańskie nigdy nie mogły się zdobyć: zjednoczył je w jednolitą, potężną siłę zbrojną. W czasie oblężenia Tenochtitlanu dowodził już stutysięczną armią wojowników indiańskich, szukających pomsty na swoich ciemiężycielach; zwycięstwo Corteza było właściwie zwycięstwem Indian nad Indianami.

Obraz sytuacji politycznej w państwie Azteków byłby niepełny bez uwzględnienia sprawy religii, która w większym jeszcze stopniu niż jakakolwiek inna religia na świecie była narzędziem ucisku ludności azteckiej, jak też podbitych plemion indiańskich. Rytuał jej, okrutny i krwiożerczy, pochłaniał niezliczone ofiary ludzkie: mężczyzn, kobiety, a nawet dzieci, nie wyłączając niemowląt.

Religia Azteków była politeizmem, w którym bóstwa władały siłami przyrody i czynnościami ludzkimi. Bogów wyobrażano w postaciach przypominających ludzi, z tym jednak, że przydawano im cechy groteskowe i poczwarne, czasami nawet zwierzęce. Bogów było takie mnóstwo, że samo już wyliczenie ich wymagałoby osobnego rozdziału.

Wśród tego rojowiska bóstw poznaliśmy już Quetzalcoatla, któremu mimo jego dobrotliwości składano również ofiary ludzkie. Wielkiej czci doznawał bóg Słońca i jego żona, bogini Księżyca. Wschód słońca witali kapłani psalmami i krwawymi ofiarami. Zaćmienie słońca poczytywano za wielkie nieszczęście: w świątyniach trąbiono wtedy na alarm i uderzano w bębny, a ludność zanosiła się płaczem i rozdrapywała sobie wargi.

Naczelnym bóstwem był wprawdzie bóg Słońca i źródło wszelkiego życia, Teotl, ale największej czci doznawał groźny bój wojny – Huitzilopochtli. W jego postaci i składanych mu ofiarach znalazły swój wyraz krwiożercze instynkty Azteków. Ów odrażający bóg, skoro tylko przyszedł na świat, splamił się krwią własnej rodziny, uśmiercając braci i jedyną siostrę, którym odrąbał głowy. Jego matka była istotą potworną i budzącą uczucie grozy, miała bowiem trupią czaszkę i szpony krogulca zamiast palców.

Ofiary ludzkie Aztecy składali w sposób następujący. Czterech kapłanów pomalowanych na czarno i w czarnych strojach chwytało młodego człowieka za ręce i nogi, rzucając go na wznak na kamień ofiarny. Piąty kapłan, ubrany w szkarłatne szaty, rozpruwał mu sztyletem z obsydianu klatkę piersiową i dłonią wyszarpywał serce, które następnie rzucał pod stopy boskiego posągu. Aztecy uprawiali ludożerstwo rytualne; serca spożywali kapłani, a tułowia, zepchnięte ze stopni piramidy, zabierali do domów członkowie rodów arystokratycznych i zjadali je podczas uroczystych biesiad.

Ponieważ oprócz osiemnastu głównych świąt w roku, trwających nieraz po kilka dni, każdy inny dzień był również poświęcony któremuś z bóstw – krew ludzka przelewała się w świątyniach bez przerwy.

Najciekawsze było święto poświęcone bogu Tezcatlipoca. Już na rok przedtem wybierano na ofiarę dorodnego młodzieńca, wolnego od jakiejkolwiek skazy fizycznej. Wybraniec przybierał strój, imię i wszystkie atrybuty boga. Ludność otaczała go nabożną czołobitnością, uważając go za ziemskiego przedstawiciela Tezcatlipoca. Przez cały okres przygotowawczy młodzieniec przebywał wśród zbytku i nieustannych zabaw, zapraszany do domów arystokratycznych na libacje. W ostatnim miesiącu przydawano mu cztery dziewczęta jako małżonki.

Spoczywały na nim również pewne obowiązki wynikające z legend o bogu Tezcatlipoca. Wierzono mianowicie, że ów bożek włóczył się po nocach i porywał ludzi w zaświaty. Żeby mu się przypodobać, Aztecy stawiali wzdłuż gościńców kamienne ławy, na których strudzony wędrówkami bóg mógł raz po raz spocząć. Za jego przykładem młodzieniec, przeznaczony na ofiarę, musiał

nocami wychodzić na drogi rozstajne i co jakiś czas siadać na przydrożnych ławach. Towarzyszyła mu zwykle liczna świta złotej młodzieży, może w tym celu, by nie dopuścić do ucieczki skazańca.

W dniu świątecznym niesiono go w lektyce do świątyni, gdzie kapłani w znany już nam sposób pozbawiali go życia. Ciało jego, strącone ze stopni piramidy, spożywała arystokracja aztecka.

Bogini rolnictwa składano w ofierze młodą dziewczynę. Pomalowana czerwoną i żółtą farbą, co miało symbolizować kukurydzę, musiała ona wykonać wymyślne tańce rytualne w pośrodku świątyni, a potem ginęła na ołtarzu ofiarnym.

Religia aztecka miała nawet osobnego patrona ofiar ludzkich, bożka Xipe Totec. Na jego cześć kapłani obdzierali młodzieńców żywcem ze skóry, którą potem oblekali na siebie i nosili przez okres dwudziestu dni. Nawet sam król zakładał na siebie skórę z ich stóp i dłoni.

Szczytem dzikości był rytuał związany z kultem boga ognia. Kapłani rozniecali w jego świątyni wielkie palenisko na szczycie piramidy. Potem rozbierali do naga jeńców wojennych i skrępowanych wrzucali w płomienie. Nie czekając, aż skonają, wydobywali ich hakami z ognia, brali na plecy i odbywali taniec rytualny naokoło paleniska. W końcu zarzynali ich na kamieniu ofiarnym.

Religia Azteków nie szczędziła nawet dzieci. W okresie posuchy kapłani mordowali chłopców i dziewczynki dla przebłagania boga deszczu. Niemowlęta, sprzedawane przez nędzarzy, ubierano w godowe stroje i umajone kwiatami wnoszono w kołyskach do świątyni. Po ukończeniu obrzędów rytualnych mordowano je nożami.

Skoro tylko pokazywały się pierwsze kiełki kukurydzy, uśmiercano dzieci w ten sposób, że ucinano im głowy, a ciała przechowywano w pieczarach górskich jako relikwie. W okresie dojrzewania kukurydzy kapłani kupowali czworo dzieci w wieku od pięciu do sześciu lat i zamykali w piwnicach na śmierć głodową.

Osobliwym zwyczajem była bezkrwawa bitwa, jaką Aztekowie i Tlaskalanie co roku staczali ze sobą na umówionym miejscu. Wojownicy nie używali wtedy broni, lecz walczyli ze sobą jak

zapaśnicy, gołymi rękoma, biorąc się wzajemnie do niewoli. Jeńców przeciwnicy odwozili potem w klatkach na krwawą ofiarę do swoich świątyń.

Inny obrzęd przypominał żywo rzymską walkę gladiatorów. Jeńca przywiązywano na długim postronku do ciężkiego bloku kamiennego. Dawano mu do ręki tarczę i pałkę tak miniaturowych rozmiarów, że niewiele można było nią zdziałać. Do walki z nim stawał wojownik aztecki w normalnym uzbrojeniu. Skrępowany kamieniem i prawie bezbronny jeniec nie miał żadnych szans wyjścia z walki zwycięsko, jeżeli jednak udawało mu się pokonać sześciu z kolei przeciwników, odzyskiwał wolność, przy czym nie wolno mu było odnieść nawet najdrobniejszego zadraśnięcia.

Taki niecodzienny wypadek zdarzył się z jednym z królów tlaskalańskich, słynącym z nadludzkiej siły Tlahuicolem, wziętym do niewoli przez Azteków. Zwyciężywszy po kolei sześciu przeciwników, uzyskał prawo do wolności, wolał jednak wybrać śmierć, ponieważ według wierzeń indiańskich wojownicy pokonani w tym pojedynku dostawali się do specjalnego raju, przypominającego trochę germańską Walhallę.

Nie wiadomo dokładnie, ile ofiar ludzkich składano rocznie w państwie Azteków. Znawcy określają je na 20 do 30 tysięcy. Chociaż liczby te należy przyjąć z pewną rezerwą, nie ulega wszakże wątpliwości, że musiały one być wysokie. Dowodem są między innymi pawilony z dziesiątkami tysięcy czaszek ludzkich, wykryte przez konkwistadorów we wszystkich miastach azteckich, szczególnie wspomniany już budynek w Tenochtitlanie, w którym Bernal Diaz naliczył 136 tysięcy czaszek.

Zdobywanie ofiar dla nienasyconych bogów było stałą troską państwa azteckiego. Jedna z grup wojowników zajmowała się wyłącznie chwytaniem jeńców i dostarczaniem ich świątyniom. Niejedną wojnę wszczynano jedynie tylko dla zdobycia jeńców wojennych, potrzebnych na ofiary. Ponieważ o honorach, awansach i nadaniach stanowiła w wojsku azteckim liczba jeńców, jaką wojownik mógł zapisać na swoje dobro, przeciwnicy, zamiast zadawać sobie rany i śmierć, usiłowali brać się wzajemnie do niewoli. W owym dziwnym zwyczaju należy zapewne szukać

wyjaśnienia, dlaczego wśród konkwistadorów było tak uderzająco mało poległych i rannych. Montezumę zapytano kiedyś, dlaczego tolerował w bliskim sąsiedztwie niepodległe państwo Tlaskalanów, na co on bez namysłu odparł: „Żeby dostarczało mi ludzi na ofiary bogom".

W roku 1479 miało odbyć się wielkie święto poświęcenia płyty, na której wyrzeźbiono kalendarz aztecki. Był to ów słynny dzisiaj „Kamień Słońca", który przeszedł później najdziwaczniejsze koleje losu i w końcu znalazł się w Muzeum Narodowym Meksyku. Król Axayacatl zwołał radę sprzymierzonych królów i naczelników, by zastanowić się, komu wypowiedzieć wojnę dla zgromadzenia potrzebnej liczba jeńców. Postanowiono wyruszyć przeciwko plemieniom Taraskanów. Ale wojska azteckie poniosły sromotną klęskę i powróciły z pustymi rękami.

Rada w radę, i walkę stoczyli między sobą sami sprzymierzeni. Aztecy wzięli do niewoli siedmiuset, sprzymierzeni zaś czterystu dwudziestu jeńców. Wobec tego, że uroczystość poświęcenia kamienia była sprawą wspólną, na ofiary przeznaczono i jednych, i drugich. Ujętych wojowników ustawiono pod rząd przy „Kamieniu Słońca", potem król, kapłani i możnowładcy zarzynali ich sztyletami. Ani jeden nie pozostał przy życiu.

Podobno podczas uroczystości poświęcenia świątyni boga wojny w Tenochtitlanie, jaka odbyła się w roku 1486, zabito w ten sposób dwadzieścia tysięcy jeńców, a Montezuma, dla upamiętnienia swojej koronacji, posłał na śmierć dwanaście tysięcy wojowników. Nietrudno wyobrazić sobie, jaka nienawiść i jaki terror panował wśród plemion indiańskich w Meksyku w chwili przybycia Hiszpanów.

Fakty historyczne przemawiają za tym, że ofiary ludzkie na wielką skalę wprowadzili Aztecy dopiero w początkach XIV wieku, a więc w okresie, kiedy rozkład wspólnoty plemiennej stał się faktem dokonanym i powstała warstwa rządzących wojowników z udzielnym królem na czele. Niewątpliwie warstwa ta skorzystała ze starodawnego rytuału z epoki dzikości, by posłużyć się nim jako narzędziem terroru w obronie zdobytych przywilejówi przywłaszczonego mienia plemiennego.

Ktokolwiek ośmielił się protestować przeciwko przywilejom wojowników, ponosił śmierć na kamieniu ofiarnym boga wojny. Już sam wygląd kapłanów mógł pozbawić ludzi wszelkiej chęci oporu. Ubrani i pomalowani na czarno lub szkarłatno, z długimi pasmami włosów zlepionych zakrzepłą krwią ludzką – sprawiali wrażenie drapieżnych demonów, niedostępnych ludzkim uczuciom.

Z relacji konkwistadorów dowiadujemy się, że w uroczystościach religijnych w Cholula i Tenochtitlanie brali udział głównie członkowie rodów arystokratycznych oraz że ludność na ogół odnosiła się apatycznie lub nawet obojętnie do faktów profanacji ich bogów i ich świątyń. Nie będziemy więc gołosłowni, jeżeli powiemy, że religia Azteków była wyłącznie religią arystokracji azteckiej.

Usposobienie mas ludowych było zaprzeczeniem tego, co reprezentował kult religijny ze swoimi ofiarami i posępnymi kapłanami. Przeciętny Indianin, obojętnie, z jakiego pochodził plemienia, odznaczał się gościnnością, dobrodusznym humorem i mrówczą pracowitością. Z pasją i nawet z niejaką niefrasobliwością oddawał się wszelkim radosnym urokom życia. Lubił tłoczyć się w ciżbie na ulicach i rynkach, ochoczo brał udział w igrzyskach, festynach i zbiorowych pląsach. Z zapałem przyglądał się ulicznym aktorom, kuglarzom i ekwilibrystom, lubił pogodne obrzędy religijne, malownicze i tłumne, podczas których śpiewał oraz składał bóstwom ofiary z kwiatów i owoców. Nade wszystko kochał kwiaty. Miłość do kwiatów przetrwała w Meksyku do dnia dzisiejszego i pozostała najbardziej ujmującą cechą ludu meksykańskiego. Wszystkie miasta, przez które przechodzili konkwistadorzy, dosłownie tonęły w obfitości kwiatów. Kwiaty zalegały nie tylko wyspy, łodzie, ulice i płace, lecz nawet płaskie dachy domów i zwisały festonami nad głowami przechodniów.

Gdziekolwiek zjawiali się Hiszpanie, tam ludność witała ich girlandami i wiązkami kwiatów. Czyniła to ochoczo, jakby chciała dać upust swojej wrodzonej radości życia.

Dużą popularnością cieszyły się wśród ludów indiańskich różnego rodzaju zawody sportowe. Pierwsze miejsce zajmowała gra w piłkę, zwana *tlachtli*, dla której w każdym mieście istniał specjalny stadion. Przypominała ona baskijską pelotę. Zadaniem graczy było

przerzucić gumową piłkę (znano tam już kauczuk) przez otwór poziomego pierścienia, umieszczonego w murze. Regulamin zabraniał używania rąk, nóg i głowy; piłkę odbijano tylko biodrami. Niektórzy gracze, podobnie jak torreadorzy hiszpańscy, stawali się bohaterami narodowymi, otaczanymi powszechnym entuzjazmem.

Mimo beztroskiego usposobienia Indianie potrafili w potrzebie zdobyć się na męstwo graniczące z pogardą śmierci. Walczyli śmiało z bądź co bądź niesamowitymi przybyszami, rażąc ich konie pałkami i nieustraszoną ławą idąc na ziejące ogniem armaty.

Tak więc lud indiański wyszedł z zapasów z nieuszczuplonym honorem. W otchłań zagłady wciągnęła go nieliczna warstwa zdziczałych, ciemnych i zniedołężniałych możnowładców i kapłanów, których postępowanie w obliczu najwyższego niebezpieczeństwa równało się zdradzie.

OCIEMNIAŁY UCZONY ODKRYWA ZAGUBIONE CYWILIZACJE

W OKRESIE PODBOJÓW HISZPAŃSKICH w pałacach i świątyniach Meksyku przechowywało się mnóstwo źródeł historycznych, w których kapłani spisali dzieje nie tylko Azteków, lecz również starożytnych ludów indiańskich: Majów, Tolteków i Miksteków. Zapisywali je dziwnym i kunsztownym pismem obrazkowym na różnorakim materiale – na płótnie bawełnianym, na miękko wyprawionej skórze, a przede wszystkim na papierze przypominającym egipski papirus, wytwarzanym z agawy maguey.

Zawiłe hieroglify indiańskie napawały Hiszpanów zabobonnym przesądem: poczytywali je za znaki szatańskie posiadające moc rzucania złych uroków. Przeto z gorliwością fanatyków zabrali się do ich wykrywania i systematycznego niszczenia, nie troszcząc się o to, że niejeden spośród tych dokumentów przez swoje kolorowe ilustracje przedstawiał prawdziwy zabytek sztuki.

W całym Meksyku zapłonęły stosy, na których gorzały pozbierane ze wszystkich zakamarków zapiski i kroniki zawierające nieprzebrane skarby wiedzy o podbitym kraju. Co z tej nabożnej furii zdołano ocalić, stanowiło zaledwie wątłą podstawę do odtworzenia dziejów owej nieszczęsnej, brutalnie przerwanej w swym rozwoju cywilizacji.

Hasło do powszechnego autodafé dał pierwszy arcybiskup Meksyku don Juan Zamarraga, przy czym wzorem był dlań arcybiskup Ximenes, który o dwadzieścia lat wcześniej zniszczył w Hiszpanii rękopisy wspaniałej ongiś kultury mauretańskiej.

W ślady Zamarragi poszli inni. Tak np. gubernator don Lorenzo Zavala ogołocił wszystkie archiwa azteckie Tenochtitlanu, a pozbierane rękopisy sprzedał straganiarzom jako papier do pakowania.

W tym duchu postąpili Hiszpanie z zabytkami budownictwa indiańskiego: burzyli je z taką pasją, iż w pięć lat po dokonaniu podboju z metropolii azteckiej nie pozostało właściwie śladu. Ogromne masy gruzów, pochodzących z rozbitych świątyń, pałaców i posągów, posłużyły do tego, by zasypać jezioro i kanały, toteż miasto zatraciło niebawem charakter „Wenecji Zachodu", jak je nazwali pierwsi przybysze hiszpańscy. Nawet potężne piramidy nie zdołały się ostać: niektóre, jak np. wielka piramida boga wojny, zostały zrównane z ziemią, inne znowu, zaniedbane przez ludzi, wietrzały, zatracały swoje kształty, obrastały roślinnością i stawały się obłymi pagórkami, w których nikt już nawet nie przeczuwał dawnych potężnych budowli.

Działały tu w tym samym stopniu prostactwo i fanatyzm religijny, co perfidia polityczna zaniepokojonego o swoją zdobycz zaborcy. Ponieważ Indian pozbawiono ziemi i zagnano do pracy niewolniczej na plantacjach i w kopalniach – chodziło o starcie z powierzchni wszystkiego, co by przypominało im minioną świetność. Gdy w połowie XVIII wieku znaleziono w Chatapultec płytę kamienną z płaskorzeźbą wyobrażającą Montezumę, władze meksykańskie czym prędzej kazały ją cichaczem pogruchotać na kawałki i zagrzebać w ukrytym miejscu.

W tych warunkach nie minęła nawet setka lat, kiedy kultura ludów indiańskich poszła zupełnie w zapomnienie. Nikt już nie znał wtedy sekretu odczytania hieroglifów indiańskich. Przez trzysta lat historycy i archeolodzy odnosili się z bezprzykładną obojętnością do tych minionych, jakże bogatych i oryginalnych cywilizacji. Głucha pamięć o nich przetrwała jeno w zapadłych siołach indiańskich, gdzie szeptano sobie o starodawnych bogach i kapłanach, o Montezumie i bohaterskich walkach Indian z konkwistadorami.

Przełomu w tej pożałowania godnej sytuacji dokonał William Hickling Prescott, autor wydanego w roku 1843 w Nowym Jorku dzieła pod tytułem *Zdobycie Meksyku*. Książka, licząca kilkaset

stronic bitego druku, zyskała sobie z miejsca ogólną poczytność i dzisiaj jest zaliczana do światowej literatury klasycznej.

Co przyczyniło się do niezwykłego jej powodzenia? Przede wszystkim to, że autor z mrówczą pracowitością zgromadził na jej kartach wszystkie wiadomości o ludach Ameryki Środkowej, jakie można było odnaleźć w bibliotekach i archiwach świata. Był to materiał zgoła nieznany, a więc w wysokiej mierze rewelacyjny – nawet dla specjalistów. Ludzkość jakby przecierając oczy, ze zdumieniem dowiedziała się o światach, które utonęły w odmętach zapomnienia.

Autor okazał się w dodatku wielce utalentowanym pisarzem, o dużej werwie i bogatej wyobraźni. *Zdobycie Meksyku* czyta się od początku do końca jednym tchem jak romantyczną powieść awanturniczą. W porywającej narracji widzimy jakby żywych Corteza, Montezumę i ich otoczenie, śledzimy z napięciem sceny batalistyczne, oglądamy miasta i ich mieszkańców w barwie i ruchu, poznajemy obyczaje, religię i historię ludów indiańskich – słowem, ogarniamy okiem imponującą panoramę niepospolitego dla nas świata, nakreśloną z zacięciem rasowego epika.

Nowością w tej książce była również i ta okoliczność, że jej leitmotywem jest wyraźna sympatia do Indian. Wbrew propagandzie imperialistów, głoszących niższość rasową ludów indiańskich, autor przedstawia z upodobaniem ich wielkie zdobycze cywilizacyjne i bohaterstwo w walce z najeźdźcami, choć oczywiście nie zamyka oczu na ich słabości i popełnione błędy. Jeżeli chodzi o Hiszpanów, to bezlitośnie zdziera z nich obłudną maskę bezinteresownych misjonarzy katolickich, obnaża ich okrucieństwa i chciwość ukrytą pod pozorami religijnymi, opisuje całą kampanię konkwistadorów jako pasmo zbrodni, wiarołomstwa i chytrych podstępów, przy czym nie odmawia wszelako Cortezowi wielkich zdolności i odwagi na polu bitwy.

Któż to był – ów William Hickling Prescott? Mieszkańców Nowego Jorku ogarnęło zdumienie, gdy dowiedziano się o nim bliższych szczegółów. Autor owej monumentalnej pracy mieszkał w skromnym domku, przy jednej z bocznych ulic Manhattanu.

Reporterów przyjął w przyciemnionym pokoju prawie niewidomy mężczyzna w wieku około 47 lat.

Prescott chętnie opowiadał przebieg swego życia. Urodził się w roku 1796. Studiował prawo na uniwersytecie Harvarda, a potem pracował w kancelarii adwokackiej swego ojca. W czasie studiów jeden z kolegów ugodził go kromką chleba w lewe oko. Żart okazał się z upływem czasu fatalny. Prescott stracił wzrok w zranionym oku, a potem zaczął ślepnąć na drugie oko. Zmusiło go to do porzucenia zawodu adwokata i udania się do Europy, gdzie spodziewał się pomocy u tamtejszych specjalistów.

Niestety, zabiegi pozostały bez skutku. Pewnego dnia Prescotta ogarnęła bolesna pewność, że na całe życie pozostanie ślepcem. Nie stracił jednak otuchy. Pociechą były mu dwie okoliczności: to, że był człowiekiem niezależnym finansowo i że mógł sobie wyznaczyć inny cel życia; będąc z zamiłowania historykiem, postanowił zatem poświęcić się odtąd badaniom i pisaniu dzieł historycznych.

Lata całe nie wychodził prawie ze swego przyciemnionego pokoju, posługując się aparaturą do pisania dla niewidomych. Zaangażował sekretarkę, która codziennie na głos czytała mu dzieła i źródła historyczne. W związku z potęgującą się ślepotą wyrobił sobie fenomenalną pamięć, na której całkowicie mógł polegać w swej pracy twórczej. Napisał *Historię panowania Ferdynanda i Izabeli*, potem przez pewien czas zajmował się biografią Moliera, porzucił jednak ów temat z chwilą, gdy natknął się na lakoniczną notatkę o zdobyciu Meksyku przez Corteza.

Olśniła go myśl, że nie ma jeszcze opracowanej naukowo historii Meksyku i że on mógłby się podjąć tego zadania. Sprawa okazała się jednak dość trudna. Źródłowe materiały były rozproszone po bibliotekach Hiszpanii, Włoch, Anglii i Francji. O tym, by tam pojechać, Prescott nie mógł nawet marzyć. Mógł je zdobyć tylko w drodze korespondencji, łożąc poważne fundusze na poszukiwaczy i kopistów. Mimo wszystko, dzięki skrzętnym i cierpliwym zabiegom, udało mu się zgromadzić w swojej pracowni osiem tysięcy stronic najrozmaitszych odpisów, które dały mu podstawę do jego wspaniałego dzieła.

Jakie były to źródła? Podzielić je można na dwie kategorie: na materiały samych Azteków, ocalałe mimo szeroko zakrojonej akcji ich niszczenia, oraz na pamiętniki Hiszpanów, którzy przebywali w Meksyku. Do pierwszej kategorii należały zbiory lorda Kingsborough oraz trzy tak zwane kodeksy *(Codigo de Mendoza, Codigo Vaticano i Codigo Telleriano Remensis)*. Na jej pograniczu pozostaje historia ludów indiańskich, napisana w języku hiszpańskim przez potomka króla Texcoco, księcia Ixtlilxochitla.

W dziale drugim wypada wymienić przede wszystkim franciszkanina Bernarda de Sahagena, który żył w Meksyku współcześnie z Cortezem i pozostawił cenne dzieło historyczne o Meksyku (*Historia Universale de Nueva Espana)*. Źródłem bogatych wiadomości jest dzieło innego misjonarza Meksyku, Torquemady. Wreszcie dorzucić trzeba tu pamiętniki naszego starego znajomego, towarzysza broni Corteza, Bernala Diaza, wydane pod tytułem *Prawdziwa historia zdobycia Nowej Hiszpanii (Historia verdadera de la conquista de la Nueva Espana*).

Oprócz *Zdobycia Meksyku* Prescott był autorem drugiego, również na miarę monumentalną ujętego dzieła historycznego *Historia zdobycia Peru*, w którym opisał rozgromienie państwa Inków peruwiańskich przez konkwistadora hiszpańskiego Pizarra. Tak więc mamy tu odosobniony wypadek, że człowiek niewidomy, nie opuszczając czterech ścian pracowni, wyczarował tylko na podstawie starych szpargałów pulsujące życiem cywilizacje narodów, o których przez trzysta bez mała lat nie było żadnej wiadomości.

Sporo czasu upłynęło, zanim do tych spraw zabrała się archeologia. A przecież grunt, na którym stanął nowoczesny Meksyk Hiszpanów, był dosłownie rumowiskiem odłamków, rzeźb, posągów i płyt kamiennych z napisami. Każde, płytkie nawet uderzenie kilofa wyrzucało na powierzchnię najrozmaitsze zabytki archeologiczne, dając świadectwo bogactwa kultury azteckiej.

Nie można było tego położyć wyłącznie na karb zaniedbania i ciemnoty zdobywców hiszpańskich. Działały tu, jak to już wspomnieliśmy, ściśle określone tendencje polityczne. Świadczą o tym między innymi dziwne losy słynnej płyty kalendarzowej. Jest

to ogromny dysk średnicy prawie czterech metrów, wagi dwudziestu ton, wykuty z jednego kawała porfiru. Na jego powierzchni figuruje w pośrodku płaskorzeźba boga Słońca, otoczona wieńcem postaci symbolicznych i napisów hieroglificznych.

Wielki ten głaz Aztekowie przetransportowali z dużej odległości i postawili w roku 1509 przed świątynią boga Słońca w Tenochtitlanie. Konkwistadorzy strącili go z piramidy i zakopali w ruinach budowli azteckich. W roku 1560, podczas przekopywania głównego placu Meksyku, natrafiono na legendarny „Kamień Słońca" i oto biskup, obawiając się wpływu znaleziska na uczucia patriotyczne Indian, kazał go ponownie zakopać w tym samym miejscu. Spoczywał tam jeszcze przeszło dwa stulecia. Dopiero w roku 1790 robotnicy wykopali go po raz drugi. Wmurowano go zrazu w fasadę katedry katolickiej, ale w roku 1885 usunięto stamtąd i umieszczono w Meksykańskim Muzeum Narodowym, gdzie odtąd stanowi jeden z najbardziej imponujących eksponatów kultury azteckiej.

Podobny los spotkał poczwarny posąg boga wojny, opisany we wspomnieniach Bernala Diaza. Hiszpanie doskonale wiedzieli, że ten cenny zabytek archeologiczny leży zakopany wśród innych gruzów na głównym placu Meksyku. Gdy w roku 1790 przypadkiem wydobyto go na światło dzienne, władze hiszpańskie kazały go natychmiast wrzucić z powrotem do dołu i zasypać. Dopiero w roku 1821 wykopano go na dobre i umieszczono w muzeum. Odtąd rzeźba, u której stóp płynęły rzeki krwi ludzkiej, stanowi jeden z niesamowitych reliktów azteckich kultu religijnego.

Znajduje się tam również wykopany z gruzów kamień ofiarny boga wojny, na którym ponoć w ciągu jednego tylko roku zarzynano tysiące ofiar ludzkich. Jest to blok na metr wysoki, średnicy prawie trzech metrów. Po bokach biegnie w wypukłorzeźbie korowód bogów-zwycięzców, a na powierzchni znajduje się zagłębienie miednicowe z kanałem do odpływu krwi.

W roku 1900, drążąc w pobliżu katedry głęboką studnię, natrafiono na jeden z narożników wielkiej piramidy, uważanej dotąd za bezpowrotnie zniszczoną. Wspaniałe płaskorzeźby i masywność budowli świadczą, że opisy konkwistadorów nie były

przesadzone. Znaleziono również resztki jej schodów i balustrady, zakończonej wielką głową węża.

Odtąd nie było dnia, aby nie dokonywano nowych odkryć archeologicznych, pomnażających naszą wiedzę o Aztekach. Przyczyniała się do tego plejada zdolnych archeologów meksykańskich: Jose Reygedes Vertez, Ignacio Marquina, Alfonso Caso, Eduardo Noguera i inni. Posługując się najnowszymi metodami naukowymi, uczeni ci mogą poszczycić się wspaniałymi wynikami swej pracy. Dziś już można zwiedzać odkopane i uporządkowane ruiny, takich miast azteckich jak Cholula, Texcoco i Tlaxkala.

Mimo wszystko, archeologia meksykańska bynajmniej nie wypowiedziała jeszcze ostatniego słowa. Mamy prawo spodziewać się wielu nowych, nawet sensacyjnych odkryć, toż przecież pamiętać należy, iż np. dotąd nie znaleziono skarbu Montezumy. Sprawa ta nie jest znowu tak nierealna, jakby to niejednemu mogło się wydawać. Świadczą o tym niezliczone eksponaty ze szczerego złota, znajdowane po różnych zakamarkach Meksyku. W roku 1932 dr Alfonso Caso podwoił znalezioną liczbę ocalałych klejnotów azteckich, gdy odkrył nietknięty grób wysokiego dostojnika. W sarkofagu znajdowały się: złote naszyjniki, kolczyki, pierścionki, diademy i naramienniki świadczące o wysokim kunszcie złotnictwa azteckiego.

ŚWIAT TRWA TYLKO 52 LATA

GRUDZIEŃ JEST W DOLINIE MEKSYKU miesiącem kwiatów. Przyroda staje się wtedy istną feerią gorących, soczystych, jarzących się w słońcu kolorów. Przy domach, niby gwiaździste race, pysznią się olbrzymie, karmazynowe kwiaty zwane poinsecjami oraz ciężko zwisające kiście bugenwilli przypominające akację. Gdzie spojrzeć, świecą na krzewach kielichy hibiskusów najróżniejszych barw i półtonów. Pola, szczególnie piaszczyste ugory, zaścielają płomieniste kobierce kwitnących kaktusów: białych, żółtych, amarantowych i pąsowych.

Zdawałoby się, że wśród tego ekstatycznego piękna ludzie powinni się radować. Nie było tak jednak podczas ostatnich dni grudnia 1507 roku. Mieszkańcy doliny meksykańskiej jakby raptem oślepli na zmysłowy blask i krasę otaczającego ich życia. W domach i pałacach wszczęli frenetyczny lament i wielki płacz. Wieczne znicze, drgające przed posążkami bożków domowych, sczezły. Ludzi ogarnęły duszący lęk i bezrozumny szał niszczenia. Biadając, kaleczyli się paznokciami, darli na strzępy szaty, wynosili przed próg cały sprzęt i meble, by je tam gruchotać i łamać na kawałki.

W tym okresie udręki i żałości nie widziało się kobiet ciężarnych i małych dzieci. Kobiety zamykano w spiżarniach, żeby, broń Boże, za sprawą złych duchów nie przemieniły się w dzikie zwierzęta; dzieciom nie pozwolono zasypiać, choćby nie wiem jak kwiliły ze zmęczenia, bo ponoć we śnie mogłyby zamienić się w szczury.

Po ulicach miast i wiosek krążyły bezcelowo obszarpane, zakrwawione, półprzytomne ciżby ludzkie. Tu i ówdzie przeciągały posępne procesje czarno i czerwono odzianych kapłanów

pogrążonych w złowieszczym milczeniu. Widać było, jak na szczytach piramid dogorywają święte paleniska, podsycane zazwyczaj przez westalki azteckie.

W taką powszechną, zapamiętałą żałobę zwykli byli pogrążać się Aztecy co 52 lata, święcie przekonani, iż u schyłku jednego z tych 52-letnich okresów nastąpi koniec świata. Ponieważ nawet kapłani nie umieli przewidzieć, który z tych cyklów przyniesie ludzkości apokaliptyczną zagładę, Aztecy woleli za każdym razem przygotowywać się na najgorsze.

W ostatnim dniu 1507 roku procesja kapłanów udała się o zachodzie słońca na szczyt wygasłego wulkanu, górującego nad doliną meksykańską. Kto żyw, gromadził się na zboczach góry, na dachach domów i tarasach piramid, oczekując z pełnym lęku napięciem katastrofy.

Kapłani rozłożyli ognisko z chrustu i rozpoczęli obserwacje nieba. Skoro konstelacja Plejad przekroczyła zenit, co oznaczało, iż cykl 52-letni minął spokojnie – skrzesali iskrę na piersiach zabitego jeńca wojennego i podpalili ognisko. Na widok płomieni tłumy wybuchnęły radosnym okrzykiem ulgi. Kurierzy, przysłani ze wszystkich stron kraju, zapalili żagwie i ze świętym ogniem w garści rozbiegli się do swoich miast i siół; wnet na piramidach i w domach na nowo zapłonęły niegasnące znicze.

Po żałobie nastąpił okres trzynastu dni radości, okres azteckiego karnawału. Ludzie oczyszczali, malowali bielidłem i zaopatrywali w świeży sprzęt swoje domy, potem ubierali się odświętnie i przystrajali w girlandy kwiatów. Zaczęła się ogólna zabawa. Na ulicach pląsały wesołe korowody tancerzy i tancerek, ubranych w fantastyczne stroje i karykaturalne maski mitologiczne. Na placach dzień i noc odbywały się igrzyska, festyny i pląsy przy wtórze kapeli, złożonej z bębnów, fletów, konch i instrumentów strunowych. Muzyka, uboga w melodię, a dosadna w rytmie, tętniła niespokojnie, jak serce tego uzdolnionego, ale dziwnego narodu.

W roku 1507 uroczystość odbyła się po raz ostatni, w 12 lat później przyszli Hiszpanie i położyli kres kulturze azteckiej. Ale przedziwny zwyczaj w niemałej mierze przysłużył, się nauce archeologii. Aztecy, chcąc okazać wdzięczność bogom za darowanie

im dodatkowych 52 lat życia, mieli zwyczaj rozbudowywać piramidy, otaczając je nową okładziną murów. Wystarczyło więc zbadać, ile nałożonych na siebie murów zawiera jakaś piramida, aby obliczyć wiek, a nawet dokładną datę jej powstania.

Możemy się o tym przekonać na przykładzie piramidy w Tanoyuca. Wspomina ją wprawdzie Bernal Diaz w swoich pamiętnikach, ale przez okrągłe czterysta lat było o niej głucho. Odnaleziono ją dopiero w roku 1925 ukrytą w pagórku, który uważano za twór naturalny. Przeprowadzone badania wykazały, że składa się ona z sześciu skorup kamiennych, nałożonych na siebie w latach: 1299, 1351, 1403, 1455 i 1507. W wyniku tych badań obliczono nie tylko jej wiek, lecz ujawniono ciekawy fakt, iż powstała ona przed przybyciem Azteków do doliny meksykańskiej, była więc dziełem ich poprzedników, Tolteków, którzy potem wywędrowali gdzie indziej.

Rozwijając się samorodnie na odciętym od reszty świata kontynencie, kultura Azteków nie mogła korzystać z doświadczeń innych ludów i była całkowicie zdana na własny wysiłek. Stąd dziwne, trudne do wytłumaczenia dysproporcje w jej rozwoju. Obok wysoko rozwiniętych dziedzin znajdziemy w niej przejawy zdumiewającego niedorozwoju i skostnienia.

Aztecy byli znakomitymi technikami w budownictwie, osiągnęli mistrzostwo w rzeźbie, zdobnictwie, tkactwie i złotnictwie (choć częściowo odziedziczyli te umiejętności od swoich poprzedników, Majów i Tolteków), wypracowali własne pismo i kalendarz na podstawie dokładnych obserwacji astronomicznych – słowem, stworzyli imponującą, zupełnie swoistą kulturę, świadczącą o ich inteligencji i zdolnościach twórczych.

Tym bardziej muszą nas dziwić i razić takie fakty, że Aztecy (pomijając dzikość ich rytuału religijnego) nie oswoili sobie ani jednego zwierzęcia jucznego, a przede wszystkim nie wpadli na pomysł koła transportowego i krążka garncarskiego. Ich metalurgia pozostawała do ostatniej chwili w powijakach; przejawiało się to w tym, że nie odkryli stopu brązu, a miedź przekuwali na zimno. Ponieważ nie znali również żelaza, ich narzędzia i broń były bardzo

prymitywne: sztylety sporządzali z obsydianu, igły z kolca pewnej agawy, a groty do bełtów i włóczni z kości lub skał.

Do osobliwości należy zaliczyć również hierarchię wartości u Azteków. Największą wartość miał u nich jaspis, potem miedź, potem srebro, a na końcu dopiero złoto. Miedź przekuwano na małe dzwonki, którymi posługiwano się jako monetą obiegową. Srebro było w Meksyku o wiele rzadsze niż złoto: używano je wyłącznie jako tworzywo do dekoracji i biżuterii.

Jaspis był powodem ciągłych irytacji konkwistadorów. Ilekroć żądali od azteckich władz miejskich wydania znajdujących się w ich skarbcu kosztowności, przynoszono im przedmioty z jaspisu, co oni uważali za chęć wykpienia się z nałożonego trybutu. Później tłumaczyli nic nierozumiejącym Indianom, że złoto służy Hiszpanom jako lekarstwo na pewną chorobę, na którą nagminnie cierpią – argument, nawiasem mówiąc, niepozbawiony prawdy, skoro nienasycona chciwość była istotnie ich chorobą.

Jednym z pierwszych, który w tych wartościach się rozpoznał, był Bernal Diaz. Przed rejteradą z oblężonego Tenochtitlanu żołnierze hiszpańscy obładowali się złotem ze skarbca Montezumy do tego stopnia, że krępowało ich to w poruszaniu się podczas walk i ucieczki, tak że w końcu musieli porzucić swoje łupy. Jeden tylko Diaz włożył za pas cztery małe kawałki jaspisu. Podczas gdy jego towarzysze przybyli do Tlaskalanów obszarpani i ubodzy, on mógł za jaspis nabyć, co mu się żywnie podobało, nawet spore ilości złotego kruszcu.

Gdy Hiszpanie po raz pierwszy przybyli do Tenochtitlanu, największe ich zdumienie wywołały pływające na jeziorze wyspy z grzędami jarzyn. Krzątali się na nich biało ubrani chłopi, ładując na łodzie swoje plony bądź też długą żerdzią popychając wyspy jak tratwy.

Aztecy nazywali te wyspy *chinampas*. Powstawały one w ten sposób, że na plecionkę z wodorostów, trzciny i lilii wodnych narzucało się warstwę mułu wydobytego z dna jeziora. Na takiej tratwie sadzono jarzyny i owoce. Ponieważ co roku trzeba było nakładać nową warstwę mułu dla utrzymania żyzności gleby, wyspy zanurzały się coraz głębiej i wreszcie osiadały na dnie, stając się

lądem. Wysepki łączyły się razem, aż powstała wielka wyspa miasta Tenochtitlanu. Ale chłopi tworzyli wciąż nowe wyspy pływające, toteż proces ten w chwili przybycia Hiszpanów bynajmniej nie był zakończony.

Rodowód tych wysp jest najbardziej przekonywającym świadectwem zdolności twórczych Azteków. Przybyli oni do Meksyku w początkach XIV wieku jako słabe liczebnie i barbarzyńskie plemię. Tubylcy zepchnęli ich na dwie małe naturalne wysepki, zarośnięte trzciną. Ponieważ w tych warunkach groziło im wygłodzenie i potrzeba pól uprawnych stała się paląca, wpadli na pomysł owych sztucznych wysepek. W miarę jak mnożyła się ich ludność, powstawało, coraz więcej takich wysepek, aż wreszcie zrodziła się siedziba wielkiej azteckiej metropolii. W dzisiejszych prowincjach meksykańskich Xochimilco i Chalo, gdzie Aztecy uprawiają warzywa sposobami przodków, wyspy pływające istnieją do dnia dzisiejszego i można je tam podziwiać naocznie.

Chlubną zdobyczą Azteków było ich pismo. Cortez zetknął się z nim w okolicznościach osobliwych i nader wymownych. Było to w Vera Cruz, a więc wkrótce po wylądowaniu na Półwyspie Jukatańskim. W poselstwie Tabaskanów zauważył Indianina, który patyczkiem pilnie malował na płótnie różne miniaturowe obrazki. Przedstawiały one ze zdumiewającą wiernością Hiszpanów, ich ubiór i rynsztunek, armaty i konie, a nawet profile twarzy – wszystko w odpowiednich kolorach.

Cortez, oczarowany tą misterną robotą, zapytał, do czego mają służyć owe obrazki. Na to naczelnik Tabaskanów odparł, że jest to ich pismo, a ów Indianin pisze sprawozdanie dla Montezumy. Pisarz aztecki towarzyszył Hiszpanom aż do Tenochtitlanu; fragmenty jego raportów do dziś dnia są przechowywane w Meksykańskim Muzeum Narodowym.

Pewien zabawny incydent daje nam wyobrażenie, jak dokładne było podobieństwo Hiszpanów w rysunkach owych raportów. Montezuma, czy to przez poczucie humoru, czy też na znak dyplomatycznej uprzejmości, wysłał w swoim drugim poselstwie

dostojnika tak bliźniaczo podobnego do Corteza, że konkwistadorzy natychmiast to spostrzegli i przezwali go „meksykańskim Cortezem".

Niestety, sekret odczytywania pisma azteckiego zaginął już w XVII wieku. Dziś, mimo ogromnego wysiłku, archeolodzy potrafią odczytać jedynie tylko cyfry, dzięki czemu drogą skomplikowanych przeliczeń ustalają daty powstania wielu budowli. Trudność odszyfrowania pochodzi stąd, że pismo to jest mieszaniną najróżniejszych elementów. Pewne znaki przedstawiają podobiznę samego przedmiotu, są więc hieroglifami obrazkowymi. Inne, oznaczające powietrze, wodę, dzień, noc itp., wyrażone są za pomocą znaków symbolicznych (np. woda: falista niebieska linia). Pojęcia abstrakcyjne były uzmysławiane przez hieroglify ideograficzne. Ponadto istniały również znaki fonetyczne świadczące dowodnie, że pismo azteckie wykazywało pod koniec silne tendencje rozwojowe w kierunku wyższych form fonetycznych.

Chlubą kultury azteckiej jest bez wątpienia ich sztuka zdobnicza. Mówiliśmy już w poprzednich rozdziałach o ich płaszczach i tarczach pokrytych ornamentem z tysięcy wielobarwnych piór ptasich. W ogóle, jeżeli chodzi o sztukę mozaikowania, to Aztekom trzeba przyznać niedoścignione pierwszeństwo na całym świecie. W muzeach Meksyku i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej znajduje się wiele okazów, stanowiących świadectwo cierpliwego artyzmu rzemieślników azteckich, ich smaku, a nawet wyrafinowanej finezji. Wśród niezliczonych przedmiotów, ozdobionych mozaiką z turkusów, metali, masy perłowej, szlachetnych i półszlachetnych kamieni, szczególną sławą cieszy się tarcza przechowywana w Muzeum Kultury Indiańskiej w Nowym Jorku (Heye Foundation), pokryta skomplikowanym ornamentem figuralnym, złożonym z piętnastu tysięcy turkusów.

Również rzeźby żłobione z konchy, drzewa, kości i kamienia zdradzają mistrzostwo rękodzielników azteckich, dla których żaden materiał nie był zbyt kruchy czy oporny. Muzea posiadają liczne rzeźby z kryształu górskiego wyobrażające postacie ludzi, zwierząt i bożków, doskonale wykończone i polerowane, nawet w najbardziej miniaturowych rozmiarach. Poza kryształem górskim artyści azteccy obrabiali jaspis, agat, topaz, szafir, ametyst i wszystkie inne

szlachetne i półszlachetne kamienie znajdywane w Meksyku. Niektóre rzeźby są tak drobne, iż wydaje się niemożliwe, że można było wykonać je bez lupy.

Największą sławą cieszyli się jednak złotnicy azteccy. Wykuwali oni na zimno tysiące przedmiotów artystycznych o najbardziej złożonych i finezyjnych formach oraz ozdabiali złotem i srebrem kamienne posągi bożków, słowem, tworzyli oszałamiająco bogatą sztukę złotniczą, która przeszła do legendy. Większość tych przedmiotów uległa niestety zagładzie w powstaniu azteckim lub znalazła się na dnie Zatoki Meksykańskiej razem z wrakami zatopionych okrętów. Posiadamy jednak świadectwo o tej sztuce dwóch najbardziej kompetentnych znawców, Dürera i Celliniego.

Niemiecki malarz renesansowy Albrecht Dürer oglądał w roku 1520 pierwsze dary przesłane przez Corteza królowi hiszpańskiemu. Pod ich bezpośrednim wrażeniem napisał, co następuje: „Nigdy w życiu serce moje nie było tak uradowane. Wśród przedmiotów widziałem zdumiewające klejnoty artystyczne i musiałem podziwiać pełną smaku pomysłowość owych ludzi odległych krajów".

Genialny złotnik i rzeźbiarz włoski Benvenuto Cellini nie miał słów zachwytu dla rzeźby azteckiej przesłanej przez Karola V papieżowi. Wyobrażała ona srebrną rybę ze złotymi łuskami. „Wszystkie te przedmioty – napisał – są niezwykle kunsztowne. W życiu nie spotkałem dotąd nic podobnego, co by w równym stopniu uradowało moje serce. Są to zadziwiające dzieła sztuki, budzące szacunek dla subtelnego geniuszu ludzi tych obcych krajów".

W nauce Aztecy nie mogli poszczycić się zbyt dużymi zdobyczami. Ich matematyka nie wyszła poza granice podstawowych działań rachunkowych, przy czym ich sposób rachowania opierał się na systemie dwudziestnym. Rok ich składał się z osiemnastu miesięcy, po dwadzieścia dni każdy, co w rezultacie dawało tylko 360 dni. Wobec tego, aby uzgodnić kalendarz z rokiem słonecznym, dodawali corocznie pięć dni nieużytecznych, wolnych od pracy. W dodatku dorzucali co cztery lata jeden dzień przestępny dla całkowitego wyrównania kalendarza z obiegiem Ziemi dokoła Słońca.

Medycyną trudnili się wyłącznie kapłani, opierając ją w głównej mierze na praktykach z dziedziny magii. Pewne jednak choroby leczono ziołami, masażami, kompresami i kąpielami parowymi. Robiono również niektóre zabiegi chirurgiczne, jak składanie złamanych kości, cesarskie cięcie i trepanację czaszek.

Niezmiernie ciekawe było prawodawstwo Azteków. Tak więc pijaństwo uchodziło za ciężkie przestępstwo, karane śmiercią. Jeżeli ojciec rodziny się upił, rodzina miała prawo zabić go pałką w tym miejscu, gdzie go znaleziono nieprzytomnego. Upijać się było wolno tylko tym mężczyznom, którzy przekroczyli siedemdziesiąty rok życia, oraz wszystkim innym mężczyznom podczas pewnych świąt religijnych.

Za kradzież, szczególnie, za kradzież kukurydzy z pola, groziła kara śmierci przez ukamienowanie bądź też w pewnych wypadkach dożywotnia niewola, przy czym wędrowcom było dozwolone brać z pola tyle kukurydzy, ile im było potrzeba do zaspokojenia chwilowego głodu. Karę śmierci stosowano również w razie czarnoksięstwa i cudzołóstwa. Oszczercom obcinano wargi i uszy.

Obok tych barbarzyńskich surowych norm prawnych istniały również prawa humanitarne. Tak np. dziecko, zrodzone ze związku wolnego obywatela z niewolnicą, było wolne i musiało być adoptowane przez ojca. Zbiegły niewolnik, któremu udało się schronić w pałacu królewskim, automatycznie uzyskiwał wolność.

Najcenniejszym darem, jaki świat otrzymał, jeżeli nie od samych Azteków, to w każdym razie za ich pośrednictwem od ludów indiańskich Ameryki Środkowej – były różnego rodzaju płody rolne, które częstokroć spożywamy, nie zdając sobie sprawy, skąd one pochodzą. Pośród mnóstwa jarzyn i innych roślin wymienić należy przede wszystkim: kukurydzę, tytoń, wanilię, czekoladę, dynię, ananas, zielony i czerwony pieprz oraz różne odmiany fasoli.

Już choćby ze względu na owe zdobycze kultury rolnej Aztecy wraz z innym ludami indiańskimi zasłużyli sobie po wsze czasy na trwałą wdzięczność świata.

ROZBITA BARKA W ZIELONYM MORZU DŻUNGLI

W ROKU 1836 PEWIEN PUŁKOWNIK MEKSYKAŃSKI nazwiskiem Garbindo jeździł po zapadłych wioskach Jukatanu i Ameryki Środkowej, przeprowadzając wśród tubylców indiańskich rekrutację do wojska. W raporcie do władz przełożonych napomknął o dziwnym odkryciu: w przepastnych głębiach puszcz dziewiczych stanął nagle w obliczu zagadkowych, niesamowicie starych ruin, pokrytych płaskorzeźbami i porośniętych gmatwaniną wybujałej wegetacji.

W trzy lata później raport, nie wiadomo, w jaki sposób, zawędrował do Nowego Jorku i dostał się do rąk adwokata Johna Lloyda Stephensa. Lakoniczna wzmianka o tajemniczych budowlach wprawiła go w niebywałe podniecenie. Trzeba bowiem wiedzieć, że pasją Stephensa były archeologia i historia antyczna, którym to naukom oddawał się z zaniedbaniem profesji adwokackiej. Zdołał już odbyć podróże do Egiptu, Arabii, Palestyny, Grecji i Turcji, o swoich przygodach i przeżyciach napisał dwie książki, które zaskarbiły sobie niemałą poczytność. Ale jego marzenie, by dokonać jakiegoś wielkiego odkrycia, pozostało niezaspokojone. Tymczasem – o dziwo – dowiedział się z raportu nieznanego wojskowego, że owe wielkie odkrycia czekają nań tuż niedaleko, w ościennym Meksyku.

Decyzję powziął w jednej chwili: pojedzie tam i zobaczy na własne oczy, co odkrył Garbindo. Przygotowując się do wyprawy, wertował wszystkie dostępne mu, dzieła historyczne i podróżnicze,

by pozbierać informacje o kraju, do którego miał zamiar wyruszyć, i tu spotkał go nieoczekiwany zawód. Poza zdawkowymi notatkami nie znalazł nic takiego, co by mogło mu w jakikolwiek sposób pomóc w jego zamierzeniach. Wiedza o ludach Meksyku, Jukatanu i Ameryki Środkowej po prostu nie istniała.

A przecież jakże łatwo mógłby zdobyć potrzebne mu wiadomości, gdyby wiedział, że w tymże samym mieście, poniekąd przez ścianę, mieszkał William Hickling Prescott, jedyny i największy naówczas znawca Azteków, Majów, Tolteków i innych szczepów indiańskich kontynentu amerykańskiego.

W poszukiwaniu jakiegoś punktu zaczepnego Stephens wyłuskał z książek wzmiankę niejakiego Fuentesa; ów Hiszpan meksykański włóczył się w roku 1700 po Hondurasie i pod Copanem odkrył olbrzymi zespół sędziwych, dobrze zachowanych budowli i piramid. Stephens wybrał więc Honduras jako cel swojej wyprawy, przy czym zgoła nie zdawał sobie sprawy z trudności związanych z podróżą w głąb dzikiej, bezludnej dżungli. Do udziału namówił swego przyjaciela, wybornego rysownika Fryderyka Catherwooda.

W roku 1839 nieliczna karawana Stephensa, złożona z mułów, przewodników i tragarzy indiańskich znalazła się na pograniczu Hondurasu i Gwatemali. Tam, podobnie jak to było z Layardem nad brzegami Tygrysu, zaskoczyła ich rewolucja. Cała Ameryka Środkowa stała w ogniu walk politycznych. Kraj przemierzały wzdłuż i wszerz oddziały walczących ze sobą trzech pretendentów do władzy: byłego prezydenta San Salvadoru Morazany, wodza Mulatów i późniejszego krwawego dyktatora Gwatemali Ferrery oraz rewolucjonisty indiańskiego Carrery.

Po miasteczkach i siołach wałęsali się uzbrojeni po zęby Murzyni, Indianie i Mulaci, dowodzeni przez byłych dezerterów z armii Napoleona bądź też przez awanturników europejskich różnego pokroju. Kraj był splądrowany, sterroryzowany, ogołocony z żywności. Przerażeni tubylcy słaniali się z głodu; nigdzie nie można było dostać nawet suchej kromki chleba.

Stephens miał wprawdzie glejt, podpisany przez jednego z wodzów rewolucji, ale w praktyce nie na wiele mu się to przydało. Rozhukane bandy pijanych żołdaków nękały ich strzelaniną

i zaczepkami. Raz nawet jakiś zuchwały dowódca, chcąc wymusić okup, zamknął całą ekspedycję w szopie. Jedynie tylko w wyniku interwencji wyższego oficera, który znalazł się tam przypadkiem, Stephens zdołał wyjść obronną ręką z tej opresji.

Opędzając się od napastujących ich żołdaków, przyjaciele dotarli do skraju dżungli, kędy wypadła jedyna droga do Copanu. Zagłębiwszy się w mrocznych ostępach dzikiej wegetacji, Stephens zaczął stopniowo pojmować, dlaczego odległe ruiny nie doczekały się dotąd swego odkrywcy. Nieprzebyty mur dżungli strzegł ich tajemnicy skuteczniej niż najgrubsze pokłady naniesionej przez wieki ziemi i piasku.

Mała grupa śmiałków przedzierała się przez zielone piekło z nieopisanym mozołem. Objuczone zwierzęta grzęzły po brzuchy w cuchnących mokradłach. Kolczaste pnącza czepiały się odzieży i wpijały w ciało, zadając piekące rany. Wilgotne uroczysko kipiało jak w ukropie; wyziewy rozkładu i pleśni zatruwały organizm, obezwładniały, działały zabójczo na ustrój nerwowy. W nocy puszcza skowyczała tysiącem najdziwniejszych wrzasków i jękliwych zawodzeń. Opętańczy jazgot małp, skrzypiące glosy papug, do szpiku kości przeszywające piski i skargi jakby rannych i wijących się w bólu zwierząt – spędzały badaczom sen z oczu.

Po kilku dniach wędrówki, które wydawały się wiecznością, Stephens, Catherwood i towarzyszący im Indianie zdołali przerąbać się przez i dżunglę i dobrnęli do Copanu, pokryci strupami i błotem. Ale skoro spojrzeli zapiekłymi od bezsenności oczyma na grupę nędznych lepianek nazywających się Copanem – ścisnęło im się serce z rozpaczy. Okazało się bowiem, że nie było tam śladu ruin; zaczęli przeto podejrzewać, że wzmianka Fuentesa była zwykłą blagą. Zagadywani o ruiny tubylcy spoglądali na nich wielkimi oczami i wzruszali ramionami. Cała wyprawa zdawała się być nieporozumieniem.

Zgnębieni podróżnicy postanowili zatrzymać się przez kilka dni we wsi, by odzyskać siły po uciążliwej wędrówce, a potem dopiero naradzić się, co począć. Stephens doszedł do przekonania, że nie zaszkodzi przetrząsnąć jeszcze najbliższą okolicę wsi. Dżungla była tak nieprzejrzysta, że – kto wie – może jednak tam się coś kryło. Na

myśl taką naprowadził go zaobserwowany fakt, iż tubylcy w ogóle nie oddalali się daleko od swoich sadyb, a puszczy bali się jak ognia.

Po krótkim odpoczynku wyruszyli w gęste poszycie dziewiczego lasu. Indianie, należący do ekspedycji, wycinali maczetami ścieżkę, podczas gdy mieszkańcy Copanu przyglądali się im z rozbawionym zaciekawieniem. I oto już po niedługim czasie ekspedycja stanęła jak wryta przed potężnym murem, zbudowanym z ciosanych, ściśle do siebie przypasowanych, niepołączonych zaprawą głazów. Stromy szereg schodów wiódł gdzieś w górę, w niewiadome, w gąszcz wegetacji. Podróżnym wydawało się niepodobieństwem, żeby tuż przy wsi miały ukrywać się ruiny, których obecności jej mieszkańcy nawet nie podejrzewali.

A może – pomyśleli, nie dowierzając własnemu szczęściu – są to tylko pozostałości po jakiejś warowni hiszpańskiej? Toć przecież tędy Cortez w roku 1524 śpieszył do Hondurasu, by poskromić tamtejszego zbuntowanego gubernatora Olidę, w następnych zaś latach Hiszpanie staczali tu zacięte walki z tubylcami, zanim zdołali narzucić im swoje jarzmo.

Rychło jednak wątpliwości rozwiały się, gdy poprzez plątaninę poszycia ujrzeli jakąś kamienną płytę. Po wykarczowaniu terenu ukazała się stela ogromnych rozmiarów, na cztery metry wysoka, prawie na metr szeroka i gruba. Płytę pokrywały od góry do dołu płaskorzeźby figuralne o przedziwnym, groteskowym rysunku. W zakamarkach i zagłębieniach widniały ślady jaskrawych kolorów, świadczących o tym, że stela była ongiś suto polichromowana. Na przedniej stronie rysowała się wypukła rzeźba mężczyzny o surowym, namaszczonym obliczu, mogącym wywołać zabobonną bojaźń.

Styl i układ rzeźby był niesamowity, a jednak budził podziw mistrzostwem i precyzją wykonania. Najdrobniejsze szczegóły, najbardziej filigranowe ornamenty rysowały się ostro i klarownie w twardym głazie, jakby wycięte brzytwą w podatnym tworzywie. Od tych groteskowych ozdób powiało dawnymi wiekami. Cóż to byli za ludzie, co z takim cierpliwym mozołem żłobili w skale owe cudaczne wizerunki, a potem przeminęli bez echa, odchodząc w mgławicę odległej przeszłości? „Ta dziwna karykatura człowieka

– pisze Stephens w swoich pamiętnikach – była jakby duchem minionych ludów, stojących na straży dawnych rodzimych osiedli”.

Zagłębiając się w dżunglę, podróżnicy odkrywali jedną stelę za drugą, aż w końcu naliczyli ich czternaście. Każda była inna w swej niebywałej oryginalności, ale w równym stopniu bogata w wizerunki, ozdoby i symbole. O zmroku musieli przerwać poszukiwania, wrócili więc do obozu, oszołomieni sukcesem wyprawy.

Nazajutrz o świcie zjawił się u Stephensa miejscowy krawiec, Metys, don Jose Maria i uroczystym głosem oświadczył, że cała ziemia wzdłuż rzeki Rio Copan, gdzie stoją ruiny, jest jego własnością.

Stephens parsknął śmiechem – tak niedorzeczna wydawała mu się sama już myśl, iż ruiny w dżungli mogły w ogóle do kogoś należeć, w dodatku do kogoś, kto o ich istnieniu nie miał dotąd żadnego pojęcia. Zbył więc przybysza w sposób lekceważący.

Sprawa – jak się wnet okazało – nie była taka prosta. Z chwilą odrzucenia pretensji ekspedycja spotkała się z solidarnym bojkotem całej wsi. Stephens nie mógł zakontraktować robotników do pracy ani nabyć kęsa chleba kukurydzianego. Nie pomogły zaofiarowane leki, świecidełka i gotówka – tubylcy odpowiadali jednomyślną odmową. Nie chodziło tu już o niezbędną pomoc mieszkańców wsi; w kraju, gdzie szalała rewolucja, zadzieranie z miejscową ludnością nie było rzeczą zbyt pożądaną. Stephens postanowił więc ugodzić się jakoś z Metysem.

Don Jose wprawdzie przyjął zaproszenie, ale wyraźnie był obrażony doznanym poprzednio afrontem. Stephens, przywykły do stosunków kapitalistycznych swego kraju, dowiedział się ze zdumieniem, że Metysowi bynajmniej nie chodziło o korzyści materialne. Zgłaszając swoje zastrzeżenia, kierował się wyłącznie bezinteresowną dumą posiadania, toteż gdy Stephens zaproponował mu sprzedaż ruin, był tym zaskoczony. Nie mógł pojąć, że ktoś miałby ochotę nabyć owe bezwartościowe, nieprzydatne kamienie. Stał się więc podejrzliwy i czujny. Przestępując z nogi na nogę, prosił o czas do namysłu: grał widać na zwłokę. Pod wieczór zjawił się ponownie, wciąż jeszcze niezdecydowany, ale po uciążliwych

układach dobito targu. Stephens za pięćdziesiąt dolarów otrzymał na własność ruiny miasta Copan. Lekki uśmiech, jaki przemknął po twarzy Metysa, zdradzał, co sądzi o Amerykaninie: miał go za wierutnego kpa, łatwego do nabrania.

Transakcję handlową Stephens uczcił wielkim bankietem pojednania, na który zaprosił wszystkich mieszkańców wsi. Wieczór spędzili razem w najlepszej komitywie wśród tańców, śpiewów i zapachów pieczonego na rożnie prosiaka. Tubylcy z nieopisanym zdumieniem oglądali stele, nie mogąc dość się nadziwić, że tkwiły one w dżungli tak blisko ich wioski. Poczęstowani pod koniec zabawy cygarami, powrócili do swoich chat, gotowi do wszelkich usług na rzecz hojnych cudzoziemców.

Zapewniwszy sobie przyjaźń tubylców, Stephens przystąpił do dalszych poszukiwań. Przebił się przez dżunglę aż do brzegu rzeki Rio Copan, gdzie dokonał swego najważniejszego odkrycia. Była to gigantyczna, surowa w kształcie piramida, zbudowana z ogromnych bloków kamiennych. Stephens i Catherwood zaczęli wspinać się po schodach, wiodących na nieznaną wysokość poprzez mroczną gęstwinę drzew i pnączy. Towarzyszyły im wśród wycia i pisków małpy, pomstujące na intruzów niby rozsierdzone przekupki.

Ze szczytu roztoczył się przed ich oczami widok nieporównany. W kłębowisku roślin, niby we wzburzonym morzu, tkwiły jak okiem sięgnąć ruiny piramid, pałaców, świątyń i samotne monolity. Nie mogli obronić się przed uczuciem, że oto wypłynęli poza granice życia i znaleźli się w jakichś nierealnych regionach przywidzeń. „Miasto przypominało – pisze Stephens – rozbitą barkę wśród oceanu, pozbawioną masztów i pozostawioną na łaskę żywiołów przez nieznaną załogę. Nikt już nie mógł powiedzieć, skąd ta barka przybyła, do kogo należała, jak długo znajdowała się w podróży i co przyniosło jej zagładę".

W następnych dniach dwaj przyjaciele z Nowego Jorku zbadali najbliższą okolicę puszczy, odkrywając coraz to nowe posągi, płyty z płaskorzeźbami, schody i tarasy. Już sama liczba zabytków mogła przyprawić o zawrót głowy. Potężne monolity, wyrwane z ziemi przez rosochate korzenie, walały się powalone wśród zbutwiałych liści i pni. Posągi uwięzione w zabójczym uścisku pnączy i powojów

jakby unosiły się nad gruntem w walce o światło i powietrze. Gdzieniegdzie stał kamienny bożek nietknięty przez drapieżną przyrodę, a pod jego stopami zachował się cudem ołtarz, na którym ongiś składano mu ofiary. Płaszczyzny głazów kryły szczelnie ornamenty i zagadkowe hieroglify, wycyzelowane dłutem starodawnych rzeźbiarzy. Płaskorzeźby bożków były wyżłobione tak wypukle, że prawie odrywały się od swego kamiennego tła.

Ruiny wprowadziły Stephensa w stan oszołomienia. Tysiące pytań cisnęło mu się do głowy. Nie miał cienia wątpliwości, że odkrył ośrodek państwa jakiegoś potężnego narodu obdarzonego geniuszem twórczym. Ów naród rzeźbiarzy i budowniczych cyklopów na pewno mieszkał tu całe wieki, albowiem powstanie tylu budowli, rzeźb i piramid wymagało trudu i zabiegliwości wielu pokoleń. W jaki sposób ludzie owych czasów zdołali przytoczyć tu te głazy, ważące nieraz po kilkanaście ton? Stephens ustalił, że najbliższe kamieniołomy znajdują się po drugiej stronie rzeki Rio Copan, w odległości kilku kilometrów od brzegu. Rzecz nad wyraz intrygująca, niemożliwa do wytłumaczenia; ludy te, pozbawione zwierząt jucznych i technicznych urządzeń, potrafiły takie ciężary nie tylko przetoczyć na dużą odległość po lądzie, ale jeszcze przeprawić przez rzekę.

Catherwood zabrał się pilnie do kopiowania rzeźb i ornamentów, ale praca szła mu jak z kamienia. Styl i układ były tak zawiłe i do tego stopnia odbiegały od artystycznych pojęć białego człowieka, że nieraz bezradnie odkładał ołówek. Ponadto, przed przystąpieniem do pracy, trzeba było maczetami wycinać gęstą wegetację, by uzyskać odpowiednie światło i dostęp do rysowanego przedmiotu. Wbrew tym piętrzącym się trudnościom Catherwood sporządził w krótkim czasie pięćdziesiąt wypracowanych w szczegółach rysunków, które posłużyły później jako ilustracje do książki Stephensa.

W powrotnej drodze dwaj podróżnicy zwiedzili Gwatemalę, Chiapas i północny cypel Półwyspu Jukatańskiego. Wszędzie napotykali nieprzeliczone mnóstwo ruin: piramidy, pałace, posągi, całe rozległe miasta. Były to zupełnie nowe, dotąd nieprzeczuwane

nawet światy, stanowiące ogrom historycznych i archeologicznych zagadnień.

Stephens wysyłał do swoich przyjaciół listy, w których z entuzjazmem opisywał dokonane odkrycia. Przyjęto je z niedowierzaniem. Gdy jednak w roku 1842 ogłosił swoją książkę *Wydarzenia podczas podróży do Ameryki Środkowej, Gwatemali i Jukatanu*, wywołał wielką sensację i falę polemik. W ciągu krótkiego czasu książka doczekała się kilku wydań i przekładów na inne języki.

Przy tej sposobności zwrócono uwagę na inną książkę, która ukazała się we Francji cztery lata wcześniej i dziwnym trafem uszła uwagi czytelników. Była to praca Francuza F. de Waldecka *Romantyczna i archeologiczna podróż po prowincji Jukatanu*. Wynikało z niej, że pierwszym odkrywcą tamtejszych ruin był Francuz, a nie Amerykanin. Tylko że Waldeck miał to nieszczęście, że wydał swoją książkę wtedy właśnie, kiedy Francję do tego stopnia pochłaniały świeże odkrycia w Egipcie, iż jej nawet nie zauważono.

Pod wrażeniem książki Stephensa badacze historycy zaczęli na wyścigi wertować stare hiszpańskie źródła i doszli do przeświadczenia, że budowniczymi tych wystawnych miast byli Majowie. Stworzyli oni na wiele stuleci przed Aztekami bogatą kulturę i zorganizowali się w miasta-państwa na obszarach Ameryki Środkowej i Jukatanu.

W ferworze polemicznym powstały na temat Majów najbardziej fantastyczne, a nawet niedorzeczne teorie. Jedni twierdzili, że przywędrowali oni z Azji, uchodząc przed potopem. Inni znowu poczytywali ich za rozbitków Atlantydy, owego legendarnego lądu pochłoniętego rzekomo przez nurty Atlantyku.

Konkwistadorzy hiszpańscy stale zwracali uwagę w swoich relacjach na uderzające analogie religii Majów z chrześcijaństwem. Były tam symbole krzyża, spowiedź, idee mesjaniczne itp. Dało to asumpt do teorii, jakoby Majowie pochodzili z Palestyny i mieli coś wspólnego z pierwotnymi wyznawcami Chrystusa. Mniej już fantastyczne wydawały się poglądy tych polemistów, którzy sądzili, że odkryte budowle w kształcie piramid mogłyby świadczyć o jakichś bliżej nieokreślonych więzach powinowactwa Majów ze

starożytnymi Egipcjanami. Kim właściwie byli Majowie, dowiemy się z następnych rozdziałów opracowanych na podstawie ściśle naukowych badań historyków i archeologów.

W KRÓLESTWIE WIELKIEGO WĘŻA

PONAD DŻUNGLĄ JUKATANU krążył mały turystyczny samolot. Warkot silnika odbijał się zwielokrotnionym echem w głuszy dzikiego odludzia. Samolot raz po raz obniżał swój lot tak nisko, że koła nieomal ocierały się o wierzchołki potężnych drzew, zasłaniających ziemię nieprzeniknionym kobiercem. Tu i ówdzie bielały w zielonym poszyciu piramidy i budowle pałaców, wtedy samolot zniżał się i zataczał nad tymi terenami koła.

Był to rok 1930. W kabinie siedziało dwóch archeologów meksykańskich, Madeiro i Mason. Po długich staraniach spełniło się wreszcie ich marzenie. Uzyskali od rządu przydział samolotu i oto teraz pilnie fotografowali i zaznaczali na mapie nieznane jeszcze wyspy starodawnych siedzib Majów.

A było, zaprawdę, co fotografować i notować. Kultura Majów rozpościerała się ongiś na obszarze bez mała stu tysięcy kilometrów kwadratowych. W samym tylko Jukatanie, oprócz trzech znanych już metropolii – Chichen-Itza, Mayapan i Uxmal – naliczono aż siedemdziesiąt innych ośrodków miejskich. Ogromne połacie, dotąd niezbadane, tworzyły ongiś żywotne części „Królestwa Wielkiego Węża", jak nazywali Majowie swoje państwo. W roku 1947 ekspedycja archeologiczna, która udała się do stanu meksykańskiego Chiapas i Bonampak, odkryła jedenaście świątyń z pierwszych wieków n.e. Na ścianach budowli widniały malowidła przedstawiające wojowników, kapłanów i królów w żółtych, czerwonych, brązowych, zielonych i niebieskich kolorach.

Dominującą cechą budowli Majów jest to, że wznoszono je na sztucznych platformach z kamienia w kształcie piramidy z obciętym

wierzchołkiem. Mury świątyń i pałaców były z reguły bardzo grube, pokryte okładziną z rzeźbionych płyt kamiennych. Do wnętrza budowli prowadziły wejścia niezwykle wąskie i niskie. Pułapy komnat tworzyły wydłużone spiczaste łuki, nigdzie niespotykane poza architekturą Majów. W ogóle gmachy te sprawiałyby wrażenie przysadzistych warowni, gdyby nie figuralne płaskorzeźby i hieroglify, pokrywające od góry do dołu ich ściany. Widzimy na nich głowy ludzkie i zwierzęce, monstrualnie przedstawione węże i bożków przypominających chimery średniowiecznych kościołów. Styl płaskorzeźb, aczkolwiek wyrazisty i dokładny w rysunku, jest groteskowy, jakby żywcem wyjęty z sennych majaczeń.

Mimo że cała cywilizacja Majów miała jako podstawę uprawę kukurydzy i kwitła w otoczeniu wybujałej wegetacji – uderza w jej zdobnictwie niezwykła skąpość form roślinnych. Nawet kolumny, które wszędzie na świecie wywodzą się z naśladownictwa pnia jakiegoś drzewa, przeważnie palmy, u Majów wyobrażają kadłuby wężów-potworów z wysuniętym językiem. Słynne są dwie takie kolumny węże, znajdujące się u fasady Świątyni Wojowników w Chichen-Itza. Głowy wężów z otwartymi paszczami są przypłaszczone do ziemi: kadłub, pokryty piórami, wije się przez krótki dystans po gruncie, potem dźwiga się pionowo w górę, by podtrzymywać dach świątyni.

Wśród ruin Majów spotyka się budowle z tak małymi wejściami i komnatami, iż wydaje się, jakby były zbudowane dla Pigmejczyków. Najbardziej znany pod tym względem jest Dom Karłów w Uxmal. Pisząc o tych osobliwych budowlach, archeolodzy snuli najróżniejsze teorie. Jedni twierdzili na przykład, że owe okolice zamieszkiwał ongiś nieznany lud karłów, jednakże bliższa prawdy jest teza, że Majowie budowali te domy dla duchów lub jakichś mitycznych istot nadludzkich, którym pragnęli dostarczyć dachu nad głową.

Ruiny największego miasta Majów Chichen-Itza przewyższają wszystkie inne budowle bujnością architektury, bogactwem rzeźb, pięknością kolorowych fresków, a przede wszystkim ogromem, zajmując blisko trzy i pół kilometra kwadratowego terenu. Współczesnego turystę wita zgoła odmienny obraz niż ten, jaki

zastali Stephens i inni podróżnicy XIX wieku. Ruiny stoją teraz na wolnej, oczyszczonej z wegetacji przestrzeni. Do miasta prowadzi starannie utrzymana droga, po której kursuje autobus z jukatańskiej stolicy, Meridy.

Wśród wielu budowli i piramid wymienić należy Świątynię Jaguarów, odznaczającą się bogactwem motywów zdobniczych i przedziwną ażurową attyką wyrzeźbioną w twardym kamieniu. Nie mniej sławna jest Świątynia Wojowników z jej kolumnadą, wewnątrz której schody prowadzą na górne platformy piramidy. Piramida Castillo przewyższa wszystkie inne wysokością. Składa się ona z ośmiu kondygnacji z tarasami i dźwiga na szczycie świątynię poświęconą białemu bogu, Kukulkanowi, którego emblematem był „opierzony wąż".

Mniej więcej pośrodku miasta stoi wydźwignięta pod obłoki okrągła budowla. Było to obserwatorium astronomiczne Majów. Okna jego są tak umieszczone, że wzrok wiodą w prostej linii w kierunku pewnych konstelacji gwiezdnych. Najciekawszy jest jednak stadion. Majowie bowiem byli wielkimi entuzjastami gry w piłkę podobnej do baskijskiej peloty. Widzimy tam ogromny mur, ozdobiony płaskorzeźbami z gzymsem wyobrażającym wijące się węże. Z muru wystaje poziomo osadzona kamienna obręcz średnicy około półtora metra.

Na tym stadionie mieszkańcy Chichen-Itza przyglądali się zażartym walkom różnych drużyn, robili zakłady, wyrażali zachwyt uwielbianym bohaterom bądź też obrzucali obelżywymi wyzwiskami tych, którzy zawiedli ich oczekiwania. Z kronik wynika, że drużyna przegrana musiała na oczach wszystkich rozebrać się do naga i oddać całą swoją odzież zwycięzcom: był to regulamin świadczący o dużym poczuciu humoru wśród Majów.

W północnej części Jukatanu znajdują się w niedużej od siebie odległości dwie inne metropolie Majów: Uxmal i Mayapan, niewiele ustępujące miastu Chichen-Itza pod względem bogactwa zabytków. Szczególnie Uxmal słynie z wielu niecodziennych, suto ornamentowanych budowli, jak Dom Proroków, Dom Mniszek, Dom Gubernatora, Dom Żółwi, Dom Starej Kobiety, Dom Gołębi i innych.

Nazwy tych domów stworzyli archeolodzy na podstawie pewnych przeważających motywów dekoracyjnych.

Przenieśmy się teraz na południe, do stanu meksykańskiego Chiapas. U wylotu głębokiego wąwozu, wśród gór i dziewiczego lasu, bieli się starodawne, święte miasto Majów, zwane dzisiaj, według sąsiedniej wioski indiańskiej, Palenque. Jeżeli uwzględni się okoliczności, że murowana część miasta służyła celom religijnym i była zamieszkana tylko przez kapłanów i arystokrację, podczas gdy ludność żyła w lepiankach, po których oczywiście nie zostało śladu – należy przypuszczać, że miasto miało około sto tysięcy mieszkańców. Wrażenie ogromu nagromadzonych i cierpliwie ciosanych czy rzeźbionych głazów jest niezatarte. Dość powiedzieć, że zachowało się tam 18 wspaniałych pałaców i świątyń oraz 22 inne budowle, wśród nich wysoka wieża do obserwacji astronomicznych. Wszystkie te budowle wzniesione były na podbudowach kształtu piramidalnego.

Archeolodzy sądzili, że piramidy Majów, w przeciwieństwie do piramid egipskich, nie służyły jako grobowce dla królów, lecz były tylko sztucznymi podnóżkami świątyń i pałaców. Teza ta została podważona w roku 1952. Cztery lata przedtem archeolog J. Alden Mason zauważył w posadce Świątyni Inskrypcji w Palenque jakąś płytę z otworami. Gdy ją podniesiono, ukazały się wąskie schody prowadzące w głąb piramidy, szczelnie zapełnione gruzem. Po czteroletnich, żmudnych pracach oczyszczających ukazała się wreszcie mała komnata z dużym kamiennym sarkofagiem, w którym znaleziono kości pięciu młodych Indian – dwóch dziewcząt i trzech chłopców. Obecność wielkiego mnóstwa klejnotów z jaspisu, cenionego u Majów wyżej od złota, wskazywałaby na to, że młodzi ludzie, zapewne ofiary rytuału religijnego, pochodzili z rodów arystokratycznych. Przez trójkątne wejście, zastawione kilkutonowym monolitem, odkrywcy weszli do olbrzymiej sali, sprawiającej urzekające wrażenie przez swoje krystaliczne stalaktyty zwisające z sufitu i stalagmity wystrzelające z posadzki jak las iglic. W blasku lamp karbidowych sypały one olśniewające iskry, przypominając czarodziejską feerię.

W pośrodku sali stał ciężki, kamienny sarkofag, w którym znaleziono prochy jakiegoś króla czy wysokiego kapłana. Zmarły był szczelnie zasypany biżuterią z zielonego jaspisu. Twarz zasłaniała maska, zrobiona z mozaiki płytek jaspisowych. Tkanina szaty była zupełnie zbutwiała.

Sarkofag zdobiły ornamenty figuralne i hieroglify, z których Mason odszyfrował datę 27 stycznia 603 roku n.e. A więc w tymże dniu odbył się pogrzeb największego męża miasta Palenque, przypuszczalnie najpotężniejszego władcy i kapłana w historii Majów.

Palenque było miastem starego imperium Majów. Trzeba bowiem wiedzieć, że archeolodzy dzielą historię ich na dwie wielkie ery: na stare i nowe imperium. Majowie pierwotni zamieszkiwali południową część półwyspu Jukatanu, dzisiejszy Honduras, Gwatemalę oraz stany meksykańskie Chiapas i Tabasco. Było to mniej więcej od roku 1000 p.n.e. do VI wieku n.e. Na pierwsze wieki n.e. przypada szczyt rozkwitu starego imperium.

Około roku 610 n.e. w państwie Majów stało się coś zgoła bezprzykładnego w dziejach świata. Pewnego poranka ludność zapakowała swój dobytek i opuściła na zawsze wspaniale rozbudowane miasta, swoje ulice i place, świątynie i pałace, pozostawiając je na pastwę dżungli po to, by w północnej części Jukatanu wybudować całkiem nowe ośrodki miejskie: Chichen-Itza, Mayapan i Uxmal.

W jaki sposób dowiedzieliśmy się o tym nagłym, przedziwnym exodusie całego narodu? Zawdzięczamy to częściowo arcybiskupowi Jukatanu Diego de Landa, który żył w XVI wieku i zaprzyjaźniwszy się z pewnym księciem indiańskim, spisał jego opowiadania o bogach, wojnach i obyczajach Majów.

De Landa narysował w swoim dziele hieroglify oznaczające dni i miesiące, dzięki czemu groteskowe płaskorzeźby na budowlach i stalach nabrały sensu dla archeologów. Niektóre jego informacje były frapująco wręcz niewiarogodne. Dowiedzieliśmy się więc, że w zdobnictwie Majów wszystkie motywy, czy to zwierzęce, czy to ludzkie są bezpośrednio powiązane z określoną datą. Ponadto każda

budowla, nawet każda jej część jest właściwie kalendarzem z kamienia, bo wyraża jakąś datę lub wydarzenie astronomiczne.

Dzięki pracom współczesnych archeologów pewne hieroglify Majów wyżłobione na budowlach i stelach odczytuje się dziś względnie dokładnie. Odczytanie przyniosło jednak rozczarowanie, albowiem okazało się, że wszystkie inskrypcje zawierały jedynie tylko daty.

Nigdzie wśród dziesiątków tysięcy napisów nie znaleziono najmniejszej informacji o życiu i obyczajach Majów. Godzi się więc przypuszczać, iż tego rodzaju wiadomości Majowie nigdy nie utrwalali na kamieniu.

Na podstawie powyższych faktów stwierdzono, że Majowie stali się niewolnikami swego kalendarza. Można było przypuszczać, że wznosili oni budowle nie tylko dla celów użytkowych, lecz dlatego, iż wymagał tego kalendarz. W odstępach pięciu, dziesięciu lub dwudziestu lat budowali nową strukturę kamienną i zaopatrywali ją w odpowiednią datę powstania. Czasami upraszczali sobie zadanie, obudowując stary gmach nową powłoką kamieni i umieszczając na niej najświeższą datę.

I teraz dochodzimy do sedna sprawy. Ponieważ na budowlach starego imperium, to znaczy miast obszarów południowych, kolejność dat urywa się około roku 610 n.e., a mniej więcej od tego samego roku zaczyna się datowanie budowli w Chichen-Itza, Mayapan, Uxmal i innych miastach północnego Jukatanu – wniosek z tego uderzającego faktu może być tylko jeden: Majowie opuścili swoje siedziby gromadnie i raptownie. Owa emigracja ma nieomylne cechy dobrowolnej przeprowadzki setek tysięcy mieszkańców, prawdziwej wędrówki ludów.

Skoro tylko owe wydarzenie historyczne zostało ustalone ponad wszelką wątpliwość, zaczęły sypać się zewsząd rozmaite teorie, usiłujące je wytłumaczyć. Najstarsza teza, według której jakoby Majowie musieli uchodzić przed najeźdźcami, rychło poszła do lamusa. Państwo Majów stało naówczas u szczytu swojej potęgi militarnej, w sąsiedztwie ich nigdy nie było tak silnego plemienia, które mogłoby dokonać takiego najazdu, a przede wszystkim

w ruinach nie znaleziono śladu najazdu – rzecz archeologicznie nie do pomyślenia.

Prawdopodobniejsze było twierdzenie, że Majów wypędziła wielka katastrofa żywiołowa lub epidemia, wszelako przeciwko tej teorii przemawiały ważkie argumenty. Przede wszystkim z ustaniem niebezpieczeństwa ludność powróciłaby na pewno do swoich starodawnych, wspaniale rozbudowanych miast, czego jednakże nie zrobiła. Ponadto zaludnienie i rozrost miast północnych, ich żywotność kulturalna i polityczna – wszystkie te okoliczności zgoła nie wskazują na to, iż mieszkał tam naród dopiero co zdziesiątkowany przez żywiołową katastrofę czy epidemię.

Przypuszczenie, jakoby tajemnicą emigracji była gwałtowna zmiana klimatu, również nie wytrzymuje krytyki. Taka zmiana siłą rzeczy dałaby się odczuć również w Chichen-Itza, znajdującej się po linii powietrznej zaledwie o czterysta kilometrów.

Tak więc bezprzykładnego wstrząsu w losach narodu Majów nie zdołano przez długi czas wyjaśnić w sposób wystarczający. W ostatnich dopiero latach archeolog Sylvanus Griswold Morley ogłosił teorię, którą na ogół przyjęto jako przekonywającą. Oto, jak ona przedstawia się w wielkim skrócie.

Chociaż Majowie byli z instynktu ludźmi miasta, mimo to nie mogli istnieć bez pracy rolnika i wyprodukowanej przez niego żywności, której podstawą była kukurydza. Cała kultura Majów, jej rozwój i życie uzależnione były od uprawy kukurydzy.

Struktura społeczna Majów wykazuje ostre przeciwieństwa klasowe, uwidocznione w zabudowie ich miast. Pałace arystokracji i świątynie budowane z ciosanego kamienia tworzyły osobną dzielnicę o charakterze fortecznym, umocnioną przeciwko niezadowolonym masom pracującym. Dokoła tego kamiennego miasta tłoczyły się zwartą masą nędzne lepianki biedoty miejskiej, po których – rzecz oczywista – nie pozostało śladu.

Dola chłopów była wyjątkowo ciężka. Jedną trzecią część zbiorów musieli oni oddawać dostojnikom, jedną trzecią kapłanom, a pozostałą trzecią część wolno im było zatrzymać na własny użytek. W okresie między siewem a zbiorami zapędzano ich do pracy w kamieniołomach i na placach budowy.

Zacofanie, pycha i oderwanie się arystokracji od życia mas ludowych doprowadziło do tego, że społeczeństwo zatrzymało się w swoim rozwoju. Odbiło się to szczególnie na rolnictwie, gdzie metody uprawy ziemi były niezmiernie prymitywne. Dość powiedzieć, że Majowie nie zdobyli się nawet na wynalezienie radła.

Uprawę kukurydzy przeprowadzano w ten sposób, że chłop podpalał kawał dżungli, a na uzyskanej w ten sposób polance drążył za pomocą zaostrzonego patyka otworki, do których wrzucał ziarna. Po wyjałowieniu uprawianego pola przenosił się po prostu gdzie indziej, ponieważ nie znał nawozów. Opuszczona ziemia zarastała dziką roślinnością i dopiero po upływie długich lat nadawała się ponownie do uprawy.

W poszukiwaniu urodzajnej gleby chłopi wdzierali się coraz głębiej w dżunglę i w ten sposób oddalali się od miast, które mieli obowiązek żywić. Między miastami a ziemią karmicielką rosły szerokie pasy wypalonego i wyjałowionego stepu. Wyżywienie ludności miejskiej stawało się stopniowo coraz trudniejsze, aż wreszcie głód zaczął wszystkim zaglądać do oczu. Ogromne obszary, które były warunkiem i podstawą kultury Majów, stały się nieużytkami i cały naród spostrzegł, iż jedynym ratunkiem jest emigracja. Podczas gdy na północy powstawało nowe imperium, sędziwe miasta, jak Uaxactun, Tikal, Naranjo, Copan i Palenque zagubiły się w gąszczu dzikiej roślinności, która na nowo wzięła w posiadanie tamtejsze obszary i przez przeszło tysiąc lat kryła przed okiem ludzkim ruiny starego imperium.

Źródłem wiadomości historycznych o miastach nowego imperium są kroniki pisane w języku Majów literami łacińskimi, nazwane „Księgami Chilam Balam”. Spisał je kapłan tegoż nazwiska w wieku XVI. Dowiadujemy się z nich, że w północnym Jukatanie istniały trzy główne ośrodki polityczne: miasta-państwa Mayapan, Chichen-Itza i Uxmal. Władcami Mayapanu byli kapłani z królem-kapłanem na czele, którzy uważali się za bezpośrednich potomków białego boga Kukulkana i z tego względu nosili sztuczne brody. Natomiast w Chichen-Itza i Uxmal rządzili wojownicy pewnych arystokratycznych kast wojskowych.

W roku 1000 n.e. wymienione miasta zespoliły się w federację. Ale już około 1200 roku wybucha między nimi wojna. Wódz armii Mayapanu Hunac Cell, posługując się najemnikami z plemienia Tolteków, podbił i zburzył Chichen-Itza, a jego władców zabrał jako zakładników na swój dwór. W roku 1441 wybucha powstanie uciskanych miast. Pod wodzą księcia Uxmalu z dynastii Xiu wojska powstańcze obracają w perzynę miasto Mayapan. Potem rozbity i wycieńczony kraj Majów staje się łatwym łupem Azteków.

W chwili przybycia Hiszpanów kultura Majów już nie istniała. Potomkowie wielkich budowniczych, artystów i astronomów rozpadli się na słabe, prymitywne plemiona, mówili odmiennymi narzeczami, różnili się strojami i obyczajami, a o swojej wspólnej, świetnej historii mieli tylko bardzo mętne wspomnienia. Wprawdzie wyznawali starą swoją religię, ale w dość spaczonej formie.

Z kolei miasta nowego imperium utonęły w głębiach dżungli jak w topieli morza. Nikt o nich nie pamiętał; o ich istnieniu wiedziały tylko prymitywne plemiona Indian, które na ich ruinach sprawowały swoje tajne obrzędy religijne.

ZRĘKOWINY BOGA DESZCZU

– SEÑOR, JESTEŚMY NA MIEJSCU!

Tubalny głos Metysa rozlał się wyolbrzymionym echem w ciszy nocnej. Kudłate meksykańskie koniki stanęły jak wryte i zaraz opuściły ciężkie głowy ku ziemi, by oddać się drzemce.

Młody Amerykanin, wyrwany gwałtownie z głębokiego snu, chybnął się i spadłby z siodła, gdyby go nie podtrzymał towarzysz podróży. Otworzywszy powieki, znieruchomiał, urzeczony magią czarodziejskiego widoku.

Przed nimi stała granatowa ściana puszczy, a nad wierzchołkami drzew, jakby niesiona na obłokach, bieliła się w poświacie księżyca budowla Majów: jakaś świątynia czy pałac, wzniesiony na szczycie piramidy.

W ten sposób 25-letni Edward Herbert Thompson dotarł w roku 1885 do Chichen-Itza, największego, najpiękniejszego i najpotężniejszego miasta Majów, o którym chodziły po świecie wręcz niewiarogodne legendy.

O pierwszych brzaskach, zerwawszy się z posłania i łyknąwszy nieco kawy, Thompson, nie zwlekając, wspiął się na pierwszą spotkaną piramidę. Nasycił wzrok obrazem rozpostartej panoramy ruin, a potem z wytężeniem zaczął wypatrywać czegoś w oddali. Okrzyk zadowolenia wyrwał się z jego piersi. Bo oto wśród drzew, jak srebrne oko, zabłysnęła okrągła tafla niewielkiego stawu.

– Święte jezioro, przybytek boga deszczu – szepnął do Meksykanina.

Śniada, nalana twarz tubylca rozjaśniła się w poczciwym uśmiechu.

– *Si, señor*, święte jezioro… Ludzie różnie o nim gadają… Jedni twierdzą, że w pewnych porach roku woda jego zmienia się w krew. Inni znowu widzieli, jak korowód płaczących dziewic wynurzał się z topieli. Wtedy puszcza rozbrzmiewa śpiewem niewidzialnych kapłanów, muzyką fletów i warkotem bębnów.

Tymczasem zaczął się nowy dzień.

„Stałem na dachu świątyni – pisze Thompson w swoich pamiętnikach – właśnie gdy pierwsze promienie słońca zaróżowiły daleki widnokrąg nieba. Panowała głęboka cisza poranna; odgłosy dnia jeszcze się nie ozwały. Niebo i ziemia jakby wstrzymały oddech w oczekiwaniu czegoś niewiadomego. A potem wzeszła ogromna tarcza słońca, wspaniale rozpłomieniona i w jednej chwili cały szeroki świat zaniósł się od śpiewu. Ptaki na drzewach i owady na ziemi rozpoczęły swój wielki hymn do słońca”.

Po pewnym czasie przybysze zeszli ze stromych schodów i wąską ścieżką udali się do stawu. Wygląd jego był ponury i nic dziwnego, że wywoływał wśród tubylców zabobonny lęk. Była to właściwie ziejąca otchłanią jama wodna. Brzegi jej tworzyła spadzista ściana skalna wysokości około dwudziestu metrów. Powierzchnię czarnej cieczy pokrywały wodorosty, liście i pływające pnie zbutwiałych drzew. Thompson zapuścił sondę i przekonał się, że staw ma mniej więcej dwadzieścia pięć metrów głębokości.

Nad brzegiem widniały ruiny ołtarza, od którego pokryta rzeźbami grobla biegła do ogromnej świątyni, stojącej na piramidzie.

Po dokładnym zbadaniu brzegów jeziora Thompson usiadł na kamieniu i zaczął na nowo zastanawiać się nad sensem swojej ekspedycji. Wyjął z kieszeni książeczkę z relacją biskupa Diego de Landa i zatrzymał się po raz nie wiem który na następującym zdaniu: „Jeżeli kraj ten posiadał kiedyś złoto, to większa jego część powinna znajdować się na dnie jeziora w Chichen-Itza”.

Religia Majów w odróżnieniu od religii Azteków była łagodna i prawie bezkrwawa. Swoim mnogim bożkom Majowie składali w ofierze kwiaty i owoce. Zachodził jednak jeden wyjątkowy wypadek: gdy nastała plaga posuchy, wtedy kapłani, dla przebłagania zagniewanego boga deszczu Chac-Mool, mieszkającego

według wierzeń na dnie jeziora, posyłali mu najpiękniejszą dziewoję jako narzeczoną.

Ludność zaopatrywała ją w sutą wyprawę ślubną, wrzucając do wody klejnoty i rozmaite przedmioty domowego użytku.

Notatka de Landa spotkała się na ogół z niedowierzaniem. Opowiadanie uważano za typową romantyczną klechdę ludową, pozbawioną faktycznych podstaw.

Ale młody Thompson od razu w nią uwierzył. Zdanie de Landa przemówiło potężnie do jego pobudliwej wyobraźni i urzekło do tego stopnia, iż postanowił rozwiązać zagadkę jeziora na miejscu. Choć znajomi z lekka dworowali sobie z jego fantazji, puścił się w podróż do Jukatanu, by opracować plan wydobycia z głębi jego nurtów starodawnego skarbu Majów.

Podczas gdy Metys rozniecał ognisko i zabrał się do przygotowania obiadu, Thompson usiadł na głazie ołtarza i utkwiwszy wzrok w toni jeziora, usiłował odtworzyć w wyobraźni cały przebieg uroczystości na cześć boga deszczu.

Oto stopniami piramidy schodzi procesja z królem, kapłanami i dostojnikami na czele, w splendorze uroczystych strojów i pstrych pióropuszy. W pośrodku sunie szczelnie zakryta lektyka, w której siedzi młoda oblubienica boga.

Korowód ciągnie wzdłuż grobli wśród rytualnego śpiewu kapłanów i dźwięków orkiestry złożonej z fletów i bębnów. Zatrzymuje się przy ołtarzu i w milczeniu czeka, aż spoza widnokręgu wytoczy się czerwona tarcza słońca i pierwsze jego promienie zaigrają ognikami na tafli wodnej.

Wtedy kapłani wyprowadzają z lektyki bladą, przerażoną dziewicę, zarzucają na nią wspaniały płaszcz godowy i przystrajają jej skronie w wianek z kwiatów. Na widok wybranej ludność, zgromadzona wzdłuż brzegu, wybucha okrzykiem powitania, flety wygrywają trele z większą zapamiętałością, a rytm bębnów upodabnia się do nawały gradowej.

Po śpiewach i modlitwach kapłanów nastaje śmiertelna cisza. Czterech kapłanów unosi dziewczynę w górę i z wielkim rozmachem ciska ją w jezioro. Powietrze przeszywa trwożliwy krzyk ofiary i głuchy, posępny bulgot wody. Bóg deszczu przyjął do swego

królestwa nową, nie wiadomo którą z rzędu oblubienicę. W ślad za ofiarą sypie się deszcz naszyjników, bransolet, naramienników, szkatułek, grzebieni, agrafek, waz i mis ceramicznych z pięknymi ornamentami.

Jakie były szanse wydobycia tajemniczych skarbów z tej cuchnącej, atramentowej głębi wodnej? Thompson doszedł do przekonania, że może to uczynić tylko przy zastosowaniu specjalnego urządzenia do bagrowania i skafandra nurkowego. Wymagało to wielkich nakładów pieniężnych.

Wróciwszy do Stanów Zjednoczonych, Thompson rozwinął szeroką akcję odczytową na uniwersytetach i kongresach naukowych, aż wreszcie zebrał potrzebne fundusze. Potem udał się do Bostonu, gdzie pod kierunkiem doświadczonego nurka uczył się trudnej sztuki nurkowania. Zdobył w tym zawodzie względną biegłość, choć fizycznie był raczej człowiekiem wątłym.

Ale szczególną nadzieję pokładał w przyrządzie do bagrowania, który kazał sobie zbudować w fabryce. Składał się on z dziesięciometrowego masztu, wiadra z zębatą krawędzią, korby, lin stalowych, bloków i kółek.

W Jukatanie najął kilku robotników, a przede wszystkim łowcę pereł i doświadczonego nurka narodowości greckiej, który pracował na Wyspach Bahama. W tej asyście zjawił się po raz drugi w Chichen-Itza.

Średnica jeziora wynosiła około siedemdziesięciu metrów, przeto o przeszukaniu całego jego dna nie mogło być mowy. Thompson rozwiązał trudności w bardzo pomysłowy sposób. Ciężki pniak drzewa, ociosany z grubsza w kontury człowieka, przywiązał do długiego postronka i wrzucał go do wody tak długo, aż ustalił miejsce, dokąd według wszelkiego prawdopodobieństwa wpadały żywe ofiary. Tam zaczął żmudną pracę bagrowania.

Zębate wiadro dobywało na powierzchnię czarny jak smoła muł, zgniłe gałęzie, zbutwiałe drzewo, raz nawet sczepione ze sobą kości jaguara i sarny, nieme świadectwo tragedii leśnej. Słońce piekło niemiłosiernie; na brzegu rosły sterty mułu i szlamu, wydające nieznośny fetor.

Praca szła w ten sposób dzień po dniu bez najmniejszego rezultatu. Kiedyś jednak pojawił się pierwszy nieśmiały zwiastun sukcesu. Wśród mułu tkwiły białożółte bryłki jakiejś masy żywicznej.

Rozgrzane na ogniu rozsiewały dokoła przedziwnie odurzający, słodki aromat. Thompson nie miał żadnej wątpliwości, że znalazł kadzidło, używane przez kapłanów podczas uroczystości ofiarnych.

Niebawem jak z rogu obfitości posypały się najróżniejsze znaleziska. Każde wiadro przynosiło jakąś zdobycz: biżuterię, wazy, groty, noże lub czary z obsydianu albo jaspisu. Ostatecznym potwierdzeniem relacji de Landa był szkielet młodej dziewczyny, wydobyty z dna jeziora.

Thompson triumfował. Przypomniał sobie najeżoną przeszkodami drogę, jaką musiał przebyć do swego sukcesu: wszystkie rozczarowania i upokorzenia ze strony ludzi, którzy poczytywali go za szalbierza bądź też za niepoprawnego marzyciela. A teraz oto dokonał jednego z najważniejszych odkryć archeologicznych w Ameryce Środkowej.

Dalsze poszukiwania postanowił przeprowadzić w skafandrze nurka. Swoje przeżycia i przygody podwodne opisuje tak barwnie i z takim napięciem dramatycznym, że lepiej kazać mu mówić osobiście.

„Gdy wstąpiłem na pierwszy szczebel drabiny – pisze w swoich wspomnieniach – chłopcy z brygady obsługującej pompę opuszczali kolejno swoje stanowiska i z solenną miną ściskali mi dłoń. Nietrudno było odgadnąć ich myśli: żegnali mnie na zawsze, nie wierząc, iż powrócę żywy. Puszczając drabinę, zanurzyłem się jak wór wypełniony ołowiem, pozostawiwszy za sobą łańcuch srebrzystych pęcherzyków.

Światło stało się naprzód żółte, potem zielone, w końcu purpurowoczarne, a potem znalazłem się w zupełnej ciemności. Uszy moje przeszył ostry ból w wyniku rosnącego ciśnienia. Odczułem podczas zanurzania się inną jeszcze dziwną sensację: traciłem gwałtownie na wadze i gdy wreszcie stanąłem na kamiennej kolumnie, która odpadła od ruiny ołtarza na brzegu –

zdawało mi się, że raczej jestem pęcherzem niż człowiekiem ubranym w ciężki skafander.

Odczuwałem zadowolenie na myśl, że jestem jedynym człowiekiem na świecie, który odwiedza to miejsce żywy i żywy je opuści. Obok mnie pojawił się nurek grecki; ścisnęliśmy sobie dłonie.

Wiadro do bagrowania utworzyło w mule i szlamie korytarz z pionowymi ścianami wysokości sześciu metrów. W tych ścianach tkwiły, niby rodzynki w cieście, rozmaitego kształtu kamienie.

Wyobraźcie sobie nas, poruszających się po omacku w ciemności, otoczonych ze wszystkich stron tą ścianą błota, grzebiących w szparach i szczelinach wapiennego dna w poszukiwaniu przedmiotów, których nie zdołało uchwycić wiadro. Wyobraźcie sobie też, że co chwila jakiś głaz, obluzowany w swoim błotnym łożysku, zsuwał się na nasze głowy. Nie było to jednak tak groźne, jakby się wydawało. Dopóki trzymaliśmy się w odpowiednim dystansie od ściany, nie groziło nam niebezpieczeństwo.

Nasi robotnicy wierzą, że w mrocznych głębinach Świętego Jeziora żyją wielkie żmije i potwory. Nurek grecki i ja byliśmy kiedyś tak pochłonięci pracą zbierania zabytków, że zapomnieliśmy o zwykłych ostrożnościach. Raptem poczułem nad sobą coś ogromnego, coś co podstępnym, oślizłym ruchem spłynęło na mnie i z nieodpartą siłą wtłaczało mnie w błoto. Na chwilę przeniknęły mnie do szpiku kości zimne dreszcze przerażenia. Potem poczułem, jak Grek zaczął odpychać ów przedmiot i uwolnił mnie od jego ciężaru. Był to olbrzymi zgniły pniak drzewny, który oderwał się od ściany mułu i spadł na mnie właśnie wtedy, gdy byłem pochylony".

Wyniki poszukiwań były wprost rewelacyjne i w całej rozciągłości potwierdziły tradycję o rzucanych do jeziora dziewicach. Na powierzchnię wydobyto tysiące najrozmaitszych przedmiotów, jak paciorki, naramienniki, czary i posążki bożków z jaspisu, tarcze ze złota z płaskorzeźbami figuralnymi, noże i znakomicie szlifowane zwierciadła z obsydianu, a przede wszystkim czaszki młodych niewiast.

Znaleziska były przeważnie porozbijane na drobne kawałki. Pochodziło to stąd, że Majowie wierzyli, iż martwe przedmioty mają

dusze, pozbawiali je więc życia przed wrzuceniem do wody druzgocąc je na ołtarzu, żeby ich dusze tym łatwiej mogły w królestwie boga deszczu służyć swojej pani.

Wśród czaszek młodych niewiast Thompson dokonał intrygującego odkrycia: znalazł czerep, który wyraźnie należał kiedyś do starca.

Któż mógł być jego właścicielem?

Czyżby kapłan, złożony w ofierze bogowi deszczu? Z pewnością nie. Zarówno tradycja, jak i kroniki nic nie wspominają o takich ofiarach.

W takim razie może wtrącili go do wody najeźdźcy w okresie walk bratobójczych między Mayapanem, Chichen-Itza i Uxmalem? Teza ta również nie wytrzymuje krytyki. Czyż można uwierzyć, iż podczas burzenia i plądrowania miasta żołdacy wrzucili do wody jedną jedyną osobę i to jakiegoś starca?

Najbardziej odpowiada nam trzecia teoria, ta mianowicie, że w ślad za dziewczyną rzucił się do wody zrozpaczony jej ojciec. Toć przecież stara piosenka indiańska brzmi następująco:

Dogorywają kukurydziane kaczany z pragnienia,
Chac-Mool wzywa cię, wzywa dzieweczko,
Ale obficiej niźli deszczu strumienie
Popłyną me łzy, me łzy serdeczne.

POMPEJA NOWEGO ŚWIATA

KRÓLOWIE MIASTA-PAŃSTWA AZTECKIEGO TEXCOCO byli gorliwymi mecenasami sztuki i dwór ich stanowił żywy ośrodek życia kulturalnego. Jeden z królów tej dynastii zasłynął jako wielki poeta narodowy, czczony przez wszystkich Azteków.

Bezpośrednim potomkiem owego rodu królewskiego był książę Ixtlilxochitl, człowiek niepospolity, który nauczył się tak biegle władać językiem hiszpańskim, że gubernator Meksyku zatrudnił go jako tłumacza i sekretarza.

Ixtlilxochitl napisał obszerną historię swego kraju w języku hiszpańskim. Opowiedział w niej o ludach, które przed przybyciem Azteków do Meksyku budowały ogromne miasta, pełne podniebnych piramid.

Ale Hiszpanie nie dali mu wiary i wszystko między bajki włożyli. W całym bowiem kraju meksykańskim nie widać było śladu ruin po owych rzekomo bogatych miastach. Wprawdzie Francuz Désiré, włócząc się w roku 1885 po kraju w poszukiwaniu skarbów, natknął się na ślady piramidy w okolicy miasteczka Tula de Allende w stanie Hidalgo, ale Hiszpanie nawet i wtedy nie wpadli na myśl, iż mogły one stanowić pozostałość po stolicy Tolteków, Tuli, o której z taką pewnością rozpisywał się książę aztecki.

Zwrot w tej sytuacji nastąpił dopiero w roku 1940, kiedy archeolodzy meksykańscy przystąpili do systematycznych prac wykopaliskowych na miejscu starodawnej siedziby Tolteków. Okazało się, że w odległości 80 kilometrów od miasta Meksyku kryło się pod warstwą ziemi i zarośli potężne zbiorowisko ruin. Znaleziono tam dwie wielkie piramidy poświęcone bogu Słońca

i Księżyca, mnóstwo rzeźb i płaskorzeźb, kolumn oraz rozległą sieć rur wodociągowych z terakoty. Najciekawszym zabytkiem okazał się jednak stadion sportowy z kamiennymi ławami, świadczący o tym, że gra w piłkę była tradycyjną pasją wszystkich bez wyjątku plemion indiańskich Ameryki Środkowej.

Na historyka azteckiego spojrzano innymi oczyma; najdrobniejsza jego informacja nabrała w oczach świata wiarogodności. Dowiadujemy się odeń między innymi, że Toltecy zbudowali swoją stolicę w roku 648 n.e., a opuścili ją z nieznanych przyczyn w roku 1051. Znali oni pismo i matematykę, stworzyli kalendarz na podstawie obrotu Księżyca i byli znakomitymi budowniczymi. Ich religia i prawodawstwo odznaczały się łagodnością, a królowie słynęli z mądrości. Toltecy wyhodowali podobno drogą krzyżowań bawełnę, która rosła w kilku naturalnych kolorach.

Drugą z kolei stolicę Tolteków archeolodzy meksykańscy odkryli w dzisiejszym stanie San Juan. Nazywała się ona Teotihuacan i jak wskazują ruiny, zajmowała obszar dwunastu prawie kilometrów kwadratowych. Wśród kilkunastu wspaniałych pałaców, pokrytych rzeźbami i freskami, znajdowało się tam kilka ogromnych piramid. Na piramidach Słońca i Księżyca widniały – jak twierdzi Ixtlilxochitl – emblematy z wypolerowanej złotej blachy, które dzień i noc rzucały jaskrawe blaski, służące za drogowskaz dla pielgrzymów.

Podobnie jak we wszystkich innych miastach indiańskich, dominującym motywem dekoracyjnym w Teotihuacan był upierzony wąż, symbol białego brodatego boga. Ale poza tym występują tam inne, bardzo oryginalne tematy. Tak więc widzimy szereg fresków obrazujących życie boga deszczu, oraz raj, tak jak wyobrażali go sobie Toltecy: zmarli wśród wesela i radości grają na błoniu w piłkę.

U podnóża piramidy słońca ciągnie się tak zwana Droga Śmierci. Wzdłuż niej znaleziono niezliczoną liczbę mogił z prochami zmarłych, maskami mozaikowymi, groteskowymi główkami z terakoty oraz z bardzo bogato zdobionymi skorupami naczyń glinianych.

Teotihuacan opustoszał w dziesiątym lub jedenastym wieku naszej ery. Przyczyną było wytrzebienie lasów przez mieszkańców i w konsekwencji zupełne wyjałowienie ziemi, o czym zresztą do

dziś dnia świadczą okoliczne, całkiem łyse pagórki. Toltekowie wywędrowali do Jukatanu, gdzie złączyli się z tamtejszymi plemionami Majów.

W dolinie Tlacolula, w odległości trzydziestu kilometrów na południowy wschód od meksykańskiego miasta Oaxaca, wygrzebano spod grubej powłoki ziemi ruiny Mitly, stolicy Zapoteków. Znali je już Aztekowie i nazwali Miejscem Smutku. Oprócz zwykle spotykanych w tego rodzaju miastach piramid i pałaców na szczególną uwagę zasługuje tam słynna Hala Kolumn z olbrzymimi słupami fallicznymi.

W roku 1931 archeolog meksykański Alfonso Caso dokonał sensacyjnego odkrycia. Kopiąc na Monte Alban (Biała Góra) w stanie Oaxaca, natknął się na olbrzymie, owiane mrokiem tajemnicy miasto, które wielu archeologów poczytuje za starszą od Mitly prastolicę Zapoteków. Jest to rozległe skupienie ruin: ogromnych świątyń i pałaców, płyt kamiennych z hieroglifami i płaskorzeźbami wyobrażającymi bożków, z posągami i ceramiką rzadkiej piękności.

Monte Alban słynie jednakże głównie ze znalezionego tam drogocennego skarbu. W licznych pradawnych grobach spoczywały szkielety, bogato wystrojone w biżuterię z precyzyjnie szlifowanego kryształu górskiego, ze złota, jaspisu, pereł, bursztynu, korali, obsydianu, masy perłowej i zębów jaguara. Wśród naszyjników, agraf, kolczyków, brosz, diademów, bransolet i obrączek znaleziono tam poza tym złote tabakierki, wachlarze z wielobarwnymi piórami oraz złote maski z dokładnie wymodelowanymi twarzami. Istnieją dane, że Zapoteków wyparli z tego miasta Toltekowie w XII wieku.

Dzięki poszukiwaniom archeologów wiemy dzisiaj, że już na kilkaset lat przed naszą erą Amerykę Środkową zamieszkiwały liczne i wysoko rozwinięte ludy, że ich historia była niezwykle bogata w tragiczne wydarzenia i kataklizmy na miarę czasami wręcz apokaliptyczną.

W roku 1942 archeolog A. Hyatt Verrill odkopał w Panamie ruiny tak zwanej kultury Coclé. Na przestrzeni 1400 kilometrów kwadratowych leżały gęsto rozrzucone groby, posągi, świątynie, przede wszystkim jednak niewiarogodne masy skorup ceramicznych,

narzędzi i przedmiotów domowego użytku, nagromadzonych miejscami w warstwie do sześciu metrów grubości.

Najbardziej frapującym zabytkiem archeologicznym jest tam Świątynia Tysiąca Bogów, zajmująca między dwiema rzekami teren wielkości stu akrów. Setki posągów i ogromnych kolumn bazaltowych, pokrytych od góry do dołu polichromowanymi płaskorzeźbami i hieroglifami, są ustawione w geometrycznie dokładny czworobok. Kolumny mają najróżniejsze profile; kwadratowe, okrągłe, ośmiokątne i eliptyczne. Wszystkie posągi spoglądają ku wschodowi słońca. Wyobrażają one nie tylko ludzi, lecz również ptaki, płazy i wszystkie czworonożne zwierzęta żyjące w Panamie. Postacie ludzkie, poza naszyjnikami i osobliwymi przybraniami głów, nie mają na sobie żadnego odzienia.

Sceny wykute dłutem nieznanych rzeźbiarzy zadziwiają swą koszmarnością. Na jednej rzeźbie widzimy np. braci syjamskich, zrośniętych ze sobą plecami. Gdzie indziej jaguar trzyma łapę na powalonym mężczyźnie lub pożera niemowlę. Bardzo często spotyka się rzeźby postawnych mężów gładzących dłonią długie, kędzierzawe brody.

Najbliższe kamieniołomy, skąd mieszkańcy miasta czerpali surowiec budowlany, znajdują się w odległości kilkunastu kilometrów po drugiej stronie rzeki. Przetoczenie tych monolitów na miejsce świątyni byłoby nawet dzisiaj nie lada zadaniem, cóż dopiero w owych zamierzchłych czasach, kiedy prawdopodobnie nie istniały w ogóle żadne mechaniczne środki transportowe i całe dzieło wykonano siłą fizyczną człowieka. Tylko skoordynowana praca wielkich rzesz mogła podołać temu cyklopowemu zadaniu. Świątynia Tysiąca Bogów została wzniesiona przez nieprzeliczone pokolenia społeczeństwa zorganizowanego i znacznie posuniętego w swoim rozwoju dziejowym.

U podnóża kolumn stały dobrze ociosane i wyszlifowane bloki z przezroczystego porfiru albo z jaspisu żółtej lub czerwonej barwy. Na ich powierzchni leżały odłamki kości i zębów ludzkich, pomieszane z na poły skamieniałym, zwęglonym drewnem, z czego wolno wnioskować, że były to ołtarze, na których składano bogom ofiary z ludzi.

Ziemia naokoło świątyni jest jałowa i nieodpowiednia pod uprawę. Powstaje wobec tego pytanie, jak mogło się tam utrzymać liczne społeczeństwo. Nietrudno było znaleźć odpowiedź na to: ziemia była ongiś urodzajna i dopiero popioły wulkanu Guacamayo, wznoszącego się niedaleko u stóp Kordylierów, zamieniły ją w pustynię.

Krater wulkanu do dnia dzisiejszego jest poszarpany, nagi i okopcony: w jego głębi rozlegają się głuche grzmoty; na zewnątrz wydobywają się kłęby pary i gorąca woda, a okoliczne tereny pokryte są całunem wulkanicznego pyłu. Latem cały kraj przeobraża się w spiekłą od słońca pustynię, a podczas sezonu deszczowego w nieprzebyte bagno.

Szereg okoliczności przemawia za tym, że panamskie ruiny sięgają odległych czasów. Na budowlach nagromadziła się warstwa ziemi grubości od jednego do trzech metrów. Archeolodzy meksykańscy drogą złożonych kalkulacji, którymi nie sposób się tu zajmować, obliczyli, że aby mogła wytworzyć się warstwa grubości jednego metra, musiało upłynąć co najmniej 1200 lat.

Wynikałoby z tego, że miasto panamskie zostało ostatecznie opuszczone mniej więcej w VII wieku n.e., że jednak pewne jego partie, zakryte trzymetrową powłoką ziemi, opustoszały już na 1700 lat p.n.e.

Miasto to, zanim nadszedł jego kres, było niewątpliwie niezmiernie stare. Nawet przy zatrudnieniu tysięcy czy nawet dziesiątków tysięcy robotników – przetransportowanie i spiętrzenie tylu monolitów nie mogło być dziełem kilku tylko pokoleń.

Jedną z najbardziej frapujących rzeczy w tych ruinach jest olbrzymia ilość skorup ceramicznych. Poniewierają się one wszędzie, ale największe ich skupienie znajduje się w czworoboku świątyni, u stóp posągów i kolumn.

Jak wytłumaczyć ową niesamowitą ilość skorup w świątyni? Archeolodzy wyjaśnili zagadkę w sposób zupełnie przypadkowy. Oto na kolumnach i posągach pełno było śladów, pozostawionych tam przez druzgotane o nie polewane garnki. Najwidoczniej obrzędy religijne wymagały, by ofiarować bogom wyroby garncarskie.

O starodawności tego zwyczaju religijnego świadczy ta okoliczność, że w niektórych miejscach warstwa skorup dochodzi do sześciu metrów. Pozwoliło to archeologom prześledzić rozwój tej nieznanej kultury. W najniższych nawarstwieniach znaleziono ceramikę z bardzo prymitywnym ornamentem liniowym, a w najwyższych warstwach garnki, budzące podziw piękną polewą i kunsztownie wykonanym motywem zdobniczym. Po wielu wiekach sztuka ceramiczna osiągnęła tam niebywałe wyżyny doskonałości.

Wśród archeologów powstało pewnego dnia trudne do opisania poruszenie. Nie wierząc własnym oczom, zauważyli oni na jednej z niezliczonych płaskorzeźb wyraźny, wykluczający pomyłkę, wizerunek słonia.

Słonie wprawdzie żyły w Ameryce Środkowej, ale wymarły mniej więcej 10 tysięcy lat temu. Nieopodal Teotihuacanu jest miasteczko Tepexpan. W roku 1947 znaleziono tam kości indiańskiego myśliwego razem ze słoniem. Badania wykazały, że wykopalisko pochodzi z 15 tysiąclecia p.n.e.

Jakim cudem więc znała praludność panamska słonia? Jako odpowiedź istnieje tylko jedna alternatywa: albo miasto istniało już 10 tysięcy lat przed naszą erą, albo ludność pozostawała w bezpośrednich stosunkach z dalekimi krajami Wschodu drogą żeglugi morskiej.

O tej ludności niewiele możemy powiedzieć. To tylko wiadomo, że była pokojowo usposobiona, jak świadczy niezwykle skąpa liczba znalezionej broni, że jej kultura wykazuje uderzające podobieństwo z kulturą Majów, że czciła Słońce i jak wszystkie inne ludy Ameryki Środkowej i Południowej, wierzyła w „upierzonego węża”. Z płaskorzeźb wynika, że mężczyźni byli rośli, muskularni, mieli okrągłe czaszki i rasowo nie przypominali Indian amerykańskich.

Jakaż katastrofa ogarnęła i zniweczyła tę bujną, żywotną kulturę, że tak raptownie zniknęła, pozostawiając po sobie ogromne zwaliska głazów? Mamy na to zupełnie pewną odpowiedź. Udzielają nam jej ruiny w sposób przejmująco wymowny.

Ogromne kolumny, porozrzucane i połamane niby zapałki, monolity, jakby ręką olbrzymów podruzgotane i daleko odepchnięte od swoich piedestałów, posągi wywrócone do góry nogami, ziemia

pełna gwałtownych fałd, pokłady wulkanicznego popiołu – czyż nie świadczy to o wielkim trzęsieniu ziemi?

Nietrudno wyobrazić sobie, co się stało. Wulkan Guacamayo, znajdujący się w odległości dziesięciu kilometrów, pewnego dnia zbudził się z wieczystego snu, zaryczał i plunął fontanną ognia. Ziemia zakołysała się jak pijana. Przerażeni mieszkańcy, ocaleni z pierwszego wstrząsu, pobiegli jak szaleni do świątyni, by hekatombami ofiar ludzkich przebłagać zagniewanych bogów.

Ale ich błagania nie znalazły posłuchu. Ziemia nadal falowała i dygotała jak powierzchnia wzburzonego morza. Wulkan dudnił i grzmiał, zasypując wszystko rozżarzonym do białości popiołem. Niedobitki ludności, które nie zostały zdruzgotane przez ogromne głazy lub zaczadzone oparami trujących wyziewów – uciekły w głąb puszczy, mieszając się z dzikimi plemionami Indian.

Nad ogromną krainą Panamy, gdzie przez tysiące lat pulsowało plenne życie zdolnego narodu, roztoczyła się cisza śmierci.

SKARB POZŁACANEGO CZŁOWIEKA

W MARCU 1536 ROKU grupa wędrowców hiszpańskich doznała nad Zatoką Kalifornijską niezwykłej przygody. Wrzeszcząc z podniecenia i gestykulując gwałtownie, zabiegł im drogę biały mężczyzna w otoczeniu paru Indian. Ze swoją brodą i długimi pasmami włosów na głowie przypominał patriarchę ze Starego Testamentu.

W sposób chaotyczny opowiadał, że jego okręt rozbił się przy brzegu Florydy i z całej załogi on jeden tylko ocalał. Odtąd przedzierał się poprzez cały kontynent amerykański w kierunku zachodnim, korzystając z gościnności plemion indiańskich, aż wreszcie znalazł się nad Pacyfikiem w Kalifornii.

Największe jednak wrażenie wśród Hiszpanów wywołały opowiadane przezeń dziwy o istnieniu siedmiu miast Ciboli, które jakoby miały leżeć gdzieś na północy. Ich mieszkańcy żyli rzekomo w pałacach wysadzanych szafirami i posiadali tyle złota, ile tylko zapragnęli.

Fama o legendarnych miastach rozeszła się lotem błyskawicy po całej Europie. Stały się one celem wielu ekspedycji podróżniczych. Najliczniejszą wyprawę zorganizował Francisco Vasquez de Coronado. Lecz zamiast złota, szafirów i turkusów Coronado znalazł w Arizonie nędzne lepianki nagich szczepów indiańskich. Siedem miast Ciboli okazały się wierutnym wymysłem lub mirażem marzycieli.

Również w głębi kontynentu południowoamerykańskiego miało ponoć istnieć legendarne Eldorado, miasto całe zbudowane ze złota, widoczne na odległość wielu mil, ponieważ płonęło i łyskało się

w słońcu jak ognista góra. Mieszkańcy miasta aż uginali się pod ciężarem złotej biżuterii i szmaragdów wielkości kurzego jaja.

Eldorado urzekło i porwało wyobraźnię wielu błędnych rycerzy, obieżyświatów i awanturników. Przez okres przeszło stu lat tysiące ludzi w poszukiwaniu zwodniczego miasta znosiły niewypowiedziane trudy i cierpienia, ginęły od chorób, robactwa lub zatrutych strzał wojowniczych Indian.

W roku 1536 młody Hiszpan Gonzalo Xiemenes de Quesada stanął na czele ekspedycji złożonej z 875 żołnierzy, by ruszyć na poszukiwanie Eldorada. Armia jego prezentowała się wspaniale. Wódz odziany był w czarne welwety przetykane srebrem; na głowie miał kask z błyszczącej bejcowanej stali. Jego oficerowie paradowali w przepysznych szkarłatnych jedwabiach i szerokich kapeluszach uwieńczonych zamaszystymi pióropuszami. Żołnierze chłopi w chłopa zakuci byli w hartowane żelastwo.

Marsz przez dżunglę Ameryki Południowej, a potem na niebotyczne przełęcze Andów był prawdziwym piekłem. Mała, ale świetna armia, wskutek śmierci, chorób i dezercji, stopniała do połowy. Z barwnych strojów wodza, oficerów i żołnierzy pozostały jeno strzępy.

Po kilku miesiącach marszu wycieńczonym konkwistadorom zaświtała pierwsza nadzieja. Jedna z licznych potyczek z Indianami przysporzyła im łupów w postaci szmaragdów i złotej biżuterii; zaostrzyło to ich apetyty i zagrzało do wznowionego wysiłku. Ale z 875 żołnierzy pozostało już tylko dwustu godnych pożałowania niedobitków, podobnych do nędzarzy.

Na podobłocznych wyżynach Andów, w dzisiejszej Kolumbii, stanęła przed nimi armia Indian z plemienia Czibczów. Zderzenie było krótkie, lecz gwałtowne. Indianie ze swoimi dzidami i procami nie mogli sprostać Hiszpanom uzbrojonym w arkabuzy; zwycięstwo przybyszów było bezsporne.

W kraju Czibczów leży jezioro Guatavita, obramowane stromym, skalistym brzegiem. Hiszpanie stanęli tam obozem i zaczęli przede wszystkim rabować złoto, jakie tylko wpadło im do ręki. Kiedy go już zabrakło, brali na tortury starszyznę indiańską, by dowiedzieć się od niej, gdzie ukrywa domniemane złote skarby. Ale jedyną

odpowiedzią, jaką niezmiennie otrzymywali od torturowanych, był gest wskazujący nurty jeziora; tam podobno miało spoczywać całe złoto plemienia.

Pewnego poranka, przy dźwiękach fletów, bębnów i śpiewów, do jeziora zbliżał się tanecznym krokiem długi korowód Indian, wśród których niesiono lektykę z królem plemienia.

Nad brzegiem wyprowadzono króla z lektyki, rozebrano go do naga, namaszczono żywicą i obsypano gęsto złotym pyłem. Pozłacany człowiek, połyskujący w słońcu, wszedł do łodzi, popłynął na środek jeziora i dał nura do wody.

Po upływie niejakiego czasu wynurzył się na powierzchnię obmyty już ze złota i powrócił na brzeg, witany gromkimi okrzykami Indian. Na zakończenie obrzędu posypał się, ku osłupieniu Hiszpanów, rzęsisty deszcz najróżniejszych złotych klejnotów – naszyjników, diademów, bransolet, obrączek i brosz wydobytych z ukrycia. Cały ten skarb poszedł na dno jeziora.

U podłoża rytuału leżała – jak się Hiszpanie dowiedzieli przez tłumacza – stara legenda Czibczów. Było to bardzo dawno temu: król Zipa wbił na pal kochanka swojej żony, a ją zmusił do spożycia jego ciała. Małżonka, przerażona okrucieństwem męża, zabrała ze sobą córeczkę i rzuciła się w fale jeziora, gdzie odtąd żyje u boku nowego małżonka, „upierzonego węża".

Odtąd co roku – taka była treść pieśni kapłańskiej – królowie plemienia Czibczów tradycyjnie zanurzali się w jeziorze, by ofiarami ze złota i szmaragdów wybłagać przebaczenie za okrutny postępek swego przodka.

Ponieważ obyczaj trwał już kilkaset lat, złote skarby na dnie jeziora musiały przewyższyć wszelką fantazję. Co jednak było w tym wszystkim najdziwniejsze – to fakt, że Czibczowie nie mieli u siebie kopalni złota. Otrzymywali je od sąsiadów w zamian za kartofle, kukurydzę, fasolę, a przede wszystkim za szmaragdy, których było bardzo wiele w ich górach. Szmaragdy Czibczów drogą łańcuchowej wymiany docierały do ludu Coclé w Panamie, nawet do Meksyku, gdzie Cortez zdobył między innymi okaz wielkości kaczego jaja.

W poszukiwaniu skarbów Hiszpanie zaszli pewnego dnia do wsi Tunja, leżącej na wschód od jeziora Guatavita. Ujrzeli tam

niezwykły widok. Nad przyzbami chat, jak susząca się bielizna, wisiały wielkie arkusze złotej blachy wymłotkowane do grubości papieru. Złoto kołysało się na wietrze, wydając subtelne dźwięki przypominające harfę.

Kapłani nosili cyzelowane złote kolczyki i diademy z tkwiącymi w nich wielobarwnymi piórami. Wszyscy mieszkańcy upiększali swe ubiory szmaragdami wielkości orzecha włoskiego. Z nosów zwisały im groteskowe złote ozdoby, zakrywając wargi i przydając ich głosom dziwny, metaliczny rezonans.

Konkwistadorzy włóczyli się dwa lata po tym kraju, rabując, gdzie i co się dało. Według relacji Xiemenesa Quesady zebrali tyle złota, że mogliby nim napełnić duży pokój do samej powały, ponadto zagarnęli 1185 szmaragdów wielkiej ceny. W czasie tych łupieżczych wypraw założyli miasto Bogota, dzisiejszą stolicę Kolumbii, leżącą na wysokości 2645 metrów ponad poziomem morza.

W lutym 1539 roku gruchnęła wieść, że zbliża się jakaś nieznana armia hiszpańska. Okazało się, że jej dowódcą był Sebastian de Benalcazar, bywały w świecie konkwistador, silny i zuchwały, z ognistą krwią mauretańską w żyłach, którego również przywabiła w Andy legenda Eldorado. Życie jego było pełne awanturniczych przygód.

Zaczął je jako poganiacz osłów pociągowych. Kiedyś osioł wpadł do bajora, co tak rozeźliło Benalcazara, że zabił go jednym uderzeniem pięści. Bojąc się kary, uciekł do Cadizu, gdzie zaciągnął się na okręt udający się do Ameryki.

Włócząc się po Ameryce Południowej i Środkowej, założył w roku 1534 miasta Leon i Quito. Tam dowiedział się od jeńca indiańskiego o „pozłacanym człowieku” i co rychłej puścił się w podróż na czele szybko zebranego oddziału najgorszych zabijaków.

Dwie armie stanęły naprzeciw siebie w pogotowiu wojennym. Konflikt miał już wybuchnąć na oczach Indian, kiedy naraz, ku ich nieopisanemu zdumieniu, z puszczy wychyliła się trzecia armia, złożona z hiszpańskich oberwańców na wychudzonych do kości chabetach.

Na jej czele stał rudobrody Niemiec Mikołaj Federmann z miasta Ulm. Był on agentem ludzi, którzy otrzymali od cesarza niemieckiego w lenno Wenezuelę. Zasłyszawszy o złocie plemienia Czibczów, ruszył na czele czterystu ludzi na zachód ku Andom. Przeszło trzy lata szedł dżunglami, walcząc z wojowniczymi Indianami i malarią. Walki i choroby do tego stopnia zdziesiątkowały jego oddział, że kiedy pojawił się nad jeziorem Guatavita – było ich tylko stu wyczerpanych do ostateczności straceńców.

Trzej wodzowie po pełnych napięcia pertraktacjach postanowili zaniechać walki, a sprawę posiadania lenna nad Czibczami przedłożyć do rozstrzygnięcia królowi hiszpańskiemu. Wszyscy jednak po latach zmarli w Hiszpanii, nie doczekawszy się wyroku.

Zgoda zawarta przez rozbójników nie wyszła na dobre Czibczom. Zdziesiątkowani, wyzuci do cna ze wszystkiego dobra, zakuwani w łańcuchy i zapędzani do niewolniczej pracy – rychło ulegli doszczętnej zagładzie. Konkwistadorzy zabrali im całą biżuterię i nie zważając na jej wartość artystyczną, przetopili ją na złote sztaby.

Pozostały jednak skarby na dnie jeziora. W roku 1580 kupiec z Limy Antonio Sepulveda nabył prawo do ich eksploatowania. Do dzieła przystąpił w sposób nader pomysłowy. Zebrawszy kilkuset Indian, kazał wyciosać w skalistym brzegu kanał dla odprowadzenia wody jeziora. Jakoż niebawem ukazał się po brzegach gęsty czarny muł, w którym jak rodzynki w cieście tkwiło mnóstwo złotych przedmiotów i szmaragdów.

Dno jeziora miało jednak kształt głębokiego leja, toteż, aby dotrzeć do środka, gdzie na pewno znajdowała się główna część skarbów, poziom wody należało jeszcze bardziej obniżyć. Tymczasem w chwili, gdy znaleziono wspaniałe berło wykładane szmaragdami, Sepulveda wyczerpał swoje kapitały. Królewscy komornicy skonfiskowali mu znaleziony skarb, a on sam zmarł w nędzy w przytułku dla ubogich. Wydobyte przezeń klejnoty do dziś dnia można podziwiać w muzeum Kolumbii.

Z kolumbijskich dokumentów archiwalnych wynika, że w ciągu XVII i XVIII wieku jeszcze kilkanaście razy próbowano wydobyć skarby Czibczów. Wszelako przy ówczesnym stanie techniki nie

umiano tak osuszyć jeziora, aby dotrzeć do najgłębszego miejsca lejowatego dna, dokąd spłynęły największe skarby.

W XIX wieku sprawa stała się ponownie głośna dzięki słynnemu niemieckiemu geografowi i podróżnikowi Aleksandrowi Humboldtowi, który już w młodości marzył o odnalezieniu skarbów Eldorado. W roku 1801 przybył on do Bogoty, skąd czynił wyprawy nad jezioro Czibczów. Sporządził dokładną jego mapę i wykalkulował, że na dnie musi znajdować się co najmniej 50 milionów złotych klejnotów.

W roku 1912 zawiązało się w Anglii towarzystwo akcyjne do eksploatacji jeziora z kapitałem 30 tysięcy funtów szterlingów. Ci nowocześni poszukiwacze złota postanowili całkowicie wydrenować jezioro i w tym celu przetransportowali na mułach przez Andy ogromne pompy parowe.

Po kilku tygodniach wytężonej pracy jezioro stopniało do małego stawu leżącego o dwanaście metrów poniżej pierwotnego poziomu. Z gęstego, cuchnącego mułu robotnicy indiańscy zaczęli wygarniać łopatami zdumiewającą liczbę złotej biżuterii i szmaragdów. Zdawało się, że jezioro będzie musiało wreszcie wydać swój zazdrośnie strzeżony skarbiec.

Zanim jednak zdołano dotrzeć do najgłębszego dna, wynikła nowa, zgoła nieoczekiwana komplikacja. Pod działaniem słońca muł wysychał błyskawicznie i twardniał jak beton, wobec którego nawet nowoczesna technika okazała się bezradna. Anglicy musieli zaniechać dalszych prób eksploatacji.

Tak więc setki tysięcy, może miliony złotych przedmiotów o ogromnej wartości historycznej i artystycznej nadal spoczywa w nurtach jeziora Guatavita. Niewątpliwie w najbliższej przyszłości próby ich wydobycia będą ponawiane przy zastosowaniu najnowszych metod technicznych. Ale teraz już, przy dzisiejszym stanie nauki, nie padną one ofiarą bezmyślnej chciwości awanturników, którzy by je przetopili na sztaby złota, lecz pod troskliwą opieką archeologów znajdą się w muzeach świata, głosząc chwałę zaginionego plemienia Czibczów.

W KRAINIE TYSIĄCA TAJEMNIC

CHOCIAŻ ARCHEOLODZY BADAJĄCY Amerykę Środkową i Południową, jak to wynika z poprzednich rozdziałów, mogą poszczycić się rozległymi wynikami swoich poszukiwań wykopaliskowych, to jednak w gruncie rzeczy mało jeszcze wiemy o ludach, jakie zasiedliły te obszary przed przybyciem białego człowieka. Historię ich wciąż jeszcze spowijają mroki fascynującej tajemnicy.

Nie znamy pochodzenia owych uzdolnionych ras, nie wiadomo, jakie były właściwie początki ich życia społecznego i kulturalnego, nie zdołano nawet stwierdzić przyczyn i okoliczności ich zagłady.

Archeolodzy spotkali się tu z bodajże jedynym wypadkiem, że nawarstwienia kulturowe, tak zazwyczaj pouczające, zgoła milczą o stopniowym rozwoju owych cywilizacji, o ich wielowiekowym narastaniu i dojrzewaniu. Sądzić by można po znaleziskach, że pojawiły się one z dnia na dzień w kształcie już udoskonalonym i że znikły równie nagle jak powstały.

Pismo Majów zaliczyć należy do najbardziej zdumiewających osiągnięć ludzkości; mogło ono być tylko owocem wielu wieków mozolnej ewolucji. A jednak w inskrypcjach nie ma śladu tego rozwoju, zastano je w formie dość już wykończonej. To samo można powiedzieć o wielu innych osiągnięciach ludów indiańskich, jak astronomia, matematyka, sztuka czy budownictwo.

Jedną rzecz wolno przyjąć jako pewnik: ludy kontynentu amerykańskiego były ze sobą blisko spokrewnione, zarówno rasowo, jak i kulturalnie. Wskazuje na to wiele zbieżności w ich obyczajach i religii. Wszyscy Indianie budowali świątynie na podwyższeniach

w kształcie piramid, uprawiali kult Słońca i Księżyca oraz wierzyli w mit białego, brodatego boga, którego emblematem był „upierzony wąż". Mieli również wspólne, bardzo osobliwe, gdzie indziej na świecie niespotykane zabobony. Między innymi żyli stale pod grozą fatalistycznej wiary w koniec świata, mający nastąpić u schyłku jednego z pięćdziesięciodwuletnich cyklów dziejowych. W ich kronikach, obliczeniach kalendarzowych, legendach i proroctwach niepoślednią rolę odgrywa trzynastka, poczytywana za liczbę świętą i przynoszącą szczęście.

Wszystkie stare narody Meksyku, jak to ujawniły wykopaliska w Palenque i innych ruinach miast, znały i czciły znak krzyża. Miały też w swojej religii obrzędy przypominające spowiedź, absolucję, pokutę, chrzest niemowląt i coś w rodzaju komunii w postaci spożywania bożków ulepionych z mąki kukurydzianej.

Narody te, wysoko rozwinięte pod wieloma względami, nie wpadły wszakże na pomysł koła transportowego i krążka garncarskiego, nie oswoiły sobie również żadnego zwierzęcia jucznego (z wyjątkiem Indian andyjskich, którzy zadomowili lamę). Chociaż osiągnęły niepospolitą biegłość w obróbce miedzi, złota i srebra – nie odkryły żelaza, co wydawać się może tym dziwniejsze, że przecież nawet najprymitywniejsze szczepy murzyńskie w Afryce nauczyły się pławić żelazo.

Zjawisko raptownego pojawienia się owych dojrzałych kultur może mieć jedno tylko wytłumaczenie: Indianie nie byli na kontynencie amerykańskim tuziemcami, lecz zjawili się tam jako emigranci z wieloma już zdobyczami kulturalnymi swojej rasy.

Ale skąd mogli przybyć?

Uczeni wysuwają tu trzy przypuszczenia. Niektóre szczepy koczownicze, tropiąc zwierzynę łowną, przewędrowały na przełaj Syberię i pewnego dnia stanęły zdumione nad Cieśniną Beringa. Ma ona tylko 50 kilometrów szerokości, toteż w bezchmurne dni po drugiej stronie wody rysował się wyraźnie ląd Alaski. Na widok nieznanej ziemi, pełnej zagadkowych obietnic, myśliwi zapałali chęcią dostania się tam za wszelką cenę.

Wyprawa na kajakach przez przesmyk morski nie przedstawiała wtedy takich trudności jak dzisiaj. Poziom wody był tam naówczas

znacznie niższy, w konsekwencji obecne Wyspy Aleuckie wydłużały się w łańcuch łączący oba kontynenty.

Na poparcie tej koncepcji przytaczano między innymi argument, że twarze wielu Indian zdradzają ich pochodzenie mongolskie. Ważniejsze jest jednak to, co odkrył znawca pisma Majów i autor jego gramatyki, etnograf radziecki J.W. Knorosow. Skonstatował on, że pismo Majów nie różni się w zasadniczej budowie od znaków starochińskich.

Inna grupa uczonych sądzi, że Indianie przybyli na kontynent amerykański z Oceanii lub z jakiegoś nieistniejącego już archipelagu. Czyż jednak większa liczba Indian mogła bez szwanku przepłynąć tak ogromne przestrzenie morskie na prymitywnych tratwach, skleconych na pewno z pni palmowych i postronków roślinnych?

Zwolennicy tej hipotezy odpowiadają na to w sposób następujący:

Owszem, leżało to w granicach możliwości, stwierdzono bowiem ponad wszelką wątpliwość, że Wyspa Wielkanocna jest pozostałym szczątkiem wielkiego archipelagu, który stosunkowo niedawno zanurzył się w głębi Pacyfiku. Ów archipelag ciągnął się na znaczną odległość ku kontynentowi amerykańskiemu. W dodatku wiatry na Pacyfiku przeważnie wieją również w tym kierunku; wystarczyło więc jedynie im się powierzyć, by żeglując z wyspy na wyspę, dostać się w końcu do Ameryki.

Pewne odkrycia przemawiają dość mocno na rzecz owej tezy. Stwierdzono przede wszystkim, że dziesiątki słów plemion amerykańskich są nie tylko podobne do słów w dialektach Oceanii, lecz, co więcej, mają identyczne znaczenie semantyczne.

Również archeologia dorzuciła swoje dowody: w prehistorycznych grobach Kalifornii odkryto toporki wyciosane z kamienia znajdywanego jedynie tylko na wyspach Pacyfiku. Warto w końcu przytoczyć to, co zaobserwowali etnografowie, a mianowicie, że pod względem koloru skóry, rysów twarzy i szeregu innych cech rasowych niektóre szczepy indiańskie bardzo przypominają tubylców Oceanii.

Najbliżej prawdy wydaje się pogląd trzeciej grupy uczonych, którzy między dwiema poprzednimi koncepcjami nie widzą żadnej

sprzeczności. Twierdzą oni, że przecież już choćby różnorakość typów rasowych wśród Indian wskazuje na to, iż imigracja plemion indiańskich odbywała się na przestrzeni wielu stuleci jednym i drugim z wymienionych szlaków, to jest, tak przez Cieśninę Beringa, jak i z wysp Pacyfiku.

Zgoła odmienny pogląd reprezentują ci uczeni, którzy twierdzą, że Indianie przybyli ze wschodu, a więc z Europy, skolonizowali kontynent amerykański, a potem na prymitywnych tratwach przepłynęli Pacyfik i zaludnili wyspy Oceanii. Do tej grupy należy Norweg Thor Heyerdahl, który, chcąc udowodnić możliwość takiej wyprawy morskiej, zbudował tratwę z pni balsa i wraz z kilkoma towarzyszami przepłynął Pacyfik. Książka jego *Wyprawa Kon-Tiki* ukazała się w przekładzie polskim.

Prasa światowa przyniosła niezmiernie ciekawą wiadomość o odkryciu archeologicznym Thora Heyerdahla. Chcąc mocniej udowodnić swoją tezę, Heyerdahl udał się na Wyspę Wielkanocną, znaną z tego, że roi się na niej od dziesiątków olbrzymich posągów kamiennych, wzniesionych tam przed wiekami przez jakąś tajemniczą, zaginioną ludność.

Na zboczach wulkanu Ranu Rarak Norweg odkopał ogromne rzeźby kamienne. Są to posągi ludzkie, mające na piersiach wyrzeźbione żaglowce z rozpiętymi żaglami. Inne ornamenty na tych posągach stylem i wykonaniem przypominają ponad wszelką wątpliwość sztukę Inków peruwiańskich. Poza tym odkryto na stokach gór tarasy obramowane murami, spotykane również w państwie Inków na zboczach niebotycznych Andów.

Jest to odkrycie doniosłe, świadczy bowiem o tym, że Inkowie kiedyś skolonizowali Wyspę Wielkanocną. Jednakże fakt ten nie przesądza sprawy pochodzenia Indian, gdyż może on służyć jako dowód tak jednej, jak i drugiej z wyżej wymienionych hipotez migracyjnych.

Jeżeli zapytamy, kiedy Indianie stanęli nogą na kontynencie amerykańskim, to odpowiedź archeologów obraca się znowu w sferze przypuszczeń. Jako bezsporny pewnik można przyjąć tylko to, że miasto kultury Coclé w Panamie istniało już na dwa tysiące lat p.n.e. Sensacyjnej wymowy nabrała znaleziona tam płaskorzeźba

słonia; świadczyłaby ona z pewnym prawdopodobieństwem, że już na dziesięć tysięcy lat p.n.e, to jest wtedy, kiedy w Ameryce żerowały jeszcze słonie, ludzie budowali tam miasta.

Do potwierdzenia tej daty przyczyniło się poniekąd odkrycie piramidy w Cuicuilco, leżącej na południowym skraju miasta Meksyku, wśród ogromnego rumowiska bazaltów i skamieniałej lawy. Piramidę wraz z otaczającymi ją osiedleńcami spotkała również żywiołowa katastrofa. Pobliskie wulkany Ajusco i Xitli, dziś już wygasłe, plunęły pewnego dnia ogniem i zalały całą okolicę potokiem lawy na wysokość dziesięciu metrów.

Archeolodzy, chcąc ustalić, kiedy nastąpiła ta katastrofa, zwrócili się o pomoc do geologów, którzy stwierdzili na podstawie analizy skamieniałej lawy, że liczy sobie ona bez mała 8000 lat.

Jeżeli ich obliczenie jest naukowo słuszne (niektórzy geolodzy stawiają je pod znakiem zapytania) – to mielibyśmy tu do czynienia z najstarszą kulturą na świecie, o wiele starszą od kultur Mezopotamii i Egiptu.

Wybrana literatura

WŚRÓD ŚWIĄTYŃ I OGRODÓW MEZOPOTAMII

Awdijew W.J., *Historia Starożytnego Wschodu*, Moskwa 1948.

Bates E.S., *Touring in 1600*, London, Constable & Co. Ltd. 1911 (Pietro della Valle: str. 6, 7, 50, 88, 90, 191, 194, 200, 205, 235, 269).

Bouquet A.C., *Comparative Religion*, Pelican Books, London 1950.

Bromski J., *Piśmiennictwo w Sumero-Akkadzie, w Babilonii i Asyrii*, [w:] *Wielka Literatura Powszechna*, Trzaska, Ewert i Michalski, Warszawa, tom I, str. 227-270.

Bromski J., *Historia Azji Przedniej*, [w:] *Wielka Historia Powszechna*, Warszawa, Trzaska, Ewert i Michalski, tom I.

Childe G., *What Happend in History*, Pelican Books, London 1950.

Glover T.R., *The Ancient World*, Pelican Books, London 1948.

Layard A.H., *Niniveh the Desolate (Great Travel Stories of all Nations,* (str. 165-190), George G. Harrap & Co. Ltd. London.

Lewy R., *Literatura perska*, [w:] *Wielka Literatura Powszechna*, Trzaska, Ewert i Michalski, str. 474-530.

Lipin L., Biełow A., *Gliniane księgi*, przeł. Józef Brodzki, Wiedza Powszechna, Warszawa 1954.

Przeworski S., *Dzieje i kultura Azji Mniejszej do podboju perskiego*, [w:] *Wielka Encyklopedia Powszechna*, tom I, Trzaska, Ewert i Michalski, 1935.

Woolley L., *Ur of the Chaldees*, Penguin Books, London 1950.

Woolley L., *Ur, The King*, Penguin Books, London 1946.

W EGIPCIE FARAONÓW

Andrzejewski T., *Starożytny Egipt*, Wiedza Powszechna, 1951.

Belzoni G.B., *Ramses II Sets out for England. Great Travel Stories of all Nations* (George G. Harrap & Co, London, 1932, str. 676-887).

Boulton W.H., *Wieczność piramid i tragedia Pompei*, przeł. Kazimierz Michałowski, Trzaska, Ewert i Michalski.

Carter H., Mace A.C., *Tut-ench-Amun, ein aegiptischer Königsgrab*, przekład na język niemiecki G. Steindorff, tom I i II, E.U. Brockhaus, Leipzig 1924.

Cottrell L., *The Lost Pharaoh's*, Evans Brothers Limited, London 1953.

Edwards J.E.S., *The Pyramids of Egipt*, Pelican Books, London 1949.

Glanvill S.R.K., *The Egiptians*, A.C. Blake Ltd., London 1933.

Manteuffel J., *Ze świata papirusów*, Książnica Atlas, Wrocław-Warszawa 1950.

Narolewski T., *Historia starożytnego Egiptu*, [w:] *Wielka Historia Powszechna*, Trzaska, Ewert i Michalski, Warszawa.

Rigby D. Rigby E., *Lock, Stock and Barrel. The Study of Collecting*, J.B. Lipincott Company, Philadelphia 1944.

Śmieszek A., *Literatura starożytnego Egiptu*, [w:] *Wielka Literatura Powszechna*, tom I, Trzaska, Ewert i Michalski, Warszawa.

Weigall A., *The Life and Times of Akhnaton*, G.P. Putnam's Sons, New York 1923.

U KOLEBKI ŚWIATA EGEJSKIEGO

Ajschylos, *Tragedie*, przeł. Stefan Srebrny, PIW, Warszawa 1954.

Cottrell L., *The Bull of Minos*, Evans Brothers Ltd., 1953.

Evans A., *The Palace of Minos in Knossos*, tom I, II, III, London 1921-1935.

Homer, *Odyseja*, przeł. Jan Parandowski, Czytelnik, Warszawa 1953.

Hrozny B., *Ancient History of Western Asia*, India and Crete, „Artia", Prague 1953.

Kumaniecki K., *Historia kultury starożytnej Grecji i Rzymu*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1955.

Majewski K., *Knossos i Mykeny*, Książnica Atlas, Wrocław-Warszawa 1948.

Oppeln-Bronikowski F. von, *Archeologische Entdeckungen im 20 Jahrhundert*, Verlag Heinrich Keller, Berlin 1931.

Stoll H.A., *Der Traum von Troja*, Paul List Verlag, Leipzig 1956.

Pendleburg J.D.S., *The Archeology of Crete*, London 1939.

Sadurska A., *Odczytanie pisma kreteńskiego linearnego b*, „Dawna Kultura", 1955, nr 2.

Siergiejew W.S., *Historia starożytnej Grecji*, przeł. A. Karniejew i N. Zwierzowa, Książka i Wiedza, 1952.

Tukidydes, *Wojna peloponeska*, przeł Kazimierz Kumaniecki, Czytelnik, Warszawa 1953.

POMPEJA I HERKULANUM

Conte Corti E.C., *Untergang und Auferstehung von Pompei und Herculaneum,* F. Bruckman, München 1944.

Gostkowski R., *Pompeje*, Lublin 1954.

Mau A., *Fuehrer durch Pompei*, Wilhelm Engelman, Leipzig 1928.

W KRÓLESTWIE WIELKIEGO WĘŻA

The Civilizations of Ancient America (Selected papers of the XXIX International Congress of Americanists), The University Chicago Press, 1951.

Dobie F., *Coronados Children*, The Literary Guild of America, New York 1931.

Foster W.Z., *Outline Political History of the Americas*, International Publishers, New York 1951.

Gann T., *Maya Cities (A record of exploration and advanture in Middle America)*, New York.

Heyerdahl T., *Wyprawa Kon-Tiki*, przeł. Jerzy Pański, Iskry, Warszawa 1955.

Kisch E.E., *Meksyk*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1951.

Morley S.G., *The Ancient Maya*, Stanford University Press, 1947.

Ober F.A., *Travels in Mexico and Life among the Mexicans, Estes and Lauriat,* Boston 1885.

Oesterloff W.K., *Campanilla, Indianie i Jezuici*, „Życie i Wiedza", sierpień-wrzesień 1951, nr 8-9.

Spinden HJ., *Ancient Civilizations of Mexico and Central America*, American Museum of Natural History, New York 1928.

Vaillant G.C., *The Aztecs of Mexico*, Penguin Books, London 1950.

Verill A.H., *Old Civilizations of the New World*, The New Home Library, New York 1929.

Wassermann J., *Krzysztof Kolumb*, przeł. Aleksander Wat, Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, Poznań 1949.

Wegner R.N., *Zum Sonnentor durch altes Indianerland,* L.C. Vittich Verlag, 1936.

Willard T.A., *The City of the Sacred Weil*, New York 1926.

Roberts F.H.H., *In the Empire of the Aztecs*, „The National Geographic Magazin", 1949.

Żywczyński M., *Kościół a początki kolonizacji hiszpańskiej*, „Dziś i Jutro" z 28 lutego 1954, nr 9.

Żywczyński M., *Metody cywilizowania Indian*, „Dziś i Jutro" z 7 marca 1954, nr 10.

OGÓLNE

Ceram C.W., *Gods, Graves and Scholars*, Alfred A. Knopf, New York 1952 [wyd. polskie: *Bogowie, groby i uczeni*, tłum. J. Nowacki, Warszawa 1958 i następne].

Jeans J., *Niebo*, Czytelnik, Warszawa 1948.

Kostrzewski J., *Dzieje polskich badań prehistorycznych*, Polskie Towarzystwo Prehistoryczne, Poznań 1949.

Kostrzewski J., *Początki kultury ludzkiej*, [w:] *Wielka Historia Powszechna,* Trzaska, Ewert i Michalski, Warszawa 1935.

Loth E., *Człowiek przeszłości*, Polskie Towarzystwo Antropologiczne, Warszawa 1953.

Milewski M.T., *Historia kalendarza*, „Problemy" 1952, nr 9, rok VIII.

Wells H.G., *The Outline of History*, tom I, The Review of Reviews Company, New York 1925.

White A.T., *Lost Worlds. The Romance of Archeology*, Random House, New York City 1941.

Przypisy

[1] Pismo klinowe używane było przez wiele ludów i kultur Bliskiego Wschodu, od IV do I tysiąclecia przed Chr., nie tylko Sumerów, bo również Babilończyków, Asyryjczyków, Chaldejczyków, Akkadyjczyków itp. (przyp. red.).

[2] Chodzi o metodę datowania przedmiotów z materiałów organicznych na podstawie zawartości w nich izotopu węgla ^{14}C, tak zwane datowanie radiowęglowe (przyp. red.).

[3] Górny i Dolny Egipt (przyp. red.).

[4] Pismo linearne b odczytali w 1953 roku Brytyjczycy Michael Ventris i John Chadwick. Uczeni polscy nie mieli w tym zasług, choć profesor Ranoszek był wybitnym znawcą języków starożytnych. Pismo linearne a jest obecnie rozpoznane na poziomie fonetycznym. Wiadomo, jakim dźwiękom odpowiadają poszczególne znaki, ale nie wiadomo, co znaczą, bo język zapisu nie jest znany (przyp. red.).